Sczytanie: Mirosława Sienkiewicz
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Rok 1943 (czerwiec-grudzień)
i
rok 1944 (styczeń-lipiec).
Michał Römer, profesor zwyczajny
na Wydziale Nauk Prawniczych
Uniwersytetu Wileńskiego,
doktor prawa.
Mykolas Römeris, Vilniaus Universitetas
Teisės Mokslų Fakulteto ordinarinis profesorius,
teisės daktaras.
Wilno / Vilnius, 1943.VI.29.
tom / tomas XXXIX.

29 czerwca, rok 1943, wtorek

Przewałęsałem się po Wilnie. Nie wiem, dlaczego Niemcy tak honorują św. Piotra: wszystkie urzędy i instytucje – zamknięte. Spotkałem się w kawiarni z adwokatem Michajłowiczem, z polskim ex-dziennikarzem kowieńskim Ugiańskim, który ma jakieś zajęcie gdzieś w cegielni pod Wilnem, byłem u Heli Ochenkowskiej. Hela zmieniła mieszkanie, ma pokój przy ulicy Stromej (Rotundo gatvė), która nazywa się „stromą" chyba dla kontrastu, bo jest równa jak stół. Hela wciąż stęka, zajęta sobą i swymi kłopotami oraz niedolą. Istotnie ciężko jej, samotnie, głodno i smutno; żaden promyk radości i jaśniejszej perspektywy nie oświetla mroków jej życia osobistego i spraw publicznych, na które jest wrażliwa. Smutny i nędzny ma schyłek. W ogóle Wilno jest smutne. W gazecie „Goniec Codzienny", wydawanej w Wilnie po polsku, która właściwie, jak wszystkie inne, jest w istocie niemiecka, jest dziś artykuł, zapowiadający wielkie wypadki na wojnie, coś jakby ofensywę, która ma zadziwić świat. Wszakże na wojnie wypadki bez zapowiedzi bywają zwykle większe i bardziej zadziwiające, niż te, które są zapowiadane.

Na ulicach Wilna spotkać można czasem oddziały różnych narodowych formacji wojskowych, tworzonych przez Niemców. Uniformy właściwie się nie różnią, mundury mają niemieckie, tylko czasem jakieś drobne mało widoczne odznaki lub litery je różniczkują. Tylko pieśń, którą śpiewają, przechodząc ulicami, wskazuje, co to jest za oddział. Jedne śpiewają pieśni litewskie. Inne – rosyjskie: są to oddziały tak zwanej „Rosyjskiej Armii Oswobodzenia" („Russkaja Oswoboditielnaja Armija", mają litery alfabetu rosyjskiego „P.O.A."), którą Niemcy tworzą pod wodzą byłego sowieckiego generała Wlasowa, będącego w niewoli niemieckiej. Ta antysowiecka „armia rosyjska" rekrutuje się z jeńców sowieckich, Rosjan i wszelkich innych narodowości Sowietów, którzy wstępują do niej przeważnie dla zmiany reżimu żywnościowego – dla wiktu i względnej swobody ruchów. Ludzie, co nie mają nic do stracenia, przeważnie element awanturniczy i wykolejony. Zresztą nienawidzą podobno Stalina, ale skądinąd nie mają żadnej idei. Podobno wygrażają się tak na Stalina i komunistów, jak na Niemców. Są oddziały nawet polskie, to znaczy utworzone ze zwerbowanych czy raczej zarejestrowanych Polaków jako quasi-„ochotników". Ci maszerują śpiewając: „O, mój rozmarynie, rozwijaj się...", a widziałem czwórkę takich, mocno podchmielonych, kroczących ulicą ze śpiewami: „My Pierwsza Brygada – każdy nas okrada...". Są to obrazki mało budujące rozprzężenie i chaosu, charakteryzującego stadium stosunków.

30 czerwca, rok 1943, środa

Spróbowałem dziś zjeść obiad w tajnej restauracyjce spekulacyjnej – bez kartek i po wolnych cenach – którą mi wskazano przy ulicy Tadeusza Wróblewskiego (Arsenalskiej). Obiad kosztuje

tam 10 RM., a za kompot z truskawek dopłaciłem extra 5 RM. Drogo. Myślałem, że zjem dobry przedwojenny obiad mięsny. Okazało się nic osobliwego: jakaś zupa kwaskowata z kartoflami i sztuka mięsa wołowego pod jakimś sosem białym z kaszą kartoflaną. Niewiele więcej byłem syty, niż po „obiedzie" w „Valgisie".

Po obiedzie trafiło mi się u pewnego znajomego wypić prawdziwej kawy czarnej, co w czasach obecnych jest ucztą lukullusową. Wypiłem cztery duże filiżanki. Wieczorem byłem na kolacji z wódką u Olechnowiczów. Był też dr Usas z żoną. Była to rozrywka.

Na zakończenie kilka nowinek.

W Mińsku w d. 22 czerwca, to znaczy w sam dzień drugiej rocznicy wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, podczas przedstawienia białoruskiego w teatrze wybuchła bomba w krzesłach parteru, podłożona widocznie przez komunistów. Podobno wybuch miał straszne skutki. Mówią, że parę setek osób zostało zabitych lub ranionych. Ludzie z krzesłami wylatywali w powietrze.

Rozmawiałem z Kriwickim o „Tarybie", do której on sam też należy. Uważam, że członkowie „Taryby" nie bardzo się lubią chwalić jej działalnością, bo też właściwie nic ona nie robi i robić nie może, a forma została jej nadana jakiegoś ciała doradczego przy Kubiliunasie. Członkowie „Taryby" i bliscy im ludzie w ogóle niechętnie rozmawiają o Tarybie. Karierowicz Kriwicki jest dyplomatą i mówi bardzo oglądnie. Na moje wręcz pytanie o „Tarybie" mógł tylko tyle o jej „działalności" wykrztusić, że on z Michałem Biržišką zwracali się do Kubiliunasa w imieniu Taryby za wskazówką, aby nie zgłaszał kandydatów na stanowiska radców generalnych sprawiedliwości i kontroli administracyjnej, wakujące po aresztowaniu i wywiezieniu Mackiewicza i Puodžiusa, inaczej, niż pod warunkiem nominacji także radcy generalnego oświaty, którego Niemcy w ogóle mianować nie chcą po przekazaniu zarządu oświaty w ręce własnego pełnomocnika. Zdaje się, że to jest jedyny „czyn" Taryby. Nie przeczę, że to jest słuszne, ale na to nie trzeba było „Taryby". Kriwicki podkreśla, że Niemcy są niechętni uznania Taryby, a jeżeli ostatecznie zdecydowali się ją zatwierdzić, aczkolwiek tylko w formie organu doradczego Kubiliunasa, to zdaje się dlatego, że chcą „zaszachować" nacisk, czyniony przez Roosevelta na Sowiety w kierunku wyrzeczenia się przez Sowiety roszczeń do krajów bałtyckich.

Od Kriwickiego też słyszałem, że Niemcy zamierzają zmniejszyć ilość gimnazjów litewskich i natomiast utworzyć w Kownie cztery gimnazja niemieckie, z których jedno utrakwistyczne, niemiecko-litewskie – dla uczniów tak Niemców, jak Litwinów.

Zaprzeczają wieściom o tym, że aresztowani i wywiezieni w marcu do Niemiec do obozu Stutthof pod Gdańskiem Litwini są już wypuszczeni na wolność i przewiezieni do Berlina. Mówią, że pozwolono im tylko wychodzić z obozu na miasto. Słychać, że ilość umarłych z tej grupy aresztowanych Litwinów wynosi nie 9, lecz kilkanaście osób. Obóz Stutthof ma złą sławę obozu „likwidacyjnego", w którym w bardzo szybkim tempie likwidują się ci, co są w nim osadzeni. Likwidują się, to znaczy są doprowadzani do śmierci. Nie w drodze rozstrzelania, ale w drodze nabawienia choroby, przeważnie zapalenia płuc, ewentualnie tyfusu. Robi się w sposób bardzo prosty. W czasie chłodów zmusza się na przykład jeńców po rannym wstaniu wystawać nago do połowy, oczekując na apel. Albo oblewa się ludzi zimną wodą kilkakrotnie, po czym prowadzi się pod gorącą prysznicę, ewentualnie z gorącej wody pod zimną. Do Stutthofu posyła się tych, których się pragnie zlikwidować.

1 lipca, rok 1943, czwartek

Niemcy zażądali jeszcze od wszystkich członków profesury wypełnienia pewnej ankiety, dotyczącej stosunków i znajomości osobistej naszych profesorów, docentów i asystentów z uczonymi niemieckimi. Co do mnie, żadnych stosunków osobistych z żadnym profesorem niemieckim nie mam. Miałem bliższe lub dalsze kontakty i stosunki z profesorami i uczonymi zwłaszcza francuskimi, także z Holendrami, Belgami, Polakami, Czechami, Łotyszami, Finami, Szwedami i Estończykami, ale z nikim z Niemców, wyjąwszy chyba prof. Schückinga z Kielu,

którego poznałem osobiście w Trybunale Międzynarodowym w Hadze w roku 1932 w sprawie kłajpedzkiej. Ale dla nacjonalsocjalistów Schücking, choć Niemiec i uczony wybitny, był „trefny", albowiem należał do szkoły demokratycznej i w dodatku – *horribile dictu* – był członkiem delegacji niemieckiej na Konferencji Pokojowej Paryskiej w roku 1919 i jako taki podpisał Traktat Wersalski. Został też za rządów Hitlera usunięty z profesury, a zresztą obecnie już nie żyje. Nie mam więc się czym pochwalić w zakresie stosunków ze światem naukowym niemieckim. Zdaje się, że ta ankieta zmierza do dalszego konkretyzowania wartości naszych profesorów ze stanowiska niemieckiego w związku z zamierzoną i rozpoczętą przez Niemców akcją do wchłonięcia naszej profesury i uniwersytetów w łożysko nacjonalsocjalistycznego nastawienia nauki niemieckiej. Zresztą o starszą profesurę naszą Niemcom zapewne już nie bardzo chodzi – zwrócą główny nacisk na młodych, nas zaś, starych, mają za „*morituri*", których już nie bardzo warto przerabiać. Kto wie, czy nas, starych, jako element ich zdaniem już do niczego, nie zlikwidują, pozbywając się nas stopniowo z uniwersytetu. Są pogłoski, że profesorowie nasi dostaną „instruktorów", którzy będą ich naciągali do wydajności w duchu nacjonalsocjalistycznym. Nie jestem przeto pewien mojego stanowiska w tym wprzęganym już w rydwan niemiecki uniwersytecie naszym.

Dziś wyjeżdżam z Wilna. Wracam do domu do Bohdaniszek. Wyjeżdżam pociągiem wieczornym na Griwę.

2 lipca, rok 1943, piątek

Podróż z Wilna do Abel miałem, jak na czasy wojenne, znośną. Nie jest ona teraz zbyt długa: z Wilna się wyjeżdża koło dziesiątej wieczorem, przed godziną czwartą rano wysiada się w Griwie, tam się czeka na nasz pociąg Radziwiliszki dwie godziny przeszło i o pół do siódmej wyjeżdża się, a w Abelach się jest po dziewiątej rano. Pociąg z Wilna mało stoi na stacjach, staje tylko na większych, idzie nieźle, tylko jest przepełniony, zwłaszcza od Wilna do Švenčionėliów. Nie miałem nawet gdzie usiąść, ale i potem o położeniu się ani w wagonie, ani w Griwie na stacji nie było mowy. Nie spałem wcale. Wypadku żadnego w drodze nie było. Zdarza się zaś w tych czasach często, że na tej linii między Wilnem a Dyneburgiem bywają wybuchy min, położonych na torze kolejowym przez partyzantów komunistycznych albo bandytów leśnych, grasujących po lasach na wschód od tej linii. Mnie w moich podróżach to się nigdy nie zdarzyło. Jeszcze gorzej jest na kolejach na wschód od Wilna. Tam na terenach lesistych Białej Rusi partyzanci i bandy leśne panują niepodzielnie; tylko wąskie pasma toru kolejowego są nieco ochraniane i w większych ośrodkach jest pewien ład okupacyjny, w głębi zaś – anarchia i samowola band wszelkiego gatunku.

Spodziewałem się, że w Abelach na stacji spotka mię Jadzia z córeczkami. Doznałem zawodu, gdym ujrzał tylko Novikasa. Okazało się, że Jadzia od kilku dni jest ciężko chora, leżąca. Miała w ciągu kilku dni straszne wymioty. Dwukrotnie był do niej sprowadzony lekarz z Abel, ale nic dokładnego stwierdzić nie umiał, bo jest mało doświadczony. Zdaje się trzeba będzie albo sprowadzać lekarza z Rakiszek, albo Jadzię do Rakiszek zawieść, jeżeli będzie w stanie jechać. Byłem bardzo zaniepokojony. Wszakże zastałem Jadzię w nieco lepszym zdrowiu. Osłabiona jest bardzo, wymizerowana, bo od paru dni nic nie jadła, leży w łóżku, dopatruje ją matka. Gorączki jednak nie miała, bóle ustały, wymioty ustały także, apetyt się znajduje. Oprócz wymiotów gwałtownych miała bóle w żołądku, ale wolności nie było. Podejrzewano, że to robaki, potem że to coś żółciowego, ale ostatecznie nic się nie sprawdziło i nie wiadomo, co to jest. Niedobrze też jest z siłą roboczą we dworze. Rozprzężenie robocizny coraz większe.

3 lipca, rok 1943, sobota

W stanie zdrowia Jadzi jest polepszenie. Chociaż jest jeszcze bardzo osłabiona chorobą i postem, ale już dziś wstawała po trochę i wychodziła z domu do gospodarstwa; nie ma od kilku dni wymiotów, ustały bóle w żołądku, znajduje się już apetyt, choć je bardzo ostrożnie. Nie wiozłem jej dziś do lekarza do Rakiszek, bo lękałem się dla niej zmęczenia w drodze. Ale niezmiernie dużo

potrzebuje Jadzia snu, co jest zapewne skutkiem osłabienia. W każdym razie, jej stan zdrowia bardzo mię niepokoi, tym bardziej, że nic nie wiemy, co to było.

Źle jest ogólnie w gospodarstwie naszym. Jest straszny kryzys robocizny. Maryti Malcówny Jadzia do służby tymczasowej nie dostała, pozostaje wciąż jedna dziewczyna Tonia Adomonisówna, bardzo dobra dziewczynka, ale młodziutka i za słaba na całą robotę. Przychodzi do pomocy mama Jadzi, obiady gotuje i w ogrodach dużo pracuje panna Michalina, która pod tym względem jest bardzo poczciwa. Z naszych trzech parobków Antoni Kligys zachorował na wrzody na rękach i od tygodnia nie pracuje i nie pokazuje się wcale. Źle jest przeto i z robotami w polu (wożenie nawozu, orka ugorów), źle też jest z paszą bydła, w jagodniku dzieci Szersznowa wykradają jagody i kradną już nawet jabłka. Jan Putra z Knisy, umówiony do ogrodu owocowego, ma stawić się dopiero koło 15 lipca. Umówiliśmy wczoraj na drugiego stróża ogrodowego starego Simonowicza, emeryta, byłego urzędnika policji, wegetującego na wsi. Zdaje się, że człowiek niezły i może będzie sumienny; w każdym razie jest to inteligent, człowiek subtelny, wrażliwy. Stary jest bardzo, ale jeszcze czerstwy, lubiący naturę, amator łowienia ryb. Był widocznie późno ożeniony, bo ma dzieci niewielkie, które są w przytułku, bo go nie stać na ich wychowanie, córka zaś kończy szkołę gospodarską w Rakiszkach. Ma on wziąć do siebie do ogrodu na lato synka z przytułku, a córka od sierpnia pracowałaby też u nas na służbie pokojowej.

Jak damy radę w tym roku z gospodarstwem, ze sprzętem urodzajów itd. – sam nie wiem. Czasami ogarnia mię strach i rozpacz. Z burakami cukrowymi, których nam kazano cały hektar zasiać, Jadzia się jakoś uporała. Podolska i Kulisowa podjęły się wyplecia.

4 lipca, rok 1943, niedziela

Zimno i mokro. Tak jest już od dni co najmniej dziesięciu. Przez cały czas mego pobytu w Wilnie panowały chłody i padały deszcze. To samo co dzień jest i teraz. Byłaby pora na sianokos, ale jest wstrzymany. U mnie łąka kulturalna pod sadzawką kąpielową od tygodnia przeszło skoszona. Trawa leży w pokosach nieporuszona, co ją poniekąd chroni od zepsucia, ale tylko na czas pewien.

Nic ciekawego dziś nie było.

5 lipca, rok 1943, poniedziałek

Wciąż tak samo: kilkakrotnie wypadł spory deszcz, na ogół powietrze dosyć chłodne. Byłem z dziećmi w Gaju, z Jadzią byłem u Elwiry. W kulejącym gospodarstwie naszym nic szczególnego, ale nic też dobrego. Wożono nawóz na ugór w VIII polu, przyszli na tłokę do pracy syn i córka Jana Malciusa z Karwieliszek. Ignaszka, syn parobka Szersznowa, pastuszek i wielki szkodnik, który systematycznie wyjada jagody i już nawet jabłka, a niedawno dobierał się przez okno do wędliny w spichrzu, z której wykrajał sobie smaczne kawałki, zabił samiczkę królikową białej rasy angorskiej, jedyną z pareczki, którą Jadzia zahodowała na płód. Jednocześnie zdechł też jedyny mały króliczek, który był ocalał z ostatniego gniazda dzieci tej samiczki. W ten sposób zniszczony został zawiązek tej królikarni, którą Jadzia usiłowała założyć. Pozostał tylko samiec tejże rasy, którego zamknięto w klatce w ptaszniku. Ciągle więc są jakieś niepowodzenia.

6 lipca, rok 1943, wtorek

Jeszcze mokro i deszcz kilkakrotnie kropił lub padał, ale już ciepło, chwilami nawet parno. Na wieczór barometr zaczął się podnosić na pogodę.

Wieczorem przywędrował z Abel z pociągu student Kazys Šidlauskas, który mi w Wilnie doręczył do zakwalifikowania swoją pracę dyplomową na temat pojęcia wodza w doktrynie państwa nacjonalsocjalistycznego. Pracy tej jeszcze nie przejrzałem. Studenta Szydłowskiego zanocowałem w Bohdaniszkach. Jutro jego pracę przejrzę i zakwalifikuję, po obiedzie zaś odejdzie on do Abel na pociąg.

7 lipca, rok 1943, środa

Rano barometr szedł na pogodę i zdawało się, że po dwutygodniowym chłodnym okresie deszczów ustali się wreszcie pogoda. Jadzia zarządziła przerzedzenie buraków cukrowych, do którego zaprzęgła nie tylko siebie z całym fraucymerem, ale nawet nocującego u mnie studenta Szydłowskiego, parobcy zaś orali ugór po nawozie. Atoli po obiedzie pogoda się zmieniła; zaczęły się zbierać chmury, zrobiło się parno. Zabrano się prędko do grabienia i suszenia siana na łące pod sadzawką kąpielową, które na wieczór złożono w wielkie kupy. Istotnie wieczorem lunął wielki długi deszcz, a barometr spadł na słotę.

Pracę dyplomową studenta Szydłowskiego przeczytałem rano, oszacowałem na „bardzo dobrze" i po obiedzie wypuściłem studenta na pociąg do Abel.

Okolica nasza, wraz z całą wsią i krajem, żyje pod znakiem drugiego poboru do pracy pomocniczej wojennej, a właściwie do wojska. Tym razem stają do powołania roczniki urodzonych w latach 1912-1918 i 1925. Oczywiście nikt nie ma ochoty być wziętym; każdy szuka tego lub innego pretekstu, żeby się wykręcić i uzyskać zwolnienie. Dziś w Abelach rejestrują się poborowi z naszej seniunii. Rejestruje się dużo, ale ci, którym się nie udało zwolnić, nie są zdecydowani jechać na wyszkolenie. Jeżeli się uda zwolnić – to dobrze; ale jeżeli nie – dominuje postanowienie uchylania się na wszelki sposób, kryjąc się i czekając na jakąś zmianę na lepsze. Z Bohdaniszek zakwalifikowany został do poboru kowal Balys Błażewicz, z Prapultini – kowal Jan Sadowski. Stawał do rejestracji także Michaś Mieczkowski i Kazys Juszkiewicz, który pracuje u Mieczkowskich za parobka. Mieczkowskiego jako rzekomego kierownika gospodarstwa i Juszkiewicza jako robotnika rolnego w dużym gospodarstwie uwolniono od poboru, ale pod warunkiem, że Mieczkowscy wypełnią całkowitą normę rekwizycyjną mięsa i zboża za rok bieżący. Muszą więc do 15 lipca wywieźć do „Maistasu" 300 kilogramów świniny żywej wagi, zboża zaś, które zalegają (w stosunku 40% normy rocznej), dać z nowego urodzaju. Jeżeli normy nie uzupełnią, to zwolnienie traci moc. Uwolnienie na takich warunkach niepokoi teraz mnie. Słychać, że zaraz po obecnych rocznikach zarządzony ma być dalszy pobór szeregu nowych roczników od roku 1911 do r. 1905. W tych rocznikach znalazłby się już nasz parobek Antoni Kligys. Pobór tych roczników ma być podobno zarządzony na 27 lipca. Powiadają, że następnie pójdą jeszcze dalsze roczniki aż do mężczyzn 45-letnich. W takim razie zostaliby zmobilizowani i dwaj pozostali moi parobcy – Novikas i Szerszniow. Czy zaś ich zwolnią ze względu na potrzeby gospodarstwa rolnego? Normy zboża i mięsa nie wypełniliśmy nawet do połowy.

8 lipca, rok 1943, czwartek

Całą noc i pierwsze pół dnia dzisiejszego lał deszcz jak z cebra. Po obiedzie zaczęło się trochę wypogadzać. Pojechałem z Lizą Meyerowną do Pokrewnia do Augaitisa w sprawie mliwa, bo kończymy mąkę na chleb, a dla inwentarza mąki nie mamy wcale. Pod tym względem jazda do Augaitisa nie udała się; młyn w Pokrewniu do ostatnich dni lipca jest zupełnie nieczynny, woda jest spuszczona z powodu okresu sianokosu, maszyny rozebrane. Trzeba będzie szukać innego młyna, co obecnie nie należy do rzeczy łatwych. Ale wyprawa do Pokrewnia do Augaitisa zabawiła nas z Lizą pod innym względem. Natrafiliśmy tam na wizytę całej niemal abelskiej komisji poborowej *in corpore*, raczej całego kompletu „dygnitarzy" tejże i na przyjęcie dla nich u Augaitisa. Byli więc trzej Niemcy, mianowicie pułkownik niemiecki, który w komisji rej wodzi i nią trzęsie, podobno człowiek niezmiernie twardy i ciężki, którego się wszyscy w komisji boją, bardzo niechętnie usposobiony do inteligencji litewskiej, dalej poczciwy „Kreiswirtschaftsführer" z Rakiszek p. Bettiger, człowiek względny i ogólnie lubiany, wreszcie p. Homan, zastępca Gebietskomisarza z Poniewieża. Z Litwinów był naczelnik powiatu Mikėnas, jego zastępca, przydzielony do komisji lekarz Petrikas z Rakiszek; był też tłumacz komisji, Kłajpedczyk rodem i wreszcie girininkas abelski. Z Pokrewnia Niemcy jechali dwoma autami z girininkasem na polowanie na sarny, raczej na kozła. Dotąd nie udało się im ani razu natrafić na kozła, ale tym większą mają ochotę do tego polowania. Kolacja była przeważnie zimna, prócz gorących grzybów w śmietanie, ale suta, złożona

z mięsa świeżego i wędzonego, ogórków, sałaty z kartofli, bardzo obficie polewana wódką, poprzedzona piwem domowym. Najedliśmy się i napiliśmy potężnie i po odjeździe Niemców kontynuowaliśmy ucztę w gronie Litwinów. Naczelnik powiatu Mikėnas jest towarzysko miły; był mocno wstawiony, gawędził ze mną i prawił komplementy Lizie. Augaitis lubi przyjmować dostojników i urzędników powiatu i wszelkich komisji, bo na tym spekuluje i zdobywa protekcję, a przyjęcia u niego są zawsze bardzo sute; ma też z czego przyjmować i ugaszczać, bo jako młynarzowi – niczego mu nie brakuje. Teraz dla młynarzy są złote czasy.

9 lipca, rok 1943, piątek

Byłem w Abelach. Miałem tam szereg drobnych interesów. Od sekretarza gminy, sympatycznego i światłego p. Didžiokasa i z gazet dowiedziałem się różnych nowin. Z gazety dowiedziałem się, co najciekawsze i o czym zresztą już trochę słychać było – o śmierci naczelnika emigracyjnego rządu polskiego – generała Sikorskiego. Sikorski jeździł na Bliski Wschód, skąd prowadził czy usiłował prowadzić jakieś układy z Sowietami dla zażegnania konfliktu polsko-sowieckiego względnie dla ustalenia choćby pewnego *modus vivendi*, siako tako osłaniającego ten konflikt, akcentowany przez Sowiety przez faworyzowanie polsko-komunistycznej akcji Wandy Wasilewskiej i czerwonych legionów polskich imienia Kościuszki. Czy się coś tam Sikorskiemu w tych zabiegach kompromisowych udało czy nie – dobrze nie wiadomo. Otóż w drodze powrotnej Sikorskiego ze świtą z Bliskiego Wschodu do Londynu Sikorski z gronem osób zginął w katastrofie lotniczej. W komentarzach do tego tragicznego wypadku Niemcy usiłują twierdzić, raczej insynuują, że w istocie Sikorski został zamordowany przez tajną policję angielską jako osobnik, który stał się dla polityki angielskiej ze względu na swój zatarg z Sowietami niepożądany. Dla Polski strata Sikorskiego musi być w tym momencie dziejowym bolesna i ciężka. Nie dlatego, żeby Sikorski istotnie był człowiekiem wielkim i wodzem („Führerem") narodu, jak niegdyś Józef Piłsudski, człowiekiem wielkim, którego nikt i nic nie zastąpi, ale dlatego, że przez cztery lata od upadku Polski imię Sikorskiego było związane z symbolem ratowania państwowości polskiej na emigracji i stanowiło pewien sztandar popularny. Zamieni go niewątpliwie ktoś inny, ale legenda była przywiązana do jego imienia, legenda zaś w takich razach jest czynnikiem politycznym potężnym, którego załamanie jest ciężkie. Sikorskiego osobiście znałem dobrze w latach poprzedniej wojny, kiedy jako pułkownik na służbie galicyjskiego Naczelnego Komitetu Narodowego był on w Piotrkowie kierownikiem tzw. Departamentu Wojskowego. Był energiczny i czynny, wyrażał i prowadził politykę austrofilską polską NKN-u, był antagonistą Piłsudskiego i jego polityki rdzennie niepodległościowej. W szczególności antagonizm ten był się pogłębił na gruncie Legionów Polskich i w ogóle akcji wojskowej polskiej; gdy Piłsudski dał hasło wstrzymania zaciągu do Legionów i zaczął formować tajną Polskę Organizację Wojskową, Sikorski forsował przez Departament Wojskowy werbunek do Legionów, a gdy Piłsudski nakazał odmowę przysięgi proniemieckiej żołnierzom legionowym i w alternatywie ujarzmienia stworzonej przez niego niegdyś formy polskiego czynu zbrojnego albo rozbicia jej wybrał stanowczo rozbicie, zastępując tę formę przez nową formę – P.O.W. – i sam poszedł do Magdeburga jako więzień stanu niemiecki, Sikorski stał na czele prądu, usiłującego ratować starą formę w drodze kompromisu, choćby przez uległość (przysięga itd.)... Wszakże Sikorski działał w dobrej wierze. Ale w Legionach i P.O.W., które szły za Piłsudskim, Sikorski ze swoim Departamentem Wojskowym, Komendą Legionów, NKN-em i generałem II Brygady, usiłującymi pętać polot Piłsudskiego, był wtedy znienawidzony i uchodził za karierowicza tyłowego i niemal zdrajcę. Akcja Sikorskiego i jego czynników spaliła wtedy na panewce, zwyciężył czyn Piłsudskiego. Wszakże Sikorski w walkach o obronę Polski przed inwazją Sowietów w roku 1920 okazał się nie tylko tyłowcem, ale generałem bojowym i dowódcą zdolnym. W Polsce Niepodległej, rządzonej imieniem Marszałka Piłsudskiego, Sikorski był w cieniu. Był on generałem popularnym opozycji, ostatnie lata mieszkał we Francji. Wypłynął na czoło w dobie upadku Polski. Był niewątpliwie człowiekiem

wykształconym tak ogólnie, jak wojskowo, światłym, ale wielkości wodza, jakim był jego przeciwnik Piłsudski, nie miał.

10 lipca, rok 1943, sobota

Leje i leje. U nas roboty są spóźnione – jeszcze kończymy wozić nawóz i orzemy ugory, a siano z wielką biedą tylko z jednej łąki zebraliśmy, cała mieszanka i wszystkie inne łąki stoją nie koszone, ale u ludzi dużo już łąk skoszonych i skoszona przeważnie koniczyna, która w tym roku na ogół była bardzo dobra. Wszystko, co skoszone, leży pod deszczem. Na domiar złego – dziś dzień feralny siedmiu braci śpiących, to znaczy że deszcz będziemy mieli długo jeszcze.

Sprowadziliśmy dziś staruszka Simonowicza, który ma być stróżem ogrodowym, raczej jednym z dwóch stróżów. Może uda mu się sprowadzić syna 14-letniego z przytułku z Rakiszek, to ten się do ogrodu może przydać, ale sam Simonowicz będzie chyba do tej czynności niezdatny. Bardzo stary, nie ma już sił. Jedyne, co go interesuje i na czym się zna i podobno dobrze robi, to łowienie ryby amatorskie.

Zakończyła się dziś w gminie abelskiej rejestracja poborowych z drugiej serii roczników. Trwała w tej gminie tydzień. Na ogół stawili się prawie wszyscy obowiązani, zwalniano bardzo wielu, ogromną większość. Z tych, których zakwalifikowywano do poboru, większą część przeznaczano do pracy na torfowiskach okolicznych – tego się ludzie nie boją, i tylko bardzo drobny odsetek przeznaczano do batalionów inżynieryjnych, to znaczy do pomocniczej służby wojskowej. Liczne stawiennictwo jest spowodowane przez to, że większość jest zwalniana. Ludzie stają, bo spodziewają się zwolnienia, ale to nie świadczy, żeby byli skłonni do pomocniczej służby wojskowej. Z tych, co zostali do tej służby zakwalifikowani, z pewnością bardzo niewielu się do niej stawi: będą się ukrywali. Nasz kowal bohdaniski, Balys Błażewicz, który był zakwalifikowany do batalionów inżynieryjnych, zbierał podpisy wszystkich gospodarzy okolicznych pod petycją o pozostawieniu go jako jedynego na szeroką okolicę wykwalifikowanego kowala i dziś za protekcją naczelnika powiatu udało mu się uzyskać zwolnienie. Był prawie nieprzytomny z rozpaczy, a po zwolnieniu płakał ze szczęścia. Udało się też Augaitisowi uzyskać zwolnienie dla dwóch swoich parobków, którzy byli przed kilku dniami zakwalifikowani do wzięcia. Augaitis, licząc na swoje stosunki z naczelnikiem powiatu i ze wszystkimi czynnikami samorządu litewskiego, a chcąc mieć zmniejszony kontyngent rekwizycji, był podał ilość ziemi uprawnej w swoim przeszło 90-hektarowym majątku Pokrewnie na 28 ha i to spowodowało właśnie zabranie jego dwóch parobków jako formalnie zbytecznych na taką ilość ziemi użytkowej. Kolacja, na którą przed paru dniami przygodnie u Augaitisa trafiłem, była właśnie wydana przezeń dla udobruchania pułkownika niemieckiego, od którego zależy decyzja w komisji, żeby cofnąć pobór parobków pokrewieńskich. Jakem wtedy wspominał, po przyjęciu u Augaitisa Niemcy pojechali na polowanie na sarny, urządzone dla nich przez girininkasa abelskiego. Polowanie się udało: nie tylko widzieli sarny, ale udało się – i to właśnie temu pułkownikowi – zastrzelić kozła. Wprawiło go to w doskonałe usposobienie, toteż nazajutrz praca w komisji szła gładko – zwalniano poborowych licznie. Zabrani poprzednio tak Błażewicz, jak parobcy Augaitisa zostali też zwolnieni.

11 lipca, rok 1943, niedziela

Jeździłem do Abel z Lizą – chodziło o mularza do przebudowy płyty kuchennej w domu, która dymi. Wracając zajechałem do Knisy do Jana Putry porozumieć się, kiedy się stawi do służby w ogrodzie naszym.

W ostatnich czasach zaczęły się mnożyć zamachy na kolej żelazną już nawet na naszej linii kolejowej Dyneburg-Radziwiliszki. Od dawna systematyczne są zamachy na tor kolejowy na terenach białoruskich, na których w głębi w lasach grasuje ogromna partyzantka komunistyczno-żydowsko-bandycka. Te bandy leśne są tam właściwie gospodarzami kraju, w którym tylko większe centra miejskie z najbliższą okolicą i linie kolei żelaznych są siako tako ochraniane i ulegają władzy okupacyjnej. Bandy leśne terroryzują ludność, są uzbrojone i mocno zagnieżdżone w lasach i

bagnach. Czasem urządzają się na nie wyprawy, ale Niemcy mają za mało sił rozporządzalnych poza bezpośrednimi potrzebami frontu i boją się zapuszczać głęboko w lasy, aby zdołali radykalnie zlikwidować tę rozzuchwaloną partyzantkę. Transport wojenny niemiecki jest przedmiotem ciągłych ataków dywersyjnych tych band oraz aktów terroru. Od dłuższego już czasu zamachy tu zaczęły się też mnożyć na linii Wilno-Dyneburg, a teraz oto i na naszej linii Dyneburg-Radziwiliszki. Tu u nas regularnych band leśnych wprawdzie nie ma, są wszakże indywidualne akty terrorystyczno-dywersyjne, skierowane na transport. Niedawno, przed może 10 dniami, miał miejsce zamach pod Szadowem: nieznani złoczyńcy na pewnym odcinku kolei zdjęli z toru szyny; pociąg towarowy wojenny w pełnym biegu wyskoczył z szyn i biegnąc po torze rozbił się; w katastrofie tej ucierpiało kilku cywilów, którzy jechali tym pociągiem nielegalnie; przez 36 godzin komunikacja była przerwana, zanim naprawiono tor. Drugi wypadek miał miejsce przed paru dniami na odcinku między Griwą a Eglainią na terytorium łotewskim; u toru kolejowego przed nadejściem pociągu wybuchła granata, która zabiła samych sprawców zamachu; pociąg ani tor nie ucierpiał. Nazajutrz był nowy wypadek między Kupiszkami a Suboczem; szczegółów nie wiem. We wszystkich wypadkach zamachy miały miejsce w okolicy leśnej. Jazda koleją zaczyna być u nas niebezpieczną. Na linii Wilno-Dyneburg, a zapewne i na wszystkich innych liniach w okupacji Niemcy zarządzili wycięcie w pień lasu na przestrzeni 100 metrów po obydwóch stronach toru kolejowego, żeby utrudnić dywersantom i terrorystom dostęp do toru i ułatwić ochronę tegoż.

12 lipca, rok 1943, poniedziałek

Żadnej nadziei na pogodę. W nocy była krótka burza, ale deszcz ulewny, jak z wiadra, lał calutką noc. Chlustały potoki wody. Od paru dni, w toku tych potopowych deszczów, które nas nawiedzają, zaczęło się przez sufity sączyć i lać, zwłaszcza do pokoju dziecinnego, gdzie się utworzyła kałuża na podłodze i trzeba było całą noc, a potem kilkakrotnie i we dnie – podstawiać miednicę i co pewien czas ją wylewać. Zaczynam się obawiać o przemokłe w zaciekających miejscach tynki. We dnie też niewiele było lepiej z deszczem. W nocy podstawiałem dużą misę blaszaną pod dach w miejscu, gdzie mi się wydawało, że zacieka, ale nic nie pomagało. We dnie szukaliśmy kilkakrotnie z Novikasem tego złego miejsca w dachu blaszanym, aż wreszcie znaleźliśmy: jest to rozdarcie blachy w rowku, gdzie się dach wyższy nadbudówki z dachem niższym styka i po którym woda z dachu wyższego ścieka; z tego wodocieku woda ścieka ciurkiem na luft i przez dwa sufity aż na dół. I w paru innych miejscach, zwłaszcza u brzegu kominów woda się sączy po trochę na luft, toteż w tych ulewach potworzyło się jeszcze kilka mniejszych zacieków. Obrzydliwy czas. W polu niepodobna nic robić. Ludzie, którzy pokosili siano i koniczyny, narzekają i są zbiedzeni. U mnie i mieszanka i trawa na łąkach stoi, choć już byłby czas kosić. Ale sianokos byłby teraz gnojeniem siana. Za to potem zbiegną się szalenie roboty, bo w sianokos spóźniony wplotą się już żniwa, robotnika zaś mało.

Dziś odjechał Andrzej Mieczkowski do Wilna. Może na stałe. Wyrzekł się on w tym roku gospodarowania u Mieczkowskich na rzecz Helci, która go zwyciężyła. Kłótnie były u Mieczkowskich ciągłe między z jednej strony Andrzejem, a z drugiej – Helcią, popieraną przez Elwirę przy milczącym przechyleniu się Michasia na stronę siostry i matki przeciwko Andrzejowi. Żal mi było Andrzeja, który jest dobrym chłopcem, ale nie może dostroić się do potulności dziecinnej wobec agresywnej siostry i matki, żądnych władzy. Mając lat 30 – nie umie już Andrzej być pionkiem posłusznym lub barankiem pokornym i biernym. Marnował się tutaj w kłótniach i bez zajęcia, szukając erzaców w spekulacji drobnej, w miłostkach, wałęsaniu się i nawet piciu. Że wyjechał – dobrze zrobił, tylko że w Wilnie już zdobył niebezpiecznych towarzyszy, oddanych spekulacji, hulankom i rozpuście.

13 lipca, rok 1943, wtorek

Powietrze – takie samo. Deszcz ani myśli ustać. Ulewy takie, jak w potopie. Dziś zwłaszcza do obiadu już nie tylko lało, ale sypało masą wodną. Niziny i łąki toną w wodzie, dokoła w

widnokręgu błyszczą wielkie przestrzenie wody, jakby się jeziora potworzyły; płyną strumienie i ruczaje, pędzą potoki, jak na wiosnę przy tajaniu śniegów, na drogach i polach kałuże i błoto rozmiękłe, siano pływa w wodzie, koniczyny skoszone gniją.

Wczoraj nas uprzedziła nauczycielka bohdaniska, panna Malwina, że dziś w Rakiszkach odbędzie się drugi koncert wesołej muzyki i piosenki zespołu komicznego „Wesołych braci" („Linksmieji broliai" – znany zespół trzech artystów teatru w Kownie – Jerzego Piotrowskiego, Dineiki i trzeciego, którego nazwiska nie pamiętam) i znanego również w Kownie kwartetu męskiego piosenkarzy. Zawsze pragnęliśmy z Jadzią bywać w Rakiszkach na takich koncertach lub widowiskach teatralnych, o których zwykle dowiadujemy się po czasie, a na które chcielibyśmy i córeczki nasze wozić, żeby biedaczki choć coś świata widziały i rozrywkę miały. Przez cały ranek jednak nie wiedzieliśmy, czy zdołamy się wybrać ze względu na ten deszcz. Ale córeczki nasze, uprzedzone o tym „teatrze", nie dawały nam spokoju, żeby jechać. Wreszcie po obiedzie, gdy deszcz był trochę mniejszy, zdecydowaliśmy się jednak pojechać. Wystroiły się nasze małe córeczki i pojechaliśmy z Jadzią w linijce, a wzięliśmy też do powożenia i do postawienia Gulbi w Rakiszkach Antoniego Kligisa. Wlekliśmy się powoli wielkim gościńcem dokoła. Linijka nasza była mocno naładowana, droga – zwłaszcza od Łajbgale – ciężka, pełna błota i wybojów. Zajechaliśmy do Bulovasów i tam konie postawiliśmy. O godzinie ósmej wieczorem w sali gimnazjum rozpoczęło się przedstawienie. Biletów już nie było, ale dano nam przecie miejsce do siedzenia na stołkach z boku koło sceny. Sala była pełna, ale publiczność przeważnie szara *minorum gentium*, bo to drugie przedstawienie i cała „śmietanka" towarzyska Rakiszek już odbyła wczoraj pierwsze przedstawienie. Znajomych więc było mało – tylko agronom Nemiškis z rodziną, dr Českus z rodziną i jakiś adwokat. Kuplety komiczne „wesołych braci" były dobre, naturalnie bardzo aktualne, wszakże zupełnie pozbawione wszelkiego zabarwienia politycznego tak w kierunku antyniemieckim oczywiście, jak antysowieckim. Przedmiotem dowcipu i satyry były tylko trudności aprowizacyjne, żywność kartkowa, spekulacje, pociąg głodnego miasta do zasobnej wsi w przeciwstawieniu do przedwojennego brzydzenie się miasta wsią i prowincją. Kwartet był też niezły, a największe oklaski otrzymała piosenka z refrenem, kończącym się słowami: „...amžinai bus laisva – Lietuva!" Było też trochę deklamacji i zabawne dowcipne kawały „conférenciera" Dineiki. Córeczki nasze mało rozumiały treść kupletów i satyry oraz jej komizmu oczywiście uchwycić nie mogły. Ale śpiew, muzyczka, zwłaszcza oklaski, w których gorący udział brały, trochę je bawiły, Kotuńkę więcej, niż Igę. Potem już wszakże chciały spać i Kotuńka wciąż się napraszała do domu i była niemrawa. Iga wszakże była pełna werwy, przechadzała się między krzesłami, czepiała się dzieci, bawiła się, dostała cukierek, biegała, była ładniutka i zwracała na siebie uwagę. Nocą powolutku wróciliśmy na godzinę drugą do domu.

14 lipca, rok 1943, środa

Powiadają (tym źródłem informacji jest Hektor Komorowski, który, odkąd za bolszewików Mieczkowscy mu dali u siebie przytułek, zbliżył się do nich i często do nich przyjeżdża, a wtedy swoim zwyczajem rozsiada się i mając uważne zapatrzone weń i zasłuchane audytorium, co bardzo lubi, celebruje udzielanie nowin z komentarzami swojej nieomylnej mądrości politycznej, w czym czuje się podobnym do nieomylnego papieża i nie znosi opozycji lub nawet wątpliwości, utożsamianej z herezją, - a jest prawdziwym „*je sais tout*" i „*il se pique*" nie tylko wszystko wiedzieć, ale też wszystko rozumieć i ze wszystkiego wyciągnąć stuprocentowo ścisłe wnioski) – otóż „powiadają", że następcą generała Sikorskiego, który zginął w katastrofie lotniczej pod Gibraltarem, następcą w charakterze kierownika polityki polskiej będzie generał Sosnkowski. Sosnkowski jest człowiekiem ze szkoły Piłsudskiego, jednym z najbliższych i najwierniejszych ludzi Marszałka, człowiekiem I Brygady. O ile Sikorski był w polityce kombinatorem i oportunistą czy posybilistą, skłonnym zawsze do kompromisów i szukającym tychże, o tyle szkoła polityczna Piłsudskiego opierała się na bezwzględności bez żadnych odchyleń linii prostej założonego celu-ideału, któremu podporządkowany jest czyn własny, wolny od wszelkich względów i targów

ubocznych. Czy Sosnkowski pozostał całkowicie wierny metodzie Piłsudskiego – tego nie wiem. Nie wiem też, ile jest wielki dla powzięcia koncepcji celu i czynu, ale Piłsudski cenił go bardzo i uważał za jednego z najmocniejszych ludzi swoich. Co prawda, cenił też Rydza-Śmigłego, który po jego śmierci przyjął jego następstwo, a skompromitował się tak szalenie w roku 1939 po wybuchu wojny z Niemcami. Co do śmierci Sikorskiego Niemcy wciąż insynuują, że został zgładzony przez agencję polityczną angielską w zainscenizowanej umyślnie „katastrofie".

Coraz bardziej niepokoi mię teraz jedna rzecz, o której nie wspominałem dotąd: obawiam się coraz poważniej, że Jadzia zaszła w ciążę. Myśl ta nasuwała mi się z powodu jej choroby w czasie mojego wyjazdu do Wilna, a teraz utrwala się w fakcie, że u Jadzi nie ukazują się reguły miesięczne, których termin w tych dniach wypadał, a które u niej bywały zawsze bardzo regularne. Niepokoi mię to, bo Jadzia nie ma teraz wygód, które miewała dawniej i ma wiele pracy w gospodarstwie i kłopotów, które utrudniają ewentualnie ciążę. A nawet trochę bym się nawet wstydził tej płodności mojej na starość.

15 lipca, rok 1943, czwartek

Rozpoczęto dziś u mnie sianokos. Mianowicie zaczęto kosić mieszankę wyki z owsem na poszor zimowy – w sadzie owocowym. Nie można już było dłużej czekać. Już bowiem i mieszanka przejrzewać zaczyna – już owies w mieszance kłosuje, i roboty się potem tak od razu zbiegną (bo już i żyto do żniw dojrzeje), że przy obecnym stanie sił roboczych u nas nie damy sobie rady. Barometr też już drugi dzień idzie na pogodę, powoli, ale konsekwentnie, mimo że deszcze jeszcze nie ustały i dziś padało kilkakrotnie, a raz przed obiadem była nawet ulewa. Mieszanka jest bardzo ładna. Łąki też ładnie porosłe.

W jagodniku u Jadzi zbierano jagody – agrest, porzeczki czarne i czerwone, które Jadzia jutro powiezie do Rakiszek. Stróż ogrodowy Putra z Knisy przychodził dzisiaj: od wtorku już przyjdzie i obejmie służbę na stałe. Stary Simonowicz, który już się sprowadził, jest do niczego. Nie robi nic zgoła, wymawia się starością i brakiem sił. Nie pilnuje nie tylko ogrodu owocowego, ale nawet jagodnika, w których dzieci Szerszniowa robią tymczasem spustoszenie. Nie może nawet jagód zbierać. Przychodzi tylko do kuchni jeść i albo siedzi w swojej chacie, albo zajęty jest łowieniem ryby. Dochodzą mię też o nim złe wieści od Hektora Komorowskiego, u którego był on kiedyś przez czas krótki ekonomem, nic nie robił, potem samowolnie porzucił służbę i sądził się jeszcze o wynagrodzenie, i od Rosena, gdzie w Gaczanach za czasów sowieckich był dostał jakąś posadę w urządzonym tam przytułku dla starców. Simonowicz ma zamiar sprowadzić tu syna 14-letniego, który jest w przytułku w Rakiszkach, a na sierpień zapowiada ewentualnie sprowadzenie córki na służbę do nas. Jeżeli rzeczywiście te dzieci sprowadzi, to może będziemy mieli z nich jakąś pomoc ze względu na szalony u nas brak rąk roboczych, ale tymczasem z niego osobiście nie mamy nic, tylko go karmić musimy.

Przed dwoma dniami słyszałem w Rakiszkach, że Amerykanie i Anglicy już się dobierają do Sycylii, gdzie rzekomo wylądowali desant. Skądinąd chodzą pogłoski, że na froncie wschodnim Niemcy ruszyli naprzód i że się nawet posunęli aż o 200 kilometrów naprzód. Potwierdzenia ścisłości tych wieści w gazetach dotąd nie ma, wszakże o wywiązaniu się większej bitwy na szerokim odcinku między Biełgorodem a Orłem czy nawet Kurskiem i przełamaniu tam przez Niemców frontu wzmianki w gazetach, które mię doszły, już były. Ale czy to początek jakiejś większej ofensywy – to jeszcze trudno zmiarkować.

16 lipca, rok 1943, piątek

Barometr nadal idzie powoli, lecz stopniowo na pogodę. Wskazówka przeszła już ze „słoty" na „pogodę zmienną" i wciąż się po trochę posuwa dalej w górę w kierunku „pogody". Dzisiaj też deszcz nie padał. Wszakże bardzo ładnie jeszcze nie jest. Parobcy kosili dziś dalej mieszankę, a po skoszeniu jej w ogrodzie owocowym kosili łąkę.

W gazetach jest potwierdzenie wieści o walkach na wybrzeżu Sycylii z wylądowanym tam desantem anglo-amerykańskim i o dalszych postępach niemieckich po przełamaniu frontu na odcinku między Biełgorodem a Orłem na wschodzie.

17 lipca, rok 1943, sobota

Barometr znów zawrócił na niepogodę i trochę spadł. Przed obiadem jakiś czas mżył nawet drobniutki deszcz. Nie ma ani słońca, ani wiatru. Przeszkodziło to nam w zamierzonym suszeniu siana. Dwie najęte dziewczynki wysaletrowały buraki cukrowe.

Po obiedzie niespodziewanie przyjechała z Wilna na dłuższe wakacje do września była wychowanka Jadzi – Renia (Irutė) Bagdonaitė. Renia, która przed dwpma laty przerwała już studia gimnazjalne, ma w Wilnie posadę w księgarni państwowej, a mieszka z Paulinką Nowicką. Ma już lat 18, wyrosła na dużą i przystojną dziewczynę. Nie lubiłem jej dawniej, gdy u nas mieszkała; była zawsze krnąbrna w stosunku do Jadzi, nie poddająca się żadnemu kierowaniu, zakochana w sobie i zarozumiała. Ale przyznaję, że była zawsze i jest zdolna, samodzielna, jest w przekonaniach swoich mocna, a więc społecznie solidna. Jest wielką i gorącą patriotką litewską, ma aspiracje literackie – poetyckie nawet, jest w swoich uczuciach twarda i stała. Lubię ją teraz i cenię. Będzie z niej kobieta wartościowa, może tym bardziej wartościowa przez to, że zalety jej nie są jej narzucone przez wpływy z zewnątrz, przez wychowanie, jeno opierają się na jej naturze, że tak powiem – tkwią w niej samej, a do wszystkiego dochodzi ona samodzielnie, przezwyciężając błędy własne. Obecność Reni jest pożądana dla nas także przez to, że pomoże Jadzi w robotach gospodarskich i bądź co bądź zapełni pewną lukę w braku rąk roboczych. Podoba mi się też to, że obecność jej wzmocni nieco pierwiastek litewski w domu naszym, który w tej chwili jest zbyt przesilony polskim ze względu na pannę Michalinę, Stefana Römera i Lizę Meyerówną. Zrównoważenie w kierunku litewskim było już bardzo potrzebne. Renia zamieszka tu z Lizą. Liza przyczepiła się już do niej i towarzyszy jej jak cień.

Coraz bardziej utrwala się nasz wniosek, ze Jadzia jest w poważnym stanie. Termin jej reguł miesięcznych minął. Już i Jadzia zaczyna się tym niepokoić, chociaż nie bierze tego do serca tak, jak się tego obawiałem. Krytyczny ewenement, kiedy Jadzia mogła zajść w ciążę, miał miejsce parę dni przed moim wyjazdem w marcu do Wilna, to znaczy koło 18-20 czerwca. Nie dopilnowałem chwili krytycznej i wystarczyło jednego pierwszego krótkiego rzutu, aby... się stało. Ale pewności jeszcze nie ma.

18 lipca, rok 1943, niedziela

Jeździłem do Łasz do mleczarni. Skądinąd dzień spędziłem w domu. Pogoda bynajmniej się nie ustala. Barometr ma tendencje na deszcz, przed wieczorem niebo się zachmurzyło na burzę, wypadł krótki u nas, ale obfity deszcz. Wilgoci mamy tego lata nadmiar, ale słońca znikomie mało. Wszystko ładnie porosło, ale zebrać trudno.

Utrzymuje się uporczywie wersja, że czynniki niemieckie za „punkty", dające prawo do nabywania z kooperatyw towarów po cenach urzędowych, a więc tanich, i ewentualnie za zwolnienie od dostaw rekwizycyjnych – werbują chętnych i chciwych – do wydawania tych, co się ukrywają przed poborem albo co zdezerterowali, będąc pobrani. Podobno nawerbowali tak policjantów, jak niektórych gospodarzy. Cytują u nas w okolicy Klemkę z Pakień, który się rzekomo podjął tej judaszowej roboty. Nie chciałoby się temu wierzyć, ale demoralizacja jest taka, że wszystko jest możliwe.

19 lipca, rok 1943, poniedziałek

I dzisiaj także wypadł deszcz, chociaż niewielki. W każdym razie, przeszkadza w suszeniu siana.

Coraz bardziej utrwalamy się z Jadzią w przekonaniu, że Jadzia istotnie jest w ciąży. Reguły miesięczne bywały u niej zawsze regularne. Teraz już cały tydzień upłynął po terminie. Jesteśmy

tym mocno zatroskani. Ze wszech względów to jest ciężkie: a. Jadzia na czas ciąży nie ma tych wygód, jakie miewała dawniej; ma dużo kłopotów i trosk w Bohdaniszkach, ma pracy dużo; b. warunki odbycia połogu nie są takie, jak dawniej; szpital w Rakiszkach jest brudny, opieki i dozoru w połogu nie ma; to nie to samo, co połóg w szpitalu prywatnym, w I klasie, pod okiem i opieką dobrego specjalisty; Jadzia na szpital w Rakiszkach nigdy się nie zdecyduje, a połóg w domu pod dozorem akuszerki – to także o wiele mniej pewne, niż u Mažylisa w Kownie i u Ciplijewskiego w Wilnie; specjalistów ginekologów w Rakiszkach w ogóle nie ma; c. hodowanie znowu od początku małego dziecka w warunkach wojny, kiedy wszystkiego brak i przyszłość niewyraźna – to też nie należy do perspektyw wesołych. Ano, będzie jak Bóg da.

Słyszałem, że w zreorganizowanym po śmierci Sikorskiego emigracyjnym rządzie polskim teką ministra spraw zagranicznych objął Tadeusz Römer.

20 lipca, rok 1943, wtorek

Dzień rozpoczął się pod znakiem pogody i suchego powietrza. Toteż pośpieszono do suszenia siana, które u mnie na Prudelisie było nakoszone w sobotę. Jadzia uruchomiła do grabienia siana cały swój fraucymer; w czynności tej wzięły udział panna Michalina, Renia, Liza, Uliana Szerszniowówna, na tłokę Novikasowa, a po obiedzie i Jadzia. Także trzej parobcy – Novikas, Szerszniow i Antoni Kligis. Zwieziono do odryny tylko dwa wozy, bo reszta siana jeszcze nie była sucha. Złożono je tylko w stogi. Na wieczór pogoda zaczęła się psuć, w pobliżu przeszła burza, ale bez deszczu u nas.

Przyszedł już dziś i rozpoczął służbę w ogrodzie owocowym Jan Putra. Podpiera gałęzie, obarczone owocami.

W gazetach znalazłem potwierdzenie wiadomości o tym, że w rządzie emigracyjnym polskim w Londynie, zreorganizowanym po śmierci Sikorskiego i w którym premierem został niejaki Mikołajczyk, stanowisko ministra spraw zagranicznych objął Tadeusz Römer. Że to rzeczywiście Tadzio Römer, syn Bronisława z Antonosza, a nie jakiś inny Römer, to widać z tego, że poprzednio był on ambasadorem polskim w Sowietach – już z ramienia emigracyjnego rządu Sikorskiego. Tadeusz Römer jako młodziutki chłopiec był ku końcowi poprzedniej Wielkiej Wojny sekretarzem osobistym Romana Dmowskiego w Komitecie Narodowym Polskim w Paryżu. Ulegał wtedy wpływom endeckim i hołdował ideologii endecji. Potem zaciągnął się do służby dyplomatycznej w Polsce. Pomimo że Tadeusz Römer był lojalny służbista, który do pracy swojej nie mieszał żadnych względów partyjnych i szanował wszelki rząd państwowy, któremu ulegał i służył uczciwie, stawiając państwo przed partią, to jednak w Polsce Piłsudskiego ta okoliczność, że wyszedł on ze szkoły Romana Dmowskiego, głównego antagonisty politycznego Piłsudskiego, szkodziła jego karierze i czyniła go osobą *non grata*. Siedział długie lata w Rzymie jako sekretarz poselstwa. Potem był posłem w Lizbonie, na placówce mało odpowiedzialnej. Dopiero w paru ostatnich latach przed wojną obecną awansował na posła polskiego w Tokio i na tym stanowisku otrzymał tytuł ambasadora. W czasie wojny dostał z ramienia rządu Sikorskiego nominację na ambasadora polskiego w Sowietach. Na tym stanowisku był aż do zerwania przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z rządem emigracyjnym polskim. Prasa niemiecka, komentując powołanie Tadeusza Römera jako byłego ambasadora w Sowietach na stanowisko ministra spraw zagranicznych, twierdzi, że jest to dowód, że rząd emigracyjny polski zmuszony został przez Anglię do przyjęcia kierunku prosowieckiego. Być może, że nominacja Tadeuza Römera wskazuje na potrzebę szukania jakiegoś kompromisu z Sowietami, bo kwestia stosunków polsko-sowieckich musi dziś w polityce polskiej dominować, zaś Tadeusz Römer ma atuty doświadczenia i praktyki w tej sferze stosunków dyplomatycznych, ale to nie jest wcale dowodem, jakoby Tadeusz Römer był usposobiony prosowiecko. O ile go znam – jest wręcz przeciwnie.

21 lipca, rok 1943, środa

Znowu wielka słota. Prawie cały dzień pada deszcz, barometr poszedł radykalnie na niepogodę. Mam wielki katar, łamanie w kościach, stan podgorączkowy, jak w influenzie. Nie wychodziłem z domu.

Jadzia wciąż się niedobrze czuje. Brak reguł zdaje się wskazywać na ciążę, ale może jest chora, bo ciągle ma ból żołądku i różne niedomagania. Jest stanowczo przemęczona.

22 lipca, rok 1943, czwartek

Jeździłem do Abel. Jak zawsze – pełno interesów gospodarskich. Nic nie załatwiłem, tyko się w każdej rzeczy coś dowiedziałem, jak, kiedy i co trzeba zrobić, żeby ten lub inny interes załatwić. Teraz tak jest ze wszystkim. Załatwienie każdej rzeczy jest tak drobiazgowo różnymi przepisami obłożone, że nigdy się nic nie załatwi od razu; trzeba po kilka razy jeździć, uwzględnić wszystkie przepisowe formalności, wystudiować szczegółowo całą procedurę każdego interesu, zanim się wreszcie coś zrobi. Chodziło np. o wykreślenie, czyli o wyrejestrowanie pięciu zdechłych kur, gdyż w przeciwnym razie trzeba od tych kur dostarczyć całą normę jajek; miałem od seniunasa kartkę, zaświadczającą, że istotnie te kury zdechły; atoli do wyrejestrowania ich trzeba przedstawić także książeczkę dostawy jajek, a tej nie miałem ze sobą. Chodziło o podjęcie z lokalnej kasy bankowej w Abelach 100 RM. awansu za buraki cukrowe; okazało się, że kasa funkcjonuje tylko jeden raz w tygodniu – piątkami. Chodziło o otrzymanie z kooperatywy 20 kilo cukru awansem także za buraki cukrowe; okazało się, że cukier ten otrzymać można będzie dopiero po przysłaniu z cukrowni kuponów imiennych na ten awans. Itd., itd.

W Abelach mówiono mi, że oprócz desantu w Sycylii świeżo w tych dniach dokonany został desant anglo-amerykański w Norwegii. Desanty się mnożą i jakoś się tak sadowią, że Niemcy nie są w stanie ani przeszkodzić desantowi, ani go zmieść. Może być Niemcom krucho. Nie widać też jakoś, żeby bitwa na froncie wschodnim, wszczęta na odcinku między Biełgorodem a Orłem, przerodziła się w głęboką ofensywę niemiecką, jak się to na razie zdawać mogło. Niemcy częściowo się bronią, częściowo kontratakują, gdzieniegdzie nieco się cofnęli, walki trwają ze zmiennym powodzeniem i małymi ruchami w tę lub inną stronę, ostatnio rozszerzyły się one na całą linię Dońca i dalej na południe. Wśród urzędników gminnych w Abelach czuć pewne zaniepokojenie; pierwsze pytanie, które w rozmowie poufnej stawiają, jest to: „Czy nie przyjdą Sowiety?”. Ogólne jest w kołach antysowieckich przekonanie, że gdyby Sowiety przyszły, to nastąpi rzeź wszystkich elementów zamożniejszych i tych, które są na służbie bądź niemieckiej, bądź samorządowej pod egidą niemiecką.

Opowiadają o takim incydencie. Są tu w powiecie jakieś oddziały wojenne, złożone z Ukraińców i Estończyków (czy Łotyszów) pod kierownictwem niemieckim, które są przeznaczone do tępienia band. Zdaje się, że band takich, przynajmniej liczniejszych, jak na Białej Rusi, u nas dotąd nie ma, ale wypadki sporadyczne dywersji bądź na linii kolejowej, bądź napadu na mleczarnie (pod Antoleptami), bądź drobnych epizodycznych rabunków – zdarzają się. Otóż przedostatniej nocy oddział taki wraz z lokalną policją litewską był wysłany do Łasz na ochronę mleczarni, na którą, podług pewnych pogłosek, miał być tej nocy dokonany napad bandycki. Bandyci się nie ukazali, ale ochroniarze zastrzelili na jeziorze Sarty niejakiego Lukašiunasa, który płynął łódeczką. Podług jednej, wersji zabójstwo Lukašiunasa było przypadkowe, spowodowane przez nieporozumienie, podług innej wszakże wersji – ten Lukašiunas był notowany jako agent tej bandy, która miała dokonać napadu jako człowiek kontaktu na służbie dywersantów. Czy nie rozpoczną się także i u nas i nie zaczną grasować bandy? Ogół litewski jest mało skory do tego, bo na ogół przeważa w nim usposobienie antysowieckie, a przeto bandy i dywersanci jako czynniki podejrzane o akcję prosowiecką nie budzą u Litwinów sympatii, ale np. liczni u nas starowiery – to element bardzo prosowiecki, który jak jeden mąż sprzyja wszystkiemu, co może się okazać sowieckie, bo dla nich Sowiety – to ich Rosja.

23 lipca, rok 1943, piątek

Deszcz nie ustaje. Już i u mnie dużo nakoszonego siana i mieszanki. Wszystko to leży i moknie. Już takie mokre lato – to rzadko. Mokre i chłodne, to znaczy upałów nie ma, choć nie jest też zimno. Lipiec toż to miesiąc najgorętszy, miesiąc upałów i kąpieli. W tym roku nikt się w lipcu nie kąpie. Znowu niziny i łąki pod wodą, ruczaje, które zwykle latem są suche, płyną potokami jak na wiosnę, szeroko rozlane po zatopionych łąkach.

Jadzia jeździła dziś z Renią do Rakiszek. Ja siedziałem w domu. Parobcy kosili łąkę pod Gajem. Putra podpierał gałęzie drzew owocowych w ogrodzie. Po obiedzie przyjeżdżał Degutis z Pokrewnia łowić rybę siecią w stawach dworskich. Co roku albo parę razy do roku łowi. Karasi w naszych stawach jest dużo. Wczoraj wieczorem słyszałem pierwszego w tym roku konika polnego – symbolu końca lata i wczesnej jesieni.

24 lipca, rok 1943, sobota

Z Abel z pociągu przyszedł student Leszyński, który przyjechał specjalnie z Kowna czy Wilna dla wpisania przeze mnie do jego książeczki studenckiej egzaminu, który zdał u mnie w roku 1939. Lubię, gdy się trafi gość ze stolicy, bo zwykle przywozi siakie takie wieści i nowiny. Ale tym razem student ten nie zakomunikował mi żadnych. Pod względem nowin siedzę tu jak tabaka w rogu. Jedyne bałamutne źródła – to gazety i plotki. I jedne, i drugie mało warte. O desancie w Norwegii w gazetach nic jeszcze nie ma, student zaś mówił, że Niemcy chwalą się, iż go zlikwidowali. Natomiast desant w Sycylii rozszerzył się w mocną linię walk i zdaje się, ze połowa Sycylii (mniej więcej) jest już w ręku amerykańskim. Świeżo było wielkie pierwsze bombardowanie Rzymu. Zdaje się potwierdzać prognoza, że alianci jeden z głównych wysiłków skierowują na oderwanie Włoch od sojuszu wojennego z Niemcami. Na froncie wschodnim wre wielka ofensywa sowiecka; zdaje się, że skutków wielkich ofensywa ta nie osiąga, ale inicjatywa jest bodaj w ręku Sowietów.

Nie czuję się tu dobrze. Jestem przygnębiony i smutny. Gospodarczo są wielkie kłopoty i trudności, które się nie zmniejszają, lecz rosną. Perspektywy zbioru plonów i wykonania robót są nie lepsze, lecz gorsze, mechanizm pracy się rozprzęga, Jadzia przepracowana, przemęczona i znerwowana, w domu jest atmosfera pogrzebu. Wszyscy chodzą jak struci, biedna Jadzia nie może opanować swoich nerwów, bo też istotnie ma warunki niezwykle ciężkie, a w dodatku ten stan nowej ciąży, który chyba jest pewny. Jedyna słodycz w domu – to nasze dwie córeczki kochane, które młodość, raczej wiek dziecinny chroni od wszelkich trosk, nerwów i kwasów. Ale nie mam, niestety, ani tej atmosfery, ani tego usposobienia pogodnego, które by mi pozwoliły cieszyć się bez troski słodyczą tych dzieci. A w dodatku troska o to, co z nimi będzie.

25 lipca, rok 1943, niedziela

W obecnych czasach i warunkach nie ma dla mnie gorszego i bardziej przykrego dnia, niż niedziela. Wtedy szczególnie jaskrawo uwydatnia się przeciwstawienie naszego domowego życia, pełnego troski, kłopotu, nerwów, odludnego i smutnego w utrapieniach wszelakich, z życiem ludzkim dokoła, kipiącym ruchem i – może tylko narkotyczną – zabawą. Szczególnie w taką niedzielę jak dziś, kiedy w naszej parafii krewieńskiej jest wielki fest patrona parafialnego św. Jakuba. Cała ludność parafii kipi ruchem. Wszystko, co żyje, wystrojone od rana, śpieszy do kościoła, po czym ludzie się wzajemnie odwiedzają tradycyjnie, przyjmują gości, przyjezdnych z sąsiednich parafii, nieraz z daleka, piją na zabój, gwarzą, a potem śpiewają przez noc całą, podczas gdy gościńce dudnią od kół furmanek. Cała okolica tonie w gwarze, śpiewach, okrzykach. Wszędzie ludzie ucztują, młodzież się bawi, dokoła wieczorki. A u nas wtedy cicho i atmosfera grobowa. Żeby tylko było cicho i bezludnie – to by było mniejsze. W ciszy domowej może być serdeczność i słodycz większa, niż w gwarnej zabawie hulaszczej. Ale że właśnie w tym zaciszu nie ma serdeczności; zapada u nas wtedy właśnie cisza ponura, złośliwa, przepojona zgryźliwością największą. Dwór nasz pustoszeje; nieliczna służba rozbiega się. Cała robota w domu, kuchnia, inwentarz – spada na jedną Jadzię, która już od rana czuje się źle, jest znerwowana, kapryśna,

zbiedzona, ale jednocześnie kąsająca, ponura, niecierpliwa; płacze, czuje i widzi same nieszczęścia, wytyka wszystkie bolesne braki, chodzi jak z krzyża zdjęta, ale bynajmniej nie potulna i garnąca się serdecznie. Tak niedziela – to dzień potępieńczy w domu. Od dawna, od wielu tygodni zapowiadała Jadzia wyjazd z dziećmi w tym dniu do kościoła. Ale ostatecznie nic nie zarządzone na ewentualność wyjazdu – a może też istotnie nic zarządzić niepodobna, bo nie ma sił roboczych do dyspozycji. Gdyby wyjechała – to i ptactwo, i świnie byłyby nie karmione, krowy nie dojone, nie byłoby obiadu, słowem – dom by stanął, co w gospodarstwie jest nie do pomyślenia. Nawet bezpośredni domownicy zastąpić jej nie mogą. Renia – na feście i potem cały dzień tłucze się po zabawach w okolicy, panna Michalina, choć to dziś nie jej dzień wychodny, tylko jedną nogą jest w domu, przeważnie zaś ucieka do Mieczkowskich, gdzie jej jest weselej, a w domu tylko bawi tyle, ile jest niezbędne dla nakarmienia i ubrania dzieci, Liza znudzona uwija się pod rozkazami Jadzi, ale wykręca się i szuka okazji gdzieś się schować... A biedy się mnożą: rano wyłajała głośno Jadzię Novikasowa, zła za to, że pozawczoraj w nocy złapano ją z mężem w malinach, do których wycieczkę pod sekretem urządzili, we dnie dziś prosiak zachorował, zagrody w chlewie nie opatrzone itd. Na tle ogólnej dokoła zabawy wszystko jest o domu ponure i zgryźliwe. Jeszcze wczoraj wieczorem Jadzia się czesała i dziś rano się stroiła trochę w perspektywie jazdy do kościoła, choć sam nie wiem, jak mogła liczyć na tę jazdę w tych warunkach pustki w domu, rano też dziatki były wystrojone i czekały tej zapowiedzianej jazdy. Jazda upadła bez żadnych słów, a humor Jadzi do ostatka też upadł. Ja się schroniłem do siebie na górę. Smutny i uprzykrzony był dzień, przeklęty dzień. Żadnej rozmowy ani kontaktu serdecznego; tylko ponure złe łzy, złośliwe słowa, przytyki. I nawet nie mogę się za to gniewać na Jadzię, bo wiem, jak jej ciężko i jaka jest wtedy istotnie nieszczęśliwa. To gospodarstwo tak idzie coraz gorzej i coraz trudniej, że na rok przyszły – zwłaszcza w perspektywie ciąży Jadzi i niemowlęcia – trzeba będzie zdecydować się przyjąć połownika, bo inaczej żyć nie będzie można i zresztą z gospodarstwem nie damy rady ostatecznie – chyba już nawet parobków nie znajdziemy. Co prawda, i w tym roku nie wiadomo, jak zdołamy wybrnąć z robót gospodarskich. Z rozkoszy czasów przedwojennych wpadłem jeżeli nie w piekło, to w straszliwy czyściec okresu obecnego.

26 lipca, rok 1943, poniedziałek

Nic szczególnego nie mam do zanotowania w dzienniku.

27 lipca, rok 1943, wtorek

Wybraliśmy się z Jadzią w długo odkładaną wizytę do Kowaliszek do Hektorastwa Komorowskich. Nie byliśmy tam od roku ubiegłego. Jednocześnie w Rakiszkach Jadzia miała się dowiedzieć o dziewczynę, którą Stefcia Boreišisowa jej rekomendowała. Rano, gdyśmy wyjeżdżali, pogoda była śliczna. Słoneczna i sucha. Niepokoiło mię wszakże to, że barometr, który w ciągu dwóch dni szedł powoli w kierunku pogody, zatrzymał się, nie doszedłszy do tejże. Parobcy jednak zabrali się do rozrzucania siana ze stogów na Prudelisie, bo stogi w ciągu deszczów z dni ostatnich trochę podmokły z dołu. Trzeba było siano podsuszyć i spodziewano się je zwieźć na wieczór. Ale nie ma do siana ani jednej dziewczyny, więc rozrzucają, grabią i suszą sami parobcy. Panna Michalina zachorowała, a Renia, gdy zwłaszcza Jadzia nie stoi nad jej karkiem, nie chce pracować. Liza zaś pojechała do Kowaliszek z nami. Jechaliśmy całym domem, bo wzięliśmy ze sobą obie córeczki. W Rakiszkach z najmem dziewczyny spotkało nas fiasko – nie mamy pod tym względem szczęścia, ani rusz nikogo zdobyć do pracy nie możemy. W Kowaliszkach Hektorostwo oboje zastaliśmy. Byliśmy u nich na obiedzie, po czym Oleńka uraczyła nas doskonałą kawą naturalną, wreszcie zjedliśmy podwieczorek i koło godziny czwartej odjechaliśmy. Tymczasem rozszalała się krótka burza z szaloną ulewą, po której długo jeszcze rzęsisty deszcz kropił. Tegoroczne lato – to same deszcze i ulewy. Szczególnie ten lipiec. Żyta już dochodzą do żniw, prawie wszędzie i prawie całe żyto leży; gdzieniegdzie leżące żyto już porasta z kłosów na pniu.

Od Hektora ze źródeł radiowych dowiedziałem się, że jakoby we Włoszech usunięty został Mussolini. Podobno doniosło o tym radio angielskie. Mussolini miał być usunięty dekretem królewskim, zwalniającym go ze stanowiska szefa rządu. Podobno na jego miejsce zamianowany został jakiś admirał. Czy to jest już początek końca wojny włoskiej, zapowiedź bliskiej kapitulacji Włoch i upadek faszyzmu? We Włoszech łatwiej dokonać takiego *salto mortale*, bo tam formalnie nad Mussolinim i nad faszyzmem stoi król, podczas gdy w Niemczech wszystko się streszcza w Hitlerze i nawet formalnie nikt nad nim i nad nacjonalsocjalizmem nie stoi. Załamanie się więc Hitlera byłoby w Niemczech załamaniem się całej władzy państwowej. Ale dziwo, że w tym samym czasie, kiedy radio angielskie podaje o usunięciu Mussoliniego, gazety niemieckie podają komunikat o spotkaniu się Mussoliniego i Hitlera i o ich naradzie polityczno-wojennej.

28 lipca, rok 1943, środa

Już od kilku dni tak samo: rano – pogoda, słońce, czasem nawet wietrzyk, potem zaczyna parzyć, a po obiedzie nagle skądś duża chmura i spada ulewny deszcz – z burzą lub bez. Ale co dzień jest ten deszcz i każdym razem – ulewny. Bardzo przeszkadza w suszeniu siana i skoszonej mieszanki. Pomimo jednak deszczu ulewnego, ale krótkiego, parobcy zwieźli dziś część siana przynajmniej z Prudelisa, rano je rozrzucali i złożyli w kupy duże, a po deszczu siano ze środka kup zwieźli do odryny, a zalane deszczem z góry i podmokłe z dołu – wywieźli i złożyli na gumnisku. Większa część łoneczek ma wodę, utrudniającą suszenie.

Chodziłem do Knisy. Przy okazji dopytywałem się tam o dziewczyny do roboty przy suszeniu siana lub żniwach. Niewielka nadzieja dostania.

Wygląda, że się tej jesieni zanosi na jakieś wypadki krytyczne w losach wojny. Jeżeli upadek Mussoliniego jest wstępem do kapitulacji Włoch, to wypadki likwidacji wojny mogą się potoczyć bardzo szybko. Że Niemcy są już bardzo zmęczone i robią bokami – to się już czuje. Jeżeli zostaną na polu same, to trudno im się będzie na wszystkie strony bronić i utrzymać w kupie wszystkie zajęte kraje, w których już i teraz wrą różne partyzantki i fermenty, niszczące transport i podminowujące całą administrację okupacyjną... Ciekawe, ale zarazem groźne i straszne. Bóg raczy wiedzieć, co nas czeka. Może nawet rychło.

29 lipca, rok 1943, czwartek

Jest w gazetach potwierdzenie wieści o usunięciu Mussoliniego. W prasie, kontrolowanej przez Niemców, fakt ten jest podany oczywiście pod odpowiednim sosem, nie jako upadek Mussoliniego, lecz jako zwolnienie go od obowiązków szefa rządu i pierwszego ministra. Tłumaczy się to względami na jego zdrowie, jak zwykle w takich razach, robiąc „*bonne mine en mauvais jeu*". W istocie wszakże jest to chyba nie co innego, niż załamanie się i upadek. Upadek wielkiego „duce" i upadek systemu, przynajmniej w stosunku do jego wielkiego posunięcia kryzysowego – wojny. Król Wiktor-Emanuel po zwolnieniu Mussoliniego mianował na jego miejsce marszałka Badoglio. Komunikaty prasowe niemieckie podają jednocześnie streszczenie odezwy nowego szefa rządu marszałka Badoglio do narodu włoskiego. Ton odezwy jest alarmujący, taki, jakiej się używa w obliczu katastrofy, ale niemniej, przynajmniej w streszczeniu źródeł niemieckich, mówi o dochowaniu przez Włochy wierności przyjętym zobowiązaniom i danemu słowu, co zdawałoby się wskazywać na to, że Włochy przez to nie kapitulują i nie łamią swej polityki, a więc kontynuują wojnę. Ale jeżeli rzeczy tak daleko zaszły, że doprowadziły do upadku duce Mussoliniego, to w te zapewnienia o dochowaniu wierności zobowiązaniom, o ile chodzi o wojnę, trudno uwierzyć. A może to jest jeszcze próba ratowania sytuacji, tworzenie prowizorium przedupadkowego, jak rządy Kiereńskiego w rewolucji rosyjskiej roku 1917 albo rządy księcia Maksa Badeńskiego w Niemczech przed rewolucją i kapitulacją Niemiec w roku 1918. Bądź co bądź, dziś już się rozeszły u nas wieści, że Włochy już są zajęte przez Anglików i że wielkie ilości wojsk niemieckich we Włoszech skapitulowały. Czy te wieści są ścisłe – nie wiem.

W lokalnych, nielicznych zresztą, kołach Polaków, które są równie wściekle antyniemieckie, jak sowietofobskie, a które zresztą grzeszą przesądnym optymizmem, posuniętym do naiwności, wieści o upadku Mussoliniego i o dokonanej czy też dopiero spodziewanej kapitulacji Włoch budzą wielkie nadzieje, że fakty te zażegnają niebezpieczeństwo inwazji Sowietów. Usadowienie się sił anglo-amerykańskich we Włoszech i spodziewane przerzucenie ich na Bałkany tłumaczone jest w tych kołach jako fakt nie tylko zagrażający Niemcom, lecz także szachujący rzekomo Sowiety, którym dostęp do Europy zostanie przez zwycięskie czynniki anglo-amerykańskie zamknięty czy zatarasowany.

Dziś mieliśmy dzień bez deszczu. Jest wiatr, suszy dobrze. Wprawdzie pogoda niepewna, po obiedzie w pobliżu grzmiało, ale burza poszła stroną i obeszło się bez deszczu. Dzień jak darowany na zbiórkę siana. Niestety – nie ma robotnic. Suszą siano, grabią, próbują zwozić – sami trzej parobcy. Ledwie Jadzia wykurstała do siana Renię z Lizą. Novikas jest zły, chodzi jak noc posępny, ledwie gada. Gdy po obiedzie Renia z Lizą spóźniły się do roboty, Novikas zaczął wymyślać i odgrażać się na „panów". Zachodziliśmy i my z Jadzią na łąkę. Zwieziono jeden wóz i trzeba było wstrzymać zwózkę, bo z braku rąk do grabienia nie można było nadążyć. Przy nas Novikas trochę się umitygował, ale bądź co bądź zapowiadał, że gdy się rozpoczną żniwa – on nie dopuści do tego, żeby u stołu siadało dziesięć osób państwa, a do roboty nie było nikogo i że postawi na tym, że wszyscy, o ile się nie wykażą świadectwem lekarskim, będą musieli pracować. Miał na myśli oczywiście i Jadzię, może i mnie, i pannę Michalinę, która dziś jest chora, ale w ogrodzie pracuje, a zresztą nie do roboty w polu jest najęta, i Renię, i Stefana, i Lizę. Jest zbuntowany i wściekły. Liza skorzystała z tych po naszym wyjściu gwałtowniejszych ataków Novikasa i uciekła z pola. Jest ona leniwa i uprawia lenistwo jako kult.

30 lipca, rok 1943, piątek

Z Włoch wieści coraz ciekawsze i sensacyjniejsze. Dziś słyszałem o nich z powoływaniem się na radio angielskie czy polskie z Londynu. Słyszałem z kół litewskich. Podobno Mussolini uciekł samolotem do Portugalii. Jego zięć Ciano schronił się do Watykanu. We Włoszech toczą się jakieś walki wewnętrzne i szerzy się ferment. Ludność napada na faszystów. Utworzył się komitet przedstawicieli stronnictw antyfaszystowskich, do którego weszli katolicy, komuniści, ludowcy i jeszcze jacyś, domagający się od marszałka Badoglio utworzenia rządu koalicyjnego międzypartyjnego, który by reprezentował cały naród na wszystkich jego kierunkach. W jednym z miast wojsko niemieckie wystąpiło przeciwko demonstrantom ulicznym, za których się ujęło wojsko włoskie. W różnych miejscach oddziały niemieckie we Włoszech składają broń albo są rozbrajane. Anglo-Amerykanie nie zasypiają gruszek w popiele i podniecają ten ferment nalotami i bombardowaniem. Podobno miał miejsce drugi nalot na Rzym. O ile chodzi o Włochy, to jest to już nie co innego, jak początek końca. Ale mam wrażenie, że nie dalekie już jest załamanie się także Niemców i że w krótkim czasie możemy oczekiwać niezwykłych wypadków i posunięć. Coś się zbliża, coś się stanie; chodzi tylko o to – co. Kiedy, co i jak. Siedzimy na wulkanie niewiadomych możliwości. Wyczuwa się ogólny niepokój, u jednych zakłopotanie i troska, u innych nadzieja i wiara – bądź w tą, bądź w inną stronę, tylko nikt, zdaje się, nie wierzy już w gwiazdę niemiecką. Co do frontu wschodniego, to dotychczas stoi on, zdaje się, niewzruszony, chociaż Sowiety atakują zawzięcie.

Dziś rano wyruszyłem w linijce na wycieczkę po okolicy w poszukiwaniu kobiecych rąk roboczych do sprzętu siana i żniw. Udało mi się zwerbować (za obietnicę jesionu na deski) młodą Andrijauskaitę z Boniuszek do żniw i dwie Širvyti z Busiszek do sprzętu mieszanki (za drwa). W Boniuszkach w kierunkach Dogil i zwłaszcza na gruntach pokrewieńskich widziałem już rozpoczęte żniwa. Bliżej Bohdaniszek jeszcze żyta nie koszą. U nas żniwa rozpoczną się w połowie przyszłego tygodnia. Dziś dokonano u nas sprzętu nakoszonego dotychczas siana, a od jutra rozpocznie się dosuszanie i sprzęt mieszanki. Pomimo wczorajszych kwasów Novikasa, sprzęt siana poszedł gładko. A jeżeli pogoda się ustali, to i mieszankę do żniw zbierzemy. Dziś deszczu

nie było, choć pogoda jest wciąż niepewna i barometr stoi na miejscu. Siana mieć będziemy niedużo. Nie mamy wcale koniczyny w tym roku, bo w roku przeszłym jej nie posialiśmy. Całej normy rekwizycyjnej siana nie będziemy mogli oddać; trochę jej oddamy, resztę uzupełnimy słomą, którą za siano można oddawać w specjalnym przerachowaniu. Siana mam wyznaczono oddać 17 cetnarów.

31 lipca, rok 1943, sobota

Żadnych nowin ze świata. Nie słyszałem dziś żadnych pogłosek ani wieści z radia, nie miałem świeżych gazet z poczty. A przecież wypadki gdzieś na wielkim świecie toczą się w tempie z pewnością zawrotnym, zwłaszcza we Włoszech, jak również z okazji tego, co się we Włoszech staje i co się odbija echem szerokim dokoła na coraz dalsze kręgi jak kręgi wody poruszonej. Dnie płyną, kręgi się szerzą, zdarzenia dojrzewają i wszystko razem, co się z tego wyłaniać będzie, i nas dosięgnie, ale kiedy i jak – tego nie dostrzegamy. Pozornie – nic.

Pogodny dzień. Zwieziono u mnie prawie całą skoszoną mieszankę. Pozostała nie zwieziona do odryny tylko ta, która stoi w wysokich stogach w ogrodzie owocowym. Już dojrzewać zaczynają letnie gatunki jabłek. W tym roku sad jest pełny jabłek. Jan Putra, który pilnuje ogrodu, starannie podpiera obciążone owocem gałęzie jabłoni.

1 sierpnia, rok 1943, niedziela

Gazety sprzed kilku dni, które przyszły (najwcześniejsza jest z d. 25 lipca), podają nieco informacji o wypadkach we Włoszech. Żeby Włochy skapitulowały i żeby już Anglicy czy Amerykanie zajęli terytorium Włoch – to się nie potwierdza. Włochy w dalszym ciągu wojują. Walki w Sycylii się toczą. Żadnych desantów na terytorium lądowym włoskim bodajże nie ma. Ukryć kapitulacji Włoch jako faktu dokonanego by się nie dało. Że zakulisowo mogą się toczyć jakieś konszachty z Anglią, którym przewodzi królewicz następca tronu Humbert (Umberto), uchodzący za głowę kierunku pokojowego, to zapewne nie jest wykluczone. Ale faktu kapitulacji nie ma. Marszałek Badoglio, stojący na czele rządu, wyraża kierunek wojenny – tak się przynajmniej manifestuje. Źródła niemieckie usilnie podkreślają, że linia polityki wojennej Włoch jest w pełni utrzymana. Niemniej usunięcie Mussoliniego nie jest aktem zwyczajnej zmiany osób kierowniczych, jeno jest aktem przewrotu, aktem wyraźnego załamania się całego reżimu faszyzmu, stworzonego i uosobionego przez „duce". Przewrót wyraża się w upadku faszyzmu. Zlikwidowana jest Wielka Rada Faszyzmu, zamknięta partia faszystowska. Utworzony przez marszałka Badoglio rząd ma charakter fachowy z czynnikami wojennymi u szczytu. W przewrocie uwydatnił się wybuch reakcji przeciwko faszyzmowi i proklamowany został nawrót do ustroju konstytucyjnego. Nic jednak pozytywnego o stabilizacji we Włoszech stwierdzić się nie daje: jest raczej wrażenie, ze stan jest przejściowy, to znaczy że kryzys nie minął, nie jest zakończony.

2 sierpnia, rok 1943, poniedziałek

Nic ciekawego do zanotowania. Zwieziono tę nakoszoną mieszankę, która nie była złożona w kupy (stogi). Od czterech dni mamy pogodę bez deszczu.

Słychać, że ubiegłej nocy (z niedzieli na poniedziałek) między Eglainią a Noreikami – na terytorium łotewskim – dokonany został nowy zamach terrorystyczny na pociąg. Była podłożona mina, która uszkodziła tor kolejowy i szereg wagonów towarowych pustych z pociągu wracającego z frontu. Ofiar w ludziach nie było, bo brygada kolejowców, towarzysząca pociągowi, jechała w ostatnim wagonie. Poraniony został odłamkami szkła tylko pomocnik maszynisty.

3 sierpnia, rok 1943, wtorek

Byłem za interesami gospodarskimi w Abelach.

Jest nowa sensacja, która żywo obchodzi ludność. Skasowane zostały wszystkie zwolnienia, które były udzielone wzywanym do poboru pierwszych sześciu roczników (urodzonych w latach od

1919 do 1924). Żadne względy pracy w gospodarstwach na roli lub w jakichkolwiek instytucjach czy urzędach, czy przedsiębiorstwach przemysłowych, związanych z celami wojny, które w czasie poboru służyły do zwolnienia, obecnie nie mają żadnej wagi. Wszyscy, którzy byli zwolnieni, mają się stawić. Zwolnieni będą jeno ci, którzy są fizycznie są niezdatni do pracy. Termin poboru 15 sierpnia. W najbliższej naszej okolicy jest kilku takich – młody Witold Diržys w Bohdaniszkach, młody Zybolis, syn Piotra, rodzący się z Adamowiczówny, którzy byli zwolnieni jako zapisani do straży ogniowej i zatrudnieni w gospodarstwach, które dostarczyły do rządu pełną normę rekwizycyjną. Będzie nowa bieda. Przybędzie ukrywających się do tych, którzy już obecnie się ukrywają albo którzy zdezerterowali. Wprawdzie dotąd tych ukrywających się i dezerterów nie poszukiwano energicznie, ale nadal może się rozpocząć łapanie, a przeto i ucieczki do lasów, nasadzające bandytyzm i dywersje oraz pogłębiające rozprzężenie moralne i gospodarcze.

Niemcy dali czas na dokonanie żniw, a teraz znów pogłębiają pobór. W dalszym ciągu można się spodziewać bądź ogłoszenia poboru nowych dalszych roczników, bądź anulowania zwolnień w drugiej sesji roczników poborowych. Chyba Niemcy nie spodziewają się zbioru żniw przyszłego roku i przeto nie dbają o siewy jesienne ozimin, dla których zabraknie rąk roboczych.

4 sierpnia, rok 1943, środa

Jeździłem do Łasz do mleczarni po masło, należne nam za dostarczone w lipcu mleko (ponad normę obowiązującą). W ostatnich dwóch miesiącach Jadzia wysilała się, ile tylko mogła, aby dopędzić ilość dostarczonego tłuszczu mlecznego do pełnej normy rocznej, bo to nas może uchronić od zabrania krów na mięso. W tym celu w ciągu tych dwóch miesięcy wypadło dać do mleczarni prawie podwójną normę miesięczną co miesiąc. Ale dostawa mleka do mleczarni ma też swoje strony dodatnie. Nie tylko przez to, że może zwolnić od rekwizycji mięsa wołowego, ale także daje możność otrzymania z mleczarni masła po 200 gramów tygodniowo na każdego człowieka na dworskim stole, co dla nas wynosi 11 kilogramów masła miesięcznie (zarejestrowanych jest 11 ludzi na naszym stole). I poza tym daje dosyć dużą ilość tzw. punktów, za które za te dwa miesiące Jadzia będzie mogła nabyć w kooperatywie po cenie rządowej kilkanaście kilo cukru.

Po obiedzie chodziłem po polu i zaszedłem do Jana Malčiusa w Karwieliszkach prosić go o udzielenie nam pomocy w żniwach. Przyrzekł dwóch ludzi na piątek, a może na kilka dni następnych – za wynagrodzenie w drwach lub w drzewie budulcowym na deski. Zajeżdżałem też dziś po drodze do Łasz, do Andrijauskasa w Dogilach w tej samej sprawie. Może i tu robotnicę jedną dostanę. Tak oto trzeba teraz zabiegać o robotników, którzy są prawie na wagę złota, a już zawsze, choćby za najdroższą cenę, jest to łaska ze strony tych, co pracę dają. Zaczynamy wstęp do żniw jutro. Jutro jeszcze własnymi siłami, a pojutrze już pełną siłą z tłoką i ze żniwiarką Janka Čepasa. Dokoła żniwa są już na ukończeniu. Wielka pogoda i upały. W domu zawsze bieda: Jadzia zapracowana, sama gotuje, sama dopatruje inwentarza, ogrody, sad owocowy – z pomocą Toni Adamonytė, Reni, panny Michaliny, Lizy, Putry i Piotruka Simonowicza. Liczy się, że tych pomocników dużo, ale w istocie roboty tyle, że ci pomocnicy nadążyć nie mogą, a Renia i Liza pracują bardzo niechętnie, jak z łaski i wciąż się wykręcając. Tonia pójdzie do żniw, będzie jeszcze ciężej.

5 sierpnia, rok 1943, czwartek

Choć pogoda nie bardzo pewna mimo upału i wiatru, jednak do deszczu nie doszło. Rozpoczęto dziś u mnie żniwa, raczej mały wstęp do nich – w kilku miejscach – w VI polu pod Gajem i w III polu koło nowej drogi przy zaścianku Balysa Malčiusa – obkoszono poletka dokoła dla wyjazdu kosiarki, która jutro pracę rozpocznie. Większą część żyta skosi mi maszyną Janek Čepas, w kilku zaś miejscach, gdzie żyto zleżało, trzeba będzie kosić ręcznie. Najgorsze to, że nie mam robotnic do podnoszenia i wiązania skoszonego żyta. Do pracy tej stanęła dziś tylko Tonia i dwoje dzieci parobka Szerszniowa. Moje domowe panny – panna Michalina i Renia, nie mówiąc o Lizie, pracy tej podjąć się nie mogą. Jest to najtrudniejsza bodaj praca polowa. Chodziłem dziś do

Jana Malčiusa w Karwieliszkach, do kowala Błażewicza w Bohdaniszkach, do Balysa Malčiusa, do Širvysa, prosząc o pomoc w robociźnie. Jan Malčius i Błażewicz przyrzekli na jutro, Balys Malčius na sobotę, u Širvysów nic pewnego nie zdobyłem. Strasznie z tym trudno i nieznośnie. Nie wiem już, gdzie i kogo prosić. Żyta mam posianego 48 cetnarów – koło 15 hektarów. Aż strasznie patrzeć, jak dużo tego do sprzętu.

Zaiste łatwiej było rządzić uniwersytetem albo sądem, niż tą gospodarką bohdaniską w warunkach obecnych.

6 sierpnia, rok 1943, piątek

Janek Čepas kosił dziś u mnie maszyną żyto. Skoszone jest żyto w całym polu VI i w dwóch kawałkach pola III. Ogółem jednak mniej niż trzecia część. Robotników do wiązania skoszonego życia było dosyć: trzech parobków naszych, dwoje dzieci Szerszniowa, Jan Malčius z synem i Błażewicz. Związano jednak nie całe skoszone maszyną żyto. Tonia i Renia dziś przy żniwach nie pracowały. Obie obrażone są na Novikasa, który rzeczywiście czy jest bardzo znerwowany trudną organizacją pracy czy też rozzuchwalił się, ale tak czy inaczej staje się niemożliwy. Dla wszystkich jest nieznośny, chodzi ponury i zły, każdemu coś powie przykrego i obraźliwego. Novikas w tym roku i w przeszłym – to jak gdyby dwaj różni ludzie. W przeszłym roku był uczynny, dobrej myśli, przychodził do nas, gawędził, radził się i sam radził. W tym roku jest ponury, zły, zgryźliwy, zamknięty w sobie, nieżyczliwy. Nikt go nie lubi, wszystkich odstrasza i zniechęca.

Ja sam jeździłem dziś do Abel. Ponieważ moja klacz wyjazdowa Gulbė szła dziś w kosiarce, więc pojechałem starą klaczą białą – Čigonią. Wlekła się noga za nogą. Sama jazda w jedną stronę do Abel trwała 2-3 godziny, tyleż z powrotem i do trzech godzin na Abele. Jak zawsze, interesy były w instytucjach gminnych, w kooperatywie (tym razem cukier awansem za buraki cukrowe), na poczcie...

Listów teraz prawie że nie otrzymuję, gazety – nieciekawe.

Mały ewenement w gospodarstwie ptasim Jadzi. Było siedem kacząt, które ślicznie i prędko rosły, trzy białe i cztery pstre. Na walkę z muchami używamy grzybów muchomorów. Kilka starych już zapleśniałych muchomorów gotowanych panna Michalina wyrzuciła pod płot koło sadzawki przy domu. Okazało się, że kaczki je pożarły. Gdym stanął nad brzegiem sadzawki i chciał rzucić chleba kaczętom, nie mogłem się ich dowołać, a nagle spostrzegłem u brzegu jedną kaczeczkę, leżącą na wodzie z wyciągniętą i poruszającą się nerwowym spazmem szyją. Wkrótce spostrzegłem, że inne kaczki, prócz dwóch, tak samo się kiwają i męczą. Powstał alarm. Domyślano się, że kaczęta są zatrute muchomorami. Usiłowano je ratować. Panna Michalina, przejęta tym, że to ona spowodowała to zatrucie, na chwilę się ulotniła i nagle przybiegła w kostiumie kąpielowym, rzuciła się do sadzawki i wyłowiła chore kaczki. Dwie udało się wyratować, ale trzy białe zdechły.

7 sierpnia, rok 1943, sobota

Zadaniem dnia dzisiejszego w żniwach było: dokończyć wiązanie snopów skoszonego wczoraj maszyną żyta, postawienie mendli i ewentualnie obkoszenie dokoła dalszych poletek żyta w polu III i IV, żeby przygotować na poniedziałek pracę maszynie. Dziś kosiarka u nas nie pracuje, bo Janek Čepas kosi nią żyto własne w zaściankach Jadzi i „Buby”. Robotników do tej pracy miałem mało, bo tylko trzech parobków swoich, Wańka – syn Szerszniowa i jedyna robotnica Gienia Malcówna z Karwieliszek. Więcej nikt nie przyszedł, a z domowych ani Tonia, ani Renia, obrażone na Novikasa, iść nie chciały. Do obiadu skończono wiązać i ustawiono mendle w koszonych poletkach pola III; w jednym z nich ja sam też zdobyłem się na pracę osobistą w stawianiu mendli; choć mię to dosyć zmęczyło, jednak byłem w stanie robić. Pozostawało stawianie mendli w całym polu VI. Losy żniwa naszego bardzo mię niepokoją; gdy rzucę okiem na obszar pozostający do skoszenia, a pomyślę jeszcze, co to będzie ze zwózką żyta, gdy zdobywanie robotników idzie jak z kamienia, to strach mię ogarnia i czuję się zupełnie bezradny. Paskudne jest uczucie i życie niemiłe. Przy obiedzie usposobienie posępne dawało wyraz tym uczuciom, że aż

sumienie ruszyło moich domowników i po obiedzie, choć deszcz zaczął kropić, ruszyliśmy z parobkami na pole do pracy: ja sam, Jadzia, panna Michalina i Renia. Pracując w dziewięć osób w ciągu przeszło godziny na deszcz postawiliśmy wszystkie mendle. Po krótkim podwieczorku parobcy poszli obkaszać poletka dla maszyny na poniedziałek, ale deszcz wraz większy rychło zatrzymał tę pracę.

Wszystko idzie ciężko. W sadzie na jabłkach ukazują się jakieś plamki, które psują owoce. Może i ta perspektywa dochodu zawiedzie.

Jadziuńka czuje się niedobrze. Wciąż miewa nudzenia, nie ma apetytu. Im dalej w ciążę, tym jej będzie trudniej. Tymczasem roboty ma moc, pomocy w gospodarstwie domowym prawie żadnej, a gdy Renia z Lizą wyjadą we wrześniu, to będzie jeszcze trudniej. Usposobienie moje jest takie, że nawet dzieci kochane nie dają mi radości, jaką bym z nich miał w innych warunkach życia.

8 sierpnia, rok 1943, niedziela

Znowu deszcz. Trochę wypadło deszczu rano, po obiedzie zaś lunął wielki i długi deszcz. Barometr dochodzi już do słoty. Jeżeli deszcz nie ustanie – nie wiadomo, jak będzie jutro ze żniwami. A właśnie udało mi się zaangażować na jutro czterech ludzi do żniwa z rodziny Kisielowa z Matejek, na pojutrze zaś zamówiona jest żniwiarka Jana Čepasa i kilku robotników i robotnic podziennych. Deszcz może to wszystko udaremnić.

Chodziłem dziś z Kotuńką do Janówki do Sakowiczów angażować do służby przy pokojach małą Marytę Sakowiczówną, ładną jak laleczka dziewczynkę kilkunastoletnią. Ponieważ nie zastałem jej ojca, więc na razie nic pewnego nie ma. Słychać jednak, że miałaby ochotę spróbować służby. Byłaby to już pewna ulga dla Jadzi.

Przyszła niespodziewanie z pociągu siostra młodsza panny Michaliny Kanczukówny, która przyjechała tu ze Švenčionėlisów w towarzystwie swego znajomego kolejarza. Miła i ładna dziewczyna. Panna Michalina nie wiedziała, czy się cieszyć z tej wizyty czy smucić, ponieważ siostra przyjechała się z nią pożegnać: zabierają ją na robotę do Niemiec. Należy ona do tego rocznika urodzeń, który ulega poborowi przymusowemu na te roboty i dla którego żadnych ulg i zwolnień nie ma. Pobór ten dotyczy kobiet w miastach, liczących ponad 2000 mieszkańców, Švenčionėliai zaś należą właśnie do takich miast.

9 sierpnia, rok 1943, poniedziałek

Brzydki dzień. Do obiadu padał z małymi przerwami deszcz. Barometr jest na słocie. Sądziłem, że nic już dziś ze żniw nie będzie. Novikas zadecydował, że kosić żyta nie można i byliśmy pewni, że Kisielow z Matejek, który zapowiedział się dziś we czterech robotników do żniw, nie stawi się ze względu na deszcz. Jednak Kisielow się stawił, a że Novikasa wtedy nie było, więc ja sam mu wskazałem odcinek żyta w Karwieliszkach za gościńcem do koszenia. Potem jednak, gdy deszcz nie ustawał, sądziliśmy, że Kisielow odjechał ze swymi robotnikami, bośmy, patrząc z góry zza gumna, dojrzeć ich nie mogli. Atoli w porze obiadowej okazało się, że robotnicy Kisielowa są i koszą. Zanieśliśmy im z Jadzią obiad na pole, a że deszcz ustał, więc i nasi parobcy z dwojgiem starych dzieci Szerszniowa, Gienią Malcówną z Karwieliszek i Balysową Malcową stanęli także do żniwa i praca w jedenastu ludzi, z których pięciu z kosami, szła do wieczora żwawo. Jutro przyjedzie znów kosić żyto żniwiarką Janek Čepas. Żniwa więc idą mocnym tempem. Jest nadzieja, że rychło skosimy duże łany pod Karwieliszkami po obu stronach gościńca od zaścianków Balysa Malčiusa i Nemeikšysowej aż do Gaju.

Pod wieczór panna Michalina odwiozła na stację do Abel swoją siostrę i jej towarzysza.

Znowu czekamy pogody, jak w czasie sianokosu.

10 sierpnia, rok 1943, wtorek

Dzień prawie że bez deszczu. Od obiadu Janek Čepas kosił u mnie żyto żniwiarką. Od rana i przez cały dzień pracowało u żniw dużo ludzi, toteż robota szła raźnie. Oprócz trzech swoich

parobków i dwojga dzieci Szerszniowa – Wańki i Uliany – brali udział w tłoce: kowal stary Błażewicz Franciszek, syn Jana Malčiusa z Karwieliszek, Balys Malčius z żoną, Wala Kulytė, dwóch chłopców Kisielowa, a pod wieczór jeszcze Konstanty Kulis Amerykanin i Nemeikšysowa. Ludzi więc było dużo. Skoszono, związano i postawiono dużo żyta. Jutro może się żniwa zakończą, jeżeli ludzi nie zabraknie. Jadzia wysila się na wykarmienie tylu ludzi. Trzeba ich dobrze nakarmić na obiad, dać mięsa, a na podwieczorek mleka obficie i chleba z masłem i serem. Uczestnicy tłoki pracują za drzewo (drwa, chrust, drzewo budulcowe), względnie za siano z rowów i łoneczek nie skoszonych dla dworu, czasem niektórzy (Walia Kulytė) za odrobek za paszę owieczek. Rąk roboczych na zakończenie żniw już nie brak, nawet trochę za dużo.

Oprosiła się świnia. Przyprowadziła siedem prosiąt. Jadzia wszystkie będzie hodowała, nawet jej za mało tego. Mamy teraz tę świnię maciorę, którą Jadzia chce karmić na słoninę, 10 kabanów i prosiąt na bekony w różnym wieku, ale wszystkie jeszcze nie dorosły do wagi bekonu, i tych 7 prosiaków małych teraz. Ale co to znaczy, gdy trzeba dla siebie na potrzeby dworu wykarmić i do rządu oddać osiem bekonów 100-kilogramowych rocznie, a w tym roku dotąd tylko 1/3 część kontyngentu mięsa wieprzowego żywej wagi oddano.

Jeździłem rano z dziećmi do Łasz do mleczarni po masło, należne nam jeszcze za mleko za lipiec, i po tzw. punkty za dostarczone mleko w roku 1942-1943 (rok mleczny liczy się od 1 sierpnia do 1 sierpnia). Przywiozłem 5 ½ kilo masła i 58 punktów.

11 sierpnia, rok 1943, środa

Barometr dziś rano i dziś wieczorem szedł na pogodę. Może się wreszcie pogoda ustali. Na sprzęt żyta jest bardzo potrzebna. Stawiło się dziś na tłokę dużo robotników i robotnic, sąsiedzi dobrze dopomogli w żniwach, pracowała dzień cały żniwiarka Janka Čepasa. Spodziewano się dokończyć żniwa, ale pozostał jeszcze kawałek nieduży do skoszenia ręcznego na jakąś godzinę koszenia we dwóch. Więc już całe niemal moje żyto skoszone i ustawione w mendlach. Pięknie to wygląda. Na pagórkach na tle błękitu nieba złocą się żółte mendle zżętego zboża.

Jeździłem pod wieczór z Jadzią i córeczkami do zaścianka Januszkiewiczów pod Montowszczyzną na dawnych pasiekach naszego niegdyś lasu montowskiego. Chodziło o to, żeby Januszkiewiczowie pozwolili nam w swoich laskach nazbierać brusznic, których Jadzia chce 40 kilo usmażyć na konfitury do spiżarni na zimę. Pozwolenie naturalnie otrzymaliśmy; w tych dniach wyślemy tam ekspedycję w osobach panny Michaliny, Reni i Lizy na zbieranie jagód. Młody Januszkiewicz jest ten sam, który za czasów sowieckich był seniunasem bohdaniskim. Ma on skłonność do komunizmu i jest ideowym wolnomyślicielem, chociaż nieco się rozczarował w metodach sowieckich komunizmu. W każdym razie, jest to człowiek czysty i ideowy, nie z tych komunistów, co są nimi z hultajstwa lub chęci pożywienia się na rewolucji.

Z komunikatów wojennych niemieckich w gazetach dzisiejszych jest wiadomość o zajęciu przez Sowiety Orła. Stratę Orła Niemcy uzasadniają „skróceniem frontu" i nazywają to ewakuacją planową, jak to się zwykle w takich razach mówi. Bądź co bądź, Niemcy nigdzie naprzód nie idą, natomiast trochę się cofają. Z Włoch nic nowego nie słychać. Walki w Sycylii trwają. Anglicy i Amerykanie bombardują nadal miasta włoskie.

12 sierpnia, rok 1943, czwartek

Już to lato tegoroczne jest tak mokre, jak zaiste rzadko. Dziś przez noc barometr znowu spadł aż do „słoty" i od samego rana padał duży deszcz. W polu nic robić nie było można. Mały kawałek żyta, który został wczoraj nie skoszony, stoi jeszcze na pniu.

Zaczynają świtać troski i kłopoty związane z młócką. Jeszcze całe żyto stoi w mendlach na polu, a już trzeba o młóceniu myśleć. Janek Čepas dał nam znać, że wczoraj seniunas uprzedził poufnie, iż dziś w gminie w Abelach będą rozdawane gospodarzom kwitki na benzynę czy gazol do młócenia motorem, że trzeba więc pośpieszyć do gminy, żeby je otrzymać, bo ilość tego paliwa motorowego jest ograniczona. W tym roku bowiem metoda wydawania gazolu (czy benzyny) na ten

cel jest inna, niż była w roku ubiegłym. Gazol jest wydawany nie właścicielom motorów, którzy go zwykle oszczędzali dla siebie na młócenie spekulacyjne i obsługiwali nim swoich przyjaciół lub tych, co im za to drożej płacili, ale samym gospodarzom, którym właściciele motorów muszą młócić. Chodzi o to, żeby gospodarze nie byli na łasce właścicieli motorów rozporządzających paliwem. Miałem więc jechać dziś do Abel w tym celu, mając jednocześnie dużo innych interesów tamże. Ale padał wielki deszcz, a rano Novikas pojechał do Abel po weterynarza do świni, która zachorowała po oproszeniu się. Miałem odwozić weterynarza do Abel. Ale że deszcz nie ustawał, a weterynarz poradził mi prosić viršaitisa listownie o kwitek na paliwo do młócenia i przyrzekł sam ten list viršaitisowi doręczyć, więc tak też zrobiłem. Napisałem do viršaitisa przez weterynarza i nie pojechałem osobiście. Podobno w ogóle nie byłoby po co jechać, bo najechało tylu gospodarzy i tyle nawieźli samogonu w prezencie viršaitisowi i urzędnikom gminy na rzecz otrzymania kartek na gazol, że wszystkie urzędy gminne są dziś pijane. Weterynarz twierdzi, że wystarczy mego listu. Urok mojego imienia z czasów mojego rektoratu jest jeszcze powszechnie tak wielki, że ja osobiście dotąd nigdy żadnych łapówek i prezentów dawać nie potrzebuję i bez tego otrzymuję zwykle to, co inni za łapówki tylko mają. A łapówki, prezenty, a już zwłaszcza pijaństwo i „samogon" – są na porządku dziennym i to się robi zupełnie otwarcie. Nigdy jeszcze tak nie było, jak teraz.

13 sierpnia, rok 1943, piątek

Jeździłem do Abel z Jadzią. Różne potrzeby gospodarskie, z nich główne: otrzymanie paliwa (benzyny czy gazolu) na młócenie motorem. Mój list wczorajszy w tej kwestii do viršaitisa poskutkował – otrzymałem order na 50 kilo czy litrów tego paliwa, po które trzeba będzie jechać do Rakiszek.

Po obiedzie zaczęto u mnie trochę wozić żyto – dwoma wozami parokonnymi z VI pola między Gajem, ogrodem i Monticulem. Niedużo zwieziono, bo ludzi było mało, tylko swoi parobcy.

Po podwieczorku pojechałem do zaścianka Januszkiewiczów pod Montowszczyzną, gdzie w lasku na błotkach od rana panna Michalina, Renia, Stenia i Liza zbierały brusznice. Nazbierały ± 16-20 kilo jagód. Odwiozłem je wraz z jagodami do domu, po drodze się wywróciłem, najechawszy na duży kamień na zawrocie przy dróżce.

Z kilku stron słyszałem pogłoskę, jakby Anglia i Ameryka (podobno ultymatywnie) zażądały od Sowietów udzielenia im baz dla wojska, mianowicie Amerykanom w Syberii, Anglikom zaś – w kilku punktach frontu wschodniego przeciwko Niemcom. Ile w tym prawdy i o ile to jest poważne – nie wiem. Dużo się o tym mówi i komentuje. Ci, co są usposobieni antysowiecko, cieszą się z tego, bo mają nadzieję, że te bazy mogą szachować Sowiety w ich ewentualnej ekspansji na Europę. Ci wszakże, którzy mniej lub więcej życzliwie zerkają w stronę Sowietów, a skądinąd są obojętni na niepodległość Litwy i nie wierzą w nią w żadnych kombinacjach i w ogóle traktują zagadnienie przyszłości kraju bardzo materialistycznie w sposób wielce uproszczony (taki np. Antoni Kligis, mój parobek), uważa takie ewentualne usadowienie się Anglików za największe zło, albowiem podług niego – Anglia oddałaby Litwę Polsce, zaś rządy polskie te elementy uważają za gorsze od sowieckich i od niemieckich. W opinii tych elementów panowanie polskie byłoby panowaniem „panów", co w pojęciach tych kół łączy się z pańszczyzną ludu i z tradycją próżniaczą dworów. „Pod pańskimi rządami polskimi nie byłoby życia – to ze wszystkiego najgorsze" – tak się w tych kołach rozumuje.

14 sierpnia, rok 1943, sobota

Wożono u mnie trochę żyto, ale mało, bo ludzi brakło. Na dwie pary koni było wszystkiego trzech ludzi – i do ładowania wozów na polu, i do wiezienia, i do składania w gumnie. Poza trzema parobkami nie było do sprzętu żyta nikogo. Toteż zwózka szła żółwim krokiem; po obiedzie wożono żyto już tylko jedną parą koni, po podwieczorku zaś zaczął padać deszcz i wstrzymał

zwózkę. Novikas był wściekły na brak robotnika, chodził nadęty i ponury jak cień, w rozmowie z towarzyszami pracy złorzeczył nam, że dom pełny dziewcząt, a do pracy nie ma nikogo i że panowie śpią sobie do dziesiątej (co jest nieprawdą), próżnują i jedzą, że wszystko w naszym dworze idzie na marne, że z gospodarstwem nie damy rady, normy nie wywieziemy do rządu, parobków zabiorą do wojska przy następnym poborze, bo dla takiej zaniedbanej gospodarki żadnej ulgi nie dadzą, a wreszcie i nas Niemcy wyrzucą albo mnie do kozy posadzą, że po tej wojnie profesorów już nie będzie potrzeba, że wtedy do próżniaczego życia miejskiego pójdą oni, parobcy itd., itd. Wszystko to potem parobek Antoni Kligys wymawiał Jadzi. Novikas nie ma racji. Rzeczywiście do stołu siada u nas dużo ludzi, a do roboty w polu nie ma. Ale przecie panna Michalina pracuje dużo i w ogrodach warzywnych, i przy dzieciach, i sprząta oraz zmywa naczynia. Jadzia sama osobiście gotuje, ma nadzór nad ogrodem owocowym i całą dyspozycję pracy nad inwentarzem i domem – cały dzień pracuje jak wół roboczy w jarzmie; Renia dziś piele, myje podłogi, doi krowy, Liza skrobie kartofle i używana jest ciągle do różnych robót, Putra jest stróżem ogrodowym, Tonia zajęta inwentarzem. Może by która z nich i do roboty w polu chętniej poszła czasem, ale sam Novikas je odstraszył, bo gdy jest w złym humorze, to tyle im nagaduje i wymyśla, że go się wszystkie boją i nie chcą z nim pracować. Zresztą są albo do czego innego najęte, albo bądź co bądź są gośćmi na wakacjach, jak Renia i Liza. A przecie pracują wszystkie. Ja prawie się nie wtrącam do Novikasa, lękam się go zaczepić.

Dla mnie najbardziej przykre w tej roli właściciela gospodarstwa jest sytuacja „pana". Całe życie pracowałem na siebie, zarabiałem i nie „panowałem" próżniaczo. Czy to będąc sędzią czy profesorem, czy kiedyś dziennikarzem albo w wojsku – byłem zawsze człowiekiem pracy. Teraz w niewłaściwej dla mnie roli gospodarza na własności „dworskiej" uchodzę za „pana". Czuję się niezdatnym, zbytecznym, pasożytem. Prawdziwie jestem wykolejony. Stokroć bym wolał, żebym siedział kątem bez tytułu i charakteru pana. Ta pozycja pana jest dla mnie upokarzająca, pozbyć się jej wszakże nie mogę. Wiem, że do tego się nie nadaję i czuję się tu w pozycji fałszywej.

15 sierpnia, rok 1943, niedziela

Dzień upłynął bez deszczu. Jest wiatr suszący. Może więc jutro będziemy mogli nadal wieźć żyto.

Różne są pogłoski. Słyszałem dziś pogłoskę, jakoby Hitler ustąpił i na czele rządu niemieckiego stanął Göring. Sądzę, że to jakaś wieść bałamutna, bo Göring jest jednym z najbliższych współpracowników Hitlera. Zastąpienie Hitlera przez Göringa nie zmieniłoby systemu i nie ułatwiłoby Niemcom sytuacji wobec Anglii. Nie miałoby więc żadnego celu. Skoro nie zadowoliłoby Anglii i Ameryki, to nie stanowiłoby żadnego kroku w kierunku porozumienia na rzecz zakończenia wojny.

16 sierpnia, rok 1943, poniedziałek

Rano była pogoda niezła i zdawało się, że wytrwa przez cały dzień. Zwożono u mnie żyto. Do obiadu zwieziono całe żyto spod Gaju z VI pola. Ale po południu kilkakrotnie lunął wielki deszcz. Zwózkę żyta przerwano. Całe żyto z III i IV pola stoi nie wożone. Jest to ze 2/3 plonu. I daleko do wożenia, bo aż pod Karwieliszkami po obydwóch stronach gościńca. Trzeba będzie postarać się o tłokę na zwózkę żyta, jak tylko pogoda powróci.

Ja sam dziś jeździłem z Putrą do Rakiszek. Trzeba było przywieźć benzynę dla młócki. Były też inne przy okazji interesiki gospodarskie. W Rakiszkach byłem u žemės tvarkytojasa Kubiliusa i jego teścia, mojego byłego kolegi z Trybunału Najwyższego Macieja Čepasa. Dowiedziałem się od nich ciekawych i sensacyjnych nowinek politycznych i wojennych, które teraz zaprzątają wszystkie umysły. Otóż twierdzą, że w Niemczech zachodzi przekształcenie władzy, mające przygotować teren do zawieszenia broni czy kapitulacji. Podobno Anglia i Ameryka zażądały od Niemiec usunięcia Hitlera i stworzenia nowego rządu jako warunku dla zawieszenia broni. W Niemczech zwołana została wielka narada dwunastu, w której wzięli udział wysocy dostojnicy

nacjonalsocjalizmu z Göringiem na czele i szereg generałów z Wehrmachtu. O naradzie tej był zresztą komunikat w gazetach z podaniem nazwisk tych, co w niej udział wzięli, ale bez wskazania dokładnego przedmiotu obrad i powziętych uchwał. Powiadają, że na naradzie tej został wyłoniony nowy rząd, który ma zająć miejsce Hitlera. Podobno do rządu tego wskazany został Göring, najbliższy mąż zaufania Hitlera, z łona Wehrmachtu generał Keitel i ktoś trzeci. Anglia i Ameryka oświadczyły wszakże, że taki skład rządu na miejsce Hitlera ich nie zadawala i udzieliły terminu krótkiego na stworzenie rządu istotnie niezależnego od wpływów Hitlera, w przeciwnym zaś razie zostanie zdemolowany Berlin etc. Na tym ultimatum w tej chwili rzeczy stanęły. Czy wszystko jest w tych twierdzeniach ścisłe – oczywiście trudno wiedzieć, ale nie ma dymu bez ognia i zdaje się, że rzeczy wkroczyły w stadium krytyczne i że rozpoczęły się już pewne konwulsje agonii. Na froncie walki się toczą zarówno w Sycylii, gdzie Niemcy i Włosi się po trochę cofają, jak na froncie wschodnim, gdzie Sowiety chwalą się postępami swojej ofensywy i dziś ogłosili zajęcie Koreczewa po drodze z Orła na Bojeńsk. Koła narodowe litewskie nie są przerażone, są raczej dobrej myśli: nie tracą nadziei, że Sowiety nie zostaną dopuszczone do Litwy i krajów bałtyckich. Podkreślają, że inicjatywa zakończenia wojny jest w ręku Anglii i Ameryki, które same bez Sowietów dyktują Niemcom, poza tym twierdzą, że coś się gotuje w Szwecji, która, jak wiadomo, zerwała umowę z Niemcami, pozwalającą im na tranzyt do Norwegii przez terytorium szwedzkie (formalnie był to tylko przejazd urlopowanych żołnierzy, ale faktycznie było to bądź co bądź odciążenie transportu wojennego niemieckiego do Norwegii) i w której zaczęto rzekomo tworzyć jakieś oddziały wojskowe, zwrócone tak przeciwko Niemcom, jak przeciwko Sowietom. Domyślają się (może tylko dlatego, że tego bardzo chcą i że przeto nakręcają odpowiednio argumentację domysłów), że Szwecja będzie zużytkowana do wbicia klina między Sowiety i Niemcy na Bałtykę wschodnią. Tak czy inaczej, w kołach narodowych litewskich fermentują wielkie nadzieje szwedzkie, kojarzone z perspektywami likwidacji wojny. Skądinąd wszakże w Bohdaniszkach Liza otrzymała list od matki, Ewy Meyerowej, która pisze, że się bardzo niepokoi o to, aby nie została odcięta od Lizy, ponieważ ma informacje z bardzo pewnych źródeł o tym, że rychło spodziewać się można inwazji sowieckiej. Słowem, grunt się chwieje i bodajże się coś nowego wyłoni. Może rzeczy straszne, może rzeczy lepsze.

17 sierpnia, rok 1943, wtorek

Prawie cały dzień dzisiejszy spędziłem w drodze. W ogóle w podziale pracy w Bohdaniszkach o ile administracja gospodarcza czynna należy przeważnie do Jadzi, zaś kierownictwo bezpośrednie prac rolnych należy do Novikasa, ja zaś w tych sprawach stanowię tylko firmę i należę do rady, o tyle załatwianie wszelkich interesów gospodarczych na zewnątrz – w urzędach zwłaszcza – należy prawie wyłącznie do mnie. Poza tym do mnie należą sprawy leśne i poszukiwanie robotnika. Toteż na mnie spadają wszelkie jazdy – do Rakiszek i do Abel przeważnie. Dziś jeździłem w towarzystwie Jana Putry do Abel. Po drodze zawiozłem do młyna w Pokrewniu żyto do zmlecia (ze świeżego żyta, namłóconego ręcznie ze snopów). W Abelach chodziło o różne interesy w gminie, u weterynarza, na poczcie, u szewca... Do domu wróciłem o godz. siódmej wieczorem.

Nowin politycznych w Abelach nie upolowałem żadnych. Ludzie wciąż bąkają o zmianie rządów w Niemczech, ale ostatecznie nic nowego nie ma i w ogóle nikt nic dokładnie nie wie. Może rychła kapitulacja, a może jeszcze rok lub dwa wojny. Jedni mówią tak, inni – inaczej. A zresztą ci sami mówią i tak, i owak. Wszyscy są przygotowani na wszelkie możliwości. Bodaj nic by nikogo nie zdziwiło. Zabrakło mi teraz nawet gazet, bo się okazało, że moja prenumerata tak gazety „Ateitis" z Kowna, jak gazety „Naujoji Lietuva" z Wilna już się wyczerpała. A póki zaprenumeruję i zacznę odbierać, to nieco czasu upłynie bez żadnej gazety. Choć gazety są bałamutne, ale zawsze coś niecoś z nich się dowiedzieć można, a zresztą i „między wierszami" nauczyliśmy się czytać i rozumieć. Z nowin lokalnych są tylko dwie: jedna, że dzisiejszy nocy, raczej wczoraj z wieczora, zastrzelony został jeden z seniunasów gminy abelskiej (z którejś seniunii

północno-zachodniej na pograniczu łotewskim). Seniunas wieczorem spotkał na drodze jakiegoś nieznajomego młodego człowieka i zażądał od niego dokumentu osobistego dla wylegitymowania jego osobiście. Nieznajomy wyjął z kieszeni rewolwer i pięciu strzałami go zabił. Widział to zastępca seniunasa. Zabójca był zapewne bandytą. Tejże nocy ubiegłej w gminie abelskiej w innym punkcie pogranicza łotewskiego miał miejsce napad bandycki na zaścianek zamożnego 50-hektarowego gospodarza. Przyszło 10 bandytów, gospodarza zamknęli w pokoju, zabrali ubranie całe i wędlinę i odeszli.

18 sierpnia, rok 1943, środa

Dzień gorączkowego wożenia żyta. Pogoda niepewna; duży wiatr zachodni, suszący, ale też napędzający chmury, po niebie przeplatane słońcem toczą się krótkie, ale liczne chmurki – niektóre bardzo ciężkie, sine lub ołowiane, z których lada chwila może lunąć choć krótki, ale gwałtowny deszcz. Na południe był wyznaczony początek zwózki. Jadzia w mleczarni uprosiła na tłokę za jabłka Antoniego Malčiusa we dwoje ludzi z koniem i Konstantego Kulisa we dwoje ludzi z koniem, a Piotra Skrebysa samego bez konia. Przyrzekł też pomóc wozić Janek Čepas po zwiezieniu własnego żyta. Do tłoki wprzęgliśmy i skierowaliśmy na przęsło w gumnie nasze panienki domowe – pannę Michalinę, Renię, Lizę i Tonię. Co prawda, ani Antoni Malcius, ani Konstanty Kulys nie przyjechali, ale zwózka szła żwawo od południa. Zaprzężono pięć koni naszych – dwie pary (Czyżyk z Czewiarykiem i Dubisa z Čigonią) i jedną pojedynkę (Gulbė) – koło godziny czwartej przyjechał ze swoim koniem Janek Čepas. Daleko tylko bardzo było wozić – z najdalszego krańca mojej ziemi – z Karwieliszek zza gościńca. Przed samym podwieczorkiem, po godzinie czwartej, wypadł krótki duży deszcz. Pomimo to jednak po podwieczorku wożono żyto nadal. Ogółem zwieziono 12 wozów parokonnych i 9 wozów pojedynczych. U dziewcząt na przęśle w gumnie było wesoło: śpiewały, żartowały, śmiały się. Na wieczór jednak były już bardzo zmęczone. Szczególnie Renia. Panna Michalina pracuje jak mężczyzna.

Wszyscy czekają jakichś nowin i wypadków przełomowych. Podobno jutro upływa termin ultimatum anglo-amerykańskiego, żądającego od Niemców usunięcia Hitlera i stworzenia nowego rządu, wolnego od wpływów nacjonalsocjalistycznych jako warunku dla zawieszenia broni. Ogólna na wsi jest opinia, że 19 sierpnia coś osobliwego nastąpi. Czekają kapitulacji Niemiec. Jedni się obawiają, drudzy czekają bolszewików. Po upływie terminu, jeżeli Niemcy nie skapitulują, mają być straszne naloty i bombardowanie Berlina i innych miast niemieckich.

19 sierpnia, rok 1943, czwartek

Obrzydliwy dzień, jakby wykreślony z życia. Nie pod względem humoru i nerwów. Te dziś dopisały po wczorajszym skutecznym sprzęcie żyta. Ale obrzydliwy pod względem pogody. Gotowaliśmy się od rana do dalszego sprzętu pozostałego na polu żyta, które mieliśmy zacząć wozić od południa. Wyjechalibyśmy we dwie pary i jedną pojedynką własnych koni, obiecał przyjechać wozić własnym koniem we dwoje ludzi brat Jadzi Baliuk Čepas, również Balus Malčius, a może i Antoni Malčius po zwiezieniu reszty własnego żyta; panny nasze, choć zmęczone po dniu wczorajszym, byłyby poszły do gumna na przęsło. Tymczasem po śniadaniu parobcy poszli jeszcze kosić pszenicę, bo żyto jeszcze było mokrawe; przyjechał już Balys Čepas z Janem Sadowskim i zaczęli zwozić podgrabki żyta ze zwiezionego VI pola. Aż tu koło godziny dziesiątej rano zaczął kropić deszczyk, na razie drobny. Niebawem całe niebo zaciągnęło się jedną gęstą chmurą i deszcz zaczął padać coraz większy, nieustanny. Wiatr ustał, zadżdżyło się na cały dzień. Čepas skończył wozić mokre podgrabki, ale już o wózce od południa nie było mowy. Żyto moknie w polu, a niezwiezionego żyta jeszcze dobra połowa. Nudny dżdżysty jesienny dzień. Pod wieczór orano już tylko stare koniczynisko pastwiskowe. Lato tegoroczne jest rekordowo mokre.

Mało poświęcam miejsca w dzienniku córeczkom naszym. Warte są zaś tego, żeby je wspominać i utrwalać w tych zapiskach osobistych szczegóły ich dzieciństwa. Może kiedyś zajrzą one do dziennika ojca i chętnie by się czegoś o sobie z lat dawnych dowiedziały. Tylko ponieważ są

to rzeczy codziennie i żadnych jaskrawszych epizodów nie ma, więc się jakoś nie zabieram do tego. Są one ciekawe obie, każda w swoim rodzaju. Charakterystyczne są, żywe i niebanalne. Trzyletnia (ściśle 3 ½ lata) Iga jest od Kotuni jaskrawsza, chociaż naturalnie pod niektórymi innymi względami Kotunia góruje nad Igą. Ale co do temperamentu, energii, woli, uporu – Iga jest niezrównana. Właściwie ma ona naturę chłopca raczej, niż dziewczynki. Życie z niej tryska i ładna jest bardzo ze swymi dużymi błękitnymi oczami, okrągłą buzią, pełną koloru i prześlicznym grymasem w twarzy. Pełna jest zawsze różnych pomysłów, wszystko prędko psuje i robi szkody, jest z natury odważna. O ile Kotunia jest lękliwa i delikatna, niezmiernie ostrożna i uważna, refleksyjna, o tyle Iga jest żywiołowo impulsywna. Jeżeli się czegoś boi, to tylko przez naśladownictwo Kotuni i tylko do czasu. Kotunia boi się wszystkiego; nie odważyła się nigdy wsiąść do łódki, nie dotknie żadnego zwierzęcia czy w ogóle żywego stworzenia prócz Sajmy i ukochanego gęsiuka, lęka się wszelkich chwastów itp. Iga natomiast skłonna jest do narażania się, nie boi się nowinek, pływa łódką, kąpiąc się wchodzi do wody po szyję, oswaja się ze zwierzętami i ptactwem. Kotunia nawet w odrynie na sianie boi się skakać z jednego przęsła siana na inne niższe, Iga – skacze i zsuwa się, aż potem wydostać się nie może. Niebezpieczeństwo poznaje tylko po skutkach, kiedy już się speszy, albo imitując Kotunię.

20 sierpnia, rok 1943, piątek

O skutkach tego pono ultimatum anglo-amerykańskiego, którego termin miał upłynąć wczoraj, o tym, czy nastąpiła wreszcie zmiana rządu w Niemczech itd. – nic pewnego nie wiemy. W ogóle nic nowego w tej materii nie słychać na wsi.

Jadzia jeździła dziś z Lizą do Abel, powiozła jabłka na targ. Właściwie targi się teraz po miasteczkach na poły pokątne, ludzie sprzedają poniekąd spod poły, kryjąc się przed policją, która może zmuszać ich do sprzedawania przywiezionych towarów po cenach urzędowych niezmiernie niskich i czasem istotnie bądź konfiskuje towary, bądź sama je rozprzedaje na miejscu po takich cenach. Zresztą dzięki Bogu policja jest nie niemiecka, lecz swoja, toteż zwykle patrzy przez palce i zbyt gorliwie w tym kierunku nie działa. Zresztą rynki są słabe, towary sprzedają się tylko sezonowe, jak jagody, grzyby, jabłka, ogórki itp. albo wyroby domowe takie, jak grabie, koła, łańcuchy z drutu itd. Są też, a raczej trafiają się po miasteczkach na rynku towary spekulacyjne, sprzedawane spod poły przez spekulantów, przyjezdnych z miasta i skupujących za to produkty wiejskie (słoninę, wędlinę, masło, mąkę, jaja itp.), albo przez kolejarzy, którzy prowadzą na wsi handel zamienny i przywożą artykuły, które wieś potrzebuje (żelazo, kamień mydlany, sól, czasem sukno itd.). Jadzia powiozła dwa wory jabłek opadków letnich, które sprzedawała po 3 RM. za małą beczułkę, mniej więcej kilogramową. W mig wyprzedała cały zapas i przywiozła 300 Reichsmarek. Jabłka – to teraz jedyny artykuł w gospodarstwie, który daje gotówkę. Z tych dwóch worów jabłek-opadków zebrała więcej pieniędzy, niż moja profesorska pensja półmiesięczna, wynosząca nieco ponad 200 RM. Choć pieniądze teraz mało warte, ale brak ich wielki i nie wiadomo, skąd je wziąć, a wydatki przecie są. Żeby nie moja pensja profesorska, z której zawsze coś mi kapie, to nie moglibyśmy bez spekulacji istnieć w Bohdaniszkach, a żeby jeszcze nie las i nie jabłka, to i robotnika do tłoki byśmy nie mieli i zginęlibyśmy ostatecznie. I długów drobnych na wszystkie strony się zabrało, bo moją pensyjką wydatkom opędzić się nie jesteśmy w stanie. Jabłka nas teraz podtrzymują; wyleziemy z długów, popłacimy niezbędne wydatki – różne podatki, asekuracje itd., jeszcze trochę zbierzemy gotówki na zapas i zachowamy trochę jabłek na droższą sprzedaż jesienią. Sad owocowy – to wielki skarb w gospodarstwie, zwłaszcza teraz. Mimo że dużo wykradają, to jednak sporo i nam daje. Jadzia z rozkoszą się nim zajmuje.

Czekamy pogody. Deszczu dziś nie było, ale jeszcze wilgoć wielka. Barometr zawrócił trochę na pogodę. O wożeniu żyta nie ma jeszcze mowy – mokre. Ale jeżeli jutro deszczu nie będzie, to powieziemy żyto całą parą. Tymczasem koszono dziś pszenicę, a po obiedzie orano koniczysko pastwiskowe pod siew żyta w polu między domem a sadzawką kąpielową.

21 sierpnia, rok 1943, sobota

Rano była śliczna głęboka mgła. Izolowała ona nas od świata całego, bo nic w niej dokoła widać nie było; zdawałoby się, że się gdzieś zawisło z jakimś oderwanym strzępkiem ziemi w chaosie próżni. Barometr szedł na pogodę. Mgła widocznie zaczęła spadać: podczas gdy ziemia dokoła tonęła w mgle, u góry zaczęło przeświecać słońce. Stopniowo mgła rzedła. Miało się wrażenie pobytu w górach: kontury ziemi, drzew, wody, które się zaczęły odsłaniać, wydawały się powiększone; sadzawka kąpielowa u dołu widowiska z domu na skraju mgły zdawała się być jeziorkiem, a bek baranów, pasących się na ugorach i rżysku pod niewidocznym Gajem, odbijał się w lesie głośnym echem jak wśród przełączy górskich. Wreszcie zrobiło się jasno, a w ciągu dnia ustaliła się piękna pogoda. Rano pokoszono trochę owsa, a następnie od godziny dziesiątej zabrano się do zwózki żyta, która szła energicznie aż do wieczora. Swoi parobcy wozili dwoma parokonnymi wozami i jednym pojedynczym, a od obiadu przyjechał wozić żyto Balys Malčius i Balciuk Čepas swojemi końmi. Ogółem zwieziono dziś 12-14 wozów parokonnych i ± 19 wozów jednokonnych żyta. Na przęśle w gumnie pracowały na razie nasze panienki domowe – panna Michalina, Renia i Liza, ale rychło się zmęczyły i zdezerterowały stanowczo. Tonia zaś zachorowała. Nie wiadomo było, co robić. Znalazła się baba, która przyszła po jabłka i którą namówiliśmy na przęsło, skierowaliśmy tam także Ulianę, córkę parobka Szerszniowa, wreszcie Jadzia wpadła na pomysł skierowanie tam naszych stróżów ogrodowych – Putrę i Piotruka Simonowicza. Zostało jednak niezwiezionego żyta prawie tyleż, ile dziś zwieźliśmy. Pogoda się utrwala. Żyta jest jednak w tym roku więcej, niż było w roku ubiegłym. Było wtedy dwa przęsła żyta w gumnie, teraz jest już prawie całych trzy, a będzie ponad trzy. W przeszłym roku namłóciliśmy 170 cetnarów, teraz więc jest nadzieja, że namłócimy 200, a bodaj i więcej. W przeszłym roku miałem do oddania robotnikom cztery ordynarie, w tym roku tylko dwie i trochę dodatków. Ale też w przeszłym roku mogłem do rekwizycji dać tylko kilkanaście cetnarów żyta, teraz, jeżeli namłócę 230 cetnarów, to będę w stanie oddać całą normę rekwizycyjną: 50 cetnarów na siew, 50 cetnarów na ordynarię, 50 cetnarów dla własnych potrzeb dworu i 80 cetnarów na rekwizycję.

Iga dziś pod wieczór zachorowała. Co jej jest – nie wiemy. Lekko gorączkuje (przeszło 37°), jest senna i bez humoru, womituje przy jedzeniu. Biedne kochane dzieciątko.

22 sierpnia, rok 1943, niedziela

Jest fakt, który zawisł ciężką chmurą nad nami. Rano rozeszła się piorunem wiadomość, że tej nocy spalone zostało w Rakiszkach u Apolinarego Wienażyńskiego gumno z całym plonem zwiezionego żyta i pszenicy, które przygotowano się już młócić. Oczywiście z podpalenia przez dywersantów komunistycznych. W nocy Putra, który pilnuje ogrodu, widział trzy wielkie pożary. Wnet zaczęły napływać wieści o całym szeregu dokonanych w nocy podpaleń stodół z żytem po dworach. Mówiono, że spłonęły gumna z żytem niemłóconym w Poniemuńku, w Abelach, potem znów mówiono o Kowaliszkach, Komajach, Komaryszkach, o gumnie z żytem w dużym zaścianku gospodarza Diržysa pod Rakiszkami. Nie wszystkie te fakty się potwierdziły – w Kowaliszkach pożaru nie było. Ale że w Abelach żyto zostało we dworze spalone – to fakt i faktem też jest, że w nocy widziano na horyzoncie kilka wielkich pożarów w różnych kierunkach. Oprócz Rakiszek i gospodarza Diržysa pod Rakiszkami – wszystkie inne dwory, o których mówiono, że spalone zostało żyto, są dworami rządowymi, administrowanymi z ramienia Niemców. Rozpoczęła się więc oczywiście systematyczna akcja dywersyjna, skierowana do ogołocenia Niemców z plonów żyta. Dwory i większe gospodarstwa prywatne są oczywiście nie mniej narażone, tak ze względu na ogólne dążenie bolszewików do niszczenia dworów i „kułaków“, jak ze względu na to, że większe gospodarstwa są w drodze rekwizycji głównym dostawcą zboża na potrzeby rządowe niemieckie. Wobec tej akcji jesteśmy zdani na łaskę dywersantów. Nie ma nic łatwiejszego nad podpalenie niemłóconego zboża w słomie w gumnie, a usiłowanie dyżurowania u stodół w nocy na nic się nie zda, bo dywersanci podpalający mogą być uzbrojeni, nikt zaś z ludności broni nie ma i otrzymać nie

może, a władze niemieckie i policja nie rozporządzają takimi siłami, które by zdołały udaremnić podpalenie lub pochwycić sprawców. Białoruś jest cała w ręku dywersantów, a teraz akcja ich rozciągać się już zaczyna na nas. Poruszenie i zaniepokojenie w okolicy jest wielkie. Boją się nie tylko tzw. dwory, ale także gospodarze więksi i średni, przerażeni są parobcy, których cały zarobek i środki do życia i utrzymanie rodziny są w tym zbożu. Cały dzień byłem pod przygnębiającym wrażeniem tych pożarów. Nie wiadomo, co nas czeka. Gdybyśmy mieli żyto wymłócone i ziarno w spichrzu w zasiekach – byłoby spokojniej. Ale proszęż wymłócić! Mamy wprawdzie benzynę i oliwę na młócenie motorem, ale motoru i młocarni jeszcze nie mamy, a sprowadzenie motoru, gdyby się to nawet dało rychło zrobić, mogłoby właśnie przyśpieszyć i sprowokować podpalenie. Nie wiadomo też, co w tych warunkach robić z żytem, które jeszcze nie jest zwiezione. Kończyć zwozić – to na wypadek pożaru gumna oddawać resztę plonu na ofiarę płomieni. Zwieść do innego budynku (np. do odryny lub do magazynu przy oborze) – to nic nie pomoże, bo podpalić można także inne budynki. Ułożyć w wielkie starty na polu – to znowu równie niebezpieczne pod względem pożaru, jak w gumnie.

Jadzia dziś rano wyjechała – aż pod Żabiszki, gdzie będzie próbowała nająć i sprowadzić krewną jej ojca, która przed rokiem przyjechała z Kaukazu po zajęciu tamtych stron przez Niemców. Ta krewna, Kozaczka rodowita, mieszka tam z mężem (krewnym jest właściwie on), żadnej własności nie ma, chodzi na roboty i zarabia na życie pracą, mąż jest niedołężny. Mogłaby do nas się nająć do pracy, a potrzeba robotnicy u nas jest już nagła, bo jedyna służąca Tonia zachorowała i kto wie, czy wróci. Tonia jest w domu w Boniuszkach, siostra jej dziś mówiła, że ją do szpitala w Rakiszkach powiozą. Jadzia na noc nie wróciła. Żabiszki są daleko, a może stamtąd Jadzia zajedzie jeszcze do Speczun do Boreišisów, u których wczoraj umarł stryj Balysa Boreišisa. Po obiedzie miałem ruch. Przyjeżdżali do mnie kupcy na jabłka, przyjechali goście. Goście byli: Bulavas z synkiem z Rakiszek (eks-prorektor z czasów sowieckich) i girininkas abelski z żoną i synkiem. Przyjąłem ich herbatą, nagadałem się, obdarowałem ich koszami jabłek. Po jabłka przyjeżdżali Moskale – ze Straw i z Abel. Sprzedałem im opadków letnich za 60 RM. Szkoda, że przy gościach Jadzi nie było.

23 sierpnia, rok 1943, poniedziałek

Noc u nas przeszła bez wypadku. Gumno z żytem stoi całe. Z wieczora nie spałem do godziny jedenastej. Byłem niespokojny. Nie wiedziałem, czy się rozbierać. Obszedłem dokoła gumno, przeżegnałem je z różnych stron, bo ostatecznie innej obrony nie ma, jak modlitwa lub znak krzyża świętego. Zagłębiłem się w aleję brzozową za gumnem na górze, skąd jest podejście najbardziej odludne do gumna, ale cóż to pomoże, gdyby nawet tam byli ukryci dywersanci i gdybym ich spostrzegł! Jadzi w domu nie było – nie wróciła na noc; wróciła dopiero dziś przed obiadem, tej kobiety Kozaczki, którą ewentualnie przywieźć miała, nie przywiozła. Po godz. jedenastej w nocy rozebrałem się i położyłem; czuwanie na nic; co ma się stać, to się stanie. W nocy kilka razy się budziłem – dokoła cicho i ciemno. Zaglądałem w okna – żadnej łuny nigdzie nie widziałem. Rano wszakże dowiedziałem się, że przed ranem widać było trzy łuny pożarów – jedna na Krewny, dwie inne – bardziej na prawo i dalej. Mówiono, że jedna z tych łun pochodziła z pożaru gumna z żytem w rządowym dworze kjrewieńskim, ale potem znów mówiono, że pożar ten był gdzieś za Krewnami. W każdym razie akcja palenia plonów żyta przez dywersantów nie jest przerwana. Myśleliśmy z Novikasem ze względu na niebezpieczeństwo podpalenia gumna z żytem nie zwozić wcale reszty żyta z pola, jeno postarać się jak najprędzej o motor i młocarnię i wymłócić tę część żyta na polu wprost z mendli wraz z pszenicą, a potem, o ile gumno będzie całe, wymłócić żyto z gumna. Novikas jeździł w tej sprawie do Abel do viršaitisa. Okazało się, że liczyć na prędkie sprowadzenie motoru i młocarni Šimkusa, który u nas młócić musi, nie można; gmina nie może go do tego zmusić, dopóki ma on prace polowe u siebie. Wobec tego po obiedzie kontynuowaliśmy zwózkę żyta z pola do gumna. Ale nie było już tej radości sprzętu zboża, co była w sobotę, bo sami teraz nie wiemy, czy wieziemy dla siebie, czy na ofiarę ognia. Gadają, że w gminie są wieści o tym,

jakoby ma być dana broń tym, co dyżurują po seniunijach, jakoby też mają być powyznaczani Niemcy żołnierze do strzeżenia większych gospodarstw, żeby udaremnić akcję podpalaczy, ale czy to będzie i kiedy to będzie?! Tymczasem co noc grozi niebezpieczeństwo, a skuteczność podpaleń rozzuchwala podpalaczy. Plaga takich dywersji może się szerzyć jak zaraza. Przed dwoma laty nikt by się na taką akcję nie odważył. W przeszłym roku gadano trochę o tym, że mogą być podpalenia plonów niemłóconych, ale u nas do tego nigdzie nie doszło. A oto teraz rozpoczęło się nagle spontanicznie. Elementy komunistyczne i dywersanckie przekonały się, że siły niemieckie w kraju na tyłach są słabe, administracja i egzekutywa nie może dać rady, pobory powoływanych do wojska i do pracy w Niemczech nie udają się, poborowi nie stawiają się i spokojni ukrywają się w domu, żadnej egzekutywy nie ma. Trudno też zrozumieć Niemców: jeżeli coś zarządzają, a nie mają środków do zmuszenia wykonania, to lepiej by dla nich samych było, gdyby tego nie zarządzali, bo tylko ujawniają swoją słabość, tracą autorytet władzy. Ludzie czują i widzą, że jest bezrząd, a oczywiście widzą to dobrze i dywersanci, którzy z tego wyciągają wnioski i rozszerzają coraz zuchwalej zasięg swojej akcji. Jeżeli tak dalej będzie, jeżeli nic energicznego się nie zarządzi – a zorganizować się samej ludności Niemcy nie dają, bo się boją, żeby ta ludność zorganizowana przeciwko nim się nie zwróciła – to można przewidzieć, że po pewnym czasie od akcji podpalania gumien i plonów dywersanci, a za nimi i pospolici bandyci przejdą do akcji rabowania i terroryzowania zwłaszcza zamożniejszych i większych gospodarstw, a potem i całej ludności i że po jakimś czasie doczekamy się tego samego, co już się dzieje od dłuższego czasu na całej Białej Rusi, opanowanej przez bandy leśne i wielkie armie partyzantów i dywersantów sowieckich.

24 sierpnia, rok 1943, wtorek

I dziś noc upłynęła szczęśliwie. Zaczynamy trochę swobodniej oddychać. Wszakże niebezpieczeństwo podpalenia gumna z żytem wcale nie minęło. Dziś w nocy znowu widać było łuny pożarów – tym razem w kierunku Rakiszek. Jak się dowiedziano potem, spalone zostało gumno we dworze rakiskim i gumno zamożnego gospodarza na 50 hektarach w zaścianku wsi Bajorai za Rakiszkami. Gospodarz ten – Milaknis – był w roku 1941 czynnym partyzantem antysowieckim i bardzo okrutny był dla Żydów i komunistów. Co do pożaru we dworze rakiskim, to podpalenie nastąpiło, mimo że była wyznaczona straż specjalnie do ochrony gumien przed podpaleniem. Straż ta składała się z siedmiu uzbrojonych żołnierzy spośród konsystujących w Rakiszkach Łotyszów. Podpalone tam zostały (we dworze rządowym, byłym Przeździeckiego) trzy gumna, z których wszakże dwa udało się ugasić. Nie wiadomo, czy podpalacze kierują się wyłącznie względami na niszczenie zapasów zboża dla rządu niemieckiego, w takim razie w pierwszym rzędzie chodziłoby o dwory rządowe i o większe gospodarstwa, z których wypadają większe daniny dla rządu, bez względu na osoby właścicieli, czy też kierują się (poza niszczeniem plonów po dworach rządowych) względami zemsty i represji terrorystycznej na tych, którzy się zaznaczyli jakąś szczególną akcją antysowiecką i antykomunistyczną lub którzy słyną ze złego traktowania robotników i w ogóle uchodzą za społecznie ze stanowiska komunistycznego szkodliwych. W pierwszym wypadku niebezpieczeństwo groziłoby nam wielkie, w drugim – względnie mniejsze. Bliscy mi ludzie – parobcy, sąsiedzi – powiadają, że mnie zapewne to niebezpieczeństwo mniej grozi, bo mam powszechnie opinię człowieka dobrego i ludzkiego, który ma dla ludzi serce i nikogo nie skrzywdził. Ale nie jest to bynajmniej wzgląd mocny, na którym można polegać. W powiecie i gminie toczą się narady, jakie przedsięwziąć środki, jak zorganizować straż i obronę. Tymczasem jednak nic kategorycznego nie ma. Więksi gospodarze pilnują swoich stodół, mają w pogotowiu broń, którą mieli ukrytą. Jest podobno zamiar wyłapania wszystkich podejrzanych o komunizm ludzi i wysłania ich gdzieś do robót. Podobno w Rakiszkach pełno już jest pobranych Moskali starowierów, stanowiących najczynniejszy element komunistyczny czy prosowiecki. Ale nic jeszcze nie stwierdzono dokładnie, z kogo się składają ci podpalacze i jak podpalają. Są różne wersje w tym względzie. Jedni mówią, że robią to oddziałki uzbrojonych desanciarzy sowieckich, prowadzeni i orientowani zapewne przez przewodników

miejscowych. Inni przypuszczają, że to robią wyłącznie miejscowi komuniści albo ukrywający się u miejscowych komunistów dywersanci różni. Niektórzy twierdzą, że podpalacze strzelają do gumna kulkami zapalającymi, nie podchodząc blisko, to znów mówią, że oblewają budynek benzyną i palą w kilku miejscach naraz. Nikt nic dokładnie nie wie. Co do mnie – nie mając skutecznego środka obrony – co wieczór obchodzę z wieczora gumno, żegnam je dokoła i wkładam w szczelinę ściany obrazek z wizerunkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, który Jadzi dała Elizka Komorowska czy Kotunia Pruszanowska jako mający moc cudowną obrony.

Decyduję się na rozpoczęcie młócenia. Šimkus z Kumsz, który poprzednio ociągał się z młóceniem, teraz nagle się śpieszy młócić swoim motorem i młocarnią w okolicy i proponuje sam zacząć ode mnie. Jutro sprowadzimy jego motor, pozajutro – młocarnię i w piątek zapewne zaczniemy młócić. Tymczasem zwieźliśmy dziś pszenicę z pola. Żyta pozostało jeszcze trochę niezwiezionego w polu. Niewątpliwie przygotowanie do młócki, sprowadzenie motoru i młocarni powiększy na razie niebezpieczeństwo pożaru, jeżeli to nam grozi, ale bądź co bądź trzeba przez to niebezpieczeństwo wcześniej czy później przejść, trzymać zaś w gumnie żyto niemłócone jest równie niebezpieczne; raczej postarać się prędzej wymłócić. Po sprowadzeniu motoru trzeba będzie przed młócką parę nocy strzec staranniej gumno.

25 sierpnia, rok 1943, środa

Znowu w nocy była łuna pożaru – w kierunku zachodnim. U nas noc znowu minęła szczęśliwie: jeszcze nas nie spalono. Pojechano sprowadzić motor Šimkusa z Bojar za Rakiszkami do młócenia u nas. Zdawało się, że chwila krytyczna największego dla nas niebezpieczeństwa się zbliża. Albowiem w myśl najprawdopodobniejszych intencji podpalaczy – trzeba przede wszystkim podpalać gumna z plonami żyta tam, gdzie się już zbiera do młócenia, ponieważ po wymłóceniu ziarno ustrzec łatwiej, niż zboże nie młócone. Ale co robić – wymłócić trzeba. Trzymać stale żyto nie młócone – to jest niebezpieczeństwo stałe. Raczej raz przejść przez to większe niebezpieczeństwo, ale już przynajmniej wymłócić, o ile jeszcze nie spalą. Mieczkowscy, którzy bardziej ode mnie drżą ze strachu, bo dla nich podpalenie ich gumna byłoby połączone bodaj niechybnie ze spaleniem także całej obory i stajni z chlewami i dodatkowymi składami na zboże i sprzęty, bo wszystko jest prawie razem, nie decydują się na młócenie motorem całego żyta, aby nie prowokować największego niebezpieczeństwa na razie.

Stefan Römer, który tej nocy dyżurował w sieniunii za mnie, był zdania, że łuna pożaru, którą w nocy widać było, wskazywała na Kowaliszki. Pobudził był Mieczkowskich i wszyscy oni ubolewali nad losem Hektora Komorowskiego. Okazało się potem, że to spłonęło gumno z żytem w majątku rządowym Koźliszkach (byłym Zygmunta Rutkowskiego).

Wieczorem spotkała nas niespodzianka dobra. Ujrzeliśmy dwóch policjantów zbrojnych, podchodzących do mojego gumna. Okazało się, że są to policjanci z Abel, przysłani specjalnie do strzeżenia mojego gumna z żytem aż do czasu wymłócenia tegoż. Przydzielony do nich jest trzeci „policjant zapasowy" – Jan Zybolis, syn Piotra, ze Staczerag. Ustanowiona została straż policjantów zbrojnych (fuzja i granaty ręczne) po wszystkich większych gospodarstwach. Jest już raźniej. Policjanci z udziałem kilku ludzi lokalnych zajęli na noc posterunki u gumna naszego i Mieczkowskich. W nocy od zmroku do brzasku dziennego nikomu nie wolno chodzić – policjanci mają rozkaz strzelać do każdego człowieka, którego zobaczą, bez uprzedzenia. Na czas młócenia będziemy więc zabezpieczeni.

Od policjantów dowiedzieliśmy się, że nocy dzisiejszej udaremnione została jeszcze jedno usiłowanie podpalenia gumna z żytem – u Dudonisa w Krasztach pod Rakiszkami. Gumno jego było strzeżone przez policjantów zbrojnych. Ujrzeli oni czterech podpalaczy, zbliżających się do gumna. Jednego z nich postrzelili, trzech znikło. Postrzelony sam sobie roztrzaskał głowę granatem ręcznym. Tożsamości jego nie ustalono.

26 sierpnia, rok 1943, czwartek

Noc przeszła spokojnie – nie tylko u nas, ale i w całej szerszej okolicy. Przez całą noc nie widziano nigdzie łuny pożaru. Widocznie ustanowienie straży zbrojnej po dworach i większych folwarkach, a może także zamordowanie jednego z podpalaczy u Dudonisa nocy poprzedniej poskutkowało. Czy tylko na razie, czy już może na stałe – to się zobaczy. W nocy wystrzeliła tylko duża rakieta gdzieś w kierunku Krewien czy jeziora Sart – zwykły sygnał komunistów, który towarzyszył podpaleniom i po którym podobno ukazywały się jednocześnie w różnych punktach łuny pożarów. Ale tym razem skutków żadnych nie było. Ogólnie w kołach wrogich komunistom jest przekonanie, że w tej akcji podpalania plonów biorą udział Moskale starowiery miejscowi, którzy stanowią najzaciętszy lokalny element komunistyczno-dywersyjny. Moskale ci, których w gminie abelskiej i poniekąd rakiskiej jest dużo, są gremialnie usposobieni prosowiecko. Tam wśród nich są najsilniejsze gniazda propagandy komunistycznej i sowieckiej oraz ukrywane są elementy dywersyjne. Nie stanowią wyjątku nawet względnie zamożni gospodarze Moskale. Jeżeli nie wszyscy Moskale starowiery są w ścisłym znaczeniu słowa komuniści, to w każdym razie prawie wszyscy gorąco sprzyjają Sowietom ze względów narodowych, bo dla nich Sowiety – to przede wszystkim Rosja. W kołach narodowych litewskich, zwłaszcza w policji, w czynnikach samorządu gminnego, wśród gospodarzy Litwinów, wśród byłych partyzantów litewskich antysowieckich – narasta pragnienie odwetu na starowierów i pogróżki potraktowania ich jak Żydów albo przynajmniej wysiedlenia i pozbycia się ich. Gdyby to tylko było w mocy ludności miejscowej, to starowiery mieliby się u nas bardzo źle.

Jeździłem do Abel z Lizą w różnych sprawach gospodarskich i młócenia. Opowiadano mi tam nowinki polityczne. Podobno prasa anglo-amerykańska i europejska podkreślała fakt, że w konferencji aliantów, która się odbywa czy też już się odbyła Quebecu w Kanadzie i na którą, zdaje się, był przyjechał Churchill, Sowiety udziału nie brały, i zaznaczała, że oto Stalin wciąż się trzyma swojej taktyki lekceważenia sojuszników i działania na własną rękę w myśl własnych odrębnych celów Sowietów w tej wojnie, niezależnych od celów demokracji burżuazyjnej. W odpowiedzi na te twierdzenia i komentarze prasy radio sowieckie oświadczyło (mówiono mi, że to słyszano na własne uszy z audycji z Moskwy), że komentarze te są zbyteczne, albowiem nikt Sowietów na tę konferencję nie zapraszał, więc i brać w niej udziału Sowiety nie potrzebowały. Stąd moi informatorzy wyciągają wnioski o tym, że rozdźwięk między Sowietami i Anglo-Amerykanami jest istotny – i komentują to optymistycznie przeciwko obawom inwazji sowieckiej. Mówiono też, że jakieś radio w języku czeskim czy jugosłowiańskim (chyba z jakiejś stacji nieurzędowej ani po stronie niemieckiej, ani po stronie angielskiej) informowało w audycji politycznej, jakoby Anglia i Ameryka zażądały od Sowietów odpowiedzi kategorycznej, czy Sowiety wyrzekają się wszelkiej ekspansji terytorialnej na Europę poza granice roku 1939, czy też utrzymują swoje pretensje terytorialne w tym względzie i że w razie odpowiedzi twierdzącej na pierwsze pytanie, to znaczy w razie kategorycznego wyrzeczenia się przez Sowiety tych pretensji, po zagwarantowaniu tego wyrzeczenia się przez Anglię, alianci są zdecydowani dalej iść do zwycięstwa kategorycznego nad Niemcami ręka w rękę z Sowietami, w przeciwnym zaś razie zamierzają, po usunięciu z Niemiec rządów Hitlera uderzyć wraz z Niemcami na Sowiety. I podobno Anglia i Ameryka są zdecydowane na odbudowę niezależności politycznej wszystkich krajów na zasadach plebiscytowych czy zbliżonych do plebiscytu, z jedynym warunkiem, żeby nigdzie nie było rządów dyktatury. *Relata refero*.

27 sierpnia, rok 1943, piątek

Nic nowego. W nocy znowu nie widzieliśmy żadnej łuny pożaru. Wszędzie po dworach rządowych prywatnych czuwa straż zbrojna policji naszej albo żołnierzy Łotyszów, konsystujących w Rakiszkach. Ale spokój i bezpieczeństwo od pożarów –jeszcze nie całkowicie przywrócone. Jak słychać, na dwór rządowy w Węgierynie pod Żłobiszkami (o jakichś 15 kilometrów za Rakiszkami, niegdyś własność mojego chrzestnego ojca śp. Adama Kupścia, byłem w Węgierynie u niego raz w życiu, z Papą, przed laty ± 40) już trzecią noc raz po razie podchodziła pod gumno z żytem banda

podpalaczy; za każdym razem wywiązywała się walka między podpalaczami a strażą zbrojną i bandyci zostali odparci. Do obrony Węgieryna zmobilizowano dużo ludności miejscowej do pomocy straży zbrojnej. Mówią też o usiłowaniu podpalenia w Maneiwach gdzieś pod Juodupiem. Podobno gdzieś tam zlikwidowana została cała wioska starowierska Moskali, posądzanych o popieranie podpalaczy – całą ludność wioski wywieziono. U nas do pomocy dworu policjantom zbrojnym wyznaczeni są do straży nocnej dwaj „policjanci rezerwowi" z ludności miejscowej bez broni – Stašys z Busiszek i Pagirys z Ażubal. Jest ich więc czterech do czuwania w nocy: dwaj czuwają u naszego gumna, dwaj – u gumna Mieczkowskich. Żadnych incydentów nocami u nas nie było.

Mieliśmy zacząć młócić jutro. Ale motor Šimkusa, który stoi jeszcze u Balysa Malčiusa, wciąż jeszcze nie zmontowany. Cały dzień zabiegano koło niego dzisiaj, ale wciąż mu coś brakuje – nie funkcjonuje. Nie ma też jeszcze pasa transmisyjnego. Dobrze będzie, jeżeli na poniedziałek będzie gotowy do pracy.

Kotuńka dziś rano zasłabła. Posprzeczała się o coś bagatelnego z Igą, poruszyła się i zemdlała na ręku panny Michaliny, która ją czesała. Jest ona bardzo nerwowa. Lękam się, żeby nie wywiązała się u niej histeria. Chociaż doktorka Kubilienė, u której Jadzia dziś była w Rakiszkach i mówiła jej o symptomach zasłabnięcia Kotuńki, uspakajała, że to nic z histerią wspólnego nie ma. Gdy dokoła nastrój jest trwożny i ludzie są przejęci tą akcją podpalania gumien, dziatki nasze – Kotuńka i Iga – nic o tym nie wiedząc i tych groźnych rzecz nie pojmując, tworzą swój osobny światek życia dziecinnego i zabawy bez troski, raczej ze swoimi troskami dziecinnymi wrażeń chwili, bawią się ze swym ukochanym gęsiątkiem i żyją jak dwa wróbelki Boże.

Jadzia źle się czuła wczoraj. Dziś była w Rakiszkach, dokąd woziła opadki jabłek zimowych do „Sodyby), i radziła się u doktorki Kubilienė. Ta potwierdziła domniemanie ciąży i uspokoiła, że te niedyspozycje większe są właśnie na gruncie ciąży, która tym razem jest u Jadzi trudniejsza przez to, że ma więcej pracy i nie ma tych wygód, jakie miewała w ciążach poprzednich. Ale, niestety, nie ma widoków na ulżenie pracy Jadzi. Renia i Liza, które jej teraz pomagają, wyjadą niebawem po skończeniu wakacji, z Toni chyba nic już nie będzie, bo choć dziś wróciła, ale na wieczór znowu odeszła do domu, skarżąc się, że jest słaba. Zostaje więc Jadzia sama samiutka bez żadnej służącej – ani do podoju, ani do karmienia świń, których jest 17, ani do kuchni i pokojów. Wszystkie próby i usiłowania znalezienia służącej zawiodły i zawodzą.

28 sierpnia, rok 1943, sobota

Od czasu ustanowienia ochrony gumien z żytem niemłóconym przez straż zbrojną – pożary nocne ustały; ale atmosfera nie jest spokojna: są nocami jakieś sygnały świetlne, jakieś rakiety tajemnicze błyskają na horyzoncie, straż się denerwuje i strzela w powietrze, po ludziach chodzą różne pogłoski i domysły w przedmiocie akcji podpalającej, słychać o ponawianych, chociaż udaremnionych, usiłowaniach nowych podpalenia (Węgieryn, Maneiwy)... Nie jest spokojnie i bezpiecznie.

Wreszcie motor Šimkusa został naprawiony i dziś wieczór przywieziony do mnie wraz z młocarnią i postawiony przy gumnie. W poniedziałek jest nadzieja, że zaczniemy młócić, o ile Šimkus, który jest chciwy i wykrętny i który jest nierad, że mu za młócenie mamy płacić po cenie rządowej, bo chciałby zedrzeć cenę spekulacyjną, której płacić nie jesteśmy w stanie, jakiegoś figla nie spłata.

Ale niedobre jest to, że jak mi dziś wieczorem zapowiedział policjant Mateika ze straży u mojego gumna, jutro policjanci mają od nas odjechać, bo są odwołani gdzie indziej. Wprawdzie mówił, że obowiązek ochrony spocznie na „policjantach rezerwowych", którym zostanie udzielona broń w tym celu, ale kto wie, czy ci „policjanci rezerwowi", właściwie ludzie cywilni miejscowi, zechcą, zwłaszcza po festach jutrzejszych w Jużyntach i Aleksandrówce, pełnić faktycznie straż nocną u gumna naszego. Zachodzi więc obawa, że nocy jutrzejszej ochrony mieć nie będziemy. I oto właśnie przed samym młóceniem, w chwili, kiedy u gumna stoi już motor i młocarnia i kiedy

dla podpalaczy może być największa tentacja dokonania zbrodni. Biedna Jadzia jest strasznie przerażona – cała drży ze strachu. Biedna jest ona bardzo, bo zapracowana niesłychanie, niezdrowa, nie ma żadnej służącej – do świń, do dojenia, do kuchni, wszystko musi własnoręcznie robić z pomocą epizodyczną bądź Lizy, bądź swojej matki, bo i Renia palec skaleczyła i nic prawie robić nie może. Jadzia jest zapracowana, zbiedzona, zastraszona, znerwowana. Serce mi się kraje, gdy ją widzę taką biedną kochaną.

Źle zaczyna być u nas. Mamy przedsmak jakiejś degrengolady, która towarzyszyć może schyłkowi wojny. Fermentują czynniki rewolucji społecznej, wojny domowej, partyzantki. Zaczyna się rwać i łamać więź społeczna. Na razie to jeszcze przedsmak, bo władza siaka taka jeszcze istnieje, ale pomruki tego, co się ewentualnie gotuje czy gotować może, stają się groźne. Prawda, że w ludowym miejscowym społeczeństwie litewskim czynniki ładu i utrzymania więzi społecznej są na ogół liczne i stateczne, ale gdy się wielki ferment rozpocznie, to elementy szczytowe (społeczne i gospodarcze) będą w pierwszym rzędzie najbardziej narażone i zagrożone. Odpór mocniejszy zorganizuje się, gdy czynniki wywrotowe dotkną większej masy gospodarzy, ale wtedy szczytowe już będą leżały, a przynajmniej leżeć już będą mogły. Dlatego większym gospodarstwom i tzw. dworom niebezpieczeństwo grozi największe i w pierwszej linii. Osobiście nie zamykam oczu na to, choć staram się uspakajać biedną Jadzię.

29 sierpnia, rok 1943, niedziela

Ostatnia noc, w której gumno nasze było strzeżone przez policję zbrojną. Rano obaj policjanci – Mateika i Rapševičius – odjechali do Abel. Gdy wrócili o świcie z posterunku nocnego u gumna mojego i Mieczkowskich, otworzyłem im drzwi wejściowe, a gdyśmy rano wstali – już policjantów nie było. Zabrali rzeczy, broń, amunicję i odjechali na rowerach. Szkoda, obecność straży zbrojnej dawała spokój; było raźnie, spało się bezpiecznie. Teraz będzie gorzej, dopóki nie wymłócimy.

W nocy dziś widać było w kierunku Aleksandrówki słabą łunę pożaru. Myślałem, że to pożar bardzo daleki, gdzieś w Łotwie. Dowiedziałem się jednak później w Abelach od policji, że to spłonęło gumno małorolnego gospodarza na zaścianku siedmiohektorowym wsi Babrinka pod Norejkami. Czyżby dywersanci komunistyczni podpalali takich drobnych gospodarzy? Chyba że ten gospodarz zaznaczył się szczególnie w akcji partyzanckiej przeciwko Sowietom w roku 1941, a może po prostu podpalił go ktoś ze złych sąsiadów, mając złość na niego i podszywając się pod akcję dywersantów komunistycznych.

Jadzia jest bardzo przestraszona brakiem ochrony zbrojnej naszego gumna na noc dzisiejszą; ja także spokojny nie jestem. Na ogół nie sądzę, żebyśmy byli specjalnie na czarnej liście komunistycznej. Wszakże niebezpieczeństwo jest większe przez to, że u nas wszystko przygotowane do młócenia i że już u gumna stoją motor i młocarnia; podpalenia zaś są stosowane do gumien z żytem niewymłóconym. Kto więc zabiera się do młócenia, ten się naraża na większe niebezpieczeństwo.

Pojechałem więc wobec tego do Abel, żeby spróbować uprosić policję na wyznaczenie nam straży choćby na noc dzisiejszą jeszcze. Nic nie wskórałem. Wprawdzie naczelnik posterunku policji obiecał, że postara się to uczynić, ale widocznie tylko dla odczepienia się ode mnie, bo straży nie doczekaliśmy się na noc. Mówił, że brak mu ludzi do ochrony, ponieważ żołnierze Łotysze, którzy strzegli gumien po dworach rządowych, zostali odwołani, więc cała ochrona gumien w tych dworach spadła na policję i wszyscy policjanci, którzy strzegli gumien po prywatnych gospodarstwach większych, zostali z nich odwołani do dworów rządowych. Wprawdzie policja abelska otrzymała większy zapas broni dla „policjantów rezerwowych", ale broń ta nie jest im rozdana i ci „policjanci rezerwowi" spośród cywilnej ludności lokalnej sami, bez rozkazu i egzekutywy policjantów, do ochrony tej się nie kwapią, zwłaszcza że urzędowo broni nie mają. Ano, Bóg czuwa nad nami.

30 sierpnia, rok 1943, poniedziałek

Noc przeszła szczęśliwie. Rano zabraliśmy się do młócenia. Ludzi do młócenia stawiło się sporo. Rano ja sam objechałem szereg okolicznych zaścianków, werbując ludzi do tłoki, naturalnie za różne wynagrodzenia przeważnie w naturze – w drzewie. Motor jednak słabo funkcjonował, trzeba było zszywać pas transmisyjny ze starych kawałków, często się pas psuł to motor ustawał. Ogółem przez cały dzień młócono nie więcej, niż 4-5 godzin. Droga to zabawka, bo trzeba wykarmić ekstra – poza domownikami – kilkanaście osób. Ciężar to nie lada. Wymłócono przez dzień dzisiejszy całą pszenicę, której mamy bardzo mało – 12 cetnarów i 50 cetnarów żyta. Jutro ciąg dalszy młócenia. Gdyby jutro motor funkcjonował dobrze, to może i wymłócimy całe żyto. Wielkie zagadnienie teraz – ile się namłóci żyta. Będę się czuł mocno dopiero wtedy, gdy się namłóci 230 cetnarów. Zachodzi obawa, że tyle się nie namłóci. Niektórzy straszą, że nawet do 200 cetnarów nie napędzimy.

Pod wieczór jeździłem po oliwę do motoru (domieszać do benzyny) do Jana Šeškusa w Janówce. Nie sprzedał mi, ale pożyczył na krótko 2 kilogramy oliwy.

Od wachmistrza policji, który przyjeżdżał z Abel w prywatnym interesie swoim, dowiedziałem się, że tej nocy żadnego pożaru nie było. Wczoraj pochwycono trzech podejrzanych ludzi: dwóch jakichś ludzi sowieckich w pobliżu Węgieryna; tłumaczą się, że zbiegli z obozu jeńców, ale nie bardzo im wierzą, bo wyglądają zdrowo i są silni; trzeciego nieznajomego przyłapano pod Stoczkami za Abelami, siedzącego przy gumnie. Broni przy żadnym nie znaleziono.

31 sierpnia, rok 1943, wtorek

W nocy znowu łuna pożaru. Nie łuna, ale plama ognista na horyzoncie w kierunku na Aleksandrówkę. Jak się potem dowiedziałem w Abelach, spalone zostało gumno ze zbożem niemłóconym i całym poszorem u Niemickiego w Dideliszkach na 30 hektarach, które z Dydeliszek kupił. Dlaczego jego spalono – nie wiem. Może dlatego, że wstąpił na ochotnika („savanoris”) do wojska. Akcja podpalania gumien nie jest więc wyczerpana. Oburzenie ludności na tych bandytów czy dywersantów, którzy nocami podpalają gumna, jest wielkie. Nasłuchałem się wyrazów tego oburzenia, gdym czekał wśród tłumu na otwarcie kooperatywy w Abelach.

Młócono dziś nadal u nas. Ale znowu w motorze się wciąż coś psuło. Ogółem przez cały dzień młócono zaledwie 4 godziny. Dotąd żyta jest namłóconych 110 cetnarów. Wymłócono dwa przęsła żyta; pozostały dwa przęsła. Gdyby to była połowa, to znaczy gdyby namłócono ogółem 220 cetnarów – to byłoby nieźle. Obawiam się, że będzie mniej.

Jeździłem z Szerszniowem do Abel. Zaprowadziliśmy krowę do rekwizycji na stację kolejową. Poza tym miałem różne interesy w miasteczkach – w urzędach gminnych, w aptece, na poczcie, w kooperatywie itd.

Do Abel na stację kolejową przywieziono podobno 5000 ludzi spod frontu z miejscowości ewakuowanych przez Niemców. Są to ludzie, którzy nie zachcieli trafić znowu pod Sowiety i wycofali się z Niemcami. Coś koło 30 rodzin z tej liczby odwieziono do Antonosza i Krewien do dworów rządowych, resztę powieziono pociągiem gdzieś dalej. Są to przeważnie kobiety i małe dzieci, trochę starców. Kobiety przeważnie też stare. Ale są między nimi także kobiety zdatne do pracy. Może by się udało dostać jakąś kobietę za robotnicę do Bohdaniszek. Jutro będę znowu w Abelach, spróbuję się postarać. Zresztą wątpię w dobry skutek, bo zapewne wszystkie zdatniejsze do pracy kobiety przeznaczą do dworów rządowych.

1 września, rok 1943, środa

W nocy nie było łuny pożaru. Trzeci dzień młócenia u mnie. Trzeci i na razie ostatni. Motor dziś szedł bardzo dobrze, ale ludzi było mało, przeto młocarnia funkcjonowała słabo, bo nie nadążano podawać żyta do maszyny z przęseł. Poprzednich dni, kiedy ludzi było dużo, motor źle działał i młóciło się mało. Dziś, kiedy motor dobrze działał, ludzi było mało i znowu się mało młóciło. Gdyby ludzi dziś było dosyć, to byśmy już dziś całą resztę żyta wymłócili. Nie zdołaliśmy

jednak wymłócić wszystkiego. Trzeba już przerwać młócenie, bo jutro jeszcze mniej ludzi byśmy mieli, a tymczasem już inni za motor i młocarnię czekają. Pozostało jeszcze koło połowy ostatniego (czwartego) przęsła żyta nie wymłóconego. Wymłócimy je już później razem z jarzyną. Z rezultatu młócki jestem jednak zadowolony. Namłócono i złożono do zasieków w spichrzu 174 cetnary I gatunku ziarna, oszczędnie licząc, bo na każdym worze mniej więcej po 10 kilogramów odrzucaliśmy na wyschnięcie ziarna. Waga więc jest dobra. Z tego, co pozostało nie wymłócone, jak Novikas oblicza, może się jeszcze do 50 cetnarów namłóci. Będzie więc żyta dosyć i na siew, i na ordynarię, i dla siebie, i na rekwizycję, nawet gdyby się trochę mniej, niż Novikas oblicza, namłóciło.

Dziś znowu jeździłem do Abel. Te jazdy moje stały się prawie codziennie. Głównym celem mojej jazdy była oliwa, którą muszę od spekulantów dostać, żeby zwrócić Šeškusowi w Janówce pożyczoną od niego do młócenia oliwę. Jeździłem z Jankiem Čepasem moją klaczą Gulbią w jego linijce. Przez Janka Čepasa i jego brata Balysa nawiązałem kontakt z kilku spekulantami abelskimi, którzy przez kolejarzy abelskich mają wszelkie towary bardzo nieraz potrzebne po względnie umiarkowanych cenach spekulacyjnych. Zajeżdżałem też do dworu abelskiego do rządcy dworu Kareiwy. Jego nie zastałem, tylko jego żonę. Ta mi opowiadała różne sensacyjne rzeczy. W szczególności powiadała, że wczoraj wieczorem, kiedy Kareiwowie siedzieli przy kolacji z jednym z agronomów rakiskich, przyszedł policjant ze straży zbrojnej, strzegącej dworu rządowego i oznajmił, że na dziedziniec dworski upadła rakieta, wystrzelona od browaru z Zajezierza. Te rakiety i baloniki są sygnałami dywersantów komunistycznych. Kareiwowie się przerazili, bali się napaści. Policjant uprzedził, że na razie niebezpieczeństwa nie ma, gdyby wszakże zachodziło niebezpieczeństwo, to zagwiżdże, a wtedy niech się oni chowają albo śpieszą do straży. Cały wieczór siedzieli przestraszeni, ale nic nie było. Na moją uwagę, że przecie dywersanci czy bandyci, którzy podpalają gumna ze zbożem, nie dokonywują gwałtów na osobach, bo przynajmniej dotąd takich gwałtów nie było, pani Kareiwowa odrzekła, że od tych, co podpalają, można się wszystkiego spodziewać. Rządcy dworów rządowych i ich rodziny są w strachu wielkim, bo są na służbie niemieckiej, więc komuniści ich traktują, jak wrogów. Na Białej Rusi i w Litwie Wschodniej (na kresach Wileńszczyzny), gdzie grasują bandy leśne, rządcy dworów rządowych są przez dywersantów i bandytów tępieni na równi z policjantami i urzędnikami administracji. Opowiadała mi też ta pani o swoich rozmowach z kobietami Moskiewkami, które tu wczoraj przywieziono i rozlokowano po sąsiednich dworach rządowych. Są to ludzie spod Orła z terenów, z których się Niemcy cofnęli. Podobno pod Olitą jest ich przywiezionych do 40 000. Prawie wyłącznie baby, starsze i w średnim wieku, i dzieci. Mężczyzn bardzo mało – starcy. Przeszło 100 osób przywieziono do Abel, z których część jest tu we dworze, innych odwieziono furami do Komaryszek, Antonosza, Krewien. Podobno będą ich przydzielać także do gospodarstw prywatnych do pracy, przede wszystkim wszakże do dworów rządowych. Chcąc dostać przydział, trzeba się zwracać do zarządu grupy dworów rządowych w Rakiszkach (do agronoma Szymanowskiego). Pani Kareiwowa mówi, że słuchając opowieści tych bab włosy stają na głowie i strach przejmuje, co to by było, gdyby przez nas front przechodził i trzeba było wszystko to przeżyć. Cała młodzież i nielicznych mężczyzn w sile wieku Niemcy rozstrzelali na miejscu, a ponieważ po wycofaniu się Niemców Sowiety robią to samo w stosunku do tych, którzy ocaleli i których zastają, więc ci, co pozostali żywi, cofali się razem z Niemcami i teraz oto ich tu Niemcy przywieźli. Zresztą pozostać nie było sposobu, bo nie ma żadnego sposobu do życia w tych nieszczęsnych miejscowościach, przez które toczy się wojna. W okolicach Orła na wiosnę Niemcy, którzy widocznie nie spodziewali się, że będą zmuszeni się cofnąć, dali ludności konie i kazali uprawiać grunta. Urodzaje były bardzo dobre, ale wszystko zginęło przy walkach i cofaniu się Niemców. Wszystkie wsie kołchozów spalone, nie ma nigdzie ani jednego zabudowania. Niemcy cofając się niszczyli wszystko, wszystkie plony na polach stratowane – pustka i pustynia. Stosy trupów są tak wielkie, że można byłoby po tych stosach wdrapać się na kamienicę trzypiętrową.

Straty w ludziach po stronie tak niemieckiej, jak bolszewickiej są podobnie niesłychane. Tak powiadają te baby Moskiewki spod Orła.

2 września, rok 1943, czwartek

Ano więc z wymłóceniem i z żytem, chwała Bogu, dobrze. Teraz tylko bieda i troska z dalszymi robotami w polu. U ludzi wszędzie już owsy i jęczmiona skoszone, przeważnie nawet zebrane już z pola, ludzie koszą już groch, rwą len, niektórzy nawet rozpoczęli wczoraj siew oziminy, a w jednym zaścianku widziałem dziś, że kopią już kartofle. Na siewy jesienne i na kartofle trochę jeszcze za wcześnie, ale na sprzęt jarzyn już nie tylko czas, ale po czasie. U mnie natomiast prawie cały owies, którego jest do 12 ha, stoi nie koszony, nie tknięty jeszcze ani jęczmień, ani groch, ani mieszanka nasienna. Ugory dwa pod siew oziminy dopiero raz przed paru miesiącami zaorane, teraz trzeba je dopiero całe ponownie orać, trzecie zaś pole pod ozyminę po tymotejce dopiero kończy się orać i czeka bronowania. Jak to będzie trzeba wszystko zaorać i zabronować, skosić jarzyny i zwieźć siłą trzech parobków i 4-5 koni – to łamigłówka. Owies kosić ma kosiarką Janek Čepas, ale dopiero w przyszłym tygodniu, gdy skończy młócić u siebie. Nie wszędzie jednak kosiarką skosić się da, bo dużo owsa leży i może być koszona tylko ręcznie. W dodatku kosić się będzie kosiarką do łąk, która nie składa snopów, jeno zostawia pokosy leżące jak siano. Jest to ryzyko: jeżeli pogoda będzie sprzyjała, to dobrze się zbierze, ale w przeciwnym razie – bez snopów – źle. Nie rozumiem, jak podołamy sprzętowi jarzyn i siewom. Będzie, co będzie.

Chwała Bogu – już dwie noce upłynęły bez nowych pożarów dokoła. Może to ustanie.

I znowu dziś do Abel jeździłem. Tym razem odwoziłem weterynarza. Wracałem sam jeden, zatopiony w kontemplacji.

3 września, rok 1943, piątek

Chwała Bogu – już trzy noce upłynęły bez pożaru. Przy udaremnionym usiłowaniu podpalenia gumna u Dudonisa pod Rakiszkami, które miało miejsce w pierwszych dniach akcji podpalania, jeden z czterech napastników został ciężko raniony i wtedy, nie mogąc uchodzić z innymi towarzyszami swymi, spowodował wybuch granatu ręcznego, który miał ze sobą; granat roztrzaskał mu głowę tak, że niepodobna było rozpoznać trupa i ustalić jego tożsamości. Ale wtedy raniony był i drugi z czterech napastników. Na razie sądzono, że zdołał uciec z innymi, ale po kilku dniach znaleziono jego trupa w kartoflach Dudonisa. Otóż mówiono mi dziś w Rakiszkach, że zdołano ustalić tożsamość jego osoby. Był to Moskal starowier z Rakiszek. Nie darmo posądzano Moskali starowierów, że to oni maczają ręce w tej akcji zbrodniczej, podszywając się pod dywersantów (spadochroniarzy) sowieckich. Wszystkie podpalenia były zapewne ich robotą.

Jeździłem dziś w towarzystwie Stefana Römera do Rakiszek. Chodziło mi głównie o starania na rzecz pozyskania baby Moskiewki z ewakuowanych spod Orła do roboty w Bohdaniszkach. Zwracałem się do agronoma Szymanowskiego, stojącego na czele zarządu grupy dworów rządowych w powiecie rakiskim. Na razie nie miał baby takiej, bo wszystkie zbywające, których było do 20, po zużytkowaniu innych do dworu rządowego w Rakiszkach, rozdał już wczoraj różnym gospodarzom. Obiecał mi jednak, że postara się dla mnie o babę (raczej o rodzinę, bo przydzielają je całymi rodzinami) z któregoś z innych dworów rządowych w powiecie. Zwracałem się też do Kreiswirtschaftsführera. Tam mi powiedziano, że niebawem ma być przysłano 150 tych bab czy rodzin spod Orła do dyspozycji Kreisvirtschaftsführera (Bettingera) dla rozdania ich gospodarstwom prywatnym, potrzebującym rąk roboczych. Viršaitisy gmin mają sporządzić spisy gospodarzy, reflektujących na te siły robocze. Będę musiał się zwrócić do naszego viršaitisa w Abelach. Mam nadzieję, że mi się uda dostać, bądź przez Szymanowskiego, bądź przez Bettingera i viršaitisa. Przydziela się baba z dziećmi – cała rodzina, czasem jest i mężczyzna, ale rzadko. Mnie chodzi o babę. Jeżeli wszakże będzie dużo małych dzieci, to może być uciążliwe. Ale podobno czasem dzieci są wcale duże, po kilkanaście lat, zdatne do pracy. Warunki wynagrodzenia – żadne z góry nakazane, bo ludzie ci są na stopie jeńców wojennych; trzeba tylko dać im utrzymanie, w co

wchodzi zapewne także ubranie i obuwie, co jest w obecnych czasach trudne. Robotnice to są podobno dobre, tylko bardzo wynędzniałe, zagłodzone na razie i w łachmanach.

Wiadomości z wojny są na ogół takie: w Sycylii dawno już Niemców nie ma, cała Sycylia jest w ręku Anglików i Amerykanów. Był desant angielski w południowych Włoszech w Kalabrii. Niemcy się chwalą, że desant ten zniszczyli prócz resztek, które się ukrywają po górach. Anglicy jednak podobno twierdzą, że desant się utrwalił. Na froncie wschodnim Sowiety wciąż jednak cisną Niemców. Niemcy, choć powoli, ale cofają się na Ukrainie. Oddali Sowietom Charków, Taganrog. Są wieści o wielkich okrucieństwach niemieckich w Polsce i na ludności polskiej na terenach wschodnio-litewskich i zachodnio-białoruskich.

4 września, rok 1943, sobota

Taki mi już wypadł ten tydzień, że co dzień jeździć musiałem za interesami. Dziś wypadło mi znowu być w Abelach. Chodziło głównie o staranie dla pozyskania baby z Orła do roboty w Bohdaniszkach. Przy okazji miałem do załatwienia także inne drobne interesiki. Jeżdżąc w tych czasach do Abel lub Rakiszek – zawsze zawożę komuś w prezencie kosz pięknych smacznych jabłek, których w tym roku mamy dużo. Dziś dałem jabłka viršaitisowi. Każdy bardzo chętnie je bierze. W ogóle jabłka są dla nas w tym roku wielka podporą w gospodarstwie. Sprzedaż jabłek daje sporo gotówki, której skądinąd z gospodarstwa wycisnąć w obecnych czasach nie ma sposobu. Chociaż pieniądze są teraz mało warte, bo mało co kupić za nie można, jednak brak pieniędzy wyczuwa się dotkliwie. Dużo ich potrzeba ciągle – na podatki różne, na różne potrzeby po cenach spekulacyjnych, na opłatę drogiej robocizny. Jedyne dotąd źródło pieniędzy – to była u nas moja pensja uniwersytecka, którą nam dotąd wypłacają i którą stale dwa razy na miesiąc przysyła Żakiewicz. Ale choć pensja ta liczy się wysoka – przeszło 400 Reichsmarek miesięcznie – to jednak nie bardzo jej wystarcza. Teraz z jabłek jest dochód stały. Niedzielami zawsze ktoś przyjeżdża do Bohdaniszek kupić jabłek, a piątkami Liza wiezie z Jadzią lub Putrą kilka worów jabłek do Abel i sprzedaje je na rynku. Liza w tym celuje i przywozi za każdym razem parę albo kilka setek marek, czasem więcej naraz, niż cała moja profesorska pensja miesięczna.

Kotuńka w tych dniach chorowała. Nie było to nic ciężkiego – trochę gorączki, wymioty, niedyspozycja żołądkowa – ale Kotuńka nasza jest tak mizerna i anemiczna, blada, że każda choroba, nawet krótka, ją wyczerpuje niezmiernie. Biedna ta nasza córeczka – słabiutka bardzo. Iga wobec niej jest kwitnąca. Kotuńka jest mało towarzyska, pełna rezerwy wobec ludzi, często nawet szorstka; słodka i serdeczna, przytulna – tylko wobec nas z Jadzią, zwłaszcza do Jadzi niesłychanie przywiązana i garnąca się całym serduszkiem. Skądinąd kocha bardzo Igę, ale poza rodzicami i siostrzyczką jest samotnicą, raczej stroniącą od ludzi. Dobrze, że są one dwie siostrzyczki; choć natury ich są bardzo różne, jednak doskonale pasują do siebie i we dwie bawią się doskonale i siebie wzajemnie potrzebują. Iga jest śmiała i rezolutna, nic sobie z niczego i z nikogo nie robi, daje sobie radę, umie się kłócić i targować. Gdy coś napsoci i gdy się ją pyta, co zrobiła lub gdzie była, a wie, że zrobiła coś złego lub była tam, gdzie nie wolno, to czując, że w konsekwencji mogą być jakieś sankcje, nie odpowie od razu, nie przyzna się, lecz wpierw pyta sama: „a co będzie, kiedy powiem?" Chce się upewnić, jaka będzie sankcja czy skutek, żeby skombinować, czy warto się przyznać, czy to się opłaca.

5 września, rok 1943, niedziela

Niedziela. Odwiedziła nas niejaka pani Butkiewiczowa, żona pracownika miškų uredii w Wiżunce, Ragelisówna z domu, wnuczka starego nieżyjącego Ragelisa, który gdzieś koło roku 1926 był ekonomem u Maryni w Bohdaniszkach, a ona z siostrzyczką jako małe dziewczynki mieszkały przy dziadku. Zachowała w pamięci Bohdaniszki i mnie, bom się z nimi bawił i żartował. Przyjechała umyślnie, żeby odświeżyć swoje wspomnienia dziecinne. Miła osoba, delikatna. Była u nas na herbacie, pochodziła po ogrodzie, wyjechała obdarowana jabłkami. Potem była u nas na herbacie Oleńka Hektorowa Komorowska z Jolcią. Tak oto upłynęła niedziela. Poza tym odbyłem

swoje zwykłe prace – lekturę, pracę nad dziennikiem, nad rękopisem mojej książki o związkach państwowych, wystukałem na maszynce porcję dzienną przepisywanego rękopisu...

Od niedzieli wolę dnie powszednie, zwłaszcza kiedy mi wypada jazda do Abel lub Rakiszek, która mię rozrywa. Przeczytałem bardzo długi list od Antoniego Römera z Bawarii, gdzie przebywa on z rodziną po „repatriowaniu się” w roku 1941 do Niemiec za czasów sowieckich. Żona jego Hania jeździ po Niemczech i maluje portrety, na które nie zbywa jej obstalunków. Jest ona malarką i portrecistką pierwszorzędną, jedną ze sławnych w Europie. Syn starszy Krzysztof Römer jest gdzieś na studiach w wyższym zakładzie naukowym w Niemczech, drugi syn Henryk uczy się w Dreźnie, starsza córka Jolanta ma posadę we fraucymerze rodziny arcyksiążęcej Habsburgów nad Dunajem w Austrii, dwoje młodszych dzieci – Teresa i Gerhardt – są przy ojcu w Pötmas w Bawarii Górnej. Listy Antoniego są niesłychanie długie, sążniste, ciekawe zawsze, pełne treści i rozumowań wszelakich. W rodzinie naszej wielu zarzuca Antoniemu tę jego „repatriację” niemiecką, w której szukał on ucieczki od Sowietów. Potępiają go, że dla tej „repatriacji” musiał się podać za Niemca i zniemczyć swoje dzieci, i to akurat w czasie, kiedy Niemcy są w wojnie z Polską i w okupowanej Polsce znęcają się nad Polakami, katują i tępią ludność, rugują Polaków, a duże połacie Polski wcielili do Reichu. Z pewnością, w okolicznościach zwłaszcza obecnych wyrzeczenie się przez Polaka, za jakiego się miał Antoni, swej narodowości na rzecz niemieckiej – nie jest rzeczą ładną, szczególnie że pobudki są natury poziomej (tchórzostwo). Ale ja osobiście Antoniego zbytnio nie potępiam, bo był on zawsze bardziej kosmopolitą religijnym, katolikiem, niż Polakiem i względy narodowości nie były dla niego istotne. Teraz, usprawiedliwiając swoją dezercję narodową, tym gorliwiej broni on tezy, że ojczyznę istotną ludzi jest Królestwo Boże w niebie, a życie doczesne jest jeno okresem próby, w którym wszelkie kategorie narodowe są nieistotne i niewarte przywiązania.

6 września, rok 1943, poniedziałek

Zmarnowałem dzień. Wybrałem się rano w towarzystwie obydwóch córeczek na objazd zaścianków okolicznych dla werbowania robotnika. Zajechałem do Piotra Skrebisa, do Sakowiczów w Janówce i miałem jechać jeszcze do Kiszelowa w Matejkach, do Knisy, do Kišunasa pszczelarza w Boniuszkach. Ale od Sakowiczów zajechałem na krótko do Balysa Čepasa w Janówce. Tam wszakże natrafiłem na towarzystwo pijaków, które piło już drugą dobę po wczorajszym feście w Rogielach. Był tam Balys Čepas, jego teść Lulys, Vedeika z Gendwilów, szwagier Janka Čepasa Buckus z Wilów pod Poniemuńkiem, niejaki Strelčiunas, Janek Sadowski. Wzięli mię oni w obroty, posadzili za stołem i zaczęli poić samogonem. Samogon piekielnej mocy, kieliszek po kieliszku bez wytchnienia. Kiedy stamtąd się wyrwałem, co było dalej, jak i dokąd jechałem i jak się w domu znalazłem, nie pamiętam. Pamiętam tylko, jak przez sen, że byłem u Kisielowa, że z nim rozmawiałem, poza tym nic. Jak zdołałem dojechać, jak nie pogubiłem córeczek, jak nie wysypałem się do rowu – to Bóg, który ma pijaków w opiece, raczy wiedzieć. Obudziła mię tylko wieczorem o zmroku Jadzia: spałem na kanapie herbowej w moim pokoju na górze. Iga opowiadała, że w drodze wysiadałem, upadłem do rowu, stanąłem na klęczkach i womitowałem... Wstyd mi za siebie przed ludźmi, przed Kisielowem, przed domownikami, którzy mię mogli widzieć pijanego, gdym wrócił. Byłem jak automat, zupełnie nieprzytomny i bez pamięci.

7 września, rok 1943, wtorek

Po wypiciu wczorajszym czułem się cały dzień słaby i niedołężny.

Robota w polu kipi, ale sił mało, a zaległości roboty – wielkie. Dobrze, że przynajmniej pogoda się trzyma, to nie ma na razie niebezpieczeństwa dla skoszonego kosiarką owsa, który leży w pokosach jak siano albo leży zgrabiony w kupki, niewiązany. Do obiadu dwóch parobków dwoma parami koni orało powtórnie ugór pod żyto, dwóch ludzi kosiło owies za ogrodem, a dwie dziewczyny wiązały w snopki owies, skoszony ręcznie wczoraj. Po obiedzie Janek Čepas swoją kosiarką naszą parą koni kosił resztę owsa w X polu, jedna para koni zwoziła owies do gumna,

jednym koniem grabiono grabiami konnymi Janka Čepasa skoszony kosiarką i leżący w pokosach owies, dwie dziewczyny wiązały owies skoszony ręcznie i jeden parobek kosił owies za nowym ogrodem. Niestety, jutro przerwa w pracy – święto, fest w Abelach. Jadzia z Putrą, Pietrukiem i dwoma chłopcami najętymi zdejmowała z drzew jabłka jesienne, składane w pokoju rogowym, dawnym Gudowicza, na górze.

Wróciła dziś Wala Kozłowska, służąca pokojowa i kucharka nasza, która w połowie maja, obrażona na Jadzię, samowolnie porzuciła służbę bez względu na umowę roczną. Poszukiwaliśmy ją przez Arbeitsamt, z którego polecenia policja za interwencją naczelnika powiatu musiała ją nam przyprowadzić z powrotem do służby w myśl umowy. Wala kilkakrotnie prosiła nas, żebyśmy ją zwolnili od umowy, ale my nie ustępowaliśmy. Wszakże Wala się wykręcała i policja nie mogła jej przyłapać. Myliła ślady, w domu jej mówiono policjantom, że wyniosła się na służbę do gminy jużynckiej, papiery wędrowały z miejsca na miejsce, szukając jej, ona zaś siedziała spokojnie w domu. Być może, że Kozłowscy dawali gościńce policjantom, żeby jej nie znajdywali. Płynęły miesiące za miesiącami na próżno. Brakło nam bardzo robotnicy, Jadzia się osobiście zamęczała pracą, tym bardziej, że i druga służąca Tonia Adamonytė słabła i chorowała. Wyręczała poniekąd Renia i Liza, bawiąca na wakacjach. Ale Renia już odjechała, Liza też odjeżdża niebawem. Wszakże przed kilku dniami policjant przyprowadził nam Walę, wziął ode mnie pokwitowanie, że Walę dostarczył; Wala wszakże trochę burczała, odeszła zaraz do domu, mówiąc wprawdzie, że można po nią przysłać konia we wtorek. Nie byliśmy pewni, czy przyjdzie. Pojechała dziś po nią Tonia; Jadzia posłała przez nią duży kosz pięknych jabłek dla matki Wali i Wala przyjechała. Stanęła do pracy bez żadnych ceregieli i w dobrym humorze. Jadzi spadł z pleców wielki ciężar. Może już będzie lepiej ze służbą odtąd, bo i o Moskiewkę z bab orłowskich rozpoczęliśmy starania, i obiecano nam szukać służącą starowierkę zza Rakiszek, i do Józi Ciświckiej w Wilnie pisałem, zapytując, czy nie mogłaby nam znaleźć jakiejś robotnicy z Wilna, jak mi to ona kiedyś proponowała...

Dzięki Bogu – pożary gumien u nas ustały. Dziś już tydzień minął, jak żadnego pożaru nie było.

Ludzie – z kół polskich – gadają o jakichś strasznych rzeczach, które się dzieją w Wilnie i Wileńszczyźnie. Ale co takiego – to dokładnie nie wiadomo. Zdaje się, że chodzi o łapanie młodych ludzi obojga płci na wywożenie do Niemiec na roboty. Jutro ma do nas przyjechać Ewa Meyerowa. Od niej się dowiemy dokładniejszych nowinek.

8 września, rok 1943, środa

Przyjechała z Wilna Ewa Meyerowa. Jeździła po nią na spotkanie Jadzia z Lizą. Ewa zabawi u nas tydzień, po czym zabierze Lizę i odjedzie do Wilna. Ewa opowiada o strasznych scenach „likwidowania" Żydów w Wilnie w ostatnich czasach. Żydzi zostali zmasakrowani w getto i wytępieni prawie do szczętu. Żydów tam strzelano z karabinów maszynowych, łapano, tępiono. Niektórzy Żydzi usiłowali się bronić, uciekać, wymykać przez dachy, przez rury kanalizacji, tarasować. Wyłapywano ich zewsząd tak, jak się tępi pluskwy. Straszna była rzecz. Podobno są tacy, którym się udało uciec, zwłaszcza przez rury kanalizacyjne, dopóki Niemcy nie obejrzeli się i nie obstawili wylotów ściekowych karabinami maszynowymi. Widziało się Żydów wyłapanych z rur kanalizacyjnych i ścieków, prowadzonych na tracenie, brudnych, postrzępionych, wyglądających nieludzko. Z getta wywożono ciężarówkami trupy ledwie przykryte. W getcie szła strzelanina, był lament i krzyk dzieci i kobiet mordowanych. Drobne resztki szczątkowe Żydów, którzy ze względu na swoje umiejętności fachowe rzemieślnicze, zostali przez Niemców oszczędzani (do czasu?) jako niezbędnie potrzebni, mają być zalokowane w jakimś gmachu poklasztornym. Czy ten sam los dotknął Żydów w getto kowieńskim, Ewa nie wie. W Litwie nie było ich już nigdzie, oprócz Wilna, Kowna i Szawel.

Skądinąd w Wilnie Niemcy wyłapują młodych ludzi obojga płci do robót w Niemczech. Renia Bagdonaitė, która przed tygodniem wróciła od nas z wakacji do Wilna, ma zamiar porzucić służbę w księgarni i wracać do nas na wieś, bo i jej grozi wywiezienie do Niemiec.

9 września, rok 1943, czwartek

Do śniadania koszono jęczmień, po śniadaniu do obiadu koszono, orano i wożono trochę owies, po obiedzie do wieczora całą siłą roboczą własną i najemną wożono owies z X pola. Mnóstwo jest jeszcze owsa nie tylko do zwiezienia, ale i do koszenia, pozostaje jeszcze jęczmień do koszenia i cały do zwiezienia, groch nietknięty i mieszanka na nasienia z wyki i owsa, poza tym większa połowa ugoru do powtórnego zaorania pod siew żyta. Roboty w polu niesłychana ilość, a dni już coraz krótsze, pogoda niepewna, coraz zimniej się robi. A siew oziminy, a kartofle, buraki cukrowe i sprzęt warzywa, a narąbanie drew, a sprzęt owoców z sadu.

Pracujemy, wysilamy się, zbieramy, a co nam ta zima przyniesie – nic nie wiemy. W perspektywach politycznych, związanych z wojną, wszystko jest ciemne, niewyraźne, zawikłane. Świat błądzi po jakichś manowcach. Nikt nic nie wie, niczego nie jest pewny. Łatwiej było taką wojnę zacząć i rozpętać, niż ją zakończyć.

10 września, rok 1943, piątek

Bardzo charakterystyczny mają nasze córeczki chód; jak we wszystkim – każda z nich i w tym się wybitnie jedna od drugiej różni. Kotunia, która z twarzyczki przypomina raczej Jadzię, przynajmniej jest w typie raczej jej rodziny, niż mojej, nogi ma i chód typowo mój, bardzo charakterystyczny: robi duże kroki, stawia nogi przed siebie, idąc – kołysze się nieco na przód; nogi ma bardzo długie, zasługuje na nazwę „laskonogiej”. Iga idzie krótkimi prędkimi krokami, trochę brzuszkiem na przód, też bardzo charakterystycznie, ale zupełnie inaczej. Z twarzy natomiast Iga jest typowa Römerówna; wszyscy mówią, że jest bardzo podobna do mnie, tylko naturalnie „*en beau*”, bo jest bardzo ładna. Łączy w sobie coś ze mnie i z Eugeniusza Römera, ale także z Jadzi Römerówny Bronisławówny z Antonosza, gdy ta była mała, także z cioci Elżuni (stryjenki Bolesławowej), Römerówny z domu z Antonosza, córki dziada Edwarda i siostry Bronisława, Izydora i Edwarda-Mateusza Römerów, coś z Heli Römerówny Eugeniuszówny, ale w wydaniu ładnym. Ma Iga śliczne duże oczy jasnoniebieskie w dużej okrągłej twarzyczce. Zresztą i Kotuńka jest dla mnie ładna; twarzyczkę ma drobniutką, rysy delikatne, ładne blond włoski. Sama też jest bardzo delikatna, umie się przymilać i być bardzo serdeczna, refleksyjna jest, ma doskonałą pamięć, bardzo lubi kwiaty, chętnie i nieźle rysuje, może mieć zdolności artystyczne. Tyle na razie o córeczkach.

W polu dziś zwożono u nas owies. Z X pola zwieziono cały owies, który był koszony maszyną. Pozostał w tym polu tylko owies ręcznie koszony i ustawiony w snopkach, na mniej więcej pół dnia wózki dwiema parami koni.

Powiadają dziś, że Włochy już skapitulowały. Zdaje mi się to bardzo prawdopodobne. Już samo usunięcie Mussoliniego i zlikwidowanie faszyzmu zdawało się to zapowiadać. Wiadome też było, że rodzina królewska włoska z następcą tronu Humbertem na czele przewodziła partii pokoju. Zajęcie Sycylii i przeniesienie działań wojennych do Kalabrii na teren lądowy Włoch, wraz z bombardowaniem miast włoskich przez lotnictwo angielskie musiało przyśpieszyć decyzje kapitulacyjne Włoch. Gmach „Nowej Europy” niemieckiej zaczyna się rozsypywać w gruzy. Coś tym pachnie.

11 września, rok 1943, sobota

Z mojej wczorajszej ekspedycji do Knisy w poszukiwaniu robotnic podziennych miałem dziś plon w postaci trzech dziewczyn – Adamonisówny i dwóch Putrówien (córka Jana i córka wdowy Kazimierzowej), które dziś przez cały dzień zwijały skoszony ręcznie owies i jęczmień z pokosów w kupki. Zdecydowaliśmy z Novikasem, że nadal całą siłą konie skierujemy do wykończenia

uprawy ugorów pod siew żyta, jarzynę zaś będziemy układać na żerdzie w polu i na razie zwozić nie będziemy, żeby koni nie odrywać i nie opóźnić nadmiernie siewów. Przez cały dzień dwóch mężczyzn orało, a dwóch skończyło kosić jęczmień i kosiło nadal owies.

Dzień był dosyć zimny z wiatrem wschodnim, ale we dnie słońce dobrze grzało.

Panna Michalina obraziła się na Jadzię za to, że Jadzia stwierdziła wczoraj u Kotuńki we włosach pełno weszek i wymówiła pannie Michalinie, że zaniedbuje starannego wyczesywania Kotuńki. Przez drzwi oświadczyła Jadzi, że w końcu października kończy się jej rok i ona odjedzie. Z Bogiem! Nie jest zła osoba, owszem – dużo i chętnie pomagała pracą, gdy Jadzia służby nie miała, ale ma swoje fantazje i do dzieci nie bardzo jest staranna, a zaprzyjaźniła się z Helą Mieczkowską tak, że ciągle do Mieczkowskich ucieka. Obejdziemy się bez niej. Do dzieci żadna bona nie jest już specjalnie potrzebna. Po polsku dzieci się dosyć nauczyły, a chwała Bogu, że i po litewsku nie zapomniały. Mówią po litewsku między sobą i z nami z Jadzią. Teraz nam będzie potrzebna nie tyle bona do tych starszych córeczek, ile niebawem niania do przyszłego dziecka, którego się na marzec spodziewamy. Jadzia wymyła wczoraj główkę Kotuni naftą i weszek już nie znajduje.

12 września, rok 1943, niedziela

Znowu dziś potwierdzane są kategorycznie wieści o tym, że Włochy kapitulowały. Ci, którzy to twierdzą, powołują się na radio z Londynu. Podobno też Hitler wygłosił z tego powodu długą wściekłą mowę, nadaną przez rozgłośnie niemieckie, w której rzucał się na Włochów, zarzucając im zdradę. Powstaje teraz zagadnienie, co będzie dalej, jak się potoczą wypadki. Na zimę, kiedy sytuacja wojenna Niemiec, zwłaszcza na froncie wschodnim, stanie się zapewne trudniejsza, o ile jeszcze w Europie zaczną Niemców cisnąć Anglicy i Amerykanie, można się spodziewać krachu. Dla nas ważne jest pytanie, jak dalej rozwiną swoją akcję czynniki anglo-amerykańskie, czy ogarną one swoim wpływem także losy ziem naszych? W związku z komplikowaniem się sytuacji Niemców powstaje znowu pytanie, czy nie rzucą Niemcy na szalę ostatniego atutu wojny – zastosowania gazów trujących? Dotąd w tej wojnie nie używano tej strasznej broni, która była stosowana w poprzedniej Wielkiej Wojnie z lat 1914-1918. W całym okresie między poprzednią wojną a obecną twierdzono stale, że następna wojna, to znaczy obecna, będzie już wojną chemiczną, wojną gazów śmiertelnych. Zaopatrywano nie tylko wojsko, ale i ludność cywilną w maski przeciwgazowe. Nadeszła wojna i nie sprawdziła tych zapowiedzi. Wojny chemicznej, wojny gazowej – nie ma. Ale wciąż krążą wersje, że ta forma wojny rezerwuje się na chwilę ostatnią, jako ostatni wysiłek rozpaczliwy Niemców, kiedy już wojnę przegrywać będą. Otóż kto wie, czy do tego dojdzie czy nie i ewentualnie kiedy; mogłoby to już nastąpić prędko. Są pogłoski, zapewne bałamutne zresztą, że kwestia ta już się debatuje przez czynniki rządzące niemieckie i że doszło już rzekomo do wielkiego zatargu na tym gruncie: powiadają, że Hitler na naradzie z Radą Trzech (Goering, generał Keitel i naczelny dowódca sił morskich) żądał kategorycznie rozpoczęcia wojny gazowej, na co Keitel miał oponować gorąco, wskazując, że tu chodzi o naród niemiecki, bo Anglicy odpowiedzą na to zatruwaniem gazami miast niemieckich z aeroplanów (zdaje się, że Anglicy już tym grozili na wypadek stosowania przez Niemców wojny gazowej); dyskusja, w której Hitler groził samobójstwem, stała się tak gwałtowna, że w pewnym momencie Hitler miał strzelić i zranić Keitla. Tak ludzie gadają, ale czego nie gadają!

Dziś po raz pierwszy asystowałem przy wybieraniu miodu z ula naszych pszczół. Miód wybierał nasz pszczelarz Kišunas z Boniuszek, ja zaś, w masce siatkowej, rękawiczkach skórzanych i odpowiednio osłonięty w innych miejscach dostępu do ciała, kadziłem. Udało się dobrze, mimo że nasze pszczoły (rude, włoskie) są bardzo złe. Tylko potem przy zdejmowaniu osłon jedna pszczoła ukąsiła mię w palec, ale ja ukąszenia pszczół zbytnio się nie lękam. Miodu nabraliśmy niemało – do 10 kilo zapewne, a jeszcze tyleż mniej więcej zostawiliśmy pszczołom na zimę. Na ogół lato tegoroczne – zimne i dżdżyste – nie sprzyjało zbiorowi miodu, toteż ten rezultat jest bardzo dobry.

13 września, rok 1943, poniedziałek

O ile pierwiej trudno było o robotnika podziennego, o tyle teraz, w dniach ostatnich, napływ sił roboczych jest wielki, zwłaszcza rąk kobiecych. Trzeba byłoby korzystać, bo niebawem, jak się po zaściankach skończą siewy i rozpocznie kopanie kartofli, znowu podziennych zabraknie. Zawsze tak na wsi było. Teraz chwilowo kobiety u siebie mają mniej pracy. Zaściankom potrzeba pieniędzy, jabłek, drzew. Toteż w tym międzyczasie idą chętniej na zarobki podziemne. Ale właśnie sytuacja gospodarcza jest u mnie taka, że chwilowo mniej mi sił kobiecych potrzeba i nie mogę przeto zużytkować wszystkich, które się zgłaszają. Konie są zajęte oraniem pod żyto i na wózkę jarzyny nie mam koni. Dziś tylko jedna para koni orała, bo drugą parą Jadzia powiozła cały duży wóz jabłek – antonówek białych, pięknych, ale bardzo nietrwałych, do Rakiszek do „Sodyby" (sprzedała je tam oczywiście za bezcen, bo za 13 cetnarów wzięła 250 marek, ale za to dostała kilka kilogramów cukru i dwadzieścia kilka „punktów" na cukier po cenie rządowej, co znacznie podnosi cenę jabłek w „Sodybie"). Piątym koniem Novikas zwoził jęczmień do odryny, resztę zaś jęczmienia składano w duże sterty na żaginiach w polu, gdzie będzie stał do jesieni. Do składania stert i grabienia było pięć robotnic podziennych (Niemicka, Sadowska, dwie Malcówny – jedna córka Balysa i druga córka Jana tzw. Tapiklysa, i mała 11-letnia córeczka Antoniego Malciusa zza Gaju, doskonała robotnica, mimo że jest dzieckiem). Tak samo będziemy składali w sterty resztę owsa z pola II, V i IV, ale mało go jeszcze jest nakoszonego. Gdybyśmy chcieli, to mielibyśmy jeszcze trzy robotnice z Knisy, które odesłałem na jutro, bo roboty dla nich zabrakło. Tymczasem te robotnice dzisiejsza tyle roboty wykonały dzisiaj, że i tamtym na jutro nie bardzo będzie roboty na razie. Potrzebniejsi byliby teraz podzienni mężczyźni do koszenia (dużo jest jeszcze owsa do koszenia, groch i mieszanka nasienna). Mężczyzn przyszło do roboty dwóch – Kundrotas z Wiwieliszek i Sakowicz z Janówki; jeden z nich kosił owies – jedyny, który dziś kosił, drugi orał. Z własnych parobków Antoni Kligis układał z robotnicami sterty jęczmienia, Novikas jednym koniem zwoził jęczmień, Szerszniow z Jadzią pojechał do Rakiszek z jabłkami, syn zaś Szerszniowa, Wańka, odrabiał u Mieczkowskich przy młóceniu.

Wieczorem, kiedyśmy się już kładli spać, usłyszałem hałas pod gumnem. Okazało się, że przywieziono od Mieczkowskich młocarnię z motorem dla wymłócenia zboża Józiuka Podolskiego, któremu pozwoliłem złożyć swoje zboże w moim gumnie. Podolski skorzystał z okazji między wymłóceniem zboża u Mieczkowskich a wywiezieniem jutro rano młocarni z motorem do Piotra Zybolisa w Staczeragach, żeby wymłócić w nocy swoje zboże. Uprosił cały zespół ludzi, którzy młócili u Mieczkowskich, żeby młócili u niego w nocy i sprowadził maszyny (jako szewc – znalazł chętnych do pomocy w młóceniu nocnym, bo dziś każdy szewca i skóry potrzebuje). Ale mnie nie uprzedził i nie prosił, żebym mu pozwolił młócić w nocy w moim gumnie. Młócenie w gumnie w nocy wymaga oświetlenia, więc zachodzi obawa pożaru. Poza tym robotnicy mogą w gumnie zatrząść do słomy ogień od papierosów, a wreszcie jest w takim wypadku zawsze okazja do kradzenia owoców w ogrodzie. Nie chciałem więc pozwolić. Biedny Podolski był bardzo skonfudowany i zmartwiony. Pożałowałem go i pozwoliłem wymłócić, ale tylko na dworze bez światła i pod warunkiem, żeby nie palono papierosów. Młócenie trwało do północy. Sam siedziałem przy tym. Po skończeniu Piotr Zybolis zaraz zabrał młocarnię i motor, a ludzie się rozeszli.

14 września, rok 1943, wtorek

Podług wersji, którą wczoraj opowiadał mi Hektor Komorowski ze słów panny Szostakowskiej z Wilna, masakry Żydów w getto wileńskim, choć w szczegółach epickich tej tragedii były zgodne z tym, co opowiadała Ewa, to jednak tło miały rzekomo inne. Nie była to akcja wytępienia likwidacyjnego Żydów, jeno dramat, który się rozwinął na tle zamierzonego przewiezienia Żydów z Wilna do Estonii jako materiału roboczego na organizowanie prac, związanych z przygotowaniem wybrzeży bałtyckich do obrony przeciwko ewentualnej inwazji z morza. Gdy się Żydzi w getto wileńskim dowiedzieli czy zwąchali zamierzone ich wywożenie, to

domyślając się, że ich wywiozą na stracenie, rzucili się spontanicznie bądź do usiłowania ucieczki, bądź do usiłowania rozpaczliwego oporu. Uciekali po dachach, chowali się po kominach, pełzli po kanałach ściekowych, zamurowywali się, słowem – wymykali się lub opierali wywożeniu na wszelki sposób. Wtedy rozpoczęło się ich wyłapywanie i przy tym tępienie, wysadzania minami ich kryjówek, polowanie na zbiegów, słowem – cała ohyda mordów masowych. Ale kto wie, czy to zamierzone wywożenie Żydów (czy ostatecznie wywieziono ich jeszcze pozostałych, czy już nie – tego nie wiem) „do Estonii” na roboty – nie było tylko pozorem, pokrywającym wywiezienie na egzekucję. Wszak w tych latach, po wytraceniu masowym Żydów w Litwie i innych krajach wschodu, przywożono tutaj i do sąsiednich krajów bardzo duże partie Żydów z Czech, z Austrii, z Francji niby na roboty i tracono ich całymi partiami masowo. Żydzi wileńscy dobrze wiedzieli o tym, jak wiedzieli też Żydzi warszawscy, toteż, jak tamci, hasło wywożenia wzięli za hasło masowego wytępienia i rzucili się do ucieczki rozpaczliwej lub stawiania równie rozpaczliwego oporu. I jak w Warszawie przed kilku miesiącami, tak w Wilnie teraz skończyło się na pogromie i masakrze.

Hektor powiada, że wzdłuż całego wybrzeże Bałtyku przez Estonię, Łotwę i Litwę pas 30-kilometrowej szerokości wybrzeża ewakuowany jest kompletnie z ludności cywilnej dla organizowania obrony. Ma to być w związku ze spodziewaną od Skandynawii akcją szwedzką czy zapewne szwedzko-angielską, mającą zagrażać Niemcom na wybrzeżach Bałtyku. Hektor twierdzi, ze rzekoma interwencja Szwecji jest opłacona oddaniem Szwecji Łotwy i Estonii, pozostawiając Litwę w orbicie polskiej. Są to, jak mi się zdaje, wersje dosyć płynne i oparte na wnioskach piąte przez dziesiąte, w których może na dnie jest jakieś źródełko prawdy, ale nie tak kategorycznej, jak się już twierdzi. Poznaję w tych wersjach dawne już od roku wieści i horoskopy o jakimś domniemanym bloku Bałto-Skandii, przeciwstawianym albo równoległym do bloku polsko-czechosłowackiego, które zaprzątały gorąco opinię narodową litewską, wyrywającą się od bloku polskiego do bloku Bałto-Skandii. Jest w tym dużo romantyzmu, może coś z okruchów prawdy, ale to wszystko jest jeszcze bardzo płynne i nie skrystalizowane.

15 września, rok 1943, środa

Wyjechała dziś do Wilna Ewa Meyrowa i zabrała swoją córkę Lizę, która u nas spędziła całe długie wakacje od maja. Liza jest na ogół miła, bardzo żywa dziewczynka. Ma lat 14, ale jest już sformowana i zakrawa na panienkę. Jest ruchliwa jak żywe srebro. Trudno jej usiedzieć chwilkę na miejscu. Lata po dworze i po okolicy jak ogień. Najmilsze jej zajęcie – to biegać za różnymi posyłkami i poleceniami. Natomiast nieznośną jej jest wszelka praca siedząca na miejscu. Choć jest do pracy równej i systematycznej leniwa, jednak dużo pomagała Jadzi, kiedy nie było służącej. Zresztą nieraz pomagała i w polu, w robotach rolnych. Pogodna jest i wesoła, nucąca, kręcąca się wszędzie tam, gdzie dużo ludzi, zwłaszcza młodych. Dba już o swój wygląd zewnętrzny, lubi się stroić i czesać przed lustrem, malować paznokcie. Przyjaźniła się latem z Renią (Irutią) Bagdonaitė. Amatorka ploteczek i telegraficznego roznoszenia nowinek. Pustoszeje na jesień nasz dom. Niebawem, jeżeli Renia nie wróci z Wilna, jak zapowiada w liście (dotąd wszakże nie wróciła jeszcze), to będziemy zasiadać przy stole tylko my sami z Jadzią i córeczkami. Panna Michalina, która wciąż jest nadęta, zapowiedziała, że po skończeniu roku odchodzi (w końcu października), Stefan Römer, który mieszka w oficynie, przychodzi tylko do stołu, ale zapewne Marysia, jego żona, zabierze go z Bohdaniszek do Kowna, gdzie sama chce się też urządzić, żeby być bliżej Steni, którą jutro od Mieczkowskich wywozi z Bohdaniszek do Kowna do gimnazjum. Ano, nie przykrzymy sobie z Jadzią, jeżeli zostaniemy na zimę sami z córeczkami. Teraz córeczki nasze – Kotuńka i Iga – jadają osobno same w pokoju dziecinnym. Jadły poprzednio przy wspólnym stole, ale Stefan i Liza tak je gderali przy stole, że okazało się lepiej sadzać je osobno.

Dzień już był dziś zupełnie jesienny, pochmurny i brzydki. W polu orano pod żyto i koszono owies. Kończę już kosić owies na górze za ogrodem w kierunku dużego wąwozu. Pozostanie do skoszenia jeszcze groch, mieszanka nasienna i duży łan owsa w IV polu.

16 września, rok 1943, czwartek

Dwie pary koni nadal orały ugór pod siew żyta. Dwóch podziennych – doskonali młodzi chłopcy, Antoni Malcius, syn Jana „Tepeklisa” z Karwieliszek, i Michał Błażewicz, syn Michała z Ginduryszek, pierwszorzędni robotnicy, którzy teraz co dzień koszą u mnie, kończyli kosić owies na górze za naszym ogrodem i zaczęli wieczorem kosić groch. Oprócz tego grochu pozostaje do skoszenia jeszcze mieszanka nasienna i owies w IV polu.

Od Mieczkowskich odjechała dziś Marysia Stefanowa Römerowa ze Stenią, która wraca do gimnazjum w Kownie. Stenia musiała się w Kownie w gimnazjum podać z pewnością za Litwinkę, bo Niemcy już od końca roku 1941 czy też początku roku 1942 zabronili przyjmowania tak do uniwersytetów, jak do gimnazjów – Polaków. Mimo więc że Stefanostwo są bardzo gorliwymi Polakami i Litwinów traktują niechętnie i z pogardą, musieli się podszyć pod litewskość. Zresztą nie dotyka się tego tematu w rozmowach. Marysia Stefanowa nosi się z myślą zamieszkania w Kownie lub pod Kownem, żeby być blisko Steni, a z pobytu swego w Bohdaniszkach u Mieczkowskich wyniosła przekonanie, że nie gorzej potrafi pracować i zarabiać na siebie i rodzinę, niż u Mieczkowskich na darmowym chlebie, gdzie musiała też, w braku służącej, być kucharką, karmić świnie itd. Marysia chce też zabrać do Kowna Stefana, który siedzi u nas. Na razie przez lato Stefan mieszkał i mieszka u nas w oficynie, gdzie ma dobry pokój, ale na zimę tam pozostać nie może, bo pokój, choć ma piec, jest na zimę chłodny i wilgotny w murowanym z kamienia domu i nie ma dubeltów w oknach. W naszym domu mieszkalnym nie możemy Stefana pomieścić, bo nie ma tam dla niego pokoju ciepłego, a trudno go lokować w korytarzu lub pokoju jadalnym, dawny zaś pokój ekonomski jest obecnie przerobiony na kuchnię. Moglibyśmy Stefana umieścić tylko w chacie parobczanej, gdzie miałby pokój z podłogą, piecem i dubeltami, wcale porządny, tylko ze wspólnym wejściem i sienią z rodziną parobka Novikasa. Ale Stefanowi to nie dogadza, jego duma „pańska” nie znosi tego, żeby mieszkać w „chacie parobczanej”; poza tym są tam podobno pluskwy, które trzeba byłoby wytępić. I w ogóle Stefan jest, zdaje się, niezadowolony z pobytu u nas – wciąż się czegoś dąsa i obraża. Będzie lepiej dla niego samego, jeżeli go Marysia zabierze.

17 września, rok 1943, piątek

Dziś nie orano ugoru wcale, bo konie były zajęte: jedną parą koni Jadzia powiozła duże kary jabłek do Abel, drugą parą Novikas pojechał na furmankę do lasu rządowego za Abelami wieźć belkę; pozostał tylko ogierek dwulatek Czyżyk, który wypoczywa. Za to całą siłą w pięć kos koszono: dokończono kosić groch w I polu i zaczęto kosić owies w ostatnim kawałku w IV polu. Na jutro gotujemy się do kapitalnej zwózki owsa. Powietrze – ładne. Bardzo ciepło, jak w lipcu. Rankami duże mgły jesienne, do południa duża rosa, po południu słonecznie i pięknie.

Jabłka dały nam już 2800 RM. gotówki, ale prawie wszystko się rozeszło, bo trzeba było kupić łańcuchy, hufnale (po cenach spekulacyjnych), owce na rzeź na karmienie robotników, wypłacać duże sumy podziennych itd. Gdyby nie jabłka, to byśmy w ogóle zginęli, bo to jedyne źródło gotówki. Dopływ gotówki z mojej pensji uniwersyteckiej, którą mi tu Żakiewicz z Wilna odsyła (dwa razy na miesiąc po 200 z czymś Reichsmarek) – to kropla w morzu na potrzeby gospodarskie. Z jabłek jest dopływ gotówki ciągły i duży. One nas stawiają na nogi. Jadzia mię ciągle błogosławi za to, że zasadziłem ten ogród. Trzeba byłoby w nim dużo jeszcze dosadzić drzew na miejsce tych, co wymarły w toku kilku zim mroźnych w latach 1939-1941. Jadzia otrzymała w Abelach depeszę od Reni (Iruti) Bagdonaitė z Wilna, że przyjeżdża w niedzielę rano.

Od miesiąca już nie otrzymuję gazet. Wyczerpała się prenumerata, a choć przed dwoma tygodniami wysłałem do Kowna pieniądze na nową prenumeratę dziennika „Ateitis”, nie mogę się gazety doczekać. To jest wielki brak dla mnie, nie tyle ze względu na wieści z wojny i polityczne, bo te są bardzo jednostronne i mało dają informacji realnych, ile ze względu na kontakt w ogóle z życiem publicznym krajowym, które bądź co bądź ma pewne odzwierciedlenie w prasie.

18 września, rok 1943, sobota

Dziś jeden z wielkich dni w pracach gospodarskich w polu: wielkie wożenie owsa z pola do gumna. Co prawda, woziliśmy tylko od południa, bo rankami teraz jest taka wielka rosa i tak długo się trzyma, że do południa zboże w polu jest mokre. Ale za to zmobilizowaliśmy do zwózki wszystkie siły własne i pomocnicze. Wożono owies dwoma parami naszych koni w karach i jednym wozem pojedynczym piątym koniem, poza tym z koniem i wozem jednokonnym do wózki przyjechali: Balys Čepas za słomę żytnią, kowal Franciszek Błażewicz za łoneczki i rowy w owsie do koszenia i Kundrotas z Wiwieliszek za drwa. Ogółem więc były czynne cztery wozy jednokonne i dwa wozy parokonne. Owies ładowano w gumnie na dwa przęsła dla pośpiechu, a wozić wypadło nie z daleka: resztę z X pola za starym ogrodem, z góry za nowym ogrodem i trochę z IV pola pod Gajem przed Karwieliszkami. Robota szła ochoczo i raźnie, jak zawsze, kiedy dużo jest sił roboczych. Była to zwózka podobna do zwózki żyta w dniu 21 sierpnia. Zwieziono większą część skoszonego owsa i trochę jęczmienia ze stert. Zbiory jarzyn, choć wielce spóźnione, zostały już mocno pchnięte naprzód. Do skoszenia pozostaje już tylko niewielki kawałek owsa w IV polu. Niezwiezionego owsa pozostało jeszcze trochę w pokosach świeżych w IV polu i nieco w II polu na górze, gdzie w owsie jest dużo trawy. Pozostała do skoszenia jeszcze mieszanka nasienna. Poza tym w stertach stoi jeszcze większa część jęczmienia i na ustawienie w żaginie czeka skoszony groch. Przyszły tydzień będzie poświęcony przeważnie problemowi siewu oziminy. Ugoru do powtórnego zaorania pozostało już bardzo mało. Trzeba go będzie jeszcze zabronować na obu polach ugorowych, pole zaś po starym koniczynisku pastwiskowym jeszcze zabronować i wydrapakować. W każdym razie, w przyszłym tygodniu siewy już rozpoczniemy.

Jakoś jeszcze w tym roku sforsowaliśmy gospodarstwo rolne, z którym z roku na rok jest coraz ciężej. Co będzie w roku przyszłym i jak sobie damy radę – trudno powiedzieć. Ale w ogóle nic nie wiemy, co nas w roku przyszłym czeka. Żyjemy w tym koszmarze wojny jak w hipnozie. Z dnia na dzień. Żyjemy, póki żyjemy. A czy żyć będziemy i jak – tego nie wiemy.

19 września, rok 1943, niedziela

Rano Jadzia z córeczkami pojechała na stację do Abel po Renię Bagdonaitė, która wraca z Wilna. Przywiozła ją przed południem. Renia musiała uciekać z Wilna, bo Niemcy zarządzają tam (w Wilnie i innych miastach Wileńszczyzny) po ulicach i po mieszkaniach całymi kwartałami obławy na młodzież obojga płci, wywożąc połapanych do Niemiec na roboty. Wywożenia do Niemiec do bombardowanych miast ludzie się naturalnie boją, bo zresztą w ogóle warunki pracy i utrzymanie w Niemczech dla wywożonych są ciężkie, a nikt prócz śmiałków się też nie kwapi do dalekiego wyjazdu na obczyznę w warunkach wojny i przymusu, gdzie jest on w dyspozycji Niemców jak niewolnik. Od zabrania nie chroni ani to, że się ma pracę w kraju (Renia miała posadę w księgarni rządowej „Valstybinės Leidyklos" w Wilnie, ale co znaczy dla Niemców jakaś księgarnia litewska, w której zresztą żadnego towaru prawie że nie ma!), ani to, że Renia nie jest jeszcze w wieku poborowym (wiek poborowy dla dziewcząt z miast na roboty do Niemiec ogłoszony jest do roku urodzenia 1922, podczas gdy Renia urodzona jest w r. 1924). Faktycznie zabierają wszystkie, jakie złapią. Z Wilna już prawie cała młodzież uciekła, nie tylko Polacy, których w pierwszym rzędzie chwytają, ale też Litwini. Od Reni dowiedzieliśmy się, że aresztowany jest Andrzej Mieczkowski. My z Jadzią nic o tym nie wiedzieliśmy. Mieczkowscy o tym już wiedzieli i oczywiście w związku z tym jest wyjazd do Wilna Helci Mieczkowskiej, która przed kilku dniami wyjechała z Ewą i która tam czyni zabiegi w sprawie Andrzeja. Elwira jednak nie wie o tym, przed nią to ukrywają. Andrzej wyjechał z Bohdaniszek do Wilna, bo mu tu w Bohdaniszkach było ciasno, gdy gospodarstwo przejęła od niego Helcia. W Wilnie za pośrednictwem Antoniego Zykusa dostał jakąś posadkę rewizora handlu w urzędzie Li-Mi-Po. Zdaje się – siedział cicho; pracował bawił się swoim zwyczajem flirtem z panienkami. Aresztowany został w związku z zabójstwem jakiegoś Niemca. Z powodu tego zabójstwa Niemcy zarządzili w dużym promieniu miasta obławę w mieszkaniach i wyłapywali młodych ludzi

Polaków, zwłaszcza inteligentów. Natrafili i na Andrzeja i posadzili go do więzienia na Łukiszkach. Podobno dziesięciu już rozstrzelali. Są to *sui generis* zakładnicy. Szukają nie tyle winowajców, bo tych nie znajdą, ile w ogóle wszystkich młodych, żeby dezorganizować społeczeństwo. Da Pan Bóg, że Andrzeja nie rozstrzelają, bo nie jest żadnym działaczem, nie skompromitowany, nie ma żadnego wybitniejszego stanowiska. Ale jest młody, tłucze się po mieście, nie ma rodziny, nie ma pracy ze stanowiska wojennego istotnej, toteż mogą go zabrać na roboty bądź do Niemiec, bądź gdzieś na front, a tymczasem jeszcze go wymęczą w więzieniu. Szkoda biednego Andrzeja.

Przyjeżdżał dziś do nas z Abel Kareiva, rządca dworu abelskiego, wraz z kierownikiem gorzelni rządowej (dawniej Przeździeckiego) w Abelach z żoną (zdaje się, że się nazywają Kozakiewiczowie). Przyjeżdżali dla zakupu jabłek (zamiany na jabłka – buraczków, selerów i kapusty, o co Jadzia prosiła) i byli u nas na herbacie z zakąską i wódką. Od Kozakiewicza dowiedziałem się ciekawych wieści wojennych, o których mało wiem, mało się ruszając w ostatnich czasach, nie mając gazet i nic nie słysząc z wieści radiowych. We Włoszech skapitulował rząd Badoglia, ale są tam teraz dwa rządy. W południowej części Włoch, gdzie są Anglicy i Amerykanie, funkcjonuje rząd Badoglia, który stanął po stronie Anglii i Ameryki. Natomiast w tej części Włoch, gdzie się trzymają Niemcy, odrestaurowane zostały rządy faszystów z Mussolinim na czele. Mussolini był po przewrocie wywieziony przez rząd Badoglia i osadzony na jakiejś wyspie. Po urzędowym skapitulowaniu Włoch lotnicy niemieccy sprowadzili z wyspy Mussoliniego i postawili go w Rzymie znowu na czele rządu, oczywiście proniemieckiego. Rządy faszystów i Mussoliniego w okupowanej przez Niemców części Włoch są już tylko manekinem okupantów. „Duce” Mussolini zeszedł do roli kreatury niemieckiej. *Sic transit gloria mundi*. Wielkość dyktatora Włoch zmalała i zeszła na psy. Jednak większa część Włoch jest jeszcze w ręku niemieckim. Nie tylko Rzym, ale także Neapol jeszcze się trzyma. Wiele oddziałów wojsk włoskich jest zdemobilizowanych, względnie rozbrojonych i internowanych. Większa część floty włoskiej przeszła na stronę Anglików. Na froncie wschodnim na Ukrainie Sowiety wciąż się jednak posuwają naprzód po trochę – na Ukrainie zadnieprzańskiej.

20 września, rok 1943, poniedziałek

Dwóch parobków (Novikas i Antoni Kligis) pojechało parą koni do lasu rządowego za Abele na furmankę – wozić belki. Parobek Szerszniow poszedł do lekarza do Rakiszek. Na cały dwór pozostał jeden robotnik, bardzo leniwy, Wańka Szerszniow, który przez cały dzień niby orał ugór. Spodziewam się jutro skończyć orać ugór. Ale było dwóch podziennych chłopców – Antoni Malcuk z Karwieliszek i Błażewiczuk z Ginduryszek, którzy cały dzień kosili; skosili resztę owsa w IV polu i zaczęli kosić mieszankę wyki z owsem nasienną w I polu. Była też podzienna Gienia Malcówna z Karwieliszek, również doskonała robotnica, która stawiała skoszony owies. Tą drogą zaległe roboty siako tako szły.

Nic nowego nie słyszałem. W świecie polityczno-wojennym nic ciekawego. Wojna weszła w stadium, w którym się wszystko zaczyna rozłazić. Jest już zapach rozkładu, przedsmak końcowego okresu wojny, w którym wojna zapewne przerodzi się w zamieszanie, jeżeli nie nastąpi rychła kapitulacja Niemiec i energiczna interwencja Anglii i Ameryki. Jaką będzie ta nowa Europa, która się wreszcie ustatkuje po wojnie – to jest dla wszystkich wielka zagadka.

Na wieczór zaczęło się zanosić na deszcz. Barometr pędzi gwałtownie na słotę.

21 września, rok 1943, wtorek

W nocy padał gwałtowny deszcz. Dzień wszakże upłynął bez deszczu. Dwaj chłopcy podzienni kosili cały dzień mieszankę. Dwie pary koni do obiadu skończyły orać ugór i zaczęły bronować w VII polu za sadzawką kąpielową, gdzie jutro rozpoczniemy siew żyta. Novikas narąbał w Gaju żerdzi do układania jutro na nich stert grochu.

Odwiedziłem z Jadzią Elwirę, która nic jeszcze nie wie o aresztowaniu w Wilnie Andrzeja. Helcia Mieczkowska jeszcze z Wilna nie wróciła. Widocznie robi starania o uwolnienie albo o ulżenie losu Andrzeja.

Prawie co dzień po trochę „uczę" Kotuńkę. Nie jest to jeszcze właściwie nauka regularna, bo jest na nią za mała, nie ma jeszcze 5 lat skończonych, ale po trochę poznaje litery i liczby. Zna już kilka wielkich liter drukowanych – A, B, C, Č, D, E, F, G, O, zna liczby od 0 i 1 do 10, umie liczyć do 1000. Nauczyła się na pamięć wierszyka: „Pasakykit man paukšteliai". Zdaje się, że będzie do nauki zdolna. Pamięć ma doskonałą. Chętna jest do nauki i miła. Iga niczego się jeszcze uczyć nie usiłuje i nie chce, jest na wszystko oporna i leniwa na wszelki wysiłek.

22 września, rok 1943, środa

Jeździłem dziś do Abel w różnych interesach, których zawsze jest pełno. Zrobiłem tam wielki zapas papierosów. Mianowicie za jabłka, dostarczane do „Sodyby", „Sodyba" płaci bardzo nędznie, ale daje premie dobre w cukrze po cenie rządowej (po 50 fenigów za kilo cukru, podczas gdy w handlu prywatnym spekulacyjnym kilo cukru kosztuje do 40 marek) i w punktach, za które można nabyć po cenie rządowej bądź cukru, bądź soli, bądź papierosów, bądź wódki, bądź niektórych wyrobów z żelaza. Jadzia lepsze gatunki opadków i jabłek zrywanych trwałych sprzedaje bądź na rynku, bądź prywatnie po cenach wolnych – od 2 do 5 marek za kilo – ewentualnie w tejże cenie bądź opłaca nimi robotników, bądź zamienia na towary lub na usługi (kupuje owce na rzeź, zamienia na cebulę, na selery, buraczki, kapustę, których nam w tym roku brak, opłaca szewca za obuwie itd.). Do „Sodyby" zaś wywozi gorsze opadki brakowne i antonówkę białą (nie kamieniczkę), bardzo ładną na wygląd, ale bardzo nietrwałą. Zapłatę w „Sodybie" bierze śmiesznie małą w stosunku do cen prywatnych (za kilo po fenigów 40 za antonówkę i 12 za opadki), ale za premię to się nieźle opłaca. W przeszłym tygodniu za wóz parokonny antonówki do „Sodyby" (16-17 cetnarów) wzięła dwieście kilkadziesiąt marek, ale dostała 14 ½ kilo cukru i 21 punkt. Te punkty poświęciła mnie na papierosy. Za 1 punkt dają 60 papierosów. Dostałem więc 1260 papierosów doskonałego gatunku – „Victoria" z fabryki wileńskiej – i kosztowało mię to tylko 40 marek (w wolnym handlu za tę cenę dostałbym najwyżej jedną setkę tych papierosów). A że dostałem jeszcze 90 sztuk papierosów na kartkę tytoniową moją, więc ogółem przywiozłem z Abel 1360 papierosów – zapas, który mi wystarczy przynajmniej do Bożego Narodzenia.

W Abelach we dworze widziałem panią Kareiwową, która mi opowiadała o babach Moskiewkach spod Orła, których kontyngent przydzielony jest tam do pracy we dworze rządowym. Powiada, że robotnice są dobre, jak również nieliczni mężczyźni z tegoż kontyngentu. Są to ludzie dobrzy, bardzo wydyscyplinowani, karni (bolszewicy są mistrzami w dyscyplinowaniu mechanicznym mas), są ludzcy, pokorni, Stalina i komunistów nie lubią, przyznają, że ich życie w kołchozach sowieckich było nieznośne, niewiele się różniące od bydlęcego. Kultury elementarnej nie mają żadnej, robią wrażenie ludzi dzikich. Kobiety nie umieją doić krów ani piec chleba, ani gotować po ludzku. Warunki ich życia w kołchozach były głodowe. Nie umieli nic; rodzina z trzech osób za 800 i kilkadziesiąt dni roboczych w roku dostawała 15 pudów (5 cetnarów) zboża. Ze zboża tego i kartofli musiała się utrzymać. Tłuszczów, mięsa i mleka nie widzieli. Zbierali po lasach żołędzie, które mieszali ze zbożem na pożywienie. Kartofli suchych nie jadali, jeno gotowali z nich „zupę", to znaczy nakrajali kartofle do wody i gotowali aż się kartofle rozsypią i rozpłyną; do tego nie mieli żadnych jarzyn, marchwi nie znali. Dopiero tu ich nauczono gotować zupę i jeść kartofle. Gdy porównują swoje życie z życiem ludzi tutaj – nawet w obecnych warunkach wojennych – to dają wyraz swojemu zdumieniu i biedują nad sobą, że tak ich oszukiwano i wyzyskiwano, że ludzkiego życia nie widzieli, ze nie są na nic zdatni, upośledzeni przez naturę i przez władzę swoją. Ubiór i bieliznę mają archaiczną i z łachmanów. Nie znają żadnych wygód ani elementarnych urządzeń. Swoje potrzeby naturalne załatwiają tam, gdzie stoją, bez żadnego wstydu i bez wyboru miejsca. Pani Kareiwowa wzywała te kobiety do posługi, np. do mycia okien. Nie miały pojęcia o takiej robocie, nigdy o takich czynnościach nie słyszały. Że jest jeszcze taka ludność w Europie!

23 września, rok 1943, czwartek

Wczoraj rozpoczęto u mnie siew żyta. Novikas wysiał wczoraj 335 kilogramów ziarna i dzisiaj – 240 kilogramów, razem 575 kilogramów, czyli 11 ½ cetnarów. Ogółem zamierzam posiać do 50 cetnarów żyta i 5 cetnarów pszenicy. Na razie siejemy w VII polu, idącym od sadzawki kąpielowej do zaścianka Jadzi między Gajem a drogą do zaścianka (dawniejszą niegdyś drogą na Pokrewnie). Jest to ugór bez nawozu po owsie z roku 1942. Powinna była być podług płodozmianu w tym polu koniczyna pierwszoroczna, ale że w przeszłym roku nasienia koniczyny nie miałem, więc jej nie posiałem i pole to po roku ugoru przeznaczyłem na żyto.

Dziś w nocy koło godziny pierwszej po północy zbudził nas z Jadzią odgłos wybuchu, niezbyt zresztą silnego. Niebawem usłyszeliśmy znowu trzy takież wybuchy – jeden po drugim. Po krótkiej przerwie – piąty wybuch. Nie wiedzieliśmy, co to jest. Słuchaliśmy, czy nie posłyszymy warkotu samolotów, ale nic nie było słychać. Domyśleliśmy się, że to jakieś wybuchy na kolei żelaznej. Zdawało się, że musiały być dosyć dalekie. Ci, co w nocy na odgłos wybuchów byli wstali, powiadają, że widać było w kierunku północno-zachodnim jakieś rakiety świetlne. Dziś przed południem słychać było w tymże kierunku odgłosy jakby kanonady. Jadzia, która woziła dziś wóz jabłek do „Sodyby" w Rakiszkach, słyszała tam, że wybuchy nocne pochodziły od min na torze kolejowym w okolicy Gindwilów między Rakiszkami a Abelami. Na naszej linii kolejowej między Radziwiliszkami a Griwą uszkodzenia dywersyjne toru stały się w ostatnich czasach bardzo częste. Poprzedniej nocy były na tej linii aż dwa wypadki, jeden z nich – pod Poniemuńkiem. No ale za to podpalanie gumien ze zbożem ustały całkowicie. We wrześniu nie było już ani jednego podpalenia w naszych stronach.

24 września, rok 1943, piątek

Dziś posiano 265 kilogramów żyta, tym razem już w polu VIII, na ugorze z nawozem. Ogółem więc posiano dotąd 840 kilogramów, czyli niespełna 17 cetnarów. Skoszone już jest wszystko; wczoraj skończono kosić mieszankę nasienną. Mieszankę tę (wykę z owsem) dziś układano w sterty. Po trochę wypadają deszcze i przeszkadzają w zwiezieniu resztek owsa z pola V na górze za nowym ogrodem i z pola IV.

Jadzia zbiera dosyć forsownie jabłka z drzew i składa je częściowo w spichrzu, częściowo w domu na górze w pokoju rogowym (dawnym Gudowicza). Dziś powiozła trzy wory jabłek na sprzedaż do Abel na rynek. Sprzedała za 450 marek. Za wczorajsze jabłka do „Sodyby" dostała premii kilkanaście kilo cukru, 100 kilo soli, zapałek. Kupiła też brusznic, zabawki dla dzieci.

25 września, rok 1943, sobota

Posiano jeszcze 245 kilogramów żyta na ugorze na nawozie. Ogółem posiano dotąd 1085 kilogramów, czyli 21 ½ cetnarów żyta. Jest to jeszcze mniej niż połowa tego, co zamierzam posiać. Po obiedzie jedną parą i jednym pojedynczym koniem zwożono owies z pola do gumna. Pozostała owsa resztka do zwiezienia jeszcze mniej niż na pół dnia. Resztka jarzyn – jęczmień, groch, wyka – stoi w stertach zabezpieczona od deszczu. Po trochę się zwiezie. Len już prawie cały wyrwany na połowę przez Jana Malciusa z Karwieliszek i Franciszka Błażewicza. Po siewach zabierzemy się już do kopania kartofli i buraków cukrowych, po czym nastąpi orka jesienna. Jadzia zrywa forsownie jabłka z drzew. Czynność tę wykonywa kilku chłopców i parę dziewczynek.

Z przyzwyczajenia tylko zacytowałem tu bieżące prace gospodarskie, które notuję w dzienniku. Na sercu mi leży co innego. Jestem dziś pod wrażeniem strasznych szczegółów, podanych mi w liście przez Helę Ochenkowską. Już przed tygodniem, gdy Renia Bagdonaitė wróciła z Wilna, słyszeliśmy od niej o nowych okrucieństwach, dokonanych przez Niemców w Wilnie. Renia mówiła, że z powodu jakiegoś morderstwa, dokonanego w Wilnie przez terrorystów na Niemcu, Niemcy aresztowali większą ilość osób, przeważnie z inteligencji polskiej, w charakterze zakładników, z których dziesięciu „dla przykładu i postrachu" rozstrzelali. Spis

rozstrzelanych został ogłoszony w gazetach wileńskich – „Gońcu Codziennym" i „Naujoji Lietuva". Ale gazet tych nie miałem. Teraz Hela Ochenkowska przysyła mi odnośny wypis z „Gońca Codziennego". Zatytułowane to: „Odpowiedź na terror". Akt terroru, który wywołał tę straszna „odpowiedź odwetową", był dokonany, jak tam podano, na osobie niejakiego Mariana Padaby, inspektora litewskiej policji kryminalnej. Widocznie był to Litwin; o zamordowaniu Niemca nie ma tam wzmianki. Morderstwo dokonane zostało 15 września. Stwierdza się, że morderstwa dokonała, jak wykazało dochodzenie, jakaś polska organizacja terrorystyczna. Morderców jednak nie ujęto i oczywiście nie wykryto. Na skutek tego aresztowano w d. 17 września nad ranem 100 zakładników, z których dziesięciu o dziesiątej rano rozstrzelano, uprzedzając, że w razie powtórzenia aktów terroru rozstrzeliwani będą inni. Podany też spis rozstrzelanych. Są w nim ludzie różnych zawodów – oficerowie rezerwy, urzędnicy, kierownik biura, inżynier, robotnik, chemik, adwokat, lekarz. W liczbie rozstrzelanych są dwaj, których znałem: adwokat Mieczysław Engel (był niegdyś działaczem społecznym obozu, zdaje się, katolickiego w ruchu młodzieży, miał się dobrze jako adwokat, za czasów litewskich był jednym z nielicznych bardzo adwokatów Polaków w Wilnie, którym udzielono prawa praktykowania, praktykował także za czasów sowieckich i obecnie, nauczył się już trochę po litewsku, miał dobrą praktykę, zostawił żonę z dziećmi, nie słychać było, żeby się angażował w jakąś akcję polityczną) i lekarz dr (zdaje się – profesor) Pelczar, osobistość bardzo znana, popularna i wybitna w Wilnie, jeden z najświatlejszych ludzi, lekarz-społecznik sławy europejskiej, człowiek nauki i wielkiego serca, który specjalnie poświęcił się studiom nad rakiem i walce z tą straszną chorobą, założył w Wilnie specjalną lecznicę dla rakowatych, zostawił żonę i kilkoro małych dzieci, z których najmłodsze ośmiomiesięczne! Straszne i nieludzko okrutne. Co wspólnego mieli ci ludzie z organizacją terrorystyczną i z aktem morderstwa, dokonanego przez terrorystów. O ileż dzikszy i bardziej nieludzki od terroru indywidualnego terrorystów walczących jest terror odwetowy z góry, idący od władz, dokonywany na zimno i drogą systemu na bezbronnych ludziach niewinnych! Co jest Niemcom, że się chwytają takich strasznych rzeczy, które tu w Wilnie są dla nich nowe, ale które stosują oni przez całą tę wojnę w Polsce i gdzie indziej, jak stosowali ogólnie ryczałtem do Żydów! Wszak ten odwet w postaci zemsty strasznej może rozpętać szalone orgie, które dotkną kiedyś ich samych. Jak może to cierpieć i stosować naród, który jest dzielny na polach bitew, ale staje się zaiste dzikim i krwiożerczym w swojej dumie wyniosłej, wynoszącej się ponad cały świat ludzki, traktowany jak bydło. Czy się rozum pomieszał nieszczęśliwemu narodowi zatraceńców współczesnych?

26 września, rok 1943, niedziela

Przyjechał Hektor Komorowski. Jak zawsze – przywiózł cały wór plotek i alarmujących wieści. Że sytuacja wojenno-polityczna jest bardzo niewyraźna i niepewna, że teren wojny ze wschodu, choć jeszcze względnie daleki, odległy od nas jeszcze o setki kilometrów, stopniowo i systematycznie się zbliża i że jeżeli to tym tempem dalej pójdzie, a Niemcy nie skapitulują, to za jakichś parę miesięcy możemy mieć huragan wojenny ze wszystkimi jego konsekwencjami militarnymi i społecznymi na głowie – to fakt. Te wstrząsy społeczne mogą być nie mniej, ale jeszcze bardziej straszne od samych działań wojennych, które przelecieć mogą jak burza. Ale Hektor lubi to specjalnie ujaskrawiać, dobierać i zgęszczać barwy, grupować fakty straszne w ich wyrazie najjaskrawszym, wydobywając skwapliwie ze wszystkich wersji, pogłosek i horoskopów to, co w nich jest najstraszniejsze, najbardziej ekstremistyczne. Wszystko u niego wyrasta do rozmiarów kolosalnych i zastraszających: i wypadki na kolei w naszych stronach, i narastanie band leśnych, i pustoszenie kraju przez cofających się Niemców, i piekielne akty zemsty Żydów na „gojach", i porachunki Sowietów z Litwinami... Słuchając jego włosy stają na głowie na sam przedsmak tego, co zapowiada, a defetyzm i alarmizm święcą triumfy. Jak pszczoła miód z kwiatów, tak on i jemu podobni zbierają samą esencję przerażającą ze wszystkich pogłosek i wieści. Mnie słuchanie tych opowieści nerwuje, a biedną Jadzię zastrasza tak, że traci głowę.

Są wieści, że Niemcy opuścili już Smoleńsk, a są nawet niezupełnie jeszcze pewne pogłoski, że Sowiety zajęły Kijów. Co do Smoleńska – to było już do przewidzenia. Przed kilku dniami przyszły już eszelony z ewakuowanymi ludźmi spod Smoleńska, jak poprzednio spod Orła. Ewakuowani spod Smoleńska lepiej się prezentują od tamtych spod Orła: są lepiej ubrani i obuci, więcej jest wśród nich mężczyzn, niektórzy przywieźli ze sobą mąki, krowy, nawet konie. Ale gdyby się sprawdziło zajęcie przez Sowiety Kijowa, to mogłoby świadczyć, ze Niemcy nawet linii Dniepru utrzymać nie zdołają.

27 września, rok 1943, poniedziałek

Otrzymałem list z Wilna od Waliukiewicza. Sam spontanicznie napisał do mnie. To mię ucieszyło. W ogóle wśród naszej młodszej profesury wydziałowej, naszej młodzieży profesorskiej, zrekrutowanej już z naszych uczni, Waliukiewicz, który jest asystentem czy adiunktem na katedrze prawa cywilnego, a więc nie najbliższy mi ze specjalności, okazuje mi w ostatnich czasach szczególnie wiele względów sympatii i uznania, mimo że politycznie należy do obozu katolickiego „ateitininków“, który specjalnie bliskich stosunków ze mną nie miał. Waliukiewicz podaje mi w liście ciekawe informacje. Pisze, że w d. 7 września odbyła się w Kownie narada zwierzchności litewskiej „savivaldos“ w osobach radców generalnych i członków „Taryby“ (Taryby Michała Biržiški) z generalnym komisarzem von Rentelnem, na której umówiono się tak: werbunek do robót na rzecz przemysłu wojennego przejmuje litewska „savivalda”, która zobowiązuje się dostarczyć Niemcom na te roboty kontyngent 30 000 ludzi; ludzi brać może jakich chce i skąd chce w Litwie; do d. 1 października mają być ułożone listy osób przeznaczonych do tego poboru, a do d. 7 listopada osoby te mają być wzięte i dostarczone Niemcom. Wobec tego Niemcy zaprzestają łapania ludzi, jak to czynili w ostatnich czasach w Wileńszczyźnie. Należy więc chyba rozumieć, że przez to samo anuluje się poprzednie pobory w stosunku do tych, którzy byli wezwani i nie stawili się, a dziś są na stopie formalnie nielegalnej. Kto ma być wciągnięty na listy, jak te listy są układane, w jaki sposób będzie się odbywał pobór tych, co trafią do list – nie wiem. O ile czynniki „savivaldos” zdołają to zobowiązanie wypełnić, Niemcy obiecują szereg konkretnych ustępstw, w szczególności zgadzają się na zamianowanie nowych radców generalnych Litwinów na miejsce tych, którzy w marcu zostali aresztowani i wywiezieni (nie wyłączając radcy generalnego oświaty), zgadzają się też na otwarcie Akademii Rolniczej w Datnowie, Instytutu Pedagogicznego w Wilnie, wydziałów technicznych i medycyny na uniwersytecie w Kownie, wydziałów medycyny, leśnictwa i przyrody na uniwersytecie w Wilnie.

Działacze litewscy, aresztowani i wywiezieni w marcu do obozu w Stuthofie pod Gdańskiem (prof. Jurgutis i inni), dotąd są tam trzymani. Wolno im korespondować i otrzymywać paczki. Wciąż się zapowiada (zapowiadano to już w czerwcu, gdym był w Wilnie) rzekome rychłe ich uwolnienie z obozu z prawem zamieszkania na wolności, ale tylko w Niemczech – nie w Litwie.

28 września, rok 1943, wtorek

Jeździłem dziś do Pokrewnia do młyna z parobkiem Szerszniowem. Wieźliśmy trzy wory jęczmienia, grochu i żyta do mlecia na pytel, 1 wór pszenicy na pytel i 1 wór żyta na mąkę razową. W młynie motor nie działa, tylko woda, której jest mało, toteż młyn pracuje leniwie, na dwóch żarnach. Samego Augaitisa nie było w domu, wyjechał do Kowna. Był tylko syn Augaitisa, p. Augaitisowa, panienka zarządzająca we młynie i jakaś panienka ich krewna z Szawel. Dla p. Augaitisowej przywiozłem worek jabłek, żeby zaskarbić łaski. Choć młyn zawalony zbożem do mlecia z długimi kolejkami i ludzie, których zboże przyjęto i którym wyznaczono kolejki, za co oni wyświadczyli Augaitisom usługi w robociźnie darmowej przy kopaniu kartofli lub innej robocie, od kilku dni co dzień przyjeżdżają i wracają z pustymi rękami, nie mogąc doczekać kolejki, to jednak Augaitisowie czy to przez wzgląd na moje jabłka, czy też ze względu na moją osobę, raczej z tego drugiego względu dali mi pierwszeństwo łaski i zgodzili się bez kolejki zemleć mi na pytel przynajmniej trzy wory mieszanki jęczmienia, żyta i grochu. Musiałem czekać, ale Augaitisowie

posadzili mię grzecznie w salonie i nawet zaprosili na obiad z doskonałym piwem domowym z jęczmienia. Zboże nasze puszczono na pytel dopiero koło godziny czwartej po obiedzie. Koło godz. szóstej, nie mogąc się doczekać końca, zdecydowałem się wrócić pieszo, zostawiając Szerszniowa we młynie. Po drodze dopędził mię Balys Malcius, wracający furmanką z młyna, nie doczekawszy się zmlecia swego zboża. Podwiózł mię do Gaju, skąd wróciłem już po ciemku do domu. Szerszniow wrócił późnym wieczorem z mąką, wór zaś żyta i wór pszenicy zostawił w młynie do jutra. Tak mi cały ten dzień na młynie zeszedł.

29 września, rok 1943, środa

Dziś moje imieniny. Święty Michał. W naszym cichym życiu bohdaniskim dzień ten mało by się wyróżniał od innych, bo gości żadnych nie mamy tutaj. Ale Jadzia bądź co bądź dzień moich imienin fetuje. Zresztą w Bohdaniszkach Michałów nie brak, zwłaszcza w tej chwili u mnie: ja jestem Michałem, Kotuńka nasza ma drugie imię Michaliny, od wczoraj bawi u nas w gościnie mój miły syn chrzestny, siostrzeniec rodzony Jadzi – Michaś Boreišis, przy dzieciach boną jest panna Michalina Kaszczukówna. Czterech więc solenizantów naraz. Od rana ozdobione są zielenią krzesła przy stole jadalnym – moje, Michasia Boreišisa i panny Michaliny, jak również krzesełko Kotuńki w pokoju dziecinnym, zielenią też udekorowane są drzwi wejściowe do domu. Dziatki rano przychodzą mię przywitać z prezentami. Kotuńka i Iga prezentują mi każda po setce papierosów „Victoria", które im Jadzia na ten cel zafundowała z „punktów" za jabłka w „Sodybie"; w drugiej rączce podają mi po pięknym bukieciku fiołków. Imieninowy też jest obiad z wódką: ryba w galarecie z sałatką kartoflaną na doskonałym occie jagodowym, baranina, tort, ciastka z marmoladą jabłeczną. Przyszła mi powinszować imienin i zjadła obiad z nami Elwira Mieczkowska.

Z Wilna wróciła Helcia Mieczkowska. Andrzej jeszcze siedzi na Łukiszkach. Aresztowanie jego nastąpiło bez żadnego związku z aresztami represyjnymi, związanymi z zabójstwem Padaby. Andrzej szedł do jakiejś znajomej panienki, która mieszkała w domu, będącym właśnie pod obserwacją gestapo. Ujęto go, a że się okazało, że nie był zameldowany w Wilnie, a w dodatku jest młody i jest Polakiem, więc osadzono go w więzieniu i teraz doszukują się, czy nie należał on czasem do jakichś organizacji tajnych polskich. Ponieważ Andrzej nie miał kontaktu z żadną zgoła akcją polityczną, więc jest nadzieja, że wcześniej czy później go wypuszczą. Ale te rzeczy nie załatwiają się szybko. Siedzi on na Łukiszkach, ale w dyspozycji gestapo. Śledztwo żadne nie prowadzi się jeszcze w jego sprawie. Helcia umówiła się w jego sprawie z adwokatem Mauragisem, który będzie czynił wszelkie niezbędne zabiegi. Paczki żywnościowe dostarczają mu się co tydzień po 4 kilogramy. Andrzej zdołał przemycić kilka kartek do Ewy. Donosi w nich, że mu jest źle, że zimno i głodno, prosi o żywność i ciepłą odzież, wspomina, że mu usiłują doczepić sprawę polityczną.

Helcia, która sama jest alarmistką i wierzy wszelkim strasznym pogłoskom, a Wilno, zwłaszcza polskie Wilno, pod tym względem celuje, szczególnie zaś teraz, kiedy terror okupacyjny z góry w Wileńszczyźnie szalał i kiedy front wschodni rzeczywiście się chwieje, przywiozła z Wilna alarmujące wieści, raczej – horoskopy na najbliższą przyszłość. Rzekomo linia Dniepru jest przez Sowiety sforsowana już w trzech miejscach i walki zawiązują się już gdzieś na Polesiu, a jeżeli posuwanie się Sowietów będzie szło dalej tym tempem, to za dwa tygodnie (*sic*!) Wilno może być w ręku sowieckim i my tu wojnę mieć będziemy. Z takimi nastrojami wróciła z Wilna.

30 września, rok 1943, czwartek

W towarzystwie Michasia Boreišisa i obydwóch córeczek naszych jeździłem do Abel. Jak zawsze – miałem różne interesy: w gminie, na poczcie... W szczególności tym razem miałem dwie główne sprawy do załatwienia. Pierwszą z nich było otrzymanie we dworze abelskim od rządcy p. Kareiwy kilku cetnarów pszenicy na siew na zamianę za żyto: za cetnar pszenicy 1 ½ cetnara żyta. Kareivę zastałem w polu za szosą koło dworca kolejowego: próbował orania wołami, które Niemcy przywieźli z ewakuowanych części Ukrainy zadnieprzańskiej i zalokowali w rządowym dworze

abelskim. Cztery wielkie sztuki simmentalernów, wspaniałe ogromne zwierzęta, łagodne i tępe jak borsuki, silne jak... woły. Niemcy byli je tam sprowadzili z Niemiec do uprawy ziem ukraińskich, teraz po sprzęcie urodzaju ukraińskiego i cofnięciu frontu odwieźli z powrotem i zalokowali tutaj. Choć woły mają swoją uprząż, która się im zakłada na łeb, to jednak u nas ludzie nie umieją tej uprzęży dobrze przystawać. Kiedyś za moich lat dziecinnych u nas także orano jeszcze wołami, ale u nas zakładało się im wtedy drąg na łeb pod rogi. Potem w naszych stronach woły robocze całkowicie zanikły.

Druga sprawa była taka. Otrzymałem wczoraj przez seniunasa z gminy papier o tym, że przydzielono mi do gospodarstwa rodzinę uchodźców („atbėgėliai”) rosyjskich, składającą się z mężczyzny lat 26 (Piotr Siemionow), żony lat 26 (Wiera) i dwuletniego synka (Edward). Zdawało się, że dobrze, bo mężczyzna i kobieta w sile wieku i tylko jedno dziecko. Jako rodzina robocza – doskonała. Niektórzy mi już winszowali, że tak dobrze mi przydzielono. W gminie dowiedziałem się dziś, że są to uchodźcy ewakuowani spod Smoleńska i że zalokowani są w jednym w budynków przy stacji kolejowej. O ludziach spod Smoleńska słyszałem, że są bez żadnego porównania lepsi od tych, co byli poprzednio przywiezieni spod Orła: Smoleńcy są kulturalniejsi, gładsi, lepiej ubrani i obuci, mają nawet ciepłe ubranie, niektórzy mają krowy, konie, mąkę. Niestety – zawiodłem się na tym przydziale. Piotra Siemionowa znalazłem: młody przystojny mężczyzna. Gdym mu powiedział o jego przydziale do mnie i spytał, kiedy można będzie go zabrać z rodziną, on na to mię spytał, jaka będzie u mnie robota. Gdym mu odpowiedział, że zwyczajna w gospodarstwie rolnym – teraz w jesieni przeważnie oranie, zwózka różna, zimą w lesie, dla żony – kopanie kartofli, buraków, praca przy inwentarzu, on mi na to oświadczył, że on żadnej roboty nie umie, żona – także, że on nie umiał nawet konia zaprząc, a o oraniu itp. nie ma żadnego pojęcia, bo nigdy z tym nie miał do czynienia. Jest z zawodu kolejarzem; zawsze pracował na kolei, wpierw w Sowietach, potem pod Niemcami. U nich w ogóle młodzież w kołchozach nie pracuje; w kołchozach siedzą tylko starzy, a cała młodzież przerzuca się do innych sfer działalności i o rolnictwie pojęcia nie ma. Gmina go niewłaściwie przydzieliła, jak powiada, bo gdy ich tu przywieziono, było ich dużo więcej (pono dwa eszelony) i wielu z nich chciało tu pozostać i być przydzielonych do robót rolnych, ale wtedy nie przydzielono i powieziono dalej (bodajże do Niemiec), a pozostawiono tylko tych, co służyli na kolei żelaznej i których wybrał majster kolejowy w Abelach, a wtedy gmina spośród tych pozostawionych zaczęła przydzielać poszczególnych do gospodarzy, czasem nawet rozbijając rodziny, choć pozostali tylko tacy, co się na robotach rolnych nie znają. Wobec jego niechęci do pracy w rolnictwie nie ma mi sensu go brać, bo trudno byłoby go zmuszać do roboty i byłby tylko ferment we dworze, a utrzymywać całą rodzinę trzeba. Wskazali mi oni na inną rodzinę do ewentualnego wzięcia, ale to też nie dla nas: rodzina z pięciu osób – mężczyzna stary, z zawodu szewc, żona stara, schorowana, pracować nie może, jedna córka 20-letnia, niby robotnica, ale z dzieckiem i z zawodu telegrafistka ze Smoleńska, druga siostra – 11-letnia. Mają krowę i kilka worów mąki, są ubrani i obuci. Nie dla nas to jednak. Takich półinteligentek u nas dosyć – Renia, Tonia, Wala, panna Michalina, trzeba nam nie jeszcze jednej takiej samej, ale robotnicy szczerej. Nic z tych uchodźców nam nie będzie.

1 października, rok 1943, piątek

Jadzia znowu powiozła jabłka do Abel. Jeden wóz parokonny, naładowany jabłkami, zawiozła do „Sodyby”, cztery zaś wory – na sprzedaż detaliczną na rynku. Przywiozła 903 Reichsmarki, oprócz tego 15 ½ kilogramów cukru i 28 „punktów”. Ogród – to nasza wielka siła, podpora gospodarstwa obecnie.

U biednych Mieczkowskich – ciężko. Dla starań o uwolnienie Andrzeja muszą zebrać na ręce adwokata w Wilnie 10 000 RM, a to nie jest łatwe teraz w gospodarstwie. Jabłek zbyt dużo nie mają. Muszą też posyłać żywność na dokarmianie Andrzeja w więzieniu, nie mają zaś słoniny ani wędliny. Pieniędzy pożyczyć teraz trudno, bo ludzie ich nie mają, a gdyby ktoś miał, to zaraz za nie byle co kupi, lokować zaś w pożyczki nie chce.

U mnie w gospodarstwie owies już cały zwieziony, teraz ze stert po trochę się zwozi jęczmień, potem się zwiezie groch i wykę. Żyto już posiane – ogółem 41 ½ cetnara. Posieje się jeszcze 4 cetnary pszenicy i jeżeli pozostanie jeszcze trochę ziemi, to dosieje się żyta. Pozostał mały kawałek lnu do wyrwania. W przyszłym tygodniu trzeba będzie kopać kartofle i buraki cukrowe oraz brukiew.

Żyjemy tymczasem i pomimo wszelkie alarmujące pogłoski żyjemy i urządzamy się tak, jak gdybyśmy wiecznie tak żyć mieli, jak teraz. Nie można przecie opuścić rąk i żyć rabunkowo, jak gdyby jutro już wszystko zginąć miało. Jeżeli ma zginąć, to zginie i tak, a tymczasem trzeba żyć i mieć na względzie jutro jak gdyby nigdy nic. Bo też nic na pewno nie wiadomo. Z jednej strony front wschodni się cofa stopniowo i przez to bądź co bądź się do nas zbliża, choć jest jeszcze daleki. W związku z tym gadają, że za parę miesięcy, inni – że już za parę tygodni, będziemy mieli front wojenny na karku, a za nim – inwazję Sowietów. Z drugiej strony, te czynniki litewskie, które się opierają na Niemczech („savivalda" litewska, radcy generalni, Taryba Biržiški), organizują dopiero werbunek czy pobór 30 000 ludzi dla Niemców, grając na kartę niemiecką. Co będzie w istocie – to jest tak, jak na loterii. Straszne w pierwszej perspektywie jest nie tylko to, że wojna może być nam na karku i że za nią mogą przyjść represje sowieckie i zemsta żydowska, co może krwią zalać ludność, ale także ewentualnie całkowite pustoszenie kraju i wywożenie „w pień" całej ludności przy ewentualnym cofaniu się Niemców, jak to ma miejsce tam, skąd teraz się Niemcy na Ukrainie i w Rosji Zachodniej (okręg orłowski, smoleński) cofnęli lub cofają. Wszystko może być i tak, i inaczej. Żyjemy w przededniu wszelkich ewentualności i możliwych lub niemożliwych możliwości. Ale żyjemy i trwamy.

2 października, rok 1943, sobota

Jeździłem do Rakiszek. Głównie w dwóch interesach. Jeden – to kupić w prywatnym handlu żelaza Szczuki rondel i zamki. Sam Szczuka, jeden z dawnych bogaczy rakiskich, właściciel kamienicy z salą, w której funkcjonuje kino i dużego magazynu żelaza oraz warsztatów mechanicznych, został przez Sowiety wywieziony w roku 1941, ale pozostał jego syn i jego córka zamężna, która przed wyjściem za mąż była studentką na prawie czy ekonomii i przeto była moją słuchaczką. Niemcy zwrócili dzieciom wywiezionego Szczuki zdenacjonalizowany magazyn żelaza, dom i warsztaty (Sowiety były to wszystko naturalnie znacjonalizowały) i teraz handlem żelaza zarządza Szczukówna z mężem. Dla mnie ma ona zawsze, jako dla swego profesora, względy, jest bardzo uprzejma i co ma, to mi sprzedaje po cenie nawet rządowej – nie spekulacyjnej. Niestety, tym razem się nie udało, bo zamków ani rondla dużego nie ma. Sprzedała mi jeno mały rondelek.

Drugi interes miałem do agronoma Szymanowskiego we dworze rakiskim, który stoi na czele grupy majątków rządowych w powiecie rakiskim. Chodziło mi o dowiedzenie się u niego, czy nie ma zbywających bab orłowskich, z których mógłby mi z któregoś ze dworów rządowych odstąpić jedną rodzinę, powiadają bowiem, że baby spod Orła są o wiele lepsze, karniejsze i pracowitsze od uchodźców smoleńskich. Z rodziny uchodźców smoleńskich, którą mi przydzieliła gmina abelska, rezygnuję, bo oświadczenie głowy tej rodziny, Piotra Siemionowa, że on żadnych robót w rolnictwie wykonywać nie umie, świadczy, że będzie niechętny i że zamiast rąk roboczych będę miał bałagan we dworze, a utrzymywać ich trzeba. Wolę baby spod Orła. Szymanowski chętnie się zgadza udzielić mi jedną rodzinę, ale nie może decydować bez Niemca, który jest jego zwierzchnikiem, Niemca zaś tego dziś nie było. Mam więc przyjechać do niego w tej sprawie jeszcze we wtorek.

Słyszałem w Rakiszkach, że Niemcy ewakuują teraz pewien teren na odcinku północnym frontu – na wschód i północny wschód od Ługi. Ewakuację tę odbywają tak samo, jak to robili na odcinku środkowym pod Smoleńskiem, Orłem i Briańskiem i na odcinku południowym na Ukrainie. Przywożą teraz spod Ługi bydło, maszyny rolnicze, zboże, mają przywieźć całą ludność stamtąd... Wpierw wszystko, co się daje zabrać, wywożą, wszystkie zaś zabudowania, wsie, miasta

całe, koleje żelazne, mosty itd. – niszczą radykalnie do tła, a wtedy się z tej pustyni wycofują, nie pozostawiając nic Sowietom. Jest to w tej chwili taktyka wojenna Niemców na froncie wschodnim. Głoszą oni, że to jest manewr, mający osłabić Sowiety, które w ten sposób oddalają się od swoich baz postępując naprzód i mają na bezpośrednich tyłach swego frontu literalną pustynię, podczas gdy Niemcy, cofając się, zbliżają się do swoich baz i zyskują większą prężność. Tak to tłumaczą Niemcy w prasie i propagandzie swojej. Ale jak daleko się w ten sposób cofną – nikt nie wie. Podobno w ewakuowanym przez Niemców Smoleńsku nie pozostało ani jednego domu. Jakież to straszne spustoszenie w tej wojnie, jakie dzikie metody! Natomiast Sowiety zyskują na terenie i triumfują. Zdobycze terytorialne zawsze najwięcej imponują, choćby się zdobywało pustynię. Buta Sowietów rośnie, Moskwa tętni hukiem triumfalnym dział armatnich; zdobycie każdego miasta jest ogłoszone w Moskwie 1200 wystrzałami armatnimi!

3 października, rok 1943, niedziela

Na niedzielę po św. Michała, to znaczy na dziś, wyznaczone było u nas święto dożynek. To znaczy obiad dla parobków i służby. Co prawda, parobcy ze swojej strony nam dożynek tradycyjnych w tym roku nie sprawili: nie było uroczystego doręczenia nam pasa i wianka ze zboża ze śpiewami okolicznościowymi. Tylko Szerszniow sam jeden był przyniósł pas dla mnie i wianki dla Jadzi i córeczek. Wiedziałem, że tego tradycyjnego obchodu dożynek nie życzył sobie Novikas, który jest strasznie dumny i dla którego wszelki akt hołdu dla nas jako gospodarzy jest nie do strawienia. Mniejsza o to – nie zależy mi na tym. My wszakże ze swojej strony ten obiad dożynkowy służbie sprawiamy. Po obiedzie zaś na wieczór Jadzia przyrzekła dziewczynom – Wali Kozłowskiej i Toni Adomanytė, a także Reni – urządzić wieczorek taneczny w domu naszym. Był więc bal podwójny. Obiad był o godzinie trzeciej w pokoju jadanym, przy dwóch stołach. Przy jednym siedziała Jadzia z płcią piękną, przy drugim – ja z mężczyznami. Nieobecny był tylko Novikas, który jest w fazie zbuntowania. O co mu chodzi – sam dobrze nie wiem. Nie podobało mu się, zdaje się, że wczoraj Jadzia użyła parobków i jego w ich liczbie do zrywania jabłek z drzew i że sama stała przy tym, skądinąd nierad był, że przed kilku dniami nie jego do młyna posłałem, lecz pojechałem sam z Szerszniowem, bodajże i to go obraziło, że wczoraj wieczorem po zrywaniu jabłek Jadzia dała parobkom – i jemu w ich liczbie – zerwać po ½ cetnara jabłek dla siebie. Wszystko go obraża, we wszystkim upatruje jakieś poniżenie, skądinąd zazdrości, gdy Jadzi się udaje dobrze spieniężać jabłka, a w istocie opanowuje go niepohamowana histeria. Jest ponury, zły, nieznośny. Wyszedł dziś umyślnie z domu, żeby nie być na tym obiedzie. Niewielka starta. Wszakże jego żona z dziećmi była na obiedzie. Był też Szerszniow z synem Wańką, Antoni Kligis, Jan Putro, a z tych, co pomagali w żniwach, był stary Franciszek Błażewicz, Jan Malcius, zwany Tepiklisem, z Karwieliszek z synem Antonim i rówieśnik tegoż Ignaś Błażewicz z Ginduryszek. Zasiadał też u stołu Stefan Römer, a u stołu kobiecego także Paulinka Nowicka, która dziś z Wilna przyjechała, Wala, Tonia, Renia, Buba. Był też Janek Čepas z córeczką Birutią. Wódki było sporo; mężczyźni i Wala z Tonią wypili dobrze, na obiad była sałatka z kartofli, winegret, bulion z kapustą świeżą, baranina, ogórki solone... Wieczorynka odbyła się od godziny szóstej po obiedzie do jedenastej w nocy w pokoju rogowym na końcu korytarza z wyjściem przez korytarz od ganku frontowego. Wszystkie meble z pokoju tego były usunięte. Dziewczyny postarały się o muzykantów z Kurkleć. Publiczności naszło tak dużo, że ledwie się mieścili w pokoju tanecznym i korytarzu. Sama młodzież obojga płci i podlotki. Zebrało się pełno nie tylko z bliższej okolicy, ale nawet z dalszej – aż z Czelek, z Wanagiszek i Bóg wie skąd. Pod koniec trudno już było się poruszać, tym bardziej tańczyć. Prawie wszyscy byli mniej lub więcej podchmieleni. Pijaństwo święci teraz triumfy jak nigdy i psuje wszelkie zabawy. Nie doszło jednak do żadnej burdy ani bójki, o którą zawsze jest łatwo wśród młodzieży podchmielonej. Na ogół muszę przyznać, że mój autorytet jest szanowany. Tańczono i śpiewano, a po kątach ciemnych – w korytarzu, przedpokoju, na dworze – flirtowano grubo. O godz. jedenastej na moje wezwanie zabawa się skończyła i

wszyscy rozeszli się spokojnie, zachowując karność towarzyską. Zdaje się, że to była jedna z najliczniejszych wieczorynek.

4 października, rok 1943, poniedziałek

Pojechałem do Abel po pszenicę z dworu abelskiego, którą jeszcze chcę posiać, choć już dosyć późno na siew. Pszenica z dworu abelskiego na zamianę za żyto w stosunku 1 ½ kilograma żyta za 1 kilogram pszenicy, która jest śliczna. Żyto odwozi się wprost do „Lietūkisu" i oddaje się do rządu na rzecz normy rekwizycyjnej od imienia dworu abelskiego i oddając kwit dworowi dostaje się z dworu odpowiednią ilość pszenicy. Mnie trzeba było niedużo – 4 cetnary pszenicy za 6 cetnarów żyta. Wioząc to żyto do „Lietūkisu", jednocześnie zawiozłem i na rzecz mojej własnej normy. Poszły więc z żytem dwie parokonne furmanki; jedną jechał Novikas, drugą – Szerszniow. Ogółem zawiozłem 28 cetnarów żyta, z czego 6 cetnarów za pszenicę i 22 cetnary na normę własną. Jest to zaledwie czwarta część mojej normy, która mi na ten rok została wyznaczona w ilości 84 cetnarów. Do Abel jechałem na wozie z Novikasem, który wciąż jest czegoś zły, posępny jak noc; ani słowa nie rozmawia, ledwie coś bąknie od niechcenia, gdy go o coś pytam. Stał się zupełnie niemożliwy i nie wiadomo, o co mu chodzi. Jechałem na worach z żytem – bardzo wygodnie. Po oddaniu zboża do Lietūkisu pojechałem do dworu abelskiego do rządcy Kareiwy po pszenicę i po buraki czerwone i selery, które Kareiwa nam jest winien za jabłka. Kareiwa zafundował mi przekąskę – wódeczkę z pomidorem i wędliną. Musiałem wypić. Do domu wróciłem dopiero przed wieczorem, leżąc na słomie.

W Abelach widziałem na dworcu kolejowym eszelon z ewakuowanymi z odcinka północno-wschodniego frontu – między Wielkiemi Łukami a Ługą. Eszelony te wciąż idą i idą, zarówno tu do nas do Litwy, jak do Łotwy. Dziesiątki i bodajże setki tysięcy ludzi wiozą. Trudno pojąć, po co tę całą ludność wywożą Niemcy. Mnóstwo starców, kobiet, dzieci. Trzeba to wszystko wyżywić. Jako siła robocza – to przeważnie materiał słaby. Tych, co nie chcą jechać, Niemcy tam na miejscu strzelają.

Słyszałem, że Kijów nie jest jeszcze przez Sowiety wzięty. Niemcy chcą się zatrzymać na linii Dniepru, mniej więcej na linii Kijowa-Mohylowa-Witebska. Chodzi o to, czy się to im uda.

5 października, rok 1943, wtorek

Brzydki jesienny dzień. Zimno, dmie wicher z zachodu od morza, wilgoć przenikliwa, od czasu do czasu deszcz. Liście lecą, drzewa rzedną. Kartofle mamy zacząć kopać jutro. Bronowano ziemię na starym koniczysku między domem a sadzawką kąpielową, drogą kumszańską i rowem, gdzie jutro, o ile pogoda pozwoli, posiejemy pszenicę, którą przywiozłem wczoraj z dworu abelskiego. Ruń na ugorach już zielenieje. O zwożeniu jęczmienia, grochu i wyki (mieszanki nasiennej) ze stert nie ma mowy. Nie lęka się to co prawda deszczu w stertach, ale chciałoby się już kończyć tę zwózkę. Sad owocowy pusty – plon owoców już zebrany, jabłka złożone w wielkich stosach w zasieku w świrnie i w pokoju rogowym (Gudowicza) na górze. Jadzia je sprzedaje – bądź na targ wywozi do Abel, względnie do „Sodyby", bądź kupcy przyjeżdżają i kupują po kilka cetnarów na miejscu. Pieniędzy z jabłek jest sporo – wszystkie pilniejsze potrzeby zaopatrzone, robotnik opłacony, jest już trochę zapasu gotówki.

Nudny dzisiaj dzień.

6 października, rok 1943, środa

Pogoda. Dzień ciepły. W słońcu śliczny koloryt zieleni drzew, pełnej odcieni i barw złotych. Pod tym względem jesień w październiku jest dekoratorką niezrównaną. Barwy są złoto-gobelinowe wielkiego bogactwa.

Posiano u mnie pszenicę. Myślałem, że na tym kawałku ziemi, który na pszenicę zarezerwowałem, wysieję nie tylko te 4 cetnary pszenicy, które mam na siew, ale pozostanie jeszcze trochę miejsca na dosianie żyta. Tymczasem nie wystarczyło ziemi na samą pszenicę, ale

prawie całe 4 cetnary zostały posiane. Siewy ozimin są więc u mnie zakończone. Ogółem posiano 41 ½ cetnara żyta i 4 cetnary pszenicy. Żyta przeszłej jesieni było posiane trochę więcej – 48 cetnarów.

Rozpoczęto dziś u mnie kopanie kartofli. Kopały cztery robotnice podzienne. Jadzia siedziała przy kopaniu i kierowała segregowaniem kartofli. Drobne kartofle – dla świń – zwożono osobno wprost do chlewiku przy ptaszniku, gdzie będą one gotowane na strawę dla świń; kartofle na użytek własny – największe – zwożą się do sklepu pod domem; wreszcie kartofle na nasienie będą złożone do kopca w ogrodzie owocowym młodym.

Otrzymałem pocztówkę od Hektora, pełną sensacyjnych nowinek politycznych, do których ma pasję. Tym razem przede wszystkim odwołuje alarmujące wieści i horoskopy, które wyrażał przed 10 dniami. Donosi więc, że „przesłuchawszy gdzie i co trzeba" (oczywiście z radia) – „znacznie się uspokoił". Sądzę, że ma na myśli ustabilizowanie się frontu wschodniego na Dnieprze, o czym teraz mówią. Skądinąd z pocztówki jego dowiaduję się o zajęciu przez Anglików Neapolu i spaleniu przez Niemców pałacu królewskiego tamże przy cofaniu się. Wspomina też o „ewakuacji kraju Oslo" – czyżby to była ewakuacja Norwegii? Podaje też kilka szczegółów o wyprawie karnej na Miluńca za Rakiszkami, gdzie było gniazdo dywersantów sowieckich, zasilane przez miejscowych Moskali-starowierów.

7 października, rok 1943, czwartek

Kontynuowano kopanie kartofli w sadzie owocowym nowym. Praca szła dobrze. Robotnic było sześć. Dzień był ciepły i dosyć pogodny.

Skądinąd nic osobliwego do zanotowania.

8 października, rok 1943, piątek

W nocy wypadł wielki deszcz z burzą. Kopanie kartofli wypadło przerwać, bo zresztą przyszły tylko dwie robotnice do kopania. Rwały one brukiew. Rozpoczęliśmy orkę zimową rżyska. Na początek poszła wielka góra w I polu nad Prudelisem, gdzie w tym roku była siana mieszanka wyki z owsem. Orano w dwie pary koni.

Zachorował jeden z naszych bekonów. Obawiając się, żeby to nie była czerwonka, Jadzia mię uprosiła pojechać do Abel po weterynarza dla zaszczepienia naszych świń od tej choroby. Pojechałem sam jeden. Weterynarza zastałem, ale nie miał szczepionki. Ponieważ dowiedziałem się od niego, że szczepionkę można dostać u weterynarza łotewskiego w Suboczu (Subet Kurlandzki w Łotwie na granicy litewskiej o 9 kilometrów od Abel), więc zdecydowałem się tam pojechać z kartką od naszego weterynarza. Do Subocza droga jest ładna – gościniec, miejscami szosa. Jedzie się pierwsze pół drogi wzdłuż doliny rzeki Kriauny w górę jej biegu, potem wjeżdża się w okolicę górzystą; po grzbietach wzgórz z rozległymi widokami na dalekie przestrzenie Litwy i Łotwy dojeżdża się do Subocza, położonego w dole nad pięknym jeziorem, obramionym wysokimi brzegami. W Suboczu byłem przed laty 45. Przejechałem pod samym Suboczem byłą granicę Litwy i Łotwy, dziś już politycznie nie istniejącą, ponieważ w administracji okupacyjnej Litwa i Łotwa należą obie do tzw. Ostlandu. Tuż za tą dawną granicą mieszka weterynarz łotewski w Suboczu. Szczepionki od czerwonki miał bardzo mało, udzielił mi jej tylko dla jednej świni, przyrzekł, że za tydzień udzieli mi jej dla wszystkich 15 świń naszych. Wróciłem do Abel. Weterynarz w Abelach dał mi szprycę do zastrzyku, z którą wróciłem do domu. Zastrzyku świni dokonał Janek Čepas.

9 października, rok 1943, sobota

Byłem w Abelach. Jeździłem tam za interesami gospodarskimi do gminy i na pocztę dla wysłania paczek z jabłkami do Redów Römerów i Lenostwa Römerów. Paczek z jabłkami w prezencie posyłamy teraz dosyć dużo do Wilna do krewnych. W mieście jest to teraz artykuł bardzo pożądany, bo w handlu prywatnym, w sprzedaży zresztą tajnej jabłek, cena na jabłka jest ogromna i jabłka są kiepskie. My zaś posyłamy wyborowe po kilka i kilkanaście kilogramów – w prezencie.

Nam to jest łatwo, a tym, którym posyłamy, to wielka rzecz, szczególnie gdzie są dzieci. Jeździłem do Abel ze Stefanem Römerem i córeczkami. W tym roku już i Iga lepiej się orientuje w miejscowości, Kotuńka zaś zna wszystkie drogi i szczegóły znakomicie, pamięta najmniejszy szczegół. W ogóle pamięć ma niezmiernie precyzyjną. Z wielką łatwością uczy się na pamięć wierszyków, liczyć umie do tysiąca, zna większą część liter alfabetu. Iga natomiast niczego się uczyć nie chce, jest też bardzo leniwa. Jazda z córeczkami jest bardzo przyjemna. Są grzeczne, wszystkim się interesują, gawędzą, czasem śpiewają.

Wielka pogoda. Zaczęły się ostre przymrozki rankami. Po obiedzie w słońcu bardzo ciepło. Kopanie kartofli posuwa się dosyć powoli. Kopało dziś sześć bab. Jadzia sprzedała dziś 6 cetnarów jabłek dwóm kupcom okolicznym, którzy kupili je na spekulację, żeby zawieść jutro na sprzedaż na fest do Komaj.

Dużo dziś przelatywało samolotów w kierunku wschodnim.

10 października, rok 1943, niedziela

Wybraliśmy się z Jadzią i obiema córeczkami do Spieczun w gościnę do Boreišisów. Drogę mieliśmy przez las rudelski i od stacji kolejowej rakiskiej do Spieczun kiepską. Zabawiliśmy zresztą krótko, bo zaledwie zjedliśmy suty obiad i przeszliśmy się spacerkiem do toru kolejowego, a oto już trzeba było jechać z powrotem, żeby przed nocą być w domu. Lubię dom Boreišisów. Serdeczna bardzo jest Stefcia, zacny jest jej mąż, miłe i dobrze wychowane są dzieci. Z nowin polityczno-wojennych są różne. Wre bitwa teraz na odcinku środkowym frontu wschodniego, gdzie Sowiety od Wielkich Łuk atakują w kierunku na Witebsk. Niemcy trochę się tutaj cofnęli. Sowiety zajęły Newel, miasto niegdyś powiatowe w byłej guberni witebskiej. Na Dnieprze Sowiety w dwóch czy trzech miejscach mają przyczółki mostowe na prawym brzegu rzeki. Niemcy podają, że te przyczółki się kurczą, Sowiety – że się rozszerzają. Jest podobno wiadomość, że Anglia, Ameryka i Sowiety utworzyły wspólną komisję mieszaną, która będzie regulowała sprawy administracji krajów, okupowanych przez tych sojuszników w Europie. Do komisji tej Anglia, Ameryka i Sowiety wydelegowały po przedstawicielu. Jest to niezłe. W każdym razie lepsze, niż gdyby sprawy te należały do jednego okupanta, zdane na jego łaskę. Nas wszakże interesowałoby głównie to, czy nasz kraj, po ewentualnym usunięciu zeń Niemców, byłby zaliczony do „okupowanych", czy też, jak zdają się chcieć Sowiety, do prawowitych terytoriów sowieckich. Tego nie wiemy.

11 października, rok 1943, poniedziałek

Znowu jeździłem do Abel z córeczkami i Stefanem, którego biorę zwykle ze sobą po to, aby mi trzymał konie w miasteczku, gdy wysiadam za interesami. Przywiozłem 30 litrów benzyny, którą mi w gminie wyznaczono na dalsze młócenie. Mam dostać jeszcze 20 litrów gazolu i dwa kilogramy oliwy na tenże cel.

W gospodarstwie naszym kopanie kartofli postępuje bardzo powoli. Dyryguje nim Jadzia. Dziś były tylko dwie robotnice podzienne do kopania. Jedna para koni orze na zimę. I ta robota idzie powoli. Parobcy moi – Antoni Kligis i Szerszniow – pracują rzetelnie i słuchają, ale Novikas, który jest starszym parobkiem i niby „gospodarzem", mającym być organizatorem pracy i moją prawą ręką, zupełnie się wyłamał ze wszelkiej dyscypliny i robi, co chce i jak chce. Zupełnie się ze mną nie liczy, nie przychodzi, jak dawniej, poradzić się, sam niczym nie kieruje i nie daje się kierować. Znarowił się całkowicie. Wlazł w niego jakiś diabeł. Może być, że węszy zbliżanie się Sowietów i gotuje się do odegrania roli komisarza dworu. Zrobił się twardy i arogancki.

Nocami i rankami mamy teraz wielkie przymrozki – wszystko jest pokryte białą rosą, cała ziemia jest srebrna. Za to dnie są słoneczne i po południu bardzo ciepłe.

Od paru dni słychać głuchą strzelaninę, jakby bardzo daleki huk dział. Kierunek jednak nie tyle na wschód, ile jakby na Rygę.

12 października, rok 1943, wtorek

Jeździłem dziś w towarzystwie obu córeczek do mleczarni w Łaszach. Lubią one jeździć bądź ze mną, bądź z Jadzią i są bardzo miłe w drodze, pełne życia, Kotunia zaś szczególnie jest uważna i obserwująca wszystko. Iga wiozła w woreczku kocię, które podrzuciliśmy pod Łaszami; była bardzo przejęta funkcją utrzymania kotka w worku, z którego wciąż usiłował wyleźć. Największą ciekawość dziewczynek budzą psy i pieski, które spotykają w drodze, Kotunia zaś interesuje się także gęśmi, których się niezmiernie boi.

Przyjeżdżał do Bohdaniszek Hektor Komorowski i był u nas na herbacie. Mówił, że huk wystrzałów czy wybuchów, które my słyszymy od dwóch dni, pochodzi od wysadzania wszelkich nierówności terenu na obszarze 1000 hektarów ziemi pod Jakobsztadtem w Kurlandii nad Dźwiną, gdzie Niemcy urządzają olbrzymi aerodrom wojenny. Wyrównują oni ten teren, żeby był równy jak stół. Hektor twierdzi, że to jest wiadomość pewna. Uważa to za jedną z oznak, że Niemcy są jednak zdecydowani nie dopuścić frontu do Dźwiny, bo aerodrom ten muszą mieć nie na samym froncie, lecz na tyłach. Ale na wojnie o losie wypadków decydują nie tylko zamiary walczących, lecz także w przeważnym stopniu ich siła. Hektor liczy, że obecna wojna nie jest jednak ostatnim aktem wielkiej tragedii wojennej, która się rozpoczęła w roku 1939, albowiem, jego zdaniem, po jej zakończeniu wybuchnąć musi jeszcze wojna Zachodu z Sowietami. Opinię taką spotykałem już w Wilnie; mówiono tam, że obecna wojna jest dopiero wstępem czy pierwszym aktem wojny prawdziwej, która się rozegra między Zachodem a Wschodem. Nasz kraj może jednak na takiej ewentualności wyjść najgorzej, bo nasze położenie geograficzne jest w starciu bądź Niemców z Rosją, bądź Zachodu ze Wschodem fatalne: jesteśmy między młotem a kowadłem, na samej drodze otwartej, pośrodku między dwiema potęgami, bez żadnej osłony.

13 października, rok 1943, środa

Nie wyjeżdżałem dziś nigdzie. Od dwóch dni przeniosłem się już z mojego gabinetu na górze na dół. Zainstalowałem mój gabinet na dole w pokoju rogowym w głębi korytarza, gdzie przeniesiono z góry moje biurko. Pokój ten w jesieni jest ciepły, bo jedna ze ścian jest stale nagrzewana od kuchni. Zimą, kiedy są wielkie mrozy z wiatrem południowym, ten pokój staje się zimny i żadne nagrzewanie wtedy już nie pomaga. W moim gabinecie na górze było już za zimno. Mamy teraz co dzień wielkie przymrozki i dnie słoneczne, które po obiedzie są zupełnie ciepłe.

Kopanie kartofli ma się ku końcowi. Wykopuje się też brukiew. Orze się rżysko w VI polu pod Gajem. Po obiedzie jedną parą koni zwożono jęczmień ze start w polu do odryny.

14 października, rok 1943, czwartek

Weterynarz łotewski w Suboczu Kurlandzkim, u którego w ubiegłym tygodniu byłem dla otrzymania surowicy przeciwko czerwonce u świń, przyrzekał mi udzielić tej surowicy w połowie tygodnia bieżącego. Że zaś świnie u nas wciąż zapadają na tę chorobę – już trzecia świnia dziś zachorowała – i że jest to czerwonka niewątpliwie, więc dziś wybrałem się do Subocza po surowicę. Trzeba szczepić koniecznie. Wybrałem się w towarzystwie Kotuńki, która jest bardzo miłą towarzyszką podróży. Podróż udała się dobrze, surowicę dostałem. Wracając chciałem przywieźć ze sobą weterynarza z Abel, ale był zajęty i prosił przyjechać po niego jutro.

Dowiedziałem się o spaleniu wczoraj przez Niemców – przez specjalny oddział SS w drodze represji – trzech wsi za Rakiszkami – słynnych Miliunów czy Miluńców i dwóch wsi sąsiednich. Wieś Miluny (za Wiżunką) w kierunku Juodupia zaludniona jest prawie wyłącznie przez Moskali-starowierów; jest to jedno z najzajadlejszych gniazd komunistyczno-sowieckich, rezerwuar i jądro akcji dywersyjnej komunistycznej w okolicy. W pobliżu Milunów w lesie była się zalokowała silna banda dywersyjna, w Milunach dywersanci mieli swoich agentów, swoją aprowizację i swoją sieć kontaktów. Już raz w roku zeszłym Moskale z Milun byli aresztowani za opór w dostawie rekwizycji mięsa i za sabotaż tej dostawy, który się wyraził w wyrżnięciu masowym wszystkich świń we wsi, gdy Niemcy mieli zarządzić rewizję nierogacizny. Potrzymano ich i wypuszczono z

Poniewieża z powrotem. Gdy przed kilku tygodniami w lesie w okolicy Milun ujawniona została silna banda dywersantów, która się tam ufortyfikowała i której oddział policji sforsować i ująć nie zdołał, jeden z dwóch pojmanych dywersantów z tej bandy ratując swoje życie wyśpiewał wszystko, co o Milunach wiedział. Wtedy, przed dwoma tygodniami, przyjechał do Milun oddział SS niemiecki z policją litewską i żołnierzami Łotyszami z Rakiszek; przywieźli ze sobą związanego bandytę, który wskazywał, w którym zaścianku wypiekano chleb dla bandy, w którym prano im bieliznę, w którym obsługiwano ich w inny sposób... Wskazane zaścianki Niemcy obstrzelali pociskami zapalającymi, spalili budynki, zranili kilka dzieci, koni, krów, zabili jedną dziewczynę i chłopca i odjechali. A oto wczoraj przyjechał znów silny oddział SS i spalił doszczętnie wszystkie zabudowania po wszystkich zaściankach Milun i dwóch wiosek sąsiednich. Te wioski sąsiednie były też przeważnie przez Moskali zamieszkałe, ale byli w nich i Litwini. Spalono wszystkie zaścianki, nie wyłączając litewskich. Spalono z całym zbożem i poszorem, tylko bydło wypędzono. Zaaresztowano też całą ludność tych wsi. Litwini się potem skarżyli Niemcom, że postąpiono z nimi tak samo, jak z Moskalami, mimo że wielu z nich ucierpiało od Sowietów, niektórzy służą teraz za ochotników w wojsku, z Moskalami nic wspólnego nie mają i nieraz sami Moskali Niemcom skarżyli. Niemcy przyznali, że osady litewskie były palone tylko przez nieporozumienie, zwolnili wszystkich aresztowanych Litwinów, zwrócili im ich bydło i podobno przyrzekli dać im zaścianki.

15 października, rok 1943, piątek

Imieniny mojej biednej zapracowanej i stroskanej Jadzi i naszej drugiej córeczki Igi. Imieniny nie wspaniałe, nie wyróżnione z szeregu zwykłych dni żadną uroczystością, choćby taką, jak na mój św. Michał, kiedy drzwi wejściowe i moje krzesło u stołu było ozdobione zielenią. W „prezencie” imieninowym ofiarowałem Jadzi mój piękny nóż do rozcinania kart książki, zrobiony z kości słoniowej w oprawie srebrnej, na której wyrzeźbiona w srebrze para lwów w pustyni. Jadzi nóż ten zawsze się podobał, a u mnie leżał jako ozdoba biurka. Słaby to „prezent”, bo czy ten nóż jest „mój” i leży u mnie na biurku, czy jest Jadzi i będzie u niej schowany – to wszystko jedno. Ale teraz na prezenty imieninowe nie czas i zresztą nic dostać nie można. Kotuńkę zacząłem uczyć na imieniny Jadzi pięknego wierszyka litewskiego, poswięconego „Matce” – „Motinelei”, ale za późno się uczyć zaczęła i jeszcze go nie umie; zapowiedzieliśmy go więc tylko Jadzi, a sama deklamacja wierszyka odbędzie się za kilka dni.

Rano przyjeżdżał weterynarz z Abel, zaszczepił świnie. Odwiozła go do Abel z powrotem Jadzia, która zawiozła jednocześnie trzy wory jabłek na targ na sprzedaż. Imieniny nie przerwały jej tej pracy. W sprzedaży jabłek pomagała jej Wala Kozłowska, która pojechała z nią razem. Pojechała też z Jadzią do Abel Iga. Było to jej obiecane wczoraj na pociechę, kiedy Kotuńka jeździła ze mną do Subocza. Obie – Kotunia i Iga – bardzo lubią jeździć. Mam wrażenie, że najlepiej się bawią, kiedy jadą obie. Gdy jedzie jedna, to zdaje się, że nie tyle ma przyjemności z samej jazdy, ile z honoru, że to jedzie ona, a nie siostrzyczka. Gra w tym dużą rolę zazdrość czy rywalizacja o pierwszeństwo. Gdy wczoraj Iga wiedziała, że nazajutrz pojedzie ona, Kotunia zaś zostanie, to nie tyle ją bolało to, że wczoraj pojechała Kotunia, a jej wypadło zostać. Gdy dzisiaj Iga, triumfująca, ubrana do drogi, czekała na wyjazd i chodziła krok w krok za Jadzią, żeby czasem jej nie zostawiono, Kotuńka cały czas szła o kilka kroków za nią, milcząca, smutna, z oczami pełnymi łez, że ją to szczęście jazdy z Mamutią omija, ale nie wydała ani słowa skargi czy żalu, bo czuła i rozumiała, że tego wymaga sprawiedliwość, skoro wczoraj jechała ona i następną razą znów na nią kolej będzie. Poczucie sprawiedliwości panowało nad uczuciem żalu: jest kolejka Igi, więc tak być musi; będzie rewanż, kiedy przyjdzie kolejka Kotuni. A przecież jazda z mamą jest szczęściem i radością największą, większą, niż jazda z Papusiem, bo Mamutė jest ze wszystkich najukochańszą. Iga pod tym względem jest sztywniejsza i chłodniejsza od Kotuni, która w mamusi jest rozkochana bez granic.

Są dziś jakieś pogłoski, że rzekomo od 1 listopada ma być przerwana komunikacja cywilna pocztowa i kolejowa. Tak przynajmniej gadają u Mieczkowskich, ale skąd to wzięli – nie wiem. Nie myślę, żeby tak było. A gdyby nawet tak być miało, to chyba nie byłoby o tym wiadome zawczasu. O przerwaniu przyjmowania paczek pocztowych mówiono już wiele razy – zapowiadano to kilkakrotnie w pogłoskach jeszcze w roku 1942, ale nigdy się to nie sprawdziło. Zamknięcie ruchu paczek byłoby bardziej prawdopodobne niż przerwanie komunikacji pocztowej, bo ruch paczek jest olbrzymi, jak nie był nigdy w czasie pokoju i musi być dosyć kosztowny i uciążliwy dla służby transportu. Zamknięcie ruchu paczek byłoby dla miast zarządzeniem bardzo ciężkim, bo paczki te stanowią ogromne źródło pomocnicze aprowizacji i dokarmiania ludności miast. Bez dowozu ze wsi produktów w paczkach mieszkańcy miast będą prawie ogłodzeni, a ceny spekulacyjne na produkty żywnościowe straszliwie podskoczą. Ale może nie dojdzie do tego, o ile tylko front się nie będzie nadal cofał gwałtownie.

Dziś był wielki ruch aeroplanów w powietrzu. Szły tam i z powrotem grupy po kilka samolotów. Obserwujący twierdzili, że jedna grupa samolotów zawróciła z drogi i uciekała z powrotem, pędzona przez jakieś inne samoloty. Twierdzono nawet, że słyszano jakieś wybuchy i trzask karabinów maszynowych w pościgu za uciekającymi samolotami.

16 października, rok 1943, sobota

Dzień pochmurny z wielkim wiatrem południowo-wschodnim. Suche liście latają w powietrzu, wirują i tańczą. Jesień robi coraz większe postępy. Nie było dziś robotnic podziennych. Zawieszony jest sprzęt brukwi. Nietknięte są jeszcze buraki cukrowe, których jest cały hektar. Trzeba jeszcze i kartofle kopać powtórnie. Tymczasem zwieziono dziś ze stert resztę jęczmienia, cały groch i wykę.

Dom nasz pustoszeje. Renia Bagdonaitė, która z Jadzią się ciągle kłóciła i słuchać nie chciała, wyniosła się dziś do zaścianka Jadzi do Čepasów. Panna Michalina w tym miesiącu odjedzie. Boi się dalszych wypadków wojny i chce wracać do rodziny swojej. Zostaniemy sami w domu. Stefan Römer też się wyrywa w świat. Czeka powrotu żony, z którą spodziewa się wyjechać do Kowna lub pod Kowno i tam zamieszkać.

Życie moje tutaj płynie jak w klasztorze. Jedyna moja radość – to córeczki i Jadzia. Trochę mam roboty biurkowej dla oszukania siebie, że niby coś robię.

17 października, rok 1943, niedziela

Chyba nigdy jeszcze ludzie u nas na wsi tak nie pili, jak piją teraz. Jest to znamię czasu. Nie wróży to nic dobrego. Ludzie nie są niczego pewni, nie wiedzą, co ich czeka jutro, nie mają żadnego bodźca do oszczędności i do urządzania się na przyszłość, bo cały ich dobytek może być rozbity w gruzy i rozproszony, a pieniądz, który dziś kursuje, jutro nic wart nie będzie. Jeżeli ludzie u nas jeszcze gospodarzą na swoim starannie, to raczej z przyzwyczajenia, z instynktu gospodarczego włościan litewskich. Piją dorośli, pije gremialnie młodzież, przynajmniej męska. Najwięcej się pije tak zwany „samogon" – wódkę, którą sama ludność wypędza, przeważnie ze zboża, w prymitywnych urządzeniach gorzelniczych po krzakach. Urzędowo to się srogo zabrania, są za to przewidziane wielkie kary, ale ludzie masowo tę wódkę pędzą i jeszcze bardziej masowo spożywają. Piją samogon nie tylko ludzie prywatni po zaściankach, ale i urzędnicy samorządu po miasteczkach i policja. Jest to wódka bardzo mocna, skuteczna na upicie się, niektóre zaś jej odmiany są bardzo szkodliwe. Nie ma żadnego zebrania, żadnej gościny, nie mówiąc już o wieczorynkach, żeby nie pito i nie upijano się. Pijaństwu temu, dającemu zapomnienie trosk i chwilowy doraźny humor, sprzyja nie tylko rozprzężenie ogólne i brak jakichś wyraźnych perspektyw na najbliższą przyszłość, kryjącą rzeczy może straszne, ale sprzyja także wielki upadek wszelkiej ideowości, wielki kryzys społeczno-moralny, wywołany przez załamanie się wszelkich ideałów narodowych i niepodległościowo-państwowych po rozbiciu Litwy narodowej w tej wojnie. Ta Litwa, wyrosła z potężnego ruchu odrodzenia narodowego, opromieniona tęsknotą i legendą,

upadła pod ciosami wypadków wojennych i ludzie teraz stracili wiarę w to, co stanowiło dźwignię idealną kilku pokoleń poprzednich. Atmosfera idealistyczna, która zwłaszcza między rokiem 1905 a 1920 opromieniała wieczorynki, ozdabiając je grą amatorską, deklamacją, śpiewem, które i potem za czasów niepodległości i legendy wyzwolenia Wilna utrzymywała podnioślejsze usposobienie młodzieży, dziś wywietrzała, bo wypadki zabiły, a przynajmniej podkopały wiarę. Młodzież rzuciła się do pijaństwa. Wieczorynki dzisiejsze – to orgie pijackie i włóczęgostwo rzesz podchmielonych. Smutny to widok rozkładu społecznego. Straszne okrucieństwa czasów wojennych zabagniły dusze ludzkie.

18 października, rok 1943, poniedziałek

Jeszcze jedna pogłoska kolportowana od dołów społecznych: rzekomo trzy powiaty północno-wschodnie Litwy (w tej liczbie i nasze Rakiszki, w szczególności zaś jezioroski, uciański i rakiski) mają być ewakuowane, to znaczy cała ludność tych powiatów ma być wysiedlona na zachód (dokądże wreszcie?). Przypuszczam, że to jest pogłoska z domysłów i strachu, oparta na wzorach wysiedlania ludności z ewakuowanych przez Niemców dzielnic rosyjskich, ewentualnie z szerzenia złośliwej paniki defetystycznej przez czynniki prosowieckie. Że ostatecznie, w razie bezpośredniego zbliżenia się frontu do nas, Niemcy mogliby taką „ewakuację” zarządzić, jak ją zarządzili w Rosji, to się zaprzeczyć bezwzględnie nie da, ale zdaje się, że w każdym razie to jest przynajmniej za wczesne, a zresztą nie zapowiadano by to z góry.

Odwiedził mię dziś Bronius Nemickas. Jest to jeden z szeroko rozgałęzionej rodziny Nemickich, wywodzącej się z Busiszek, ten z Nemickich, który zaszedł najwyżej. Jest to młody człowiek lat przeszło 30, prawnik skończony, mój były uczeń, który ukończył nasz Wydział Prawniczy w Kownie, a potem uzyskał stypendium i studiował prawo morskie w Hamburgu. W swoim czasie w Kownie jako student był jednym z przywódców młodzieży narodowej prorządowej w korporacji „Neo-Lithuania” i redaktorem czasopisma tejże młodzieży „Akademikas”. Był ultraprawicowy i bardzo zajadły, wszędzie węszył intrygę przeciwko rządom narodowców i bodaj przeciwko samej Litwie, nienawidził wszystko, co tchnęło demokracją albo liberalizmem, na szpaltach „Akademikasa” denuncjował nie tylko młodzież innych kierunków, ale także profesurę i władze uniwersyteckie, które też pomawiał o ukryte zakusy antynarodowe i antypaństwowe. Za czasów sowieckich był aresztowany w Taurogach, ale żona wystarała się jakoś o zapisanie jego z rodziną do „Volksdeutschów” na rzecz „repatriacji” do Niemiec. I oto ten arcynarodowiec litewski dla ratowania siebie nie zawahał się nałożyć na siebie maskę Niemca i wyjechał z rodziną z kraju. Teraz udało mu się wydostać z Niemiec i wyzbyć maski niemieckiej. Na razie siedzi z rodziną w Rakiszkach, ale wyjeżdża niebawem do Kowna, gdzie wyrobił sobie juryskonsulturę jakąś i zapisał się do adwokatury.

19 października, rok 1943, wtorek

Bronius Nemickas zanocował u mnie. Opowiadał mi dużo nie tylko o swoich przeżyciach osobistych w ciągu tych kilku lat, ale także o Berlinie i o Niemczech. Mówił o wielkich bombardowaniach Berlina z samolotów angielskich. Powiada, że przeciętnie naloty zdarzają się po dwa razy tygodniowo. Do zwyczajnych szeregowych nalotów ludzi już przywykli, ale czasem zdarzają się wielkie naloty z bombami zapalającymi i fosforycznymi, od których palą się nie tylko wnętrza domów, ale i asfalt na jezdniach ulic. W czasie jednego nalotu zrzucono coś pono 1 ½ miliona czy kilogramów, czy cetnarów, czy ton (oczywiście kilogramy czy tony – to różnica ogromna, ale imponująca jest sama cyfra „półtora miliona) materiałów wybuchowych i po nalocie było przeszło tysiąc ognisk pożarowych, z których niektóre nie zostały ugaszone w ciągu tygodnia. Pod wszystkimi domami są urządzone schrony, do których Berlińczycy się chowają podczas nalotu. Schrony są wygodne, z meblami, oświetlone elektrycznością, ogrzewane piecykami żelaznymi. Wiele schronów posiada wyjście rezerwowe na wypadek zawalenia wyjścia głównego przez gruzy. Podobno ludność niemiecka jest zmęczona wojną i pragnie pokoju, zwłaszcza sfery ludowe, które

na ogół nie lękają się wcale Sowietów, którymi je straszą; podobno materiału rewolucyjno-komunistycznego w usposobieniu mas ludowych niemieckich jest dużo i masy te wcale nie są tak jednolicie usposobione nacjonalsocjalistycznie, jak głosi legenda. Niemniej Nemickas twierdzi, że siła Niemiec nie jest jeszcze bynajmniej wyczerpana; liczy on, że choć zwycięstwo Niemiec nie jest zgoła prawdopodobne, to jednak mogą one jeszcze wojować co najmniej rok, jeżeli nie więcej. Ale uważa za bardzo prawdopodobny wybuch w Niemczech rewolucji komunistycznej w zakończeniu wojny. Nemickas mówi, że Żydzi w Berlinie i w Niemczech jeszcze są, choć liczba ich bardzo zmalała, bo wielu wywieziono dokądś (sądzę, że chyba na stracenie, jak to uczyniono z wielką ilością Żydów z Czech, z Austrii, z Francji, których przywożono dużymi transportami do Polski, do krajów bałtyckich, do Białej Rusi i Ukrainy i tracono). Żydzi w Berlinie noszą odznakę (gwiazdę syjońską), ale nie są zamknięci w getto i chodzą swobodnie i pojedynczo po mieście; wolno im nawet chodzić chodnikami, jak wszystkim innym, wolno jeździć i autobusami i kolejką podziemną i korzystać z innych środków publicznej komunikacji miejskiej, ale tylko z mieszkania do miejsca pracy, jeżeli odległość przekracza 7 kilometrów. Ludność niemiecka na ogół współczuje Żydom i nie jest gremialnie wcale tak wściekle antysemicka, jak nacjonalsocjaliści. Nieraz bywa, że gdy np. Żyd czy Żydówka zachoruje, to Niemcy chorych Żydów wspomagają, zaopatrują w owoce, w ogóle świadczą im różną pomoc, choć oczywiście sekretnie.

20 października, rok 1943, środa

Rano otrzymałem depeszę od adwokata Mauragisa z Wilna, donoszącą mi o uwolnieniu Andrzeja Mieczkowskiego. Młody adwokat Mauragis, któremu Helcia Mieczkowska powierzyła starania o los aresztowanego Andrzeja, jest moim uczniem. Na prośbę Elwiry pisałem stąd do niego, prosząc o szczególną staranność w sprawie Andrzeja. Zresztą Mieczkowscy otrzymali już depeszę o uwolnieniu od samego Andrzeja. Widocznie żadnej winy Andrzeja nie doszukano się, bo też w żadnej zgoła akcji politycznej udziału nie brał. Mieczkowscy się spodziewają, że Andrzej tutaj powróci i że odechce mu się już teraz Wilna. Bardzo to prawdopodobne, tylko że rozkoszne mu tu życie „na łonie rodziny" nie będzie: matka i siostra, a zapewne i brat Michaś będą go gryźli jak poprzednio, a do wszystkich dawnych zarzutów przybędzie jeszcze ten, że sam się przez wyjazd do Wilna dla pięknych spódniczek i miłostek naraził na aresztowanie i naraził rodzinę na dużą stratę, bo staranie o uwolnienie mają kosztować do 10 tysięcy marek, nie licząc wysyłanych paczek żywnościowych etc. Nie byłyby to rzeczy straszne, ale to ciągłe gryzienie domowe w nudzie jesiennej i w atmosferze zdenerwowania oraz własnej bezczynności Andrzeja nie będę dla niego przyjemne. I całe środowisko częstych gości Mieczkowskich, z Rosenami i zwłaszcza Hektorem na czele, będzie to samo powtarzało i wymawiało Andrzejowi. Zresztą jest młody, będzie się wyrywał z domu i szukał towarzystwa i rozrywek na stronie, to może zbyt ciężkie mu to nie będzie. Ale raz już spróbował z kwasów i nerwów domowych się wyrwać, to może spróbuje znowu, choć ucieczka przyprawiła go o miesiąc Łukiszek.

21 października, rok 1943, czwartek

Otrzymałem depeszę od Andrzeja tej treści: „Brangius dėdę dėdienę sveikina pasveikęs Andrius“[1]. „Wyzdrowienie" oznacza uwolnienie z więzienia, bo podczas całego okresu aresztowania w korespondencji dotyczącej Andrzeja używało się umówionego terminu: choroba, klinika... Tak się w obecnych czasach ogólnie określa w listach i depeszach więzienie i aresztowanie; robi się to dla zmylenia cenzury, raczej dla niezwracania uwagi cenzury na temat korespondencji dotyczącej aresztowanych. Co prawda, listy wewnątrz kraju nie są wcale cenzurowane, bo dochodzą wszystkie bez żadnej adnotacji o ich otwieraniu, nawet listy o treści jaskrawie politycznej i nawet antyniemieckiej albo niemiłej Niemcom, ale większość ludzi nie ufa

[1] Kochanych wuja wujenkę pozdrawia wyzdrowiały Andrzej.

temu, boi się cenzury i jest przekonana, że pod sekretem listy są jednak przeglądane – a już Mieczkowscy to ponad wszystkich celują w tchórzostwie i podejrzliwości.

Ucieszyłem się z tej depeszy Andrzeja. Jest on jedyny z dzieci Elwiry, który jest usposobiony krewieńsko do mnie i rodziny mojej. Wdzięczny mu jestem za to. Pewno Andrzej się dowiedział, że pisałem w jego sprawie do adwokata i dlatego specjalnie się do mnie odezwał.

W gospodarstwie u mnie od paru dni kopią się buraki cukrowe. Idzie powoli orka jesienna. Zabieramy się do przyprawianie żłobów i przeoryn dla koni na zimę.

Od jakiegoś czasu słyszymy nocami przeloty samolotów, wszakże żadnych wybuchów bomb nie słychać. Bardzo się upowszechniły uszkodzenia toru kolejowego na naszej linii Dyneburg-Radziwiliszki. W tych dniach dwa razy noc po nocy uszkodzony był tor na odcinku między Rakiszkami a Poniemuńkiem.

Dziś w nocy nad ranem Jadzia po raz pierwszy poczuła ruch dziecka w swym łonie. Jej ciąża dobiega połowy swego okresu.

22 października, rok 1943, piątek

Panna Michalina Kaszczukówna, która była najęta u nas do dzieci, w tych dniach kończy rok służby i wyjeżdża. Ze względu na czasy niespokojne i wszelkie możliwości chce ona być w swojej rodzinie, z którą nie chce się rozłączać; wraca więc do Švenčionelisów, gdzie mieszka jej matka i siostry. Rozstaje się z nami w najlepszej komitywie. Krótki okres jakichś kwasów, który się był zaznaczył przed kilku tygodniami, kiedy p. Michalina obraziła się na Jadzię za to, że Jadzia zarzuciła jej brak staranności w czesaniu Kotuńki, u której we włosach znalazło się dużo weszek, dawno minął. Panna Michalina ma duże zalety: jest bardzo sumienna, obowiązkowa, pracowita, usłużna, bardzo praktyczna, zaradna i niegłupia; dużo pomagała Jadzi nie tylko w zajmowaniu się dziećmi, do czego była najęta, ale także w ogrodach, w szyciu, w praniu, w konserwowaniu jabłek, nawet czasem w polu, a latem, kiedy Jadzia nie miała służącej pokojowej, to także w sprzątaniu domu, myciu naczyń itd. Dzieci też nauczyły się przy niej po polsku i teraz mówią doskonale obu językami – litewskim i polskim. Dziś rano p. Michalina w towarzystwie obydwóch córeczek naszych – Kotuni i Igi – pojechała na stację kolejową do Abel na spotkanie swojej siostry, która przyjeżdża po nią z dokumentami dla niej na jazdę do Święcian. Wróciła jednak, nie doczekawszy się siostry, bo pociąg z Griwy nie przyszedł wcale. Teraz to jest rzecz zwykła, bo wykolejanie pociągów i uszkodzenia toru kolejowego są zjawiskiem codziennym. Ponieważ konie nasze zajęte, po obiedzie p. Michalina poszła znów pieszo do Abel, żeby czekać na przyjazd siostry.

Wiktutė Władziowa Sadowska, Trumpaitė z domu, która była przez lat kilka nianią przy córeczkach naszych, a teraz mieszka z mężem na ordynarii u Mieczkowskich, urodziła dziś córeczkę.

23 października, rok 1943, sobota

Jeździłem w towarzystwie Stefana Römera do Pokrewnia dowiedzieć się o młynie, czy będzie można mleć dzisiaj. Augaitis przyrzekł po obiedzie zemleć. Z Pokrewnia pojechałem do Abel. Zastałem tam pannę Michalinę jeszcze czekającą na siostrę. Pociąg z Griwy wczoraj nie przyszedł wcale. Panna Michalina telefonowała przy mnie do Švenčionelów, zapytując o siostrę. Odpowiedziano jej, że jej siostra wyjechała pozawczoraj na Griwę do Abel. Siedzi więc widocznie w Griwie. Nie mogąc dłużej czekać, ponieważ muszę zawiadomić Bohdaniszki, żeby zaraz po obiedzie wysłano furmankę ze zbożem do młyna, wróciłem, panna Michalina zaś została w Abelach, czekając na siostrę. Wszakże niebawem przyszła z siostrą pieszo z Abel. Okazało się, że musi zaraz, dziś jeszcze, odjechać z siostrą do Švenčionelów. Prędko się spakowała i żegnana serdecznie zwłaszcza przez dzieci, a zresztą przez nas wszystkich, obładowana rzeczami (cetnar mąki pszennej, 10 kilo słoniny, 10 kilo jabłek, cały swój bagaż) – odjechała z siostrą na pociąg wieczorny. Pod wieczór przyszła do nas nasza była służąca Onutė, która przyjechała z Wilna trochę pospekulować na wsi, żeby się zaopatrzyć w produkty. Chce kupić i zawieść do Wilna całą

owieczkę i inne rzeczy. Sprzedaje różne drobiazgi z miasta. O Wilnie opowiada, że jest tam atmosfera ciężka. Zarządza się znowu wielka rejestracja ogólna wszystkich obojga płci od lat 17 do 50, w mieście dużo wojska, wieczorami nikt prawie nie wychodzi na ulicę, bo po mieście włóczy się dużo pijanych żołnierzy; słychać często nocami wystrzały, zdarzają się wybuchy, dokonywane przez dywersantów...

24 października, rok 1943, niedziela

Słychać, że w najbliższym czasie zacznie się rozsiedlanie po zaściankach rodzin rosyjskich, ewakuowanych z frontu wschodniego. Tej ludności ewakuowanej nawieziono ogromne ilości i teraz chodzi o jej rozmieszczenie. Jak dużo się tego nawiozło, można wnosić z tego, że podobno na naszą jedną seniunię wyznaczono do zalokowania 50 (*sic*!) rodzin ewakuowanych. Jest to ilość ogromna, prawie podwajająca ludność. Oczywiście lokować tych wygnańców będą przede wszystkich tam, gdzie jest więcej lokalów mieszkalnych. Mamy więc perspektywę, że dużo ich do nas do Bohdaniszek napędzą. Trzeba będzie to żywić; ze zbożem jeszcze siako tako, bo to się potrąci z rekwizycji, ale kartofli wcale nie mamy na rekwizycję, a dla siebie też za mało. Ucierpią też lasy, bo trzeba będzie opału. Poza tym jest jeszcze sprawa publiczna – to wielkie rozwodnienie rdzennej ludności litewskiej krajowej przez napływową słowiańską rosyjsko-białoruską. Zaczyna się jakieś pomieszanie narodów, niebezpieczne zwłaszcza dla narodów małych. Już bolszewicy zaczęli urządzać tę mieszaninę. Od nas z kraju wywieziono tysiące rodzin litewskich na wschód. Teraz Niemcy infiltrują nam Rosjan ze wschodu. W ogóle o tym nawożeniu do kraju ludności ewakuowanej ze wschodu są wielkie pogłoski, może nawet przesadne. Powiadają, że teraz do Wileńszczyzny przywożą ogromne transporty ludności już z Białej Rusi. W szczególności podczas wojny może to wywołać niebezpieczeństwo tworzenia się u nas band leśnych, jak to miało miejsce na Białej Rusi.

25 października, rok 1943, poniedziałek

Od dłuższego czasu mamy dni ciepłe. Jesień jest dotąd ładna. Zbliżamy się do końca kopania buraków cukrowych. Dziś pierwszą partię buraków odwieźliśmy na stację kolejową do Abel. Jak skończymy z burakami, to popędzimy intensywniej orkę jesienną, o ile nam pogoda pozwoli. Oby tylko mróz nie ścisnął ziemi. Pługi nam się tylko zużyły – trzeba je odrestaurować, a żelastwa brakuje. W domu jeszcze pieców nie palimy – trzeba wpierw kominy opatrzyć. Szkła do okien, które były wybite, już w ubiegłym tygodniu wstawiliśmy, trzeba jeszcze powstawiać i zakleić na zimę dubelty do okien. Drzewa już są prawie zupełnie gołe. Gdzieniegdzie jeszcze tylko są resztki pożółkłych liści. Smutno w naturze. Tylko ruń świadczy o życiu. Urządzamy już stajnię na zimę dla koni – żłoby, przeoryny.

26 października, rok 1943, wtorek

Jeździłem do Rakiszek. Dzień wypadł zimny. Powietrze nagle bardzo ochłodło.

W Rakiszkach poza interesami, które tam miałem do załatwienia, widziałem się z panią Bulavasową, która jest na wyjezdnym, bo mąż jej, ex-profesor i ex-prorektor w Wilnie z czasów sowieckich, ostatnio nauczyciel gimnazjum w Rakiszkach, porzucił to stanowisko i objął jakąś posadę w „Lietūkisie" w Kownie; widziałem się też z panią Nemicką, żoną Broniusa Nemickasa, którego nie zastałem. Pani Nemicka, osoba miła, jest siostrą p. Masiliunasowej, której mąż był wiceministrem oświaty w czasie, gdy Tonkunas był ministrem. Było to za czasów mojego rektoratu w Kownie. Masiliunasa znałem dobrze, bo miałem ciągły kontakt z Ministerium Oświaty. Znałem też jego żonę, ładną brunetkę. Przejścia czasów sowieckich (Masiliunasowie stracili wszystkie swoje rzeczy, Masiliunas był przez Sowiety aresztowany, potem Masiliunasowie „repatriowali się" do Niemiec) tak podziałały na p. Masiliunasową, że dostała obłędu. Świeżo wypuszczono ją z zakładu obłąkanych w Wilnie i teraz przebywa w Rakiszkach u siostry swojej, Nemickiej, skąd udać się ma do Ramigoły do męża i dzieci – mąż jej jest tam nauczycielem gimnazjum. P.

Masiliunasowa jest rekonwalescentką, ale jeszcze całkowicie do zdrowia umysłowego nie wróciła i jeszcze nie jest pewna, czy nie zachoruje psychicznie znowu. Widziałem ją przechodząc przez kuchnię w mieszkaniu Nemickich. Nie wiem, czy mnie poznała; nie przyglądałem się jej i nie witałem.

27 października, rok 1943, środa

Jeździłem dziś z córeczkami do Bojar do gospodarza Eigmina kupić od niego skóry na uprząż i żelastwa do pługów. Towar ten przywiózł on z Wilna.

Wczoraj skończono u nas kopanie i obcinanie buraków cukrowych. Dziś zakończyliśmy powtórnie uzupełniające kopanie kartofli. Od dnia dzisiejszego podziennych już brać nie będziemy. Kosztowali oni nas drogo. Płaciliśmy wpierw po 20, ostatnio zaś po 15 marek dziennie i dawaliśmy obiad. Ogółem wydaliśmy na podziennych dobrych parę tysięcy marek. Umożliwił nam to ogród owocowy. Gdyby nie jabłka – nie wybrnęlibyśmy z gospodarstwa. Teraz podzienni będą nam potrzebni tylko przy młóceniu, które zamierzamy wykonać w przyszłym tygodniu, ale będzie to nas kosztowało znowu dobrych półtora tysiąca marek. Oprócz pieniędzy, opłaciliśmy jeszcze podziennych jabłkami i drwami oraz chrustem.

28 października, rok 1943, czwartek

Odjechała do Wilna Onutė Lukšienė, która spędziła u nas dni kilka na zakupach produktów dla siebie do miasta (kupiła i powiozła owieczkę zarżniętą, jabłek, słoniny...).

Jesteśmy teraz z Jadzią sami z dziećmi; nocujemy sami jedni w wielkim domu naszym. Dziewczyny służące – Wala Kozłowska i Tonia Adamonytė – śpią w oficynie, w oficynie też dotąd mieszka w swoim pokoiku Stefan Römer, z którym widujemy się tylko przy stole. Dwór pustoszeje na zimę: parobek Antoni Kligis od Wszystkich Świętych odchodzi, pozostaną w parobczanej chacie tylko parobcy ordynariusze Szerszniow i Novikas z rodzinami.

Powietrze brzydkie, chłód, 2° ciepła, pochmurno, dzień ciemny. W polu Antoni Kligis orze rżysko w VI polu, Szerszniow dłubie się w stajni, urządzając zagrody i żłoby dla koni, Novikas w kuźni remontuje pług.

29 października, rok 1943, piątek

Wielkie wrażenie zrobiła na mnie klepsydra w gazecie „Ateitis”, donosząca o śmierci Aleksandry Biržiškowej, żony profesora Wacława Biržiški. Sam Wacław Biržiška donosi o śmierci żony; klepsydra zredagowana jest bardzo niezwykle, w wyrazach, pełnych głębokiego wzruszenia i świadczących o wielkim bólu męża. Donosząc krewnym i przyjaciołom o śmierci żony, która po długiej i męczącej chorobie umarła w d. 23 października, Wacław Biržiška tak się wyraża o żonie: „*...mirė mano vienintelis prietelius, draugas, globėjas, su manimi išvergęs per 25 metus visus bendrus vargus ir bėdas, Aleksandra Biržiškienė, mano žmona, mane grąžinusi tautai ir tėvynei...*“[2].

Nic nie wiedziałem o chorobie Wacławowej Biržiškowej i nie wiem, z czego umarła. Była to kobieta cicha, brzydka, nieefektowna, nietowarzyska, pochodząca ze środowiska obcego. Nikt dobrze nie wiedział, skąd ją Wacław wziął, gdzie ją znalazł. Pochodziła z Rosji, bodajże z Kaukazu, nie wiadomo, jakiej była narodowości, wyznania, sfery społecznej. Zdaje się, nie miała wykształcenia. Ożenił się z nią Wacław Biržiška podczas poprzedniej Wielkiej Wojny – w Rosji, za rewolucji bolszewickiej, kiedy sam był się pogrążył w ruch bolszewicki i jako przyjaciel i współpracownik ówczesnego wodza komunistów litewskich Vincasa Mickiewicza-Kapsukasa, który z wojskiem sowieckim znalazł się w Wilnie i tam tworzyć zaczął czerwoną Litwę sowiecką (rok 1918-1919), wrócił z Rosji do kraju, przywożąc żonę i biorąc udział w imprezie państwowej Kapsukasa. W rodzinie Biržišków i w kole znajomych Wacława Biržiški jego małżeństwo, które pozostało bezdzietne, uchodziło za nieudałe. Wacława Biržiškowa prawie nigdzie się nie

---

[2] „zmarł jedyny mój przyjaciel, towarzysz, opiekun, który dzielił ze mną przez 25 lat wszystkie troski i biedy, Aleksandra Biržiškienė, moja żona, która zwróciła mnie narodowi i ojczyźnie...”.

pokazywała, nie była ani gospodarna, ani inteligentna; zdawało się, ze nie mogła być towarzyszką ideową męża nauki, jakim się stał Wacław. Zdawało się, że jest ona balastem w jego życiu, zresztą bardzo pracowitym i cichym, zamkniętym w pracy gabinetowej. Widocznie jednak miała ona wielkie walory dla Wacława, skoro tak pięknie zaświadczył o niej w ogłoszeniu o jej śmierci. To mię wzruszyło. Biedny Wacław! W jego życiu samotnika była ona widocznie kwiatem głębokim dla niego, zamkniętym i obcym dla ludzi. Nauczyła się ona dobrze po litewsku i z nim po litewsku zawsze mówiła, ale że ona „zwróciła go narodowi i ojczyźnie" – tego się trudno było domyślić. Tym bardziej, że za czasów sowieckich w latach 1940-1941 Wacław Biržiška, który był po zerwaniu z komunizmem od roku 1920 apolityczny, znów jak pijak do wódki był się do bolszewizmu garnął.

Traf zdarzył, że akurat w tych dniach, nic nie wiedząc o chorobie Wacławowej Biržiškowej i tym bardziej o jej śmierci, napisałem list do niego i wiedząc o tym, że mu jest materialnie ciężko i że ani on, ani jego żona nie mają żadnej żyłki do spekulacji i żyją jak pustelnicy, głodujący na pustyni, wysłałem mu paczkę jabłek, którą wysłałem w sam dzień śmierci jego żony. Niewczesny to prezent dla strapionego męża. Napiszę doń jutro z wyrazami serdecznej kondolencji.

30 października, rok 1943, sobota

Zaczęliśmy palić w piecach i w kominku w dziecinnym pokoju. Ale jeszcze dom nie jest na całkowitej stopie zimowej, bo w niektórych pokojach dubelty jeszcze wcale nie wstawione, w innych – jeszcze nie zaklejone.

Nic osobliwego do zanotowania. Dwoma parami koni parobcy powieźli buraki cukrowe do Abel na stację. Ogółem dostarczyliśmy dotąd 40 cetnarów buraków. Pozostało ± 20 cetnarów.

31 października, rok 1943, niedziela

Pojechałem do Krewien do kościoła i zawiozłem kosz jabłek dla proboszcza. Dnie są teraz takie krótkie, że zajęło mi to cały dzień. Wróciłem do domu już o zmroku, obiad zjadłem już trochę po ciemku i zaraz zapadła noc, kiedy się już kładziemy z Jadzią i dziećmi do łóżek. Do kościoła na nabożeństwo się spóźniłem. Wszedłem do kościoła i siadłem do ławki naszej przy ołtarzu zawstydzony, bo już było po sumie. Wysiedziałem za to uczciwie wszystkie pozostałe modły uzupełniające – suplikację, litanię, modlitwę za Rzeczpospolitą, kazanie, różaniec, wreszcie śpiew koronki „*Kas nori Poniai Marijai tarnauti...*", której melodia bardzo mię wzruszyła, bo przypomniała mi dawne czasy mojego dzieciństwa, kiedy to śpiewano, zdaje się, na majowym nabożeństwie, tradycyjnie odprawianym u ołtarzyka, urządzonego w sioneczkach w starej oficynie bohdaniskiej. Odtąd, zdaje się, tej koronki śpiewanej nie słyszałem. Oryginalna melodia, której każdej zwrotki początek śpiewany jest uroczyście i powoli, przechodząc następnie w tempo szybkie i prawie skoczne. Jest w tym pewna naiwność rzewna. Potem byłem na plebanii na herbacie u naszego zacnego proboszcza Rakštisa. Gawędziliśmy naturalnie *de publicis*.

1 listopada, rok 1943, poniedziałek

Oto już listopad. W naszym klimacie listopad nie usprawiedliwia swojej nazwy, bo prawie wszystkie liście już opadły w październiku i drzewa już stoją nagie; tylko zupełnie wyjątkowo trzymają się jeszcze gdzieniegdzie resztki pożółkłych lub sczerniałych liści.

Przyszedł dziś i najął się za parobka Izydor Kulys, żonaty z Pupielytią z Prapultini. Najął się do roboty do kwietnia za mieszkanie, utrzymanie krowy i kilka jodeł, a od kwietnia 1944 na rok za parobka na ordynarię. Zdaje się, że ma on pewne skłonności do komunizmu, ale słychać, że człowiek jest bardzo dobry. Za czasów sowieckich służył on w Opejkiszkach u Lisieckich, a gdy Lisieckich wyrzucono z majątku, to był dla nich taki dobry, że Lisieccy powiadają, że brat rodzony nie mógłby być lepszy.

Zaprzągłem dziś po obiedzie Gulbię i w towarzystwie Stefana pojechałem za szeregiem drobnych interesików po zaściankach okolicznych przez Gaj i Busiszki na Orłowszczyznę i stamtąd na Boniuszki i z powrotem.

2 listopada, rok 1943, wtorek

Wypadło mi jechać do Rakiszek na wezwanie urzędu ubezpieczeń społecznych. Nowe wydane zostały przepisy o trybie ubezpieczania robotników na wypadek choroby i na rzecz emerytury. Wzywają pracodawców dla wyjaśnienia im procedury uiszczenia opłat i zapewnienia kontroli. Są nowe książeczki ubezpieczeniowe, system nalepek w rodzaju marek pocztowych itp. Procedura dosyć skomplikowana dla stosunków najemnych na wsi, zwłaszcza w drobnym gospodarstwie indywidualnym włościańskim, gdzie nie ma żadnych rachunkowości, ksiąg itd., a praca najemna jest słabo rozwinięta. Naturalnie, że opłaty są podniesione. W warunkach wojny i okupacji, zwłaszcza w stosunku do emerytury, są to rzeczy mało wartościowe, bo wszystko jest doraźne, jak sam pieniądz i jak sam ustrój. Z zakończeniem okupacji wszystko to się rozleci i owoców tej akumulacji kapitałów emerytalnych nikt kontować nie będzie. Odwiedziłem w Rakiszkach starego Macieja Čepasa. Widziałem też paru moich byłych studentów, dziś adwokatów i sędziów. Opowiadali różne nowiny i sensacje wypadków lokalnych – o bitwie z bandytami w okolicach Birż, o losach nieszczęsnej ludności spalonej wioski Miluny itp. Długo by to wszystko powtarzać. Mówiono też o zakończonej konferencji ministrów spraw zagranicznych Anglii, Stanów Zjednoczonych i Sowietów w Moskwie. O zakończonej konferencji był podany komunikat przez radio angielskie; przeważnie ogólniki o uzgodnieniu współudziału tych trzech potęg w pacyfikacji Europy po zwycięskim zakończeniu wojny, o odpowiedzialności i ściganiu winowajców wojny itd., ale nic bardzo konkretnego. Żadnych uchwał natury terytorialnej nie podano. Wszystko jeszcze mgławicowe, przynajmniej dla szerokiej publiczności.

3 listopada, rok 1943, środa

Barometr zawrócił na pogodę. Na wieczór też po dniu mglistym i ciemnym wiatr się podniósł północny i powietrze bardzo ochłodło na mróz.

Szerszniowa postawiłem już do dozoru specjalnie bydła i koni. Kończymy urządzanie stajni i obory. W tych dniach sprowadzamy młocarnię i motor Šimkusa i wymłócimy jarzynę oraz resztę żyta. Z Šimkusem umówiłem się za młócenie dać wyrąbać 1 ½ sążnia osiny w Gaju. Nie wiem, czy zdążę już orać na zimę, bo zdaje się zapowiadać mróz. Mam półtora pola zaoranego, a trzeba byłoby zaorać jeszcze 2 ½ pola, ogółem – cztery. Wciąż różne roboty przeszkadzają się zabrać intensywnie do tej orki. W domu nie opatrzone są jeszcze okna na zimę. Za wymycie okien i zaklejenie dubeltów daję 2 metry drew, ale dotąd nie znajduję nikogo do tej usługi.

Miałem list od biednego Wacława Biržiški, znękanego stratą żony. Nie sądziłem nigdy, że ją tak kochał. Była brzydka i zdawała się wcale nieciekawa i nieinteligentna. Ale nikt ze strony nie zbada głębi stosunku między małżonkami. Wacławowa Biržiškowa umarła z raka. Przez stratę żony Wacław Biržiška stracił wszystko, nawet swoją namiętność do pracy i zmysł społeczny. Tak przynajmniej wynika z jego listu. Wpada też trochę w mistycyzm. On, niedowiarek, człowiek bez wyznania, wierzy, że widział materialnie ulotnienie się duszy żony z ciała, gdy mu umarła na jego rękach. Jest przeto pewny jej życia zagrobowego i swego z nią połączenia się po śmierci.

4 listopada, rok 1943, czwartek

Rano odwiedził mię Jan Bagdonas, który przyjechał z Wilna dla zaopatrzenia się w produkty, jak to często robi. Naopowiadał pełno ploteczek i nowinek, ale ostatecznie nic bardzo nowego; to samo, co już słyszałem w Rakiszkach. Jest to też jeden z amatorów sensacji. Nowe w jego opowiadaniach, czego dotąd nie słyszałem, było twierdzenie, że obecnie „likwidowani” są Żydzi w Kownie. W Wilnie to „likwidowanie” Żydów, pełne scen dantejskiego piekła, odbyło się już przed paru miesiącami, teraz przyszła kolej na Kowno. Podobno część Żydów z getta kowieńskiego jest

rzekomo wywożona gdzieś „na roboty", inni są tępieni na miejscu. Ale nikt nie wierzy, żeby los tych niby „wywożonych" był inny. Kowno i Szawle – to dwa ostatnie miasta w Litwie, w których istniały jeszcze resztki Żydów w gettach.

Jutro ma być przywieziony do nas spod Łukszt motor i młocarnia Šimkusa, pojutrze mamy rozpocząć młócenie. Chodziłem dziś do Michała Błażewicza w Dunduryszkach, do Jana Malciusa w Karwieliszkach i do Balysa Malciusa, zamawiając robotników do młócenia.

Mróz dziś ostry i pogoda wielka. Kto wie, czy już ziemia nie zmarznie i zima się nie ustali. Ludzie jeszcze trochę orzą, ale już trudno. Na noc zapowiada się mróz większy. Ale gospodarze doświadczeni mówią, że jeszcze nastąpi odwilż, bo jest nów księżyca, a zima na nowiu ostatecznie się nie ustala. Tymczasem barometr idzie na suszę, to znaczy na mróz i wiatr jest wschodni. W domu – zimno u nas. Piece dymią, dubelty nie wstawione i okna nie zaklejone. Dziś dopiero Šeškus skończył szklić okna. Nie skończony jeszcze kopiec na kartofle, mróz przeszkadza go opatrzyć ostatecznie.

5 listopada, rok 1943, piątek

Mróz się wzmógł. Rano było podobno -7° mrozu. Powierzchnia ziemi skuta; orać już nie można.

Nie doczekaliśmy się dziś motoru i młocarni Šimkusa, które miały być dziś przywiezione z Łukszt. Nasz koń, którego wczoraj posłaliśmy w tym celu, nie wrócił. Nie ma też Šimkusa ani jego kołchoźnika maszynisty. Šimkus jest tak niesłowny, że wszystkiego się od niego spodziewać można, a na słowo jego liczyć niepodobna. Może tam jeszcze komuś młóci. Na młóceniu bardzo nam zależy, bo nie mamy wcale wymłóconej słomy owsianej na poszor dla krów, które trzeba już trzymać w oborze. Dokarmiamy je trochę burakami i dajemy słomę żytnią. Dla koni nakroiliśmy sieczki, do której prócz siana dodaliśmy niemłóconego owsa ze słomą.

Licząc na to, że jutro już młócić zaczniemy, chodziłem dziś rano do Prapultini i Wiwieliszek – do Józefa Sadowskiego i do Kundrotasa – zamawiać robotników do młócenia. Stamtąd udałem się do Gaju, gdzie dałem Šeškusowi grubą osinę do zrąbania za oszklenie okien w domu.

W domu u nas zimno. Piece i kominek w pokoju dziecinnym dymią. Pupielis zaczął, ale nie skończył czyścić kominy i lufty. Nie znajdujemy dotąd nikogo do wymycia okien i do ustawienia oraz zaklejenia dubeltów. Zima się zbliża.

Jadzia woziła jabłka do Abel na rynek na sprzedaż. Sprzedała trzy wory jabłek, ale to ją męczy. Same drobne troski domowe.

6 listopada, rok 1943, sobota

Zachmurzyło się i mróz ulżał. We dnie była lekka odwilż. Barometr zawrócił na niepogodę. Ludzie przewidują, że ociepleje i że można jeszcze będzie orać. Daj Boże! Tak ze względów gospodarczych, jak ze względu na wygodę osobistą chciałoby się jeszcze ciepła. Powierzchnia ziemi jest jeszcze jednak zmarzła i na sadzawkach jest lód. Na wieczór podniósł się wiatr południowo-wschodni, barometr wszakże pokazuje na niepogodę.

Motoru i młocarni nie przywieziono. Wieczorem maszynista kołchoźnik Šimkusa przypędził naszego konia i oświadczył, że w motorze coś zostało uszkodzone, wobec czego w poniedziałek zawiozą go z Łukszt do Rakiszek do naprawy, po czym znów wróci do Łukszt dla dokończenia młócenia u brata Šimkusa i dopiero wtedy można go będzie sprowadzić do nas. Czysta bieda! Znowu zwłoka – może na tydzień, a może i na dłużej. Z motorem Šimkusa zawsze są takie wypadki.

Kotuńka otrzymała list od panny Michaliny Kaszczukówny i fotografię jej na pamiątkę. Przed kilku dniami wysłałem do panny Michaliny listek Kotuni, napisany przez nią własnoręcznie i jej własnej kompozycji. Kotuńka wcale dobrze pisze ołówkiem litery, naturalnie tylko kopiując je ze wzoru liter dużych drukowanych, które Stefan dla niej wyrysował na deseczkach i które jej po kolei podsuwam, układając z nich słowa. Sama jeszcze z liter słów ułożyć nie umie, nie umie też łączyć

w sylaby, ale poszczególne litery rozpoznaje już coraz lepiej. Mniej więcej co dzień próbuje tych ćwiczeń w pisaniu, a liczyć umie już do tysiąca. Jest chętna do tej „nauki” pierwotnej i pamięć ma doskonałą. Wierszyków uczy się z łatwością. Iga natomiast leni się, chociaż jeszcze i wiek jej do żadnej nauki się nie nadaje. Panna Michalina i do nas z Jadzią list załączyła – bardzo serdeczny i życzliwy.

7 listopada, rok 1943, niedziela

Nowina: śnieg! Pierwszy śnieg w tym roku. Wypadł trochę w nocy i padał potem rano. Śnieg mokry, topnieje, ale ponieważ ziemia przez parę dni poprzednich trochę z wierzchu podmarzła, więc trochę trzyma śnieg. Temperatura – 1° ciepła, bez wiatru. Po obiedzie z Jankiem Čepasem jego ogierem czarnym w linijce jeździliśmy do Rukiel, gdzie w jednym z zaścianków stoi motor i młocarnia Stasiulionisa z Mełduć. Chcieliśmy spróbować, czy by się nie dało zamówić tę młocarnię do nas, bo obawiamy się, że Šimkus znowu nas zawiedzie. Jednak nic nie wskóraliśmy: Stasiulionis po wymłóceniu w Rukielach musi ze swym motorem i młocarnią jechać jeszcze do Rakiszek. Nie można byłoby liczyć na jego młócenie prędzej, niż za parę tygodni. Tymczasem Šimkus obiecuje kategorycznie naprawić swój motor i po skończeniu młócenia w Łuksztach jeszcze w tym tygodniu przyjechać do nas.

Czas biegnie. Sytuacja na froncie wschodnim jeszcze tak katastrofalna, jak zapowiadano, się nie wydaje. Linia Dniepru się trzyma, choć na lewym brzegu dolnego Dniepru akcja Sowietów bądź co bądź robi postępy, odcina Krym i zbliża się do ujścia Dniepru. Z nastaniem zimy niebezpieczeństwo zbliżenia się wojny do nas może wzrosnąć. Nie daj Boże, żeby to nas zaskoczyło w mrozy zimowe. W ogóle sytuacja tak wojenna, jak polityczna jest ciężka. Nie ma żadnych wyraźnych i jasnych perspektyw dla kraju naszego. Niebezpieczeństwo zwycięstwa niemieckiego i dyktatury Niemiec w Europie, które byłoby dla nas straszne, zdaje się być wykluczone, ale dla Litwy niebezpieczne też jest zwycięstwo Sowietów. Nie mówiąc już o ewentualnych represjach sowieckich przy porachunkach za partyzantkę z roku 1941, za tępienie Żydów, za współpracę z Niemcami, a w chaosie namiętności i w pierwszym impecie represji i porachunków może to być załatwiane sumarycznie bez precyzyjnego rozróżnienia, kto i jak „zawinił”, jest dla Litwy straszne same już ewentualne zapanowanie Sowietów nad krajem na stałe. Mała europejska Litwa w kontakcie z kolosem Eurazji nie ocali swojej kultury i nie utrzyma swojej indywidualności. Potop eurazyjski zabije tę małą wysepkę Europy, zmiażdży jej indywidualność i zniweluje ten kraj i naród na modłę swoją. Biedna byłaby Litwa i te kraiki, które by cielsko sowieckie wessało w siebie. Aneksję tę Sowiety uważają za aksjomat, a czy Anglia i Ameryka zachcą i zdołają się temu przeciwstawić w stosunku do zwycięskich Sowietów – to jest bardzo problematyczne. Będzie wiele innych wartości ważniejszych do obrony dalej na zachodzie, a my jesteśmy z brzegu i przedstawiamy czynnik wagi znikomej.

8 listopada, rok 1943, poniedziałek

Kotunieczka nasza skończyła dziś 5 lat. Z gorzkiego dziecka wyrasta już na dziewczynkę małą. Zdaje się, że będzie zdolna i że się dobrze rozwija. Biedne dziecko – dzieciństwo jej wypadło na lata wojny. Jadzia po jej przyjściu na świat marzyła, że ją będzie pięknie ubierać, że ją zalokuje do ogródka dziecinnego, a nawet może odda do szkoły baletu dla dzieci. Gdybyśmy mieszkali w mieście i wojny by nie było, chodziłaby z nami do cukierni, do teatru na przedstawienia dziecinne, na operę i na balet, do kina, zajadałaby ciastka i smaczne owoce, zaprzyjaźniłaby się z innymi dziećmi, oglądałaby wyścigi, zabawy sportowe, tańce, zaprowadziłbym ją do aerodromu, może byśmy ją latem zawieźli nad morze, może nawet za granicę... Rozwijałaby się jak kwiatek ludzki w warunkach kulturalnych. Teraz biedactwo nie ma tych wrażeń, nie zna tych rzeczy pięknych i smacznych, które by dla dziatek naszych były powszednie. Co prawda, podmiotowo nie jest to dla niej ciężkie, bo nie czuje braku tego, czego zgoła nie zna i o czym pojęcia nie ma.

W innym czasie na dzień swoich urodzin w ich rocznicę pięcioletnią dostałaby stos pięknych przeróżnych zabawek i różnych smacznych łakoci, o których dziś nic nie wie, jak czekolada, cukierki, ciasteczka, marcepany, pomarańcze, winogrona, bakalie... Są to dla niej tajemnice. Darowaliśmy jej na urodziny z Jadzią... po wstążeczce barw szkockich do włosów – oto i cały prezent. Dzień jej urodzin upłynął jak każdy inny dzień powszedni. Tort, zapowiedziany na dzień urodzin, który Jadzia jej upiecze i który będzie ozdobiony pięciu płonącymi świeczkami, symbolizującymi pięć lat życia, jak również gęś i zabawa urodzinowa – odroczone zostały do niedzieli, kiedy ma przyjechać siostra Jadzi Stefcia Boreišisowa ze swymi dziećmi i nastąpi zabawa dziecinna. Gęś już jest zamówiona, świeczek jeszcze nie ma, ale też są z Wilna zamówione i może do niedzieli przyjdą.

9 listopada, rok 1943, wtorek

Dowiedzieliśmy się, że nocy dzisiejszej zaaresztowani zostali w Boniuszkach wszyscy tam zamieszkali Rosjanie starowierzy, których tam jest kilka rodzin. Aresztowano wszystkich mężczyzn i popędzono do Rakiszek, skąd mają być podobno wywiezieni do Poniewieża. Co z nimi dalej zrobią – nie wiadomo. Prawdopodobnie wywiozą do Niemiec na roboty. Bardzo prawdopodobne, że miejscowych Moskali starowierów zaliczono do tego kontyngentu 30 000, które samorząd litewski, reprezentowany przez radców generalnych z generałem Kubiliunasem i przez Tarybę z Michałem Biržiškią na czele we wrześniu obiecał Niemcom dostarczyć z Litwy. Kobiety i dzieci w Boniuszkach zostawiono. Jaki będzie ich los, czy je pozostawią w domu na gospodarstwach swoich – nie wiadomo. Aresztowanie Moskali w Boniuszkach – to epizod lokalny odpowiedniej akcji masowej. Przed paru tygodniami, jak było słychać, aresztowano masowo i wywożono Moskali starowierów w stronach jezioroskich. Teraz, jak powiada SzersznIow, aresztowano ich nie tylko w Boniuszkach, ale i po zaściankach wiosek krewieńskich, położonych nad jeziorem Sarty (Strawy, Bobryszki...), gdzie są ich wielkie gniazda. Czy to jest pobór tego kontyngentu, czy zarządzenie represyjne władz niemieckich, wywołane przez powtarzające się ciągle zamachy na linię kolejową między Dyneburgiem a Radziwiliszkami, których sprawcami są pono wyłącznie ci Moskale, tego nikt nie wie. W każdym razie, zabrano się do nich radykalnie.

Podobno wciąż się wiozą koleją żelazną i pędzą się pieszo wielkie transporty ludzi, ewakuowanych przez Niemców z terenów rosyjskich na wschodzie, z których się Niemcy cofnęli lub cofają. Wczoraj miało przejść przez Abele i nocować tamże 900 takich ewakuowanych, pędzonych z Łotwy w kierunku na Ucianę. Dotąd wszakże przewożą i przepędzają ich gdzieś dalej. Czy potem jakąś część ich pozostawią tutaj i rozlokują przymusowo po gospodarstwach lokalnych, jak było zapowiadane, i kiedy to nastąpi, tego nie wiemy.

Była dziś pogłoska, że Sowiety zajęły Kijów.

10 listopada, rok 1943, środa

Potwierdza się wiadomość, że ci miejscowi Moskale starowierzy, którzy zostali masowo aresztowani, będą wysłani na roboty do Niemiec. Wchodzą oni w ten kontyngent 30 000 ludzi, który zobowiązano się dostarczyć w listopadzie Niemcom. W niektórych miejscowościach (wioskach) zabrano wszystkich Moskali mężczyzn, z których wszakże, jak słychać, niektórych z Abel puszczono z powrotem (przynajmniej starców i niezdatnych do robót, o ile nie byli oni notowani w akcji komunistycznej), ale z niektórych miejscowości ich nie ruszano; na przykład, z trzech zaścianków w Matejkach i Kurmiszkach, gdzie mieszkają trzy rodziny Kisielowych, nie zabrano nikogo. Nie poruszano też mojego parobka Szersznіowa. Zabrano też niektórych Litwinów, którzy za czasów sowieckich zaznaczyli się szczególnie czynnie w ruchu komunistycznym jako agitatorzy, mówcy mityngowi i „działacze”. W szczególności zabrany został głośny Ruzgus z Krewien (był on działaczem komunistycznym jeszcze za pierwszej inwazji bolszewickiej w roku 1919, następnie był schwytany przez wojsko litewskie po wypędzeniu bolszewików i byłby zapewne rozstrzelany, ale uciekł, a po uspokojeniu się wrócił i za czasów niepodległości miał w

Krewnach restaurację, szynkował wódkę, miał się dobrze, miał dom własny, następnie za czasów sowieckich w roku 1940 znów się do komunizmu zaciągnął i wygłaszał mowy na mityngach, a po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej uciekł wraz z Sowietami, następnie znalazł się w Witebsku, z którego po zajęciu go przez Niemców wrócił i siedział w Krewnach), także Denys z żoną z folwarku Soły pod Abelami (choć zamożny gospodarz na 40 hektarach żony – wdał się w akcję komunistyczną za czasów sowieckich i agitował na rzecz kołchozów), Gruodis – podobno z żoną i córką – z zaścianka pod Abelami, robotnik Jankowski ze stacji kolejowej abelskiej (syn brata mojego starego lokaja śp. Kazimierza Jankowskiego, szwagier głośnego komunisty Monczyńskiego z Abel, który za Sowietów był naczelnikiem milicji w Abelach i uciekł z Sowietami, człowiek ostrego języka i spekulant)... Wszyscy oni zostali zabrani i będą widocznie wywiezieni na roboty do Niemiec. Wpisano ich widocznie do spisów, które były poufnie sporządzane na rzecz tego kontyngentu. Zabrano ich wszystkich wraz z Moskalami w nocy bez wielkiego hałasu. Na ogół wszyscy ci, którzy za czasów sowieckich byli się zamanifestowali czynnie, siedzą teraz w strachu pod groźbą zabrania i wywiezienia. Ciężka to rzecz, ale jeżeli skończy się dla nich tylko na tym, że ich do Niemiec do robót wywiozą, to w pewnych okolicznościach mogą na tym nawet wyjść dobrze, bo jeżeli nas czekają jeszcze ewentualnie jakieś wypadki wojenne (wszystko jeszcze być może i nie jesteśmy od niczego zagwarantowani), to oni w Niemczech mogą uniknąć tego, czego my tu nie unikniemy. Niejeden z wywiezionych w roku 1941 przez Sowiety do Rosji – zwłaszcza wywiezieni Żydzi zamożni – może uniknął gorszego losu, gdyby był został na miejscu. W czasie wojny nic nie wiadomo, co lepsze, a co gorsze, bo różnie się zdarzyć może.

11 listopada, rok 1943, czwartek

Od dwóch dni mamy już trochę śniegu. Krajobraz już zimowy, choć śnieg jeszcze niewielki. Drzewa dziś pokryte szronem. Wczoraj jeszcze oraliśmy. Zdaje się, że doczekamy się już zimy, choć barometr zawrócił na deszcz. W domu Elizka Stankiewiczówna myje i zakleja okna, wstawiają się dubelty. Jadzia porządkuje resztki jabłek, które przebiera i trzyma na górze. Przeniosła je wszystkie do mojego gabinetu na górze, który przepala, żeby jabłka nie zmarzły. Jest jeszcze kilka cetnarów jabłek, ale trzeba już śpieszyć je sprzedawać, bo w tym roku jabłka są bardzo nietrwałe: pokrywają się plamkami czarnymi, na których osiada pleśń i jabłka zaczynają gnić. Czy to deszcze latem im zaszkodziły, czy to, że drzewa od kilku lat nie są opryskiwane. Jadzia sprzedaje jabłka Putnie, ma sprzedać Antoniemu Juszkiewiczowi, wozi co tydzień na rynek. Daje to nam gotówkę, za którą wiele potrzebnych rzeczy kupiliśmy i opędziliśmy różne wydatki. Te jabłka były dla nas wielkim sukursem w gospodarstwie.

Przez Abele wczoraj przeszła wielka partia ewakuowanych Rosjan spod Pskowa, z powiatu ostrowskiego. Wielu ludzi od nas musiało jechać z podwodami dla przewiezienia ich z Abel do Rakiszek. Poprzedniego dnia furmanki łotewskie z eskortą policji łotewskiej przewiozły ich z Subatu do Abel. Przyjechało ich przez Abele parę tysięcy ludzi – mężczyzn, kobiet i dzieci z dobytkiem, niektórzy pędzą ze sobą krowy, niektórzy mają własne konie i furmanki, inni idą pieszo albo jadą na podwodach rekwirowanych. Ludzie ci mówią, że ich wypędzono znienacka. Żadnej wojny tam jeszcze nie było, nie słychać było strzałów, Niemcy zarządzili ewakuację niespodziewanie; dano im kilka godzin czasu na zebranie rzeczy i wypędzono, budynki zaś wszystkie spalono. Mówią, że Niemcy to zarządzili nie tyle w przewidywaniu cofnięcia się przed ofensywą sowiecką, ile ze względu na bandy leśne, żeby te bandy znalazły się w pustyni i musiały się zlikwidować same z braku pożywienia i możności rabunku ludności miejscowej. W ten sposób Niemcy chcą się uwolnić od tych band, z którymi na tyłach swoich nie mogą dać rady.

12 listopada, rok 1943, piątek

Jeździłem dziś rano do Łasz do mleczarni. Zmarzłem w ręce. Mróz niewielki, ale z wiatrem, który przechodzi przez rękawiczki wełniane.

Zresztą nic ciekawego w dniu dzisiejszym.

13 listopada, rok 1943, sobota

Jeździłem dziś w towarzystwie Stefana Römera do Abel. Była odwilż, rano padał śnieg z drobnym deszczem, przez noc całą była zawieja mokra, potem wiatr południowy. Powietrze brzydkie, Stefan był trochę nabuntowany, lękał się jechać, że zmarznie. W istocie wszakże wcale zimno nie było; wzięliśmy futro na nogi, byliśmy w paltach watowanych zimowych, w czapkach z klapami futrzanymi na uszy, ja miałem na rękach dwie pary rękawiczek użmołek, z których jedna podwójna. Zawiozłem jabłek do weterynarza jako honorarium za szczepienie świń i paczkę z jabłkami na pocztę dla Reda Römera. Miałem w Abelach interesy w gminie, w kooperatywie, w aptece... Teraz taka jazda do Abel zapełnia cały krótki dzień jesienny. Nim się dojedzie, załatwi interesy i wróci – już się dzień ma ku schyłkowi. Po powrocie zje się obiad i już zapada zmrok wieczorny. O szarej godzinie opowiadam bajkę dzieciom, potem lampeczka-kopciuszka się zapala, kolacja i idziemy do łóżka, bo nie ma już co robić. Na wsi w jesieni i zimą zmuszeni jesteśmy w warunkach obecnych pędzić życie prymitywów. Nafty – mało, zapala się tylko malutka lampeczka, która jest jedna na cały dom. Z moim wzrokiem po operacji katarakty wieczorem przy takim oświetleniu nawet przez okulary ani czytać, ani pisać nie mogę; jestem na wpół ślepy. Jadzia czyta trochę w łóżku, ja zaś kładę się i pogrążam się w noc, która trwa aż do świtu rannego. Przeszło 12 godzin snu! W łóżku ciepło i rozkosznie, ale trochę za długo. Z wieczora śpię jak zabity, ale po północy budzę się i często po kilka godzin zasnąć nie mogę: różne myśli i troski zapełniają głowę; w nocy wszystko się przedstawia gorzej, jakoś jaskrawiej i straszniej, niż we dnie.

14 listopada, rok 1943, niedziela

Na dziś był odłożony obchód rocznicy urodzin Kotuńki. Zresztą skromny to obchód, ale dla naszych biedaczek kochanych, to znaczy dla naszych córeczek – to radość tęczowa, o której marzyły od dni kilku i która dziś istotnie się zrealizowała. Złożyły się na ten obchód elementy następujące: a. tort przekładany kremem, który Jadzia wczoraj upiekła; b. na torcie pięć świeczek płonących, symbolizujących pięć lat wieku Kotuńki; świeczki te miały być przysłane z Wilna, ale nie doczekaliśmy się ich dotąd, toteż dziś rano sfabrykował je Stefan Römer: zrobił foremki z papieru, do których nalany został roztopiony łój barani z knotem w środku; po zastygnięciu łoju w zimnej wodzie świeczki paliły się nieźle, wetknięte w tort; c. cukierki domowe ze śmietanki gotowanej z cukrem; d. piernik i bułka; wreszcie e. zabawa dziecinna, na którą czekaliśmy przyjazdu ze Spieczun Jadzi siostry, Stefci Boreišisowej z dziećmi; Stefcia nie przyjechała, ale przyjechało dwoje starszych jej dzieci – gimnazista Michaś i Steputia; nie przyjechał mały trzyletni Vitukas, który nigdy jeszcze w Bohdaniszkach nie był; skądinąd przyszła też Birutė Čepasówna z zaścianka Jadzi, a po obiedzie od Mieczkowskich przyszła Jolcia Komorowska, która przyjechała w gościnę z Hektorem. Zabawa więc dziecinna udała się, było wesoło, dziatki nasze zabawiły się wyśmienicie, pokoje i korytarz huczały od ruchu dziecinnego, aż wreszcie dziatki nasze, ledwie żywe od nadmiaru ruchu i wrażeń, posnęły.

Kotuńka pytała dziś, gdzie „ma" te lata, o których jej mówią, że ma; „miała" cztery lata, teraz przybył piąty – ma pięć lat; jeżeli je ma, to gdzie one są? Chyba – powiada – w brzuszku. Tak sobie rozważa i dowcipkuje dziecko.

Parę godzin wieczornych spędził u mnie Hektor Komorowski na gawędce. Wieści jego nie są bardzo nowe; te same, które już wiem skądinąd. Najwięcej się Hektor przejmuje niebezpieczeństwem wyrzucania ludzi z kraju i niszczenia wszelkich zabudowań przez Niemców na wypadek zbliżania się frontu bezpośrednio do nas, jak to Niemcy robią w Rosji i na Białej Rusi oraz Ukrainie nawet na tyłach frontu. Rzeczywiście, byłoby to najstraszniejsze, gdyby do tego dojść miało, zwłaszcza gdyby to miało nastąpić zimą. Gdzie się wtedy podziać z małymi dziećmi? Jechać – dokąd, jak, w czym? Niech nas ma Pan Bóg w swojej opiece.

15 listopada, rok 1943, poniedziałek

Od paru dni mrozu nie ma. Barometr – na słocie. Od piątku już wznowiłem orkę jesienną. Dziś orały dwie pary koni. Jeździłem do Bojar do Eigminasa po naftę, którą gdzieś dostał i odsprzedał mi 5 litrów po 30 Rm. U niego słuchałem radia. Był nadawany akurat komunikat wojenny niemiecki po białorusku. Co mię w tym komunikacie uderzyło, to wzmianka o walkach toczących się na ulicach Żytomierza. Linia Dniepru jest więc chyba sforsowana przez Sowiety. Zajęcie przez Sowiety Kijowa nie było więc tylko wprawdzie jaskrawym, ale bądź co bądź epizodem lokalnym na prawym brzegu Dniepru; było to w związku z przerzucaniem frontu głęboko na prawobrzeżną Ukrainę. Odcięcie Krymu, docieranie do ujścia Dniepru, front na Wołyniu – to są już momenty groźne zbliżania się wojny do nas. Wprawdzie to ma miejsce na terenach południowych, na Ukrainie, ale postępy ofensywy sowieckiej na południu mogą się automatycznie odbić na skracaniu linii na odcinkach północnych. Wróciłem do domu pod ciężkim wrażeniem tej wieści o Żytomierzu. Jeżeli tak będzie szła ofensywa sowiecka, to możemy się doczekać przewalenia wojny w samą zimę. Najstraszniejsze zaś jest nawet nie samo toczenie się wojny, ale to ewentualne wypędzanie całej ludności na jakąś wędrówkę i poniewierkę w mróz, z dziećmi, nie wiadomo jak. To ze wszystkiego najstraszniejsze.

Nocy dzisiejszej na zaścianek Diržysa w Bohdaniszkach, najbliższy naszego dworu, dokonany był zamach bandycki. O godz. ósmej wieczorem dnia wczorajszego, przed wschodem księżyca w noc ciemną, do domu Diržysa wdarło się sześciu uzbrojonych mężczyzn. Rozmawiali dobrze po litewsku. Młodego Witolda Diržysa indagowali, czy nie był partyzantem litewskim, zrewidowali go, pytali, czy Diržysowie wywieźli normę rekwizycyjną dla władz niemieckich, potem zażądali jedzenia, zjedli słoninę, zabrali resztę i odeszli, nie czyniąc innego gwałtu na osobach. Wszystkich członków rodziny Diržysa trzymali przez cały czas pod lufami karabinów. Przedtem byli się dobijali do zaścianka seniunasa Kišunasa na pograniczu Boniuszek i Bohdaniszek. Seniunasa nie było w domu. Syn seniunasa wyskoczył oknem i biegł krzycząc. Seniunas, który był w sąsiednim zaścianku, wybiegł i strzelił. Bandyci uciekli nie dokonawszy żadnego rabunku.

16 listopada, rok 1943, wtorek

W Krewnach w kościele naszej parafii w ciągu pięciu dni – od niedzieli do czwartku – odbywają się „misje". Przyjechał misjonarz jezuita, jeden ze znanych kaznodziei litewskich Societatis Jesu, który w ciągu tych kilku dni apostołuje w kościele krewieńskim. Co dzień ma po kilka kazań, z których jedne są ogólne, inne przeznaczone specjalnie dla kobiet albo dla mężczyzn, dla młodzieży, dla dzieci, jedne są zwrócone przeciwko pijaństwu i zwłaszcza samogonowi, inne omawiają sprawę rodziny albo różne inne bolączki społeczne ze stanowiska religijnego. Napływ ludzi na te kazania jest bardzo wielki co dzień, a dużo księży z parafii sąsiednich odprawia w międzyczasie nabożeństwa i spowiada liczne rzesze śpieszących do Stołu Pańskiego i korzystających z odpustu. Wybrałem się dziś i ja posłuchać głośnego kaznodziei. Nazwiska jego nie pamiętam. Wysłuchałem dwa jego kazania, z których jedno było zwrócone przeciwko różnym słabościom ogółu – w szczególności przeciwko zaniedbaniu nabożeństw w święta, przeciwko nieszanowaniu cudzego i przeciwko samogonowi, drugie – poświęcone rodzinie chrześcijańskiej i płodności w rodzinie. Kaznodzieja jest dobry, mówi przekonywająco i kategorycznie, trafia do umysłów słuchaczy wiejskich. Zresztą z ławki naszej, w której siedziałem, źle słychać kazanie z ambony, akustyka jest marna, wiele finezji z kazania misjonarza nie dotarło precyzyjnie do uszu moich. Dla podniesienia efektu i większej skuteczności propagandy misjonarz w konkluzjach swoich zarządzał czasem uroczystą przysięgę masową: tłum wiernych słuchaczy wznosił ręce do góry i powtarzał słowa ślubowania uroczystego; tak było w stosunku do zobowiązania słuchania mszy w niedziele i w stosunku do walki z samogonem. W pierwszej przysiędze ręki nie podniosłem, bo nie mógłbym jej spełnić, w drugiej – połączyłem się z kościołem. Żałuję, żem nie poznał misjonarza tego na plebanii – musi to być w każdym razie człowiek wybitny; ale było za późno na odwiedzenie plebanii i na ewentualny obiad – trzeba było śpieszyć wracać przed

zmrokiem. Misjonarz zresztą zna mię widocznie, bo gdym wychodził z kościoła spotkałem go idącego z zakrystii; z bardzo serdecznym uśmiechem zbliżył się do mnie i spytał zdziwiony: „Ponas Profesorius?”. „Taip, aš” – odrzekłem, a on znowu: „Ponas Römeris?”. Odpowiedziałem: „Taip, esu šios parafijos žmogus“. Kilkakrotnie powtórzył „Labai malonu”, ale w kościele okazji do dłuższej rozmowy nie było. O szarej godzinie w domu była chwilka strachu. Wicher huraganowy szalał na dworze. Nagle coś gwałtownie zaszumiało w kominie wyjąc przeraźliwie, jak gdyby to aeroplan lądował. Jadzia pierwsza domyśliła się, że zapaliła się sadza w kominie. Jakoż z komina ujrzano buchające światło i mnóstwo iskier pędzonych przez wiatr. Obawialiśmy się, żeby od iskier nie zapaliło się na wietrze gumno. Zbiegli się ludzie. Szczęściem sadze się wypaliły bardzo prędko i wszystko się skończyło.

17 listopada, rok 1943, środa

Jestem przeziębiony. Mam coś w rodzaju grypy czy influency. Na noc stan gorączkowy, z wieczora ziębienie, stygnięcie kończyn, łamanie kości w nogach, uczucie zmęczenia, katar wielki, kaszel. Nie wychodzę z domu. Na dworze mokro, ciemno, wieczorem deszcz. Dziatki nasze mają szereg rozkosznych dni zabawy. Hektor Komorowski, który w niedzielę przyjechał do Mieczkowskich z córeczką Jolcią, w poniedziałek pojechał do starych panien Kiełpszanek w Kiełpszyszkach za Antuzowem i dotąd stamtąd nie wrócił. Jolcia całe dnie do zmroku spędza u nas, bawiąc się z naszymi dziećmi. Czasem też przychodzi na cały dzień Birutė Čepasówna i wtedy zabawa czworga dzieci jest kompletna. Choć różnica wieku między 11- czy 12-letnią Jolcią, 9-letnią Birutią, 5-letnią nasza Kotuńką i niespełna 4-letnią naszą Igą jest wielka, jednak w zabawie kwadrują doskonale.

W czasie obiadu przyszły do nas trzy Moskiewki orłowskie z ewakuowanych z terenów wojennych. Przyszły z dworu krewieńskiego żebrząc. Jedna stara, jedna dosyć młoda, przygnębiona bardzo i jedna młoda, żywa, bardzo piękna i miła. Moskiewki orłowskie w ogóle zdobyły u nas renomę dobrych robotnic i dobrych ludzi. Rzeczywiście, wrażenie robią bardzo przyjemne. Daliśmy im jabłek i nakarmiliśmy obiadem, złożonym z buraczków, beef Stroganoff, kaszy kartoflanej i chleba. Odeszły ucieszone.

Odwiedziła nas przed wieczorem Marysia Stefanowa Römerowa, która przed kilku dniami przyjechała i niebawem odjeżdża, zabierając do Kowna także Stefana, który bez niej żyć nie może. Stefanowi z daleka każde nowe miejsce wydaje się doskonałe, ale się bardzo prędko zniechęca i znów marzy o zmianie pobytu. W każdym jednak razie, zasadniczym dla niego jest być tam, gdzie jest Marysia. Dużo biedny Stefan ma wad i słabostek, które go czynią karykaturą człowieka, ale jedno jest w nim rozczulające i święte: to przywiązanie niezmierne do żony, która też jest dla niego żoną wzorową i doskonałą, prawdziwą żoną-matką. Biedacy są teraz bezdomni, tułacze, żyjący z dnia na dzień. Żyją z tego, co Marysia zdoła gdzieś kupić i odsprzedać, spekulując po troszeczkę. Musi ona z tego utrzymać siebie, męża i córkę, która uczy się w Kownie w gimnazjum.

18 listopada, rok 1943, czwartek

Jadzia była dziś – w ostatnim dniu misji – w kościele w Krewnach. Przy tej okazji poszła do spowiedzi i przyjęła komunię świętą. Nie wiem na pewno, bo o to Jadzię nie pytałem, ale zdaje mi się, że od lat wielu nie spowiadała się. Nie była nigdy bezwyznaniowa, ale może miała pewne skrupuły ze względu na wieloletnie pożycie ze mną bez ślubu. Cieszę się z tego, że jest w zgodzie z Kościołem i może korzystać z tego źródła ukojenia, jakim jest religia. Dla mnie najtrudniejszym problemem ewentualnego pojednania z Kościołem jest wzgląd na małżeństwo nasze z Jadzią ze stanowiska katolickiego. Małżeństwo nasze jest cywilne, oparte na rozwodzie moim z Reginą. Doktryna katolicka rozwodu nie uznaje i raz dokonane małżeństwo uważa za niewzruszone, które rozwiązane być może li tylko przez śmierć jednego z małżonków. Nie chodzi więc o to, że nasze małżeństwo z Jadzią ma formę aktu cywilnego, który Kościół uważa za niewystarczający dla sakramentu małżeństwa. Gdyby o to tylko chodziło, można by było dokonać aktu kościelnego. Ale

ze stanowiska doktryny katolickiej trwa niewzruszenie moje pierwsze małżeństwo z Reginą, bez względu na to, że się z Reginą rozstaliśmy od lat przeszło 30 po pięciomiesięcznym zaledwie pożyciu wspólnym, że następnie Regina zmieniła wyznanie i sama rozwodu kalwińskiego zażądała i uzyskała. A jeżeli ze stanowiska katolickiego moje małżeństwo z Reginą trwa, to żadne inne moje małżeństwo istnieć nie może i jest tylko „grzechem", z którego chyba trzeba się spowiadać, żałować jego spełnienia i odrzekać się. Nie wiem – nie rozmawiałem nigdy o tym z teologami, ale tak chyba być musi ze stanowiska bezwzględnej doktryny katolickiej. Oczywiście to jest dla mnie monstrualne. Raczej wszystko inne, niż to. Dla mnie ten „grzech" jest najwyższym dobrem, jest realnością doskonałą i błogosławieństwem Boskim. Jadzia w tym problemie zgoła się nie orientuje. Nie posądza ona doktryny katolickiej o takie nieludzkie wnioski w stosunku do naszego małżeństwa i naszych dziatek kochanych. Wie ona, że małżeństwo nasze nie może być sankcjonowane obrządkiem kościelnym, ale żeby było negowane jako „grzech" – to jej w głowie nie postaje.

19 listopada, rok 1943, piątek

Skończyły się dnie misji w kościele krewieńskim. Przez pięć dni cała ludność nie tylko parafii krewieńskiej, ale i parafii okolicznych żyła pod znakiem tych misji. Ludzie masowo szli do spowiedzi, od rana do zmroku siedzieli w kościele, słuchali kazań misjonarzy, przysięgali w kościele gremialnie walczyć z alkoholem, dochowywać wierności małżeńskiej, uczęszczać gorliwie do kościoła, rozwijać w sobie wszelkie cnoty, zwalczać zło... Dzień po dniu, godzinę po godzinie misjonarz egzaltował uczucia religijne i społeczne ludzi, rozpalał prozelityzm nawróconych. Szli do kościoła i do spowiedzi tacy, którzy byli bardzo daleko odbiegli od religii i za czasów sowieckich poddali się propagandzie komunistycznej i bezbożnej. Pary małżeńskie przysięgały sobie w kościele wierność, dzieci przysięgały posłuszeństwo i miłość rodziców, odbywały się ceremonie odnowienia ślubów małżeńskich i chrztu z publicznym wyznaniem wiary. Propaganda religijna była łączona z zagadnieniami społecznymi i polityczno-narodowymi. Misjonarz piorunował przeciwko samogonowi i bolszewizmowi, wzywał ludzi do poprawy i odrodzenia, a z odrodzeniem tym łączył wiarę w cud wskrzeszenia Litwy wolnej. W kościele śpiewano hymn narodowy, a promień słoneczny we czwartek był przyjęty za znak od Boga, że modły wiernych będą spełnione. Czy na długo – nie wiem, ale w każdym razie na razie ustało w okolicy pijaństwo i ludzie są pod głębokim wrażeniem przeżytej egzaltacji religijno-społecznej.

Wczoraj przyjechała z Wilna Onutė Lukšienė w towarzystwie swojej przyjaciółki po zakupy różnych artykułów spożywczych. Przywiozła nam dwa akumulatory do światła elektrycznego, które dla nas kupiła za 1500 RM. Kupuje ona także jabłka od Jadzi. Są to już ostatnie jabłka, które mamy na sprzedaż. Ogółem jabłka dały nam w tym roku ±18 000 RM. Co prawda, wszystkie te pieniądze stopniały, pozostało ledwie niespełna 3000 RM., ale dźwignęliśmy za nie całe gospodarstwo i ileż potrzebnych rzeczy nakupiliśmy. Onutė jutro wraca do Wilna. Przyrzeka ona nam przywieźć z Wilna nianię do dzieci i do tego małego dziecka, którego się na marzec spodziewamy. Ma ona w Wilnie upatrzoną nianię dla nas.

20 listopada, rok 1943, sobota

Coraz bardziej krążyć zaczynają w okolicy bandyci. Wprawdzie niewielkimi bandami, ale coraz częściej. Niedawno w Kirkunach za Abelami napadli w nocy i obrabowali całkowicie dwóch gospodarzy. Zabrali wszystko, co było w domu z ubrania, obuwia i jedzenia. W ubiegłym tygodniu banda wdarła się w nocy do Diržysa w Bohdaniszkach. Tu tylko zjedli i zabrali słoninę, sery itp. Z ubrania i obuwia nic nie wzięli. Wczoraj późnym wieczorem wracającego gościńcem z Pokrewnia z młyna Janka Čepasa zatrzymała tuż za mostem pokrewieńskim banda. Spytali, kto jedzie, skąd i dokąd, co wiezie, wymacali worki z mąką, nic nie zabrali. We wszystkich wypadkach bandyci są uzbrojeni i dobrze mówią po litewsku.

21 listopada, rok 1943, niedziela

W nocy wypadł śnieg. Ziemia znowu biała, tym razem już całkowicie. Wszakże we dnie była odwilż i do wieczora przez śnieg zaczęła się przebijać ciemna masa ziemi.

Pozostał jeszcze cały miesiąc do przesilenia zimowego natury. Coraz ciemniejsze i krótsze dnie, królestwo nocy.

Onutė Lukšienė, która we czwartek przyjechała z Wilna przez Griwę, to znaczy przez terytorium łotewskie, mówiła, że tego dnia w Griwie, a podobno i w całej Łotwie były wywieszone chorągwie narodowe z okazji „autonomii”, którą Niemcy Łotwie przyznali. Jak jest naprawdę – nie wiem, ale u nas opowiadają, że Łotwie Niemcy ogłosili autonomię czy quasi-niepodległość i jednocześnie zarządzona została mobilizacja do wojska narodowego. Podobno mówiono już o tym przez radio i w najbliższych dniach ma być ogłoszone to samo w stosunku do Litwy. Zobaczymy. Gdyby to było zarządzone w roku 1941, a może nawet w 1942, efekt byłby w każdym razie dużo większy. Teraz w szerokich kołach ludności nie ma już wiary i zaufania do Niemców. Zrobili oni wszystko, co mogli, żeby siebie zohydzić, a dziś poza tym jest jeszcze demoralizujące wrażenie zachwiania ich potencji militarnej.

22 listopada, rok 1943, poniedziałek

Na świecie toczą się wielkie wypadki, ale u mnie nic nowego i nic do zanotowania. Moje życie skurczyło się do wegetacji, a horyzont wiadomości i perspektyw prawie zupełnie się zamknął: nic w nim nie widać.

23 listopada, rok 1943, wtorek

Po obiedzie pojechałem do Krewien do proboszcza zaprosić go do nas na obiad w dniu kolędowania. Na pojutrze na czwartek ksiądz bowiem zapowiedział objazd Bohdaniszek po kolędzie.

Pytałem księdza, co mówił w niedzielę na kazaniu, ponieważ ludzie opowiadają u nas sprzeczne rzeczy. Jedni twierdzą, że ksiądz mówił, jakby w Kownie odbyły się jakieś demonstracje uliczne na rzecz pokoju. Inni mówią, że zapowiadał mobilizację, mającą być rychło ogłoszoną przeciwko ewentualnej inwazji Sowietów i wzywał do wstępowania do wojska, gdy mobilizacja ta zostanie ogłoszona. Okazało się, że nie mówił ani jednego, ani drugiego i że prawda jest pośrodku. Mówił o wielkim wiecu publicznym, który był zwołany i odbył się w Kownie, protestującym przeciwko pretensjom sowieckim do Litwy i przeciwko zapowiadanemu przez Sowiety „wyzwoleniu” Litwy. Hasłem tej wielkiej manifestacji wiecowej było wcale nie żądanie pokoju za wszelką cenę i przerwania wojny (na taką manifestację nie pozwoliliby zresztą Niemcy i nie o to Litwie chodzi), ale stwierdzenie, że Litwini przez nikogo ujarzmieni być nie chcą i chcą być wolni, a inwazji Sowietów będą się sprzeciwiać wszelkimi sposobami i gotowi są z bronią w ręku przeciwstawiać zaborcy, głoszącemu fałszywie o „wyzwoleniu” ofiary. Mobilizacji nie zapowiadał i nie wzywał do stawania do wojska, ale powiada, że wieści o ewentualnym ogłoszeniu przez Niemców niepodległości Litwy, Łotwy i Estonii są i że podobno komisarz generalny von Renteln sam jest w tym kierunku zorientowany i uważa, że należałoby Niemcom tę niepodległość uznać i same narody bałtyckie powołać do udziału samodzielnego w obronie ich krajów od wschodu. W opinii narodowej litewskiej, jak również łotewskiej i estońskiej też coraz bardziej się krystalizuje decyzja wystąpienia czynnego do walki przeciwko inwazji sowieckiej, oczywiście pod egidą własnego rządu i wojska. Dojrzewa przekonanie, że bierność byłaby najgorszą i że wtedy tylko można byłoby spodziewać się jakiegoś poparcia czynników zachodnich przy likwidacji wojny, jeżeli same narody bałtyckie poniosą ofiary i będą broniły swoich krajów czynnie. Jeżeli natomiast dadzą się jak barany „wyzwalać” przez najeźdźcę, nie podnosząc protestu i nie ponosząc ofiar, to nikt ze strony o nich się nie upomni. Ale żeby taką akcję uskutecznić – muszą się Niemcy zgodzić na uznanie państwowości tych krajów, na ich rządy narodowe i poza tym udzielać im broni i umożliwić choć siakie takie wyszkolenie.

24 listopada, rok 1943, środa

Ponieważ mój katar i kaszel nie przechodzą, a na dworze wciąż słota, więc Jadzia mię namówiła, żebym cały dzień dzisiejszy nie wstawał z łóżka, a jutrzejszy nie wychodził z domu. Leżałem więc dziś dzień cały, czytając po trochę gazety albo rozmawiając z córeczkami, które grzecznie się bawiły w sąsiednim pokoju dziecinnym. Jadzia mię poiła mlekiem gorącym z pigułkami emskimi od kaszlu i miodem, potem odwarem z malin i kwiatu lipowego z kieliszkiem doskonałego koniaku francuskiego na noc.

25 listopada, rok 1943, czwartek

Dziś przyjechał do nas po kolędzie ksiądz proboszcz z Krewien. Objechał wszystkie zaścianki wioski Bohdaniszek i sam dwór. Zaścianki kresowe dworu bohdaniskiego – rodziny Čepasów, Stankiewiczów i Mikulionisów – zaliczane są pod względem kolędy do grupy busiskiej. Do nas ksiądz i towarzyszący mu słudzy kościelni byli zaproszeni na obiad, który był wyznaczony na godzinę drugą już po zakończeniu całego kolędowania. Nakryty był wielki stół, zastawiony porcelaną i srebrem, Jadzia przygotowała obiad wspaniały: na przekąskę kanapki z piramidką jajka, ogórka, pomidora i buraczka, dwa koguty gotowane w galarecie, bulion ze świeżą kapustą, pieczyste z dwóch indyczek, nadziewanych farszem z podrobi, omlet z sosem szodonowym. Dla dzieci przy kominku postawiony i nakryty był mały stół dziecinny. Dzieci ubrane odświętnie, przejęte uroczystością, niecierpliwie wyglądające przyjazdu księdza. Orszak przyjechał wreszcie. Jak zawsze – śpiew krótki u wejścia, krzyż do pocałunku, pokropienie wodą święconą, udzielenie opłatków domowi; córeczkom naszym ksiądz ofiarował po obrazku świętym, po czym był obiad. Zasiedliśmy do niego my, ksiądz, Stefan Römer, organista, zakrystian, gospodarz księdza, Diržys, który obwozi księdza i kowal Franciszek Błażewicz, który wozi produkty ofiarowane księdzu i sługom kościelnym na kolędę. Kolędę wydaliśmy po obiedzie – dla księdza cetnar żyta, dla zakrystiana i organisty po dużej miednicy żyta i oprócz tego dla zakrystiana za opłatki pół miednicy. O zmroku ksiądz odjechał.

26 listopada, rok 1943, piątek

Do Mieczkowskich przyjechała panna Michalina Kaszczukówna. Nie wiem, czy w gościnę, czy na stałe. Podobno, jak powiada Stefan Römer, który ciągle u Mieczkowskich przesiaduje (bo tam zresztą mieszka jego żona), panna Michalina przyjechała tylko na kilka dni, żeby w Abelach uregulować sprawę dostania w gminie dowodu osobistego zamiast zgubionego, po czym ma odjechać do Święcian do domu. Ale nie ręczę, czy nie ma na myśli pozostania u Mieczkowskich na stałe. Przyjaźni się ona z Helcią Mieczkowską, a Michaś Mieczkowski, zdaje się, w niej się podkochuje. Mam wrażenie, że p. Michalina odjeżdżając od nas miała ten zamiar, żeby wrócić po krótkim czasie do Bohdaniszek, ale już do Mieczkowskich. W Bohdaniszkach czuje się bezpieczniej, niż w Święcianach, ale woli być u Mieczkowskich, niż u nas przy dzieciach, zwłaszcza że perspektywa przybycia niemowlęcia u nas ją, zdaje się, zastrasza. Elwira, o ile wiem, nie jest zachwycona ewentualnością stałego pobytu panny Michaliny.

Orano dziś jeszcze u nas. Jest śnieg, ale niewielki, ziemia zaś jest miękka. Mrozu nie ma.

Iga dziś niedomagała. Leżała w łóżku i kaprysiła cały dzień strasznie, apetyt zaś ma wilczy. Chyba to robaki.

27 listopada, rok 1943, sobota

Jeździłem dziś do Abel w towarzystwie mego nowego parobka Izydora Kulysa, z którego na ogół, przynajmniej jak dotąd, jestem bardzo zadowolony. Mam wrażenie, że to człowiek sumienny i dobry. Celem mojej jazdy było głównie sprowadzenie weterynarza dla zaszczepienia ochronnego naszych świń od czerwonki. Okazało się jednak, że kultura bakterii przeciwko tej chorobie, przysłana z Kowna z Instytutu Weterynarii na moją prośbę, już się wyczerpała i że to szczepienie

byłoby już teraz bezcelowe. Zresztą mała szkoda, bo teraz nie jest sezon na tę chorobę, a gdyby nawet świnie zachorowały, to weterynarz ma zapas serum do zaszczepienia.

We dworze w Abelach prosiłem rządcę Kareiwę o udzielenie mi kilku bab Moskiewek orłowskich na młócenie, które się na koniec przewiduje u mnie w przyszłym tygodniu. Kareiwa przyrzekł udzielić mi pięć bab.

W gminie od sekretarza Didžiokasa dowiedziałem się, że przyszedł już transport uchodźców ze wschodu, przeznaczonych do osiedlenia u nas po gospodarstwach prywatnych. Dawno to było zapowiadane. Transport tych uchodźców jest na razie w Rakiszkach. Z jakich stron są oni – nie wiedzą w gminie. Na naszą gminę abelską przeznaczono 1150 głów, z tego na naszą seniunię bohdaniską – 75 głów. Ile możności, będą ich rozmieszczać po gospodarstwach całymi rodzinami. Podział ich będzie się odbywał w Rakiszkach dla naszej gminy w poniedziałek i wtorek (na naszą seniunię w poniedziałek). Trzeba będzie pojechać do Rakiszek i osobiście być przy podziale, żeby się postarać o przydzielenie nam możliwie lepszego materiału ludzkiego ze względu na siłę roboczą. Będzie to bądź co bądź znaczny ciężar. Przewiduję, że na nas, jako na jedną z największych gospodarek w seniunii, wypadnie nie mniej niż dwie rodziny, zapewne do 8 osób i zapewne z dziećmi. Będzie dużo kłopotu z ich zalokowaniem, urządzeniem, utrzymaniem, opałem. Nie ma ani łóżek, ani stołów, ani zapasu drew lub chrustu, nie wiadomo, czy będą oni mieli jakieś garnki etc.

28 listopada, rok 1943, niedziela

Naśnieżyło przez noc tyle, że rano można już było spróbować sanny. Zaprzężono Gulbię w saneczki, doczepiono drobne dzwonki, do sanek wsadziliśmy ubrane ciepło córeczki z nóżkami dobrze ukutanymi w futro i pojechałem z nimi do naszego seniunasa, a po powrocie naszym stamtąd Jadzia powiozła je jeszcze do Janówki do brata swego Balysa Čepasa.

U seniunasa dowiadywałem się o tym mającym się jutro odbywać w Rakiszkach przydziale uchodźców, ewakuowanych ze wschodu. Seniūnas z pomocnikami zajęty był właśnie wyliczaniem, po ilu tych uchodźców można przydzielać do którego z gospodarstw. Liczba 75 głów na naszą seniunię jest bądź co bądź duża. Niełatwo ich rozmieścić. Naturalnie, że my i Mieczkowscy, jako stanowiący dwa największe gospodarstwa rolne w seniunii, najwięcej ich otrzymamy. Seniunas przewiduje dla nas i dla Mieczkowskich po dwie rodziny uchodźców, ± po 8 głów. Jutro posyłamy do Rakiszek po tych uchodźców furmankę parokonną z Izydorem Kulysem i sami jedziemy też z Jadzią w linijce, żeby wybrać odpowiednich ludzi. Oczywiście wypadnie nam wziąć uchodźców z dziećmi; ale chodzi o to, żeby w tych rodzinach byli też ludzie zdatni do roboty. Chodziłoby i o mężczyzn, i o kobiety. Wyjedziemy jutro raniutko.

Przychodziła od Mieczkowskich Michalina Kaszczukówna. Przyniosła upominki dla dziewczynek naszych, ale ich nie zastała, bo były właśnie wyjechały z Jadzią do Janówki. Panna Michalina powiada, że w Bohdaniszkach u Mieczkowskich zabawi krótko. Przyjechała tylko dla wystarania się w Abelach o dowód osobisty, po czym odjedzie do Święcian do rodziny swojej.

Miałem list od Redów Römerów z Wilna. Prosiłem Reda o odesłanie nam wózka dziecinnego i łóżeczka dziecinnego żelaznego. Przyznałem mu się w liście poufnie, że czekamy nowego przyrostu rodziny. Oboje Redostwo bardzo serdecznie składają nam dla tego spodziewanego maleństwa życzenia i wyrażają nadzieję, że Opatrzność Boska, która daje nam to nowe życie, da też możność wyhodowania tego potomka i ustrzeże od niebezpieczeństw, którymi najeżone są czasy wojny. Wspomina też Red, że otrzymał list od matki – Zosi Eugeniuszowej Römerowej, wdowy po biednym Eugeniuszu. List, pisany z Istambułu (Konstantynopola), szedł trzy tygodnie (na czasy wojenne – prędko). Zosia jest w Istambule, dużo maluje, tęskni do kraju i do swoich.

29 listopada, rok 1943, poniedziałek

Raniutko wstaliśmy, wyprawiliśmy do Rakiszek Izydora Kulysa wozem parokonnym i po wczesnym śniadaniu wyjechaliśmy sami z Jadzią do Rakiszek w linijce. Na godzinę dziewiątą rano

byliśmy już w Rakiszkach. Wielki sznur furmanek ciągnął gościńcem. W Rakiszkach we dworze na jednym z placów, obstawionych budynkami murowanymi, w błocie po kostki – ogromne zbiegowisko ludzi i setki furmanek. Tu się odbywało rozdawnictwo uchodźców ze wschodu. Kręcił się tam viršaitis abelski z sekretarzem gminy Didžiokasem i szeregiem urzędników samorządu, seniunasy tych seniunii, do których dziś przydzielono uchodźców, policjanci, lekarz powiatowy, setki gospodarzy i liczni uchodźcy. Był to rodzaj bazaru na ludzi. Można było wybierać rodziny uchodźców, porozumiewać się z nimi, otrzymywać ich przydział z wyboru dobrowolnego. Uprzedzono nas zaraz, że w tej wielkiej partii uchodźców jest wielu mężczyzn i kobiet młodych i zdatnych do pracy. Partia ta składa się z ludzi, ewakuowanych z okolic miasta Porchowa w okręgu pskowskim – o 90 kilometrów za Pskowem w kierunku stacji węzłowej Dno. Są to więc Rosjanie pskowscy. Weszliśmy do wielkiego budynku murowanego, gdzie na podłodze, zawalonej słomą, na której kilka dni i nocy spędzili uchodźcy, wśród mnóstwa manatków – węzłów, worów, skrzynek – chodzili, siedzieli lub leżeli uchodźcy – mężczyźni młodzi i starcy brodaci, kobiety i dzieci różnego wieku do niemowląt włącznie, a wśród nich snuli się nasi gospodarze, wybierając ludzi i rodziny, kombinując, kogo wziąć i układając się z uchodźcami. Niektórzy uchodźcy gorliwie zalecali siebie i swoje rodziny, zabiegali o otrzymanie takiego przydziału, który by nie rozdzielił rodziny, inni, mający mniejszą siłę roboczą, starsi, obarczeni nadmiarem dzieci, czujący się towarem słabszym, stali posępni, smutni, cisi, wiele kobiet i dzieci płakało. Mój zły wzrok chronił mię od zbyt jaskrawych wrażeń niedoli ludzkiej, ale Jadzia, która dobrze widzi i jest spostrzegawcza, była tym widokiem niedoli i męki biednych wygnańców tak poruszona i przejęta, że długo wytrzymać w tej atmosferze nie mogła i rwała się do wyjścia. Zresztą niedługo wypadło nam wybierać. Ofiarował się nam młody mężczyzna, niejaki Fiodor Dmitrijewicz Stułow, z rodziną, złożoną z siedmiu osób: on sam, młoda żona, oboje 30-letni, matka żony w wieku lat koło 48, ciotka żony, stara panna lat 70-75 i troje małych dzieci, z których chłopiec siedmioletni, kulawy trochę i delikatny, dotknięty widocznie gruźlicą kości, dziewczynka czteroletnia o drobnych delikatnych rysach i małe niemowlę siedmiomiesięczne, karmione jeszcze piersią. Zdecydowaliśmy się prędko na tę rodzinę. Co prawda, troje małych dzieci, niezdatnych nawet na pastuszków latem, ale za to troje robotników – mężczyzna i dwie kobiety. Ciężar dla nas nie lada utrzymać siedem osób, ale siła robocza niezła. Ludzie ci robią dobre wrażenie. Nie mogliśmy żądać mniejszej rodziny, bo i tak wzięliśmy mniej, niż dla nas było przewidziane (przewidziane było przydzielić nam ośmiu osób). Długo więc nie czekając – zarejestrowaliśmy u seniunasa nasz wybór, załadowaliśmy na nasze kary parokonne i na dwie dodatkowe furmanki gospodarskie z Bohdaniszek całą rodzinę z manatkami i ruszyliśmy całym obozem do domu. Bazar na uchodźców był jeszcze w całej pełni, kiedy już odjechaliśmy. Smutny to i przykry był widok tej niedoli wygnańczej i bazaru, na którym pochłaniano tych biednych ludzi. W Bohdaniszkach, dokąd przyjechaliśmy jeszcze przed zmrokiem, zalokowaliśmy rodzinę naszych uchodźców w oficynie w pokoju byłym służących. Są tam okna całe i dubelty do nich, jest piec, obok jest kuchnia, a gdyby trzeba było, to naprzeciwko jest jeszcze pokój dobry Stefana, który w tych dniach wyjeżdża do Kowna. Jadzia nakarmiła dobrym obiadem mięsnym i kolacją (zacierka). Najmniej sympatyczna z całej rodziny uchodźców jest stara ciotka, która będzie niańczyła dzieci w domu. Wymowę ma zupełnie Cyganki i nawet sama do Cyganki podobna. Żegna się ciągle bardzo skwapliwie, czyniąc to ostentacyjnie na pokaz i robi wrażenie, że jest nieszczera w tym, co mówi. Najsympatyczniejsza jest matka młodej kobiety, sympatyczny też wydaje się sam Fiodor. Jego żona jest cicha i małomówna. W każdym razie, biedni są ludzie, wygnani ze swoich siedzib i swego kraju na tułaczkę i niewiadome losy. Całe ich mienie, którego nie zabrali, zginęło, a siedziby zostały spalone.

30 listopada, rok 1943, wtorek

Uchodźcy nasi dziś się jeszcze przeważnie urządzali na swoim nowym mieszkaniu. Ale już Fiodor brał udział w krojeniu sieczki dworskiej, jego teściowa Jewdokija pomagała w kuchni. Jedli oni całą rodziną jeszcze u nas. Sami jeszcze nie wiemy, czy utrzymywać ich będziemy na naszym

stole, czy też będą oni sami sobie gotowali jeść z produktów, które im będziemy dawali. I jedna, i druga kombinacja ma swoje trudności. Dla ich dzieci trzeba mleka, krowy oni nie mają i dać im jej nie możemy, bo sami mamy mało krów i do mleczarni musimy normę mleka dostarczać, a niebawem nasze krowy zarwą przed cieleniem się; zostaniemy na parę miesięcy bez mleka; trzeba będzie pożyczać mleka dla siebie i dla tych dzieci uchodźców. Tłuszczów też mamy mało. Żyta na chleb i kartofli możemy im dawać, bo to się w normę rekwizycyjną naszą policzy, ale tylko podług urzędowych norm spożywczych, które są tak małe, że ludziom, którzy będą pracować, to nie wystarczy. A przecież trudno trzymać ludzi z dziećmi na samych tylko kartoflach i suchym chlebie, zwłaszcza gdy się od nich bierze pracę. No, jakoś to Jadzia wykombinuje. Jadzia się skłania do utrzymywania ich na stole dworskim, Elwira to odradza i swoim uchodźcom zamierza wyznaczyć siaką taką ordynarię. Fiodor będzie pracował jako parobek nasz, jego teściową Jewdokiję Jadzia bierze do świń, ptactwa i dojenia krów, zaś młoda żona Fiodora będzie robiła różne drobniejsze roboty – zmywanie naczyń, pomoc w kuchni itp.. Tonię Adomonytę, która była przy inwentarzu i ptactwie, Jadzia weźmie do dzieci naszych. Tonia doskonale z dziećmi naszymi kwadruje, bo sama jeszcze jest bliska wieku dziecinnego – śpiewa im, bajki opowiada, rysuje, zabawia.

Uchodźcy nasi opowiadają, jak się odbyło ich wysiedlenie. Niemcy wpierw ogłosili, że niebawem nastąpi ewakuacja ich miejscowości i że ci, co chcą wyjechać, mogą zabrać wszystkie swoje rzeczy, krowy itd. i w ciągu kilku dni załadować się na pociąg do wagonów, które będą podane. Ci, co z tej propozycji skorzystali i ewakuowali się dobrowolnie, przyjechali z krowami, końmi i licznym dobytkiem. Ale bardzo wielu nie zechciało ewakuować się dobrowolnie. Liczyli oni, że choć wsie będą spalone, to jednak przetrwają oni gdziekolwiek w okopach, w ziemiankach; mieli bowiem zboże i produktów dosyć. Ale w ostatniej chwili kazano się ewakuować wszystkim bez wyjątku. Dano im półtorej godziny do spakowania rzeczy najniezbędniejszych i załadowania się z rzeczami i dziećmi na furmanki, które ich odwiozły na kolej do Porchowa. Część rozbiegła się do lasów, ale większość uległa rozkazowi. Gdy odjeżdżali – widzieli już swoje wioski w płomieniach, podpalone przez Niemców. Rzeczy dużo zabrać ze sobą nie mogli, nie tylko dla braku czasu, ale też dlatego, że już poprzednio, w obawie bądź przed działaniami wojennymi, bądź przed bandytami leśnymi, którzy często nachodzili wioski i rabowali, znaczną część rzeczy z ubrania, zboża itd., właśnie co najlepsze, byli zakopali do ziemi i teraz to wszystko pozostało i będzie zgnojone. Żadnego frontu wojennego w pobliżu jeszcze nie było, nie było żadnych działań wojennych ani huku kanonady. Jak daleko od nich był front – nie wiedzą. Ubolewają oni nad losem tych, co pozostali i ukryli się po lasach, bo w kraju ewakuowanym i pustym albo zginą z głodu i chłodu, albo będą wystrzelani przez Niemców, bo każdy cywilny, który tam będzie spostrzeżony, będzie uważany za bandytę lub dywersanta. Uchodźców tych wygnano z ich osiedli i wywieziono z Porchowa w sobotę 20 listopada. Cztery dni jechali pociągiem na Psków, stamtąd na Łotwę – na Rzeżycę i Dyneburg, wreszcie do Litwy do Rakiszek, gdzie ich wyładowano. Dokąd ich wiozą i jaki los jest im zgotowany – tego nie wiedzieli. Powiadają, że czuli się jak konie zaprzężone, które nic nie wiedzą, dokąd je popędzą. W Rakiszkach trzymano ich kilka dni, wypisywano im paszporty, wreszcie w poniedziałek zaczęto przydzielać. Byli strapieni, smutni i niespokojni, przejęci troską o to, żeby ich nie rozdzielono w rodzinie i gdzie oraz jak ich zalokują. Za okupacji niemieckiej było im dobrze. Kołchozy były zlikwidowane, włościanie podzielili ziemię kołchozów i uprawiali ją indywidualnie sznurami. Mieli krowy, koni im dostarczyli Niemcy. Mieli zboże, wełny, mleka, żyli dosyć dostatnio. O życiu swoim w kołchozach za czasów sowieckich głośno przy obcych ludziach nie odważają się źle mówić, owszem – chwalą, ale poufnie na cztery oczy ganią kołchozy i złorzeczą Sowietom i Stalinowi.

1 grudnia, rok 1943, środa

Co godzina – to nowina. Nie byłaby wojna, gdyby było inaczej. Choć front wojenny oddalony jest od nas dotąd o setki kilometrów, to jednak wypadki, związane z wojną, toczą się i u nas jak grzmoty piorunów dalekich, choć nie krwawych. Na początku wojny największą sensacją były

codzienne zmiany terytorialne linii frontu, teraz – takie lub inne wypadki wewnętrzne, związane z wojną.

Zaledwie przed dwoma dniami nadzielono nas uchodźcami, a oto dziś inna nowa sensacja. Przed wieczorem przyszło do dworu naszego pieszo dwóch uzbrojonych policjantów z Abel, którzy pozostawili gdzieś opodal furmanki, którymi przyjechali. Przed chatą parobczaną od strony kurnika stali dwaj moi parobcy: szeryk Mikita Szersznіow i Izydor Kulys. Policjanci podeszli wprost do nich, spytali ich o nazwiska i obydwóch aresztowali. Powstał wielki lament kobiet: płakać i zawodzić zaczęła Szerszniowa, płakała i szlochała młoda ładna Kulysowa, Pupielówna z domu, z niemowlęciem na ręku. Policjanci oznajmili mi, że taki mają rozkaz i że obu aresztowanych popędzą zaraz do Abel. Jeżeli chcą, mogą się do Abel do policji zwrócić i starać o ich uwolnienie. Jakoż popędzili obu do Abel. Jest to epizod łapania ludzi do wywożenia na roboty do Niemiec. Łapią przede wszystkim miejscowych Moskali starowierów, ale łapią też Litwinów, którzy są notowani jako skompromitowani za czasów bolszewickich. Przestraszył się też Novikas, którego żona też lamentować zaczęła i pobiegła uprzedzić Władziuka Sadowskiego, służącego u Mieczkowskich. Nowikas oględnie się ukrył, a starszy syn Szerszniowa, 15- czy 16-letni Wańka, przez strych chaty parobczanej wyleciał na przeciwną stronę i popędził do Gaju. Jutro pojadę do Abel poczynić starania o uwolnienie obu aresztowanych. Biedni ludzie i biedne rodziny. Dla mnie to także jest gospodarczo ciężkie, bo zostaję nagle pozbawiony dwóch robotników, w tej liczbie szeryka. Do karmienia inwentarza użyliśmy zaraz naszego uchodźca Fiodora Stułowa.

2 grudnia, rok 1943, czwartek

Pojechałem do Abel dla starań w policji o uwolnienie ujętych wczoraj Mikity Szerszniowa i Izydora Kulysa. Policjanci, którzy ich aresztowali wczoraj w Bohdaniszkach, mówili, że sami nic zrobić nie mogą, bo spełniają tylko rozkaz ich aresztowania i dostarczenia do Abel, ale że w Abelach mogę robić starania u naczelnika punktu policji. Nic jednak w Abelach nie wskórałem. Tego miejscowego naczelnika punktu policji (policijos nuovados viršininko padėjejas) zastałem w gminie u viršaitisa. Był dla mnie bardzo grzeczny, ale też oświadczył, że nic dla mnie w tym względzie zrobić nie może: policja musi dostarczyć z gminy do powiatu pewną określoną ilość ludzi do kontyngentu, wymaganego dla wywiezienia do robót do Niemiec; jeżeli jednych aresztowanych zwolni, to musi dostarczyć innych na ich miejsce; on, naczelnik punktu, wie i rozumie dobrze, że należałoby raczej brać nie tych, co pracują i siedzą spokojnie, choćby to byli starowierzy albo nieco skompromitowani za czasów sowieckich, ale takich, co są młodzi, co nie mają rodziny i nie mają stałej pracy, a są też bądź starowierzy, bądź skompromitowani, lecz tacy są przeważnie nieuchwytni i przed policją chowają się do lasu. On, naczelnik punktu, musi dostarczyć ujętych do Rakiszek, a o ich ewentualnym uwolnieniu niech decyduje naczelnik powiatu albo komisja w Rakiszkach, która ich ogląda i kwalifikuje. Radził mi więc jechać do Rakiszek do naczelnika powiatu; jutro będą oni z Abel odesłani z całą partią do Rakiszek, tam więc jutro niech jadę, a naczelnik punktu spodziewa się, że naczelnik powiatu moją próbę uwzględni. Nic więc nie wskórałem. Jutro pojadę do Rakiszek i będę tam kołatał. Cała nadzieja aresztowanych i ich rodzin polega na mnie i mojej interwencji. Wspomniałem naczelnikowi punktu policji, że Szerszniow ma syna 15- czy 16-letniego; miałem na myśli Wańkę. Spytałem, czy ewentualnie syn nie mógłby zastąpić ojca. Naczelnik punktu odpowiedział, że jeżeli syn ma lat 16, to mógłby ojca zastąpić, gdyby się zgłosił. Wszakże Szerszniowa, której o tym wspomniałem, nie chce słyszeć o poświęcaniu Wańki dla ratowania ojca. Żałuje syna i, nieufna, boi się, że mogliby i syna zabrać, i ojca nie uwolnić. Moim zdaniem, taka kombinacja byłaby wcale niezła. Oczywiście można by się było upewnić, że ojca uwolnią i już powtórnie nie wezmą. Ale dla rodziny Szerszniowych (matka i siedmioro dzieci od lat 15 do paru miesięcy) byłoby daleko lepiej, żeby pozostał ojciec Mikita, niż syn Wańka; ojciec pracą swoją utrzyma rodzinę, na Wańkę zaś, który jest zaledwie półparobkiem i który nie ma tego poczucia obowiązków rodzinnych, co ma ojciec, trudno zrzucić cały ciężar

utrzymania rodziny. A dla Wańki wyjazd na roboty do Niemiec byłby nawet zdrowy: i wydyscyplinowałby się, i ogładził. Jest on tępy i brutalny jak pień albo jak niedźwiedź.

3 grudnia, rok 1943, piątek

Jeździłem do Rakiszek dla starań o uwolnienie Szersszniowa i Izydora Kulysa. Miano ich dzisiaj przywieźć z Abel, ale nie przywieziono jeszcze. Jutro będzie w Rakiszkach komisja, która będzie kwalifikowała zdatnych do pracy, po czym pojutrze wywożą zakwalifikowanych do Kowna i dalej – do Niemiec. Naczelnik powiatu, który jest szefem komisji kwalifikującej i który, jako głowa samorządu w powiecie, jest zwierzchnikiem arbitralnym całego poboru kontyngentu do robót w Niemczech, ma władzę zwolnienia nawet tych, których komisja, złożona z lekarzy, zakwalifikowała. Zwróciłem się do naczelnika powiatu, prosząc o uwolnienie moich aresztowanych robotników. Nic, co prawda, kategorycznie nie obiecał, ale poprosił, żebym mu na piśmie małe oświadczenie w tym względzie ułożył i powiedział, że zobaczy – może coś się da zrobić. Powiada wszakże, że ze zwalnianiem nie jest łatwo i że bardzo szeroko zwalniać nie może, bo musi być dostarczony pewien określony ściśle kontyngent. Jeżeli jednych zwolni, to musi tyleż dać na ich miejsce, żeby kontyngent wypełnić. Jest to kontyngent, który samorząd litewski, reprezentowany przez radców generalnych i Radę (Tarybę Michała Biržiški), zobowiązał się dostarczyć Niemcom. Do tego kontyngentu biorą u nas w pierwszym rzędzie miejscowych Rosjan starowierów, którzy są brani masowo, i tych Litwinów, co za czasów sowieckich w ten lub inny sposób zamanifestowali się w kierunku komunistycznym i prosowieckim. Z naszych aresztowanych Izydor Kulys, zdaje się, tylko tyle był się „skompromitował” za czasów sowieckich, że mając jakąś posadkę stróża drogowego, był zapisany do związku zawodowego. Ale do związków zawodowych byli wpisywani w ogóle wszyscy, którzy mieli jakąkolwiek służbę rządową; wszak i ja wraz z całą profesurą naszą należałem i należeć musiałem do związku zawodowego. Formalnie to nie było żadną akcją polityczną, chociaż za czasów sowieckich związki zawodowe były szeroko używane do propagandy sowiecko-komunistycznej. Naczelnik powiatu powiadał, że może policja abelska wie coś więcej o Kulysie, czego ja nie wiem, i że on, naczelnik, to sprawdzi, gdy aresztowani abelscy zostaną z Abel do Rakiszek dostarczeni. Tak więc czy inaczej los ich jutro się zapewne rozstrzygnie. Po złożeniu na piśmie deklaracji do naczelnika powiatu z prośbą o uwolnienie obu aresztowanych naszych odjechałem do domu.

Tu wszakże wieczorem znowu mię naszły żony aresztowanych. Młoda Izydorowa Kulysowa otrzymała od męża z Abel kartkę, w której tenże prosi, aby mię błagała, bym jutro znowu był w Rakiszkach na komisji, kiedy ich będą oglądać i kwalifikować, bo cała ich nadzieja polega na mnie. Dziś ich do Rakiszek nie dostarczono, bo spóźniono się na pociąg w Abelach, gdy ich wieźć miano. Musiałem ulec prośbom i błaganiom biednych kobiet. Zwłaszcza mi żal Kulysowej, młodej i ładnej, subtelnej i cichej, z pełnymi łez oczami, typu Madonny cierpiącej w doskonałym stylu kobiety litewskiej. Przyrzekłem im pojechać jutro do Rakiszek znowu, żeby tylko one postarały się o konie dla mnie, bo moje konie są zmęczone i jutro muszą pracować. Robię dla nich w tych staraniach wszystko, co jest w mojej mocy.

4 grudnia, rok 1943, sobota

Byłem więc znowu w Rakiszkach – znowu w sprawie uwolnienia moich aresztowanych parobków – Mikity Szersszniowa i Izydora Kulysa. Żona Kulysa wyjechała do Rakiszek już wczesnym rankiem, ja zaś pojechałem po śniadaniu w towarzystwie żony Szersszniowa i ich syna Wańki. Szersszniową wczoraj w Rakiszkach inni starowierzy namawiali do tego, żeby ofiarowała Wańkę w zastępstwie męża, toteż wiozła Wańkę do Rakiszek w tym celu, ale wciąż się wahała, czy go oddać do wywiezienia do Niemiec zamiast ojca czy nie. Gdyśmy przyjechali do Raksizek, to jeszcze partia aresztowanych abelskich nie była do Rakiszek przywieziona, a już komisja lekarska, kwalifikująca w Rakiszkach kandydatów do wywiezienia, pobranych w różnych gminach powiatu, kończyła swoją czynność. Poszedłem do naczelnika powiatu. Powiedział mi, że o ile partię abelską

dziś przywiozą, to albo jeszcze dziś po obiedzie, albo jutro rano komisja ich zbada, na jutro bowiem wyznaczony ich odjazd do Kowna. W przeciwnym razie, jeżeli abelskich dziś nie przywiozą, trafią oni dopiero do następnego transportu, który ma odejść do Kowna w dniu 10 grudnia i wtedy będą czekali na komisję do 9 grudnia Naczelnik mi powiedział, że z moich dwóch aresztowanych parobków, o których uwolnienie go prosiłem, zdecydowany jest uwolnić jednego, ponieważ trudno mu uwolnić obydwóch, gdyż kompletowanie kontyngentu nie pozwala na zbyt szerokie uwolnienie. Spytał mię, którego z dwóch – Kulysa czy Szerszniowa – chciałbym wyznaczyć w pierwszym rzędzie do uwolnienia. Zdecydowałem się na Kulysa, nie mogąc pozyskać uwolnienia obydwóch. Wybrać musiałem, ale rodzinom aresztowanych nie powiedziałem, że to ja wybrałem Kulysa. Rodzina Szerszniowa miałaby mi to za złe. Wybrałem Kulysa, bo tak on sam, jak jego rodzina wydają mi się bardziej wartościowi od rodziny Szerszniowa. Samego Szerszniowa cenię, ale rodzina jego jest mało warta, szczególnie żona i starsze dzieci, a zresztą Szerszniow ma sposób uratowania się przez ofiarowanie Wańki, co by i dla rodziny było lepsze, i Wańce może by nawet na dobre wyszło. Poufnie powiedziałem naczelnikowi powiatu o ewentualności zaofiarowania Wańki za ojca. Wańka ma podług metryki lat 15, ale naczelnik powiatu powiada, że chociaż to formalnie wiek za młody, to jednak gdyby się metryki nie pokazało, a Wańka i jego ojciec oświadczyliby, że Wańka ma lat 16, to by go wzięto. Gdym szedł od naczelnika powiatu, to spotkałem na głównej ulicy Rakiszek właśnie partię abelską aresztowanych, których pędzono ze stacji kolejowej do odwachu przy gminie. Partia ta składała się z dziewięciu ludzi, w tej liczbie dwaj moi – Szerszniow i Kulys – i Piotr Putra z Knisy, reszta, prócz jednego, Moskale abelscy. W pierwszym rzędzie kroczył Izydor Kulys. Krzyknąłem mu, że będzie uwolniony, że naczelnik powiatu mię o tym zapewnił. Podskoczył z radości. Spod odwachu zaprowadzono ich zaraz do domu aresztowanych, urządzonego w byłej synagodze żydowskiej przy ulicy Wileńskiej. Tam przed tym domem na ulicy były już się zebrały rodziny aresztowanych. Przez okno można było rozmawiać z aresztowanymi, a żony wchodziły do środka i zanosiły im żywność. W gromadce rodzin było sporo lamentu i gniewu oraz złorzeczeń. Uwolniono szereg tych, którzy rano byli przez komisję lekarską zbadani – przeważnie starzy brodaci starowierzy. Aresztowane dziewczęta – wyłącznie starowierki. Niektórzy i niektóre starowierki młode były usposobione nawet wesoło i decydowały się chętnie na wyjazd do Niemiec. Zapowiedziane zostało, że komisja dla zbadania partii abelskiej zbierze się o drugiej. Było koło trzeciej, gdy się zebrała. Zmrok już zaczął zapadać. Izydor Kulys i jego żona byli niespokojni. Pomimo żem ich zapewniał, że naczelnik mi przyrzekł jego uwolnienie, byli bardzo znerwowani. Niepokoiło ich to, że jednak nie zwalniają go przed komisją. Zebrała się komisja, przyszedł i naczelnik powiatu. Ja cały czas przechadzałem się przed domem aresztu, bo rodziny aresztowanych i oni sami błagali mię, żebym się nie oddalał, komisja dosyć prędko zakończyła swoją pracę. Zakwalifikowała wszystkich, prócz jednego starego Litwina. Kulys nam przez okno oznajmił, że go przyjęto, zapisano mu: „Tinka lengvam darbui”. Takie same zakwalifikowanie do lekkiej pracy otrzymał Szerszniow i Piotr Putra. Wreszcie uwolniono dwóch: starego Litwina, zdyskwalifikowanego przez komisję i Izydora Kulysa, którego naczelnik powiatu uwolnił „dla względów rodzinnych i gospodarczych”. Izydor Kulys i jego żona oraz brat Antoni byli w siódmym niebie, dziękowali mi gorąco z całego serca. Szersznіowa, Putrę i innych wywożą jutro do Kowna. Po ciemku wróciłem już do Bohdaniszek.

5 grudnia, rok 1943, niedziela

Minęła dziś cicha niedziela. Nigdzie nie jeździliśmy i nikogo nie widzieliśmy. Byłem tylko w Gaju, dokąd pojechałem saneczkami z Kisielowym, który podjął się akordowo wyrąbać dla mnie 2 ½ sążnia drew do zawiezienia Valečce w Rakiszkach za zeszłoroczną instalację elektryczności w domu naszym.

W rodzinach parobków naszych po wstrząsie ostatnich dni – pewne uspokojenie. Izydor Kulys ucieszony uwolnieniem go od wywiezienia do Niemiec, żona wywiezionego Szerszniowa nie lamentuje, ale złorzeczy Niemcom i Litwinom. Biedna to, ale zła kobieta. Gromadzi się w niej

wielki kapitał gniewu, nienawiści i zemsty. Jest to kobieta leniwa, brudna, zakochana w sobie, kobieta instynktów prostych. Jej dzieci – to brutale, leniwe, tępe, bez żadnej ogłady i uczuć subtelniejszych, zwierzątka, zwłaszcza starsze dzieci. Wańka, którego rodzice nie zdecydowali się zaofiarować do wywiezienia za ojca, wrócił do domu. Będzie on u mnie na razie za robotnika zamiast ojca, ale słaby, tępy i leniwy z niego robotnik. Novikas też się lęka wywiezienia. Nie nocuje w domu, we dnie wciąż pilnuje, czy nie widać zbliżających się policjantów. Zdaje się, że musi on mieć coś na sumieniu z czasów bolszewickich, toteż ma powód do obawiania się, że go mogą pochwycić do kontyngentu na wywiezienie.

6 grudnia, rok 1943, poniedziałek

Jeździłem dziś w towarzystwie naszego uchodźcy Fiodora Stułowa do Kumsz do Šimkusa i stamtąd przez Boniuszki do Łasz do mleczarni. Odwilż wielka, mokro, deszcz mżył, śnieg spędziło zupełnie. W wielu miejscach orzą. Będę i ja orał jutro, jeżeli nagle nie wyskoczy mróz. Ale na mróz się nie zanosi. W Kumszach u Šimkusa dopominałem się o motor i młocarnię. Już przeszło od tygodnia młocarnia z motorem Šimkusa sprowadzone są z Łukszt. Wymłócono u Stašysa i u Širvysa w Busiszkach, potem u Janka Čepasa, teraz zawieziono młocarnię z motorem do Stankiewicza, na kolejce jest Mikulionis, a ja nie mogę się młócenia doczekać. Targowałem się z Šimkusem i jego żoną, gniewałem się, ale jeszcze po Mikulionisie ma młócić u Smolińskiej w Busiszkach, a dopiero wtedy obiecują oni, co prawda solennie i kategorycznie, sprowadzić motor i młocarnię do mnie. Zapowiadają to na piątek, ale jestem pewien, że to się zaciągnie najmniej do poniedziałku, bo jeszcze pojutrze we środę jest święto.

Z nowin politycznych wielką nowiną jest ta, o której się dowiedziałem pozawczoraj w Rakiszkach i którą dziś gazety potwierdzają – że w prędkim czasie ma się odbyć po raz pierwszy spotkanie osobiste trzech wielkich głów koalicji przeciwniemieckiej – Churchilla, Roosevelta i Stalina. Spotkanie to i ich konferencja ma się odbyć gdzieś w Persji. Dotąd był się odbył tylko zjazd ministrów spraw zagranicznych – Edena, Hulla i Mołotowa (tzw. konferencja w Moskwie). Na pierwszej konferencji samych głów ma być też obecny w charakterze obserwatora Beneš; ten wszędzie potrafi się wścibić. Ciekawa rzecz, jak się poczują w kontakcie osobistym Churchill, Roosevelt i Stalin i co uradzą. Kto z nich kogo podejdzie i oszuka. Stalin, zdaje się, nie jest łatwy do podejścia. Jest on zawsze „себе на уме”.

7 grudnia, rok 1943, wtorek

Strasznie szpetny dzień: ciemny, mokry. Błoto straszliwe, deszcz pada. Wznowiłem oranie po dziesięciu dniach przerwy. Izydor Kulys orał ogrody warzywne. Novikas z Wańką rąbali jodły suche w Gaju. Zdobyłem się na spacer pieszy do Gaju.

Dzieci nasze mają w osobie Toni Adomonytė niańkę taką, jakiej nie miały nigdy – wesołą, dziecinną, śpiewającą, opowiadającą bajeczki, rysującą; jest ona doskonałą towarzyszką ich zabaw. Niech się dziatki kochane cieszą, niech chłoną życie i wesele, dopóki trosk nie mają i nie czują tej obrzydliwej wojny, która nam i krajom całym zatruwa życie. Kotuńka robi wciąż postępy w „nauce”; zaczyna już, acz bardzo mozolnie i kulejąco, układać pierwsze najprostsze sylaby, na przykład „ba”, „be”, „bo”, „bi”, „bu”; jest to bądź co bądź wstęp do sztuki czytania. Iga umie dopiero dwie samogłoski: „a” i „i”. Pokazałem jej jeszcze „e”, „o” i „u”, ale tych za nic dotąd zapamiętać nie jest w stanie.

8 grudnia, rok 1943, środa

Jeździłem dziś do Pokrewnia dla poinformowania się, czy będziemy mogli w tych dniach mleć zboże, które pożyczyliśmy od Janka Čepasa (groch, jęczmień), nie mogąc się wciąż jeszcze doczekać młócenia i które chcemy zemleć dla inwentarza. Augaitisa w Pokrewniu nie zastałem, tylko p. Augaitisową, która zapewniła łaskawie, że zemleć będziemy mogli. Ze mną jeździła Kotuńka, którą p. Augaitisowa uraczyła ciastkami. Dalej jeździłem jeszcze do Boniuszek, gdzie

miałem interes do Lapienisa i do szewca uchodźcy z Porchowa w sprawie obszycia wojłoków Jadzi. Za woźnicę miałem uchodźcę Maksimowa, który z rodziną swą jest zalokowany w połowie u Kligisa i w połowie u Šeškusa w Bohdaniszkach. Teraz cała rodzina jego ma się skupić u Šeškusa, który daje im mieszkanie i utrzymanie i będzie korzystał z ich pracy, ale nie może dać opału. Maksimow więc prosił mię o opał z Gaju za odrobek. Dałem mu trochę drew narąbać i chrustu i użyłem go za woźnicę dzisiaj, jadąc do Pokrewnia przez Gaj, gdzie mu drzewo wskazałem. Maksimow jest młody chłop dwudziestokilkuletni, mądry, stateczny, grzeczny, jak w ogóle ci nasi uchodźcy, czyniący bardzo dodatnie wrażenie. Maksimow jest podwójnym uchodźcą. Pochodzi on z okolic Demiańska na wschód od jeziora Ilmen w kierunku Wałdaju i Wzgórz Wałdyjskich, z których wypływa Wołga. Jest to okolica wielkich błot i lasów, w których gnieżdżą się nie tylko wilki, ale jeszcze nawet niedźwiedzie. Jak uchodźcy z okolic pskowskich i z Porchowa, tak i Maksimow spod Demiańska chwali okupację niemiecką. W roku 1941 Niemcy tam byli prędko dotarli. Bolszewicy przed nadejściem Niemców straszyli ludność, że Niemcy będą się nad Rosjanami znęcali i mordowali ich. Jednak prawie cała ludność wiejska z kołchozów pozostała na miejscu. Uciekali z bolszewikami tylko ludzie z miast. Po przyjściu Niemców ustanowione zostały gminy (wołosti) z władzami gminnymi spośród ludności miejscowej – rodzaj samorządu lokalnego. Maksimow, który prędko nauczył się rozumieć po niemiecku, został niebawem wójtem gminnym w swojej wiosce. Kołchozy zostały zlikwidowane, włościanie podzielili ziemię kołchozów na gospodarstwa indywidualne i żyli nieźle. Niemcy byli dla nich ludzcy, niektórzy nawet bardzo dobrzy. Zimą roku 1941-1942 obszar Demiańska z przyległościami został przez wojska sowieckie okrążony, Niemcy byli odcięci; zaprowiantowanie żywności i amunicji odbywało się tylko przez samoloty transportowe. Wszakże na wiosnę roku 1942 Niemcy wywalczyli połączenie Demiańska z tyłami u jeziora Ilmen i nad Łowatją. W jesieni ewakuowali stamtąd ludność cywilną i Maksimow wraz z nią został z rodziną wywieziony na zachód w okolice Porchowa pod Psków, gdzie przebywał dotąd jako uchodźca, a teraz wraz z ludnością okolic Porchowa został ewakuowany tu do Litwy. Bardzo źle mówi o kołchozach, krytykuje ostro metody gospodarczo-administracyjne sowieckie, w których jest bardzo dużo opieszałości biurokratycznej i niedołęstwa, niedbałości, braku inicjatywy i gospodarności, pokrywanych potem raptusowymi na gwałt zarządzeniami i gorączką wysiłku, wyczerpującą się przeważnie w wielkim hałasie mów, haseł i blagi propagandowej bez realnego efektu, gdyż nic nie jest zawczasu przygotowane i nie może być przeto wykonane. Słowem – w metodach tych jest to samo, cośmy tu u nas za czasów sowieckich widzieli: bardzo dużo krzyku, frazesów, chwalenia się, gardłowania, rwetesu, a czynu realnego prawie żadnego i w rezultacie wszystko się rozprzęga i upada, pozostaje tylko jałowa gorączka pustej frazeologii, pewnego rodzaju narkoza pozorów. Maksimow narzeka też na zachłanność żydowską w Sowietach, na opanowanie przez Żydów całego aparatu władzy i szczytów kierowniczych gospodarstwa krajowego.

9 grudnia, rok 1943, czwartek

Mróz ścisnął ziemię. Od dwóch dni gruda wielka.

Nie możemy się wciąż doczekać motoru i młocarni, które po wymłóceniu u Stankiewicza są obecnie w zaścianku Mikulionisa. U Mikulionisa młócono dzisiaj. Czy skończono młócić u niego – nie wiemy. Od Mikulionisa młócarnia powędruje do Smolińskiej w Busiszkach i wreszcie stamtąd dopiero ma iść do nas. Najwcześniej na poniedziałek można się spodziewać rozpoczęcia młócenia. Jeżeli się nic do tej pory w motorze nie zepsuje i innych jakichś przeszkód nie znajdzie.

Dużo w tych czasach piszę listów. Mam w tej chwili na biurku do wysłania listy do Henryka Odlanickiego-Poczobuta, do Franka Olechnowicza, do Maryńci Stasiowej Römerowej i do Piotra Armalisa. Lubię pisać listy i lubię je otrzymywać. Nawet, a może szczególnie w tych czasach, kiedy to na ogół ludzie nie są skorzy do korespondowania, bo nie tylko że trudno o koperty i papier pocztowy, ale i ewentualnie cenzura wojenna listów nie usposabia do rozpisywania się. Ludzie na ogół boją się teraz wyrażania w liście wszelkiej myśli własnej, wszelkiej też wiadomości, mającej

najmniejszy związek z tzw. polityką, żeby się to czasem nie spodobało cenzurowi i nie sprowadziło jakichś represji czy innych złych skutków. Listy więc albo są bezbarwne, albo ograniczają się do banalnych wiadomości o zdrowiu rodziny, albo czasem spekulują przenośnią, pod którą się przemyca wieści, mogące się nie podobać okupantom. A jednak listy lubię, bo w każdym razie zawsze się w nich zawiera jakieś żywsze indywidualne uczucie czy myśl, choćby maskowane i ubierane w szaty przenośni, zawsze tryska jakieś usposobienie piszącego, coś żywego, czego w gazetach, niwelowanych szablonem propagandy urzędowej, zgoła nie ma. Szczególnie miłe są listy, gdy się mało ludzi z szerszego świata widzi. Na bezrybiu i rak – ryba. Wtedy i list zastępuje poniekąd żywego człowieka. W istocie listy w korespondencji wewnętrznej Ostlandu nie są w praktyce cenzurowane; przychodzą nietknięte, nawet będąc czasem treści wyraźnie antyniemieckiej.

10 grudnia, rok 1943, piątek

Byłem z córeczkami w lesie. Obejrzałem drwa i chrust, narąbane przez uchodźcę Maksimowa za odrobek przy młóceniu, także drwa, narąbane wczoraj przez naszych parobków i 2 metry drew, wyrąbane przez Antoniego Malčiusa i Walentyna Niemickiego za robotę. W Gaju jest duży rozchód drew w tym roku. Trzeba będzie wyrąbać jeszcze trzy sążnie drew dla Valečki do Rakiszek, dać 1 ½ sążnia osiny Šimkusowi za młócenie, obiecany i należny jest jeszcze opał dla Antoniego Malčiusa starego, dla Lapienisa w Boniuszkach, dla Jana Malciusa w Karwieliszkach i innych jeszcze. Co robić! Dobrze jeszcze, że mam lasu. Dużo też jodeł budulcowych rozdałem tego lata i jesieni za robotę. Gaj topnieje, niestety. Co prawda młodniak z porębów, wykonanych w ciągu ostatnich lat 10, podrasta dobrze, ale nie uzupełnia on jeszcze wyrębów nowych. Kocham ten mój Gaj. Daj Boże, żebym go nie stracił. Wyniki wojny mogą mię pozbawić nawet Bohdaniszek, a cóż dopiero Gaju. Ufam jednak Opatrzności, że jakoś nas i kraj nasz uratuje od katastrofy przewrotowej, w której by się wszystko załamało.

11 grudnia, rok 1943, sobota

Dziś równo rok upłynął od dnia operacji katarakty w moim prawym oku. Gdybym nie był wtedy poddał się tej operacji, byłbym dziś już całkiem zaniewidział, bo już teraz lewe oko, którym wtedy jeszcze jakoś widziałem i byłem w stanie czytać, prawie zupełnie przestało działać. Teraz patrzę i widzę tylko tym okiem, które było operowane, a którym już wtedy prawie nic nie widziałem. Operacja nie przywróciła mi wprawdzie dobrego wzroku, ale bądź co bądź przez odpowiednie okulary mogę czytać i pisać, przynajmniej przy niezłym oświetleniu, a przez inne okulary i bez żadnych okularów widzę dosyć daleko, z daleka lepiej, niż z bliska. Daleko mi do dobrego wzroku, zwłaszcza brak mi precyzji wzrokowej i szybkiego przystosowywania się wzrokowego do zmiany perspektywy i punktu patrzenia; bardzo też źle widzę przy słabym oświetleniu i w przyćmionych lokalach, zwłaszcza gdy do nich wchodzę z wielkiego światła – wtedy prawie że ślepnę na razie, odbiera mi też wzrok blask padający na oczy, wreszcie źle widzę pod nogami. Ale już siako tako przyzwyczaiłem się do tych różnych braków. Grunt, że jednak nie oślepłem i odzyskałem wzrok. Kiedykolwiek, da Bóg, poddam operacji i lewe oko.

Mam wiadomości z Wilna, że prof. Abramowicza, który mi robił tę operację usunięcia katarakty, w Wilnie już nie ma. Gdzie jest i co się z nim stało – nie wiem. Przypuszczam, ze gdzieś uciekł i ukrył się, bo był on Żydem rodowitym, przechrztą, toteż groziło mu zawsze to, że wcześniej czy później Niemcy przyczepią się doń, zdemaskują jego żydostwo i zamkną do getta albo, co gorszea stracą go tak, jak tracą wszystkich Żydów.

Byłem dziś w Gaju, wyznaczyłem drzewa do rąbania na drwa Janowi Malčiusowi, potem u tegoż Malčiusa podzieliłem len, który on u nas rwał na połowę i na furze lnu odjechałem do domu.

12 grudnia, rok 1943, niedziela

Wreszcie dziś doczekaliśmy się motoru i młocarni Šimkusa. Ostatnio młocarnia była u Smolińskiej w Busiszkach, gdzie wczoraj wymłócono. Uprzedzono nas, że jeżeli dziś motoru i młocarni stamtąd nie zabierzemy, to zabierze je połownik Nemeikšysowej. Pomimo więc niedzieli i grudy wielkiej – musieliśmy dziś je sprowadzić. Novikas, który formalnie liczy się naszym „starszym parobkiem", czyli gospodarzem i z tego tytułu pobiera większą ordynarię i utrzymuje drugą krowę i drugą owcę, ale już od dawna obowiązki te przestał faktycznie spełniać i jest tylko pospolitym parobkiem (notabene grymaszącym i niechętnym) – ani palcem o palec nie stuknął i nie zainteresował się wcale tą ważną dla gospodarstwa sprawą sprowadzenia motoru. Ani mi się pokazał na oczy. Sprowadzenie motoru i młocarni poleciłem Izydorowi Kulysowi, który mi teraz chętnie służy, wdzięczny za uwolnienie go od wywiezienia do Niemiec i który zresztą dziś był dyżurny. Pojechał więc on z Wańką z czterema końmi naszymi i jednym wozem do Busiszek do Smolińskiej, a z nim także Janek Čepas z jednym koniem swoim. Dwa konie zaprzężono do motoru, dwa – do młocarni i jeden wiózł dodatki. Sprowadzenie tych maszyn zajęło cały krótki dzień grudniowy od samego ranka do godziny drugiej po południu, kiedy już zmrok się robić zaczął. Bliższymi dróżkami ze względu na grudę nie można było wieźć. Trzeba było wieźć motor i maszynę na gościniec za Busiszkami i stamtąd wieźć przez Busiszki, Ginduryszki, Gaj gościńcem aż na Prapultinię i dopiero stamtąd zawrócić do dworu. Ogromny, najmniej podwójny nakład drogi. Z naszych czterech koni tylko dwa podkute, a nie tylko gruda, ale i ślisko, a po drodze dwie góry wielkie – jedna dojeżdżając do Nemeikšysowej i druga – koło Diržysa. A z dwóch podkutych koni jeden – Čeverykas – narowiący się w trudnych miejscach. Po drodze na górze koło Nemeikšysowej motor się zwalił do rowu, trzeba było dopożyczyć konia od Balysa Malčiusa. Wreszcie po długiej i marudnej pielgrzymce, przeprzęgając konie, dowieziono motor i młocarnię do dworu do gumna naszego. Jutro przygotujemy się do młócenia, zapewnimy sobie siłę roboczą, sprowadzimy z Abel ze dworu pięć bab orłowskich, które mi obiecał udzielić na młócenie rządca abelski Kareiva, i pojutrze we wtorek zaczniemy młócić. Tak nam z tym młóceniem zwleczono, że wpędzono tę trudną i kosztowną robotę gospodarczą na najkrótsze dni grudniowe.

13 grudnia, rok 1943, poniedziałek

Oczyszczono dziś gumno i spichrz do młócenia jutro i sypania zboża wymłóconego. Ludzi do młócenia będziemy mieli dosyć. Zbierze się do 18 robotników, nie wysilając się zbytnio i nie wyczerpując do końca wszystkich rezerw rąk roboczych.

Byłem w Gaju. Wyznaczyłem drzewa do rąbania na drwa Lapienisowi (3 metry) i staremu Antoniemu Malčiusowi (1 metr).

Znowu epizod rabunku bandyckiego w okolicy. W nocy bandyci dokonali napadu na zaścianek gospodarza Nageły w Kurkleciach, zabrali całe mięso, ubranie i obuwie. Epizody takie tej jesieni są już liczniejsze, niż były poprzednio.

14 grudnia, rok 1943, wtorek

Rozpoczęto dziś u mnie młócenie. Ludzi do młócenia było dosyć, ale motor kiepsko funkcjonował. Przez cały dzień namłócono ogółem zaledwie 30 cetnarów ziarna, mianowicie wymłócono groch, którego namłócono ogółem tylko 7 cetnarów, wykę (zdaje się – 8 cetnarów, znajdzie się jej więcej po wyfuchtelowaniu owsa) i trochę owsa. Jadzia, jak zawsze, siedziała przy młóceniu przy wagach.

Ja zaś jeździłem do Abel. Zawiozłem do Abel na stację do rekwizycji do „Maistasu" kurę i indyczkę, których od nas zażądano. Nie sądziłem nigdy, że tak dużo ptactwa się do rekwizycji dostarcza. Zwłaszcza kur i indyków. Mnóstwo tego było. Ogromny się uformował ogonek. Gdyby nie to, że mnie wszędzie znają i zawsze mi ułatwiają osobiście wszystko, dając mi dostęp, gdzie trzeba, bez kolejki, to musiałbym chyba cały dzień czekać. Ogromne też ilości nawieziono świń, krów, cieląt, zboża. Załatwiłem też różne interesy w gminie, w kooperatywie, na poczcie i na szarą godzinę wróciłem do domu. W Abelach w gminie spotkałem p. Kazanowiczową, Didžiulytę z

domu, ze znanej litewskiej rodziny literackiej Didžiulisów z powiatu poniewieskiego, wdowę po Kazanowiczu, który za czasów sowieckich był naczelnikiem powiatu w Wilnie i umarł na tym stanowisku. Pracuje ona w administracji uniwersytetu w Wilnie i przyjechała tu na dni kilka dla uporządkowania gospodarstwa starego teścia. Mówiła, że administracja uniwersytetu, oczywiście bardzo zredukowana, pracuje teraz nad jakimiś spisami i schematami studentów (to znaczy studentów z marca roku bieżącego, kiedy uniwersytet został zamknięty); prawdopodobnie będą łapać studentów do pracy w Niemczech albo do wojska. O tym, żeby uniwersytet miał być czynny, nie słychać. Prawie cały gmach główny uniwersytetu zajęty jest przez Niemców na potrzeby wojska. Cała kancelaria uniwersytetu mieści się w gabinecie rektora. Poza tym zostawiony jest niezajęty lokal wydziału gospodarczego uniwersytetu.

15 grudnia, rok 1943, środa

Drugi dzień młócenia. Z rana dosyć długo motor odmawiał posłuszeństwa. Nie można go było uruchomić. Potem wszakże funkcjonował do wieczora dobrze. Ale „wieczór" zapada teraz bardzo wcześnie. Właściwie o godzinie drugiej po południu jest już zmrok. O godzinie trzeciej jest już formalny wieczór. Owsa wymłócono dotąd przeszło 50 cetnarów. Robotników przy młóceniu mamy dosyć. Bab orłowskich ze dworu abelskiego nie sprowadziliśmy, bo doszliśmy z Jadzią do przekonania, że nie moglibyśmy je zalokować – nie mamy dla nich ani poduszek, ani kołder, a zimą kłaść je tylko na słomie – trudno; zresztą nie bardzo są nam potrzebne. Obejdziemy się przy młóceniu bez nich.

Byłem w Gaju. Wyznaczyłem chrust do rąbania Józiukowi Podolskiemu. Wyznaczyłem też cztery piękne jodły budulcowe po 16 cali Balčiunasowi z Boniuszek za bekona 100-kilogamowego, którego on nam daje na rzeź.

16 grudnia, rok 1943, czwartek

Paskudnie szło dziś młócenie. Do godziny jedenastej nie można było uruchomić motoru. Dopiero koło jerenastej motor udało się puścić w ruch. Potem musiała być zarządzona przerwa na obiad, po której młócono do godziny trzeciej. Mało więc wymłócono. Ogółem do dziś włącznie wymłócono owsa niespełna 99 cetnarów.

Ja jeździłem z Jankiem Čepasem do Abel po opał płynny dla motoru. Słychać było, że przed paru dniami podzielono pozostałości tego opału płynnego na seniunii, a w seniunijach wyznaczono, komu ma być udzielone i po ile. Mówiono, że jest wyznaczone i dla mnie, bo zresztą pozawczoraj będąc w Abelach, uprzedzałem sekretarza gminy Didžiokasa, że mi prawdopodobnie będzie potrzeba. W Abelach się okazało, że nie ma mnie w spisie tych, co mają dostać tego opału. Zresztą jest tylko benzol, gazolu zaś nie ma. Na moją prośbę sekretarz Didžiokas wpisał mię jednak do spisu na rzecz udzielenia mi 15 litrów benzolu. Otrzymałem go. Janek Čepas w spisie figurował i otrzymał 8 litrów. Wróciliśmy więc do domu z benzolem, ale jest to dla motoru opał gorszy od gazolu, zwłaszcza gdy nie ma oliwy dla domieszania do benzolu.

Młócić będziemy co najmniej jeszcze dwa dni. Pozostaje nam do wymłócenia reszta owsa, żyta koło 40-50 cetnarów w gumnie, a w odrynie cały jęczmień, trochę grochu cukrowego i siemię lniane. Wymłócenie tego, jeżeli motor dobrze pójdzie, zajmie całe dwa krótkie dni grudniowe.

Nie mam teraz zupełnie czasu na jakąkolwiek pracę umysłową we dnie. Wprawiłem się jednak w tę pracę wieczorem przy świetle małej lampki naftowej. Co dzień siedzę teraz przy biurku między godziną 6 a 8 wieczorem, kiedy Jadzia z dziećmi już leży w łóżku. Gabinet mój w pokoju rogowym na dole jest rozkosznie ciepły, na nogach mam wojłoki i czuję się doskonale. Wiatr teraz jest wciąż zachodni, więc ten mój gabinet, który lęka się wiatru wschodniego i zwłaszcza południowego, jest cieplutki. Jeżeli nawet we dnie mam nogi ostudzone, to w cieple mego gabinetu w wojłokach nogi mi się zagrzewają doskonale i do łóżka się kładę z nogami ciepłymi, co znakomicie chroni od kataru.

17 grudnia, rok 1943, piątek

Z młóceniem naszym coraz gorzej. Spodziewaliśmy się, że dziś wymłócimy może resztę owsa i to przęsło żyta, które pozostało niemłócone w młóceniu jesiennym. W takim razie spodziewalibyśmy się jutro wymłócić złożony w odrynie jęczmień i trochę siemienia lnianego i grochu cukrowego. Bylibyśmy skończyli młócenie przed niedzielą. A przecie gdyśmy we wtorek młócić zaczynali, to liczyliśmy, że skończymy młócenie jeszcze dziś, w piątek, a może nawet we czwartek. Wszystkie te obliczenia zawiodły.

Ja dziś zastępowałem przy młocarni Jadzię, która była zajęta porządkowaniem mięsa wołowego (kupiliśmy ćwierć wołu, którego pozawczoraj zarżnął Janek Čepas) i bekona, którego wczoraj kupiliśmy i którego dziś zakłuto. Rozpoczęło się od rana puszczanie motoru. Robotników zebrało się dużo, mężczyzn i kobiet. Kobiety tłukły się po kątach, czekając na rozpoczęcie pracy, mężczyźni kręcili drąg, wprawiając w ruch motor. Praca ta jest niezmiernie męcząca, trudniejsza o wiele od samego młócenia. Motor odmawiał posłuszeństwa. Niepodobna było go rozpędzić. Maszynista kołchoźnik męczył się i klął, ludzie kręcący drąg upadali ze zmęczenia, a motor stał. Wciąż zagrzewano wodę i wlewano do środka motoru, żeby go zagrzać, wypalono benzynę, kręcono drągiem koła motoru i – nic. Trwało to od świtu do pół do dwunastej. Dopiero wtedy motor ruszył, ale potem zaraz obiad, po obiedzie motor ruszył z łatwością, ale potem znów pękł pas, a gdy go zszyto, znowu ani rusz. Wymłóciliśmy dziś przeto zaledwie niespełna 20 cetnarów owsa (ogółem od kilku dni 117 cetnarów). O zmroku, gdy motor znowu odmawiał posłuszeństwa, ludzie się rozeszli. Rozpacz z takim młóceniem. Trzeba co dzień karmić do 20 ludzi, płacić im pieniędzmi lub drwami z lasu, a młócenie idzie żółwim krokiem. Większą połowę krótkiego dnia motor stoi. Trzeba znowu szukać jutro oliwy do benzyny, trzeba wyczerpywać ostatnie rezerwy gazolu. Ohydne młócenie. Męka.

18 grudnia, rok 1943, sobota

Z młóceniem znowu to samo. Do południa usiłowano wprawić motor w ruch, ale na próżno. Dopiero od południa motor ruszył. Do obiadu, który znacznie opóźniliśmy, wymłócono resztę owsa. Ogółem owsa namłócono 134 cetnary (nie licząc II gatunku ziarna, którego zresztą jest niedużo). Po obiedzie zaczęto młócić żyto, które pozostało niewymłócone w jesieni. Zapadł rychło zmrok. Młócono dalej żyto już przy latarniach. Koło godziny 4-5-tej przestano młócić, ale żyta jeszcze nie wymłócono. Oprócz tego w odrynie pozostaje niemłócony cały jęczmień, trochę grochu cukrowego i siemię lniane. Co będzie dalej z młóceniem – nie wiemy. Kończą się już nasze rezerwy benzolu i gazolu, od Šimkusa odchodzi maszynista kołchoźnik, który kierował motorem, sam Šimkus zaś, właściciel motoru, nie zna się na nim. Chyba do świąt Bożego Narodzenia młócenie przerwiemy. Rozpacz z tym młóceniem. Kosztuje to drogo, robotnikom trzeba płacić i karmić ich, a robota idzie żółwim krokiem, a dalej w ogóle nie wiadomo, czy się da młócić. Jest to strasznie nerwujące. Poza tym wszystkie inne roboty stoją. Zaiste lżej jest być nie tylko profesorem, ale i rektorem uniwersytetu albo sędzią sądu najwyższego i nawet Trybunału Międzynarodowego w Hadze, niż administratorem mojej działki Bohdaniszek w czasach obecnych. Czuję się tu głupi i niezdarny.

19 grudnia, rok 1943, niedziela

Jeździłem do Łasz do mleczarni. Poza tym siedziałem w domu. Mróz lekki, wiatr z zachodniego zmienił się na południowy, który u nas zimą jest mroźny.

20 grudnia, rok 1943, poniedziałek

Jestem jak koń roboczy. Nigdy nie ma chwili, żeby nie było jakiegoś kłopotu albo biedy, albo jazdy bez względu na pogodę, na chłód, na zmęczenie. Dla mnie samo zmęczenie – to jeszcze nic, bo pomimo wieku mego jestem jeszcze fizycznie dosyć zdrów. Dla mnie gorsze są kłopoty i niepokoje, wynikające bądź z trudności gospodarczych, podobnych do pracy Syzyfa, bądź różnych

niewyraźnych możliwości wojennych, niż zmęczenie fizyczne. Ale dla biednej Jadzi, która też, bodajże nawet więcej ode mnie, ma na głowie kłopotów, którym sama zaradzić musi, zmęczenie fizyczne, które jest ponadto gorsze ze względu na jej stan ciąży daleko posuniętej. A dziś oto wypadło nam jechać z Jadzią do Rakiszek. Głównie dla akumulatorów do elektryczności w oświetleniu domu. Akumulatory, które nam w Wilnie kupiła i przywiozła Onutė Lukšienė (za 1500 marek), są zawiezione do Rakiszek do Valečki dla naładowania ich pierwotnego, po czym będą się już ładowały wiatraczkiem na domu. Trzeba było je odebrać od Valečki. Czy damy radę obchodzić się z nimi należycie – to znowu inna kwestia. I Valečki wstyd, bo za zainstalowanie u nas tego wiatraczka i dynamomaszyny w roku ubiegłym umówiliśmy się z nim dać mu i przywieźć mu do Rakiszek 4 ½ sążnia drew, z których przez zimę ubiegłą zawieźliśmy tylko 1 ½ sążnia, a trzy sążnie dotąd jesteśmy winni i, choć się już wyrąbują w lesie, wciąż nie mamy możności mu dostarczyć, bo konie i ludzie są zajęci robotą pilniejszą. A tu i klacz biała – Čigonė – dziś poroniła i zachodzi obawa, czy przeżyje tę chorobę, bo stara jest i słaba bardzo (do ogiera jej nie dopuszczaliśmy, ale latem dorwał się do niej nasz ogierek dwulatek Czyżyk). Pojechaliśmy więc z Jadzią do Rakiszek po grudzie w wiatr ostry. Zimno było jechać w linijce, choć mieliśmy futro na nogi i sami w futrach. Jechać można tylko dalszą drogą – starym dużym gościńcem jużynckim na Kurklecie, Rakiszeczki i Łajbgale. Daleko tamtędy, ale droga lepsza, bo ruch na tym gościńcu wielki, więc i gruda przetarta. Wyjeżdżając ze dworu spotkaliśmy babę, co jest złą wróżbą dla podróży. Jakoż dwukrotnie pod Rakiszkami spadło nam koło i ledwie siako tako z pomocą przejezdnych wprawiliśmy je i dowlekliśmy się do Rakiszek, gdzie nam Valečka koło umocował. Akumulatory były gotowe, zabraliśmy je, poza tym w Rakiszkach załatwiliśmy parę drobnych interesików (na poczcie, w sklepie żelaza Szczuki) i zajechaliśmy do Broniów Nemickich w sprawie szczepionki od dyfterytu, którą na zapas przywiózł on nam z Berlina na wypadek zachorowania dzieci, bo dyfteryt wciąż grasuje w okolicy. Bronius Nemicki przyjął nas kawą (erzacową zresztą), bardzo smacznymi ciastkami kruchymi domowego wyrobu i smacznym dobrym likierem kowieńskim. Rozgrzaliśmy się u Nemickich i wróciliśmy do domu. Wróciliśmy już po ciemku. Naśnieżyło w ciągu dnia. Gdyśmy wracali – ziemia już była biała.

Nieraz zazdroszczę tym, którzy nie mają żadnego gospodarstwa na głowie i siedzą spokojnie gdzieś w mieście albo na wsi, zajęci tylko gospodarstwem domowym. Ale co prawda – mają oni inny nie lepszy kłopot; kłopot ze środkami żywności i opałem. U nas tego przynajmniej nie brakuje.

21 grudnia, rok 1943, wtorek

Doczekaliśmy się najkrótszego dnia w roku na naszej półkuli. Przesilamy się na lepszą połowę roku. Zimy dotąd właściwie nie mieliśmy. Po mokrym listopadzie jeszcze w początku grudnia mogliśmy orać. W grudniu miewaliśmy już mroziki, ale lekkie, miewaliśmy to ziemię ubieloną śniegiem, to znów czarną bez płatka śniegu – na przemian, ale tylko jeden raz mogliśmy spróbować sanny i to kiepskiej; grudę mamy w dniach ostatnich, ale nie przechodzi prawie dnia, żeby nie było choć trochę odwilży.

Przychodził dziś maszynista kołchoźnik Šimkusa, chciał, żebyśmy kontynuowali młócenie. Ale nie mamy zamówionych do młócenia robotników ani benzyny lub gazolu, których ostatnie zapasy są już u nas na wyczerpaniu. Słychać było, że w Abelach dziś dawano znów benzynę; mówiono, że i my wpisani jesteśmy na listę, ale nie pojechaliśmy, bo nam potrzebny jest raczej gazol, niż benzyna, a potem się okazało, że dla nas i benzyny nie ma. Pojadę jutro do Abel do viršaitisa kołatać.

Był wielki strach o starą klacz białą Čigonę, która poroniła wczoraj. Leży i nic nie je. Fiodor ją rano podniósł, ale znów się położyła. Zdawało się, że już nic z niej nie będzie. Namyślaliśmy się, czy nie zawieźć ją do Abel do „Maistasu" na rzeź, czy też zadowolić się jej skórą na wypadek, że zdechnie. Nie powieźliśmy jej do Abel. Parobcy ją podnieśli na nogi, dano jej mąki i klacz się odchwyciła trochę na wieczór. Zresztą mała z niej będzie korzyść, bo jest bardzo słaba. Strata konia teraz – to wielka klęska w gospodarstwie. Same biedy.

22 grudnia, rok 1943, środa

Rano przyszedł znowu maszynista kołchoźnik wraz z Šimkusem, żądając, abyśmy młócili, bo motor nie może stać próżny. Myśmy zaś chcieli odroczyć dokończenie młócenia do przyszłego tygodnia po świętach, bo nie mamy zamówionych robotników i zabraknie nam benzyny i gazolu. Po długich ceregielach stanęło jednak na tym, że dziś od południa zaczniemy młócić, żeby wymłócić choćby resztę żyta w gumnie i przewieźć motor i maszynę do odryny, gdzie ewentualnie jutro zabierzemy się do młócenia jęczmienia. Zaraz więc posłaliśmy Wańkę Szerszniowa zwoływać po zaściankach ludzi do młócenia, ja zaś pojechałem do Abel, by się postarać u viršaitisa o gazol. Nie udało mi się to w Abelach. Zapasy benzyny w gminie są wyczerpane, a gazolu wcale nie było. Viršaitis nic mi pomóc nie mógł; powiada, że proszono Poniewież jeszcze o benzynę, ale czy dadzą – nie wiadomo; on zaręczyć nie może. Radził pożyczyć gdziekolwiek, a może się potem dostanie, w przeciwnym razie sam odkupię prywatnie i oddam. Rozdawnictwo benzyny i gazolu z zapasów, które były udzielone gminie, odbywało się podług list, układanych przez seniunasów. Seniunasi, których większość, wzorem ogółu, bardzo się zdemoralizowała i rozpiła, układali te listy na ogół bardzo niesprawiedliwie i arbitralnie, przez nikogo nie kontrolowani, czujący się jak mali królikowie w swoich seniunijach: wpisywali do listy swoich przyjaciół, faworytów i kompanów, z którymi piją lub którzy im różne inne usługi świadczą, nieraz takich, którzy dawno wymłócili i nie potrzebują gazolu i benzyny, a biorą ją na spekulację, pomijając natomiast takich, którzy istotnie tego potrzebują. Po załatwieniu jeszcze innych interesów i interesików, których teraz zawsze jest pełno w Abelach, wróciłem do domu. Wracając widziałem drzwi od gumna otwarte, ale motor stał nieruchomy. Myślałem już, że nic z młócenia dzisiejszego nie wyszło. Dowiedziałem się jednak od Jadzi, że resztę żyta w gumnie wymłócono. O zmroku przewieziono motor i młocarnię do odryny. Jutro od rana młócić będziemy, jeżeli motor dobrze pójdzie. Benzyny postaramy się pożyczyć od Mieczkowskich, bo swojej już nam nie wystarczy.

23 grudnia, rok 1943, czwartek

Wymłóciliśmy wszystko: jęczmień, trochę grochu cukrowego i siemię lniane. Młócono do godziny siódmej wieczorem, od Mieczkowskich dopożyczyliśmy 12 litrów benzyny, ale skończyliśmy tę nieznośną młóckę, która nam blisko dwa tygodnie zajęła. Drogo ona nas kosztować będzie i pieniędzmi, i drwami, i stratą czasu, zaniedbując przez ten czas wszystkie inne pilne roboty gospodarskie (wydanie poszoru parobkom, rąbanie drew na opał, przygotowanie opału w lesie, obwiązanie drzewek owocowych słomą na zimę, wywożenie normy do rekwizycji itd., itd.), ale przynajmniej siako tako skończono. Ten największy ciężar spadł z głowy. Ale pełno innych. Zbliża się najmowanie służby, niepodobna znaleźć niańki do przyszłego dziecka, pieniądze stopniały...

W kołach uchodźców, którymi się wieś litewska obficie zapełniła, obiega pogłoska, że po ewakuowaniu przez Niemców terenów przyfrontowych rosyjskich, z których ludność wypędzono do Litwy, Łotwy i Estonii, przyjdzie kolej na ewakuowanie także i tych krajów i że wtedy ludność naszej Litwy, miejscową włącznie z tymi uchodźcami z Rosji, Niemcy ewakuują do... Danii (*sic*!). Chodzą gawędy wśród uchodźców, że gdzieś to wyczytano. Wydaje się to zgoła nieprawdopodobne, ale ludzie wszelkim wieściom wierzą, szczególnie uchodźcy, którzy w Rosji doświadczyli już kilka takich ewakuacji masowych ludności. Tymczasem tych uchodźców z Rosji wiąż wiozą i wiozą, zapełniając nimi po trochę wszystkie gminy. Dziś z Rakiszek rozdzielają ich i wiozą do gminy antuzowskiej sąsiedniego powiatu jezioroskiego. Po trochę nasyłają ich jeszcze i do gmin, które już ich otrzymały. Są pogłoski, że jeszcze dużo więcej ich w naszych stronach osiedlą. I teraz roi się już od nich.

24 grudnia, rok 1943, piątek

Dzień pod znakiem kucji. Rano dzieci z udziałem i pod kierunkiem Toni Adamonytė, która im zastępuje niańkę, ubierały choinkę, ustawioną na środku pokoju dziecinnego. Wielka to była radość dziecinna i rzeczywiście choinka została ładnie ubrana. Znalazły się jeszcze w kryjówkach Jadzi ładne błyszczące świecidełka szklane na choinkę – pozostałości ze świetnych lat dawnych, kiedy jeszcze naszych dzieci nie było i kiedy, przyjeżdżając z Kowna do Bohdaniszek na święta Bożego Narodzenia, urządzaliśmy w pokoju jadalnym choinkę dla Reni Bagdonaitė, ówczesnej małej wychowanki Jadzi i dla dzieci parobczanych. O ileż świetniejsze były tamte choinki od tej dla naszych kochanych biednych dziateczek w czasie wojny! Ileż tam było cukierków, czekoladek, marcepanów, owoców suszonych i smażonych, orzechów, zabawek, fajerwerków etc.! Teraz pozostało z nich kilka błyskotek – kulek szklanych, owoców szklanych kolorowych z ozdobami, parę pajączków... Ale dość i tego, by cieszyć nasze dziewczynki, które piękniejszych i obfitszych choinek nie pamiętają. Nie ma żadnych cukierków i smaczności, żadnych łakoci ani zabawek. Za to są ponawieszane laleczki, ładnie powycinane i ubrane w sukienki z pomarszczonego papieru, porobione w przeszłym roku przez pannę Michalinę i teraz przez Tonię, są różne inne improwizowane ozdóbki, jest gwiazda duża u góry, aniołki papierowe, kilka jabłuszek naturalnych, są wreszcie świeczki kolorowe, które udało mi się nabyć w Abelach w sklepie Tupalskiego. Słowem – choinka jest ładna i radość córeczek naszych wielka. Niewiele im trzeba. Jeżeli czego nie ma, to braku tego one nie czują, bo nie widziały nigdy i nie znają tego, co bywało, a czego teraz nie ma.

Na kucję ryby nie mamy. Lapienis, rybak z Boniuszek, był nam przyrzekł ryby, ale widocznie jej nie dostał, bo nie przywiózł. Jadzia skomponowała kucję bez ryby i nakarmiła nią zarówno nas, jak rodzinę naszych uchodźców rosyjskich. U wielkiego stołu okrągłego w pokoju jadalnym zasiedliśmy my w sześć osób – my z Jadzią, córeczki nasze – Kotunia i Iga, i dwie służące domowe – Tonia Adamonytė i Valia Kozłowska; w kuchni zaś u stołu kuchennego zasiadła rodzina uchodźców Fiodora Stułowa, złożona wraz z dziećmi z siedmiu osób. Mieliśmy na kucję opłatki naturalne, którymiśmy się podzielili, składając sobie życzenia nawzajem, winegret z fasolek, kartofli, buraczków i kapusty kwaszonej z octem jabłecznym, barszcz z buraków czerwonych na grzybach z pierożkami nadziewanymi farszem z grzybów, groch i pszenicę gotowane, śliżyki z doskonałym mlekiem makowym, kisielek żurawinowy. Najedliśmy się znakomicie. Po kucji zapaliliśmy w pokoju dziecinnym choinkę, na którą zaprosiliśmy też uchodźców Stułowych z ich dziećmi. Skromne i ciche mamy teraz święta, samotne bez gości żadnych, ale przynajmniej we własnej rodzinie; słodycz to wielka. Dwie kucje ostatnie – w roku 1941 i 1942 – byłem oderwany od rodziny, w roku 1941 całkowicie (spożyłem kucję u Elizki Komorowskiej), w roku 1942 z Jadzią, ale bez dziatek (w Wilnie u Redów Römerów).

25 grudnia, rok 1943, sobota

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy cicho w domu. Na pasterkę do kościoła nie jeździliśmy, choć sanna się zrobiła doskonała. Jadzia nie może jechać z powodu swej ciąży, ja – nie miałem się z kim wybrać. Dzieci nasze miały wesołą zabawę, bo większą część dnia spędziła u nas z nimi ich cioteczna siostrzyczka, 10-letnia Birutė Čepaitė, córka Janka, która też zanocowała u nas. Odwiedził nas Andrzej Mieczkowski, który przyjechał na dwa dni z Wilna do domu. Przyjechał po raz pierwszy po swoim wyjściu z więzienia na Łukiszkach, w którym przesiedział coś koło miesiąca. W Wilnie ma on posadę rewizora sklepów handlu rządowego „Li-Mi-Pa”. Ze względu na tę posadę nie może dowolnie z Wilna wyjeżdżać i po uwolnieniu z więzienia dotąd przyjechać nie mógł. Jak zawsze – był bardzo miły i serdeczny dla nas. Pod tym względem wyróżnia się on z rodziny Mieczkowskich, zwłaszcza ze swego rodzeństwa, które jest nam niechętne. Opowiadał nam o swoim uwięzieniu i przeżyciach na Łukiszkach, do których trafił zresztą przypadkowo, przyszedłszy w jakimś interesie prywatnym i niewinnym do mieszkania, w którym była zasadzka „gestapo”. Aresztowano go wraz ze wszystkimi, którzy w ciągu trzech dni do mieszkania tego zachodzili. Posądzano go i tych innych o należenie do jakiejś konspiracji, trzymano w więzieniu

kilka tygodni, badano, wreszcie nic podejrzanego w stosunku do niego nie stwierdzono i wypuszczono. Głodno mu tam było, zwłaszcza z początku, dopóki nie zorganizowano dostarczania mu paczek z żywnością, zimno też i ciasno. Obchodzenie się z więźniami – brutalne. No ale to już minęło. Zresztą Andrzej czuje się dobrze, rad ze swej pracy i z życia w Wilnie. Lepsze mu to, niż kwaszenie się bezczynne na wsi w domu wśród zatargów rodzinnych.

26 grudnia, rok 1943, niedziela

Rano jeździłem saneczkami Gulbią z obydwiema córeczkami – Kotuńką i Igą – na spacer. Jechaliśmy przez Gaj do zaścianka Jadzi do Čepasów, stamtąd na gościniec w Gunduryszkach i gościńcem do Prapultini i do domu. Sanna bardzo dobra, śnieg niegłęboki, powietrze łagodne, lekki mrozik. Spacer – miły.

Przyjeżdżał do nas i był na obiedzie Feliks Mackus, który przyjechał z Wilna do domu do Narkun na święta. Opowiadał trochę o Wilnie, ale nic szczególnego. Mackus, jak to już sam obserwowałem i jak wciąż słyszę od innych, coraz bardziej pije w Wilnie. Z torów pracy naukowej, do której był zresztą mało wdrożony, bo się już poprzednio lenił i zaniedbywał, zupełnie się wykoleił, a adwokaturą, do której się zapisał, mało się trudni, bo nie jest w tym biegły i nie chce pracować, a funkcje „adwokata”, zwłaszcza u młodych niewprawnych adeptów tego zawodu, są teraz w ogóle lada jakie i tandetne, polegające na jakichś doraźnych zabiegach i gdzieś tam załatwianiu czegoś po łebkach, tak że nie ma ani dyscypliny zawodowej, ani powagi i stateczności zawodu, jeno złapanie doraźne klienta i wyduszenie od niego jakiegoś datku za rzekomą „usługę” nic nie wartą. W tych warunkach adwokat robi się jakimś tylko geszefciarzem bez żadnej wartości społecznej tego zawodu. Wykoleja to młodych „adwokatów” bardzo. Mackus staje się coraz bardziej pijakiem i wykolejeńcem. Szkoda, bo był zdolny. Ale nie ma charakteru.

Wieczorem w była choinka szkole bohdaniskiej dla dzieci szkolnych, po czym młodzież okoliczna, która się z tej okazji tam zebrała, urządziła sobie po wyjściu dzieci zabawę taneczną. Na choinkę szkolną byłem z rodziną zaproszony, ale nie poszedłem. Naszych zaś dziatek Jadzia na tę choinkę prowadzić nie chciała, bo się obawiała, że się jakąś chorobą zarażą. Dużo bowiem chorób grasuje wśród dzieci.

Widziałem dziś młodego Alfreda Kligysa, który jest klerykiem na I kursie seminarium duchownego w Kownie. Dawno on się na księdza sposobić gotował i bardzo pragnęli tego jego rodzice. Za czasów sowieckich jednak odpadła mu była ta ochota, bo wtedy było to z góry źle widziane. Potem się wahał, ale tej jesieni zdecydował się. Teraz w ogóle zwiększył się bardzo pęd młodzieży do stanu kapłańskiego. Seminaria duchowne są przepełnione. Jest to znamię czasu. Wzrost religijności dziwnie się splata ze wzrostem pijaństwa i rozprzężeniem obyczajów. Są to jakieś dwa bieguny, które się rozwijają równolegle. Młody Kligys jest chłopcem wielkiego temperamentu. Będzie z niego albo kiepski ksiądz, o ile nie ucieknie, albo też bardzo gorliwy i gorący kapłan, który może wysoko postąpić w hierarchii kościelnej.

27 grudnia, rok 1943, poniedziałek

Zwołane było dziś przez seniunasa zebranie seniunii (ogólne zgromadzenie) w szkole bohdaniskiej. Zebrania takie są od czasu do czasu zwoływane, kiedy chodzi o ogłoszenie ludności jakichś zarządzeń, dotyczących przeważnie różnych ciężarów rekwizycyjnych lub pracy albo w omówienia jakichś szczegółów wykonania tychże. Nic szczególnego zresztą na zebraniu dzisiejszym nie było. Seniunas referował żądanie zawarte w papierach otrzymanych z gminy – o szybszym opłaceniu podatku pogłównego i asekuracji, o terminach dla uiszczenia świadczeń rekwizycyjnych, o przynaglaniu do wyrąbania przymusowego przez każdego gospodarza 5 festmetrów drew w lasach rządowych itd. Wszystkie te żądania i ciężary, nakładane przez Niemców, są kierowane do ludności nie bezpośrednio przez czynniki niemieckie, jeno przez urząd naczelnika powiatu, stamtąd przez gminy i wreszcie przez seniunasa. Te instancje pośredniczące stanowią sławetny „samorząd” („savivalda”), do którego organów należy czuwanie nad

wykonaniem żądań, sama technika tegoż i odpowiedzialność za wykonanie. Czekaliśmy, czy nie będzie jakichś zarządzeń, dotyczących uchodźców ze wschodu, ich pracy, ich utrzymania itp. Nic jednak w tym względzie dotąd nie ma. Jak uchodźców zalokowano, tak oni dotąd siedzą. Jedni pracują u tych, którzy ich lokują i za to mają utrzymanie, inni – zwłaszcza rzemieślnicy albo tacy, którzy są zamożniejsi i przywieźli ze sobą zboże albo czasem i krowę, a nawet konie – sami się utrzymują, żyją na własną rękę i korzystają tylko z mieszkania w miejscu ich zalokowania. Zwłaszcza są oni oporni rozdzielaniu rodziny między kilku zaściankami. Rodziny ich bywają wielkie, a że poszczególne zaścianki nie są w stanie przyjąć i zalokować większej ilości ludzi, więc nieraz rodziny uchodźców bywały na razie rozdzielane i lokowane częściami w pobliskich zaściankach. Ale prawie zawsze łączą się oni w całość rodziny, znajdują gdzieś mieszkanie i zaczynają żyć na własną rękę. Wielu z nich woli to, niż pracę za utrzymanie. Liczą, że żyjąc na własną rękę utrzymają się nie gorzej z zarobków z doraźnego wynajmowania się do pracy okolicznościowej, niż z pracy stałej. Ta rodzina, co jest u nas, pracuje dobrze, ale kto zaręczy, czy nie przyjdzie nagle chwila, kiedy i oni za przykładem innych odmówią się od pracy za utrzymanie i zechcą zadowolić się mieszkaniem u nas, zarabiając sobie na własną rękę.

28 grudnia, rok 1943, wtorek

Jeździłem dziś saneczkami do Gaju – sanna dobra; odwilż lekka, śniegu niedużo i miękki, a pod nim wyślizgana ziemia, pokryta warstewką lodu. W Gaju wyznaczyłem do wycięcia krawcowi Kozłowskiemu cztery jodły i dwie osiny na deski jako należność za służbę jego córki Wali u nas i za uszycie kożuszka Jadzi. Obejrzałem też z leśnikiem Sadowskim chrust, wycięty przez ludzi z Knisy za pracę podzienną latem. Jadzia z matką i z Igą jeździła do Spieczun do siostry Stefci Boreišisowej, skąd wróciła przed zmrokiem.

Jest nowina dosyć ciekawa z kroniki miejscowej. W pobliżu wsi Bobryszek, dawnej wioski krewieńskiej, położonej na półwyspie na jeziorze Sarty, otoczonym z trzech stron wielkimi ramionami tego jeziora, a z czwartej – błotami, które się ciągną między ujściem rzeczki Audry i ujściem ruczaju Birżupisa i oddzielają wieś Ostrów od Łasz, jest lasek w kierunku na Gigieliszki, położone na tym samym półwyspie. Bobryszki są zaludnione przez starowierów, których tam, jak i w szeregu innych wiosek sąsiednich, osiedlali niegdyś – przed laty 100 – niestety, Römerowie, ówcześni dziedzice Krewien (pradziad Michał Römer i jego synowie – mój dziad Michał i Seweryn). Miejscowi Moskale starowierzy są, jak wiadomo, prawie powszechnie bez wyjątku usposobieni prosowiecko i komunistycznie, bodajże nie tyle dla motywów społeczno-ideowych komunistycznych, ile po prostu dlatego, że Sowiety są dla nich Rosją, do której tęsknią. Gdyby komunizm był niemiecki albo jakiś inny, nie byliby komunistami. Jak wilka ciągnie do lasu, tak ich ciągnie do Sowietów jako do Rosji. Są oni wrogami Litwy, w której żyją i nic ich nie obchodzą litewskie aspiracje niepodległościowe. Dopiero w Litwie sowieckiej, wcielonej do Rosji, czują się u siebie. Oczywiście też nienawidzą Niemców. W ich środowisku nie tylko się utrzymują sympatie platoniczne sowieckie, ale także kiełkują wszelkie zarodki propagandy komunistycznej, dywersji prosowieckiej i partyzantki komunistycznych band leśnych. Otóż w tym lasku pod Bobryszkami, stanowiącymi ośrodek i „stolicę” starowierów z okolic krewieńskich (w Bobryszkach jest też ich dom modlitwy i *sui generis* parafia z ich popem), dzieci, idące przez lasek do szkoły, spostrzegły jakieś wykopane kryjówki podziemne. Dzieci opowiedziały o tym spostrzeżeniu rodzicom i wieść się stopniowo rozniosła. Dowiedziała się o tym policja w Jużyntach, Bobryszki bowiem należą do gminy jużynckiej – położone na jej kresach. Dwóch policjantów z Jużynt zostało wysłanych do zbadania tego faktu (zarzucają naczelnikowi punktu policji w Jużyntach, że nie wysłał większego oddziału policji). Policjanci zastali w lasku pewnego starowiera z Bobryszek, człowieka biednego, bezrolnego, mającego tylko chatkę na cudzej ziemi. Starowier ten, jak się teraz domyślają, stał w lasku zapewne na warcie. Policjanci zaprowadzili starowiera do miejsca, gdzie były te okopy i kazali mu wleźć do środka i obejrzeć, co tam jest. Starowier wlazł do okopów i niebawem z wnętrza rozległy się wystrzały. Zaczęto ostrzeliwać policjantów z dwóch karabinów maszynowych.

Policjanci, choć zbrojni, nie mogli się z tą załogą, uzbrojoną w karabiny maszynowe, mierzyć i zaczęli się cofać. Cofających się policjantów ostrzeliwano z lasku, aż dopóki dotarli do wsi Gigieliszek. Zresztą policjanci nie zostali ranieni. Wrócili oni do Jużynt, a tymczasem goście leśni z okopów, zabierając zapewne broń ze sobą, przeprawili się łódką czy łódkami przez jezioro w kierunku rządowej Puszczy Dusiackiej. Z Jużynt przysłano wtedy większy oddział policji, zasilony, zdaje się, siłą zbrojną z Rakiszek. Ale okopy w lasku znaleziono już puste. Okopy były dobrze urządzone, wzmocnione deskami, przystosowane do mieszkania w nich. W jednym z okopów znaleziono duży skład proklamacji bolszewickich. Dalszy ciąg dopowiem jutro.

29 grudnia, rok 1943, środa

Jeździłem do Abel za interesami, wracałem na Pokrewnie, żeby prosić Augaitisa o zmlecie zboża na mąkę dla świń. Nie mieliśmy dotąd namłóconego owsa i jęczmienia, więc nie mogliśmy zemleć zawczasu większej ilości, a teraz trzeba pośpieszyć, bo do Nowego Roku skończy się pozwolenie na mlecie, które mamy i które dotąd nie jest wykorzystane. O nowe pozwolenie będzie po Nowym Roku na razie trudno, bo żeby je otrzymać, trzeba wywieźć duże ilości (do 70%) normy rekwizycyjnej zboża, my zaś dotąd prawie nic nie wywieźliśmy i dopiero po Nowym Roku wywozić zaczniemy, ale i wtedy nie tylko że wszystkiego wywieźć nie zdołamy, ale i tak wysokich odsetków nie wywieziemy, a niektórych zbóż lub płodów wcale do wywiezienia na rekwizycję nie mamy (groch, kartofle...). Tymczasem w młynach tyle nawieziono zboża do mliwa, że się potworzyły kolejki olbrzymie. Wszyscy śpieszą przed Nowym Rokiem wykorzystać pozwolenia, których termin upływa. Bo bez pozwoleń trudniej o zmlecie (młyny są odpowiedzialne za mlecie w ramach pozwoleń i zdarzają się w tym względzie rewizje po młynach; gdy jest pozwolenie, to młyny często mielą ponad ilość, wskazaną w pozwoleniu albo nie notują w pozwoleniu o zmleniu, ale na wszelki wypadek podczas mlecia trzeba mieć pozwolenie przy sobie, żeby w razie rewizji wykazać się nim). Toteż napływ ludzi ze zbożem do młynów jest w tych dniach wprost szalony. W Pokrewniu kolejka rozciągała się od młyna aż do gościńca. Dziesiątki, jeżeli nie dobra setka wozów, naładowanych worami ze zbożem, zajmowały kolejkę. W tych warunkach Izydor Kulys, który wczoraj rano był przywiózł moje zboże do młyna, złożył je na przechowanie u znajomego człowieka w pobliżu i sam wrócił, uprzedzając, że tylko moja interwencja osobista u Augaitisa mogłaby coś wskórać, aby zmleto moje zboże. Zastałem dziś tylko p. Augaitisową. Wolę ją prosić, niż męża. Jest ona łatwiejsza dla mnie, zwłaszcza gdy ją pocałuję w rękę, na co jest bardzo wrażliwa. Gdy inni za przywilej zmlecia, zwłaszcza poza kolejką albo nawet w kolejce, poza zwykłą zapłatą przywożą Augaitisom różne prezenty – ptactwo, wódkę, słoninę, masło, wełnę, albo odrabiają pracę w gospodarstwie pokrewieńskim, z mojej strony wystarcza po pierwsze mój tytuł profesura, moje imię głośne w Litwie, moje stanowisko społeczne „pana", a ponad to wszystko i poza tym uhonorowanie p. Augaitisowej przez ucałowanie jej w rękę. Poskutkowało to i tym razem. Przyrzekła mi zemleć poza kolejką, bylebym dziś wieczór przysłał robotnika, który moje zboże do młyna wniesie. Nie jest to też rzecz łatwa, bo ludzie, którzy stoją w kolejce i czekają czasem po kilka dni i nocy, tracąc czas, marznąc i znosząc niewygodę noclegu w jakiejś szopie, gniewają się na tych, których się bez kolejki wpuszcza i czasem z kijami w ręku usiłują odeprzeć śmiałka, złorzecząc i wymyślając. P. Augaitisowa ma na to sposób – ma służącą zuchwałą, którą w takim razie posyła i która, wymyślając sama tym, co usiłują przeszkodzić faworytyzmowi, przeprowadza do młyna bez kolejki tych, którym Augaitisowie świadczą usługę faworów.

30 grudnia, rok 1943, czwartek

Dokończę o epizodzie wykrycia okopów partyzanckich komunistycznych w lasku pod Bobryszkami na jeziorze Sartach. Policjanci po pierwszej i nieudanej wycieczce dla obejrzenia tych okopów, kiedy to zostali z ich wnętrza ostrzelani z karabinów maszynowych i zmuszeni do ucieczki, za drugim razem zastali je już puste. Załoga z nich się ulotniła, przeczuwając nawrót policji. Przeprawiła się przez jezioro do Puszczy Dusiackiej. W jednym z okopów znaleziono tylko

obfity skład literatury propagandowej ulotnej komunistycznej. Policjanci udali się wtedy do chaty tego starowiera, którego za pierwszym razem zastali w lasku i kazali mu wleźć do okopów, skąd zaraz potem rozległy się strzały. Starowiera tego ani jego żony w jego chacie nie zastali, ale rewizja w chacie tej wykryła dużo mięsa solonego, porąbanego na porcje, widocznie przeznaczonego dla załogi okopów. Starowiera tego policjanci zdołali jednak gdzieś poza jego domem pochwycić i zaprowadzili aresztowanego do Jużynt do aresztu, gdzie wszakże w nocy się powiesił. Oto jest cały wypadek. Wskazuje on na to, że starowierzy miejscowi nie rezygnują ze swej akcji dywersyjnej sowieckiej. Nie wpłynęły na nich mitygująco ani represje w Milunach, spalenie odwetowe kilku wsi starowierskich przez Niemców, ani masowe chwytanie ich i wywożenie na roboty do Niemiec. Jeżeli nie wszyscy starowierzy z Babryszek i okolicy brali czynny udział w tym zainstalowaniu bandy w lasku, to jednak i ci, co nie brali, musieli o tym wiedzieć i pokrywali to przychylnym milczeniem. Wszelkie akty dywersyjne natury komunistyczno-sowieckiej, jak również nasadzanie gniazd band leśnych miewają miejsce li tylko tam, gdzie w pobliżu są skupienia starowierów. Gdzie starowierów nie ma – tam takich wypadków nie ma. Nastawianie prosowieckie starowierów jest zupełnie wyraźne i jednolite. Jeżeli się nie doczekają Sowietów, to mogą się doczekać ostrej reakcji przeciwko sobie. Ale wskazuje to też, że są wciąż ponawiane systematycznie próby rozszerzenia akcji band leśnych na Litwę. Dotąd terenem tych band były terytoria okupowane rosyjskie i Białoruś. Litwa, zwłaszcza tam, gdzie jest jednolita ludność litewska, była oporna na akcję tych band. Ale oto zaczyna się to rozszerzać na Litwę, a przewodnikami tego rozpełzania się są starowierzy Moskale miejscowi. Jeżeli zaś Niemcy zechcą wyłapywać i wywozić do Niemiec uchodźców z Rosji, których u nas w dużych ilościach nasadzili, to z tych uchodźców może się utworzyć nowy zasiłek dla kompletowania band leśnych. I możemy się wtedy doczekać tej plagi, od której dotąd nasza wieś litewska wolna była.

31 grudnia, rok 1943, piątek

W chwili, gdy to piszę, pozostaje jeszcze 6 godzin roku 1943. Wieczór sylwestrowy już nastał. Na niebie malutki rąbek młodego księżyca. Pogoda; we dnie było słońce, które już nam w roku 1943 się nie ukaże. Zapada w przeszłość rok, którego początek witaliśmy z nadzieją zakończenia w nim wojny. Nadzieja ta się nie sprawdziła. Były wprawdzie w tym roku chwile, kiedy się zdawało, że wojna się przesila, że wypadki zmierzają już do jej końca. W istocie jednak w tym dniu ostatnim roku nie widać nic wyraźnego i kategorycznego na rzecz rychłego końca wojny, której rok piąty od tej jesieni się rozpoczął. Straszliwy kataklizm tej wojny, który zwłaszcza naszą Europę ogarnia i który niewątpliwie przekroczył już wszelkie wzory wojen poprzednich, kataklizm, wobec którego blednie stare widmo wojny z lat 1914-1918, która nam się wydawała wtedy szczytem orgii wojennej i którą nazwaliśmy „Wielką Wojną", trwa i szaleje w całej pełni. Jeżeli tamta była „Wielką", to jakże nazwiemy tę?! Ten rok 1943, wraz z poprzednim rokiem 1942, to rok wojny i ciągłego niepokoju dla nas o to, czego się doczekamy. Z tym samym zresztą uczuciem rozpoczniemy jutro nowy rok 1944.

1 stycznia, rok 1944, sobota

Co życzyć na rok, który się dziś rozpoczyna?

Przede wszystkim sobie i rodzinie mojej życzę szczęśliwego rozwiązania ciąży Jadzi, spodziewanego na marzec. Nie śmiem życzyć, choćbym tego pragnął, żeby się urodził syn – Michał V w naszej linii Römerów, która się tymczasem w pokoleniu męskim na mnie, jako czwartym Michale, zamyka. Dotąd mi jakoś pan Bóg synów nie daje. Pogodziłem się z tym, że syna już mieć nie będę, ale gdyby miał być, to chciałbym go. Zresztą córkę będę równie kochać. Dwie córeczki, które mam – Kotunia i Iga – są przecie radością mego życia i największą pociechą tych czasów bolesnych. Wojna, która szaleje i której dalsze perypetie są jeszcze niewiadome i kryją w sobie ewentualność najcięższych możliwości dla nas, nie jest porą właściwą do powiększenia rodziny. Jeżeli co nas może jeszcze spotkać strasznego, to im więcej będzie dzieci i im mniejsze będą, tym

może być ciężej. Nie tak jest trudno urodzić dziecko, jak je wychować. Ale fakt stał się i trzeba go przyjąć dobrym sercem. Nasze trzecie maleństwo, które jest jeszcze w łonie Jadzi, przychodzi na świat bezbronne w straszliwą burzę społeczną. Trzeba mieć nadzieję, że Pan Bóg, który dopuścił mu zaistnieć, zgotuje mu los, nad którym czuwać będzie. Życzę dalej sobie, rodzinie mojej i krajowi, abyśmy ten rok przeżyli w kraju przynajmniej tak, jak żyjemy obecnie, aby fala wojny bezpośredniej nie dotarła do kraju naszego, nie zamieniła go w pustynię, nie wygnała zeń jego ludności rdzennej wraz z nami, nie oddała go na pastwę eksperymentów i żądz dzikich a okrutnych. Życzę dalej ludzkości całej, Europie i naszej społeczności krajowej upragnionego zakończenia wojny i dobrego pokoju, ale tylko dobrego, bo gdyby pokój miał być zły, to niech raczej trwa wojna. Bo dopóki jest wojna, dopóty wszystko jest płynne i możemy mieć nadzieję na coś lepszego, a gdyby nastał zły pokój, to zło byłoby stabilizowane, przynajmniej na czas dłuższy.

Dziś w dzień Nowego Roku pojechałem do Krewien do kościoła. Jechałem z parobkiem Izydorem Kulysem i jego żoną. Jechaliśmy przez Pakienie wprost. Sanna była niezła. Byłem w kościele na mszy i wysiedziałem wszystkie nabożeństwa aż do nieszporów włącznie, po czym byłem w plebanii na herbacie u proboszcza. Za powrotem, już o zmroku, zrobiła się na dworze zawieja. Mróz niewielki, wiatr zachodni, ale silny. Śnieg trochę prószy z góry i zawiewa z dołu.

Przed 10 laty, w roku 1934, będąc ciężko chory na wodną puchlinę, byłem bliski śmierci. Gudowicz uratował mi życie. Wyzdrowiałem i oto przeżyłem już odtąd lat 10. Stworzyłem sobie rodzinę, ale doczekałem się tej strasznej wojny, która postawiła los mój i rodziny na kartę hazardu wypadków. A może nie tylko los nasz osobisty, ale także los kraju.

2 stycznia, rok 1944, niedziela

Cichutko spędziliśmy z Jadzią i dziećmi dzień w domu. Wypuściłem naszego uchodźcę Fiodora z teściową Jewdokią odwiedzić rodzinę siostry tej ostatniej, zainstalowaną w Daczunach. Dałem im Gulbię do tej wycieczki; niech się biedacy nacieszą. Pracują oni u nas bardzo rzetelnie i są chętni do pracy bez zarzutu – niech więc mają i rozrywkę pewną. Uczucia rodzinne są u nich bardzo rozwinięte i w ogóle to są ludzie wielkiej wartości moralnej. Nasi miejscowi Moskale starowierzy ani się umyli do nich.

Uczyłem, jak zawsze, Kotuńkę. Mam teraz do jej nauki doskonały elementarz litewski „Aušrelė“ Zaborskasa, o który wystarała się dla mnie nauczycielka bohdaniska Bagdonaitė. Drukowane wielkie litery Kotuńka zna już wszystkie dobrze od dawna. Ładnie też je pisać umie i nimi wciąż po trochę listy pisze – do p. Michaliny Kaszczukówny, do Heli Römer-Ochenkowskiej, do Elizki Komorowskiej, do swego ojca chrzestnego Julka Komorowskiego... Ale naturalnie sama z nich słów układać jeszcze nie umie, a dla ułożenia słów ja jej litery podsuwam, ona zaś je przepisuje. Mam do tego cały alfabet liter, wypisanych ładnie przez Stefana Römera na małych tabliczkach drewnianych. Teraz zaczęliśmy z Kotuńką trudniejszą dla niej naukę czytania, poznając razem małe litery drukowane i po trochę też litery pisane. Nauka czytania, to znaczy układania sylab i słów z liter, trudniej jej idzie, niż poznanie samych liter i pisanie tychże. Ale pewien postęp i w tym już jest. Kotuńka ma doskonałą zwłaszcza pamięć i ma, zdaje się, zdolność do rysunku, a przeto i do mechaniki pisania. Chętna też jest do wszelkiej nauki, a więc nawet do trudniejszego i bardziej ją męczącego czytania, ale gdy coś jest dla niej trudne, to prędko się jeszcze męczy i zaczyna być roztargnioną. Wtedy się rusza cała, kręci się, przestaje skupiać uwagę; długiej lekcji nie znosi jeszcze.

W ogóle nasza Kotuńka jest kochane dziecko. Ma fantazję i jest marzycielką. Ma raczej skłonność do samotności, nie jest tak ekspansywna i pełna gwałtownego wybuchowego temperamentu jak Iga, ale lubi zastanawiać się, zamykać się w myślach swoich, kontemplować, marzyć. Pełna też jest lekkiego ruchu, skoczna, biegnie zawsze tylko w podskokach i jakichś krokach niezwykłych, ma cały swój światek dziwactw i jakichś pomysłów szczególnych. A serdeczna i przytulna dla nas, nade wszystko zaś dla matki, umie być bardzo.

3 stycznia, rok 1944, poniedziałek

Pojechaliśmy z Jadzią (rzadki to teraz ewenement, bo Jadzi w jej stanie trudno się ruszać) w towarzystwie Kotuńki – do Abel. Wielka odwilż, śniegu w nocy dosypało, doskonała sanna. Ale przez jezioro się jeszcze nie jeździ – lód słaby, bo mrozów większych dotąd nie było. Jechaliśmy Gulbią, powoził za furmana nasz uchodźca Fiodor. Główne cele podróży były dwa: w Abelach w kooperatywie nabycie dla naszych dzieci dwóch pareczek obuwia, na które udzielono nam pozwolenia (to właśnie spowodowało jazdę Jadzi, która chciała sama wybrać to obuwie, ale pod tym względem wybraliśmy się nadaremnie, bo kooperatywa z niewiadomych powodów i wbrew ogłoszeniu, wywieszonemu na drzwiach, okazała się zamknięta – chyba dlatego, że urzędnicy kooperatywy po dwóch dniach świąt potrzebowali trzeciego dnia na wypoczynek i odzyskanie przytomności: w obecnych czasach święta – to pijaństwo, a każdy urzędnik, im drobniejszy, tym więcej choruje na pana i mając w ręku klucz od skarbów, jakimi są towary, nie liczy się z tłumem klientów, dla których są utrapienia zdobywania pozwoleń i wystawania w kolejkach), drugim zaś celem podróży było odebranie ze stacji kolejowej bagażu, który Red Römer z Wilna na moje imię przysłał na naszą prośbę i który zawierał: a. łóżeczko żelazne białe Kotuni i b. wózek dziecinny. Rzeczy te – łóżeczko i wózek dziecinny – były zostawione przez nas wraz z meblami naszymi w Wilnie i były używane przez Redów dla ich dzieci. Teraz perspektywa trzeciego dziecka u nas kazała nam przypomnieć o wózku, a przy okazji poprosiliśmy i o łóżeczko. Po odwiezienie tego bagażu pojechał też parobek Izydor Kulis furmanką, którą przy tej okazji zawiózł do rekwizycji 6 cetnarów żyta na rzecz normy naszej.

Z poczty w Abelach otrzymałem cały stos listów z ofertami na ekonomów na skutek ogłoszenia, które dałem w dzienniku „Ateitis" w Kownie. Już od kilku dni te listy z ofertami otrzymuję. Zebrało się ich już kilkanaście. Większość – nic nie warte, ale jest kilka poważniejszych. Najpoważniejsze wrażenie sprawia oferta niejakiego Gradeckiego z Kalwarii Suwalskiej, do którego już odpisałem, nawiązując z nim rokowania. Znalezienie ekonoma nie jest teraz rzeczą łatwą, jak nie łatwym też jest ustalenie wynagrodzenia. Pieniądze są mało warte i na opłacenie pensji trzeba by wielkich sum, które nie wiadomo skąd wziąć i które skądinąd mało dają ekonomowi, ordynaria zaś w zbożu jest dla dworu uciążliwa, bo zboża i bez tego jest za mało na uiszczenie normy rekwizycyjnej.

4 stycznia, rok 1944, wtorek

Lekki mróz. Byłem w Gaju. Umówiłem Fiodora do piłowania i rąbania drew na nasz użytek i na zapas do drwalni z drzewa, które się przez parobków wyrąbuje dla nas na drwa w Gaju i zwozi na trzaśnik. Fiodor będzie to robił wolnym czasem, który mu zostaje poza czynnościami szeryka. Będę mu za to płacił po 7 RM od metra. Fiodor bardzo się z tego cieszy, bo potrzebuje pieniędzy na różne drobne potrzeby swoje i rodziny. Pieniędzy nie ma i dla nich zdobycia chciał już sprzedawać jakieś chustki i szale z zapasów swoich. On, jego żona Żenia i teściowa Jewdokia (Dunia) pracują u nas bardzo rzetelnie li tylko za utrzymanie całej ich rodziny z siedmiu osób. Bylibyśmy ich najęli na ordynarię albo jakoś inaczej, bo siłę roboczą przedstawiają dla nas bardzo wartościową i są w pracy szczerzy, ale nie mamy pewności, czy ich Niemcy nie zabiorą.

Przyjeżdżał dziś z Krewien niejaki Kowalewski, młody chłopiec 30-letni, najmować się na ekonoma. Trochę omówiliśmy z nim warunki, ale jeszcze nie decydujemy się kończyć. Wrażenie robi średnie – nie najgorsze, ale i nie najlepsze. Trzeba się jeszcze o nim dowiedzieć, ewentualnie rozejrzeć się jeszcze w innych ofertach. Mam wrażenie, że ten Kowalewski jest ze znanej w Krewnach rodziny komunistycznej Kowalewskich.

5 stycznia, rok 1944, środa

Jadzia jeździła dziś do Abel. Przywiozła jedną parę ślicznych przedwojennych bucików dla Kotuńki, którą dostała w kooperatywie za pozwoleniem. Teraz to tak jak wygranie losu na loterii.

Pod wieczór wykąpałem się doskonale w wannie, którą pożyczyliśmy od Elwiry. Kąpiel była mi już bardzo potrzebna, bo dostałem pewnego rodzaju drobnej egzemy na plecach, piersiach, górnym brzuchu i ramionach. Mocno mię rohożą natarła i namydliła Jadzia. Kąpiel odbyła się w pokoju dziecinnym przed zapalonym kominkiem.

Nie tylko z wieści pantoflowych, ale i z niemieckich komunikatów wojennych i z opisów w gazetach, podawanych oficjalnie, słyszymy wciąż o wielkich terrorystycznych bombardowaniach miast zachodnioniemieckich i samego Berlina z samolotów angielskich. Bombardowania są niezwykle silne. Z niektórych miast niemieckich, jak w szczególności np. Hamburg, bodajże także Kolonia i wiele innych, pozostały tylko szczątki. Ciekawe, co pod tym względem głosili sami Anglicy przed wojną, ci sami Anglicy, którzy teraz dokonywują tych nalotów na Niemcy z wyraźnym celem zastraszenia i demoralizowania ludności cywilnej niemieckiej, aby złamać jej opór i skłonić ją do wymuszenia na swym rządzie kapitulacji. Oto mam pod ręką zeszyt czasopisma „Revue Internationale Française du Droit des Gens" z czerwca-września roku 1938 (zeszyt nr 12 tomu VI), w którym na stronie 104-105 są cytowane ustępy z deklaracji ówczesnego premiera angielskiego Chamberlaina w Izbie Gmin o potrzebie kodyfikacji przepisów wojny powietrznej. Oto co w tej deklaracji w d. 21 czerwca r. 1938 oświadczał uroczyście i kategorycznie premier angielski:

„*Le gouvernement britannique se livre à un examen attentif de la situation afin de tenter de formuler un plan pratique qui puisse être soumis aux autres pays, et accepté ou modifié par eux. Nous n'avons encore rien préparé qui soit complet et qui apporta à certaines difficultés des solutions suffisamment pratiques. Du moins, trois règles du droit international s'appliquent à la guerre aérienne comme à la guerre maritime ou terrestre: en premier lieu, il est contraire au droit des gens de bombarder des civils en tant que tels, de se livrer à des attaques systématiques contre la population civile; en second lieu, les cibles visées par les avions doivent être des objectifs militaires légitimes et doivent pouvoir être identifiés; enfin, ceux qui attaquent ces objectifs militaires doivent prendre soin autant que possible de ne pas bombarder accidentellement la population civile des environs. Voilà trois règles générales que nous pouvons tous accepter…*

Je désire l'affirmer, dès maintenant, nous ne saurions condamner trop sévèrement une déclaration, quel que soit l'auteur, selon laquelle il conviendrait de chercher à gagner une guerre au moyen d'efforts systématiques pour démoraliser la population civile par des bombardements aériens. Cela est absolument contraire au droit des gens. J'ajouterai mon opinion personnelle: une politique de ce genre est fondée sur une erreur. Je ne crois pas, en effet, que des attaques systématiques contre la population civile puissent jamais aider leurs auteurs à remporter la victoire"[3].

---

[3] „Rząd brytyjski oddaje się wnikliwemu badaniu sytuacji, usiłując sformułować praktyczny plan, który mógłby być przedłożony innym krajom oraz przez nie zaakceptowany lub zmodyfikowany. Nie przygotowaliśmy jeszcze niczego, co by było kompletne i dawało wobec pewnych trudności zadowalające rozwiązania praktyczne. Niemniej, są trzy reguły prawa międzynarodowego do zastosowania w wojnie powietrznej, jak w wojnie morskiej czy lądowej: po pierwsze, jest przeciwne prawom człowieka bombardowanie cywilów jako takich, podejmowanie systematycznych ataków na ludność cywilną; po drugie, cele namierzone przez samoloty powinny być zasadniczo celami militarnymi, możliwymi do zidentyfikowania; wreszcie, ci, którzy atakują te cele militarne powinni się starać w miarę możliwości unikać bombardowania okolicznej ludności cywilnej. Oto trzy główne reguły, które wszyscy możemy zaakceptować…
Pragnę stanowczo podkreślić, od tej chwili, nie będzie tak, że zbyt surowemu potępieniu podlegać będzie deklaracja, kimkolwiek będzie jej autor, podług której będzie on dążył do wygrania wojny poprzez systematyczne próby demoralizowania

Krótką miewają pamięć nie tylko indywidualnie ludzie, ale i narody. To, co w roku 1938 potępiał uroczyście premier angielski jako kategorycznie przeciwne prawu narodów, to w latach 1942-1944 Anglicy sami stosują systematycznie i na wielką skalę do swoich przeciwników.

6 stycznia, rok 1944, czwartek

Trzy Króle. Kiedyś w dzieciństwie naszym piekły się nam w tym dniu specjalne bułeczki, w których do ciasta wkładała się jedna rodzynka i jeden migdał. Następnie bułka czy bułeczki dzieliły się między dziećmi. Któremu z dzieci trafiła się w bułce rodzynka, ten był „królem", a któremu trafił się migdał, ten – „królową" czy też odwrotnie. I na tym tle toczyła się następnie zabawa dzieci. Zrobiliśmy coś podobnego i teraz. Tylko że teraz w czasie wojny nie ma ani rodzynek, ani migdałów i nasze córeczki tych rzeczy nie znają wcale. Rodzynkę i migdał zastąpiło jabłuszko rajskie z konfitury i łyżeczka powideł z brusznic. Nie ma też walcowanej białej mąki pszennej na smaczne delikatne bułeczki. Zastąpiły je placki podsuszone w formie sucharków słodkich z razowej mąki pszennej. Do konkursu stanęliśmy prócz Kotuńki i Igi także my z Jadzią. „Królem" los mianował Jadzię, „królową" – Kotuńkę. Wielkiej zabawy z tego wszakże nie było. W naszym bowiem dzieciństwie nas było dzieci rodzeństwa sześcioro, a u nas w tej chwili – dwoje. Bawią się one co prawda znakomicie po swojemu, ale do większych zabaw zbiorowych, jak u nas kiedyś, jest naszych dziatek za mało.

Bywały też później na Trzy Króle różne widowiska zabawne: młodzież wiejska przebierała się za króli, niesiono też gwiazdę betlejemską, towarzyszył orszak w maskach; zachodzono do domów, śpiewano, improwizowano figle. Bywało tak i w miastach, i na wsi. Obdarowywano tych wędrownych figlarzy, którzy swoją sztukę wywodzili z naiwnych reprodukcji scen biblijnych jako rodzaj teatrzyku ludowego na tle religijnym. Dziś tego nie ma. Może gdzieś po zaściankach coś jeszcze z tych szopek dawnych pozostało, może jeszcze włóczą się w przebraniu podlotki, ale do dworów już nie zaglądają. Przynajmniej my ich nie widzimy. Była dziś w dniu trzech króli w sąsiedztwie w zaścianku Balysa Malčiusa wieczorynka (vakaruška), ale taka sobie zwyczajna, jak wszędzie i zawsze teraz, na której tłoczy się tłum ludzi z całej okolicy, trochę śpiewają, trochę tańczą, bardzo dużo pijanych, czasem dochodzi do bójki, czasem i okna wytłuką, ścisk, dużo rubasznego wesela, ale charakteru i kolorytu stylowej zabawy ludowej mało.

7 stycznia, rok 1944, piątek

Wczoraj wieczorem banda rabusiów, podszywających się pod „partyzantów" komunistycznych, znów weszła zaścianek Diržysa w Bohdaniszkach tuż przy dworze naszym. Jest to drugi wypadek rabunku w naszej seniunii – obydwa razy na Diržysa. Tylko że pierwszym razem bandyci kazali tylko sobie podać zjeść i zabrali ze sobą wychodząc coś z zapasów żywności – mięsa, słoniny, masła... Wtedy bandyci rozmawiali po litewsku. Tym razem mówili po rosyjsku. I wtedy, i teraz przyszli uzbrojeni. Ilu ich było – Diržys nie wie. Dwóch weszło do izby i pilnowało rodzinę Diržysa, inni krzątali się w komorze, zabierając rzeczy. Zabrali bardzo dużo ubrania gotowego i materiału na ubranie, bielizny, chustek, szalów, ubrania kobiecego, obuwie, wojłoków, wełny i 700 marek pieniędzmi. Zaprzęgli też konie Diržysa, naładowali na furmankę naładowane rzeczy i odjechali, mówiąc, ze konie z wozem Diržys będzie mógł odebrać nazajutrz w policji rakiskiej. Koń wszakże z pustą furmanką sam wrócił nazajutrz, to znaczy dziś, przed południem, podobno od strony Rugiel. Bardzo prawdopodobne, że to byli ci sami bandyci albo z tej samej bandy czy szajki, co poprzednio, bo o tym poprzednim napadzie wiedzieli dobrze. Kiedy Diržys narzekał przed nimi, że go już drugi raz nachodzą i że zawsze rabują tylko jego, bandyci mu

ludności cywilnej drogą bombardowania lotniczego. To jest absolutnie przeciwne prawom człowieka. Dodam swą opinię osobistą: taka polityka oparta jest na błędzie. Nie wierzę przeto, że systematyczne ataki na ludność cywilną mogłyby kiedykolwiek pomóc ich wykonawcom w odniesieniu zwycięstwa".

odpowiedzieli, ze przecież poprzednio żadnych rzeczy nie brano poza jedzeniem. Oświadczyli też, że nic złego osobiście Diržysowi i członkom jego rodziny nie zrobią, a że brali jedzenie i biorą rzeczy i ubranie, to są zmuszeni do tego, bo przecież, mieszkając w lesie, znoszą głód i chłód, podczas gdy Diržys, silny gospodarz na ziemi, da sobie radę. Zresztą – dodali – jak wrócą „czerwoni", to znaczy Sowiety, to Diržysowi będzie zapłacone za wszystko, co od niego teraz zabierają. Uprzedzali, żeby Diržys nie donosił policji, bo inaczej będzie spalony. Bandyci byli bez masek, ale mieli twarze zasmarowane. *Vox populi* twierdzi, że to jest robota szumowin bandyckich miejscowych, podszywających się pod akcję komunistyczno-sowiecką i rekrutujących się z miejscowych Moskali starowierów, dobrze obeznanych z warunkami miejscowymi i wiedzących, kogo można najść i u kogo dobrze się pożywić. Diržys – to bogaty gospodarz i bardzo zasobny dom. Bandyci interesowali się też radiem Diržysa, pytali, co powiada radio sowieckie o triumfach Armii Czerwonej, mieli też chętkę zabrać aparat radiowy, ale gdy się dowiedzieli, że radio Diržysa już od dłuższego czasu jest nieczynne, dali spokój. Zaraz po odjeździe bandytów Diržys pobiegł do niezbyt odległego zaścianka Balysa Malčiusa, gdzie właśnie miała miejsce wieczorynka, na której był także syn Diržysa Witold. Opowiedział o zajściu. Słuchano go ciekawie, bo to sensacja, ale choć bandyci byli jeszcze niedaleko odjechali, nikt z gości na wieczorynce nie odważył się puścić w pogoń za bandytami, którzy byli uzbrojeni, bo się ich lękano. Nie domyślił się też nikt pośpieszyć do Pokrewnia do Augaitisa, skąd można zatelefonować do policji w Abelach. Kto więc są rabusie i dokąd skierowane zostały zrabowane rzeczy – nie wiadomo.

8 stycznia, rok 1944, sobota

Odbyłem dziś *sui generis* „podróż naokoło świata" – oczywiście świata tylko bohdaniskiego. Objechałem po rozmaitych zaściankach wielką okolicę dokoła Bohdaniszek, załatwiając całe mnóstwo drobnych interesów, które się nazbierały. Powietrze było przyjemne – niewielki mrozik bez wiatru, blade słońce styczniowe, droga lekka, sanna na ogół dobra wśród niegłębokiego śniegu, z rzadka tylko miejscami w jakichś głębszych dolinkach, wklęsłościach powierzchni lub między krzakami albo koło zabudowań zawiana. Towarzyszył mi i powoził uchodźca Fiodor. Jechaliśmy Gulbią. Marszruta była taka: ze dworu do kowala bohdaniskiego Błażewicza, stamtąd do zaścianka Władysława Šeškusa, stamtąd dróżką przez lasek Kizie do Rukiel za ruczaj Beržupis do wielkiego gościńca rakiskiego, za którym do zaścianka wdowy Lukašiunienė, od niej przez Kurklecie, Staczeragi, Prapultinię i Wiwieliszki do zaścianka Sadowskiego w Wiwieliszkach na granicy Rudel, stamtąd do zaścianka Balysa Čepasa w Janówce, stamtąd znów gościńcem na Prapultinię, Karwieliszki, Gaj, Dunduryszki, Busiszki do Pokrewnia do Augaitisów, z Pokrewnia z powrotem na Busiszki, Dunduryszki i Gaj do Čepasów w zaścianku Jadzi i wreszcie do domu. Najważniejsze interesy, które miałem do załatwienia, to: pożyczenie od Šeškusa fuchtla, zagajenie ewentualnego najęcia dziewczyn Lukašunówien do służby, zamówienia tzw. jauji, to znaczy maszyny do lnu, wreszcie zamówienie młyna do zmlecia mąki i krup. Lubię taki spacer po okolicy.

9 stycznia, rok 1944, niedziela

Miałem jechać do Krewien, ale wstrzymała mię wielka zawieja śnieżna. Nie pojechałem i nie wychodziłem prawie wcale z domu. Zajęty jestem korespondowaniem z kandydatami, którzy mi nadesłali oferty na zajęcie stanowiska ekonoma u mnie. Spośród kilkunastu – do dwudziestu – ofert, które otrzymałem, najpoważniejsze wrażenie zrobiło pięć ofert. Jedna oferta, niejakiego Gradeckiego z Kalwarii Suwalskiej; ten kandydat zdaje się mieć poważną praktykę fachową i znać się nie tylko na rolnictwie, ale także na ogrodnictwie, co dla nas jest bardzo ważne; powołał się na dwóch agronomów, których zapytałem listownie o opinię o nim. Druga oferta, która się wydaje niezła – niejakiego Čeišysa ze Švenčionėlów; jest praktyka, niezły cenzus naukowy, mądrze zredagowany list. Trzecia oferta – niejakiego Niewidomskiego z pobliskiego Poniemuńka (Panemunėlis); jest niezła praktyka; dobre to, że kandydat jest blisko, można się więc z nim ewentualnie skomunikować osobiście i odnieść wrażenie bezpośrednie oraz coś się o nim na

miejscu dowiedzieć. Czwarta oferta, która nas zainteresowała, pochodzi od niejakiego Leinarta ze Żmudzi; człowiek lat koło 50, służył po dworach w Kraju Kłajpedzkim, dłuższy czas w administracji wielkich dóbr hrabiego Chriseula na Żmudzi, umie po litewsku i po niemiecku, w poprzedniej Wielkiej Wojnie był zmobilizowany do wojska niemieckiego i raniony na froncie francuskim pod Soissons; z tych szczegółów przypomina nam trochę naszego starego ekonoma sprzed wojny Pumpola, który pozostawił po sobie najlepszą pamięć u nas jako człowiek i jako ekonom. Wreszcie piąta oferta – to niejakiego Kowalewskiego z Krewien, który był zgłosił się do mnie osobiście i który sprawił wrażenie niezłe. Na którego z nich się zdecydujemy – nie wiem jeszcze. Będzie to zależało od rezultatów skomunikowania się z nimi.

Zaczynam się trochę obawiać, czy łatwo się nam uda znaleźć dwóch parobków, których musimy jeszcze nająć na miejsce Novikasa i Szerszniowa. Dotąd żaden kandydat na parobka się nie zgłosił. Co do dziewcząt do najęcia – to kontakty na rzecz najęcia tychże już się rozpoczęły. Na razie pierwszymi kandydatkami są Emilka Staszkiewiczówna i Ancia Kulytė.

10 stycznia, rok 1944, poniedziałek

Jeździłem dziś do Krewien. Droga miejscami zawiana, czasem kopka, ale na ogół niezła. Mrozu 6 stopni, ale bez wiatru. Słonecznie. Jechać przyjemnie. Mój uchodźca Fiodor był wezwany na świadka do policjanta w Krewnach, prowadzącego dochodzenie w sporze o konia między dwoma uchodźcami. Kobiety Fiodora były wystraszone tym wezwaniem do policji, choć chodziło tylko o świadczenie; instynktem ludzi wiejskich, przywykłych do rządów autokratycznych tak w Sowietach, jak czasu wojny i okupacji, i uważających za najwyższą mądrość siedzieć cicho na uboczu i unikać wszelkiego kontaktu z władzami, boją się one wszystkiego, co tchnie policją, sądem, dochodzeniem itd. Sam Fiodor był nieco odważniejszy, ale także niezupełnie wolny od tego uczucia niepokoju. Pojechałem z nim, żeby mu dodać odwagi i byłem za tłumacza przy badaniu Fiodora jako świadka. Byłem potem na herbacie u proboszcza naszego, który awansował na wicedziekana dekanatu kościelnego rakiskiego. U proboszcza zasięgałem informacji o Kowalewskim z Krewien, zgłaszającym się do mnie za ekonoma. Jego osobiście ksiądz nie zna, bo kilka lat był poza domem, ale o rodzinie jego udzielił mi jak najlepszych informacji. Nie jest to bynajmniej rodzina komunistyczna, jak sądziłem.

Wciąż napływają z poczty oferty na stanowisko ekonoma. Nie sądziłem, że tylu kandydatów się znajdzie.

11 stycznia, rok 1944, wtorek

Pracuję po trochę, z przerwami zresztą, nad dokończeniem mojej pracy naukowej o państwie unitarnym i związkach państwowych (federacja, konfederacja, imperium). Praca ta już od paru lat jest wciąż „wykańczana" i jeszcze nie wykończona. Zdaje się, że do wykończenia pozostają mi już tylko dwa szczegóły: jeden – o perspektywach ewentualnej federacji narodowej na terenie krajów bałtyckich i drugi o specjalnej formie protektoratu, jakim jest utworzony w roku 1939 przez Hitlera „protektorat Czech i Moraw" na gruzach szczątków Czechosłowacji. Jednocześnie też przepisuję w dwóch egzemplarzach na maszynce (każdy egzemplarz przepisuję osobno, bo kalki nie mam) rękopis tej pracy, a także w jednym egzemplarzu rękopis innej, dawniej już wykończonej, ale nie wydanej pracy, stanowiącej tom I dzieła o formach państwa i ustrojach konstytucyjnych. Praca ta (tom I) zawiera dział o istocie form państwa i ustrojów (régimów) konstytucyjnych oraz dział poświęcony analizie szczegółowej reżimu konstytucyjnego tzw. prezydialnego w Stanach Zjednoczonych. W tym tempie, w jakim mi idzie to przepisywanie tych rękopisów na maszynce, będzie ono zakończone chyba za dwa lata. Odbite na maszynce rękopisy złożę w jednym egzemplarzu w bibliotece uniwersyteckiej w dziale rękopisów, ewentualnie zaś drugi egzemplarz złożę u któregoś z asystentów moich lub u kogoś innego z bliskich mi naukowo ludzi (może u Armalisa albo u Potockiego).

12 stycznia, rok 1944, środa

Śliczny słoneczny zimowy dzień. Mróz nieduży. Parobcy pracowali w lesie – Novikas z Wańką rąbali drzewa na opał, Izydor Kulys zwoził drzewo z lasu do domu. Fiodor z żoną Żenią piłowali drzewo na drwa w drwalni. Wybrałem się w saneczkach Gulbią do Gaju, gdzie wyznaczyłem drzewo do wycięcia na drwa dla uchodźcy Maksimowa za robotę przy młóceniu, potem byłem w zaścianku u Čepasów, stamtąd znów zajechałem do domu, zabrałem „Bubę” i pojechałem z nią przez Gaj do Knisy dla angażowania dziewczyn do służby. Byliśmy u wdowy Kazimierzowej Putvienė, której córka się najmuje na służbę i jest chwalona. Dziewczyny tej nie zastaliśmy, tylko z jej matką pomówiliśmy i ewentualnie ma się ona sama zgłosić do dworu, jeżeli się będzie decydowała angażować do nas. Wynajem dziewczyn do służby – to teraz trudny problem, zwłaszcza wobec żądania ubrania i obuwia, o które bardzo trudno.

Pięknie jest w lesie, przyprószonym śniegiem i oświetlonym słońcem. Poezja głęboka, gdyby się można było tym tylko cieszyć bez żadnych kłopotów gospodarskich i bez ciężkich myśli o wojnie i niewyraźnych jej konsekwencjach politycznych.

13 stycznia, rok 1944, czwartek

Mniej więcej od listopada było pewne zacisze w pogłoskach alarmujących o wojnie i zwłaszcza o zbliżaniu się frontu wschodniego. O ile poprzednio przy cofaniu się Niemców z linii Donu i Dońca na linię Dniepru i nieco za nią byliśmy zalewani pogłoskami alarmującymi, zapowiadającymi już bardzo prędkie zalanie nas przez Sowiety, o tyle w ciągu grudnia alarmy te jakoś ucichły. Przestano straszyć natychmiastową inwazją Sowietów i zapowiadać nieodzowną rychłą katastrofę Niemców. Nawet w Wilnie, które jest królestwem pogłosek i alarmów, było cicho. Dały się nawet słyszeć głosy wręcz przeciwne – np. że wojna potrwa „jeszcze 10 lat” itp. Bo też i na froncie wschodnim była pewna stabilizacja. Utrzymywała się mniej więcej linia Żytomierza-Rzeczycy-Żłobina-Witebska w środkowym odcinku frontu z zagłębieniami na wschód w odcinkach południowym i północnym frontu. Ciągle wszakże inicjatywa pozostawała w ręku Sowietów i nacisk sowiecki nie ustawał – walki wciąż trwały uporczywe i ciężkie. Ale oto w ostatnich czasach stabilizacja frontu jakby została zachwiana, zwłaszcza w okolicach Żytomierza, w których ofensywa sowiecka poczyniła postępy i zajęła Żytomierz. Bardzo wielki też jest nacisk ofensywy sowieckiej na Witebsk. I znowu się zaczęły szerzyć pogłoski alarmujące, straszące rychłym dotarciem do nas inwazji sowieckiej albo ewentualnie ewakuację ludności cywilnej z naszego kraju, jak to miało miejsce na terenach okupowanych Rosji. Ale dokąd by nas można ewakuować? Chyba nie do Niemiec? Ale czyżby „do Danii”, jak to raz mówiono w tych pogłoskach?

Samo lokalne przerwanie frontu tu lub tam nie byłoby tak poważne, gdyby nie to, że jakoś Niemcy zupełnie nie są w stanie odzyskać inicjatywy.

14 stycznia, rok 1944, piątek

W gazecie kowieńskiej „Ateitis”, którą dziś otrzymałem z poczty, podana jest ze Sztokholmu wiadomość o śmierci byłego prezydenta Rzeczypospolitej Litewskiej śp. Antoniego Smetony w Stanach Zjednoczonych Ameryki, w których przebywał on od lat trzech. Jest tylko krótka wzmianka o tym, zaopatrzona tym jednym szczegółem, że Smetona umarł „po pożarze”, który miał miejsce w jego mieszkaniu. Więcej żadnych o tym szczegółów. Tym razem wiadomość ta jest zapewne ścisła. O śmierci Antoniego Smetony krążyły pogłoski jeszcze w roku 1942, ale wtedy okazały się one nieprawdziwe. Smetona miał lat koło 70. W jesieni roku 1934 była obchodzona w Litwie uroczyście 60-letnia rocznica jego urodzin. Z Antonim Smetoną schodzi ze sceny życia jedna z najcharakterystyczniejszych postaci Litwy Niepodległej. Wiadomość o śmierci Smetony była już przed kilku dniami nadana przez radio kowieńskie.

15 stycznia, rok 1944, sobota

Pojechaliśmy z Jadzią i Kotuńką do Rakiszek. Celem jazdy było poradzenie się Jadzi co do jej ciąży z dr Žemaitisem. Dr Žemaitis, najstarszy z lekarzy rakiskich i dyrektor szpitala rakiskiego, jest dobrym lekarzem i chwalonym ginekologiem. Stary kawaler, dosyć kapryśny, abnegat, lubiący wypić, bywa w stosunkach z pacjentami niecierpliwy i brutalny, a kliniką kieruje nie tyle on, ile legendarna Barbara, prawa ręka i bodajże stara kochanka Žemaitisa, skąpa, chciwa na łapówki i dary, rządząca się w szpitalu jak szara gęś, dziś już gruba stara baba. Ale kiedy Žemaitis chce, umie być bardzo staranny, a doświadczenie i praktykę ma dużą. Dla moich sióstr – Elizki Komorowskiej i śp. Maryni Römerowej-Budkiewiczowej – był zawsze bardzo dobry i staranny. Jadzia wzdraga się przed odbyciem połogu w szpitalu rakiskim, który jest bardzo zaniedbany, brudny i w którym ani chorzy, ani dzieci noworodki nie mają dobrego dozoru. Jadzia woli odbyć połóg w domu, gdzie miałaby większą wygodę. Ale chodzi o dozór lekarski, który bądź co bądź w szpitalu jest zapewniony, podczas gdy w domu dozór lekarski podczas i po połogu oraz w razie jakichś komplikacji zależy od sprowadzenia w porę z Abel akuszerki lub doktora. Obecnie mieć akuszerkę na stałe na cały czas oczekiwania połogu i po nim, jak to robiono dawniej po dworach, nie można, bo wszystkie akuszerki mają posady i nie mogą całego swego czasu na kilka dni albo na całe tygodnie oddać jednej pacjentce. W Abelach jest akuszerka dobra, ale obsługuje całą gminę. Gdyby czasem akuszerka nie była w domu, gdy się po nią pośle, to można sprowadzić doktora. Wprawdzie doktorek abelski (Kozłowski) jest młody i mało doświadczony, ale na ogół jest staranny i bądź co bądź cokolwiek się zna. Cała rzecz ta, żeby w potrzebie w porę zdążyć akuszerkę lub doktora sprowadzić. Dr Žemaitis po obejrzeniu Jadzi stwierdził, że ciąża jest zupełnie normalna, pozycja płodu jest dobra, dziecko zdaje się być wielkie. Žemaitis radził Jadzi odbyć połóg w domu i do szpitala nie jechać. Wyliczył, że połóg prawdopodobnie nastąpi koło 19 marca. Žemaitis obejrzał też Kotuńkę, która od tygodnia ma wolność, raz zemdlała i w ogóle bardzo osłabła i źle wygląda, a z kiszki odchodowej wyszło mnóstwo drobnych robaków. Przepisał santoninę i enemę z czosnkiem.

Byliśmy potem z wizytą u pp. Kubiliusów, u których też mieszka ojciec p. Kubiliusowej, lekarki w Rakiszkach, stary emeryt Maciej Čepas, mój kolega z Trybunału Najwyższego Litwy z lat 1923-1928. Przyjęli nas herbatą. Wróciliśmy na wieczór do domu.

16 stycznia, rok 1944, niedziela

Był u nas na obiedzie Hektor Komorowski.

Wczoraj w Rakiszkach u Kubiliusów, a poniekąd dziś od Hektora nasłuchałem się nowinek. W szczególności o śmierci Antoniego Smetony, choć dokładnych szczegółów nikt jeszcze nie wie, to jednak w kołach narodowych litewskich panuje przekonanie, że został on zgładzony przez jakichś agentów politycznych, zapewne komunistycznych, dla których niedogodny był ten szczątkowy prezydent, do którego osoby i tytułu nawiązana jest niepodległość Litwy. Dopóki on bowiem żył, dopóty ta niepodległość ma jeszcze jakieś wcielenie osobiste, jakiś żywy symbol jej szefa legalnego. Skądinąd w jego archiwum osobistym mogły być jakieś dokumenty, kompromitujące Sowiety, mógł też on pisać jakieś memuary, niepożądane dla Sowietów, mógł im w stosunku do ich dążeń aneksyjnych na Litwę bruździć. Z tego, co było krótko ogłoszone, że Smetona umarł po pożarze w jego mieszkaniu, są wysnuwane domysły, że mieszkanie Smetony było umyślnie podpalone i że on sam zginął wskutek tego pożaru. Twierdzą, że śmierć Antoniego Smetony, jak poprzednio śmierć popularnego naczelnika rządu emigracyjnego polskiego Sikorskiego po zaistnieniu zatargu polsko-sowieckiego o granice wschodnie Polski, to były dzieło rąk sowieckich, czyli w istocie morderstwo polityczne, spreparowane w tej lub innej pozornej inscenizacji. Jest to możliwe i nawet prawdopodobne, choć jeszcze nie wyjaśnione.

Są wieści, że na skrzydle południowym środkowego odcinku frontu wschodniego – gdzieś od Żytomierza i Berdyczowa – wojska sowieckie wdarły się głęboko naprzód i są już na terytorium Polski, to znaczy w granicach Polski z roku 1939, gdzieś nad górnym Bugiem. Podobno Sarny i Równo są zajęte przez Sowiety. Podczas gdy linia Rzeszyn-Witebsk trzyma się, a odcinek południowy frontu ku dolnemu Dnieprowi, jak również odcinek północny na Leningrad są mocno

wgłębione na wschód, - to klin ukraiński inwazji sowieckiej, skierowany na Lwów, a może i na Warszawę i Berlin, mocno się wysunął naprzód. Linia frontu stała się bardzo załamana i mogłaby być niebezpieczna nie tylko dla Niemców, ale i dla Sowietów, gdyby nie to, że Sowiety wciąż trzymają mocno inicjatywę działań wojennych na wschodzie.

17 stycznia, rok 1944, poniedziałek

Są jakieś pogłoski, które w bałamutnej wersji lokalnej podają, jakoby miejsce generała Kubiliunasa miał w Kownie zająć generał Raštikis. Jeżeli sama esencja tej pogłoski jest prawdziwa, to w zrektyfikowaniu tego, co w jej wersji prowincjonalnej jest bałamutne, należałoby rozumieć, że jest to początek rządu narodowego i tworzenie armii narodowej. Nigdy bowiem Raštikis nie zgodziłby się „*purement et simplement*”, bez żadnej innej zmiany samych podstaw politycznych organizacji kraju, zająć miejsce Kubiliunasa, to znaczy zostać po prostu taką samą marionetką z tytułem „pierwszego radcy generalnego”, jaką był Kubiliunas. Raštikis w Kownie, jak skądinąd Škirpa w Berlinie, przedstawia pewien program polityczny, pewne żądanie minimum organizacji państwowej kraju, zorientowanej kategorycznie do odbudowy państwowości Litwy. Dopiero w tych warunkach kategorycznych Raštikis gotów jest podjąć się roli politycznej naczelnej, z którą byłoby związane także tworzenie siły zbrojnej litewskiej. Macanie gruntu na rzecz tych nowych ewentualnych rozwiązań, pewne układy i rozmowy z czynnikami niemieckimi na ten temat toczyły się i toczą już od dawna; od czasu do czasu się wznawiają i ożywiają, to znów zamierają. Dotąd wszystko się jednak rozbijało o opór Niemców, o ich niedecydowanie się na wyraźne w tym duchu ustępstwa. Gdyby chodziło tylko o zmianę personalną na stanowisku pierwszego radcy generalnego, żeby zamiast Kubilinasa był Raštikis, to wtedy dawno by rzecz była rozstrzygnięta; ale wtedy Raštikis straciłby ten autorytet, który ma w narodzie jego imię i jego pogram, i zmiana taka, li tylko personalna, nie miałaby żadnej wagi. Raštikis tego z pewnością nie zrobi, bo zlikwidowałby sam siebie. Czy już Niemcy, pod wpływem postępów ofensywy sowieckiej, w usposobieniach swoich dojrzały do tego, żeby iść na poważne ustępstwa polityczne w stosunku do programu państwowego litewskiego – tego nie wiem. Ale gdyby prawdą było, że Raštikis staje u steru, to by znaczyło, ze Niemcy już zmiękły i że nastaje już punkt zwrotny, choć jeszcze może w zakresie tylko pewnego minimum. Oby nie za późno. A w takim razie wysunięcie się Raštikisa byłoby zapowiedzią rychłej mobilizacji. Tak się to wszystko z daleka wydaje, a jak tam jest w rzeczywistości, to nam z daleka trudno wiedzieć w szczegółach.

18 stycznia, rok 1944, wtorek

Zima w tym roku niezwykle ciepła. Jak dotąd – świadczy o niej tylko śnieg i sanna, ale nie mrozy. Mrozów prawie że nie było. Ziemia bardzo mało zmarzła pod śniegiem, lód na jeziorach słaby – nie jeżdżą dotąd po jeziorach. Mrozy bywały tylko bardzo niewielkie, po kilka stopni; zdaje się, że ani razu mróz nie doszedł do 10 stopni. Co kilka dni – odwilż. I dziś oto odwilż właśnie. Pod tym względem ta łagodna zima jest przyjemna. Mogą być wprawdzie jeszcze większe mrozy, ale bądź co bądź jesteśmy już w drugiej połowie stycznia, a od lutego zacznie się już druga połowa zimy, która będzie zmierzała ku schyłkowi, a więc ku wiośnie.

Dzień dzisiejszy upłynął pod znakiem werbowania służby. Od Konstantego Kulysa dowiedziałem się, że Janulis, który w roku 1942 był parobkiem u Mieczkowskich, a obecnie jest w Opejkiszkach u Lisieckich, jest gotów nająć się do mnie. Wziąłbym go; jest cichy, ma córkę dorosłą, która odbyłaby dni kobiece, ma też chłopców na pastuszków. Na trzeciego parobka zgłaszał się do mnie Pupieluk z Prapultini, szwagier Izydora Kulysa, ale tylko na połowę dni w tygodniu. Ewentualnie drugim na połowę dni mógłby być Tumeniuk, syn wdowy Franciszkowej, do którego dziś jeździłem; nie zastałem go, ale ma przyjść się umawiać. Wolałbym jednego stałego na dworskim stole, niż dwóch na pół dni. Zajeżdżałem do Jana Tumėnasa, czy by ewentualnie nie zaangażował się jego syn 20-letni. Nie zastałem ich, prosiłem, żeby ewentualnie przyszedł się porozumieć. Ale Jadzia mi poradziła dowiedzieć się, czy nie poszedłby służyć jeden z synów Jana

Malčiusa „Tepiklisa". Jego dzieci są robotnicy I klasy, pracowici i dzielni jak rzadko. Sądziłem, że nic z tego nie będzie, ale zajechałem do ich zaścianka za Gajem. I dobrze mi Jadzia poradziła, bo jeden z synów Jana Malčiusa – starszy Józef – ma iść służyć. Chętnie poszedłby do nas, bo to blisko od domu; cała kwestia w tym, że chciałby dostać ubranie, a we dworach o ubranie dla najemników trudno. Jutro ma on przyjść do nas pomówić. Uradziliśmy z Jadzią, że za takiego robotnika warto się postarać o materiał na kostium dla niego. Jeżeli jego pozyszczemy – to już będzie wielki plus. Źle natomiast jest ze służbą żeńską. Tonia Adamonisówna w tych dniach odchodzi, Wala jeszcze ma parę miesięcy do końca roku, ale z niej słaba służąca i kucharka, niańki nie ma i niepodobna dostać, dziewczyny do najęcia, na które liczyliśmy, wszystkie się wymknęły. Nie zgłosiła się ani Lukašiunaitė z Rukiel, ani Putrytė z Knisy, do których się zwracałem i które obiecywały się zgłosić, a trzy inne, na które ewentualnie liczyliśmy – Ańcia Kulytė z Bohdaniszek, Širvytė z Busiszek i Emilka Staszkiewiczówna – nie idą.

19 stycznia, rok 1944, środa

Przychodził dziś Józef Malčius, syn Jana Tepiklisa, umawiać się. Nie skończyliśmy jeszcze. Co do szczegółów wynagrodzenia, chce się jeszcze z ojcem poradzić i ma przyjść zakończyć umowę jutro. Ale mam wrażenie, że się umówimy, bo ma on ochotę iść do nas, a co do warunków – to w zasadzie i z grubsza się ułożyliśmy: materiał na kostium, 14 jodeł na belki lub deski, parę cetnarów zboża, kilka skórek owczych... Chłopiec przeszło 20-letni, rosły i barczysty jak dąb, robotnik pierwszorzędny. Mając cały taki ekwipunek robotników – nie bardzo potrzebowalibyśmy ekonoma. Mógłby ekonoma zastąpić Izydor Kulys po dodaniu mu ordynarii. Z kandydatów na ekonomów, z którymi nawiązałem listownie rokowania, dwóch już odpada, mianowicie Gradecki z Kalwarii Suwalskiej i Niewidomski z Poniemuńka, bo Hektor obu ich zna i zarekomendował ich nam jako hultajów i (Niewidomski) złodzieja. Właściwie – kandydat najpoważniejszy pozostał jeden – stary Leinartas ze Żmudzi, jeżeli dobrą rekomendację o nim da ksiądz Spudas. Brak nam jeszcze drugiego ordynariusza. Słychać, że nająłby się Janulis. Gdybyśmy go najęli, to służba męska byłaby ukompletowana i dałaby to nam też dwie kobiety do robót polowych i pastuszków do bydła na lato. Gorzej się rzecz przedstawia z dziewczynami. Co prawda, Józef Malčius powiada, że poszłaby zapewne służyć jedna z sióstr jego, starsza Emilka, doskonała robotnica i silna jak wół, albo młodsza Genia. Gdybyśmy jedną z nich pozyskali, to byłaby wielka rzecz. Jadzia próbuje jeszcze namawiać Tonię Adamonisównę, żeby została przy kuchni. Jest zręczna. Łącznie z uchodźcami Moskalami, których mamy, wystarczyłoby to nam prawie. Cała rzecz, że nie możemy być pewni, czy pewnego pięknego dnia nam tych Moskali nie odbiorą. Fiodor Stułow i jego kobiety – żona Żenia i teściowa Jewdokia – są bardzo użyteczni, pracowici i mili i stanowią trzy dobre siły robocze. Dotąd pracują oni u nas li tylko za całkowite utrzymanie ich rodziny. Są bardzo zadowoleni z utrzymania i z tego, że mają osobny pokój. Za piłowanie i rąbanie drew extra dopłacam mu po 7 RM. od metra. O ile trudno będzie nająć dziewczynę Litwinkę, to ewentualnie gotów byłbym nająć jedną z kobiet uchodźcy Maksimowa, mieszkającego z rodziną w chacie Murawskiego za lipowym ogrodem; w rodzinie tej są trzy kobiety robotnice. Sam Maksimow jest robotnikiem doskonałym, kobiety też silne. Samego Maksimowa z jedną kobietą angażuje Helcia Mieczkowska, ale Maksimow się jeszcze waha, czy przyjąć stałą robotę, czy żyć na własną rękę i zarabiać przygodną pracą. Ja bym ewentualnie najął jedną jego kobietę.

20 stycznia, rok 1944, czwartek

Umówiłem się już dziś z Józefem Malčiusem, synem Jana zza Gaju. Najął się do mnie za parobka na stole dworskim na cały rok – od 1 marca 1944 do 1 marca 1945. Wynagrodzenie: 14 jodeł, z których połowa (7) – 13-calowych i połowa (7) – 11-calowych, 2 cetnary żyta, 1 cetnar jabłek, 7 ½ arszynów materiału wełnianego na kostium i wyrobionej ziemi na posianie 1 ½ puda lnu. Choć to się uważa dosyć drogo, ale rad jestem z tej umowy, bo w osobie Józefa Malčiusa pozyskuję doskonałego robotnika. Straszą mię tylko tym, że jest on w wieku poborowym i że

wrazie mobilizacji zostanie powołany do wojska. Natomiast kwestia najęcia jego siostry Emilii za dziewczynę do robót polowych jeszcze się jakoś nie układa. Nie chce się ona jeszcze decydować, czy pójdzie na służbę w ogóle, czy nie i do wiosny w każdym razie najmować się nie będzie. Szkoda, bo to też pierwszorzędna robotnica, a o dziewczyny jest bodaj najtrudniej.

Po obiedzie pojechałem z córeczkami i uchodźcą Fiodorem do Abel. Wielka odwilż, w nocy padał deszcz, śnieg topnieje, ale sanna się jeszcze trzyma i jest wcale dobra. Z Abel przywiozłem obfitą pocztę, w tej liczbie jeszcze kilka ofert na posadę ekonoma i dwa egzemplarze kalendarza prawniczego na rok 1944, wydawanego od wielu lat przez Litewskie Towarzystwo Prawnicze („Lietuvos Teisininkų Draugija"). Jeden egzemplarz tego kalendarza przysyła mi z Wilna Kazimierz Szołkowski, drugi egzemplarz przysyła z Kowna samo Towarzystwo Prawnicze, którego jestem członkiem honorowym, za podpisami członków zarządu – prof. Włodzimierza Stankiewicza i Jerzego Byly. Posiadanie tego kalendarza bardzo cenię, bo daje mi on kontakt ze światem prawniczym litewskim, złożonym dziś prawie wyłącznie z moich byłych uczni z Uniwersytetu Kowieńskiego.

Z poczty przyszły też dwa listy z ofertami na posadę niańki do dzieci naszych – to znaczy do naszych dwóch córeczek, 5-letniej Kotuni i 4-letniej Igi, i trzeciego niemowlęcia niewiadomej płci, które ma przyjść na świat w marcu. O poszukiwaniu niani daliśmy ogłoszenie w kowieńskiej gazecie „Ateitis". Jadzia od dawna jest wielce zaniepokojona brakiem niani. Po wyjeździe panny Michaliny i po przyjeździe uchodźców Stułowych czasowo pełniła obowiązki niani Tonia Adomonytė, ale teraz i Tonia kończy rok i odchodzi. Znaleźć tu nianię na miejscu nie ma sposobu. Przyrzeka nam wystarać się dla nas o nianię Elizka Komorowska w Wilnie, ale i tam z tym niełatwo. Tymczasem Jadzia jest coraz słabsza, a pracy i bez tego ma dużo. Ucieszyła się więc Jadzia bardzo z tych dwóch ofert i zaraz odpisała do obydwóch kandydatek. Jedna z tych kandydatek jest młoda dziewczynka 18-letnia; list napisany bardzo ładnym pismem i dobrze ułożony; robi wrażenie, że kandydatka jest inteligentną dziewczyną. Widocznie praktyki w tym zawodzie nie ma, ale ładnie się wypowiada, pisząc, że się spodziewa, iż będzie miała dosyć delikatności („švelnumas") i serca dla dzieci. List robi miłe wrażenie szczerości i pewnej naiwności. Druga kandydatka ma praktykę i świeżo skończyła kursy nauczycielki przedszkola, czyli ogródków dziecinnych. Byłby to więc rodzaj bony. Szuka posady na prowincji, żeby uniknąć rejestracji na rzecz wywiezienia do robót w Niemczech. Obie oferty są z Kowna. Może co z tego będzie.

21 stycznia, rok 1944, piątek

Miałem dziś takie zdarzenie. Po śniadaniu przyjechał najętą furmanką z Rakiszek i zgłosił się do mnie jakiś pan w średnim wieku, tęgi, porządnie ubrany, który się nazwał Vaišnorą, urzędnikiem Zarządu Finansów w Kownie. Z widzenia zdawał mi się bardzo znajomy. Miałem co najmniej jednego, a może i kilku studentów tego nazwiska, z których dobrze pamiętam jednego, który był komisarzem ludowym finansów w Litwie sowieckiej w roku 1940-1941 i po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej uciekł z Sowietami do Moskwy. Ten przyjezdny pan, który się nie powoływał na żadną znajomość osobistą ze mną, a więc zapewne nie był nigdy moim studentem, powiadał, że przyjeżdża z Kowna i zaraz wyjeżdża do Rakiszek na pociąg, którym jedzie dalej – do Szawel, do mnie zaś zajechał w sprawie pewnego listu, który mi doręczył. Otworzyłem list i przeczytałem. Na razie nie bardzo zrozumiałem. List pisany po litewsku, podpisany inicjałami M. A. Nazwiska ani adresu nie podano. Oto tekst dosłowny listu, datowanego 17.I.1944:

„Didžiai Gerbiamas Ponas Profesoriau! Šis laiško padavėjas p. Vaišnora sutiko padaryti man tą paslaugą ir į teikti Tamstai šį laišką, tad prašau Tamstą jį atidžiau išklausyti ir duoti per jį atitinkamą atsakymą.

Rašau Tamstai turėdamas vilties, kad Tamsta suprasite mūsų beviltišką padėtį ir panorėsite mums padėti. Jūsų kilnumas bei geraširdiškumas duoda man pagrindo tikėti, kad Tamsta panorėsite mums padėti mūsų sunkiausioje gyvenimo valandoje. Šio laiško padavėjas per pasimatymą su

Tamsta smulkiai išdėstys mano prašymą ir galimumą mums padėti. Jei panorėsite man ir mano artimiesiems padėti, tai malonėkite duoti atsakymą per šio laiško padavėją. Ilgai galvojau, ar verta Tamstą apsunkinti tokiais prašymais, bet neturėdamas kitokios išeities nutariau vis dėlto parašyti, nes kitur kreiptis negaliu. Dėkoju iš kalno. Tamstą gerbiąs M. A.“[4].

Ustnie p. Vaišnora mię poinformował, że autorem listu jest Żyd, który siedzi w getcie kowieńskim. Sytuacja Żydów, którzy jeszcze dotąd ocaleli (podług słów p. Vaišnory, w Kownie w getcie jest jeszcze 10 000 Żydów, w jesieni zabrano i wywieziono stamtąd – prawdopodobnie na stracenie – 3 000 Żydów, przeważnie starców i dzieci), jest oczywiście straszna. Życie ich wisi ciągle na włosku, zawsze mogą być straceni tak, jak stracone zostały setki tysięcy Żydów w Litwie i innych krajach sąsiednich, a jeżeli front sowiecki by się zbliżył, to już wszyscy pozostali Żydzi w pierwszym rzędzie będą straceni, o ile ich bez tego poprzednio nie wytępią. Jedyna ich nadzieja – to ewentualna ucieczka i ukrycie się gdziekolwiek. Kto jest ten Żyd, autor listu, tego mi jednak dokładnie p. Vaišnora objaśnić nie był w stanie. Mówił tylko, ze jest to adwokat, „szwagier Zakowej”, lat ma koło 40, niskiego wzrostu, pochodzi z Abel, powiada, że znam jego rodzinę dobrze, że kilka razy nawet nocowałem u nich w Abelach. Z Abel miałem tylko dwóch studentów prawników Żydów: Mowszę Zaka, który był potem adwokatem w Birżach, i Jakuba Chajetowicza, który jest w Ameryce. Stary Zak, kupiec bogaty w Abelach, został przez Niemców w roku 1941 zastrzelony po drodze z Abel do Rakiszek. U Zaków w Abelach rzeczywiście kilka razy dawniej zanocowałem, jadąc z Kowna do Bohdaniszek, gdym koni w Abelach nie zastał. Z opisu p. Vaišnory ten autor listu mógłby być adwokatem Zakiem z Birż. Inicjały M. A. nie odpowiadają wprawdzie imieniu i nazwiska Mowszy Zaka, ale mogły być zmyślone dla niepoznaki. Dlaczego jednak Mowsza Zak, jeżeli to jest on, nie podał p. Vaišnorze ustnie swego prawdziwego imienia i nazwiska? Słyszałem w roku 1941, że Mowsza Zak, który był zamknięty w obozie żydowskim w Antonoszu, zdołał stamtąd uciec i ukryć się przed zamordowaniem wszystkich Żydów z tego obozu. Potem słyszałem, że był on w liczbie tych kilku Żydów inteligentów, których w zimie roku 1942 pochwycono w pewnym zaścianku ukrywających się pod lasem rudelskim i których rozstrzelano. Ale może zdołał ocalać dotąd i znalazł się w getcie w Kownie. Może to on, a może kto inny. Przez Vaišnorę zapytuje mię, czy mógłby się ukryć u mnie w Bohdaniszkach i przesiedzieć tu pod jakimś pretekstem. Vaišnora powiada, że ma on wszystkie dokumenty osobiste, maskujące jego żydostwo, że poza tym materialnie jest on zupełnie zabezpieczony, więc ciężarem mi pod tym względem nie będzie. Czytał on w gazecie „Ateitis” moje ogłoszenie o poszukiwaniu ekonoma, więc myśli, że może zamieszkałby u mnie niby ekonom. Pomimo najszczerszego współczucia dla tego nieszczęścia ludzkiego nie mogłem na takie przechowywanie Żyda się zgodzić. Powiedziałem, że gdyby się zgłosił, to oczywiście go w ręce władz i policji nie wydam, mogą go przenocować, nawet parę nocy przechować, ale o stałym przechowaniu i zamieszkaniu nie może być mowy, bo narażałoby to mnie i rodzinę moją na wyzucie z Bohdaniszek, może nawet na rozstrzelanie, na spalenie Bohdaniszek, słowem – na utratę wszystkiego.

---

[4] „Wielce Szanowny Panie Profesorze! Doręczyciel tego listu p. Vaišnora zgodził się wyświadczyć mi tę przysługę i doręczyć Panu ten list, proszę więc Pana o uważne wysłuchanie jego i przekazanie przezeń odpowiedzi.
Piszę do Pana w nadziei, że Pan zrozumie nasze beznadziejne położenie i zechce nam pomóc. Pańska szlachetność i życzliwość pozwalają mi wierzyć, że Pan zechce nam pomóc w najtrudniejszej chwili naszego życia. Doręczyciel tego listu przy spotkaniu z Panem szczegółowo wyłuszczy moją prośbę i możliwość dopomożenia nam. Jeżeli zechce Pan pomóc mnie i mojej rodzinie, uprzejmie proszę o udzielenie odpowiedzi przez doręczyciela tego listu. Długo myślałem, czy warto absorbować Pana takimi prośbami, nie mając jednak innego wyjścia postanowiłem jednak napisać, bo nigdzie indziej zwrócić się nie mogę. Z góry dziękuję. Z szacunkiem M. A.”.

22 stycznia, rok 1944, sobota

Wracam jeszcze do wczorajszej wizyt p. Vaišnory z propozycją przechowania ukrywającego się Żyda. W obecnych czasach jest to rzecz groźna. W oczach Niemców Żyd – to to samo, co wróg, co bomba, co rzecz najgorsza w warunkach wojennych, co dywersant bolszewicki z desantu, co bandyta leśny, co, słowem, może być najbardziej szkodliwego. Ukrywanie i przechowywanie Żyda, bez względu na to, jaki to jest Żyd, choćby był najniewinniejszy, najbardziej potulny i nieszkodliwy, grozi rozstrzelaniem, wyrzuceniem z całą rodziną z domu i z gospodarstwa, wywiezieniem, spaleniem domu i całego dobytku, słowem – wszystkimi możliwymi karami wojennymi. W tych warunkach, ze względu na rodzinę moją, nie mogę się podjąć przechować na stałe Żyda. Kto jest ten Żyd, który mię o to prosi przez p. Vaišnorę, nie wiem na pewno; zdaje się, że młody Zak z Abel, były adwokat w Birżach. Jeżeli to on, to choćby miał wszelkie papiery na imię jakiegoś chrześcijanina w porządku, może tu być w okolicy łatwo przez kogoś rozpoznany, bo rodzina Zaków była znana w Abelach. A zresztą nie wiem nawet, czy to on, czy może ktoś inny, gorszy. Nie znam też tego pośrednika, p. Vaišnorę. Co mogę wiedzieć, kto to jest: może nawet jakiś prowokator, jakiś agent gestapo, który sam zdradzi potem. Wszak były wypadki w Wilnie, że przyjeżdżali i zgłaszali się do osób znanych prowokatorzy z gestapo, udający emisariuszy rządu narodowego polskiego, nawiązywali kontakt z grupami ludzi, obradowali, konferowali, a potem wszystkich, co brali w tym udział, rozstrzeliwano. Taka prowokacja miała miejsce w stosunku do rozstrzelanych adwokata Engla, dr Pelczera i innych. P. Vaišnora zapytywał, czy, o ile sam tego Żyda przechować nie mogę, mogę wskazać kogoś innego w okolicy, który by się tego podjął. Dla tych samych względów nie wskazałem mu nikogo, gdybym nawet wskazać mógł; zresztą wskazać nie potrafiłbym. Trudno przecie narażać innych. Vaišnora mówił, że sam się już zwracał do któregoś z Bagdonasów w Boniuszkach, który też odmówił. Naiwne byłoby sądzić, że ten Żyd mógłby się przechować pod pozorem, że jest niby ekonomem u mnie. „Ekonom”, który nie ma pojęcia o gospodarstwie, zwróciłby przecie zaraz uwagę wszystkich na siebie. Na dłuższą metę nie dałoby się ukryć, że coś w tym jest. Nietrudno też poznać Żyda. W małym odludnym zaścianku może jest łatwiej kogoś przechować, niby swojego znajomego gościa czy krewnego, nie bardzo go pokazując ludziom. We dworze, gdzie różni ludzie się wciąż kręcą, przechowywanie bez zwrócenia uwagi jest niemożliwe. Chyba doraźnie, na bardzo krótko. Inaczej – niepodobieństwo. Ukryć tak, żeby nikt o nim nie wiedział, nie ma sposobu, przechowywanie zaś jawne wywoła zaraz rozmaite domysły i długo się wykonać nie da.

Wczoraj zamieniłem z leśnikiem Sadowskim moją klaczkę roczna Eltę, ładną czarną, córkę Dubisy, na jego konia 9-letniego, silnego, którego on nabył niedawno od Piotra Zybolisa. Dopłaty daję 10 osin z Gaju, zdrowych, 13-calowych. Dla mnie to dobra transakcja. Sadowski był do tego zmuszony, bo przewiduje się mobilizacja koni, na rzecz której konie się rejestrują. Jeżeli zarejestruje on tego konia, to mu go zabiorą. A moje konie są już zarejestrowane i ponieważ klacze i ogiery do mobilizacji się nie biorą, więc u mnie zarejestrowany jest tylko jeden stary Čeverykas, którego oczywiście nie zabiorą. Po zarejestrowaniu mogę śmiało nabyć nowego konia.

23 stycznia, rok 1944, niedziela

Dziś w Kumszach umarł stary Danilewicz, który w ostatnich czasach był ciężko chory na raka żołądka. Skończył swoje ruchliwe i pracowite życie. Synów nie miał, córki dobrze wyposażył folwarkami, które im pokupował, sam zaś na ostatku, przed laty 20, kupił od Elizki Komorowskiej jej spadkowy po Papie piękny folwark Kumsze, mający 50 ha ziemi. Przed rokiem owdowiał i zaraz się ożenił powtórnie z wdową 40-letnią, młodszą od córek jego. Kumsze rozdrapał, zostawiając jedną ich część zięciowi Kinkisowi, drugą – córce Józi, zamężnej bez ślubu za Šimkusem, a trzecią cząstkę – wdowie swojej. Szkoda Kumsz, że się rozdrapały. Więcej szkoda, niż Danilewicza starego, któremu z wieku śmierć już się należała i którego wyzwoliła ona z ciężkich cierpień raka.

24 stycznia, rok 1944, poniedziałek

Jeździłem do wioski Bajorów do Eigminasa po naftę. Droga zła, po kilkudniowej dużej odwilży sanna już ucieka. Jeździłem koniem, którego nabyłem od Józefa Sadowskiego. Nazwałem go Faraonem, bo w tym roku wszystkie zwierzęta domowe nazywam na literę „F" (co roku biorę do tego następną z kolei literę alfabetu; przeszłoroczne były na literę „E" – klaczka Elta, krówki Etna i Erkė, z roku 1942 – na literę „D" – cielica Daina, Dalgė, Dilgė, z roku 1941 – na literę „Č" – ogierek Čižikas, klacz Čigonė, koń Čeverykas). Faraon – dobry mocny koń roboczy, w sile wieku, 9-letni. Bez narowów, niezbyt gorący, sam ten.

Domyślałem się już, że Novikas nie bardzo się kwapi odejść z Bohdaniszek ode mnie. W ciągu paru tygodni niedzielami i przy innych okazjach obleciał szereg dworów rządowych i może niektóre gospodarstwa prywatne, ale widocznie nigdzie się warunków dogodnych nie dopytał. O tym, żeby był u mnie nadal starszym parobkiem, oczywiście i sam mi nie wspominał, bo przecie już w tym roku obowiązków starszego parobka nie spełniał. Raz sam mię spytał, jak będzie co do niego na rok przyszły i nadmienił, że ewentualnie mógłby pozostać zwyczajnym parobkiem. Odpowiedziałem, że mógłby, ale oczywiście na warunkach takichże, jak inni na ordynarii, to znaczy jedna krowa zamiast dwóch, jedna owca zamiast dwóch, ordynaria zwyczajna i odbycie przez żonę 120 kobiecych dni roboczych. Na wszystko się zgadzał oprócz odbywania dni przez żonę. Prosił mię o świadectwo. Wydałem mu dobre świadectwo, z którego był bardzo rad. Rzeczywiście jest on robotnikiem silnym i dobrym, zna się na wszystkich robotach, jest do wszystkiego bardzo pojętny i sprytny, dobry mechanik, gospodarny, tylko że ma charakter nieznośny; kiedy chce – jest doskonały, ale przeważnie chodzi zły, nadęty, jest bardzo obraźliwy i podczas złego humoru, który go często nawiedza i trwa tygodniami, jest do niczego i gotów wszystko robić na złość. W ostatnich dniach Novikas, mimo że już miał niby odchodzić, był bardzo grzeczny i życzliwy. Aż oto dziś pod wieczór po robocie przyszedł do nas z Jadzią z propozycją. Kombinatorem jest dobrym i kombinację obmyślił wcale dla nas i dla siebie dogodną. Nasze krowy zarwały i przez miesiąc przeszło pozostajemy zupełnie bez mleka. Jest to sytuacja bardzo ciężka, bo mleko potrzebne przynajmniej dla dzieci naszych i dzieci uchodźców, a zresztą gdy nie ma mleka, to jest bardzo duży rozchód słoniny, której jest mało. Nigdzie dokoła zapewnić pożyczenia mleka nie można. Dowiadywała się Jadzia, ale nigdzie nic nie dostała. Jedyna nadzieja była na Novikasa, którego jedna z krów jest świeżo ocielona. I oto Novikas przyszedł zaproponować nam nabycie od niego mlecznej krowy, łącząc to z kombinacją odnowienia umowy najmu na warunkach specjalnych. Kombinacja była wcale dobra. Prędkośmy się dogadali. I krowę nabyliśmy, i z Novikasem umowę zawarliśmy. Novikas będzie pracować u nas za zwyczajnego parobka w ciągu 6 miesięcy letnich od 15 kwietnia do 15 października, za co będzie dostawał połowę ordynarii parobka, a za to, że półrocze pracy wypadnie na miesiące letnie, kiedy dzień dłuższy i roboty więcej, dostaje mieszkanie z opałem na cały rok – do wiosny roku 1945.

25 stycznia, rok 1944, wtorek

Pozyskanie Novikasa na parobka półrocznego prawie że wyczerpuje moją potrzebę sił roboczych męskich na rok gospodarski 1944-1945. Na kampanię letnią mam już skompletowanych trzech robotników, a jeżeli mi nie odbiorą uchodźcy Fiodora Stułowa, to czterech. Gdybym był pewny pozostawienia mi na cały rok Fiodora, to miałbym w jego osobie i szeryka na przyszłą zimę. Bez niego wszakże brak mi jeszcze szeryka. Poza tym, nie ma jeszcze pastucha na lato. Dziś przychodził się umawiać młody Trumpa, brat byłej niani Viktuti, obecnie Władziukowej Sadowskiej. Ożenił się on i szuka mieszkania dla siebie z rodziną. Za mieszkanie z opałem i utrzymanie całoroczne krowy i owieczki gotów jest pracować przez 6-miesięczny okres letni od 15.IV. do 15.X. po trzy dni w tygodniu, jako parobek. Ewentualnie za osobne wynagrodzenie w zbożu (± 6 cetnarów) mógłby się podjąć obowiązku szeryka zimą, gdybym tego zażądał (o ile stracę Fiodora). Tak się z Trumpą dogadałem prowizorycznie, ale umowy jeszcze nie spisaliśmy. Mamy ją spisać, jeżeli mi przyniesie swoją książeczkę pracy do zarejestrowania. Rzecz więc ta jest jeszcze w zawieszeniu. Gorzej jest natomiast z dniami kobiecymi. Dziewczyny dotąd żadnej nie najęliśmy i

kto wie, czy znajdziemy do najęcia. Do robót w polu mamy zapewnione na lato tylko 120 dni kobiecych Izydorowej Kulysowej i 40 dni Novikasowej, ewentualnie Żenię – żonę Fiodora, która jednak będzie może przy kuchni, o ile Jadzia kucharki nie znajdzie. Teściowa Fiodora, Jewdokia, będzie przy świniach i ptactwie, nianię może się da znaleźć z Kowna z ofert na ogłoszenie albo z Wilna przez Elizkę Komorowską lub Irenkę Leonową Römerową. Jest to bardzo mało.

Umówiłem dziś Maksimowa uchodźcę do porąbania chrustu na wiązki oraz za 180 marek jego kobiety do wytrzepania czterech pudów lnu.

Droga zła, sanna ucieka, droga kołowa jeszcze gorsza, bo miejscami są zaspy, przez które kołami przejechać trudno. Od blisko tygodnia nie było okazji do Abel, nie mieliśmy poczty. Jadzię z dziećmi Fiodor woził dziś do Janówki do Balysa Čepasa i wywrócił na górze koło Diržysa.

26 stycznia, rok 1944, środa

Czwarta rocznica urodzin Igi. Naturalnie był tort z czterema płonącymi świeczkami, symbolizującymi cztery lata wieku Igi, były cukierki, zrobione z cukru topionego na ogniu z makiem, na obiad było pieczyste z kury, zaproszone były na zabawę dzieci, mianowicie Birutė Čepaitė, córka Janka, dwie dziewczynki Novikasów – Genutė i Renutė, i mała Galia, czteroletnia córeczka naszych uchodźców Moskali Stułowych. Nie przyszła tylko Vandutė, córeczka Balysa Čepasa, i nie przyjechała, zapewne z powodu złej drogi, Stefcia Boreišisowa z dziećmi. Zabawa dziecinna szła ochoczo, Tonia Adamonytė z 10-letnią Birutią wodziły rej, urządzając kółeczka i nucąc piosenki o maku, o Jurgelis-meistreliu itp. Kotuńka już umie dużo tych piosenek tanecznych, zna figury ruchów zbiorowych, tańczy zręcznie. Ma duże poczucie taktu, w przeciwieństwie do Igi, która w ruchach jest ciężka. Kotuńka już ma wygląd dziewczynki, podczas gdy Iga jest jeszcze prawdziwym dzieckiem typu bobusia. Zresztą obie nasze dziewczynki są wysokie i rozwinięte.

27 stycznia, rok 1944, czwartek

W ostatnich czasach, to znaczy w ciągu paru miesięcy ostatnich, miałem dwie propozycje pracy naukowo-literackiej. Jedna propozycja, o której nie pamiętam, czy wspominałem w dzienniku, pochodziła od mojego byłego studenta Jana Leonowicza, narodowca, zajadłego niegdyś członka korporacji „Neo-Lithuania” i smetonowca. Leonowicz jest obecnie redaktorem wydawnictwa „Lietuvių Archyvas”, wydawanego przez instytucję „Spaudos Biuras”. Ten „Spaudos Biuras” jest zdaje się, instytucją na poły niemiecką albo kontrolowaną ściśle przez Niemców i bodaj inspirowaną przez propagandę niemiecką. „Lietuvių Archyvas” poświęcony jest specjalnie demaskowaniu polityki i akcji sowieckiej w Litwie i publikowaniu dokumentów i materiałów, dotyczących okrucieństw bolszewickich w Litwie i perwersji sowieckiej w okresie inwazji Sowietów w latach 1940-1941. Choć siedząc tu na wsi i w ogóle od roku 1941 będąc na uboczu wszelkiego ruchu publicznego, nie jestem dokładnie w tym względzie zorientowany, ale, ile wiem, wyszło z druku kilka tomów tego „Lietuvių Archyvas“. Otóż Leonowicz prosił mnie usilnie o napisanie dla tego wydawnictwa i przysłania mu pracy o polityce sowieckiej w stosunku do Litwy od roku 1919 do roku 1940 czy 1939, na którą się składały usiłowania stworzenia Litwy sowieckiej i potem „Lit-Biełu“ w latach 1919 i 1920, Traktat Pokojowy Moskiewski z d. 12.VII.1920, wygrywanie przez Sowiety konfliktu wileńskiego między Litwą a Polską, układ o nieagresji z roku 1926, zawarty w Moskwie przez Ślażewicza z Sowietami i wreszcie układ o wzajemnej pomocy z października 1939, który wciągnął Litwę w orbitę wpływów sowieckich, „zwrócił“ Litwie Wilno i ustanowił w niej bazy wojskowe sowieckie, stanowiąc wstęp do właściwej inwazji, dokonanej w czerwcu 1940, która prowadziła już bezpośrednio do inkorporacji Litwy. Po namyśle odpowiedziałem na propozycję Leonowicza odmownie, motywując tym, że nie mam tu żadnych materiałów do tej pracy, nie posiadam żadnych zgoła tekstów, a snuć cały wątek akcji sowieckiej li tylko z głowy i z pamięci, nie dokumentując go wcale, nie mogę, jeżeli to ma być przecie pracą mniej lub więcej naukową, a więc ścisłą. Przed kilku dniami otrzymałem w tej kwestii list od Feliksa Mackusa, napisany na prośbę tegoż Leonowicza jeszcze przed otrzymaniem przez niego

mojej odpowiedzi odmownej. Przez Mackusa Leonowicz znów bardzo nalega na mnie, abym się zgodził napisać i dla ewentualnego porozumienia się osobistego lub ewentualnie dla umożliwienia mi zebrania materiałów do pracy tej – ofiarowuje mi przysłanie po mnie do Bohdaniszek automobilu, który by mię zabrał do Wilna. Nie bardzo się kwapię wdawać w tę pracę o charakterze w warunkach obecnych bardziej politycznym, niż naukowym. Pachnie to propagandą.

Druga propozycja jest raczej sugestią, niż propozycją konkretną. Pochodzi ona od Żakiewicza. Wspomina on o pewnych pomysłach federacji Litwy, Łotwy i Estonii po wojnie i zapytuje, czy nie zechciałbym spróbować zaprojektowania konstytucji takiej federacji jako ewentualnego materiału dla tego rodzaju pomysłów, które w pewnych warunkach mogłyby się stać aktualne. Taka praca bardziej by mię pociągała, choć nie byłaby łatwa i choć nie byłaby na dziś jeszcze aktualna. Ale i dla niej brak mi materiałów tutaj i wzorów konstytucji z którymi bądź co bądź liczyć by się trzeba, bo polegać li tylko na improwizacji spekulacyjnej w tego rodzaju projektowaniu – trudno.

Jest jeszcze trzecia propozycja – na razie mniej precyzyjna w stosunku do mnie. Wspomina mi w liście kolega Kazimierz Szołkowski z Wilna, że zarząd „Lietuvos Teisininkų Draugijos” w Kownie (Zygmunt Toliušis, Stankiewicz, Jerzy Byla) zamierza wznowić organ prawniczy „Teisė”, który ma wyjść już w lutym i liczy na dawnych współpracowników, a więc i na mnie. Ale żadnej formalnej propozycji od redakcji „Teisė”, nie otrzymałem.

28 stycznia, rok 1944, piątek

Jeździłem z Izydorem Kulysem do Abel. Pogoda była ohydna. Odwilż, duży zimny wiatr, w oczy siecze mokry śnieżek z deszczem, sanna na drodze do Abel jeszcze znośna, w Abelach błoto ze śniegiem. Kupiłem w Abelach nafty 5 litrów (spekulacyjnie po 30 RM litr), załatwiłem różne drobne rejestracje kwitów rekwizycyjnych itp., byłem u akuszerki p. Mincesowej, wdowy po lekarzu, która zrobiła na mnie dodatnie wrażenie i z którą pomówiłem o jej usługach na przyszły połóg Jadzi w marcu.

Z poczty przywiozłem całą plikę gazet i listów. Trafiają się jeszcze listy z ofertami na ekonomów, ale odpowiedzi od kandydata Leinartasa ze Żmudzi, na którą czekam i którego kandydatura wydaje mi się najpoważniejsza, jeszcze nie mam. Wśród listów są listy od prof. Gudowicza, od Heli Ochenkowskiej, od Valiukiewicza, od Lola Wołodkowicza. W liście Heli Ochenkowskiej, która dziękuje za przysłaną jej paczkę z kiełbasą i sucharkami i która cały list wypełnia utyskiwaniem na swój stan, na niepokój o matkę, na niepewną przyszłość i tragiczny los Polski, jest też wzmianka o Heli Römerównie, córce najmłodszej Eugeniusza, zwanej czasem „Helą Różową” dla odróżnienia od dwóch innych Helen Römerowien, z których stara Hela Römerówna ciskadzka, malarka, zwie się w rodzinie „Czarną” (dla czarnych włosów, które dziś są zupełnie białe, bo ta Hela ma lat 80) i Hela Römer-Ochenkowska zwie się w rodzinie „Białą”, bo była blondynką. Otóż wiadomości o tej Heli Eugeniuszównie („Różowej”) są smutne. Już od roku 1940 zamieszkała ona w Wilnie, na razie mieszkała u swego brata Reda, potem zamieszkała osobno sama, z jakimiś koleżankami. Miewała posady kelnerki w „Valgisie”, potem w jakichś kawiarenkach, wdawała się w stosunki z Niemcami i z koleżankami, była młoda, głupia, nie umiała używać swobody, lubiła się bawić, śmiać, piła, nawet się upijała nieraz. Hela Ochenkowska pisze, może nawet przesadzając, jak myślę, że Hela Eugeniuszówna stoczyła się tak nisko, że podobno „ma ją każdy, kto chce” i że nabawiła się nawet „brzydkiej choroby” (syfilisu? czy trypra?). Szkoda dziewczyny. Biedny Eugeniusz już się o tym nie dowie. Nie jest ona wcale ładna, ale młoda, tęga, głupia. Z rodziną żadnych stosunków nie utrzymuje.

29 stycznia, rok 1944, sobota

Mniej więcej we wszystkich listach, które otrzymuję, jest ta sama obawa przed najbliższą przyszłością, wielkie naprężenie nerwowe w oczekiwaniu strasznych wypadków, które, zdaniem wszystkich, przyjść mają, a zwłaszcza prawdopodobieństwo, a u wielu wprost pewność – nowej

inwazji bolszewickiej. Pod względem tych strachów i przewidywań ze wszech miar pesymistycznych moi korespondenci polscy, którzy wszyscy należą do kół pańsko-ziemiańskich albo bezpośrednio i aktualnie, albo przynajmniej z tradycji i pochodzenia, są bardziej sterroryzowani od moich korespondentów Litwinów, chociaż zdawałoby się, że sytuacja Litwy, a przeto i Litwinów, jest wobec ewentualności powodzeń oręża i polityki sowieckiej groźniejsza, niż Polski i Polaków. Co prawda, straszna jest tragedia Polski, która z obydwóch stron, tak niemieckiej, jak sowieckiej, jest zaatakowana. Powalona przez Niemców, rozszarpana, straszliwie umęczona, krwawiąca, jest Polska i przez Sowiety traktowana co najmniej pogardliwie. Sowiety dopomogły w roku 1939 Niemcom pognębić i rozszarpać Polskę, dobijając ciosem w plecy nieszczęsną państwowość polską, stanowiącą dumę Polaków, marzących o mocarstwowości wskrzeszonej Polski. Ale wtedy Polacy mieli jeszcze oparcie w Anglii i Francji, które sprawę polską uznawały za jeden ze swoich celów wojennych i przygarnęły emigracyjny rząd polski jako prawowitego sojusznika. Gdy wybuchła wojna sowiecko-niemiecka, Polska liczyła na to, że z natury rzeczy i Sowiety zsolidaryzują się ze sprawą restytucji Polski. Gdy jednak Sowiety odchwyciły się po pierwszej porażce swojej i w miarę powodzenia swego zaczęły otwierać swoje karty – nadzieje Polaków na solidaryzm wojenno-polityczny z Sowietami zaczęły pryskać. Dziś Sowiety jawnie zajęły stanowisko antypolskie w stosunku do dążeń Polaków. Granice swoje do Bugu uważają one za przesądzone i grozić już zaczynają utworzeniem Polski czerwonej na etnograficznych ziemiach polskich, o ile Polacy nie zrezygnują z marzeń o prostym wskrzeszeniu Polski sprzed roku 1939 i – w istocie – nie poddadzą się pod batutę Sowietów jako czynnika, mającego organizować powojenną Europę Wschodnią z Polską i Bałkanami włącznie. Nadzieje na skuteczną i czynną pomoc wojenno-polityczną Anglii i Ameryki przeciwko roszczeniom Sowietów są niepewne, zwłaszcza o ile zwycięstwo nad Niemcami byłoby przesądzone przez Sowiety.

U Litwinów też czuć silną depresję i niepokój. Ale Litwini mają jeszcze to, czego Polacy mieć nie mogą. Mianowicie pomimo wszelkie zniechęcenie do Niemców – Litwini mogą się jeszcze posiłkować pewnym oparciem o Niemców jako czynnika, przeciwstawiającego się czynnie Sowietom, z którym można coś jeszcze kombinować na razie. Dla Polaków wszelkie oparcie o Niemców jest wykluczone. Litwini wciąż szukają jeszcze pewnych formuł układów z Niemcami dla tworzenia zawiązku swojej siły zbrojnej, która miałaby się czynnie przeciwstawiać Sowietom. Ta siła zbrojna nie mogłaby wprawdzie być takim języczkiem u wagi, który by przechylił szalę na rzecz porażki Sowietów, ale mogłaby być realnym symbolem niepodległościowych w stosunku do Sowietów dążeń litewskich i na wypadek jakichś rozwiązań połowicznych i kompromisowych mogłaby w chaosie odegrać rolę czynnika politycznego.

30 stycznia, rok 1944, niedziela

Jeździłem dziś z „Bubą" (starą Čepasową, matką Jadzi) do jednego z zaścianków w Dogilach, gdzie jest dziewczyna do najęcia (Šimčiunaitė). Drogę, choć niedaleką, mieliśmy okropną; wybraliśmy się saniami, ale sanny już prawie nie ma, większą część drogi Buba szła pieszo, płozy sań tarły się o gołą ziemię, tylko bardzo rzadko miejscami była warstewka lodu albo w zagłębieniach drogi twardy śnieg głęboki, utrudniający skądinąd także jazdę kołową. Nic z tego najmu dziewczyny nie wyszło. Na ogół dziewczyny teraz albo wcale nie idą na służbę, albo żądają od pracodawców ubrania i obuwia, czego my dać nie możemy, na swoim zaś ubraniu najmować się nie chcą, a prawdę mówiąc – i nie mogą, bo ubranie i obuwie kupić same nie mogą. Są wprawdzie dwie Moskiewki z naszej rodziny uchodźców, z których jedna do świń, a druga do wszelkiej roboty, o ile nam ich nie odbiorą, i spodziewamy się, że dostaniemy jeszcze nianię, a do pracy w polu latem mamy umówionych 40 dni roboczych Novikasowej i 120 dni Izydorowej Kulysowej, ale tego mało. Służącej w pokojach i w kuchni nie mamy żadnej, a robotnic do pola i do ogrodów za mało. Gdyby zaś jeszcze odebrano Moskiewki, to sytuacja będzie rozpaczliwa. Tonia Adamonisówna i Wala Kozłowska odchodzą. Tonia zgodziła się pobyć przy dzieciach jeszcze miesiąc, ale co to znaczy, a Wala w tych dniach, zdaje się, kategorycznie odchodzi. Biedna dziewczyna, Wala, zresztą jako

kucharka i robotnica – do niczego, jest w stanie rozpaczliwym: najwidoczniej zaszła w ciążę; grubieje z dnia na dzień i wszyscy już poznają, że jest w ciąży; mówią już nawet, kto jest sprawcą tego – podobno parobek Kazanowicza w Boniuszkach. Biedna dziewczyna jeszcze „*fait bonne mine au mauvais jeu*", przynajmniej usiłuje to robić, nawet chodzi na wieczorki, udając, że chce się bawić i chcąc przez to zmylić opinię pozorami niefrasobliwości, ale natury, która ją zdradza, nie oszuka: jest to śmiech przez łzy, pokrywający cierpienie najgorsze. Źle wygląda, ciągle się zasępia, traci na humorze, musi znosić katusze moralne okropne. Doigrała się biedaczka, a dla dziewczyny na wsi jest to cios, który rozbija całe jej życie, a zwłaszcza gdy nie ma nadziei pokryć tego małżeństwem i gdy dziecko nie jest owocem miłości trwałej, jeno owocem uciechy chwilowej. Opinia na wsi jest dla takich biednych dziewcząt bez litości. Nie zna ona żadnych względów łagodzących.

Przyjeżdżał dziś Stasiulionis młody z Tarnowa, który ma kartofle na sprzedaż za drzewo budulcowe. Chcielibyśmy kupić do 50 cetnarów kartofli, których nie mamy dla świń. Ale żąda tak drogo, że się nie mogę zdecydować. Chce jodeł od 10 do 12 cali, licząc po 3 cale za 1 cetnar kartofli. Wypadłoby to 14 takich jodeł za 50 cetnarów kartofli, które zresztą trzeba przywieźć z Tarnowa, o 15 kilometrów.

31 stycznia, rok 1944, poniedziałek

Bardzo ciekawy i treściwy był list, który otrzymałem pozawczoraj od Walukiewicza z Wilna. Ze wszystkich moich korespondentów Walukiewicz jest moim najlepszym informatorem o sprawach publicznych litewskich. Sam Walukiewicz, który jest asystentem na naszym Wydziale Prawniczym (w tym charakterze oczywiście nieczynny teraz) i adwokatem w Wilnie, należy do obozu katolickiego i w ruchu polityczno-społecznym katolickim jest dosyć wpływowy w kołach młodszych. Dobrze więc jest osobiście poinformowany. Nie lęka się pisać dosyć szczegółowo i otwarcie, a dla mnie ma jakiś sentyment i stale mię darzył względami. Dzielny to chłopiec i lubię go. Opisuje mi dosyć szczegółowo o przebiegu rokowań, jakie się toczyły i, zdaje się, toczą jeszcze między litewskimi kołami społecznymi, formalnie kierowanymi przez Kubiliunasa i Michała Biržiškę, a Niemcami (w osobie komisarza generalnego Litwy von Rentelna, w przedmiocie stworzenia tzw. „Dywizji Litewskiej" dla walki u boku Niemców przeciwko inwazji sowieckiej w granice Litwy. Dywizja ta miałaby charakter narodowy litewski, oparty na mobilizacji przymusowej, zarządzonej przez czynniki litewskie. Dotąd rokowania nie dały wyniku kategorycznego, choć się ciągną już od listopada. Wprawdzie Litwini idą w tym względzie na pewien kompromis i zgadzają się nie żądać na razie formalnego uznania państwa litewskiego i poprzedniego utworzenia rządu narodowego. Ale w każdym razie żądają kategorycznie, żeby dowództwo dywizji było litewskie w osobie wodza naczelnego Litwina spośród generałów litewskich, mających uznanie w społeczeństwie, i żeby Dywizja ta stanowiła siłę zbrojną, formalnie równoległą do niemieckiej, aczkolwiek oczywiście inkorporowaną do ogólnego planu wojny, prowadzonej przez Niemcy przeciwko Sowietom, z zastrzeżeniem działania jej u granic Litwy w obronie tychże albo bezpośrednio za tymi granicami. Niemcy natomiast usiłują tę akcję wojenną litewską zredukować do prostego akcesu Litwinów do wojny niemieckiej i dać dywizji dowództwo naczelne niemieckie. Kubiliunas i jego „Rada" (Taryba) z Michałem Biržiškà na czele gotowi są już do akceptowania redukcji niemieckiej i do wciągnięcia Litwinów na tę drogę. Wszakże czynniki wojskowe litewskie (Raštikis?), poparte przez opinię narodową i czynniki społeczne, opierają się temu i nie są skłonne do dalszych ustępstw i do poparcia oportunizmu czy posybilizmu Kubiliunasa i jego popleczników (Michała Biržiški *et consortes*?), gotowych iść na wszelkie redukcje i bez atutów oddawać się w ręce niemieckie. Polityka posybilistyczna gry na taniość, byle mieć cokolwiek – nie znajduje uznania w kołach wojskowych litewskich i w społeczeństwie narodowym. Od pewnej ceny ustąpić nie chcą, choć już od razu pewne ustępstwa uczynili. Ale mają pewne granice minimum, podczas gdy dla tamtych minimum nie ma.

1 lutego, rok 1944, wtorek

Wczoraj mieliśmy przez cały dzień lekki mrozik, w nocy wypadł śnieg, ale dziś znowu odwilż wielka, deszcz kropi, świeży śnieg nocny stopniał i topnieją resztki śniegu starego. Izydor Kulys woził z Gaju drwa jeszcze saniami, ale na drogach otwartych sanny już nie ma.

Do terminu rozwiązania ciąży Jadzi pozostaje już tylko 1 ½ miesiąca. W ósmym miesiącu ciąży Jadzia jest już bardzo gruba i ciężka, waga jej, która ubiegłej wiosny wynosiła 53 kilo, podniosła się do 70 kilo; jest mało mniejsza od mojej, która wynosi 73-74 kilo. Jadzia coraz bardziej decyduje się na odbycie połogu w domu. Tak jej radził dr Žemaitis w Rakiszkach, tak radzi listownie i prof. Gudowicz. Gudowicz przysłał w liście cały wykład o połogu i o tym, czego trzeba unikać, żeby nie było niebezpieczeństwa dla matki. Jego teza, bardzo trafiająca do przekonania, jest ta, że odbycie połogu nie jest żadną chorobą, jeno prostą funkcją organizmu kobiecego i przeto samo przez się niebezpieczeństwa nie zawiera, o ile tylko nie ma czegoś nienormalnego np. w pozycji płodu lub tp. Jeżeli połóg jest normalny, to niebezpieczeństwo może pochodzić tylko od tych osób, które są przy połogu, szczególnie od różnych babulek, przyjmujących niemowlęta: osoby te często, pod pozorem niby pomocy i zabiegów, wsuwają ręce do wnętrza matki i przez to wprowadzają tam bakterie, które zatruwają organizm i są przyczyną komplikacji i nawet śmierci matki. W tym tylko tkwi niebezpieczeństwo i to przeto musi być kategorycznie wykluczone. Gudowicz wskazuje na to, że najmniej bywa komplikacji i wypadków zakażenia krwi albo innych groźnych epizodów przy porodach dzieci nieślubnych przez dziewczyny, chociaż te połogi odbywają się zwykle właśnie w warunkach najcięższych, bez dozoru i pomocy wszelkiej. Najgorsze, najbardziej przeto niebezpieczne są usługi pomocnic niefachowych.

4 lutego, rok 1944, środa

Wielka odwilż z deszczem. Cała zima składa się niemal wyłącznie z odwilży. Jeździłem kołami do Boniuszek do Piotra Bagdonasa i do Kazanowicza w sprawie ewentualnego kupna 50 cetnarów kartofli za drzewo. Piotr Bagdonas ma dobre kartofle, które sprzedaje po 30 RM za cetnar, ale drzewa dużo nie potrzebuje. Wziąłby za kartofle dwie jodły po 12 cali w cenie 300 RM, ale resztę ceny w kwocie 700 RM chce mieć w gotówce. Kazanowicz natomiast kupiłby jodeł (7 jodeł 10-calowych po 100 RM) i zapłaciłby za nie Bagdonasowi zamiast mnie za kartofle, ale tylko o tyle, o ile Bagdonas zgodziłby się poczekać na zapłatę, bo musi wpierw spieniężyć świnię. Tak się teraz wszystko reguluje kombinacjami zamiennymi. Rzecz pozostała w zawieszeniu do porozumienia się Kazanowicza z Bagdonasem.

Parobcy dziś u mnie świętowali z okazji święta Gromnicy.

Wala Kozłowska rzeczywiście jest w ciąży. Od dawna, zwłaszcza kobiety, zaczęły ją podejrzewać, że jest w ciąży, bo od pewnego czasu bardzo grubiała. Kobiety są pod tym względem bardzo spostrzegawcze – nie ujdzie to ich obserwacji. Nie mówią o tym wprost dziewczynie, ale ją obserwują pilnie, zaczynają o tym szeptać i naturalnie się gorszyć, a wieść się prędko rozchodzi. Dziś już cała okolica o tym mówi. Jest to jedna z sensacji lokalnych. Wiedzą już o tym oboje rodzice Wali. Jej matka, Kostusia Nemeikšysówna z domu, córka niegdyś starego kucharza bohdaniskiego Antoniego Nemeikšysa, której faworytką i pieszczoszką była Wala, jest oczywiście tym nieszczęściem córki bardzo przejęta, ale usiłuje to jeszcze pokrywać. Ojciec, stary krawiec Kozłowski, jest podobno w rozpaczy i włosy rwie na głowie. O tym, że jest w ciąży, sama Wala już się przyznała Toni. Mówi, że była pijana i dała się uwieść parobkowi Kazanowicza. Powiada, że wyjedzie na roboty do Niemiec po urodzeniu dziecka. Co to będzie za dziecko po pijanych rodzicach – Bóg raczy wiedzieć. Wala jest leniwa, do pracy do niczego, nieuczciwa, a teraz jeszcze zdobyła niesławę rozpustnicy. Jedno, w czym celuje, to w śpiewie. Ładnie śpiewa, ale brzydka jest bardzo i niezgrabna. Smutna dola takiej dziewczyny, ale też dziewczyna to niewielkiej wartości.

3 lutego, rok 1944, czwartek

Jeździłem do Abel, gdzie, jak zawsze w tych czasach, dużo miałem interesów do załatwienia. Rano była pogoda słoneczna, powietrze czyste, lekki mrozik; po południu, gdym wracał, niebo się zachmurzyło i zaczął padać gęsty duży śnieg, coraz bardziej mokry, który wreszcie przeszedł w deszcz, a temperatura podniosła się wyżej 0 i znowu nastała wielka odwilż. Droga kołowa znośna, ale miejscami, gdzie były większe zaspy śniegu, jest źle.

Po załatwieniu w Abelach interesów zajechałem do leśniczego (girininkasa) w zaścianku jego pod Abelami przy gościńcu subockim. Pani girininkasowa, bardzo miła kobieta, była studentką na farmacji w Kownie za czasów mojego rektoratu, potem była siostrzyczką w szpitalu ginekologicznym w Wilnie, kierowanym przez dr Ciplijewskiego (dziś już nieżyjącego), w czasie, gdy Jadzia odbywała tam w roku 1940 połóg przy urodzeniu Igi. Teraz chce znów wstąpić w Kownie na uniwersytet na studia odontologiczne. Wydział Medyczny, a więc i odontologia, na naszych uniwersytetach w Kownie i Wilnie, zdaje się, funkcjonuje. Chce ona, abym ją zaprotegował listownie do dziekana wydziału w Kownie, by ją przyjęto. Swoją droga ofiaruje ona, jako mająca w tym już doświadczenie, swoje ewentualne usługi przy zbliżającym się w marcu połogu Jadzi na wypadek, gdyby akuszerka abelska pani Mincasowa była akurat nieobecna, gdy po nią przyślemy. Sam girininkas jest też człowiekiem bardzo miłym. Przyjęli mię oni bardzo gościnnie herbatką z zakąską i rumem niemieckim.

Niedobre są wieści z wojny. Jak mi mówiono w Abelach (wieści te pochodzą z radia fińskiego), Sowiety wkroczyły już na terytorium Estonii. W ostatnich czasach, jak podawały już komunikaty niemieckie, walki ofensywy sowieckiej na odcinku południowym i środkowym frontu wschodniego osłabły, natomiast główny ciężar ofensywy przerzucony został przez Sowiety na odcinek północny – od jeziora Ilmen do Petersburga i Oranienbaumu. Okolice Oranienbaumu – to już bardzo blisko granic wschodnich Estonii. Na odcinku północnym Niemcy, podług ich własnego komunikatu, wycofali się z Nowgorodu, a gdzie się toczą walki na odcinku petersburskim i „na południe od Oranienbaumu" – tego komunikaty niemieckie dokładnie nie wskazywały. Otóż podobno miasto Narwa w Estonii wschodniej jest już w ręku sowieckim i przekroczona jest przez Sowety rzeka Narwa. W Estonii ogłoszona jest pono powszechna mobilizacja wszystkich mężczyzn do lat 40 dla walki przeciwko inwazji sowieckiej u boku Niemców. Ludność cywilna z okolic Narwy jest śpiesznie ewakuowana.

Jakoś Niemcy straciły zupełnie inicjatywę wojenną na froncie wschodnim i ofensywa sowiecka, choć się Niemcy dotąd mocno bronią, postępuje jednak wciąż na przód.

4 lutego, rok 1944, piątek

Przez cały dzień wielka odwilż z wiatrem zachodnim; chwilami deszcz. Dzień ciemny, bardzo pochmurny.

Słyszałem wczoraj w Abelach o nowych zarządzeniach politycznych czy konstytucyjnych sowieckich w związku z uroczystym posiedzeniem Rady Najwyższej Sowietów, zwołanej na sesję. Bardzo dokładnie nie wiem, jak tam jest, ale z opowiadań kilku osób, które mi o tym mówiły, powołując się na różne informacje radiowe, rzecz się przedstawia mniej więcej tak, jak przynajmniej ja to pojmuję. Na jednym ze zjazdów anglo-amerykańsko-sowieckich (konferencji ministrów spraw zagranicznych w Moskwie czy też konferencji Churchilla, Roosevelta i Stalina w Teheranie) zaprojektowana została między innymi stała komisja, do której wejść mają przedstawiciele wszystkich narodów niepodległych czy państwowych (bodaj Europy, a może i całego świata) jako jeden z organów, mających układać nowy tryb stosunków po wojnie – oczywiście w perspektywie zwycięstwa nad Niemcami. Czy do tej komisji weszłyby tylko narody, bezpośrednio dotknięte wojną i mające ekspozytury polityczne na emigracji, a formalnie będące w stanie wojny z Niemcami, czy także z czasem neutralne, a może i te, które dziś współdziałają z Niemcami – tego dokładnie nie wiem. Otóż Sowiety wystąpiły obecnie z tezą i żądaniem, aby do tej komisji dopuszczone zostały także wszystkie „narodowe" republiki sowieckie, należące do Związku Sowietów. Republik takich Sowiety liczą w swym łonie 16. Sowiety wychodzą z

założenia, że te republiki – to są narody samodzielne i niepodległe, jak te, które są poza Sowietami, tylko skonfederowane dobrowolnie w związku wzajemnym. Ale oczywiście te republiki związkowe sowieckie należałyby do komisji narodów przez delegatów, wyznaczonych przez ich rządy sowieckie. W sytuacji, jaka jest obecnie w Sowietach, te „republiki narodowe" – to są tylko marionetki czy manekiny jedynej Partii Komunistycznej z rządem centralnym Sowietów i wszechmocnym Stalinem na czele. Gdyby więc teza sowiecka była przyjęta, to w tej komisji narodów Sowiety zdobyłyby 16 głosów przez 16 swoich ekspozytur zdyscyplinowanych. Dałoby to im przewagę ogromną. Formalnie byłoby to 16 narodów sowieckich, faktycznie wszakże – jedna głowa i jedna ręka sowiecka w 16 ekspozyturach marionetkowych, albo jeden spiker i jedna wola, wyrażająca się przez 16 głośników i w 16 odmianach. Manewr to jest na rzecz przemożnego wpływu, a raczej zachłanności Sowietów w przyszłym urządzeniu Europy. Podobno prasa i opinia angielska i amerykańska protestują przeciwko temu pomysłowi Sowietów i stwierdzają, że to jest pretensja niesłychana i zgoła niedopuszczalna, dążąca do hegemonii i dyktatury międzynarodowej. W liczbie tych 16 „narodów" Związku Sowieckiego byłyby w koncepcji Sowietów naturalnie i Litwa z Łotwą i Estonią, ale Litwa, Łotwa i Estonia komunistyczna, reprezentowana przez rządy emigracyjne tych „republik" w Moskwie (Palecki *et consortes*), służące Moskwie i będące narzędziem Sowietów. Zdaje się, że ten pomysł Sowietów, dla nadania mu większej mocy, oparty został na reformie konstytucji sowieckiej, dokonywanej obecnie przez Radę Najwyższą. Reforma ta pozornie przebudowuje Związek Sowietów na zasadach konfederacyjnych, dając republikom związkowym formalnie pewną osobowość międzynarodową z prawem posiadania osobnych przedstawicieli dyplomatycznych i własnej akcji na zewnątrz z zachowaniem tylko jedności wojennej. Manewr ciekawy, ale chyba tylko manewr. Znając metody konstytucjonalizmu sowieckiego, w którym wielka chaotyczność formy, mogącej iść dosyć daleko w kierunku pozornego liberalizmu, łączy się z bezwzględną dyscypliną Komunistycznej Partii rządzącej, trzymającej wszystko w swoim żelaznym ręku i zapewniającej kategoryczną jedność czynu, a przez to anulującej wszelkie konsekwencje formy i pozorów liberalnych; zdaje się, że nie zmienia to niczego, przynajmniej dopóki trwa obecna przewaga Kompartii i dyktatura Stalina. Ale może przyjść czas, kiedy forma zacznie rozwijać swoją logikę w faktach.

5 lutego, rok 1944, sobota

Jakieś nastały nudne dni. Mieliśmy dziś leciutki mróz prawie że na granicy odwilży. Jeździłem do Kundrotasa do Wiwieliszek, u którego kupiłem nową duhę i chodziłem do Gaju z leśnikiem Sadowskim. Czekam sanny, żeby się wybrać do Rakiszek i Kowaliszek, ale ani rusz doczekać się nie mogę.

W Gaju dziś parobcy rąbali drzewo na drwa. Ale zwozić narąbane drzewo i chrust nie ma sposobu.

Poczty dziś nie mieliśmy.

6 lutego, rok 1944, niedziela

Wieści o przekroczeniu przez wojska sowieckie byłej granicy wschodniej Polski na Wołyniu, a zwłaszcza najświeższe wieść o tym, że wojska sowieckie wkroczyły na terytorium Estonii, że w Estonii ogłoszona już została powszechna mobilizacja, wstrząsnęły i wywołały ogromne poruszenie u nas wsi. Wieść o wkroczeniu Sowietów do Estonii rozeszła się jak iskra elektryczna. Na wsi ludzie mało się orientują w geografii. Nie zdają sobie dokładnie sprawy, jak daleko jest Estonia, nie bardzo się orientują w proporcjach odległości. Nie wiedzą, że Narwa estońska jest pod samym Leningradem, że była stale w pobliżu frontu leningradzkiego i że względnie nieduże zachwianie tego odcinka frontu przez nacisk ofensywy sowieckiej już otworzył Sowietom granicę estońską. Kto wie, czy front pod Witebskiem nie jest od nas bliżej, niż front nad Narwą w Estonii. Ale Witebsk jest na Białej Rusi Wschodniej, która była sowiecka, podczas gdy Narwa jest w bratniej nam Estonii. Estonia, Łotwa i Litwa – to jakby jedno. Umysły przywykły do łączenia tych trzech

krajów bałtyckich, których losy i problem w dobie ich niepodległości i w tej wojnie był i jest łączny. Toteż wrażenie podsunięcia się linii frontu pod Witebsk albo nawet na Wołyń polski nie sprawiło ani w przybliżeniu tego wrażenia piorunującego, co zajęcie Narwy i obecność bolszewików na terytorium Estonii. Sowiety w Estonii – to dla naszych mas wiejskich Sowiety już u progów Litwy. Wszyscy o tym tylko gadają i są poruszeni do głębi. W istocie nie to jest groźne, że zajęta jest przez Sowiety Narwa, bo ostatecznie odległość od nas do Narwy jest bardzo wielka, wynosząca chyba ze 400 kilometrów, jeżeli nie więcej (tego nie sprawdziłem), ale to, że jednak inicjatywa jest wciąż stale w ręku Sowietów, że ofensywa sowiecka bądź co bbądź ciągle się to tu, to tam posuwa naprzód i że nie widać żadnych wskazówek na to, żeby postępy Sowietów zostały powstrzymane i żeby Niemcy gdziekolwiek na froncie wschodnim odzyskały inicjatywę. Przesądne są może wnioski, że może już w marcu albo w kwietniu wojska sowieckie dotrą do Litwy, ale bądź co bądź, jeżeli nic się nie zmieni radykalnie i jeżeli sytuacja będzie nadal taka sama, to istotnie wcześniej czy później front dojdzie i do nas. Wprawdzie jednocześnie krążą wciąż i pogłoski o jakichś niby rokowaniach na rzecz pokoju, ale wszystko to jest jeszcze bardzo bałamutne. Ludność litewska w masie swojej, zwłaszcza gospodarze, boją się panicznie przyjścia Sowietów. Panuje przekonanie, że Sowiety będą się mściły okrutnie na Litwinach za ich partyzantkę przeciwko Sowietom w roku 1941, za wytępienie Żydów, za służbę w policji i w samorządzie lokalnym pod batutą niemiecką, za względną uległość Niemcom. Rządy sowieckie były znienawidzone przez ogół ludności litewskiej, zwłaszcza włościańskiej gospodarskiej, jak również i tym bardziej inteligenckiej, w latach 1940-1941 i zostawiły po sobie jak najgorsze wspomnienia, gorsze nawet od rządów okupacyjnych niemieckich, a teraz do tych wspomnień przybywa jeszcze strach przed zemstą i okrucieństwem triumfujących Sowietów, gdy ich już nie powstrzyma ręka niemiecka. Zdaje się, że nigdy żadnej inwazji tak się w Litwie nie obawiano panicznie, jak obecnie sowieckiej. Całe masy ludności są ogarnięte uczuciem przerażenia. Jeżeli front sowiecki istotnie się wyraźnie zbliżać zacznie, to przerażenie to samo przez się może być straszne. Nie ma prawie rodziny, która tak lub inaczej nie byłaby się naraziła Sowietom, które chcą tu wkroczyć do nas jako rząd prawowity kraju i które traktują Litwinów jako swoich obywateli i przeto ich winy wobec Sowietów chcą uważać za wykroczenie przeciwko własnemu krajowi. Do tego dołącza się jeszcze strach przed działaniami wojennymi jako takimi i ewentualność masowego wywożenia ludności na tułaczkę przez cofających się Niemców, jak to robili oni i robią w stosunku do ludności okupowanych stref Rosji, łącząc to z paleniem doszczętnym siedzib i niszczeniem dobytku ewakuowanej ludności. To ewentualne ewakuowanie ludności i pustoszenie kraju przed inwazją sowiecką przeraża nawet tych, którzy samych Sowietów się mniej boją albo nawet względnie im sprzyjają. Wreszcie u młodzieży łączy to się jeszcze ze strachem przed mobilizacją, o której wciąż słychać, że się przygotowuje; panuje przekonanie, że wobec ewentualnego zbliżania się frontu układy kół wojenno-politycznych z Niemcami o stworzeniu zawiązku armii narodowej litewskiej do walki z bolszewikami i o mobilizacji zostaną przyśpieszone i rychło doprowadzą do realizacji tego projektu. Ludność spodziewa się już rychło tej mobilizacji. Boją się więc ludzie i samych Sowietów, i ewentualnej ewakuacji, i mobilizacji. Usposobienie stało się bardzo nerwowe. Ludzie drżą, są poruszeni, gadają i piją.

7 lutego, rok 1944, poniedziałek

Nie wiadomo, czego się u nas teraz ludzie więcej boją – czy przyjścia bolszewików, czy mobilizacji? Gospodarze boją się nade wszystko bolszewików, których z całego serca nienawidzą i uważają za swoją zgubę, robotnicy – boją się raczej mobilizacji, a wszyscy razem boją się ewentualnej ewakuacji przymusowej i spalenia siedzib. Najmniej względnie – boją się samych działań wojennych. Od czasów sowieckich pozostał duży i głęboki rozłam klasowy między włościanami gospodarzami, którzy są kategorycznie antysowiecko usposobieni, wręcz ogarnięci strachem panicznym przed Sowietami, a robotnikami, którzy, choć nie wszyscy, często po cichu

zerkają tęsknie ku Sowietom. Inteligencja narodowa litewska i półinteligencja Sowietów się boi i nastawiona jest do nich wrogo.

Przychodzą już gazety z informacjami o ostatnim „tricku" sowieckim w przedmiocie „reformy" konstytucji sowieckiej, zapowiedzianej w mowie Mołotowa na posiedzeniu Rady Najwyższej Sowietów w Moskwie i zgłoszonej do zatwierdzenia (oczywiście, jak zawsze w Sowietach, jednogłośnego, bo jakże tam by być mogło inaczej!) tejże Rady Najwyższej. Chodzi o tzw. „decentralizację" komisariatów ludowych wojennego i spraw zagranicznych przez stworzenie odnośnych komisariatów, które dotąd były scentralizowane li tylko w Związku, w poszczególnych republikach związkowych, które tą drogą otrzymałyby formalnie rzekomą „autonomię" wojenną oraz pewną ograniczoną osobowość międzynarodową w postaci „własnej" polityki zagranicznej i akcji dyplomatycznej. W istocie dopóki trwa dyktatura Stalina i monopol rządzący jednolity Kompartii – byłoby to nic innego, jak tylko pomnożenie głosu Sowietów za granicą z jednego do 16, albowiem wszystkie 16 „akcji dyplomatycznych" tych republik byłyby kierowane jedną ręką, tą samą, która dziś kieruje akcją Związku. Sowiety chcą się w tym względzie wzorować pozornie na brytyjskim imperium dominiów i udawać za granicą „Commonwealth" narodów sowieckich. Jest to oczywiście wielki humbug w stylu arcyamerykańskim, wykombinowany przez genialnego w pomysłach Stalina; wszakże taki humbug swymi pozorami może działać na umysły ludów zachodnich, które Sowietów z doświadczenia nie znają i mogą te humbugi brać za dobrą monetę. Humbug taki, dopóki Stalin ma władzę, służy do spotęgowania wpływów sowieckich, ale gdyby Stalina nie stało, mógłby on w innych warunkach zwrócić się przeciwko Sowietom.

8 lutego, rok 1944, wtorek

Jadzia wybrała się dziś do Abel. W jej stanie obecnym – w ósmym miesiącu ciąży – wybrać się w taką „podróż" jest dla niej tak ciężko, jak wyruszyć za morze. Ciężka stała się bardzo; jest nie tylko gruba od ciąży, ale i wybrzękła, a w krzyżu odczuwa wielkie bóle, poza tym źle śpi nocami. Musiała się jednak wybrać, żeby się dać obejrzeć akuszerce, którą sprowadzimy na połóg. Wyprawa udała się jej dobrze. Nie zmęczyła się zanadto. Akuszerka stwierdziła normalny stan ciąży; obliczyła termin połogu na 20-21 marca; udzieliła wszelkich wskazówek na wypadek nagłego połogu, gdyby akuszerki w porę sprowadzić by się nie dało. Zresztą Jadzia już i sama ma pewne doświadczenie i dużo się naczytała o połogu, a także Gudowicz dał cały wykład listownie. Na czas połogu będzie u łoża Jadzi jej matka, stara Urszula Čepasowa.

Z gazety dowiedziałem się dziś o śmierci śp. Ludwika Ciplijewskiego. Zacny to był i rozumny człowiek, bardzo dobry prawnik cywilista. Był w młodości socjalnym demokratą, adwokatem w Mariampolu. Był za carskich czasów rosyjskich więziony i wygnany. Po pierwszej Wielkiej Wojnie, już za czasów niepodległości Litwy, był sędzią okręgowym i potem prezesem Sądu Okręgowego w Mariampolu. Koło roku 1923, gdy był wakans w Trybunale Najwyższym, my z Janulaitisem jako sędziowie tegoż Trybunału postawiliśmy kandydaturę Ciplijewskiego na wakans sędziego. Była to więc kandydatura uchwalona przez Trybunał (Trybunał składał się wtedy z nas dwóch z Janulaitisem i prezesa Antoniego Kriščiukaitisa). Ówczesny minister sprawiedliwości Karoblis sprzeciwił się jednak tej kandydaturze i nominację otrzymał Wincenty Kalnietis. Wywołało to incydent, bo my z Janulaitisem zagroziliśmy dymisją. Kalnietis okazał się wtedy o tyle subtelny, że nie zachciał przyjąć nominacji w tych warunkach przeciwko woli kolegów z Trybunału, którzy kandydaturę jego byli odrzucili. W kilka lat potem spotkałem się z Ludwikiem Ciplijewskim w Radzie Stanu, do której był mianowany także Kalnietis. W Radzie Stanu przez lat kilka kolegowałem z Ciplijewskim i dużo z nim współpracowałem. Był doskonałym kolegą i mądrym prawnikiem, człowiekiem bardzo delikatnym, miłym, pełnym taktu i wyrozumiałości. Po prostu złoty człowiek. W roku 1934 został mianowany prezesem Trybunału Najwyższego jako następca zmarłego Kriščiukaitisa, również doskonałego człowieka. W roku 1939 czy nawet 1940 chcieliśmy na Wydziale Prawniczym zaangażować Ciplijewskiego na profesora prawa cywilnego, ale on sam nie zechciał. Był prezesem Trybunału do zlikwidowania go przez Sowiety, a potem

przez Niemców. Umarł obecnie. Jeden po drugim schodzą za sceny ludzie starszego pokolenia w Litwie. Te lata wojny zrobiły prawdziwe spustoszenie w szeregach starszego pokolenia litewskiego.

9 lutego, rok 1944, środa

Leciutki mróz, rano trochę śnieży, na wieczór się wypogadza. Chodziłem do Gaju, nie wyjeżdżałem nigdzie, bo sanny nie ma.

Moskale uchodźcy, wszyscy w wieku od lat 10 do lat 65, byli na dziś wezwani do Abel, gdzie ich rejestrowano, zapisując, który z nich i gdzie pracuje albo wcale nie pracuje. Nie wiadomo, czy ich zostawią na miejscu, czy zabiorą zdolnych do pracy i wywiozą do Niemiec albo skierują do dworów rządowych. Ogólnie dominuje przekonanie, że ich zabiorą.

Z gazet widać, że klin ofensywy sowieckiej, wysunięty głęboko naprzód na Wołyniu, dotarł już do Łucka, który został przez Niemców oddany. Ten klin skierowany jest gdzieś na Lwów i ewentualnie z południowego wschodu na Warszawę. Jednocześnie po obydwóch flankach tego klina linia frontu jest jeszcze względnie daleko cofnięta na wschód – pod Cherson na południu i pod Witebsk-jezioro Ilmen na północy. Jaka jest sytuacja pod Narwą w Estonii wschodniej i na terenach między Petersburgiem a Pskowem – dokładnie nie wiadomo.

10 lutego, rok 1944, czwartek

Dzień bezbarwny. Nie ma nic ciekawego.

11 lutego, rok 1944, piątek

Jeździłem do Abel. Miałem trochę interesów w miasteczku i we dworze abelskim u administratora p. Kareiwy. Kareiwa zaczął mię poić wódką bardzo mocną. Tak się uraczyłem, że przyjechałem do domu pijany. Ludzie teraz piją bardzo dużo i niezmiernie mocną wódkę. Im więcej ludzie są poruszeni strachem przed zbliżającymi się niewiadomymi wypadkami, które ludzi zgrozą przejmują, tym więcej piją.

Miałem list od Heli Ochenkowskiej z Wilna. List jest po prostu rozpaczliwy. Wieje z niego obłęd strachu i pesymizmu takiego, w którym nie ma już żadnej iskierki nadziei na coś lepszego. W takim stanie ludzie starsi muszą już do reszty starzeć i umierać.

12 lutego, rok 1944, sobota

Trudno z pieniędzmi. Mam szereg różnych wypłat (Novikasowi dopłata za krowę, Janowi Malčiusowi za wyrąb trzech sążni drew w Gaju, Fiodorowi za rąbanie drew w domu, trzeba by i kartofli kupić, bo dla świń nie ma), a kasa pusta. Jest jeszcze kilkaset marek zapasu z dochodów za jabłka w jesieni, ale ten zapasik gotówki szczędzę na połóg Jadzi. Dotychczas miałem stały, choć względnie na potrzeby dworu nieduży dopływ gotówki z mojej pensji uniwersyteckiej w Wilnie, którą mi przysyłał zawsze regularnie Żakiewicz, ale coś teraz nie mogę się tych pieniędzy doczekać. Ostatni raz Żakiewicz mi je przysłał w początku stycznia. Teraz nie przysyła i milczy. Zaczynam się obawiać, żeby nam nie przerwano wypłaty pensji z uniwersytetu od Nowego Roku. Byłoby to dla mnie bardzo ciężkie. Tu w gospodarstwie nie ma z czego wziąć pieniądze. Jedyna rzecz, którą mógłbym sprzedać, to drzewo z lasu. Mam jodły na budulec, mam piękne osiny, mam jesiony. Nabywcy się trafiają, ale tylko na różne wymiany – to za bekona, to za coś innego, ale nie za pieniądze. Na ogół u ludzi jest wielki brak pieniędzy. Pieniądz jest nie tylko mało warty, ale w dodatku nikt go nie ma. Handel kwitnie wymienny, ale większych pieniędzy nie ma. Ludzie poszukują pieniędzy, a dostać ich nie mogą. Sytuacja jest pod tym względem paradoksalna. Miasto przez spekulantów dostarcza wsi różnych artykułów i kupuje od wieśniaków produkty spożywcze, za które pieniędzmi nie płaci. Ten brak pieniędzy pochodzi zapewne stąd, że gdy ktoś złapie pieniądz, to śpieszy go zaraz wydać i tą drogą zapasów gotówki nikt nie ma. A gdy gotówki potrzeba, to znaleźć jej nie można.

13 lutego, rok 1944, niedziela

Po kilku dniach lekkiego mrozu (nie przekraczającego 2-3 stopni) dziś po obiedzie znowu odwilż. Odwilż, pomimo że barometr idzie na pogodę i że wiatr się podniósł wschodni. Śnieżek górny spędzony, ziemia naga, z rzadka pokryta plamami starego śniegu. Drogi twarde – gruda i lodek; trudno jeździć, bo jest bardzo ślisko, a podkowy prędko się stępiają, gryfów nie ma zupełnie, a i żelaza na podkowy brak.

Dziś usłyszałem pierwszy świergot pierwszego ptaszeczka wiosennego. Nie wiem, jak się ten ptaszeczek nazywa. Jest to mały skromny ptaszeczek, który w lutym zaczyna się odzywać i którego głosik podobny do dzwoneczka.

Umówiłem dziś na rok (ściślej – do 1 lutego 1945) – Ancię Kulytė, siostrę Izydora Kulysa. Ładna silna dziewczyna, lat 18-20. Zgrabna jest i subtelna. Znam ją od dziecka. Uchodzi za córkę Ignata Zybolisa, który wyemigrował do Ameryki Południowej. Będzie u nas pracowała za służącą pokojową i przy kuchni, ewentualnie w robotach polowych. Dziś zdobycie i najęcie dziewczyny – to prawie tak, jak wygranie losu na loterii. Tę jedyną zdołaliśmy pozyskać. Służyć będzie na naszym utrzymaniu i dostanie szafę dębową z drzwiczkami lustrzanymi, którą mamy w Wilnie i sprowadzimy dla niej, pud lnu wytrzepanego, kilogram wełny, dwa cetnary żyta i 100 RM. Wynagrodzenie dobre.

14 lutego, rok 1944, poniedziałek

Dzień niezbyt mroźny, ale zimny, bo z wielkim wiatrem wschodnim. Pogody jednak nie ma. Pochmurno. Powietrze przykre. Działa to na humor; jest niewesoło. W pokojach w tej połowie domu, która jest zwrócona na wschód – zimno. Dotyczy to naszego pokoju sypialnego, dziecinnego i mojego gabinetu zimowego.

15 lutego, rok 1944, wtorek

Wciąż duży zimny wiatr wschodni przy paru stopniach mrozu. Wozimy drzewo z lasu, ale jest trudno, bo ślisko bardzo.

Jeździłem do Bojar do Eigmina i do Pokrewnia do Augaitisa. Eigminas mi wspominał kiedyś, że chciałby kupić jodły w Gaju. Ponieważ bardzo mi są potrzebne teraz pieniądze, a pensji uniwersyteckiej z Wilna nie mogę się doczekać i obawiam się, że może już jej wcale nie będzie, więc pojechałem zaproponować Eigminowi wprost, aby kupował jodły. Chętnie przystał, wyliczył mi 300 RM awansu i obiecał przyjechać w sobotę. Augaitisa w Pokrewniu prosiłem o zwalcowanie pszenicy. Przyrzekł chętnie. Trzeba będzie to robić w nocy, bo mlecie pszenicy jest na ogół zabronione teraz i robi się tylko pod sekretem w drodze łaski w nocy. Trzeba z wieczora po ciemku przywieźć pszenicę, a nad ranem po ciemku zabrać mąkę. Augaitis uraczył mię smaczną rybą, kiełbasą i ciastkami kruchymi oraz wódką.

Dowiedziałem się wieczorem, że Ancia Kulytė, która się pozawczoraj najęła do nas i podpisała umowę roczną, poprzednio podpisała się u Lisieckiego w Opejkiszkach, że pozostaje tam jeszcze na rok jeden. Głupia dziewczyna. Mówi, że nie chce i nie zostanie w Opejkiszkach, ale Lisiecki, jak słyszę, nie chce jej uwolnić. I nie dziwię się jemu. Jutro jedzie ona z bratem Izydorem do Opejkiszek, żeby Lisiecki zwrócił jej książeczkę pracy. Wątpię, aby coś z tego było. Lisiecki podobno gniewa się na mnie, że jego służbę odmawiam. W istocie nic nie wiedziałem o tym. Jeżeli Lisiecki jej nie zwolni, to gdybyśmy ją przyjęli na służbę, Lisiecki będzie mógł ją od nas przez policję odebrać.

16 lutego, rok 1944, środa

Pamiętna data 16 lutego. Data pełna zasługi i symbolu, ukochana przez Litwę. Data, symbolizująca zerwanie pęt i wyzwolenie odrodzonego Narodu. Jeżeli forma izolowanej niepodległości w otoczeniu imperializmu zaborczego wielkich sąsiadów okazała się, niestety, zawodną i jeżeli dziś dalszy byt wyzwolonego Narodu Litewskiego zdaje się wymagać form

innych, które by go integrowały w jakiś blok regionalny z innymi dla współpracy i solidarnego bezpieczeństwa, to jednak istota dzieła, która się iściła pod znakiem 16 lutego, jest trwała i wartościowa bezwzględnie. Tą istotą jest osobowość Litwy narodowej, która odtąd w rodzinie narodów ma swoje imię i wyraz. To istotne i trwałe, które się w dniu 16 lutego zrealizowało i co ta data mu przekazała, to wyłonienie się Litwy jako jednostki politycznej osobowej z masy biernej, w której była ona li tylko prowincją bez imienia w ogromnym cielsku obcym, a nawet nie stanowiła prowincji jednolitej, bo była w tym cielsku pokawałkowana na szereg jednostek administracyjnych, nie powiązanych między sobą w żadną całość nawet administracyjną.

17 lutego, rok 1944, czwartek

Jeździłem dziś z Kotuńką do Kowaliszek. O zmroku wróciłem. Tam i nazad – to 40 kilometrów. Mrozu kilka stopni, ale wielki wiatr wschodni. Z powrotem było zimno, bo wiatr był w oczy. Hektor jutro wyjeżdża na kilka dni do Wilna. Dałem mu pewne polecenie. Oleńka uraczyła mnie doskonałą prawdziwą kawą ze świeżutkimi bułeczkami.

Z nowin, które się tam dowiedziałem, są te. Przede wszystkim lokalne: nocy ubiegłej pod Poniemuńkiem znowu był zamach na pociąg. W ostatnich czasach zamachy te stały się rzadsze, ale trafiają się. Do Rakiszek zjeżdża wojskowy lazaret koński. Ma być zalokowany we dworze rakiskim. Ma być podobno do 800 koni. Oczywiście odpowiednio duża także obsługa tego lazaretu. Jest to epizod zbliżającego się frontu. Na północy front po cofnięciu się tam Niemców biegnie obecnie od Zatoki Fińskiej wzdłuż rzeki Narwy do jeziora Peipus, a od jeziora Peipus, przecinając tor kolejowy między Leningradem i Pskowem poniżej Ługi, biegnie do jeziora Ilmen. Klin sowiecki, który na południu dotarł do Łucka, jest stworzony przez rajd kawalerii sowieckiej. Przypuszczają, że Niemcy będą nadal skracać front do linii zasadniczej, idącej od Rygi na Dyneburg i stamtąd na Odessę. Ta linia ma być kapitalną, na której Niemcy będą się usiłowały ostatecznie utrzymać. Poprzednio będą się utrzymywali na linii Peipus i jeziora łotewskie na północy, ale tylko prowizorycznie. Skąd takie informacje dokładne o tym, co ma być – nie wiem. Mówią też o toczących się wciąż zakulisowo jakichś próbach rozmów między Niemcami z Anglo-Amerykanami na rzecz rokowań pokojowych. Podobno też Finlandia zwróciła się do Sowietów z propozycją zawarcia pokoju.

18 lutego, rok 1944, piątek

Mróz większy, 8 stopni Celsjusza. Chłód jest tym większy, że mrozowi towarzyszy wiatr wschodni. Bieda z końmi i z drogą. Nie ma ani sanny, ani dobrej kołowej. Ziemia jest tak twarda, a lodek, pokrywający gdzieniegdzie drogę, tak skamieniał, że konie, po odbyciu jednej jazdy, ślizgają się i nie mogą iść, bo podkowy, choć świeżo podkute, już są tępe. Haceli zaś nie ma.

Buba jeździła dziś po raz drugi do Rakiszek, by nam znaleźć kucharkę. Przeszłą razą znalazła kilka kandydatek, ale się nie decydowała na ich warunki. Po porozumieniu się z Jadzią dziś pojechała znowu i najęła jedną, którą też przywiozła. Jest to niejaka Anna Gutarewiczówna, dziewczyna brzydka 30-letnia, ale służąca zawodowa i kucharka; robi wrażenie energicznej i pracowitej. Byle się nie kłóciła z Jadzią. Najęła się za palto, sukienkę jedwabną Jadzi, kilogram wełny, 2 cetnary pszenicy, 2 cetnary żyta i 200 RM do Nowego Roku 1945. Przyszedł też list od Elizki Komorowskiej z Wilna, że nianię dla nas znajdzie, ma już trzy kandydatki, zapewne po 25 lutego nam ją przyśle. Jadzi spada wielki kamień z serca. Wdzięczna jest Elizce. Z Ańci Kulytė, która się była do nas najęła, nic nie będzie. Lisiecki jej nie odpuszcza, a ponieważ poprzednio podpisała się u Lisieckiego, że zostaje u niego jeszcze na rok w Opejkiszkach, więc Lisiecki ma prawo jej nie odpuścić i gdyby ona do nas przyszła, to on może ją przez policję poszukiwać. A zresztą nie chcę wcale odmawiać od niego sług.

19 lutego, rok 1944, sobota

Wreszcie dzień słoneczny, bodajże pierwszy słoneczny w lutym. Mrozu koło 10 stopni bez wiatru.

Czekałem dziś przyjazdu Eigmina z Bojar, który się był zapowiedział, że przyjedzie kupować jodły. Nie doczekałem się. Ale chyba przyjedzie i kupi, bo dał 300 RM awansu. Bardzo nam potrzebne pieniądze. Nie wiem, co jest, że mi Żakiewicz nie przysyła z Wilna mojej pensji. Napisałem do niego, prosząc, żeby prędzej przysłał albo napisał, dlaczego pieniędzy nie ma. Zaczynam się obawiać, że nam z uniwersytetu wypłatę pensji Niemcy wstrzymali.

Jadzia od kilku dni choruje. Zdaje się, że ma grypę. Ciągnie ją do łóżka, wieczorami ma gorączkę, ma katar wielki, oczy się jej łzawią. Miewa też bóle w krzyżu, zwiastujące zbliżenie się połogu. Wkroczyła już w dziewiąty miesiąc ciąży. W marcu nastąpi już rozwiązanie.

20 lutego, rok 1944, niedziela

Dzień pochmurny. Śnieży, ale nie bardzo gęsto. Ziemia wprawdzie zbielała, ale do sanny jeszcze daleko. Nie ruszałem się nigdzie z domu. Nie było poczty, nic nie słyszałem, nikogo nie widziałem. Mróz się trzyma. Było koło 9 stopni mrozu.

Uczę po trochę moje dziewczynki. Kotuńka czyta już coraz lepiej. Co prawda, tylko sylabizując. Ale już chwyta i stapia sylaby bardziej złożone, składające się z trzech, a czasem nawet czterech liter. Kombinuje też już z kilku sylab słowa. Ale na ogół łatwiej jej idzie pisanie, niż czytanie. Litery pisze już bardzo dobrze i nie tylko wielkie, ale i małe. Dobrze też pisze cyfry. Kotunia ma, zdaje się, zdolność do rysunku, a stąd i do pisania łatwość. Rysuje na swój wiek bardzo ładnie. W ogóle ma pamięć bardzo dobrą i jest zdolna, tylko jest nieuważna, roztrzepana przy czytaniu; ciągle się rusza, patrzy na stronę, gryzie ołówek. Iga też po trochę się „uczy”. Liter Iga się nauczyła bardzo prędko, choć tymczasem zna tylko wielkie litery drukowane. Zaczęła się też uczyć sylabizowania na elementarzu. Na razie nie umiała za nic stapiać liter w sylaby, ale dziś po raz pierwszy jej się to zaczęło udawać, co prawda, tylko bardzo proste sylaby – z dwóch liter złożone, z których jedna spółgłoska i druga samogłoska. Ale to już postęp; na dziecko czteroletnie – to już dobrze. Natomiast do pisania Iga jest zupełnie jeszcze tępa. Napisać żadnej litery nie potrafi. Każę jej pisać tylko pałeczki, ale i tych nakreślić prosto nie umie; wybiegają ona u niej za linię, są krzywe, łamane, wykręcone, każda w inną stronę.

21 lutego, rok 1944, poniedziałek

Przyszedł list od Heli Römer-Ochenkowskiej z Wilna, donoszący o śmierci śp. Stryjenki Wandy z Sulistrowskich Alfredowej Römerowej, od lat przeszło 40 wdowy po stryju Alfredzie Römerze, wybitnym artyście malarzu tzw. szkoły wileńskiej, i matki tejże Heli Ochenkowskiej. Stryjenka Alfredowa umarła w wieku lat 89 czy 90. Umarła w swoim majątku rodzinnym i dziedzicznym po Sulistrowskich, Karolinowie pod Komajami w powiecie dawniej święciańskim, obecnie zaś świrskim. Karolinów – posagowa własność Stryjenki – był w roku 1939-1940 upaństwowiony przez Sowiety i za okupacji niemieckiej pozostał majątkiem rządowym, ale Stryjenka, która w jesieni roku 1939 wraz z Helą po inwazji bolszewickiej przeniosła się do Wilna, w roku 1942, za czasów niemieckich, wróciła do Karolinowa bez Heli i tam pozostała do śmierci. Dano jej tam jako byłej właścicielce i niedołężnej staruszce pokoik w domu mieszkalnym, krowę, siaką taką nieduża ordynarię, miała też dobrą sługę i mieszkała tam sama. W powiecie świrskim grasują bandy leśne, które mordują urzędników, napadają na miasteczka i dwory rządowe, palą je, mordują rządców i byłych właścicieli, toteż Hela nieraz się bardzo niepokoiła o matkę i nawet myślała czasem o sprowadzeniu jej z powrotem do Wilna, ale Stryjenka wolała pozostać w Karolinowie. Umarła też teraz na swoich śmieciach, w swoim ukochanym Karolinowie – raczej zgasła cicho po dwóch dniach słabości, wyczerpana wiekiem. Z nią schodzi ze sceny życia ostatnia osoba z pokolenia moich rodziców i stryjów. Hela Ochenkowska, która nie ma ani rodzeństwa, ani dzieci, ze śmiercią matki pozostaje sama jak palec, sama też już stara, niespełna 70-letnia, niedołężna fizycznie po dwukrotnym złamaniu nogi w latach 1939 i 1940, w warunkach materialnie

i moralnie bardzo ciężkich, bo ją, niegdyś bardzo czynną i wielką entuzjastkę odrodzonej Polski, niezwykle boleśnie dotknęła i złamała katastrofa Polski i obecna zachłanność Sowietów.

Do Bohdaniszek przyjeżdżał dziś Eigminas z Bojar. Kupił u mnie 4 osiny i pół sążnia drew brzozowych za ogólną cenę 640 RM, z których gotówką dopłacił mi 250 RM., bo resztę już poprzednio mi wpłacił. Jest to niewielki zasiłek dla mojej ubogiej dziś kasy pieniężnej, zasiłek, który się zaraz rozpłynie i nic zeń nie pozostanie.

Wieczorem przyszedł do mnie uchodźca Maksimow, mieszkający w chatce Morawskiego pod Bohdaniszkami. On sam z siostrą najął się do Mieczkowskich, a do nas najmuje się dziewczyna z jego wsi, mieszkająca tu w jego rodzinie, dziewczyna 16-letnia. Najmuje się do robót polowych na 6 miesięcy – od 1 maja do 1 listopada. Zawarliśmy umowę: dostaje 6 cetnarów zboża (po połowie żyto i jęczmień), 100 RM gotówką, paszę dla swojej owcy i 10 arów ziemi uprawionej pod ogród oraz 60 flansów kapusty i 120 flansów buraków. Tylko że jako samotna – może być wywieziona do Niemiec na robotę.

22 lutego, rok 1944, wtorek

Byłem w Abelach. Jeździłem w towarzystwie naszego uchodźcy Fiodora. Tam w Abelach w gminie dowiedziałem się od sekretarza Didžiokasa, że w najbliższym czasie mają być od nas zabrani i wywiezieni do Niemiec wszyscy uchodźcy Moskale, których przywieziono do nas w grudniu. Mają być wywiezieni wszyscy ryczałtowo, to znaczy nie tylko zdatni do pracy, ale także dzieci i starcy ze wszystkimi swoimi rzeczami i dobytkiem, który tu ze sobą przywieźli, za wyjątkiem krów i koni, które niektórzy z nich mają i które zostają u nas. Właśnie u viršaitisa zasiadała jakaś komisja niemiecka w sprawie tej ewakuacji uchodźców. Że będą ich na wiosnę zabierać – o tym wciąż słychać było, ale było to niepewne i mówiono o tym różnie. Gadano, że będą wywożeni do Niemiec albo skierowywani do dworów rządowych rzemieślnicy albo w ogóle zdolni do pracy w wieku od lat 10 do lat 60 czy 65, względnie tylko ci, którzy się tu do robót w gospodarstwach prywatnych nie zaangażowali; że natomiast dzieci i starcy oraz kobiety, mające małe dzieci, pozostaną. Teraz natomiast przyszła wieść o zabieraniu wszystkich, o całkowitej ich ewakuacji do Niemiec. Rzekomo ma to nastąpić już w dniach najbliższych. Na razie chciałem nie mówić o tym Fiodorowi, żeby go przedwcześnie nie straszyć, ale w Abelach wieść się już była o tym rozeszła i Fiodor dowiedział się o tym od jednego ze swoich ziomków, którego spotkał. Fiodor był tą nowiną poruszony i bardzo zaniepokojony. Uspokajałem go, że może to jeszcze nie dotknie wszystkich. Po powrocie do Bohdaniszek, gdy się o tym od niego dowiedziały jego kobiety, powstał wśród nich alarm i konsternacja. Stara Dunia (Jewdokia) – teściowa Fiodora, doskonała słodka kobieta, która u nas karmi świnie i doi krowy i która tak starannie te obowiązki spełnia, że Jadzia mówi, iż nigdy żadna służąca nasza tak akuratną i ścisłą w tych czynnościach nie była – ryczała na głos i upadła na ziemię, wyjąc z rozpaczy. Nie tylko w tej naszej biednej rodzinie uchodźcy, ale też w ogóle w całym środowisku uchodźców w okolicy, gdzie jest ich mnóstwo, wieść ta, która już się tu rozeszła powszechnie, sprawiła szalone przygnębienie i konsternację. Już się oni tu oswoili, trochę się zaaklimatyzowali, uspokoili i urządzili, a teraz oto znów ich pędzą z dziećmi i ubogimi resztkami mienia gdzieś w dal, na niewiadomą tułaczkę. Znów załadują ich w wagony, w chłód, z dziećmi, znów powiozą nie wiadomo dokąd i na jaki los. Boją się, że w Niemczech będzie im głodno, że tam będą jeszcze bardziej obcy, niż tu u nas, że może ich tam oddzielą od ich rodzin, że zamkną gdzieś rodziny w obozach, że będą dziesiątkowani przez choroby, narażani na bombardowanie lotnicze miast niemieckich, że będą skazani na głodowe normy pożywienia... Poza tym będzie to jeszcze dalej od ich kraju i siedzib spalonych, a więc i perspektywy powrotu trudniejsze. Słowem, wszystko ich przeraża – i podróż w eszelonach uchodźczych, i perspektywy niewiadome tułaczki, rozbicie rodzin itd. U nas w Bohdaniszkach rodzina uchodźca Fiodora Stułowa miała osobny pokój ciepły, dobre utrzymanie, obchodzenie się ludzkie i serdeczne, za co też odwdzięczała się rzetelną pracą, życzliwością. Trochę też zarabiali ponadto i żyli całą rodziną w kupie, mając dokoła pełno ziomków ze swoich stron. Jeżeli tęsknili do

swego kraju, to jednak cieszyli się, że mają tu przytułek cichy, spokojny, syty i zdrowy. Teraz wszystko to prysło. Biedni nieszczęśliwi ludzie.

Nam też niełatwo, gdy ich zabierają. Nie mamy szeryka, któryby zastąpił Fiodora przy koniach i bydle. Trzeba będzie użyć do tego chyba Izydora Kulysa. Nie mamy też żadnej dziewczyny do świń, która by zastąpiła Dunię starą. Pośpieszyłem wezwać Jana Malčiusa, żeby nająć jego córkę Helenę Malčiutė. Zdaje się, że ją najmiemy. Inaczej sytuacja byłaby u nas gospodarczo katastrofalna.

23 lutego, rok 1944, środa

Nie tylko wśród moich uchodźców Moskali, ale w całym w ogóle społeczeństwie tych uchodźców, których ilość w samej naszej gminie wynosi do półtora tysiąca, panuje wielkie zaniepokojenie i przygnębienie z powodu zapowiedzianego ich wywiezienia dalej. Nakazane zostało przez seniunów stawić się im wszystkim bez żadnego wyjątku pojutrze w piątek w Abelach ze wszystkimi ich rzeczami. Chodzą oni jak struci, kobiety płaczą i zawodzą, mężczyźni także mają łzy w oczach; biegają oni jedni do drugich, opowiadają sobie pogłoski i domysły, zasięgają informacji, co kto słyszał. Smutno jest na nich patrzeć; ma się takie wrażenie jak na pogrzebie. Tu już się oswoili, byli syci, mieli ciepłe mieszkanie. Moi Moskale – rodzina Fiodora – byli szczególnie zadowoleni, bo mieli swój własny ciepły pokój w oficynie murowanej, gdzie się czuli u siebie w kółku rodzinnym własnym, mieli dobre utrzymanie dla siebie i dzieci, byli traktowani dobrze, nawet serdecznie, bo zresztą i warci byli tego i odwdzięczali się pracą sumienną i rzetelną. Boją się oni teraz zwłaszcza: a. samej podróży zimą w chłodzie z dziećmi, b. ewentualnego rozdzielenia ich z rodzinami po przyjeździe do Niemiec, c. głodu i złego obchodzenia się z nimi. Trwoży też ich to, że ich wiozą coraz dalej od ich kraju, do którego tęsknią całym sercem, mimo że wszystko tam już spalone i zniszczone. Tu czuli się bądź co bądź bliżej swego kraju i doznali ludzkiego przyjęcia, trochę się przez te trzy miesiące zaaklimatyzowali. Dobre im było też to, że w gminie byli gęsto rozsiani wszyscy z tych samych stron, toteż mieli kontakt między sobą wśród swoich krewnych i znajomych rodaków, z którymi się często spotykali, odwiedzali wzajemnie. Teraz idą na nową niewiadomą tułaczkę, w ich pojęciu – na coraz gorsze. Jutro pojadę do Rakiszek do naczelnika powiatu, u którego będę próbował robić starania o zachowanie naszej rodziny uchodźców Fiodora Stułowa. Słabą mam jednak nadzieję.

Jadzia, która przed kilku dniami czuła się bardzo przeziębiona i miała rodzaj grypy, teraz od kilku dni choruje znów ciężko na żołądek. Ma wielką wolność i w nocy miała wymioty. Jest na pół leżąca, ale w nocy prawie wcale nie spała. Ma też bóle we wnętrzu. Boję się, żeby to nie zbliżał się już połóg. Od soboty ma już osiąść u nas Buba (matka Jadzi), która przebędzie tu cały czas połogu Jadzi. Najęliśmy dziś do świń Helenę Malcównę córkę Jana. Najęta do nowego roku za szafę jesionową i parę bucików.

Wieczorem przyszła depesza od Leinarta, kandydata na ekonoma, że w piątek wyjeżdża z Płungian. Przyjedzie więc zapewne w sobotę albo w niedzielę.

24 lutego, rok1944, czwartek

Jeździłem do Rakiszek spróbować starań na rzecz ratowania naszych uchodźców Moskali (rodziny Fiodora Stułowa) od przymusowego wywiezienia do Niemiec. Nic się nie dało zrobić. Naczelnik powiatu Mikėnas, do którego się zwróciłem, oświadczył mi, że ta rzecz nie należy do kompetencji samorządu litewskiego i że ani on, ani czynniki administracji litewskiej i gminy nic tu zrobić nie mogą, bo to zależy wyłącznie od komisji niemieckiej, która w tej sprawie urzędować będzie jutro w Abelach. Co prawda, powiedział mi, że z rozmowy, jaką miał z tą komisją, wnosi, że komisja może uwzględnić moje starania. Skądinąd tak w Arbeitsamcie rakiskim, jak w urzędzie Kreiswirschaftsführera powiedziano mi kategorycznie, ze to nie należy do kompetencji tych instytucji. Rzecz więc rozstrzygnie się jutro w Abelach. Pojadę tam z moimi uchodźcami

Moskalami osobiście. W Rakiszkach była też Helcia Mieczkowska, p. Degutienė (Wienażyńska z domu) z Daczun i wielu innych – każdy w sprawie swoich uchodźców. Nikt nic nie wskórał.

W Bohdaniszkach wśród uchodźców moich panuje głębokie przygnębienie i ciężka troska. Usposobienie u nich jest takie, jak na pogrzebie. Wszyscy zresztą im współczują serdecznie. Daliśmy im mąki na dwa pieczywa chleba na drogę, Jadzia dała krup, trochę mąki pszennej walcowanej na ciastka dla dzieci, cukru, sporą prowizję wędliny – szynki, kiełbasy, kindziuka. Zaopatrzyliśmy ich, jak mogliśmy. Spakowali oni wszystkie rzeczy swoje i są gotowi do wyjazdu jutro rano. Zwłaszcza obie ich stare kobiety są w najwyższym stopniu poruszone – ryczą, padają na kolana, dziękują za to, co doświadczyli, proszą o ratunek. Do końca spełniali oni dziś swój obowiązek pracy. Od jutra Fiodora w funkcjach szeryka zastąpi Izydor Kulys, Dunię zaś w funkcjach karmienia świń, dojenia krów i dozoru ptactwa zastąpi Helena Malcówna.

Mówiła mi Helcia Mieczkowska, że radio angielskie z Londynu ogłosiło, że Polska będzie musiała zgodzić się na kategoryczne żądanie Sowietów obcięcia jej „Kresów Wschodnich", to znaczy ziem polsko-ukraińskich i białoruskich z Wilnem po Bug, otrzymując kompensatę na zachodzie od Niemiec w Prusach Wschodnich i całym Pomorzu etc. Tak podobno przemówiło po raz pierwszy kategorycznie i urzędowo radio londyńskie, które dotąd w tej kwestii wyraźnego stanowiska nie wypowiadało. Że Anglia w ostatniej chwili nie będzie kruszyła kopii o interesy Polski w sporze z Sowietami, których pomocy tak bardzo potrzebuje – to było do przewidzenia. Helcia, wyrażając o tym opinię kółeczek lokalnych polskich, z którymi ma kontakt, powiada, że choć serce boli z powodu straty tych ziem wschodnich polskich, do których uczucie jest przywiązane, to jednak rzekomo być może, że względy rozumu każą to przeboleć i że ta kompensata na zachodzie będzie istotną. Nie mówiąc już o tym, że dla mnie ze stanowiska litewskiego takie oddanie wschodu Sowietom, które przesądziłoby też losy Litwy w tej kombinacji, byłoby bolesne bezwzględnie, w moim pojęciu i ze stanowiska czysto polskiego to pocieszanie się „względami rozumu" jest zupełnie dyletanckie i błędne. Na moją uwagę, że Prusy Wschodnie, Pomorze i Śląsk dałyby Polsce ciężar strawienia ogromnej ilości Niemców, Helcia odpowiedziała, że Niemcy sami nauczyli, jakimi metodami likwiduje się opór elementów obcych w państwie. Opinia Helci oczywiście autorytetu nie ma, ale świadczy, jakie myśli nurtują w kołach szeregowych laików politycznych polskich na głuchej prowincji litewskiej. Są to myśli płytkie i desperackie. Metody, którymi się dziś posługują Niemcy w stosunku do narodów ujarzmionych, nie bardzo będą możliwe dla Polski po wojnie. Jeżeli Polska tak zechce tępić Niemców, jak dziś Niemcy traktują Polaków czy Żydów, to te same Sowiety ujmą się za Niemców i zagarną wraz z nimi Polskę, a Niemcy w rozpaczy rzucą się w objęcia rewolucji komunistycznej i zbratani z Sowietami zduszą Polskę, która po otrzymaniu takiej „kompensaty" z ramienia Anglików i Sowietów nie będzie mogła bez woli Sowietów i bez ich kontroli pełnić roli policji Europy Środkowej. Tak czy inaczej, jeżeli to się ziści, znajdzie się Polska w orbicie sfery wpływów sowieckich.

25 lutego, rok 1944, piątek

Rano odbył się smutny odjazd naszych Moskali uchodźców do Abel. Kary parokonne zostały naładowane workami, zawierającymi cały sprzęt rodziny Fiodora. Na rzeczach tych w karach zalokowały się dzieci i baby (Żenia i stara ciotka) i Fiodor oraz Novikas, który powoził. Ja jechałem w linijce, powożonej przez Wańkę Szerszniowa i wiozłem starą dobrą matkę Żeni – Dunię. Siako tako dojechaliśmy do Abel: droga zła, gruda, ślisko, na schyłkach wzgórz twarde zaspy śniegu, wyżłobione głębokimi jamami kolein. W Abelach na dziedzińcu przed salą šaulysów, w której urzędowała komisja lustracyjna niemiecka, oglądająca uchodźców, stających przed nią rodzinami całymi, zgiełk i tłok wozów i ludzi. Od razu Moskale nasi wpadają w nastrój trwożny, panujący w tłumie ich rodaków. Powiadają, że komisja oddziela zdolnych do pracy od rodziny i zatrzymuje ich, przeznaczając do wywiezienia do Niemiec na roboty, dzieci zaś i starych zwalnia i pozwala wracać, skąd przyjechali. Na dziedzińcu tworzą się gromadki, które udzielają sobie informacji, komentują sytuację i naradzają się, jak zrobić, czy się stawić na komisję i jak stawić czy nie. Gdzieniegdzie

szlochają kobiety i dzieci tych rodzin, które przeszły już przez komisję i których mężów, braci, synów, siostry lub córki zabrano. Zabranych nie wypuszczają już z lokalu. Siedzą oni tam pod strażą policji. Wyjaśnia się, że to nie jest żadna ewakuacja ogólna uchodźców, jeno wybierano spośród nich ludzi do wywiezienia na roboty do Niemiec. Niemcy jak jakiś smok pompują wciąż z krajów okupowanych ludzi do robót u siebie. Ci, co przyjechali pierwsi i stawili się od razu przed komisją, sparzyli się i nacierpieli. Inni, przyjeżdżający później, nie kwapią się śpieszyć przed komisję, namyślają się, orientują, wahają, przechodzą od jednej gromadki do drugiej, nie mogąc się na nic zdecydować i kombinując, jak by to było lepiej i pewniej, żeby się od tego poboru wykręcić, bo wszyscy boją się tych Niemiec. Do lokalu, gdzie urzęduje komisja, idą już tylko starzy, niedołężni, łazarze, słowem tacy, którzy są pewni, że ich zbrakują. Ci idą śmiało i wychodzą triumfujący. Zresztą uwalniają dosyć dużo. W poborze tym nie ma żadnej organizacji i żadnej ścisłej kontroli. Wielu po prostu wraca do swoich furmanek z rzeczami i jedzie z powrotem do zaścianków, z których ich przywieziono, nie pokazując się komisji. Moi uchodźcy też się zastanawiają, czy nie byłoby najlepiej po prostu wrócić do Bohdaniszek. Maksimow (ten z chatki Murawskiego) też się skłania do powrotu bez prezentowania się komisji. Uchodźcy Mieczkowskich też są niezdecydowani. Helcia Mieczkowska, która się nimi gorliwie opiekuje, węszy nowin i przysłuchuje się, co kto gada, żeby tak lub inaczej swoim uchodźcom radzić. Właściwie – kto chciał, ten się mógł nie pokazywać komisji i wracać do domu. A jeżeli to jest tylko zabieranie jednostek do robót, nie zaś ewakuacja, to czy trzeba było kazać się stawić wszystkim ze wszystkimi rzeczami od razu, siejąc popłoch w masie uchodźczej i pędząc na ten cel setki furmanek po złej drodze. Rzeczy tych, co będą zabrani, można byłoby dowieźć później, a narażać setki dzieci, starców i staruszek i chorych na jazdę zimą do Abel i na wystawanie na chłodzie – to było zaiste zbyteczne. Ale co to Niemcom: wszak konie i podwody są litewskie, a uchodźcy są Moskale! Niemcy ich nie żałują. Ja nie usiłowałem forsować decyzji naszych uchodźców: niech sami się decydują i robią, jak chcą i jak uważają za lepsze. Mnie było kazane ich dostarczyć do Abel ze wszystkimi ich rzeczami i ja to wykonałem. A jeżeli wrócą – to widocznie komisja ich nie zakwalifikowała do wywiezienia. Czy się pokazali komisji – to już do mnie nie należy. Długo trwało niezdecydowanie i ociąganie się tłumu. Ja wyjeżdżałem do miasteczka na pocztę i za interesami, a moi uchodźcy wciąż się kręcili po placu wśród gromadek innych uchodźców, wahając się i zwlekając. Gdym do nich wrócił, powiedziałem im, com słyszał: że jeżeli rodzina uchodźców jest liczna i ma dużo drobnych dzieci i starców, a wśród nich jakiś tylko jeden mężczyzna w sile wieku albo jeszcze kobieta matka, to taką rodzinę całą uwalniają. Fiodor i Maksimow zaczęli się skłaniać do zaryzykowania. Największą kwestią, której nikt nie umiał rozstrzygnąć, było to, czy komisja ma spisy uchodźców i czy odznacza tych, co się stawiają, czy nie. Ostatecznie bardzo energicznie wystąpiła Żenia, żona Fiodora, która kategorycznie nastała na tym, żeby się do komisji zgłosił, bo jeżeli teraz zabiorą, to niech zabierają całą rodzinę, a jeżeli się nie zgłoszą, to Niemcy mogą potem schwytać przez policję samego Fiodora i oddzielić go od rodziny, czego kobiety najbardziej się boją. Poszli więc moi uchodźcy, a na prośbę Fiodora i ja z nimi. Uwolniono ich.

26 lutego, rok 1944, sobota

Wrócili więc wczoraj na wieczór nasi Moskale uchodźcy w pełnym komplecie, ucieszeni, radośni. Znów zajęli swój pokoik, ogrzali się, znowu siedzą w kupie, oddychają swobodnie, znowu stara Dunia karmi świnie, Fiodor dogląda koni i krów, Żenia myje podłogi, stara ciotka z dziećmi siedzi w domu. Wróciła też cała rodzina Maksimowa i zainstalowała się znów w chatce Murawskiego, wrócili uchodźcy Mieczkowskich. W ogóle wróciła spokojnie ogromna większość uchodźców w okolicy. Ale są i tacy, młodsi, bezdzietni, którzy nie stawili się na komisję i nie wrócili już na miejsce, z którego wyjechali. Ci gdzieś się ukrywają i może się będą usiłowali dostać do band leśnych na Białoruś, a może tworzyć szajki bandyckie w okolicy. Ludzie się boją rabunków. Jeżeli ten pierwszy pobór, który zastosowano do uchodźców w gminie abelskiej, wykazał, o co chodzi i jak źle jest zorganizowany, to gdy w najbliższym czasie będzie on

zastosowany do innych gmin – uchodźcy, nauczeni doświadczeniem abelskim, będą się masowo wykręcali i uchylali od tego poboru. Można się spodziewać, że wielka ilość młodszych elementów zwieje i może pomnożyć szeregi rabusiów i bandytów. Niemcy nie są w stanie dać sobie radę. Tymczasem spokojniejsze i stateczne elementy tych uchodźców, które pozostały nietknięte, będą nadal użyteczne jako siła robocza w kraju. Słychać też, że i z pobranych niektórzy zdołali uciec – są to wszystko kandydaci na rabusiów i dywersantów.

Wczoraj otrzymałem depeszę od mojego kandydata na ekonoma – Leinarta ze Żmudzi, który miał już jutro przyjechać do Abel, że przyjechać nie może, bo nie dostaje pozwolenia na jazdę pociągiem. Nie wiem, czy to już zerwanie kategoryczne, czy można jeszcze próbować posłać mu świadectwo z gminy, że przyjazd jego jest potrzebny dla pracy ze względów gospodarczych. Tymczasem napisałem do drugiego kandydata – Adamowicza z Poniewieża, żeby przyjeżdżał umawiać się. Z listów ten Adamowicz robi wrażenie niezłe, ale rzeczowo nic o nim nie wiem.

Obawiam się, że najęty do mnie za parobka Józef Malčius z Karwieliszek, który podług umowy ma stanąć do roboty od 1 marca, zaangażuje się jako ochotnik do oddziałów litewskich obrony przed bandytami i bolszewikami, tworzonych przez generała Plechowicza. Podobno bardzo wiele młodzieży litewskiej zapisuje się do tych oddziałów. Młody Józef Malčius, chłopiec silny w kwiecie wieku, nieżonaty, jest sam ten do takich oddziałów i usposobiony jest bardzo patriotycznie. Choć dla mnie gospodarczo byłaby to strata dotkliwa, jednak nie tylko bym się nie dziwił, gdyby on się tam na ochotnika zgłosił, ale i nie żałowałbym tego.

Jadzia mi wciąż kwęka. Jeden dzień ma się niby lepiej, nazajutrz zapada na jakieś bóle w żołądku, w kiszkach, w krzyżu, nie śpi itd. Czasem zdaje się, że to już się połóg zbliża, choć lekarze obliczali termin na 15-20 marca. Chciałbym, żeby już wreszcie Buba zalokowała się u nas, to byłbym spokojniejszy o Jadzię.

27 lutego, rok 1944, niedziela

W liście Lola Wołodkowicza z Wilna do Mieczkowskich, otrzymanym przed paru dniami, Lolo wspomina o śmierci jednego z synów Julka Komorowskiego i wymienia mianowicie Zysia. Szczegółów nie podaje, myśląc, że wiemy o tym od Andrzeja, który był przyjechał z Wilna do domu na wakacyjki i dziś odjeżdża z powrotem; ale Andrzej nic o tym nie wiedział. Lolo wspomina, że syn Julka Zyś „zakończył życie" w d. 22 stycznia. My z Elwirą skłonni jesteśmy myśleć, że to chodzi nie o Zysia, lecz o Bisia, czyli Bronka, drugiego syna Julka. Bronek-Bis bowiem od wiosny siedzi w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie; Niemcy (Gestapo) aresztowali go w związku z aresztami tajnej organizacji polskiej; podobno kolportował on tajne pisemka tej organizacji. Niektórych z tych aresztowanych stracono na Ponarach, gdzie Niemcy stale dokonywują egzekucji; innych uwolniono lub wywieziono do Niemiec bądź na roboty przymusowe, bądź do obozów; jeszcze innych trzymają wciąż na Łukiszkach i Biś jest w ich liczbie. Biedny Julek poruszył wszystkie możliwe sprężyny, używał wszystkich zabiegów, aby ratować syna. Rujnował się na łapówki, pchał pieniądze pośrednikom, którzy mieli dawać komu trzeba łapówki, ale może sami je sobie przywłaszczali, używał wszelkich stosunków i protekcji. Wciąż go łudzono, obiecywano rychłe uwolnienie chłopca, dojono, ale chłopca nie wypuszczano. Już, już miał być wolny i znowu nic z tego. Zdawałoby się więc, że jeżeli syn Julka umarł – to właśnie Biś: może go rozstrzelano na Ponarach, a może zachorował w więzieniu i umarł. Ale skądinąd zdaje się, że Lolo, który zna tych chłopców, nie powinien by się pomylić co do imienia. Starszy Zyś był gdzieś na Żmudzi, gdzie się ukrywał i pracował w gospodarstwie jakimś. Może to się z nim coś stało. Ale czy to Zyś czy Biś zginął – strata dla biednych Julków jest równie ciężka. Chłopcy to wyhodowani, mający po lat 19 i 18, piękni, silni i rośli jak dęby. Dla Julka i Madzi to jest straszne. Kochali oni ich nad życie.

Nasza Kotuńka dziś zachorowała. Miała gorączkę dużą, którą ciągle od czasu do czasu dostaje z przerwami kilkumiesięcznymi, słaba więc była, kapryśna, a potem spała.

28 lutego, rok 1944, poniedziałek

Śnieg zaczął padać. Pod wieczór już się trochę zaczęła ustalać sanna. Z Gaju można było zupełnie dobrze wieźć drzewo saniami. Był dziś alarm. Seniunas z kilku mężczyznami chodził po okolicy, szukając śladów jakichś rabusiów, którzy przejeżdżali w nocy i u jednego z gospodarzy zabrali konia, pozostawiając swojego. Wieczorem słychać było, że pod Krewnami policja pochwyciła tych bandytów. Okazali się nimi uchodźcy Moskale. Jednego schwytano żywcem, drugi – nieżywy; podobno sam się otruł, żeby się nie dostał w ręce policji.

Do oddziałów litewskich, tworzonych przez generała Plechowicza, werbunek idzie niezwykle pomyślnie. Młodzież zgłasza się masowo. Zapisy ochotników są dokonywane po miasteczkach przez oficerów litewskich. W Abelach w ciągu jednego dnia zgłosiło się przeszło 50, w Rakiszkach – przeszło 100; jest to tylko niewielka cząstka tych, co decydują się zgłaszać. Zapał wśród młodzieży patriotycznej jest wielki. Większy, niż się spodziewałem. Dopóki werbowali czy to do robót, czy to do jakichś formacji wojskowych Niemcy – nikt iść nie chciał; wszyscy się wszelkimi sposobami wykręcali i chowali. Teraz do litewskich narodowych oddziałów Plechowicza jest pęd wielki; zgłaszanie się stało się bardzo popularne. W odezwach i przemówieniach Plechowicz wypowiada się energicznie i rezolutnie. Ruch ten jest zdrowy i ma w sobie tężyznę przypominającą, a może nawet przekraczającą zgłaszanie się ochotników do tworzącej się litewskiej armii narodowej w roku 1919. Jest to ciekawe i charakterystyczne tym bardziej, że niebezpieczeństwo jest teraz groźniejsze, niż było w roku 1919, bo Sowiety jako siła wojskowa są teraz bez żadnego porównania groźniejsze, niż bolszewicy z roku 1919. Oprzeć się im nie jest łatwo. Są w kraju naszym przez ogromną większość ludności znienawidzeni, ale ci, co stają do walki, narażają się na większe niebezpieczeństwo. Zapał więc przemaga obawę. Świadczy to dobrze o tej młodzieży. Jakie będą rezultaty – niepodobna przewidzieć. Będzie to oczywiście zależało w pierwszym rzędzie od siły oporu Niemców. Ale gdyby nawet wysiłek Litwinów został złamany, jak były łamane powstania polskie w wieku XIX, to przecież kapitał moralny oporu pozostaje w narodzie. Skądinąd też, jeżeli na coś liczyć w spekulacjach politycznych, likwidujących wojnę, można będzie, to w żadnym razie nie wygrają nigdy i nic ci, którzy li tylko siedzą biernie i dają się, jak stado baranów, gnać we wszelką niewolę. Kto wykazuje wolę czynną wolności i stawia opór, z tym liczyć się zawsze więcej będą; *ceteris paribus* – to atut polityczny.

Otrzymałem z poczty list od Żakiewicza, w którym donosi mi o wysłaniu mi pieniędzy z mojej pensji uniwersyteckiej za styczeń. Suma jest podwyższona, bo doliczono dopłaty za ubiegłe miesiące z tytułu podwyższenia pensji. Stąd też to opóźnienie. Ucieszyłem się, bo już mi z pieniędzmi było bardzo krucho i obawiałem się, że może do nowego roku wstrzymano wypłatę pensji uniwersyteckiej.

29 lutego, rok 1944, wtorek

Śnieży ciągle. Jest już wcale dobra sanna.

Myślałem, że skoro Jadzia tak ciągle w ostatnim miesiącu ciąży niedomaga – to gorączkuje, to ma bóle w kiszkach, w krzyżu, w bokach – to nuż połóg nastąpi prędzej, niż obliczaliśmy i raptem w tym dniu 29 lutego, który bywa raz na cztery lata, urodzi się nam bądź Filipek, bądź Kruszula (tak mianowicie – „Kruszula" – wymawia Iga imię Urszuli, które żartem daję tej ewentualnej córeczce, a którego Jadzia bardzo nie lubi, choć jest to imię jej matki – „Buby"). Gdyby się dziecko urodziło w dniu 29 lutego, to miałoby rocznicę urodzin raz na cztery lata. Ale ten dzień osobliwy przeminął bez żadnego tej natury ewenementu i zdaje się, że obliczenia nie zawiodą – połogu doczekamy się za 2-3 tygodnie. Dolegliwości Jadzi nie są połogowe, tylko ostatki ciąży czynią wszelkie dolegliwości jaskrawszymi i trudniejszymi. W każdym razie Jadzia czuje już w łonie pozycję dziecka zmienioną, bardziej podaną ku ujściu.

W ciągu dwóch dni chorowała nam Kotuńka. Jak to u niej zawsze się powtarza co pewien czas – miała wielką gorączkę, osłabła bardzo, nic nie jadła, była w czasie choroby bardzo kapryśna. Dziś miała się już lepiej: gorączki nie było, jadła trochę, humor miała dobry, bawiła się z Igą

wesoło, nie wstając jednak z łóżka. Jutro sprowadzimy do niej lekarza dr Kozłowskiego z Abel, którego skądinąd trzeba sprowadzić do chorej Genuti Nowikasów. Nie wiemy, co jest Kotuni. Może to coś nerkowego; Jadzia posądza, że to od robaków, które ma Kotunia. Ja się obawiam, czy to nie są czasem jakieś przypadłości natury nerwowej, nie daj Boże – histerycznej. Kotunia bowiem na ogół jest kapryśna, przesadna w antypatiach, zazdrosna szalenie, bardzo nierówna w uczuciach swoich, pełna wstrętów jakichś. Kiedy zachorowuje, to nie znosi Igi, dręczy otoczenie i matkę, którą kocha niezwykle, jest strasznie egoistyczna, staje się nawet przewrotną, mimo że na ogół jest bardzo prawdomówną i rzetelną, kiedy jest zdrowa.

Żakiewicz w liście, który otrzymałem wczoraj, angażuje mię do napisania krótkiej rozprawki o stanie konstytucyjnym Litwy w dniu 15 czerwca 1940, to znaczy w dniu, kiedy Sowiety rozpoczęły swoją inwazję do Litwy. Chodziłoby właściwie o konstytucję litewską z roku 1938, która wtedy obowiązywała, ze szczególnym uwzględnieniem Sejmu i prezydenta republiki oraz ustaw wyborczych do Sejmu i prezydenta. Chętnie bym się tego podjął po porozumieniu co do szczegółów z Żakiewiczem.

1 marca, rok 1944, środa

Naśnieżyło tyle, że od rana była już dokoła sanna. Ale jednocześnie była odwilż – po obiedzie tak wielka i zasilona deszczem, że na wieczór prawie cały śnieg spędziło i sanna znikła.

Sprowadziliśmy dziś rano z Abel doktora do Kotuńki. Wczoraj i dziś rano gorączki już nie miała, ale jest bardzo osłabiona. Dr Kozłowski zbadał ją, ale nic konkretnego nie skonstatował i nie orzekł. Z doraźnej analizy uryny Kotuńki wnioskował jednak, że w nerkach nic złego u niej nie ma, bo wydzielin białka nie stwierdził. Ostatecznie więc nadal nic nie wiemy, co jej jest. Pozostała wersja Jadzi, że to od robaków, które Kotuńka ma, bo przed paru tygodniami wyszły z niej – raz dużo malutkich, a drugi raz jeden duży. Na wieczór stan Kotuńki znów się pogorszył. Słabiutka ona jest biedaczka, ledwie żywa; skarży się ledwie dosłyszalnym piskliwym głosem. Biedne dziecko. Żal patrzeć na nią.

Wieczorem był u nas na herbacie Hektor Komorowski, który przed kilku dniami był w Wilnie. Potwierdził wiadomość o śmierci jednego z synów Julka Komorowskiego. Chodzi istotnie o Bisia (Bronka), 17-letniego chłopca, który od maja siedział aresztowany przez Gestapo. Wyrokiem sądu polowego niemieckiego został skazany na śmierć. Wyrok został wykonany w Ponarach w d. 22 stycznia. Julkowie długo nic o tym nie wiedzieli i wciąż posyłali dla syna do więzienia paczki żywnościowe, które tam przyjmowano, aż wreszcie jakiś dozorca więzienny powiedział, że go już w więzieniu nie ma. Madzia Julkowa zaczęła chodzić do urzędów Gestapo, gdzie wreszcie pokazano jej wyrok śmierci na syna. Wszakże data śmierci i miejsce wykonania wyroku opierają się li tylko na pewnych poszlakach i nie są rodzicom urzędowo zakomunikowane. Nie wiadomo też, gdzie są pochowane zwłoki. Julkowie jeszcze się usiłują łudzić, że może jakiś traf zachował ich syna przy życiu. Ale zdaje się – nie ma żadnych szans na to.

Relacje Hektora z Wilna są pełne szczegółów o partyzantce polskiej w Wileńszczyźnie. Partyzantka ta pono rozwinęła się bardzo mocno. Dwa są jej ogniska główne – w okolicach Podbrodzia na rzece Żejmiance i w powiecie lidzkim. Pełno opowieści o wyczynach tej partyzantki z jaskrawymi szczegółami, zaprawionymi wielką rycerskością. Partyzantka polska walczy zarówno z Niemcami, jak z partyzantką bolszewicką, której tereny zachodzą też na Wileńszczyznę, ale rozciągają się zwłaszcza na wschód.

2 marca, rok 1944, czwartek

W nocy naśnieżyło znowu, podmarzło trochę i znowu jest niezła sanna. Jeździłem do Abel. Po raz pierwszy tej zimy jechałem bliższą drogą od Busiszek na Vanegiški Juchny, łąki popilskie i Ożkinie na jezioro. Dotąd przez jezioro się nie jeździło. Głównym celem jazdy mojej było podjęcie z poczty przysłanych mi z Wilna przez Żakiewicza pieniędzy – 947 marek. Jest to już niezły zasiłek dla mojej kasy. Trochę poprzednio sprzedałem lasu – Eigminowi za 640 RM, Kišunasowi za 120

RM, ale też wydatków było dużo. Wypłaciłem Novikasowi 250 RM za krowę, Fiodorowi 210 RM za porąbanie 30 metrów drew, Maksimowi 180 RM za wytrzepanie 4 pudów lasu i 35 RM za porąbanie chrustu, dziś kupiłem w Abelach 5 litrów nafty za 150 RM, 2 wiadra za 70 RM, trzeba będzie jeszcze zapłacić Janowi Malčiusowi 120 RM za wyrąbanie 3 sążni drew dla Valečki, kupić kartofli od Piotra Bagdonasa w Boniuszkach za 500-700 RM. Pieniądze płyną jak woda. W każdym razie, pensja uniwersytecka będzie nadal przychodziła, stanowiąc wielki sukurs dla mnie, a spodziewam się jeszcze sprzedać trochę lasu. Stašys z Busiszek chce kupić u mnie kilka metrów brzozy na drwa, Juchna z Papilów chce kupić drzewa budulcowego za większą sumę 3-4 tysięcy Reichsmarek.

Dziś Kotuńka znowu bardzo gorączkowała. Miała 39 stopni rano i wieczorem. Nic nie je. Wygląda strasznie mizernie i blado. Strasznie szkoda biednego dziecka. Najgorsze zaś to, że nic nie wiadomo, co to jest. Ta gorączka tak ją osłabia, że jak w roku 1941 – nie może stać na nogach. Skrzywdziłem ją pozawczoraj, przypisując jej w dzienniku kaprysy, egoizm i rzekomo histeryczne wstręty i antypatie. Że biedne chore dziecko kaprysi trochę, że nie znosi krzykliwego zachowana się zdrowej siostrzyczki, które ją drażni – to rzecz bardzo naturalna, która nic z histerią nie ma wspólnego. Żałosny jest widok biednej dziewczynki, więdnącej w oczach pod wpływem gorączki. Na wieczór wszakże rozchorowała się dziś także Iga. Skarżyła się na jakiś ból w żołądku, mówiła, że jej niedobrze, spała po obiedzie w gabinecie u mnie na kanapie, najadała się wszakże, a wreszcie na wieczór dostała wymiotów.

3 marca, rok 1944, piątek

Wciąż umierają ludzie z pokolenia naszego. Oczywiście – nigdy się nikt znajomy nie rodzi, a wśród umarłych znajomych dużo. Jest to w naturze rzeczy. Ale ilość umierających spośród tych, których się dobrze znało i z którymi się współpracowało, jest teraz szczególnie wielka. Okoliczności tej wojny usposabiają ludzi starszych do starzenia się i śmierci. Dziś dowiedziałem się z gazety o śmierci w Wilnie profesora Albina Rimki. Znałem go od roku 1908 czy 1909, kiedy jako chłopiec mniej więcej 20-letni przyjechał z głębi prowincji litewskiej do Wilna i osiadł w redakcji „Lietuvos Ukininkas”. Prawdziwie osiadł, bo się z tej redakcji nie ruszał i jak przykuty, zawsze tam nad czymś ślęczał. Był to chłopak z ludu, proletariusz wiejski. Słabego był zdrowia, miał rozedmę płuc i zadyszkę, która go nie opuściła przez całe życie i która mu odbierała możność pracować fizycznie. Nie miał żadnego wykształcenia szkolnego, ale miał umysł i studiował. Na razie nie znał żadnego innego języka prócz litewskiego. Przekonań był radykalnych, lewicowych – jak to mówiono, był bliski ludowcom, toteż w redakcji organu ludowców się w Wilnie umieścił. Zaczęto się z nim wśród ludowców w Wilnie liczyć. Był autentycznym dzieckiem ludu i człowiekiem zdolnym. Cichy był i poważny. Wiele czasu poświęcał nauce. Po trochę, własnymi studiami osobistymi, przeszedł całą naukę gimnazjalną i nie mając formalnego świadectwa matury, udał się koło roku 1914 do Niemiec. Nie znam dobrze szczegółów jego życia w Niemczech w okresie Wielkiej Wojny z lat 1914-1918, wiem tylko, że się dostał w charakterze eksterna czy wolnego słuchacza na jeden z uniwersytetów niemieckich, gdzie studiował ekonomię i nauki społeczne i zdołał zwrócić na siebie uwagę. Ukończył też studia uniwersyteckie, choć ze względu na brak matury formalnej miał jakiś feler w dyplomie uniwersyteckim. W każdym razie po wojnie, gdy wrócił do kraju, rychło się zaznaczył jako wybitny ekonomista. Został też zaangażowany na Uniwersytet Litewski na sekcję ekonomiczną Wydziału Prawniczego, gdzie z nim przez długie lata kolegowałem. Dano mu tytuł docenta, ale ze względu na feler formalny dyplomu długo nie mógł awansować i dopiero po kilkunastu leciech zdecydowano się mianować go profesorem nadzwyczajnym. Wykładał ekonomię polityczną i statystykę, był jedną z najlepszych sił na sekcji ekonomicznej, napisał kilka prac, wydanych przez uniwersytet. Był też długoletnim kierownikiem państwowego Biura Statystycznego. W roku 1926 za rządów lewicowych w Litwie był w gabinecie Michała Ślażewicza ministrem finansów. Za czasów sowieckich w roku 1940-1941 został dziekanem Wydziału Ekonomicznego na Uniwersytecie Wileńskim. Po wkroczeniu Niemców

został usunięty ze stanowiska dziekana, ale pozostał profesorem, jednym z najpoważniejszych na wydziale.

4 marca, rok 1944, sobota

Św. Kazimierz. Niegdyś była to rocznica urodzin śp. Papy. Gdyby żył, skończyłby dziś 99 lat. Święty Kazimierz – patron Litwy. Nigdy, zdaje się, nie obchodziły się tak gorliwie święta narodowe, jak teraz na wsi litewskiej. Zdaje się, że ludność przywiązuje się specjalnie do tych świąt, garnąc się tęsknotą i sentymentem serdecznym do wszelkich symbolów ojczyzny wolnej, której byt polityczny w tej strasznej wojnie jest bardzo poważnie zagrożony. Choć urzędowo nie było święta, jednak na wsi dzień dzisiejszy świątkowano. W Komajach na św. Kazimierza jest wielki jarmark tradycyjny. Jeździł tam dziś z swojego ramienia Novikas. Miał kupić nowe płozy do sań, ale nie dostał.

Dzieci nasze wyzdrowiały. Kotuńka po trzech czy czterech dniach wielkiej gorączki (wczoraj przez cały dzień miała 39 stopni) dziś już czuła się dobrze i wstała z łóżka. Ale jest wymizerowana strasznie, jest blada z wielkimi sińcami pod oczami, twarz ma pomarszczoną, a gdy się czasem zasępia, to ma jakiś wyraz bolesny, że aż przykro patrzeć na nią. Czuła się tak osłabiona, że lękała się wstać z łóżka, ale gdy wstała, to się ruszała dużo. Naturalnie, że na dwór nie wychodziła, choć na dworze mrozu nie było. Apetyt ma lepszy nieco. Iga także chorowała trochę wczoraj i była leżąca. Była to u niej, zdaje się, niedyspozycja żołądkowa; po prostu się objadła. Womitowała wczoraj rano i miała lekką gorączkę. Dziś dobrze się już czuła.

Przed obiadem przyjechała Stefcia Boreišisowa ze swą córeczką Stieputią.

Wieczorem była depesza od jednego z kandydatów na ekonoma – Adamowicza z Poniewieża, że przyjeżdża jutro. Nic dokładnie o nim nie wiem, ale z listów przedstawia się nieźle. Zobaczymy, jak się zaprezentuje. Drugi kandydat – Leinart ze Żmudzi – wciąż się wybiera, ale dotąd nie zdołał otrzymać jeszcze pozwolenia na jazdę. Jeżeli Adamowicz nam się spodoba i zdołamy się z nim umówić, to z Leinartem zerwę. Osobiście – sam nie wiem dlaczego – mam więcej zaufania do Leinarta.

5 marca, rok 1944, niedziela

Zbliża się połóg Jadzi. Za dni 10 do dwóch tygodni powinno już nastąpić rozwiązanie. Syn czy znowu córka? Jadzia gorąco pragnie syna. Ja pragnąłbym także syna, który by utrzymał ciągłość naszej gałązki Michałów w rodzie Römerów i byłby z kolei Michałem V. Nazwałbym go „Mykolas-Jaunutis" (Michał-Jawnuta). Ale nie mówię głośno, że mi chodzi bardzo o syna. Wszyscy to wiedzą albo domyślają się tego, ale ja twierdzę, że równie dobra mi będzie córka, jak syn. Nie chcę bowiem robić przykrości Jadzi na wypadek urodzenia córki i nie chcę też krzywdzić tej biednej ewentualnej córeczki, jeżeli się ona urodzi Bogu ducha winna, żeby nie było wrażenia, że jest niepożądana. Kochałbym ją zresztą istotnie nie mniej, niż starsze córeczki i niżeli syna.

Czasami zdaje się Jadzi, że oto połóg nastąpi już zaraz, za jakiś dzień. Miewa bóle w krzyżu, czuje opadanie brzucha... Ale następny dzień mija i alarmu nie ma. Dziś Jadzia urządziła już całkowicie pokój na przyjęcie dzieciątka. W pokoju stoi koszyk z całą wyprawką pościelową niemowlęcia, ten sam, w którym przed pięciu laty leżała mała Kotuńka, a przed czterema laty – Iga. Stoi też szafka dziecinna, na której dziecko się będzie przewijało i kąpało. To trzecie dziecko musi już być ostatnie. Syn czy córka – na nim już poprzestaniemy. Daj Boże, żebyśmy je zdołali wychować i żeby komplikacje wypadków wojennych oszczędziły je.

Wieczorem ojciec Jadzi, stary Ignacy Čepas, uproszony przez nas, pojechał do Abel na dworzec kolejowy na spotkanie kandydata na ekonoma, Adamowicza z Poniewieża, który wczoraj depeszą zapowiedział swój przyjazd na dziś. Koło godz. dziewiątej wieczorem wrócił Čepas sam jeden. Adamowicz nie przyjechał pociągiem. Coś mu musiało przeszkodzić. Chciałoby się już prędzej mieć zapewnionego ekonoma.

Przyszedł nakaz wywieźć z lasu rządowego w Pokieniach 15 metrów drew na stację kolejową do Abel. Nowy ciężar dla naszych biednych koni i nowa mitręga w robocie. Dobrze, że jeszcze sanna siaka taka. Ale już ta sanna ucieka. Śniegu jest bardzo mało, a co dzień we dnie odwilż.

6 marca, rok 1944, poniedziałek

Znowu u Kotuni gorączka. 39 stopni. W tym stanie wyczerpania, w jakim jest po kilku dniach poprzednich gorączki, to nowe podniesienie gorączki jest straszne. Chodziliśmy z Jadzią cały dzień jak struci. Obawiamy się o jej życie. Zdecydowaliśmy się z Jadzią spróbować sprowadzić jutro do Kotuni panią Apolinarową Wienażyńską z Rakiszek, która jest lekarką specjalistką od chorób dziecinnych.

Wieczorem przyjechał niespodzianie z Poniewieża Adamowicz, kandydat na ekonoma, którego nie doczekaliśmy się wczoraj. Dosyć wysokiego wzrostu, tęgi. Mężczyzna w wieku ponad 40 lat, w sile wieku. Wrażenie robi dobre. Znam jego brata, który był w Kownie (i jest) administratorem teatru. Jutro będziemy się umawiali. Dziś tylko ogólnie rozmawialiśmy z nim przy herbacie.

7 marca, rok 1944, wtorek

Z Adamowiczem ustaliliśmy następujące warunki ewentualne wynagrodzenie za służbę ekonoma: pełna ordynaria, jak parobka, i 100 RM miesięcznie. Na mieszkanie chciałby on mieć oba pokoiki w oficynie i kuchnię. Uchodźców (rodzinę Fiodora Stułowa) przeniósłbym z oficyny, gdzież zajmują oni jeden pokój, do chaty parobczanej. Adamowicz jutro wraca do Poniewieża, tam się naradzi jeszcze z żoną i pozajutro ma zaraz zatelegrafować do mnie, dając odpowiedź ostateczną. Zdaje się, że służbę przyjmie i że ma ochotę się nająć. Wrażenie robi dobre. Zdaje się być dosyć energiczny i sprytny, umiejący kombinować. Oglądał pilnie wszystkie zabudowania i całe gospodarstwo. Obszedł wszystko ze mną i potem sam chodził dużo.

Po obiedzie pojechałem z Fiodorem do Rakiszeczek i przywiozłem stamtąd panią Wienażyńską, która zbadała Kotuńkę. Kotunia gorączki dziś nie miała. P. Wienażyńska żadnej choroby ani wady u niej nie znalazła. Powiada, że jest zupełnie zdrowa. Jak inni lekarze, którzy ją badali, nie znajduje u niej żadnego defektu i żadnego organicznego źródła tej gorączki. Prosiła jeszcze o przysłanie jej uryny dla dokonania analizy. Ewentualnie gorączka może pochodzić od robaków, które ma Kotuńka. Nie można zrozumieć, jak dziecko może być zdrowe i zapadać na tę ciężką chorobę.

8 marca, rok 1944, środa

Miałem jechać dziś do Rakiszek. Ale nie pojechałem, bo na skutek wczorajszej wizyty doktorki Wienażyńskiej Fiodor ze starą ciotką swoją powiózł synka swego Wołodzię do Rakiszek do szpitala, a że do Rakiszek też jechała kucharka Onutė, więc dla mnie miejsca zabrakło. Zrezygnowałem z tej jazdy. Do Abel na stację odwiózł Adamowicza ojciec Jadzi. O Adamowiczu we dworze utworzyła się opinia dodatnia jako o człowieku gospodarczym i pojętnym. Wszystko obejrzał, o wszystko się rozpytał, zapoznał się z ludźmi. Uwagi i spostrzeżenia jego były mądre, gospodarczo zasadne i trafne. Zdaje się, że ma ochotę na tę posadę. Będę teraz czekał od niego depeszy z Poniewieża.

Wieczorem z poczty otrzymałem depeszę, podpisaną przez lekarza pułkownika Usasa z Wilna, donoszącą mi o śmierci... Franka Alechnowicza. Depesza lakoniczna: „Mirė Aleknavičius. Laidotuvės trečiadienį“[5]. Depesza nadana 6 marca i tegoż dnia otrzymana w Abelach, ale ponieważ teraz depesze na wsi nie są przesyłane z poczty zamiejskim adresatom przez umyślnych posłańców, jeno odbierane przez samych adresatów wraz z ich korespondencją, do Abel zaś na pocztę mamy okazję nie co dzień, więc depesza przeleżała dwa dni w Abelach. Gdybym nawet chciał pośpieszyć

---

[5] „Zmarł Alechnowicz. Pogrzeb we środę”.

na pogrzeb śp. Franka, to już bym nie mógł, bo pogrzeb dziś się odbył. A zresztą niełatwo się teraz wybrać w podróż do Wilna, zaś ze względu na stan Jadzi jest to dla mnie zupełnie niemożliwe. Wiadomość o śmierci Franka bardzo mię poruszyła. Umarł w wieku lat 60. Ze śmiercią Franka znika z widowni jeden z ostatnich moich dawnych przyjaciół wileńskich i tych, z którymi w latach 1905-1906 współpracowałem w „Gazecie Wileńskiej". Spośród nich był on jednym z nielicznych, z którym do końca zachowałem bliskie stosunki. Z tej plejady przyjaciół i ex-przyjaciół wileńskich moich, którzy do czasu obecnej wojny byli jeszcze żywi w Wilnie, Witold Abramowicz i Stanisław Bagiński zostali w jesieni roku 1939 wywiezieni przez Sowiety i prawdopodobnie zamęczeni, Bronisław Krzyżanowski umarł w roku 1942, Adolf Narkiewicz był w roku 1941 aresztowany i wywieziony przez Sowiety, poprzednio jeszcze przed wojną umarł Zygmunt Nagrodzki i Ludwik Abramowicz, Antoni Łuckiewicz w roku 1939 był aresztowany i wywieziony przez Sowiety i umarł w więzieniu sowieckim, Zygmunt Jundziłł w roku 1940 umknął do Warszawy, gdzie dotąd siedzi. Franek Alechnowicz był jednym z ostatnich, który był pozostał. Obawiam się, czy nie został zamordowany przez dywersantów sowieckich, jak tylu innych wybitnych działaczy białoruskich. Napiszę z kondolencją dla jego żony i będę prosił Usasa, który był jego krewnym, o udzielenie mi szczegółów o jego śmierci. Jeżeli mają do nas jeszcze wrócić bolszewicy – na stałe lub choćby czasowo – to chwała Bogu, że Franek umarł zawczasu. Gdyby się dostał w ręce Sowietów, to miałby męczarnię i śmierć pewną i to najgorszą. Był on bowiem wrogiem największym Sowietów, których rządy i metody doświadczył na sobie. Koło roku 1927 dał się on namówić wyemigrować z Polski, gdzie ruch białoruski był tłumiony, do Białej Rusi sowieckiej, gdzie spodziewał się znaleźć wdzięczne pole dla pracy i twórczości narodowej białoruskiej. Wyjechał i zainstalował się w Mińsku pełny entuzjazmu. Aliści wkrótce został przez GPU aresztowany, włóczony po więzieniach sowieckich i wreszcie zesłany do obozu pracy przymusowej na Sołowkach na Morzu Białym, gdzie w warunkach nieludzkich przemęczył się przez lat siedem, aż za staraniem przyjaciół w Polsce został wymieniony przez Polskę na więźniów komunistycznych, zwróconych Sowietom. Po powrocie do Polski opisał swoją martyrologię i tryb obozów pracy sowieckich. Książka ta była przetłumaczona na wiele języków. Oczywiście Sowiety nie darowałyby mu tego, gdyby go były pochwyciły. W roku 1939 w jesieni uciekł z Wilna przed Sowietami do Kowna i siedział czas jakiś u mnie w Bohdaniszkach. W roku 1940-1941, gdy Sowiety wkroczyły do Litwy, próbował na razie uciec do Niemiec, ale Niemcy go nie przyjęli. Wrócił i ukrywał się cały rok starannie. Na wiosnę r. 1941 dostał jakąś posadkę stróża mostu kolejowego i doczekał się wkroczenia Niemców. Wtedy stał się jedną z postaci wybitnych ruchu białoruskiego w Wilnie, redaktorem gazety „Białoruskij Hołas", działaczem teatralnym jako zasłużony dramaturg i literat na całą Białoruś, jeden z seniorów sprawy białoruskiej. A że ruch białoruski pod okupacją niemiecką miał ścisły kontakt z Niemcami, pod których protekcją się rozwijał, przeto działacze tego ruchu są gwałtownie tępieni przez dywersantów bolszewickich, którzy wszystkich wybitniejszych i czynniejszych sprzątają. Podejrzewam, że taki los spotkał też Franka. Żył on zresztą w ciągłym strachu śmiertelnym przed ewentualnością powrotu Sowietów. I pił straszliwie.

9 marca, rok 1944, czwartek

Doczekaliśmy się wreszcie dnia krytycznego. Już wczoraj pod wieczór Jadzia czuła się niewyraźnie, wieczorem zaś koło godziny dziewiątej, już leżąc w łóżku, poczuła nagle, że spływa z niej woda. Wody spłynęło dużo. Jadzia wstała z łóżka i zaczęła chodzić w szlafroku, a woda wciąż się sączyła. Zrozumieliśmy, że zbliża się połóg. Zaraz posłałem po Izydora, którego wysłaliśmy do Abel po akuszerkę. W parę godzin akuszerka już była. Stwierdziła, że proces połogowy u Jadzi już się rozpoczął. Dziecko zajęło już pozycję skierowaną do wyjścia, jest już otwór, ale jeszcze niewielki. Wszystko jest zupełnie normalne, puls dziecka dobry, ale Jadzia nie ma żadnych bólów. Nie ma żadnego naprężenia mięśni do wyrzucenia płodu. Jest stan zupełnie bierny. Nie było nic innego, jak czekać na bóle połogowe. Tak minęła noc. Dziś rano to samo. Sytuacja stawała się niepokojąca. Akuszerka orzekła, że jeżeli do godziny trzeciej po południu ten stan rzeczy się nie

zmieni, to trzeba będzie posyłać po doktora z Abel, bo może wypadnie przedsięwziąć jakieś środki na rzecz sztucznego wydobycia dziecka. Dla matki niebezpieczeństwa nie ma, ale jeżeli to potrwa, to może być niebezpieczeństwo dla dziecka, które może się zmęczyć i wreszcie zadusić. O godzinie trzeciej Fiodor pojechał po doktora Kozłowskiego do Abel, którego przywiózł koło szóstej. Jadzia była znerwowana z powodu tej bezczynności biernej organizmu, ja i Buba także zaniepokojeni. Doktor, który choć młody i na ogół mało doświadczony, jednak na ginekologii zna się nieźle i jest staranny, po zbadaniu Jadzi i po naradzie z akuszerką orzekł co następuje: można i trzeba czekać do ranka; do ranka niebezpieczeństwa jeszcze nie będzie; tymczasem da się Jadzi lekarstwa na sprowokowanie bólów, podniecających czynność połogową mięśni; może do ranka organizm funkcję swoją spełni; ale trzeba się liczyć z tym, że woda spłynęła i że Jadzia ma już koło 40 lat, co stanowi dwie przesłanki ujemne na rzecz aktywizmu porodowego. Jeżeli do rana rozwiązania nie będzie, to jeżeli otwór się dostatecznie rozszerzy, sam doktor wyciągnie dziecko kleszczami za głowę. Jeżeli wszakże otwór się nie rozszerzy, to nie będzie innego środka, jak dokonanie przecięcia i mechaniczne wybranie dziecka z łona matki. Ale tego nie będzie już mógł dokonać tutaj doktor; w takim przeto razie trzeba będzie zawieźć Jadzię do Rakiszek do szpitala, gdzie są odpowiednie narzędzia i gdzie czynność tę się wykona. U Jadzi, u Buby i u mnie wywołało to pewną konsternację. Przede wszystkim, samo wiezienie Jadzi do Rakiszek na wozie ze słomą jest dosyć ciężkie. Szpital w Rakiszkach jest zaniedbany i brudny. Trzeba tam dowozić żywność dla chorej, trzeba dawać gościńce dla służby i zwłaszcza dla sławnej Barbary, przyjaciółki dr Žemaitisa, która administruje szpital rakiski i rządzi się w nim jak szara gęś, a wymaga łapówek. I mnie trudno byłoby dojeżdżać do Jadzi. W domu zaś byłby wielki brak Jadzi; starsze dziewczynki – Kotunia i Iga – są bez żadnej niani, nie ma komu należycie się nimi opiekować bez Jadzi, Kotunia zaś zapadła w tych czasach na zdrowiu i może się niebezpiecznie rozchorować; gospodarstwo domowe też ucierpi na nieobecności Jadzi; ja nie mam pojęcia, co dysponować na obiad, czym i jak karmić czeladź, spiżarnia ucierpi. Wreszcie w szpitalu są różne choroby, a dozór nad niemowlętami bardzo słaby. Wszystkie te względy nie zachęcały nas do tego szpitala. Nie było jednak co robić – trzeba było czekać z perspektywą prawdopodobnego wyjazdu nazajutrz do szpitala do Rakiszek. Organizm Jadzi nie reagował. Wstawała ona, chodziła, znów się kładła, zmęczona, przygnębiona, smutna. Nic. Doktor poszedł spać do gabinetu mojego, ja położyłem się na kanapie w pokoju dziecinnym, Buba – na kanapie w korytarzu, akuszerka – obok Jadzi. Wszakże koło godziny 10-11 w nocy Jadzia zaczęła stękać, na razie trochę, potem coraz głośniej. Rozpoczęły się zbawienne bóle połogowe. Obudziliśmy doktora, powstawaliśmy wszyscy. Jadzia już krzyczała przeraźliwie na cały dom. Obudziła się Kotuńka i słuchała przerażona. Siedziałem przy niej i uspakajałem ją. Wreszcie punkt o północy wśród krzyków Jadzi urodziło się dziecko. Doktor w ostatniej chwili dokonał paru cięć nożyczkami, rozsuwając otwór i dając możność wyjścia dziecku. Obeszło się bez szczypców. Było po wszystkim. Ucichły krzyki Jadzi, rozległo się natomiast kwilenie dziecka, które wzięła w obroty akuszerka, która je uporządkowała, zawinęła w pieluszki i ułożyła w koszyku. Wreszcie o godzinie trzeciej nad ranem, po wszystkim, dr Kozłowski i akuszerka, którzy oboje bardzo starannie i dzielnie spełnili swoje zadanie, odjechali do Abel (wzięli względnie bardzo niedrogo, mianowicie dr Kozłowski 100 RM, akuszerka – 60 RM za pracę swoją i 10 RM za lekarstwa). Dzieciątko, które się urodziło, to znowu córeczka. Na syna nie mam oczywiście szczęścia. Wolałem, żeby to był choć raz syn, głównie za względu na ciągłość rodu, ale jeżeli Bóg dał znowu córkę, to niech tak będzie. Będę ją kochał nie mniej. Na ogół zaś wolę dziewczynki. Taki jest mój los, że jestem zawsze otoczony kobietami. Byłem najbardziej kochany przez Matkę, która mi była bliższą od Ojca, miałem same siostry, mam same córki, byłem kochliwy i kochałem dużo kobiet i przez nie bywałem kochany, byłem i jestem zawsze oblepiony babami, przepraszam – kobietami, które są słodsze od mężczyzn.

Powiadają, że ta nowo narodzona córeczka nasza jest typu Igi. Co do mnie – nie umiem o tym sądzić, dopóki jest tak dziecinnie młoda. Gdyby była podobna do Igi, to byłaby bardzo ładna. Niepodobna ściśle określić datę jej urodzin – 9 czy 10 marca. Urodziła się bowiem o samej

północy, ani minutę wcześniej, ani minutę później, na samym przełomie tych dwóch dni kalendarzowych, przynajmniej podług czasu słonecznego. Wszakże podług czasu urzędowego było to przed północą, a więc będziemy ją liczyli na dzień 9 marca.

10 marca, rok 1944, piątek

Jadzia po połogu wypoczywa. Będzie leżała dni dziesięć. Spodziewam się, że żadnych komplikacji nie będzie, bo wszystko odbyło się dobrze. Czuje się Jadzia nieźle. Zastępuje ją w domu Buba. Dziś napisałem pierwszy list do rodziny o urodzeniu trzeciej córeczki naszej – mianowicie do Ewy Meyerowej, i zatelegrafowałem o tym do prof. Gudowicza, który mię o to prosił, i do Stefci Boreišisowej. Nasza nowo narodzona panna, która poza łonem matki spędza pierwszą dobę życia, śpi spokojnie w swoim koszu; czasem pokwili trochę i śpi znowu. Głos ma dosyć mocny, temperamentu może mieć dosyć, ale jest stateczna. Nie dostaje dziś jeszcze pokarmu. O godzinie dziesiątej wieczorem Jadzia ją nakarmi po raz pierwszy. Imię tej panny jeszcze nie ustalone. Może ją nazwiemy „Żermena" – od francuskiego imienia „Germaine", które nam się z Jadzią podoba. Transkrypcja niemiecko-polska tego imienia jest brzydka: „Hermencja" – imię p. Janowej Przeździeckiej, z domu Sapieżanki, ale my byśmy zachowali brzmienie francuskie imienia: Żermena. Wszakże to jeszcze niepewne. W rezerwie mamy dla niej ewentualne imiona: Koleta, Karyla, Nijola, Zosia. Mnie się podoba szczególnie Koleta, Jadzi – Nijola. Zobaczymy, na które imię się zdecydujemy.

Nie ma dotąd depeszy z Poniewieża od kandydata na ekonoma – Adamowicza. Czyżby to był zły znak, że się nie zdecyduje na to stanowisko. Byłaby szkoda, bo zrobił na nas dobre wrażenie.

11 marca, rok 1944, sobota

Jadzia ma lekko podniesioną temperaturę i trochę narzeka na ból w prawym boku przy poruszaniu się. Leży naturalnie w łóżku. Zdaje się jednak, że nic złego nie jest i że komplikacji nie ma. Doktora dla zdjęcia szwów mamy sprowadzić dopiero we czwartek czy piątek. Mała córeczka śpi i co trzy godziny jest karmiona piersią Jadzi. Mleka, zdaje się, Jadzia ma na razie dosyć dla dziecka. Niańkę, której nie mamy, zastępuje przez czas choroby Jadzi Buba. Powiadają, że córeczka jest typu Igi, to znaczy ma rysy i wyraz po Römerach; przynajmniej z twarzy. Jadzia twierdzi, że rączki nóżki ma podobne do Kotuni, która te kończyny ma podobne do moich, będąc z twarzy podobna do Jadzi i jej rodziny.

Otrzymałem dziś depeszę od Adamowicza, że się zdecydował przyjąć posadę u mnie, że wkrótce zawiadomi o przyjeździe.

Nająłem dziś młodego Piotra Pupieluka na parobka na trzy dni w tygodniu na naszym stole w ciągu siedmiu miesięcy – od 1 kwietnia do 1 listopada.

Byłem w Gaju, gdzie wyznaczyłem osiem młodych jesionków dla Orłowskiego z Boniuszek za dwie pary płozów brzozowych do sań.

Parobcy przywieźli z Boniuszek 50 cetnarów kartofli, które kupiłem u Piotra Bagdonasa po 20 RM za cetnar.

12 marca, rok 1944, niedziela

Jadzia dziś – w trzecim dniu po połogu – gorzej się czuła. Miała wieczorem wielką gorączkę – ponad 39 stopni. Obawiam się, żeby się nie wywiązała jakaś komplikacja. Całe szczęście, że jest przy niej jej matka, która bardzo poczciwie opiekuje się Jadzią i dzieckiem. Bez jej pomocy byłoby trudno, dopóki Jadzia jest chora. W pierwszych dwóch dniach po połogu Jadzia czuła wciąż ból z prawej strony. Wreszcie wyskoczył duży skrzep krwi, który widocznie sprawiał ten ból. To jej ulżyło. Ulżyły też jej wymioty, które miała dziś. Żołądka wciąż nie ma. Piersi ma twarde i ma w nich ból, gdy dziecko ją ssie. Dziecko jest dosyć silne i śpi dobrze, choć pokarmu od matki dostaje, zdaje się, mało.

13 marca, rok 1944, poniedziałek

Byłem w Abelach. Chciałem przywieźć stamtąd do Jadzi doktora, ale żem go nie zastał i że to chodzi o stan bezpośrednio po połogu, więc przywiozłem akuszerkę. Po zbadaniu Jadzi stwierdziła ona, że gorączka, którą Jadzia wczoraj miała, nie była żadną gorączką połogową i nie pochodziła też od jakiegoś wrzodu w piersiach, którego nie ma, jeno była prawdopodobnie wyrazem niedyspozycji żołądkowej: Jadzia od połogu, to znaczy od czwartku, nie miała żadnych wypróżnień żołądka, wczoraj zaś rano zjadła blinki na smalcu, po czym miała wymioty, w nocy gorączkę, dziś – wolność. Żadnego więc niebezpieczeństwa, zdaje się, nie ma. Bieda natomiast jej z opieką nad Jadzią i nad dzieciątkiem. Niani nie ma, Tonia też odeszła, kucharka Onutė, która jest pracowita, czysta i prędka, ma dosyć roboty w kuchni, dziewczyna Helena Malcówna i Moskiewki są zbyt gruboskórne, żeby się mogły do czynności pielęgniarskich nadawać. Jedyną opieką stanowiła Buba, matka Jadzi, która przez czas połogu Jadzi i teraz siedziała stale u nas. Aż oto dziś rano Buba na dworze pośliznęła się i upadła na wznak tak nieszczęśliwie, że zupełnie nie może się poruszać i jęczy z bólu. Zabrał ją jej mąż, Ignacy Čepas, do zaścianku. Bez niej Jadzia, która leży w łóżku, jest jak bez głowy i bez ręki. I sama nie ma opieki i pomocy i niemowlę jest opuszczone, i starsze córeczki – Kotunia i Iga – dozoru nie mają. Wyręcza trochę kucharka Onutė, ale wszystko idzie kulawo.

W Abelach ukazali się Niemcy. Dotąd ich u nas nie było widać. Teraz przybyły tu jakieś oddziały trenów – konie, wozy, obsługa, złożona z żołnierzy niemieckich i jeńców wojennych. W Rakiszkach też przybyło Niemców. Urzęduje tam, zdaje się, wielki lazaret wojenny koński. Są to pierwsze u nas zwiastuny cofania się frontu, którego ostatnie tyłowe urządzenia już się do nas przywlekły. Na północy między Leningradem i Nowgorodem front mocno się cofnął i zbliżył do Pskowa.

14 marca, rok 1944, wtorek

Odwilż. Sztukowana sanna, którą mieliśmy w ciągu tych dni dziesięciu i która się już słabo trzymała od dni kilku, ostatecznie ucieka. Stan Jadzi – taki sam. Wciąż czuje się jeszcze słaba, krwawi. Brak opieki nad nią i dzieckiem zdawał się już być rozpaczliwy, ale na szczęście stawiła się dziś Tonia Adamonytė, która pobędzie przez czas choroby Jadzi i będzie się zajmowała dzieckiem. Co zaś do pielęgnowania samej Jadzi, dokonywania obmywań zwłaszcza, to co dzień przyjdzie to wykonać dawna niania naszych córeczek – Viktutė Sadowska. Dziś w nocy już Tonia będzie spać przy Jadzi, a ja się przeniosę do pokoju dziecinnego. Nasza nowo narozona trzecia córeczka dobrze się sprawuje. Dotąd zbyt krzykliwa nie jest. Je dobrze, ale Jadzia znowu ma mało mleka. Musi więc dokarmiać dziecko sztucznie. Dostała soskę od Marysi Stefanowej Römerowej, która przyjechała z Kowna do Mieczkowskich i, jak zawsze, przywiozła trochę towaru na spekulację.

Andrzej Mieczkowski pisał do mnie z Wilna. Potwierdza wiadomość o rozstrzelaniu Bronka-Bisia Komorowskiego w d. 19 stycznia. Miałem list od mojego byłego ucznia i byłego asystenta Piotra Armalisa, z którym koresponduję. W liście tym tak wysoko podnosi moją wagę społeczną i naukową, że gotów jestem pomyśleć, że tak jest w istocie. Zawsze miło jest słyszeć słowa uznania, zwłaszcza gdy się jest w zapomnieniu. Ciekawe, że Armalis, który w Litwie niepodległej należał do ostrej opozycji i który za czasów sowieckich trochę się do komunizmu zalecał, dziś tęskni do niepodległości i stwierdza, że obecnie cała Litwa się jednoczy w tej tęsknocie do niepodległości, odżegnując się od metod sąsiadów tak z Zachodu, jak ze Wschodu.

15 marca, rok 1944, środa

Zbuntował mi się dziś Novikas, który od pewnego czasu chodzi posępny wobec mnie i zły jak noc, a pije dużo wieczorami i w niedzielę u siebie i wymyśla a wygaduje przed ludźmi na upadek mojego gospodarstwa, choć sam jest wszelkim brakom winien, bo był najęty za starszego parobka i powinien był czuwać nad porządkiem w gospodarstwie, ale tego nie robił wcale. Raczej uprawiał

sabotaż z wyjątkiem tych okresów, kiedy mu dobry humor służył i kiedy stawał się doskonałym robotnikiem, bo ma i zręczność do pracy i głowę gospodarską dobrą, tylko charakter narowisty, pełny kaprysów i humorów. Złość jego w tych czasach ostatnich wzmogła się głównie z powodu najęcia przeze mnie ekonoma. Być pod ekonomem – to mu się zdało nieznośnym. Na samą myśl o tym i na ewentualność, że się gospodarstwo uporządkuje bez niego i może wbrew niemu – złość go ogarniała. Dobrze mówi Izydor, że jeżeli będzie Novikas i ekonom, to dojdzie między nimi do nienawiści i do bójki. Obecność Novikasa przy ekonomie może się stać czynnikiem powikłań, chaosu i rozprzężenia. Toteż gdy się dziś zbuntował, żądając dodatkowego poszoru dla swojej krowy ponad normę (która skądinąd istotnie jest może za mała i którą gotów byłbym uzupełnić trochę, ale po dobremu, bez tych skandalów), i kiedy pojechał sobie parą moich koni dokupić sobie poszoru, to po zastanowieniu się i naradzie z Jadzią – zdecydowałem się zaproponować Novikasowi zerwanie zawartej z nim umowy na rok gospodarski przyszły. Przyszło mi to tym łatwiej, że mam w perspektywie najęcie dwóch nowych parobków – jednego z Norwidyszek na ordynariusza rocznego i jednego „na pół dni”, co daje w sumie półtora robotnika. Z Izydorem, z Piotrem Pupielisem (szwagrem Izydora), najętym na pół dni do jesieni, i z uchodźcą Fiodorem – wystarczy mi to przy ekonomie i bez Novikasa, a pozbędę się stałego wrzodu gospodarskiego w jego osobie. Novikas chętnie się zgodził na zerwanie. Musiałem mu tylko dopłacić gotówką 450 RM za kupioną od niego krowę, które to pieniądze miały być wliczone w inne elementy zrywanej obecnie umowy. Ponieważ gotówki z lasu i z mojej pensji uniwersyteckiej mam teraz dosyć, więc z łatwością spłaciłem Novikasa. Cieszę się z tego zerwania umowy i czuję wielką ulgę z tego względu. Był on nieznośny i dla mnie i dla innych parobków, towarzyszy swoich. Byleby mię tylko nie zawiodła perspektywa pozyskania tych dwóch innych robotników. Ale zawsze u mnie się dobrze jakoś układa, jak gdyby Opatrzność czuwała nade mną. Piętrzą się trudności, a w ostatniej chwili przychodzi szczęśliwe rozwiązanie. Novikas był dziś zaraził buntem swoim także głupiego Wańkę Szerszniowa, który spróbował mi grozić strajkiem, ale skarcony przez matkę uległ i poszedł do roboty, a dodatek pewien poszoru otrzyma po dobremu.

16 marca, rok 1944, czwartek

Sprowadziliśmy dziś z Abel akuszerkę, która zdjęła Jadzi szwy i opatrzyła dziecko. Jadzia dobrze się czuje i proces popołogowy dobrze postępuje. Jadzia zaczęła już siadać, a za kilka dni zacznie po trochę chodzić. Pokarmu dla dziecka w piersiach Jadzi mało. Trochę się ona tym trapi i nerwuje. Dziecko dokarmiane jest sztucznie z buteleczki, a ponieważ z buteleczki przez soskę łatwiej mu wyssać pokarm, niż ssać pierś matki, więc i mleko Jadzi zdaja się maszynką z piersi i dopiero z buteleczki daje dziecku. Dziecko dobrze się ma i widocznie jest syte, bo mało krzyczy. Ma tylko dziwnie fioletowej barwy stopki i nieco fioletowe dłonie. Nie rozumiemy, co to jest. Dziwi się temu i akuszerka.

Otrzymaliśmy dwie depesze z Wilna, gratulujące przyjścia na świat Żermeny, jedną depeszę od Ewy Meyerowej z Lizą, drugą – od Andrzeja Mieczkowskiego.

Rano byłem w Gaju. Sprzedałem Pruścianiusowi z Ażubel 8 osin i 3 jodły za ogólną sumę 1100 RM. W ostatnich czasach miałem kupców na drzewo, przeważnie na opał na metry, ale także na budulcowe, mniej na jodły, więcej na osiny. Ogółem sprzedałem za jakieś 3 do 4 tysięcy Reichsmarek. Ale dużo też miałem wydatków, które pochłonęły znaczną część tego dochodu leśnego. W ogóle tej zimy miałem duży ekspens lasu. Wiele lasu poszło na opłacenie rozmaitego rodzaju robocizny i nabytku sprzętów (żelazo, duhy, płozy, kartofle...). Dużo też wyrąbano na własne potrzeby opału.

Bardzo czekam rychlejszego przyjazdu ekonoma.

17 marca, rok 1944, piątek

Znowu nowina z Novikasem. Rano, po przyjściu do mnie po instrukcję na robotę, Novikas poprosił mię, żebym z nim zaszedł do mego gabinetu, bo ma ze mną do pomówienia. Powiedział mi

to, że wczoraj był tam, gdzie spodziewał się dostać miejsce, bo go tam zapraszano, ale okazało się, że miejsce już zajęte. Do 1 kwietnia mało już pozostało czasu i o znalezienie pracy już jest trudno, bo kto potrzebował robotników, ten już najął. Wobec tego nie będzie on mógł opróżnić mieszkanie na 1 kwietnia; będzie musiał pozostać na mieszkaniu do 1 maja albo nawet do czerwca, chyba że wznowimy zerwaną umowę i pozostanie on na służbie u mnie, jak miało być, bo przecież, powiada, przyczyna zerwania była bagatelna – chodziło o słomę jarzynę na poszor, a ostatecznie on sam tę słomę sobie dokupił. Na razie byłem nierad, bo już się cieszyłem z pozbycia się go, a perspektywa, że będzie zajmował mieszkanie bez służby, też mi się nie uśmiechała. Powiedziałem, że mu dam odpowiedź jutro. Potem po namyśle zdecydowałem się go zatrzymać, to znaczy wznowić umowę. W każdym razie, robotnik z niego dobry i nie mogę mu też zarzucić nieuczciwości, tylko charakter nieznośny. Powiedziałem mu otwarcie, że się obawiam, iż będzie się darł, a może nawet bił z ekonomem. Oburzył się, że nigdy tego nie robił i że to chyba tylko Izydor Kulys mię tym straszy, a sam Izydor jest zawadiaka. Izydora Kulysa Novikas nie cierpi.

Mój dziennik zamienia się na rejestr kłopotów gospodarskich. Dokoła grzmi wojna, huczą groźne bałwany wypadków, które nas zalać i zniszczyć mogą, które w każdym razie decydować będą o losie nie tylko naszym osobistym, ale także losie kraju i narodu naszego, losie Litwy, ba – losie Europy całej, a w pewnym stopniu nawet może cywilizacji, a w obliczu tej burzy, na tle błyskawic, bałwanów i całej grozy wojennej i politycznej – zaściankowe kłopoty gospodarskie w Bohdaniszkach. Ale ufność mam w Opatrzności. A na wypadki cóż poradzę, skoro tylko w Bohdaniszkach bezczynnie i bezwładnie siedzieć muszę.

Oto garstka drobnych epizodów, które dotarły do wiadomości mojej: do oddziałów litewskich generała Plechowicza zgłosił się na ochotnika stary hrabia Aleksander Tyszkiewicz z Kretyngi. Piękny krok! Godny pana. Jego syn zginął w partyzantce litewskiej przeciwko Sowietom w roku 1941.

Umarł stary adwokat Władysław Staszyński, niegdyś socjalny demokrata, potem minister litewski, naczelnik Banku Litewskiego, doskonały prawnik, mądry człowiek.

Nocy dzisiejszej – wczoraj z wieczora – czterech bandytów napadło na dom Šimkusa i Danilewiczowej w Kumszach. Zabrali pieniądze, ubranie. Dwóch mówiło po rosyjsku, dwóch po litewsku.

18 marca, rok 1944, sobota

Wznowiłem umowę z Novikasem. Rozmówiliśmy się z nim otwarcie. Omówiliśmy wszystkie szczegóły, które mogłyby na przyszłość wywoływać nieporozumienia.

Jadzia dziś nie tylko wstawała i siedziała w fotelu, ale też chodziła po pokoju i po domu, coś gospodarzyła w kuchni. Mała Żermena doskonale się hoduje, mało krzyczy, ma dobry apetyt, doskonały żołądek. Na razie miała żółtaczkę dziecinną, a stopki i dłonie dziwnej barwy fioletowej, ale to już minęło. Bardzo ją kocha i nią się interesuje Kotuńka, która w ogóle wszystkim w domu i w gospodarstwie się interesuje i chce wszystko wiedzieć. Igę ta mała siostrzyczka mniej obchodzi, bo w ogóle Iga mniej we wszystko wgląda.

Na froncie wschodnim niedobrze się dzieje. Linia działań wojennych bądź co bądź coraz bardziej się przesuwa na zachód. Na odcinku ukraińskim klin sowiecki dobiega do Tarnopola, a więc już jest na Podolu galicyjskim. Jakiś oddział sowiecki był się już nawet wdarł do samego Tarnopola i tu w walkach ulicznych został zgładzony. Niżej okolice Odessy i aż pod ujście Dniepru są jeszcze w ręku niemieckim. Odcinek środkowy mniej więcej się trzyma. Na odcinku północnym Niemcy cofnęli się aż do okolic Ostrowa i Pskowa. Gadają, że pod Dyneburgiem za Dźwiną Niemcy przygotowują linię obronną i kopią okopy oraz robią umocnienia. Mówią też, że za Dyneburgiem Niemcy odkopują mogiły masowe zamordowanych Żydów i zalewają szczątki żydowskie jakimiś chemikaliami, które niszczą radykalnie wszelkie szczątki ludzkie. Robią to rzekomo w tym celu, żeby na wypadek odstąpienia tego terenu Sowietom – przeciwnik nie miał w ręku żadnych śladów tego masowego tępienia Żydów, dokonanego przez Niemców.

19 marca, rok 1944, niedziela

Ładny dzień, zwłaszcza do obiadu. Słonecznie, choć ciepło nie jest, bo wiatr dosyć ostry. Mrozu zresztą nie ma. Poszedłem przez Gaj do zaścianka Jadzi dla odwiedzenia chorej Buby, która po upadku w poniedziałek jest chora, leży i ma wciąż bóle wewnątrz. Uparta jest, nie chciała się dać zawieźć do lekarza w Rakiszkach, sprowadzała tylko felczera Klišonisa z Miczun, który nie jest w stanie postawić diagnozy.

Po obiedzie przyjechała na krótko Stefcia Boreišisowa z synkiem Vytukiem odwiedzić Jadzię i potem Bubę.

Przyszła też wreszcie – po 10 dniach od połogu – odwiedzić Jadzię i Helcia Mieczkowska. Od czasu połogu Jadzi nie byłem ani razu u Mieczkowskich, reagując w ten sposób manifestacyjnie na ich negliżowanie Jadzi. Elwirę bym naturalnie odwiedził, bo Elwira się z domu zimą nie rusza, ale że Helcia nie zaszła ani razu – tego Mieczkowskim darować nie mogłem. Na koniec Helcia raczyła przyjść, co choćby dla przyzwoitości wobec ludzi wypadało zrobić. Przyszła w towarzystwie Marysi Stefanowej Römerowej, która po przyjeździe z Kowna już kilkakrotnie Jadzię odwiedzała.

20 marca, rok 1944, poniedziałek

Jeździłem do Rakiszek, głównie dla zarejestrowania w Arbeitsamcie nowej służby – Heleny Malcówny, Onutė Gutarewiczówny i Piotra Pupielisa. Dziewczyny udało mi się zarejestrować, ale z Pupielisem się nie udało. Mówił mi on, że książeczki pracy nie ma i że rejestruje się po raz pierwszy. Tak też powiedziałem w urzędzie. Tymczasem po sprawdzeniu w kartotece urzędniczki Arbeitsamtu stwierdziły, że był zarejestrowany i że wstąpił w roku 1943 do batalionu litewskiego, który Niemcy formowali. Rzeczywiście był on wzięty do tego batalionu i z niego uciekł i wrócił do domu. Odmówiono więc zarejestrowania go. Zaniepokoiło mię to. Piotr Pupielis dlatego głównie, jeżeli nie wyłącznie, najął się do mnie, żeby być zarejestrowanym i przez to zalegalizować się i mieć w tej pracy obronę przeciwko ponownemu zabraniu go bądź na roboty do Niemiec, bądź do oddziałów, z których uciekł. Jeżeli teraz rejestracji nie otrzyma, to gotów się cofnąć od służby u mnie, która sama przez się, jeżeli go nie będzie chroniła od wywiezienia, nie przedstawia dla niego wartości. Dla mnie strata robotnika byłaby ciężkim ciosem. Mam jednak nadzieję, że może go uspokoję. Powiem mu, żeby nikomu nie mówił, że jest niezarejestrowany. Niech mówi wszystkim, że go zarejestrowałem. Gdy będzie pracował u mnie i mówił, że jest zarejestrowany, to seniunas, który sam rejestrowania nie sprawdza, będzie myślał, że rejestracja jest dokonana i nie wyznaczy go do zabrania na wywiezienie. A z Arbeitsamtu nikt mu nic nie zrobi, bo urzędniczki Litwinki, które dziś stwierdziły jego dezercję i musiały odmówić rejestracji, nie będą tego podnosiły. Żeby urzędnikami tam byli Niemcy, to każde takie ujawnienie faktu dezercji ze służby niemieckiej byłoby niebezpieczne, ale na szczęście urzędnikami są swoi ludzie.

21 marca, rok 1944, wtorek

Przyjechał z Wilna Andrzej Mieczkowski. Dowiedziałem się od niego o szczegółach śmierci Franka Alechnowicza. Franek, jak tylu innych działaczy narodowych białoruskich o kierunku antysowieckim za okupacji niemieckiej, zginął od kuli terrorysty. Szczegóły morderstwa tego są w relacji Andrzeja Mieczkowskiego następujące. Dnia 3 marca o godzinie ósmej wieczorem, kiedy Franek z żoną byli w domu – on w gabinecie swoim, ona w kuchni zajęta przyrządzeniem kolacji – ktoś zadzwonił do drzwi wejściowych. P. Alechnowiczowa otworzyła drzwi. Wszedł jakiś młody człowiek, porządnie ubrany, mówiąc, że chce się widzieć z Frankiem. Na uwagę p. Alechnowiczowej, ze jest późno i że Franek zajęty, nieznajomy oświadczył, że przyjechał z Mińska i przywozi dla Franka pozdrowienia od jego przyjaciela. P. Alechnowiczowa wywołała Franka, sama zaś odeszła do kuchni, ale w tej chwili usłyszała dwa wystrzały. Wybiegła do przedpokoju i ujrzała Franka w kałuży krwi. Na krzyk p. Alechnowiczowej morderca potrząsnął rewolwerem, grożąc jej i nakazując milczenie, po czym wyszedł spokojnie za drzwi, które zamknął za sobą na

zatrzask. Franek był nieżywy. Oto przebieg tego morderstwa. Nie ulega chyba wątpliwości, że mordercą był agent bolszewicki, dokonywujący aktów terroru na kierownikach antysowieckiego ruchu narodowego białoruskiego, który się szeroko rozwinął w tych trzech leciech pod okupacją niemiecką. Franek, chociaż w ruchu białoruskim był działaczem raczej kulturalnym, niż politycznym jako literat, dramaturg i organizator teatru białoruskiego, był jednak także redaktorem gazety „Biełaruskij Hołas" w Wilnie i był jednym z tych, którzy wyrażali najjaskrawiej kierunek antysowiecki. Zresztą jako jeden z seniorów piśmiennictwa i teatru białoruskiego – był jedną z postaci naczelnych całego ruchu i przez to samo był figurą polityczną. Jeździł na różne uroczystości białoruskie do Mińska, był u Białorusinów popularny i stał się u nich osobą reprezentacyjną. Jako były więzień polityczny sowiecki, męczennik sołowiecki, który napisał w swoim czasie szeroko znaną książkę „W szponach GPU", kompromitującą system sowiecki, był dla Sowietów solą w oku w ruchu białoruskim. Toteż ręka sowiecka zgładziła go, jak zgładziła Wacława Iwanowskiego w Mińsku i bardzo wielu innych. Pogrzeb Franka Alechnowicza w Wilnie był bardzo uroczysty, z udziałem szkół i organizacji narodowych białoruskich, z licznymi wiankami i tłumem ludzi w orszaku żałobnym. Te straszne rzeczy są teraz na porządku dziennym. Komuniści walczą na wszelkie sposoby, nie przebierając w środkach, przeciwko swym wrogom politycznym. Terror i skrytobójstwo mają na celu zastraszenie przeciwników. Broń ta nie zawsze jednak jest skuteczna, bo krew się mści i utopić ideę we krwi jest trudno; nieraz jest wręcz odwrotnie – z krwi przelanej, z ofiar wyrastają nowi bojownicy sprawy, która się tymi metodami stłumić nie daje. Jeżeli nawet na razie przez morderstwa systematyczne da się osłabić pewien ruch społeczny, to jednak krew męczenników sprawy na dłuższą metę wzmacnia samą sprawę i daje jej aureolę świętości. Męczennicy – to kapitał moralny sprawy.

22 marca, rok 1944, środa

Byłem w Abelach. Jeździłem tam dla różnych interesów gospodarczych, których tylko część załatwić zdołałem. W szczególności chodziło mi też o dopytanie się o robotników do najęcia, bo potrzebny mi jeszcze co najmniej jeden robotnik, parobek, ewentualnie ordynariusz; Imaliński z Norwidyszek, na którego najęcie liczyłem i do którego wczoraj do Norwidyszek jeździłem, wynajął się już, jak się okazało, do Wienażyńskiego w Rakiszeczkach. Na razie nic się jeszcze w Abelach w tej sprawie nie dowiedziałem.

W Abelach na poczcie otrzymałem depeszę od Hektora Komorowskiego, gratulującą z powodu narodzenia Żermeny. Żermenę w Abelach w wydziale metrykacji w gminie zarejestrowałem. Nadałem jej trzy imiona: Żermena-Zofia-Urszula. Ponieważ do aktu zeznania o urodzeniu potrzeba dwóch świadków, więc o zaświadczenie poprosiłem mojego parobka Izydora Kulysa, z którym przyjechałem, i młodego Indrelę z Ażubal, którzy się na akcie podpisali.

Miałem też list od Elizki Komorowskiej, pisany jeszcze przed otrzymaniem wiadomości o urodzeniu Żermeny. Niestety, Elizka donosi, że nie jest w stanie znaleźć i przysłać nam z Wilna niani. W Wilnie jest bardzo niespokojnie, usposobienie paniczne. Kandydatki byłyby, ale żadna nie chce wyjechać na wieś, zwłaszcza w naszym kierunku, uchodzącym za eksponowany na inwazję bolszewicką. Poza tym, dla Polek w Wilnie wieś etnograficznie litewska wydaje się krajem obcym i dalekim. Wreszcie jest i to, że dla Wilnian z pojęciem wsi łączą się obrazy band leśnych, grasujących w Wileńszczyźnie i czyniących stosunki na wsi wręcz strasznymi. Biedna Elizka jest bardzo przejęta tragiczną śmiercią swego wnuka Bronka-Bisia Komorowskiego, rozstrzelanego w styczniu na Ponarach przez Niemców.

Otrzymałem też list z Wilna od pułkownika lekarza Usasa, brata ciotecznego Franka Olechnowicza. On to mię zawiadomił przed paru tygodniami telegraficznie o śmierci Franka i napisałem do niego, prosząc o szczegóły jego śmierci. Oto relacja Usasa o zamordowaniu Franka:

„*Tas įvyko kovo 3 d. apie 8 val. vakaro.*

Aš atvykau į nelaimės vietą tik apie 10 val. vakaro, nes tą dieną vėlai grįžau namo. Radau lavoną.

Brolienės pasakojimu žmogžudystė įvyko maždaug tokiu būdu.

Apie 8 val. vakaro į jų butą paskambino; brolienei paklausus, kas ir ko nori, nepažįstamas balsas gudiškai atsakęs, kad atvykęs iš Minsko Tautinio Komiteto reikalu, atvežė pasveikinimą redaktoriui ir prašo pasimatymo. Buvo atrakinta.

Įėjo jaunas padoriai apsirengęs vyras rudeniniu paltu ir skrybėle (kurios tarp kito ko nenuėmė) su maža barzdžiuke ir ūsais ir buvo nuvestas pas Praną, kuris kabinete kai ką rašė. Nepažįstamas pasisveikino, pakartojo, kad turi sveikinimą, ir buvo paprašytas sėstis gale rašomojo stalo ant kėdės, kurią pats Pranas jam iš gretimo kambario atnešė. Brolienė tuo metu pasišalino ir ėjo į prieškambarį; padariusi 4 ar 5 žingsnius išgirdo du šūvius (labai duslius) ir pasuko atgal į kabinetą, pakeliui prasilenkę su svečiu, kuris laikydamas rankoje pistoletą, grasinamai jai kažką sušuko, įbėgo į prieškambarį, pats atstūmė durų sklastą, kuris tarp kitko ne taip lengvai surandamas, nes yra durų apačioje, ir dingo.

Brolienė iš karto lyg ir norėjo vytis žudiką, tačiau vėl įbėgo į kabinetą; ten rado Praną stovintį prie rašomojo stalo abiem rankom atsirėmusį į stalą; po kelių sekundžių jis sunkiai atsisėdo į kėdę, pasakė žmonai lenkiškai: „Skambink, skambink telefonu“ ir mirė. Taip fotelyje rado jį policija, taip radau ir aš. Miręs buvo baltas, ramus. Ant dešinio žando buvo mažytė šaunamoji žaizda, iš kurios nuvarvėjo keli lašai kraujo, marškinių apykaklė atversta, šlipsas ant šono, veidas nuo šūvio apdegintas“[6]. Dokończę cytatę listu jutro.

23 marca, rok 1944, czwartek

Jeszcze parę cytat z listu Usasa o zamordowaniu terrorystycznym śp. Franka Olechnowicza:

„*Skrodimą atliko prof. Siengalevičius man dalyvaujant, radome dviejų šūvių žaizdas, iš kurių viena per skruostą įėjo į krūtinės ląstą ir sužeidė stambią kaklo veną, kitas šūvis praėjo per dešinę petį į krūtinės ląstą, sužeidė plaučius. Abudu šūviai buvo mirtini, dėl jų nužudytas per kelias minutes nukraujavo į plaučius ir mirė...*

[6] „Stało się to 3 marca około godziny ósmej wieczorem.
Przybyłem na miejsce nieszczęścia tylko około godziny 10 wieczorem, bo tego dnia późno wróciłem do domu. Znalazłem trupa.
Z relacji bratowej, zabójstwo zostało dokonane mniej więcej w następujący sposób.
Około godziny ósmej wieczorem zadzwoniono do ich mieszkania; na pytanie bratowej, kto to i czego chce, nieznajomy głos odpowiedział po białorusku, że przyjechał z Mińska w sprawach Komitetu Narodowego, przywiózł pozdrowienia dla redaktora i prosi o rozmowę. Drzwi zostały otwarte.
Wszedł młody, porządnie ubrany mężczyzna w jesiennym palcie i kapeluszu (którego zresztą nie zdjął), z małą bródką i wąsami i został zaprowadzony do Franciszka, który coś pisał w gabinecie. Nieznajomy przywitał się, powtórzył, że przekazuje pozdrowienia i został poproszony usiąść przy biurku na krześle, które mu Franciszek przyniósł z sąsiedniego pokoju. Bratowa w tym czasie poszła do przedpokoju; uczyniwszy cztery czy pięć kroków, usłyszała dwa wystrzały (bardzo przygłuszone) i zawróciła z powrotem do gabinetu, mijając się po drodze z gościem, który trzymając w ręku pistolet groźnie coś do niej krzyknął, wbiegł do przedpokoju, sam odsunął zasuwkę, którą znaleźć nie jest tak łatwo, ponieważ jest u dołu drzwi, i znikł.
Bratowa z początku niby chciała gonić zabójcę, ale znów pobiegła do gabinetu; znalazła tam Franciszka stojącego przy biurku, opartego obiema rękami o blat; po kilku sekundach ciężko usiadł na krześle i powiedział do żony po polsku: „Dzwoń, dzwoń na telefon” i zmarł. Tak w fotelu znalazła go policja, tak znalazłem i ja. Zmarły był blady, spokojny. Na prawym policzku była mała ranka od kuli, z której wyciekło kilka kropel krwi, kołnierz koszuli rozpięty, krawat na boku, twarz osmalona wystrzałem”.

Turiu dar pridurti, kad po nužudymo p. Ivanausko Minske Pranas kelis kartus minėjo, kad jam turbūt irgi gresia gyvybės pavojus, vakarais stengėsi neišeiti iš namų, neatidarinėti durų, tačiau nuo žudiko iš pasalų apsigint neįmanoma.

Laidotuvės Prano suruošė gudų komitetas savo lėšomis. Laidotuvės buvo iškilmingos ir labai padorios; dalyvavo gudų mokyklos, organizacijos, daug buvo gėlių, daug žmonių.

Procesija iš šv. Jokūbo lavoninės koplyčios praėjo Gedimino, Pilies, Didžiąja, Vokiečių, Trakų, Basanavičiaus gatvėmis.

Po trumpų pamaldų evangelikų liuteronų kapinėse, miręs buvo palaidotas. Prie kapo labai šiltą prakalbą pasakė dr. Grabinskas.

Tai ir viskas. Žuvo vertingas žmogus“[7].

Tak, straszne się dzieją rzeczy. Dawniej terroryści mordowali królów, carów, ministrów. Dziś terroryści sowieccy mordują wszystkich przeciwników politycznych i nawet działaczy kulturalnych. Poza terenem swojej władzy mordują skrytobójczo przez zamachy terrorystyczne swoich emisariuszy, u siebie męczą i mordują przez specjalne urzędy GPU. Biedny Franek i biedna Białoruś!

Przyszła depesza od mego kandydata na ekonoma, p. Adamowicza z Poniewieża, że już przyjeżdża w niedzielę. Bardzo go już czekam.

Była wczoraj wieczorem depesza od dziekana Żakiewicza z Wilna, że na sobotę zwołane jest w Wilnie posiedzenie naszego Wydziału Prawniczego. W depeszy wskazano, żeby na posiedzenie przynieść swoje prace, będące w toku. Zapewne te, których tematy zostały w roku ubiegłym na posiedzeniu zgłoszone. Nie pojadę jednak. Zatelegrafuję, że depeszę dziekana otrzymałem z opóźnieniem i napiszę do dziekana list. Co prawda, moja praca jest prawie skończona, ale nie pisałem jej na smak rządzącego nacjonalsocjalizmu, toteż chwalić się przed panami sytuacji nie mam czym. Wolę rękopis, po przepisaniu go na maszynce, złożyć w depozyt w pewne ręce – może po jednym egzemplarzu do biblioteki uniwersyteckiej i mojemu byłemu asystentowi Armalisowi. Urzędowo zaś zajmę się ewentualnie pracą o stanie konstytucyjnym Litwy w momencie inwazji sowieckiej, którą mi Żakiewicz stręczył. Jechać teraz do Wilna nie chcę: podróż jest trudna, w Wilnie mój pokój jest zimny i pościeli nie mam, tu w domu Jadzia wciąż niedomaga i nie ma dobrej opieki, gospodarstwa nie mogę porzucić, dopóki go ekonom nie objął, a tam wobec władców sytuacji nie ma się czym pochwalić i specjalnie zabiegać przed nimi nie chcę. Do Wilna postaram się pojechać nieco później.

---

[7] „Sekcji zwłok dokonał prof. Siengalewicz w mojej obecności; znaleźliśmy dwie rany postrzałowe, z których jedna szła od policzka do klatki piersiowej uszkadzając po drodze tętnicę płucną, druga od ramienia wiodła do klatki piersiowej uszkadzając płuca. Obie rany były śmiertelne, z ich powodu denat w kilka minut wykrwawił się do płuc i zmarł...

Muszę jeszcze dodać, że po zamordowaniu p. Iwanowskiego w Mińsku Franciszek kilka razy wspominał, że jego życiu też pewnie grozi niebezpieczeństwo, wieczorami starał się nie wychodzić z domu i nie otwierać drzwi, ale przed mordercą z zasadzki nie da się obronić.

Pogrzeb Franciszka urządził komitet białoruski własnym kosztem. Pogrzeb był uroczysty i bardzo porządny; brały udział białoruskie szkoły i organizacje, było dużo kwiatów, dużo ludzi.

Procesja z kaplicy pogrzebowej św. Jakuba przeszła ulicami Giedymina, Zamkową, Wielką, Niemiecką, Trocką, Basanowicza.

Po krótkiej modlitwie zmarły został pogrzebany na cmentarzu ewangelicko-luterańskim. Nad grobem bardzo serdecznie przemówił dr Grabiński.

Oto i wszystko. Zginął wartościowy człowiek“.

24 marca, rok 1944, piątek

Postępy ofensywy sowieckiej, zwłaszcza na odcinku zachodnioukraińskim, trwają. Linia Bugu jest tam bodaj cała osiągnięta. Jak podają komunikaty niemieckie, na górnym i dolnym Bugu Niemcy się jeszcze utrzymują na linii rzeki, natomiast na odcinku środkowego Bugu Sowiety przekroczyły już Bug i posuwają się na zachód. Zdaje się, że ten klin ofensywy sowieckiej skierowany jest na Lwów i Lublin. Natomiast na północy błot pińskich (Polesie) linia trzyma się jeszcze dosyć daleko na wschodzie i Witebsk wciąż jest jeszcze w ręku niemieckim. Ale jeżeli Sowiety wkroczą na teren Polski etnograficznej, to może wypaść Niemcom zwinąć część swego terenu, wysuniętego na wschód na Białej Rusi ku granicom litewskim i łotewskim. Zresztą od granic łotewskich na północnym ich wschodzie teren działań wojennych już nie jest daleki, zaś w Estonii jest on już na terytorium estońskim pod Narwą i nad jeziorem Peipus. Natomiast na dalekim południu Odessa jest jeszcze w ręku niemiecko-rumuńskim i cały Krym aż po Kercz jest jeszcze przez Niemców utrzymywany. I nie widać żadnych oznak zatrzymania lub osłabienia ofensywy sowieckiej. Inicjatywa też zdaje się być całkowicie w ręku Sowietów.

Do obiadu była ładna słoneczna pogoda. Od paru dni są już szpaki, które się podzieliły na parki i okupowały gniazdka po dziuplach drzew i po zawieszonych dla nich na drzewach domkach. Świergocą już po trochę, gwiżdżą i napełniają swoim pięknym gwarem powietrze. Słychać już w polu skowronka, ale rzadko jeszcze. Jeździłem z Kotuńką i Igą po okolicy. Byliśmy w Boniuszkach u Adamonisa, w Karwieliszkach u Jana Malciusa i w Ginduryszkach u Kazimierza Malciusa – w sprawach najmu robotnika i przędzenia pakuł lnianych na wory. Miły był spacer w promieniach słonecznych, odbijających od bieli śniegu, którego koło nas na polach jest jeszcze sporo, aczkolwiek sanny dawno już nie ma.

Jadzia znowu chora. Co jej jest – nie wiadomo. Przypuszczam, że po prostu coś żołądkowego, rodzaj zgagi. Skarży się na ból pod łyżeczką i w plecach. Gorączki jednak nie ma. Nic nie je dziś, wymiotowała trochę, bardzo dużo stęka. Jadzia jest w chorobie niecierpliwa i wmawiająca w siebie najstraszniejsze choroby. Sama się napompowuje strachem i przeraża otoczenie. W jej wyobraźni każda niedyspozycja wyrasta do okropnych rozmiarów. Jak choruje – to już koniec świata.

25 marca, rok 1944, sobota

Mamy pewną reakcję zimy. Mróz, chociaż niewielki, parostopniowy, trwa, ostry wiatr północny utrzymuje chłód. Śnieg, aczkolwiek płytki, pokrywa ziemię z wyjątkiem dróg, które są nagie i pokryte grudą. Ptaszki coraz liczniej i głośniej śpiewają, zwiastują wiosnę, ale szumu pędzących ruczajów wiosennych jeszcze nie słychać. Ta niesłychanie lekka zima tegoroczna chce widocznie wynagrodzić brak srogości długością i nie ustępuje wiośnie, choć już byłby czas.

Byłem dziś w Gaju, gdzie sprzedałem znowu trochę lasu, przeważnie osin, ogółem za ± 900 RM, z których za 550 RM nabyłem dwa bierkowce[8] koniczyny i 17 ½ cetnarów kartofli, reszta – gotówką. Chyba to już ostatnia transakcja leśna tej zimy.

Depesza, którą chciałem wysłać wczoraj do dziekana Żakiewicza z zawiadomieniem, że na dzisiejsze posiedzenie wydziału przybyć nie mogę, nie została wysłana: linia telefoniczna jest przerwana i nie funkcjonuje czasowo, depesze z Abel nie odchodzą. Trzeba będzie tylko listownie się przed dziekanem wytłumaczyć. Przypuszczam jednak, że moje niestawienie się na posiedzenie wydziałowe złych skutków mieć nie będzie. I w ogóle bardzo wątpię, żeby to posiedzenie dało jakieś rezultaty pozytywne. Co do pracy mojej, to jej nieprzedstawienie wagi nie ma. Praca moja o związkach państwowych ma charakter toeretycznie naukowy i nie ma związku z tzw. „Nową Europą" i aktualiami natury agitacyjnej, o które chodzi niemieckim panom sytuacji, mającym w swym ręku władzę nad nauką litewską. Pracę tę po jej ukończeniu i odbiciu na maszynce chcę w jednym egzemplarzu złożyć do dziełu rękopisów w bibliotece uniwersyteckiej i w drugim egzemplarzu w pewne ręce prywatne, zapewne Piotra Armalisa. Nie liczę wcale na to, żebym tą

[8] Dawna rosyjska jednostka ciężaru, równa mniej więcej dziesięciu pudom (164 kg).

pracą mógł zdobyć uznanie niemieckie. Może aktualniejsza byłaby ta praca moja, do której mię zachęcał Żakiewicz w ostatnim liście swoim – o stanie konstytucyjnym Litwy w momencie inwazji sowieckiej w roku 1940.

26 marca, rok 1944, niedziela

Odeszła dziś Tonia Adamonytė ostatecznie. Jadzia zostaje z trojgiem dzieci sama, bez niani. Bardzo jej trudno, do gospodarstwa chodzić wcale nie może.

Czekam dziś przyjazdu ekonoma Adamowicza. Na wieczór posłałem po niego na stację kolejową do Abel Fiodora.

27 marca, rok 1944, poniedziałek

Wczoraj późno wieczorem przyjechał z Poniewieża mój nowy ekonom Adamowicz. Obszedłem z nim dzisiaj całe pole, pokazałem wszystkie pólka płodozmienne. Potem do wieczora Adamowicz kręcił się po dworze, oglądał inwentarz żywy i martwy, notował, co jest do naprawienia i uzupełnienia. Robi wrażenie, że jest spostrzegawczy i gospodarczy.

28 marca, rok 1944, wtorek

Jeździłem z ekonomem Adamowiczem do Abel. Jak zawsze, miałem tam dużo rozmaitych drobnych interesów – w gminie, na poczcie, w aptece, w kooperatywie. Powietrze – 0°, więc nie zimno; rano, gdyśmy wyjeżdżali, śnieżyło. Dotąd pięknej wiosny z topniejącymi śniegami, których zresztą bardzo mało, i szumiącymi potokami – nie ma. Ptaszki wiosenne, które się już pokazały – i te ucichły.

Ponieważ ekonom nosi się z projektem sprowadzania na dokarmianie krów naszych i koni melasy z fabryki cukru pod Poniewieżem, więc z Abel zajechaliśmy do p. Kozakiewicza, kierownika gorzelni za jeziorem, aby go poprosić o pożyczenie nam na ten cel dużej beczki żelaznej. Kozakiewicz, który zgodził się pożyczyć naczynie, przy tej okazji nas potraktował mocną wódką ze swej gorzelni i smaczną zakąską.

Wieści z frontu wschodniego mają dotąd wciąż ten sam kierunek. Na odcinku ukraińskim forpoczty ofensywy sowieckiej są pod Tarnopolem, Proskurowem i Brodami, to znaczy na pograniczu Galicji Wschodniej; ponieważ zaś Lwów i zapewne cała Galicja Wschodnia jest przez Niemców wcielona do tzw. Generalnej Guberni, obejmującej etnograficzną Polskę szczątkową z Warszawą i Krakowem (Niemcy do tej Polski szczątkowej wcielili ukraińską Galicję Wschodnią dla rozcieńczenie elementu polskiego i nadania guberni charakteru mieszanego dwunarodowego), więc wysunięty klin zachodni ofensywy sowieckiej sięga już terytorium „guberni". Południowa część szczątkowej Polski etnograficznej (Ziemia Lubelska) jest już poniekąd zagrożona. Galicję Wschodnią Sowiety traktują jednak za terytorium nie Polski, lecz Ukrainy (Ukraina Zachodnia, którą Sowiety były zagarnęły i wcielały do Ukrainy sowieckiej w roku 1939). Gdyby Sowietom udało się wkroczyć na terytorium etnograficznej Polski, to byłoby bardzo ciekawe, jakby je traktowali: z rządem polskim na emigracji Sowiety stosunki zerwały i nie uznają go oraz żadnych z nim układów już nie prowadzą, a mają w zanadrzu coś w rodzaju quasi-rządu polskiego o zabarwieniu komunistycznym w postaci „Komitetu Patriotycznego Polskiego" z głośną Wandą Wasilewską (córką nieżyjącego Leona Wasilewskiego-Płochockiego, jednego z czołowych PPS-owców i byłego redaktora „Przedświtu" w Londynie sprzed lat 30 i więcej, przyjaciela Józefa Piłsudskiego). Zapewne Sowiety usiłowałyby oprzeć się na tym „komitecie" czy „Związku Patriotów" polskim jako swojej kreaturze i ekspozyturze na rzecz tworzenia czerwonej Polski sowieckiej. Ale skądinąd, jak wynika z komunikatów niemieckich, Kowel jest jeszcze w ręku niemieckim. Co zaś do odcinków frontu na północ od Polesia – to tam zmian wielkich nie ma. Niemcy w gazetach zapowiadają, że już nastąpił koniec ich cofania się. Chodzi tylko o to, czy przeciwnik, który się posuwa naprzód, zechce się zatrzymać na tym „końcu" i uszanować to zatrzymanie cofania się. Podsuwanie się Sowietów pod Besarabię i Polskę na południu wywołuje

już niepokój i pewne poruszenie w zagrożonych Rumunii i Węgrzech, które były dotąd formalnie sojusznikami Niemiec. Jak poprzednio Włochy, tak teraz Rumuni i Węgrzy zaczynają kombinować wycofanie się ze wspólnictwa z Niemcami. Niemcy jednak trzymają mocno te kraje. Pewne wrzenie i ruchy, które się tam zaznaczyły się i o których prasa niemiecka dosyć niewyraźnie wspomina, zostały przez Niemców złamane i w rządzie tych krajów nastąpiły pewne zmiany personalne na rzecz kreatur i ekspozytur niemieckich.

29 marca, rok 1944, środa

Brzydki dzień – bardzo wietrzny i przeto zimny. Mrozu zaledwie parę stopni (przed wschodem słońca było 4° mrozu), ale ostry wiatr północno-wschodni podnosi chłód. Zimno też jest bardzo w naszym pokoju sypialnym i w moim gabinecie zimowym. Zima zupełna, pod wieczór zawieja. Jadzia wciąż kwęka. Co tylko zje – zaraz dostaje bólu w miejscu, zwanym pod łyżeczką.

W tym tygodniu powołują już do wyjazdu tych, którzy się wpisali na ochotników do formacji litewskich generała Plechowicza. Na razie powołano z nich tylko tych, co poprzednio służyli już w wojsku litewskim. Innych, młodszych, którzy nigdy jeszcze w wojsku nie służyli, na razie nie poruszono. Mówiono, że pozostaną w domu do czerwca. Ale oto teraz już ich powołują i będą wyszkalać. Tworzenie tych formacji zostało przyśpieszone. Młodzież, która się zapisała do nich, wyrusza chętnie. Na ogół formacje te są popularne. Zapisało się wielu, ale nasza seniunija pod tym względem idzie w ogonku, bo z niej tylko czterech się na razie zapisało: Józef Malcius, syn Jana, zwanego „Tepiklisem" z Karwieliszek, Bronius Malcius, syn starego Antoniego z Bohdaniszek, młody Putra, syn Jana z Knisy, i parobek Kazanowicza z Boniuszek. Zapisałoby się więcej, gdyby werbunek trwał dłużej, bo wielu się w tym kierunku orientowało, ale jeszcze się namyślali i wahali. Werbunek, czyli przyjmowanie zgłoszeń trwało krótko i zostało przerwane. Podobno werbunek ten ma być wznowiony i oddziały te mają być powiększone. W związku z tym znów się dużo mówi o mobilizacji.

Pewną sensację w okolicy wywołało aresztowanie przed kilku dniami w Vitenach szewca Kazanowicza, Kazanowiczowej i Andrijauskasa. Szewc Kazanowicz i Kazanowiczowa, a także Andrijauskas byli podobno czynni w ruchu komunistycznym. Były wieści, że u nich się ukrywa szajka bandytów, która dokonywała napadów na zaścianki. Na skutek tych wieści przyjechały do nich trzy automobile ciężarowe z 50 policjantami dla ujęcia bandytów i dokonania rewizji. Bandytów już nie znaleziono, bo zbiegli, ale natrafiono na ich ślady. Oprócz Kazanowicza, Kazanowiczowej i Andrijauskasa, policja ujęła także kilku innych osobników podejrzanych. W jednym z nich Danilewiczowa poznała uczestnika napadu na jej zaścianek w Kumszach. W Rakiszkach też natrafiono na ślad rzeczy, pochodzących z rabunków i tam sprzedawanych.

30 marca, rok 1944, czwartek

Chłód cokolwiek zelżał. Choć mrozu nad ranem było do 7 stopni, to jednak wiatr się zmniejszył i przeto powietrze stało się łagodniejsze. Ekonom Adamowicz szybko się zorientował i ogarnął sytuację gospodarczą. Jest energiczny, ruchliwy i zaradny. Wgląda we wszystkie szczegóły i ma dużo inicjatywy. Zajął się naprawą uprzęży, wozów i pługów. Szczegółowo wgląda w karmienie bydła, koni i świń. Wczoraj kierował osobiście krajaniem sieczki na pokarm dla koni. Dziś zarządził nawożenie ogrodu owocowego nawozem z chlewów świńskich, a sam z Fiodorem i jego żoną Żenią uprzątnął ładnie spichrz i przeważył zboże w zasiekach.

Wieś w Wileńszczyźnie jest w ciągłym stanie wrzenia. Po lasach grasują tam wielkie bandy rozmaitego rodzaju dywersantów i rabusiów zbrojnych. Pośród dywersantów są oddziały bolszewickie i polskie, które zwalczają się wzajemnie i staczają między sobą bitwy formalne. Dalej na wschód białoruski dominują bandy sowieckie, dokoła Wilna i w kierunku południowo-wschodnim na Lidę przeważają powstańcy polscy. Podobno Niemcy, którzy nie mają sił do zlikwidowania band leśnych, chętnie widzą zwalczanie się wzajemne band dywersyjnych i miejscami nawet tolerują oddziały polskie (podobno nawet zaopatrują je czasem w broń) jako

tępiące bandy komunistyczne. Powstańcy polscy, do których się licznie i ochoczo gromadzi młodzież z Wilna i okolic, swoją obecnością i akcją manifestują zarówno antyniemieckie, jak antysowieckie nastawienie kraju, do którego Sowiety roszczą pretensje jako do rzekomo swojego, który się rzekomo wypowiedział za przynależnością do Sowietów. Są też tam bandy Żydów, zbiegłych z getta, podobno zdziczałych zupełnie i niesłychanie okrutnych. Są też bandy pospolitych rabusiów, których karcą oddziały polskie, a także pono i komunistyczne. Te różnorodne bandy są czynne nie tylko po lasach. Trzymają one w swym ręku całe duże okolice, czasem napadają też na miasteczka i nawet na miasta powiatowe, które zdobywają i przez czas pewien mają w swojej dyspozycji. Urzędników i policję litewską powstańcy polscy podobno nie terroryzują, natomiast bandy komunistyczne, żydowskie i rabusiów mordują policjantów litewskich i urzędników. Warunki życia na wsi w Wileńszczyźnie są nieznośne. U nas jest raj i cisza w porównaniu z tym, co się tam dzieje.

31 marca, rok 1944, piątek

Byłem rano w Gaju, gdzie sprzedałem Mateuszowi Jodeli 15 osin (przeważnie 10- i 11-calowych) za bekona. Bekon ma mieć 110-120 kilogramów żywej wagi, licząc po 9 RM za kilogram. Na razie dałem mu osin za 900 RM., a w poniedziałek, kiedy Jodelė bekona przywiezie, zważymy go i wtedy rachunek wyrównamy. Ludzie chętniej teraz kupują u mnie (za pieniądze albo za różne produkty – za kartofle, za bekona, za cielicę) – osiny, niż jodły. Cena bowiem za osiny jest u mnie znacznie niższa (mniej, niż połowa), niż za jodły, a osiny są w Gaju śliczne – zdrowe i wyniosłe, osina zaś na budulec się nadaje, zwłaszcza dla budynków niemieszkalnych.

Po obiedzie otrzymałem wiadomość, że mój leśnik Sadowski znalazł w Gaju przy gościńcu karwieliskim trzy jodły ścięte i ukradzione. Idąc śladem znalazł dwie beleczki z tych jodeł kradzionych wrzucone do rowu na polu ażubelskim i przykryte śniegiem. Posłałem zaraz ekonoma Adamowicza z Izydorem Kulysem na miejsce, gdzie Sadowski znalazł drzewo i stał przy nim nie odchodząc, aby złodziej je nie wyniósł. Stwierdzone zostało, że ślad od tych znalezionych belek prowadził wyraźnie do zaścianka znanego z kradzieży leśnych Adamonisa w Ażubalach, gdzie koń został z sań wyprzężony. Adamonisa jednak w domu już nie zastali; widocznie spostrzegł, że Sadowski znalazł ukryte w rowie drzewo – właściwie część drzewa, toteż prędko zaprzągł konia i wyjechał dokądś. Reszty drzewa nie znaleziono. Z powodu nieobecności Adamonisa rewizji u niego nie robiono. Znalezione belki odwieziono do domu. Jutro wypadnie mi jechać do Abel dla sprowadzenia policji w celu spisania protokołu i dokonania rewizji u Adamonisa. Wątpię, żeby rewizja dała jakieś rezultaty, bo Adamonis z pewnością nie trzyma skradzionego drzewa w domu, a gdyby nawet był poprzednio przywiózł je do domu, to na pewno do jutra je wywiezie, spostrzegłszy, że ukryte w rowie zostało znalezione i że leśnik ze świadkami był doszedł śladem do jego zaścianka. Ale może przybycie policjantów nastraszy Adamonisa.

1 kwietnia, rok 1944, sobota

Na prima aprilis miały trochę uciechy nasze dziatki. Ze służącymi Heleną Malcówną i kucharką Onutią wymyślały różne kłamliwe figle i cieszyły się, gdy się im udało kogoś w pole wyprowadzić. Celowała w tym zwłaszcza kucharka, niezła może dziewczyna, bo czysta i prędka, ale bardzo ordynarna stara panna.

Zmiana roku gospodarskiego. Wańka Szerszniow odszedł już od roboty, Novikas od dnia dzisiejszego ma urlop dwutygodniowy, pozostaje Izydor Kulys, poza tym na trzy dni w tygodniu staje do roboty Piotr Pupielis, który będzie pracować we czwartki, piątki i soboty. Uprosiłem też pracować u mnie od dziś do 15 kwietnia, to znaczy na czas urlopu Novikasa, Józefa Malciusa albo, gdyby go zaraz powołano do wojska, jego brata Antoniego lub ojca Jana.

Sam dziś pojechałem do Abel na policję w sprawie wczorajszej kradzieży leśnej w Gaju. Dano mi dwóch policjantów – wachmistrza i szeregowego z karabinem, których przywiozłem do Bohdaniszek. Spisali oni protokół badania świadków (leśnika Sadowskiego, ekonoma Adamowicza

i parobka Izydora Kulysa), którzy wczoraj robili poszukiwanie skradzionego drzewa i następnie w towarzystwie leśnika Sadowskiego pojechali do Ażubal dla dokonania rewizji i dochodzenia u Adamonisa, poszlakowanego w tej kradzieży.

2 kwietnia, rok 1944, niedziela

Powiadają, że na froncie galicyjskim zajęty został przez Sowiety Lwów. Widocznie Sowiety pchają się gwałtownie na Bałkany. A może na Warszawę od południa lub *via* Kraków na Śląsk, Czechy, Wiedeń? W każdym razie chodzi im zapewne o oparcie się o Karpaty. Czyż Niemcy nie potrafią im gdzieś sprawić łaźnię i zlikwidować ten klin, wysunięty głęboko na zachód?!

Miałem list od Henryka Odlanickiego-Poczobuta z Wilna. Donosi mi i opisuje śmierć tragiczną Franka Olechnowicza. Jego wersja nieco się różni, w szczegółach, ale mało, od dwóch wersji, które mi były poprzednio podane. Ciekawe tylko to, że, jak pisze Poczobut, w pewnych kołach białoruskich panuje przypuszczenie, że sprawcą zamachu na Olechnowicza był nie terrorysta sowiecki, jak to większość przypuszcza, jeno terrorysta polski ze względu na nie tylko antysowiecki, ale również antypolski charakter redagowanego przez Olechnowicza pisma białoruskiego „Biełaruskij Hołas”. Wspomina też Poczobut, o czym nie wiedziałem zgoła, że w Wileńszczyźnie czy też Białej Rusi Zachodniej, oprócz partyzanckich band leśnych komunistycznych (sowieckich) i polskich, są także takież bandy białoruskie, złożone z radykalnych narodowców białoruskich, przeciwnych tak Sowietom, jak Niemcom, a z pewnością i Polakom (chyba też i Litwinom?), którzy nie godzą się na germanofilski kierunek urzędowego ruchu narodowego białoruskiego pod okupacją niemiecką. W tym ruchu partyzanckim na Wileńszczyźnie i Białej Rusi Zachodniej jest istna wieża Babel – wszyscy przeciwko wszystkim. Ciekawe, kto ich pogodzi – przez zapanowanie, niestety.

Dziś wieczorem z udziałem Jadzi i ekonoma Adamowicza robiliśmy układ z Fiodorem. Rzecz się trochę skomplikowała przez zaognienie się stosunków między rodziną uchodźców Fiodora a naszą kucharką Onutią. Wobec tego powstała kombinacja, żeby Moskale uchodźcy sami sobie piekli chleb i stołowali się, otrzymując od nas nie wikt gotowy, jeno produkty. Po różnych kalkulacjach ustaliliśmy dla nich następujące normy produktów miesięcznie: 60 kilogramów mąki żytniej na chleb, 2 cetnary kartofli, 6 kilo krup, 5 kilo grochu, 2 ½ kilo słoniny, 6 kilo mięsa wieprzowego, kilo soli, mleka dziennie na razie po 2 litry, potem (gdy krowy wyjdą na paszę) po 3 litry. Oprócz tego, miesięcznie po 180 RM pieniędzmi. Pracują u nas stale Fiodor i stara Dunia, Żenia zaś po 5 dni w tygodniu. Dunia ma co trzecią niedzielę wolną, Fiodor ma co trzecią niedzielę dyżur.

3 kwietnia, rok 1944, poniedziałek

Powietrze wciąż ostre z mroźnym wiatrem północnym. We dnie na słońcu śnieg lub ziemia po wierzchu trochę topnieją, ale na ogół powietrze mroźne.

Z nowin tylko ta, że w gazetach ogłoszona rejestracja roczników męskich (urodzonych od roku 1915 do roku 1924, to znaczy 10 roczników). Zarządzenie o rejestracji powołuje się na odpowiednie artykuły dawnej ustawy litewskiej o służbie (powinności) wojskowej. Ma to więc związek z poborem rekruta. Zarządzenie pochodzi od dowództwa formacji litewskich Plechowicza i utworzonych na rzecz tych formacji komendantur litewskich w powiatach. Ludzie powiadają, że bezpośrednio po tej rejestracji będzie ogłoszona mobilizacja i ludzie tych roczników otrzymają wezwanie do stawienia się. Jeżeli tak jest, to formacje Plechowicza byłyby wstępem do odbudowy armii litewskiej. Podobno radio sowieckie łaja Plechowicza i przypisuje mu wszystkie wady i grzechy ludzkie, oblewając go stekiem brudów.

4 kwietnia, rok 1944, wtorek

Jak wynika z komunikatów niemieckich, Sowiety są już w Besarabii i na Bukowinie. Niemcy ewakuowali Czerniowce. Walki toczą się pod Stanisławowem. Sowiety dotarły już więc do Karpat. Gdzie się teraz zawrócą? Na Bałkany czy na Węgry i Czechy, czy na Polskę?

Wieści zaś ustne głoszą, że walki się toczą na przedmieściach Lwowa i że Sowiety wkroczyły już na terytorium Rusi Podkarpackiej, to znaczy na terytorium byłej Republiki Czechosłowackiej, obecnie zaś państwowe węgierskie.

5 kwietnia, rok 1944, środa

Czas biegnie szybko. Minęła zima, mamy wiosnę wczesną. Żyjemy jak na kraterze wulkanu, nie wiedząc, czy, kiedy i jaki nastąpi wybuch. Wojenny front wschodni, który przed rokiem był bardzo daleko, zbliżył się i wciąż jest w stanie dynamicznym na rzecz inicjatywy i ofensywy sowieckiej. Już od lata ubiegłego roku posuwa się on stale na zachód, zbliżając się do nas. Na początku jesieni roku ubiegłego ludzie już przewidywali, że przed zimą jeszcze albo koło Bożego Narodzenia nastanie chwila krytyczna dla nas. Doczekaliśmy się wiosny i jeszcze żyjemy i trwamy. Ale sytuacja się nie zmieniła zasadniczo i to, co nam groziło, to grozi nadal. Co prawda, zbliżanie się frontu wschodniego w kierunku na zachód zawróciło w ostatnich czasach wyraźnie ku południowemu wschodowi – w kierunku na Karpaty i Bałkany. Kierunek ten pozostawia nas nieco na uboczu w pewnym rodzaju zatoce cichszej, ale może to tylko na razie, bo nie jest wykluczone, że dalekie wysunięcie klina karpackiego, okrążając naszą „zatokę" od południa, zmusi do jej zlikwidowania przez akuratne cofnięcie się Niemców. Żyjemy więc z dnia na dzień i nie wiemy, co i kiedy nas czeka. A czekać mogą rzeczy groźne i straszne.

Im groźniejszą staje się sytuacja, której dzień ewentualnej katastrofy, choć się nie daje przewidzieć, jednak może być bliski, tym bardziej zdaje się dojrzewać decyzja Litwy na rzecz mobilizacji i stawienia czoła inwazji sowieckiej. I tym bardziej też słabnie opór niemiecki żądaniom litewskim samoobrony. Zmobilizowanie narodowych sił wojennych Litwy staje się coraz bardziej prawdopodobne i, jak się zdaje, bliskie. Jako czyn jaskrawy na rzecz wolności, jako odruch romantyczny powstania i idealizmu ofiarnego – może to być bezwzględnie dodatnie, bo kapitalizujące wolę i energię w psychice narodowej na rzecz tradycji, która pozostanie. Więcej to jest wartościowe, niż bierność baranów, czekających rzezi. Ale wyniki pozytywne natychmiastowe tego wyczynu zbrojnego nie przedstawiają się tęczowo. Jeżeli Niemcy nie zdołają się oprzeć ofensywie sowieckiej, uzbrojonej w tanki, awiację i całą motoryzację wojny, to młoda romantyczna armia powstańcza litewska rady jej też nie da. To nie są walki o niepodległość z lat 1918, 1919 i 1920, bo choć siły narodowe zbrojne litewskie będą teraz poważniejsze, niż były wtedy, to przecie i przeciwnik jest nieproporcjonalnie potężniejszy.

6 kwietnia, rok 1944, czwartek

Ekonom Adamowicz wyjechał dziś na święta Wielkiejnocy do rodziny swojej do Poniewieża. Wrócić ma pod koniec tygodnia świątecznego. Mnie jest dużo lepiej, kiedy go mam tutaj. Lepszy jest porządek i robota lepiej idzie. Ekonom znacznie już uporządkował spichrz, porządkuje narzędzia (inwentarz martwy), jest dbały o inwentarz żywy.

7 kwietnia, rok 1944, piątek

Byłem dziś w Abelach. Miałem tam rozmaite interesy gospodarcze, również na poczcie i w aptece. Z Wilna otrzymałem pieniądze z mojej pensji uniwersyteckiej. Przekonałem się z tego, że wypłata pensji nie została przerwana tym członkom profesury, którzy na termin marcowy nie złożyli gotowej wykonanej pracy, zgłoszonej w roku ubiegłym. Przyszedł też list formalny od dziekana wydziału, żądający śpiesznie informacji dokładnej o stanie tej pracy zeszłorocznej – ile jej wykonano, jakie są jej rozdziały i które rozdziały są gotowe, jakie są przeszkody na rzecz wykończenia pracy. Jednocześnie zażądano zgłoszenia projektu pracy na rok następny. Podam tę pracę, której wykonanie był mi zaproponował dziekan – status konstytucyjny Litwy w przeddzień

inwazji sowieckiej w roku 1940. Co do obecnej pracy mojej, którą wykańczam – o państwie unitarnym i związkach państwowych – to nie mam się w niej czym pochwalić przed Niemcami, którzy kontrolują pracę naszego uniwersytetu: moja praca nie jest ani „stachanowska” w duchu komunistyczno-sowieckim, ani skierowana do nacjonalsocjalistycznej budowy „Nowej Europy”. Nie idzie ona na młyn i na usługi ani jednego, ani drugiego z dwóch potentatów, którzy walczą i w swoją walkę pragną i nas zagarnąć.

Wracając z Abel udało mi się u Egmina w Bojarach kupić 20 kilogramów nasienia czerwonej koniczyny dwukośnej. Choć w obecnych okolicznościach siedzimy na gospodarstwie bez pewności jutra i nic nie wiemy, czy będziemy korzystać i zbierać to, co posiejemy, to jednak trzeba się w gospodarstwie zachowywać tak, jak żeby się miało pewność zupełną. Jest to w samej naturze gospodarstwa rolnego, które nie znosi zachwiania, bo się zaraz rozprzęga. Koniczyny nie mam posianej wcale. Od kilku lat obchodzę się bez niej, ale cierpi na tym całe gospodarstwo. Trzeba ją wreszcie posiać. Nie możemy wiecznie przedłużać zaniedbania pod pretekstem, że może się wszystko zawali. Może się zawali, a może nie. Nasienie koniczyny dostałem śliczne, po 25 RM za kilogram.

8 kwietnia, rok 1944, sobota

Wielka Sobota. Byłem w Gaju, gdzie za 310 RM sprzedałem pięć osin Bagdonasowi i Adamonisowi z Knisy. W domu Jadzia była zajęta przygotowaniem święconego na jutro. Ani obiadu, ani śniadania i kolacji nie gotowano wcale – jakoś żywiliśmy się w dniu dzisiejszym dorywczo byle czym. Święcone jest oczywiście nie takie, jak za czasów przedwojennych, ale jeszcze skarżyć się nie można; na nasze potrzeby – aż nadto. Szczególnie mięsa jest dostatek wielki, ciast mniej. Z mięsa upieczona została indyczka, szynka, polędwica wieprzowa świeża i cielęcina świeżo uwędzona. Z ciast jest babka doskonała, pieróg z twarogiem na wierzchu (rodzaj „watruszki” rosyjskiej – tego nie lubię) i szpekuchy doskonałe. Wreszcie są oczywiście jaja, ufarbowane na błękitno, czerwono, zielono i żółto, a jako przyprawa – chrzan. Oto całe święcone. Przed wojną bywało obficiej, zwłaszcza w dziedzinie ciast, gdzie prócz kilku gatunków babek były jeszcze różne torty, wielka ilość rozmaitych mazurków, bułki szafranowe i inne. A za moich czasów dziecinnych na święconym w Bohdaniszkach z mięsiwa prócz indyka, szynki pieczonej w chlebie, cielęciny i pieczeni wołowej bywało jeszcze zawsze tradycyjne prosię pieczone z jajkiem kolorowym w gębie, głowa świńska, a czasem, prawie co roku – jeszcze albo szynka z dzika lub z niedźwiedzia, albo głuszec pieczony, albo jarząbki lub cietrzewie, albo sarnina lub nawet łosina (tych specjałów zwierzyny dostarczał nam na święcone wuj Ignaś Tukałło ze swoich trofeów myśliwskich). Teraz się o tych rzeczach nie śni.

Moskale uchodźcy rodziny Fiodora przenieśli się dziś z oficyny do chaty parobczanej, w której zajęli jeden z czterech pokojów, stanowiących mieszkanie robotników. W oficynie oba pokoje mieszkalne na dole i kuchnię zajmie ekonom Adamowicz.

9 kwietnia, rok 1944, niedziela

Wielkanoc. Pojechałem raniutko z Jadzią i Kotuńką do Krewien do kościoła. Proboszcz nasz był chory, nabożeństwo więc w jego zastępstwie odprawiał ksiądz, wydelegowany z Abel, który i tam w Abelach zastępuje jeno chorego wikarego, sam zaś jest z Puszałota pod Poniewieżem. Ksiądz w wieku ponad 40 lat, już łysawy, widocznie energiczny, bardzo prędki. Kazanie wygłosił od ołtarza, w środku mszy świętej. W środku kazania nagle nawiązał słowa swoje do mojej osoby; mówiąc, że wiara powinna być żywa i nie żądająca dowodów namacalnych, wskazał na to, że prawda tej wiary mówi sama za siebie, bo oto nie tylko tu w kościele zebrani pospolici ludzie ją wyznają, ale że oto widzi tu między nimi w kościele i wielkiego uczonego, człowieka wielkich zasług i powszechnego uznania – profesora Römera, który, jako rektor uniwersytetu, wychował i wykształcił nie jednego i nie kilku, lecz tysiące, lecz prawie całą młodą współczesną inteligencję litewską i oto ten wielki uczony, mąż siwowłosy wielkich zasług, który jest parafianinem

krewieńskim, przyjechał w dzień Zmartwychwstania złożyć hołd prawdzie Kościoła. Słuchałem tych słów zawstydzony, bo jest krępujące, gdy się jest chwalony publicznie. Na tym się ten incydent skończył. Cały kościół był wlepił oczy we mnie. Na plebanii nie byłem i księdza, który mię tak sławił, nie poznałem osobiście.

Na święconym mieliśmy dziś nauczycielkę bohdaniską pannę Bagdonaitė z Boniuszek i jej brata Jana Bagdonasa, który przyjechał z Wilna. Był też młody kleryk Alfred Kligis, bawiący na świętach u ojca. Był na święconym także Andrzej Mieczkowski.

10 kwietnia, rok 1944, poniedziałek

Na święconym był stary Ignacy Čepas, ojciec Jadzi. W godzinach poobiednich przyszedł Hektor Komorowski z Jolcią. Hektor Komorowski był niedawno w Radziwiliszkach i gościł u Sidorowicza, byłego naczelnika powiatu w Kownie. U Sidorowicza spotkał się i poznał z Karolem Żołkowskim i jego żoną. Żołkowscy w roku 1940 byli uciekli przed bolszewikami do Niemiec i mieszkają teraz w Lipsku, gdzie on ma jakąś posadkę przy uniwersytecie. Teraz przyjechał z żoną do Litwy na urlop, który spędzają u swoich przyjaciół Sidorowiczów.

Dnie mamy mokre, z mgłą i od czasu do czasu opadami deszczu. Mokro jest na dworze. Nie wychodzę z domu, bo czuję się mocno przeziębiony.

Dziś nasza córeczka najmłodsza, Żermena, skończyła pierwszy miesiąc życia. Miała być dziś po raz pierwszy wywieziona w wózku na dwór, ale w dzień mglisty bez słońca nie chcieliśmy rozpoczynać tego eksperymentu. Żermena dobrze się hoduje i waga jej przybywa stale w dużych proporcjach, mimo że od dwóch tygodni jest karmiona wyłącznie sztucznie, bo Jadzia pokarmu w piersiach nie ma. 17 marca Żermena ważyła 3 kg 190 gramów (w dniu urodzenia nie była ważona, po urodzeniu waga na razie oczywiście spadła). 26 marca ważyła 3 kilogramy 300 gramów, to znaczy przybyło jej w ciągu dziewięciu dni 110 gramów, czyli dziennie po 12 gramów. 2 kwietnia ważyła już 3 kilogramy 550 gramów, czyli w ciągu tygodnia przybyło już 250 gramów – dziennie po niespełna 36 gramów. Wczoraj 9 kwietnia Żermena ważyła 3 kg 820 g, czyli przybyło wagi w ciągu tygodnia 270 gramów, to znaczy dziennie niespełna 40 gramów. Ma jednak Żermena ciało trochę wysypane. Skądinąd jest zdrowa.

11 kwietnia, rok 1944, wtorek

Nie ma żadnej mobilizacji, którą zapowiadano, ani nawet powołania tych, co się zgłosili na ochotnika do werbunku na rzecz oddziałów generała Plechowicza. Jak donosi prasa tajna, Niemcy wciąż mają chętkę uszczknąć coś dla siebie z tej rezerwy ludzi pod broń, jaka się znajduje w Litwie. Gdy spostrzegli, jak chętnie i licznie młodzież litewska się zapisuje do oddziałów ochotniczych litewskich, to żądają teraz, aby im z tej rezerwy ludzi dano 50-60 tysięcy na front i tylko 10 tysięcy do dyspozycji Plechowicza w kraju na rzecz obrony przed bandytyzmem i tworzenia kadrów armii narodowej przeciwko ewentualnej inwazji bolszewickiej. Czynniki litewskie opierają się temu i rzecz stoi na martwym punkcie. Opornie też ze względu na Niemców idzie zbrojenie oddziałów Plechowicza. Są też jakieś wieści z Wilna, że zachodzą komplikacje w kwestii przysięgi. Niemcy narzucają rotę przysięgi na wierność Führerowi niemieckiemu, czego oddziały Plechowicza przysięgać podobno nie chcą.

W Rumunii i na Węgrzech Niemcy zlikwidowali załamanie, jakie się tam zamanifestowały. Zlikwidowali je okupacją zbrojną i przekształceniem rządów tych krajów oraz zarządzeniem wyczerpującej mobilizacji. W związku z wkroczeniem sił sowieckich na terytorium rumuńskie i węgierskie usposobienie w Rumunii i na Węgrzech jest bardzo ciężkie. Wkraczając na terytorium Rumunii Sowiety wydały odezwę, zapewniającą, że nie roszczą żadnych pretensji do terytorium Rumunii (nie licząc oczywiście tych terenów – Besarabii i Bukowiny Północnej – które Sowiety zagarnęły w roku 1940 i które teraz uważają za swoje) i że nie myślą narzucać Rumunii swojego ustroju społecznego. Ale przecie ogłaszali kubek w kubek to samo, gdy w latach 1939-1940 sięgali

po kraje bałtyckie, które następnie przez marionetkowe kreatury swoje zaanektowali pod płaszczykiem rzekomej woli ludowej tychże krajów.

12 kwietnia, rok 1944, środa

Od paru dni puścił zamróz. Drogi są niemożliwe. Ale jest wiosennie i ciepło. Powietrze napełnione śpiewem ptaków.

Dostaliśmy na razie nianię. Jest nią młoda 15-letnia dziewczynka Aldona Merkisówna z Mełduć, dosyć ładna, zgrabna i delikatna. Tylko że niemożliwie droga. Nastręczyła ją nam Podolska. Mimo że Antoniowa Juszkiewiczowa, prawdziwa jędza, nienawidząca dwór i usiłująca nam wszędzie szkodzić, odmawiała i straszyła dziewczynkę i jej matkę, opowiadając niesłychane rzeczy o rzekomych wymaganiach Jadzi, Podolska ją jednak do nas dziś przyprowadziła. Dziewczynka była niezdecydowana i za młoda, aby sama podejmowała się umawiać. Wobec tego Buba poszła z nią do Mełduć do jej matki i tam się z nią umówiła. Ale tylko na miesiąc na próbę, bo matka dziewczyny zażądała warunki wynagrodzenia takie, jakich nie sposób jest dać na rok. Mianowicie za miesiąc trzeba dać 3 cetnary zboża, co się równa podwójnej ordynarii parobka, czyli ordynarii dwóch parobków, nie licząc tego, że się daje utrzymanie i całkowite ubranie, obuwie i bieliznę do noszenia podczas służby. Sama dziewczynka wszakże może być niańką zdatną. Służyła już w dwóch miejscach za nianię, jest gładka i zręczna, cicha, potrafi prać bieliznę dziecinną, łatać i cerować, ubierać i rozbierać starsze dzieci.

13 kwietnia, rok 1944, czwartek

Miałem dzisiaj stratę dużą: zdechła stara klacz Dubisa, Zachorowała przed kilku dniami; leżała i nie wstawała wcale. Podnosili ją ludzie, usiłowała sama się podnieść, ale nie była w stanie; na przód wstawała, ale tyłu dźwignąć nie mogła. Ponieważ i lat poprzednich miewała pod wiosnę ciężkie reumatyzmy – ubiegłej wiosny na lewą przednią nogę zupełnie przystąpić nie mogła, więc sądziłem, że i teraz to reumatyzm w kłębach tylnych i że to przejdzie. Jadła dobrze. Leżała zresztą nie na boku z nogami wyciągniętymi, ale z nogami pod sobą i z głową podniesioną. Chcieliśmy we wtorek sprowadzić weterynarza z Abel, ale był zajęty i nie przyjechał, tylko kazał nacierać klaczy kłęby wodą soloną i nie dawać zboża. Nazajutrz czekaliśmy weterynarza, który miał przyjechać do Janówki kastrować ogierki. Nie doczekaliśmy się znowu. Mieliśmy dziś rano po niego posyłać, ale w nocy Dubisa zdechła. Uproszony Mateusz Tumėnas zdjął z Dubisy skórę, a Fiodor porąbał jej mięso, które będzie dla świń i dla kur. Stwierdzono, że miała kłęby wybrzękłe od reumatyzmu i zapalenie płuc, zapewne od leżenia. Dubisa była źrebna. Znaleziono w jej wnętrzu bardzo ładnego nieżywego ogierka maści myszatej; byłby zupełnie podobny do zeszłorocznej ślicznej klaczki Elty, którą zamieniliśmy z leśnikiem Sadowskim za konia Faraona od niego. Dubisa jako koń roboczy wielkiej wartości nie przedstawiała, bo była słaba i stara, a szczególnie osłabiona przez coroczne źrebienie się. Ale w tych czasach i taki koń coś wart, bo konia dokupić prawie nie można. Za to doskonała była Dubisa na źrebięta. Śliczne prowadziła źrebięta po ogierach. Kupiłem Dubisę od Żyda, handlującego końmi, w roku, zdaje się, 1932 czy też 1934. Ogierek Czyżyk i klacz Gulbė są jej dziećmi, tak samo klaczka Elta, której już nie mam. Wielka to strata w gospodarstwie tak ze względu na nią samą, jak na jej źrebiątko, które miało się urodzić. Tej zimy i wiosny mnóstwo klaczy dokoła poroniło lub urodziło nieżywe źrebięta. Jak epidemia jakaś.

14 kwietnia, rok 1944, piątek

Żona wywiezionego w grudniu do Niemiec na roboty parobka mojego Mikity Szerszniowa wyniosła się już dziś z całą liczną rodziną dzieci z mieszkania parobczanego u nas do Abel, gdzie gmina udzieliła jej mieszkanie. Po wywiezieniu Szerszniowa trzymałem ją z rodziną dotąd, to znaczy do końca roku gospodarskiego na całkowitych warunkach umowy z jej mężem, dając całą ordynarię; za wywiezionego zaś Szerszniowa pracował dotąd u mnie starszy syn ich 15-letni Wańka, zresztą kiepski robotnik, bo hultaj. I wszystkie dzieci Szerszniowych były nieznośne,

brudne, chore na świerzb... Zaś mały Ignaszka, który w roku ubiegłym pasł u nas bydło, jest formalnym złodziejaszkiem, sprytnym i ruchliwym, ale takim, od którego nic się nie ukryje i żaden zamek nie ustrzeże. Jeżeli nie może przejść przez drzwi, to wślizga się pod drzwiami, a jeżeli nie można pod drzwiami, to przez okno, nawet zakratowane. W ten sposób np. wyjadał ubiegłego roku naszą wędlinę w spichrzu, a pastuchem był takim, że nie daj Boże: gdzie mógł i ile mógł, tyle szkody zrobił. Rad jestem, żeśmy się wreszcie tej rodziny szkodników pozbyli.

Miał dziś wrócić z Poniewieża po świętach ekonom Adamowicz. Izydor jeździł po niego na stację, ale ekonom nie przyjechał. Nie było wszakże od niego żadnej depeszy donoszącej o przedłużeniu pobytu. Nieobecność jego jest dla mnie bardzo nie na rękę.

Od dwóch dni niedomaga nasza mała Żermena. Źle je, wymiotuje, ma żołądeczek zły, ale gorączki nie ma. Buba nastraszyła Jadzię, że trzeba ją wieźć do kościoła ochrzcić, bo może być źle. Jadzia się bardzo zaniepokoiła i nastała, żeby posłać po p. Wienażyńską jako lekarkę. Posłaliśmy, ale już pod sam wieczór. Nie przyjechała, bo nocami nie jeździ. Sprowadzimy ją jutro rano. Mnie się zdaje, że nic strasznego nie ma, bo inaczej byłaby temperatura podniesiona.

15 kwietnia, rok 1944, sobota

Nocy dzisiejszej słychać było wyraźnie jakieś dalekie strzały z dział czy też wybuchy, połączone z błyskami, oświetlającymi na krótko niebo u horyzontu; kilkakrotnie też tamże rozpalał się i płonął nisko u horyzontu jakiś wielki ogień albo wystrzelał dosyć wysoko wielki słup ognisty, który się utrzymywał przez czas jakiś. Co to było – nie wiadomo. Było to w stronie północnej – kierunek od nas na Abele, ale oczywiście daleko za Abelami. Huk wystrzałów czy wybuchów powtarzał się też dziś rano aż za południe. Parokrotnie też rano słyszano furkot licznych aeroplanów. Ludzie są zaniepokojeni. Jedni domyślają się zbliżania się frontu na terenie Łotwy (powiadają już nawet, że front jest pod Rzeżycą), inni mówią, że to był nalot i bombardowanie Dyneburga. Mnie się jednak zdaje, że Dyneburg jest w kierunku bardziej na wschód od tego miejsca, gdzie się w nocy ukazywały fenomeny świetlne.

Dziś rano sprowadziliśmy p. Wienażyńską do Żermeny. Nie stwierdziła nic złego. Dziecko, zdaje się, lepiej się ma.

Przed wieczorem otrzymałem z gminy nakaz stawienia się w poniedziałek w Rakiszkach do „ukio vadovo" (Kreiswirtschaftsführera) w sprawie normy rekwizycyjnej. Mam się stawić ze wszystkimi papierami, wskazując zażądaną ode mnie normę i z kwitami uiszczonej normy. To mię poruszyło i zaniepokoiło. Wiem, że są wzywani ci, co normy nie uiścili albo mało jej uiścili. U mnie uiszczono normy mało, zwłaszcza zboża, którego więcej uiścić nie jestem w stanie. Żyta oddałem tylko 33 cetnary zamiast zażądanych 84, jęczmienia i kartofli wcale nie oddałem, bo mi brak – kartofle sam dokupuję. Oddałem całkowicie tylko wełnę, len – włókno i siemię (siemię nawet w dwójnasób), wyką pokryłem całą normę owsa, spodziewam się oddać całą normę mięsa wołowego i mleka, poszoru (siana i słomy), będę się starał oddać jak najwięcej normy świniny, choć nie jestem pewny, czy dam radę. Cóż robić – pojadę do Rakiszek, będę się tłumaczył. Mogą być jednak represje i ewentualnie rewizje, podczas których zabierają podobno czasem nawet to, co na nasienie zostawione.

Od ekonoma Adamowicza była depesza, że wyjeżdża do chorego syna do Kowna, który tam jest w sanatorium gruźliczym. Ma być tam konsylium lekarskie. Z tego powodu opóźnia przyjazd do Bohdaniszek i ma wkrótce zawiadomić, kiedy przyjedzie.

16 kwietnia, rok 1944, niedziela

Zachorowała nam dziś Kotuńka. Z dziećmi wiecznie te choroby. To jedno chore, to drugie. Tym razem u Kotuńki jest zaziębienie, które u niej bardzo rzadko się zdarza. Od paru dni ma kaszel wielki. Nie wypuszczamy jej z domu z tego powodu, bo choć jest ciepło, ale błoto wielkie i nogi może zamoczyć. Nie niepokoilibyśmy się tym zbytnio, gdyby nie to, że dziś od południa zaczęła się skarżyć na ból gardła i ma wielką chrypkę oraz lekką gorączkę. Zaniepokoiliśmy się, czy to nie

dyfteryt, który już drugi rok grasuje w naszych stronach. Na dyfteryt zaś trzeba reagować prędko – w tym cały sekret walki z tą chorobą. Toteż posłaliśmy Novikasa, jako dyżurnego, na rowerze do Pokrewnia, żeby stamtąd dowiedział się telefonicznie, czy jest doktor Kozłowski w domu w Abelach. Okazało się, że jest. Zaraz więc Jadzia powiozła Kotuńkę do Abel do doktora. Doktor stwierdził, że to nie dyfteryt, zapisał lekarstwo. Kotuńka poleży w łóżeczku. Obawa upadła.

Jest święto Wielkiejnocy u prawosławnych. Rodzina uchodźców Fiodora świętuje cały dzień. Uchodźcy z sąsiedztwa chodzą jedni do drugich i piją. I ja zaszedłem do Fiodora i musiałem z nim wypić ohydnego samogonu.

Jestem wciąż zaniepokojony wezwaniem na jutro do Rakiszek do „ukio vadovo" w sprawie niedostarczonej normy rekwizycyjnej. Z Niemcami żartów nie ma. Zabierają się oni teraz ostro do wyduszenia normy.

Nocy dzisiejszej znów słyszano wystrzały czy wybuchy i widziano światło w kierunku północnym. Już się wczoraj domyślałem, że to chyba jest kierunek na Jakobstad w Kurlandii nad Dźwiną. Dziś w Abelach potwierdzono, że to był nalot na Jakobstad i ostrzeliwanie samolotów sowieckich przez artylerię zenitową niemiecką.

17 kwietnia, rok 1944, poniedziałek

Pojechałem więc do Rakiszek na wezwanie pana Kreiswirtschaftsführera. Droga okropna – roztopy wiosenne, konie i koła toną w śliskim głębokim błocie, które się wytworzyło po zamrozie. Im bliżej Rakiszek – tym droga okropniejsza, najgorsza zaś od lasu szyłeńskiego do toru kolejowego. Taka jazda – to męka dla konia i dla podróżnych. Jechałem w towarzystwie Izydora Kulysa. Zabrałem ze sobą wszystkie reklamacje i kwity rekwizycyjne, poczyniłem notatki do tłumaczenia się, choć wiedziałem, że wszelkie tłumaczenie nie bardzo się na co zda. I rzeczywiście do żadnego tłumaczenia nawet nie doszło. Nie dostąpiłem nawet przed świetne oblicze Kreiswirtschaftsführera Bettingera, który wcale z takimi zaniedbującymi się w obowiązkach rekwizycyjnych obywatelami nie raczy rozmawiać. W kancelarii jego siedzi dwóch urzędników – jeden Niemiec, drugi – bądź Litwin, umiejący po niemiecku, bądź Niemiec, umiejący po litewsku, i ci dwaj załatwiają tego rodzaju interesantów. Biorą od każdego kwity rekwizycyjne, wyliczają, jaki procent daniny rekwizycyjnej jest wykonany i nie wdając się w żadne gawędy oświadczają krótko i węzłowato, że w ciągu tygodnia wszystkie braki muszą być uzupełnione i cała norma pokryta (chodzi obecnie li tylko o normę daniny zboża), w przeciwnym zaś razie delikwent zostanie przez policję zaaresztowany, a jak dodał p. Bettinger, który raz wyjrzał z gabinetu, aresztowanie nastąpi bez względu na to, czy zboże jest, czy go nie ma, czy urodziło czy nie, bez żadnych tłumaczeń i usprawiedliwień, po czym aresztowany będzie wywieziony do Poniewieża i osadzony w obozie pracy przymusowej. Na tym się skończyło. Na moje próby tłumaczenia się urzędnik mi zapowiedział, że uniknąć represji mogę li tylko w takim razie, jeżeli wykonam normę ponad 80%, a zresztą, jak dodał, jeżeli uważam, że mię obarczono zbyt wysoką normą, to mogę się zwrócić do gminy, bo do Kreiswirtschaftsführera to nie należy. Wyliczył, że u mnie norma jest wykonana tylko na 43%. Wyszedłem, pokręciłem się po Rakiszkach, załatwiłem inne drobne interesiki i puściłem się w podróż powrotną po ohydnej drodze. Jak zawsze – ciosy niepowodzeń działają na mnie przygnębiająco. Pierwszy odruch – przygnębienie, niechęć do życia. Ale jednocześnie zacząłem kombinować, że jednak będę próbować wywozić z resztek normę i może jakoś się wyskrobię, a też do viršaitisa naszego po radę się zwrócę. Może się jakaś rada znajdzie. A zresztą – „*ot tiurmy i sumy nie otrekajsia*" – powiada mądre przysłowie białoruskie.

18 kwietnia, rok 1944, wtorek

Zaraz dziś wysłałem do Abel pierwszą furmankę dwukonną na rzecz uzupełnienia normy rekwizycyjnej. Mianowicie po cztery cetnary żyta i jęczmienia. Sam też pojechałem tą samą furmanką na worach ze zbożem – do Abel do viršaitisa robić starania o to, żeby gmina mię wzięła w obronę. Viršaitis, jak zawsze, przyjął mię życzliwie. Co prawda stwierdził, że zmniejszyć mi

stopę rekwizycyjną nie może, bo gdyby zmniejszył mnie, to musiałby przez to samo komuś innemu dodać to, co u mnie odjęto; ale powiedział mi, że przyśle pozajutro komisję gminną do Bohdaniszek, która stwierdzi stan zboża w spichrzu u mnie, po czym ewentualnie prześle opinię łagodzącą do Rakiszek do Kreiswirtschaftsführera; powiedział, żebym w tym celu podał deklarację na jego imię, prosząc o wyznaczenie komisji. Obiecał też, że mi wyda pewnego rodzaju zaświadczenie na rzecz zaliczenia do normy tego żyta, które daję na utrzymanie rodziny uchodźców Fiodora. Słowem, tak czy inaczej będzie pewien ruch i interwencja gminy na rzecz wytłumaczenia mnie, ile się da, ja zaś tymczasem będę się starał wywieźć dodatkowo zboża różnych gatunków, ile zdołam, usiłując dopędzić dostarczoną normę do 80% żądanej. Będę musiał i starał się jakoś kombinować, żeby wywieźć względnie jak najwięcej. Po powrocie do domu przez cały wieczór kalkulowałem, ile czego zdołam jeszcze wywieźć. Ze zbożem dam jakoś radę do 80% przeszło, jeżeli tylko zostanie wliczone do normy żyto dla uchodźców moich. Poszor w postaci słomy wywiozę cały do 100%. Najgorzej się rzecz przedstawia z kartoflami. Mogę z biedy wywieźć 18 cetnarów kartofli, które mam zakupione od Širvisa, choć z wielką stratą dla siebie, ale nie dopędzi to nawet do 50% normy kartoflanej. Uzupełnienie zboża też będzie ciężkie, bo będę musiał na własne potrzeby dokupić; może się uda dokupić za drzewo. Dokupienie i wywiezienie kartofli byłoby jeszcze cięższe. I kartofle, i zboże bardzo już podrożało na wiosnę i dostać niełatwo.

Kłopoty są z tym wielkie, a tymczasem i ekonom nie wraca, i klacz Dubisa zdechła, i roboty wiosenne się zbliżają, a koni mało, orania dużo, a ta sprawa tej normy... Co prawda, dziś już trochę raźniej, ale czy zdołam wybrnąć – tego jeszcze pewny nie jestem. Głowa mię boli i czuję się trochę jak pijany. Dokoła inni umieją się jakoś urządzać, piją z urzędnikami, spekulują, ukrywają, co się da i przez to normę mają mniejszą i całą dostarczają. Ja zaś nie umiem spekulować, nie umiem operować zasadą „ręka rękę myje", nie umiem iść ścieżkami krętymi. Może jestem zbyt szczery i uczciwy na te czasy. Ale inny być nie chcę i nie umiem.

19 kwietnia, rok 1944, środa

Dziwny śniłem sen. Zwykle snów nie pamiętam, ale ten mi niezwykle utkwił w pamięci. Śniłem, że jestem jakby w Kownie na starym Placu Ratuszowym. Naprzeciwko w pewnej odległości mam przed sobą kamienicę, której dach, dosyć stromy, jest pokryty blachą jakby zieloną. I nagle na tym dachu widzę dwie pary dużych pięknych białych koni w uprzęży, ale bez żadnych powozów. Konie są u skraju dachu i kierują się ku szczytowi. Jak się tam dostały – nie wiem. Patrzę na piękne konie przejęty zgrozą, bo wiem, że oto zaraz poślizną się na blaszanym dachu, stoczą się i spadną w przepaść na bruk, zabijając się lub kalecząc. Jakoś jeden koń pośliznął się na tylne nogi, próbował się wesprzeć na przednich i podnieść, ale zaczął się ześlizgiwać w dół po dachu i rychło tył jego ześliznął się w próżnię, przeważył się i... zamknąłem oczy, żeby nie widzieć sceny rozbicia się żywego ciała konia na bruk ulicy. Posłyszałem tylko upadek konia i obudziłem się. Nie wiem, co znaczy ten sen, ale pozostawił mi on przykre wrażenie.

Pojechałem znów do Abel na wozie parokonnym na workach ze zbożem, które Novikas odwiózł na stację kolejową do rekwizycji. Wywiozłem dziś 6 cetnarów żyta i po cetnarze wyki i siemienia lnianego. Sam zaś wyszedłem w miasteczku i zaniosłem do viršaitisa deklarację w sprawie wykonania przeze mnie normy rekwizycyjnej, prosząc o wyznaczenie komisji dla skonstatowania faktów podanych w deklaracji oraz stanu zboża w spichrzu u mnie. Viršaitisa nie zastałem, deklarację złożyłem sekretarzowi gminy Didžiokasowi. Jeżeli mi zaliczą do normy rekwizycyjnej żyto, które daję na chleb rodzinie uchodźców Fiodora, to normę zboża, po uzupełnieniu jej jeszcze 4 cetnarami żyta, 2 cetnarami owsa i 29 kilogramami jęczmienia, będę miał wykonaną na przeszło 80%, normę poszoru, po wywiezieniu słomy, będę miał pokrytą całkowicie. Trudniej jest z kartoflami, których mogę ofiarować do rekwizycji tylko 17 cetnarów, które mam zakupione u Širvisa, ale jeżeli mi zaliczą do normy kartofle, które daję na utrzymanie rodziny uchodźców, to i norma kartofli będzie prawie całkowicie wykonana. Spodziewam się, że z pomocą

gminy uda mi się z tych opałów wykręcić, choć będzie mię to dosyć drogo kosztowało, bo będę musiał nieco zboża dokupić.

W Abelach wojska niemieckiego coraz przybywa. Dziś, gdyśmy z Novikasem do Abel dojeżdżali, spotkaliśmy kilka oddziałów końskich z taborami, ciągnących na Rakiszki. Jest to wrażenie, że jednak Niemcy się cofają i że te najgłębsze oddziały tyłowe taborów i rezerw końskich frontu, które zwykle przy posuwaniu się naprzód, ciągną ostatnie, teraz cofają się pierwsze, wskazując jednak ogólny ruch ostateczny frontu. Zastałem też w Abelach dosyć duże zaniepokojenie i pogłoski o tym, że spod Pskowa i Ostrowa Sowiety wdarły się na terytorium Łotwy od północnego wschodu. Dużo też mówią o bombardowaniu lotniczym Rzeżycy, Jakobstatu i innych miejscowości. Dyneburg jednak nie był bombardowany. Szczególnie uszkodzona ma być Rzeżyca.

Otrzymałem depeszę od ekonoma Adamowicza, dziś nadaną. Tekst lakoniczny: „Atvažiuoju. Adamavičius". Kiedy przyjeżdża – w depeszy nie wskazano. Myślałem, że chyba dziś. Posłałem wieczorem Fiodora w linijce na stację, ale ekonom nie przyjechał.

Wieczorem miała miejsce przygoda ze starym koniem Czewierykasem. Gdy go Novikas prowadził do stajni – wlazł do sadzawki i upadł do wody. Jest słaby bardzo i nie był w stanie wstać o własnych siłach. Powstało wielkie zaniepokojenie, żeby nie zdechł. Długo się wysilali parobcy moi i Mieczkowskich, zanim zdołali wyciągnąć biednego konia z sadzawki na suchsze miejsce i wreszcie podnieść. Na razie bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło, ale koń jest bardzo słaby.

20 kwietnia, rok 1944, czwartek

Dziś nie wyjeżdżałem i normy nie wywoziłem, ale miałem komisję, którą viršaitis na moją prośbę wyznaczył – formalnie dla stwierdzenia stanu mojego gospodarstwa i moich możliwości (potencjałów) rekwizycyjnych; w istocie – dla ułatwienia mi wyplątania się z sytuacji. Komisję stanowili: urzędnik gminy Dominowski (którego ojciec był dorożkarzem w Abelach i przywoził mi studentów do egzaminów – był to krewny mego starszego lokaja Kazimierza Jankowskiego), nasz seniunas Kišunas i Janek Čepas. Komisja, o której przyjeździe dla „rewizji" rozeszła się po okolicy wieść i napełniła wielu strachem, a wywołała też różne pogłoski, przede wszystkim zajrzała do spichrza, potem Dominowski spisał akt o stanie pól, zasiewów, zboża, inwentarza itd. – wszystko oparte na moich oświadczeniach i w duchu dla mnie życzliwym, skierowanym do ułatwienia mi sytuacji, po czym nastąpiło śniadanie i herbatka, oczywiście z wódką samogonem, bo wszyscy trzej członkowie komisji są pijakami sławnymi. Wypito dużo wódki, pogawędzono i na tym się skończyło. Jutro w gminie otrzymam spisany akt komisji, na którego podstawie skieruję prośbę do ukio vadovasa w Rakiszkach.

Dzieci nam wciąż chorują. Kotuńka bardzo kaszle i jest znerwowana, Iga też niedomaga, ma wymioty, jest zakatarzona.

21 kwietnia, rok 1944, piątek

Wywiozłem dziś do Abel do rekwizycji dwa wozy słomy, które określono na 900 kilogramów. Jeden wóz parokonny wiózł Izydor Kulys moją parą koni (Czyżykiem i Faraonem), drugi – Janek Čepas swoją parą koni. Sam zaś pojechałem także do Abel linijką z Fiodorem do gminy i za innymi interesami. Pojechałem klaczą Gulbią. Tu nowa mię spotkała bieda. Już to prawdziwie – gdzie krótko, tam rwie się. Klacz Gulbė, która, zdaje się, w dodatku jest źrebna, od pewnego czasu często zachorowuje na jakieś kolki i zaburzenie w kiszkach. Ogląda się wtedy na boki i chce się kłaść i tarzać. Trzeba ją wtedy oprowadzać i pędzać, nie dając się jej położyć. Po krótkim czasie to przechodzi, ale powtarza się po kilka razy na tydzień. Schudła też w ostatnich czasach tak, że aż przykro i smutno na nią patrzeć. A przecie dobra to i młoda klacz, jedna z najlepszych i najsilniejszych moich koni. I oto po przyjeździe do Abel znowu się to jej powtórzyło. Gdy Fiodor chciał ją przy gminie przywiązać, zaczęła się zabierać do kładzenia. Pojechaliśmy z Fiodorem do weterynarza. Ten po obejrzeniu jej i zbadaniu stwierdził, że ma katar żołądka od

sieczki, którą karmimy konia; nakazał więc zmienić jej pokarm, mianowicie karmić ją sianem lub koniczyną, bo w przeciwnym razie może się rozwinąć zapalenie kiszek i klacz może zdechnąć. Byłby to dla mnie w gospodarstwie cios straszny. Straciłem już Dubisę, osłabł do reszty stary Czewerykas, a teraz niebezpieczeństwo grozi dobrej Gulbi. A czeka ją jeszcze oźrebienie się. I na źrebięta nie mam tej wiosny szczęścia: Čigonė poroniła, Dubisa zdechła przed oźrebieniem się. Będę musiał na gwałt szukać siana lub koniczyny, a to nie jest łatwe. Gulbė poleżała czas jakiś na dziedzińcu weterynarza i odchwyciła się. Fiodor jej pilnował, żeby się nie tarzała, bo to jest dla niej niebezpieczne.

W gminie dano mi akt obejrzenia gospodarstwa mojego i stanu zboża w spichrzu, sporządzony przez komisję wczoraj. Na zasadzie tego aktu, który jest dobrze i dodatnio dla mnie ułożony, mam napisać podanie do Kreiswirtschaftsführera i w poniedziałek w Rakiszkach mu doręczyć. Ponieważ podanie ma być zredagowane po niemiecku, prosiłem agronoma rejonowego, żeby mi podanie, które ułożę po litewsku, przetłumaczył, bo sam nie podołam. Jeżeli tylko ten „wódz gospodarczy" – p. Bettinger – zaliczy mi do normy żyto i kartofle, które daję na utrzymanie rodziny uchodźców Fiodora, to będę już prawie miał 80% normy wykonanej, a to, co brakuje jeszcze do 80%, uzupełnię rychło. Tylko że te komplikacje rekwizycyjne bardzo dużo absorbują mi czasu i siły roboczej koni, kiedy tu już trzeba zaraz wychodzić na pole orać, a są jeszcze inne rzeczy nie załatwione. I nie mogę się wciąż jeszcze doczekać powrotu ekonoma. Jestem te dni zmachany strasznie.

22 kwietnia, rok 1944, sobota

Ułożony wczoraj przeze mnie tekst podania do Kreislandwirtschaftsführera w Rakiszkach w sprawie moich świadczeń rekwizycyjnych posłałem dziś do Abel do agronoma rejonowego, który się podjął łaskawie przetłumaczenia go na niemiecki. Jutro go odbiorę od agronoma i pozajutro zawiozę go do Rakiszek i wręczę.

Dziś rano pojechałem z Izydorem Kulysem karami parą koni do Sadowskiego w Wiwieliszkach po żyto, którego 6 cetnarów kupiłem od niego po 70 RM za cetnar. Żyto dobre, suche.

Podczas obiadu mój leśnik Sadowski przyprowadził do mnie gospodarza Sadowskiego z Montowszczyzny, zwanego Abdonem, który chce u mnie kupić jodeł albo osin budulcowych z Gaju. Proponował mi w zamian 10 cetnarów pszenicy letniej. Czy pszenicę tę kupię – nie wiem jeszcze. Ale że mu chodzi bardzo o drzewo budulcowe, więc zacząłem go rozpytywać, co ma innego do dania za drzewo. W pierwszym rzędzie okazało się, że ma koniczyny trochę, która mi jest teraz niezbędna na poszor dla Gulbi, a może i dla innych koni na czas robót wiosennych. Zakupiłem więc od niego na konto drzewa 3 bierkowce koniczyny (licząc po 80 RM za bierkowiec). Bardzo się z tego nabytku cieszę, bo koniczyna, po którą posłałem po obiedzie Izydora z Fiodorem, okazała się doskonała i jest jej u tego gospodarza więcej do ewentualnego nabycia. Co do innych ewentualności do nabycia od niego za drzewo – to proponuje on, o ile bym nie chciał pszenicy letniej – albo bekona, albo pieniądze, albo może nawet konia. Na konia bym się teraz najwięcej łakomił. Klacz jego jest podobno dosyć stara, koło 15 lat, niezbyt silna, ale na roboczą jeszcze zdatna. A koń roboczy mi potrzebny bardzo. We wtorek będę z tym gospodarzem traktować jeszcze.

Po obiedzie doczekałem się ekonoma Adamowicza. Przyjechał z Poniewieża wczoraj wieczorem, nocował w Abelach, dziś przyszedł z Abel piechotą. Rad jestem, że się już znalazł.

W domu – szpital. Wciąż zapada na zdrowiu Jadzia, chorują (chyba na koklusz) Kotunia i Iga, prowizorycznie niania – 15-letnia Aldona Merkisówna – dziś odeszła. Nocami wyręcza Jadzię Buba, która śpi przy Żermenie.

Jadzia dziś chodziła do Ażubel i tam u wdowy Pogirini najęła pastuszka.

23 kwietnia, rok 1944, niedziela

Pojechałem dziś z ekonomem Adamowiczem do Abel dla wzięcia od agronoma rejonowego dokonanego przezeń tłumaczenia mojego podania do Kreislandwirtschaftsführera Bettingera w sprawie normy i dla poinformowania się u rządcy dworu abelskiego Kareivy o możliwościach otrzymania od stacjonujących w Abelach Niemców koni wojskowych do pomocy w wiosennych robotach polowych, a oprócz tego Adamowicz miał zabrać swoje rzeczy, zostawione na stacji w Abelach. Od agronoma rejonowego dokonane przezeń tłumaczenie otrzymałem. Ze zwykłą sobie flegmą doręczył mi je i wysłuchał mojego podziękowania, bąkając coś, że to głupstwo i nie ma o czym gadać. Dziwny to dosyć człowiek – ten agronom. Z ojca Niemiec, z matki – Litwin. Milczący, dopóki jest trzeźwy i przez to robiący wrażenie mruka ponurego i nieużytego. Pijak wielki, trzymający bodaj prym pijaństwa w pijanych Abelach w czasie wojny. Podobno bardzo wrażliwy i dobry, ciekawy i pełny serca na pijano. Niemców nie lubi, garnie się bardziej do Litwinów. Nie znałem go prawie, ale bardzo chętnie podjął się dla mnie przetłumaczenia podania, z czym musiał mieć dużo pracy, bo podanie jest obszerne i szczegółowe. Pracę tę wykonał bardzo starannie i precyzyjnie. Zupełnie bezinteresownie, li tylko dla moich „pięknych oczu". Podziękowałem mu bardzo uprzejmie, ale on słabo reagował na to. Był jeszcze trzeźwy.

Co do wypożyczenia koni wojskowych niemieckich, to mówiono wczoraj u nas (seniunas, Janek Čepas), że trzeba tylko poprosić o to wachmistrza, dać mu słoniny, samogonu albo czegoś w tym rodzaju – i już się konie dostanie. Upewniano mię, że dostanę ze dwie pary koni na jakiś tydzień lub dwa. Zaorają one i zabronują u mnie wszystko, co potrzeba będzie do siewu. Okazało się, że to tak łatwo nie będzie. Dotąd nikomu koni wojskowych u nas do robót w polu nie udzielono, za wyjątkiem tylko dworu abelskiego, który jest rządowym. Zależałoby toteż nie od wachmistrza, ale od kapitana niemieckiego, z zawodu pastora, człowieka kulturalnego, do którego się z łapówką nie podejdzie. Kareiva przyrzekł, że przy okazji zapyta o to tego kapitana, ale dobry skutek jest bardzo wątpliwy.

Całe poobiedzie i wieczór ekonom Adamowicz łaził po mieszkaniach parobków – Novikasa i Izydora – i pił z nimi, raczony przez nich. Bardzo mi się to nie podobało. Stary Pumpol był wielkim pijakiem, ale nigdy nie pił z parobkami. Łamie to dyscyplinę i autorytet ekonoma i może być drogą do różnych konszachtów i nieuczciwości kosztem właściciela. Jest to droga korupcji i tezy „ręka rękę myje".

24 kwietnia, rok 1944, poniedziałek

Pojechałem dziś do Rakiszek do Kreislandwirtschaftsführera p. Bettingera dla doręczenia mu podania w sprawie uregulowania kwestii mojej rekwizycji zboża, kartofli i poszoru. Podanie moje było ładnie ułożone po niemiecku, dawało ścisłe wykazy cyfrowe tego, co dostarczyłem i co mi zaliczyć należy, jak również zażądanych ode mnie norm i tego, co jeszcze podejmuję się dostarczyć, wszystko w przerachowaniu na tzw. punkty, ustalone przez władzę dla względnej wartości poszczególnych artykułów świadczeń; podanie ładnie przepisane na maszynce, a w ustępie, wskazującym petenta, uwydatniwszy mój tytuł profesora i nazwisko moje wypisane w brzmieniu rdzennym niemieckim, a więc razem: „prof. Michael von Römer". Wszystko to razem zrobiło bardzo dobre wrażenie na Bettingera, który był bardzo uprzejmy, tytułował mię „Herr Professor", uważnie przeczytał podanie, wyliczył, że ogółem dostarczyłem i dostarczyć się jeszcze podejmuję uzupełniająco przeszło 80% całej normy, podniósł jedne zastrzeżenie co do rzekomej pomyłki mojej w obliczeniu normy utrzymania uchodźców Moskali, na co ja mu wykazałem, że obliczyłem to zupełnie dokładnie, aż z zadowoleniem stwierdził, że, jak widzi, wystudiowałem kwestię doskonale. Rozmowa nasza toczyła się po niemiecku, bo przepisując na maszynce tekst dokonanego przez agronoma abelskiego tłumaczenia niemieckiego mego podania zapoznałem się z odpowiednimi nazwami i terminami niemieckimi, co mi umożliwiło posługiwanie się nimi w rozmowie. Rozmowa była bardzo kurtuazyjna. Skończyło się na tym, że Bettinger udzielił mi terminu do 20 maja dla dania do rekwizycji tych jeszcze resztek, brakujących do 80%, które w podaniu obiecałem dostarczyć. Zaznaczył jednak, że to będzie musiało być dostarczone koniecznie.

Tak więc rozwiązała się nieźle ta niemiła sprawa, która mię tak namęczyła w ciągu tych dni 10. W Rakiszkach zabawiłem jeszcze dosyć długo, bo miałem interesy w aptece, u agronoma powiatowego, w „Lietukisie”, w „Sodybie”, w Arbeitsamcie... Kupiłem nasion trawy poszorowej „Reiergras” (czy to nie rajgras?) do domieszania do koniczyny, preparatu do opryskiwania drzew owocowych, mączki wapiennej pastewnej dla prosiąt, bekonów i cieląt, wziąłem pozwolenie na sprowadzenie melasy z fabryki cukru w Poniewieżu.

Do domu wróciłem na wieczór. Droga do Rakiszek jest trochę lepsza, niż przed tygodniem, ale jeszcze bardzo zła.

25 kwietnia, rok 1944, wtorek

Brzydki dzień dżdżysty. Miałem być w lesie dla zamiany drew lub osin czy jodeł na groch, pszenicę letnią i nawet ewentualnie konia. Kupuję groch na siew i trochę do normy zaległej, pszenicę letnią na nasienie, a konia kupiłbym, gdyby gospodarz Sadowski z Montowszczyzny zdecydował się sprzedać. Ale – zapewne ze względu na deszcz – gospodarze nie przyszli.

Jadzia, która wciąż chorowała, skarżąc się na bóle pod łyżeczką i w grzbiecie, połączone z wymiotami, a w ostatnich dniach, raczej nocach, cierpiała bardzo, dziś rano sama, patrząc na swoje ciało, posądziła, czy nie jest to czasem żółtaczka. Żółtaczkę znam, bo sam przed laty 34 (w roku 1910) chorowałem na nią. Ciało Jadzi i białka oczu nie są bardzo żółte, ale pewien odcień żółtawy jest, a gdy spojrzałem na jej urynę, to poznałem, że rzeczywiście jest żółtaczka: uryna barwy ciemnooliwkowej. I wydzieliny żołądka są charakterystycznej przy żółtaczce barwy biało-popielastej. Ponieważ wybierał się dziś do Rakiszek Andrzej Mieczkowski, więc uprosiłem go, żeby zawiózł Jadzię do dr Petrikasa, którego zresztą wczoraj uprzedziłem, że w tych dniach zgłosi się do niego Jadzia. Niestety – nie mogłem pojechać z nią sam, bo kiepski ze mnie woźnica, a droga do Rakiszek bardzo zła, we trzech zaś po takiej drodze jechać za ciężko. Na wieczór Jadzia z Andrzejem wróciła. Dr Petrikas rzeczywiście żółtaczkę stwierdził i zalecił niezbędną ścisłą dietę (zresztą Jadzia apetytu nie ma), leżenie i ogrzewanie żołądka, ale radził niebawem pojechać do Kowna i tam w klinikach uniwersyteckich zbadać wątrobę i żołądek, czy nie ma kamieni w wątrobie albo czegoś w żołądku. Zaniepokoiło mię to, ale mam nadzieję, że to tylko żółtaczka, która sama przez się straszna nie jest. Co do jazdy do Kowna, to w razie konieczności pojedziemy, ale w tych czasach jazda nie jest łatwa. Dałby Pan Bóg, żeby to nie było potrzebne i żeby Jadzia wyzdrowiała. Jej zdrowie – to grunt całej rodziny naszej.

26 kwietnia, rok 1944, środa

Bardzo jestem niespokojny o zdrowie Jadzi. Niech ją Pan Bóg nam strzeże! Co do żółtaczki, to zdaje się, że jest już nawet niby lepiej, ale ból się dziś powtórzył. Uryna nie jest tak ciemna, jak była, żółtość skóry nie tylko się nie powiększyła, ale nawet zmniejszyła się, gorączki, która się u Jadzi powtarzała rano wczoraj i pozawczoraj (pozawczoraj gorączka doszła do 39,9, wczoraj rano, gdy Jadzia wyjeżdżała do Rakiszek, była ponad 38°), dziś nie było. Dietę Jadzia zachowuje bardzo ścisłą, właściwie głoduje, prawie nic nie je; przez cały dzień dzisiejszy zjadła jedne żółtko surowe z cukrem i nieduży talerz zupy mlecznej na obiad. Gdyby nie było tych bólów z wymiotami, które Jadzia w tych dniach ciągle miała, gdyby to była li tylko żółtaczka, to nie byłoby powodu do większych obaw. Ale doktor przypuszcza, że żółtaczka jest u Jadzi tylko dodatkowa, jak objaw wtórny czegoś innego, cięższego, połączonego z wątrobą albo może żołądkiem. I oto jak tylko Jadzia dziś zjadła na obiad zupę mleczną i położyła się do łóżka, zaraz znów ją chwyciły wielkie bóle wewnętrzne. Do wymiotów wprawdzie nie doszło i ból trwał dosyć krótko i minął, ale faktem jest, że był. Zdaje mi się, że przy żółtaczce bólów nie ma, ja przynajmniej nie przypominam sobie, żebym doświadczał bólu, gdym chorował.

Z tymi Bohdaniszkami, z gospodarstwem, z życiem rodzinnym tutaj – same biedy. Nie ma ani chwili wytchnienia, żeby jakiś kłopot, bieda lub niepokój nie męczyły i nie zatruwały życie. Teraz oto – nie ma pastuszka i ani rusz nie można znaleźć, a tu zbliża się coraz bardziej czas, kiedy trzeba

będzie wypędzać bydło na pole. Jakich już miałem na widoku pastuszków, nawet umówionych – wszyscy w ostatniej chwili odmówili. Szukam ich teraz przez innych, którzy proszą o przyjęcie owiec na paszę. Sam jeździć szukać nie mogę, bo nie mam konia do dyspozycji, piechotą biegać nie jestem w stanie. Brak też koni do siewów wiosennych. Nie ma niani do dzieci, Buba, która dużo czasu spędza przy Żermenie i nocuje przy niej, wyrywa się już do domu. Starsze córeczki są bez żadnego dozoru, są też przeziębione, mizernie wyglądają, puszczone są samopas biedaczki. Jadzia rozerwać się na wszystkie strony nie może. A nade wszystkim teraz dominuje ta choroba Jadzi, która mię przeraża. Czuję się zmęczony, po prostu chory na serce i na zadyszkę, nocami nad ranem nie mogę zasnąć, całe dnie chodzę stroskany, nie mam chwili spokoju, wciąż ogarnięty jestem troskami i niepokojem o jedno czy o drugie, że aż życie brzydnie.

27 kwietnia, rok 1944, czwartek

Pojechałem do Abel głównie po lekarstwa dla Jadzi, które zapisał jej Petrikas i których w Rakiszkach nie dostała. Aptekarz wAbelach jest ruchliwy i umie zaopatrzyć swoją aptekę w lekarstwa, jeżdżąc po nie i zdobywając je po cenach spekulacyjnych w wiadomych mu miejscach. W jego aptece w Abelach więcej można znaleźć lekarstw, niż nawet w aptekach wileńskich. A teraz w czasie wojny o lekarstwa jest bardzo trudno. Zresztą te lekarstwa dla Jadzi – to są przeważnie różne środki prezerwatywne lub na uśmierzenie bólu, nie zaś lecznicze, gdyż właściwie i diagnoza nie jest ściśle ustalona.

Przy tej okazji zawiozłem cetnar grochu do rekwizycji i załatwiłem w Abelach różne inne bieżące interesy i sprawunki. Wziąłem też punkty, należne mi za dostarczone artykuły normy i otrzymałem za nie w kooperatywie przeszło 30 kilogramów cukru, który przywiozłem do domu ku radości Jadzi, bo go trzeba było do pokarmu Żermeny.

Jadzia dziś miała się względnie nieźle. Bóle się nie powtórzyły, ale też prawie nic nie jadła. Dużo była na dworze, bo zaczęto uprawiać ziemię pod ogrody i posadzono trochę kartofli kopczanki (wczesnej) oraz coś tam z nasion warzywnych. Pod wieczór zaczęto trochę orać w polu za ogrodem. Piotr Pupielis opryskiwał drzewa w ogrodzie owocowym.

28 kwietnia, rok 1944, piątek

I znowu dzień minął pomyślnie w przedmiocie zdrowia Jadzi. Żółtaczka, która w objawach zewnętrznych (żółtość skóry) była lekka, przechodzi, bóle wewnętrzne się nie powtórzyły, wymioty także nie. Jadzia, zachowując ścisłą dietę, jadła dziś już nieco więcej. Zmizerniała znacznie, ale z tym jej dobrze. Nie leży prawie wcale. Dziś rozbierała wieprza, którego rano zakłuto.

Pastuszków szukają u mnie na wszystkie strony. Temu, kto znajdzie mi pastuszka, przyrzekłem przyjąć owieczkę na paszę albo dać osinę na deski z Gaju. Ochotników na to jest dużo.

Ekonom Adamowicz krząta się nieźle i, zdaje mi się, umiejętnie zużytkowuje siły robocze. Przed kilku dniami byłem do niego trochę zrażony z powodu jego picia z parobkami, głównie z Novikasem, w niedzielę i w nocy z poniedziałku na wtorek (w tej bibce brał też udział seniunas i Janek Čepas). Ale w czasie pracy uwija się dobrze i do rzeczy. Roboty po trochę postępują. Urządzano dziś inspekty, oszklono okna inspektowe, orano ogród warzywny na górze pod oficyną i drwalnią, wypalono węgiel do kuźni na naprawę bron, wożono po trochę nawóz na ogród warzywny, Piotr Pupielis opryskiwał drzewa owocowe rozczynem kwasu siarczanego przeciwko owadom szkodnikom.

Najgorzej jest z końmi. Są bardzo słabe. Dwa stare – Czewierykas i Čigonė – w ogóle ledwie się ruszają i dopóki się nie odchwycą na paszy – do roboty są niezdatne. Trzy inne, niby silniejsze – Gulbė, Czyżyk i Faraon – też są słabe, choć dostają owsa, a Gulbė jest obecnie karmiona koniczyną.

Są wieści, że stosunki litewsko-polskie w Wileńszczyznie, o których już mówiono, że mają wejść i wchodzą na lepsze tory, ostatecznie się zaogniły i popsuły. Partyzantka polska w Wileńszczyźnie jest nastawiona przeciwko Litwinom, skądinąd oddziały litewskie Plechowicza, które zaczynają działać w Wileńszczyźnie, są też skierowane przeciwko partyzantom polskim,

którzy grasują silnie w Litwie Wschodniej na terenie spornym (powiaty wileński, świrski, oszmiański, ejszyszki, częściowo trocki) i nie uznają tego terenu za litewski.

Z wieści z frontu zdaje się, że Niemcy zdołali powstrzymać, przynajmniej na razie, dalsze postępy ofensywy sowieckiej gdzieś między Dniestrem a Karpatami, na terenie bodaj Bukowiny, Galicji Wschodniej i Rumunii. Czy to powstrzymanie mocne i kategoryczne, czy chwilowe – nie wiadomo. Niemcy z pewnością bronić będą energicznie dostępu do źródeł nafty galicyjskiej i zwłaszcza rumuńskiej. Ale zachodzi ewentualność – przynajmniej są o tym pewne domysły w informacjach niemieckich – że Sowiety zechcą teraz położyć nacisk na odcinek środkowy i północny frontu, żeby wyrównać skrzydła wysuniętego na przód odcinka południowego. Nacisk na odcinki północne i środkowe mógłby nieco bardziej zagrozić nam.

29 kwietnia, rok 1944, sobota

Może jedna z sezonowych drobnych, ale w gospodarstwie niezmiernie istotnych, a więc tylko drobiazgowych, ale nie drobnych, trosk moich, która mię w tych dniach męczyła i drażniła, odpadnie: jest to kwestia pastuszka do bydła. „Kwestia" mikroskopijna w obliczu kwestii, od których się roi na tle wojny, mniej niż mikroskopijna, bo najsubtelniejszy mikroskop społeczny nie zdołałby w tej zawierusze światowej uwydatnić „kwestii pastuszka w Bohdaniszkach", ale tu dla mnie w organizacji gospodarstwa jest ona kwestią „doniosłą", bo cóż począć bez pastuszka, gdy trzeba będzie wygnać bydło na paszę, pastuszka zaś znaleźć nie ma sposobu. Bagdonas z Knisy, któremu za wystaranie się o pastuszka przyrzekłem przyjąć owcę na paszę i dać osinę na deski z Gaju, przyprowadził mi dziś starego uchodźcę z Rosji, znad rzeki Łowati, rodowitego Estończyka, który z rodziną swoją i brata przeniósłby się do mnie i dał nam dwie pastuszki dziewczynki. Ostatecznie umówić się ma przyjść jutro. Oby Pan Bóg dał, aby już ten głupi, ale ciężki kłopot spadł z głowy. Ta rodzina estońska może nam zapewnić nie tylko pastuszka, ale i robotnika, a może nawet dwóch.

Nocami w tych paru tygodniach ostatnich widać było często na horyzoncie dalekim w kierunku północnym i wschodnim jakieś ognie, jakieś błyski i promienie na niebie. Słychać też było często, tak w nocy, jak czasem też we dnie, huki dalekich strzałów czy wybuchów. Nie mogło to być z frontu, bo nie było to ciągłe, a zresztą front się na odcinkach północnym i środkowym w tym czasie nie posunął. Mogły to być czasem naloty jakieś na aerodromy lub miasta, albo utarczki z bandami leśnymi, jakieś wybuchy min na kolei, sygnalizacje, ognie prożektorów szukających samolotów wrogich na niebie... Ale sam fakt tych zjawisk świetlnych i słuchowych, pochodzących z wojny, działa niepokojąco na ludzi i podniecа pogłoski.

W Rakiszkach ludzie kopią po dziedzińcach wszystkich domów doły na schrony prowizoryczne na wypadek nalotu i bombardowania. Po wszystkich miastach i miasteczkach jest teraz oczekiwanie nalotów, albowiem więcej się znalazło Niemców, koni wojskowych, taborów, co może ściągać wroga, wypadki też nalotów w Łotwie i Estonii grożą takimiż ewentualnościami i Litwie.

30 kwietnia, rok 1944, niedziela

Niedziela dzisiejsza upłynęła pod znakiem załatwiania różnych spraw gospodarskich. Od Abdona-Sadowskiego z Montowszczyzny kupiłem za drzewo (jodły) 5 cetnarów pszenicy letniej, którą chcemy posiać. Kazys Malcius i Bagdonas z Knisy przyszli się umawiać za paszę dwóch cielic uprawić mi całkowicie swoimi końmi pod siew parę hektarów ziemi w III polu, które z jesieni pozostało nie orane. Mam też różne oferty na groch i wykę za drzewo. Wyka i groch potrzebne mi tak na siew, jak na uzupełnienie rekwizycji zamiast słomy, którą zobowiązałem się dostarczyć pełną normę. Słomy musiałbym wywieźć 34 cetnary – najmniej cztery fury parokonne – do Abel do 20 maja. Równa się to czterem dniom roboczym z parą koni w sam najgorętszy czas siewów wiosennych, kiedy u mnie największy brak koni. Wolę przeto przerachować słomę na droższe skądinąd zboże i oddać tę normę zbożem (proporcja urzędowa jest taka: słoma – 2 punkty, żyto –

10 punktów, wyka – 14 punktów, groch – 18 punktów, siemię lniane – 30 punktów. Stosunek ten jest obliczony w pewnej określonej jednostce wagi (kilogram, cetnar).

Ale najważniejszą była dziś sprawa pastucha do bydła. Przyszli się umawiać uchodźcy Estończycy. Jest ich dwóch braci – Jaan i Karła, nazwisko: Oja. Ci bracia Oja zamieszkali w Rosji w powiecie chołmskim gdzieś bodaj nad Łowatią w historycznej Ziemi Nowgorodzkiej czy Pskowskiej. Są oni wnukami uchodźców z Estonii z powiatu dorpackiego, którzy kiedyś wraz z dużą partią innych Estończyków i Łotyszów kupili tam w Rosji ziemię spod wyrąbanych lasów i osiedlili się tamże. Było tam 40 rodzin estońskich i 30 łotewskich. Zachowali swoją narodowość i mowę, mieli tam szkołę estońską i łotewską, mieli kirchę luterańską. Dopiero przed kilku laty Sowiety skasowały szkołę i kirchę, oddając kolonistów estońskich i łotewskich na pastwę rusyfikacji. Bracia Oja i ich rodziny, jak podobno także inni Estończycy i Łotysze z ich okolicy, dotąd tak dalece zachowali swoją narodowość i mowę, że po rosyjsku źle mówią i choć już są w trzecim pokoleniu na obczyźnie i nigdy na oczy Estonii nie widzieli, mówią między sobą wyłącznie po estońsku i związki małżeńskie zawierają tylko wśród swoich rodaków, nie mieszając się z Rosjanami. Z braćmi Oja przyszła też żona Karły Oja i 13-letnia ich córka Elwira, która ma być pastuszką wraz z córką Jaana Oja. Ta mała Elwira – to prześliczny typ kobiecy, jak z obrazka. Blondynka o czarnych oczach, jasna cała, twarzyczka i figurka cała – delikatna, subtelna, twarzyczka jak pieścidełko. Rzadko można zobaczyć taki piękny typ kobiecy. Nie darmo jeszcze za wspaniałych czasów carskich w bogatym Petersburgu Estonki sławiły się z piękności i zgrabności. We wspaniałych bogatych lupanarach petersburskich, tonących w przepychu i przeznaczonych dla najbogatszej i najwybredniejszej klienteli męskiej w stolicy, w których hulali i szaleli milionerzy i złota młodzież oficerów gwardii i rodzin dygnitarskich, dziewczęta estońskie trzymały prym jako najwybredniejszy towar kobiecy. Ogniste namiętne Cyganki z chórów po ogrodach i kabaretach nad Newą i białe subtelne Estonki, wcielenie gracji i dystynkcji – to były najsłodsze owoce uciechy i szału, najbardziej wyrafinowana cecha zabawy męskiej. A Petersburg stołeczny doby carskiej bawić się i szaleć umiał i znał cenę dziewczyn. Piękna mała Elwira Oja – to arcydzieło piękna natury ludzkiej. Piękna też być musiała jej matka, dziś już mająca lat koło 50, o twarzy wyrazistej i czarnych żywych oczach, otyła nieco i będąca w ciąży, ale jeszcze nacechowana wyraźnymi śladami piękności. Te kobiety estońskie z głębi Rosji różnią się od Moskiewek jak królewny od zgrai sług i kumoszek pospolitych. Dogadaliśmy się z rodziną Oja. Podjęli się oni dać dwie pastuszki i oprócz tego robotnika męskiego na trzy dni w tygodniu za całkowitą ordynarię i paszę ich dwóch krów własnych oraz dwa mieszkania z opałem dla ich dwóch rodzin na cały rok. Największy dla nas ciężar – z drugim mieszkaniem dla nich. Jedno mieszkanie mamy dla nich w chacie parobczanej, drugie zaś mieszkanie możemy dać tylko w oficynie w spiżarence, gdzie trzeba dopiero kuchenkę i piec murować, co teraz jest bardzo trudne. Ewentualnie małą Elwirę Oja wzięłaby Jadzia za niańkę, do czego ona sama ma także wielką ochotę. Jadzia Moskiewki spośród uchodźców nie wzięłaby za nianię za nic, bo są one brudne i bardzo proste, a zresztą i języka rosyjskiego dla dzieci nie chce, ale mała Elwira Oja zrobiła na nią wrażenie bardzo dodatnie; różni się ona od uchodźczyń Moskiewek jak niebo od ziemi, dystyngowana jest i pełna rasy. A nauczyłaby się też prędko po litewsku. Co prawda, mała jest, dziecinna i nie zna obowiązków niani, ale mogłaby się nieco wprawić, będąc z natury zręczna. Drogo nam wypadają ci pastusi estońscy, a mężczyźni robią wrażenie leniwych i wykręcają się od roboty, ale nie ma wyjścia, bo nie mamy pastuchów i znaleźć nie możemy.

1 maja, rok 1944, poniedziałek

Brzydki zimny dzień. Czasem śnieży, czasem grad. Nie pracowano dziś we dworze. Obchodzono dzień 1 maja.

Wczoraj po odejściu uchodźców Estończyków braci Oja, z którymi się już umówiłem, zgłosiła się inna rodzina uchodźców z Rosji, Moskali starowierów spod Starej Russy w Ziemi Nowogrodzkiej (obecnie w Sowietach okręg kaliniński, to znaczy twerski), angażująca się również

do paszenia bydła. Jak nie było pastucha, to nie było i niepodobna było znaleźć, a jak się znalazło, to zaraz się znajdują i konkurenci i jest *embaras de choix*. Ta druga rodzina – to są starowierzy, jak powiedziałem, z Ziemi Nowgorodzkiej. Ludzie bardzo biedni, po raz drugi uchodźcy: raz byli wygnani ze swoich osiedli o kilkadziesiąt czy setkę kilometrów na zachód pod Porchow, a teraz wraz z ludnością spod Porchowa wygnani do Litwy. Rodzina składa się ze starego dziada, podobnego do krasnoludka, małego wzrostu z dużą siwą brodą, dobrodusznego z uśmiechem od ucha do ucha, jego żony i córki zamężnej z trojgiem dzieci. Tu w Litwie byli oni rozdzieleni między trzema zaściankami miejscowych starowierów Kisielowych w Motejkach i Kurmiszkach, gdzie im było źle i skąd ich wypędzają. Błagali jak o łaskę, żebyśmy ich przyjęli: stary z wnukiem pasłby bydło, córka i ewentualnie żona starego mogłyby pracować. Chcą się tylko móc utrzymać, być razem w kupie i mieć spokojne miejsce za pracę. Na razie odmówiłem, bo się już umówiłem z Estończykami. Potem wszakże po naradzie z Jadzią i ekonomem zdecydowaliśmy się zerwać z Estończykami i zaangażować tę rodzinę. Estończycy są nam niedogodni przez to, że wymagają dwóch mieszkań z podwójnym opałem i mają rodzinę bardzo liczną, bo podwójną. Drugie mieszkanie jest dla nas rzeczą bardzo uciążliwą, bo trzeba byłoby dużo urządzać, co wymaga i kosztu, i straty czasu. Daliśmy więc znać rodzinie uchodźców starowierów, żeby przyszli się umawiać. I oto umówiliśmy się z nimi dzisiaj. Dajemy im ordynarię parobka w zbożu, poza tym, ponieważ nie mają ani krowy, ani mięsa, ani kartofli, ani nasion, dajemy im 3 kg słoniny i 6 kg mięsa miesięcznie, 2 litry mleka dziennie i 30 ctn kartofli rocznie. Oni zaś latem pasą i doglądają (dokarmiają) bydło i koni, zimą pełnią funkcje szeryka, jedna zaś kobieta jest robotnicą stałą. Jutro sprowadzimy ich z rzeczami, Estończykom zaś odmówimy.

Miałem też dziś dużo innych interesów. W szczególności trafił mi się niespodzianie kupiec na młodą pięciomiesięczną suczynkę, córkę Sajmy. Zgłosił się i zaraz mu ją sprzedałem za cetnar żyta, bo nie wiedziałam, co z nią robić i jak się jej pozbyć. Byłbym ją i za darmo oddał. Nazywała się ona u mnie Fega.

2 maja, rok 1944, wtorek

Konie zajęte, toteż i dziś nie mogliśmy jeszcze wyjść w pole. Jednym koniem Izydor pojechał do Abel (przy tej okazji powiózł trochę zboża do normy, a wracając przywiózł mi drzewek – lipek i jodełek – od starszego leśnika rządowego Kligisa do posadzenia), inne zaś konie szły w maneżu przy sieczkarni. Sprowadziliśmy też rodzinę uchodźców starowierów, których najęliśmy wczoraj do paszenia. Bardzo biedni ludzie, rzeczy prawie żadnych nie mają – trochę sucharów z czarnego chleba, trochę szmat i obuwia znoszonego, jedno wiadro i przyrząd archaiczny do przędzenia z czasów, kiedy nie było jeszcze kołowrotka.

3 maja, rok 1944, środa

Cały dzień albo grad czy śnieg. Nie można było wyjść w pole. Novikas w gumnie kompletował i obrabiał drugi wóz jednokonny, Izydor jeździł parą koni po mąkę do młyna, po obiedzie przywiózł z ekonomem od gospodarza Sadowskiego-Abdona z Montowszczyzny pszenicę letnią (5 cetnarów) i nasienie mieszanki (wyki z owsem – 7 cetnarów), które od niego kupiłem na siew. Drzewek (lipek i jodełek), które wczoraj przywiózł Izydor od starszego leśnika rządowego Kligisa z lasu za Antonoszem, także sadzić nie mogłem.

4 maja, rok 1944, czwartek

Rozpoczęła się wreszcie prawdziwa orka. Jedną parę koni mieliśmy od Janka Čepasa i dwie pary swoje (Faraon z Czyżykiem i Gulbė z Cyganką). Wyruszyliśmy więc we trzy pary na pole. W ciągu dnia zaorano górę za ogrodem w polu V i część ogrodu owocowego. Ja sam zajęty byłem sadzeniem drzewek. Rozsadziłem 30 jodełek i 21 lipkę, które sprowadziłem pozawczoraj, a poza tym przesadziłem z Gaju 8 dąbków i 5 osinek. Mam jeszcze posadzić 14 brzózek. Powietrze wciąż dosyć zimne z wiatrem. Wiosna się ociąga.

5 maja, rok 1944, piątek

W domu mamy nieznośny kłopot z kuchnią, która dymi strasznie. Cały dom jest przepełniony gryzącym dymem. Luft, idący z kuchni do komina, przechodzi przez piec kaflowy i nie daje się wyczyścić. Przynajmniej nasi kominiarze nie mogą dać rady. Trzeba szukać mularza i chyba piec kaflowy rozwalać. Jadzia męczy się w kuchni. Kucharka Onutė, która rękę oparzyła, wyszła wczoraj do domu i do doktora do Rakiszek i dziś nie wróciła, więc cała kuchnia jest na głowie Jadzi. Na jej głowie jest też we dnie mała Żermena, kiedy Buba do zaścianka wychodzi. Ale już jest nadzieja, że nianię czy bonę do dzieci znajdziemy. Zarekomendowano nam niejaką p. Krystynę Bohdanowiczówną, Polkę miejscową, bodajże spod Ponedela, która była na posadzie u doktorostwa Klimowiczów, Polaków, w Jużyntach. Napisałem do niej; zatelegrafowała, że w piątek 12 maja przyjedzie. Jaka będzie – nie wiadomo, ale Jadzia już się cieszy, że już ktoś będzie.

Zasiała dziś Jadzia inspekty. Swie pary koni (trzy nasze i jeden Janka Čepasa) orały u nas górę w II polu pod groch.

Ja jeździłem do Abel. Przywiozłem 20 kg nasion buraków cukrowych na 1 hektar, 1 ½ litra nafty jako premium za siemię lniane i 2 kg kamienia mydlanego dla Jadzi. Nasion tymotejki nie dostałem.

6 maja, rok 1944, sobota

Przeniosłem się do mojej letniej rezydencji, to znaczy do gabinetu mojego na górze. Tu przeniesiono moje biurko i kilka innych mebli gabinetowych. Przez zimę lokowałem się na dole w pokoju rogowym w głębi korytarza, który oprócz pieca jest ogrzewany przez ścianę od kuchni i jest przeto bardzo ciepły (o ile nie ma mroźnego wiatru południowego). Tam był mój gabinet zimowy. Wszakże w ostatnich czasach pokój ten został opanowany przez Żermenę: tam rezydowała ona sama w wózku, tam ją karmiono, przewijano, usypiano śpiewem, tam były rozwieszone i schły jej pieluszki, bo tam jest ciepło równe; ja byłem już tylko dodatkiem do Żermeny. Teraz na górze odzyskam mój kąt do pracy i lektury, choć może być jeszcze zimno na razie, nim się wiosna na dobre ustali. Tymczasem wiosna jest bardzo spóźniona. Nie ma jeszcze żadnych liści, nawet na krzewach. Trawka się już po trochę znajduje, owce od paru dni już się pasą. Dziś dzień jest ciepły, pod wieczór ładny; w nocy i rano jeszcze padał deszcz i było zimno, jak dni poprzednich. Parobcy wozili nawóz na ogrody warzywne parobczane, w polu Kazimierz Malcius z Bagdonasem z Knisy zaczęli orać 2 hektary w III polu, które podjęli się uprawić pod siew za paszę dwóch cielic przez lato. Kotuńka z Igą bawiły się cały dzień wesoło na piasku, który im nawieziono.

Na polach walki frontu wschodniego, sądząc z komunikatów niemieckich w gazetach, wielkich zmian nie ma, chociaż w okolicy Jass w Rumunii i nad dolnym Dniestrem walki toczą się zacięte. Ale w ostatnich dwóch komunikatach zwróciło moją uwagę to, że na odcinku środkowym, bodaj najbliższym do nas, ukazały się wzmianki o sytuacji „na wschód od Połocka", podczas gdy poprzednio pisało się „na wschód od Witebska" albo „pod Witebskiem". Stąd można wnosić, że Witebsk został oddany i linia frontu na tym odcinku przesunęła się między Witebsk a Połock, co oznaczałoby pewne zbliżenie się frontu w kierunku na Dyneburg, a więc i do nas. Choć dosyć powoli, ale przecież front się stale podsuwa bliżej i Sowiety robią postępy.

7 maja, rok 1944, niedziela

Niedziele stały się dniami wielkiego pijaństwa, które się rozwinęło przerażająco. Od pewnego czasu pijaństwo kwitnie we dworze wśród parobków, czego dawniej nie bywało. Piją po wioskach, piją robotnicy po domach, pije młodzież, nieraz nawet dziewczyny. Wieczorki z tańcami zamieniły się na hulanki pijane, wśród których dochodzi często do awantur, do bójek, do bicia szkieł w oknach. Wśród naszych parobków piją u Izydora Kulysa, piją u Novikasa, piją parobcy Mieczkowskich – Kazys Juszkiewicz i Władziuk Sadowski. Piją też Moskale uchodźcy. Piją „samogon", który dokoła pędzą obficie. Prawdziwa plaga samogonu, który jest przeważnie

obrzydliwy i bardzo mocny. Niestety – skłonny jest do picia i mój ekonom Adamowicz. Przed paru tygodniami pił on przez parę dni u Novikasa i u Izydora, a wraz z nimi pił i Janek Čepas oraz seniunas. Byłem tym wielce zgorszony, bo gdy ekonom pije z parobkami – jest niedobrze. Traci autorytet, a gdyby był nieuczciwy – to może być i gorzej. Jednak po tym pijaństwie, które mię gorszyło i niepokoiło, znów nabrałem zaufania do ekonoma, bo w pracy jest sprężysty, organizuje ją nieźle, ma sporo inicjatywy, pomysłowości i ruchliwości. Ale oto dziś znowu napadł nań dzień pijacki. Od paru dni wspominał, że otrzymał jakąś depeszę i że ktoś miał wczoraj do niego przyjechać. Mnie wspomniał, że sam dobrze nie wie, kto ma do niego przyjechać i dodał, że może to będzie kobieta. Wczoraj wieczorem pojechał na stację do Abel. Jakoż się okazało, że przywiózł ze stacji kobietę. Sam jej nie widziałem, bo do nas jej nie przyprowadził i nie przedstawił. Ale od rana wywołało to we dworze wśród służby sensację. Podobno kobieta ta jest bardzo namalowana... Nie przyszedł do nas na śniadanie ani na obiad, choć zwyczajnie dotąd u nas się stołuje, dopóki żony z Poniewieża nie sprowadził. Kobieta ta, którą nazywa swoją „kuzynką", przywiozła mu jakieś produkty, toteż z nią tam w swoim mieszkaniu w oficynie raczył się. Niebawem znalazł się u niego i Izydor z dyżurującym dziś Pupielukiem i Novikas. Zaczęli tam wspólnie pić i śpiewać zwyczajem pijackim. Nasze służące – Onutė i Helena Malcówna – były zaintrygowane i gorszyły się, ale razem bardzo się tym pijaństwem w towarzystwie nieznanej kobiety interesowały. Nam z Jadzią i Bubą to się nie podobało, ale cóż mieliśmy robić. Nie chce się wywołać awantury, która może nam jeno zaszkodzić, bo nie mamy siły do poskromienia parobków, zwłaszcza Novikasa, który jest cały podminowany buntem, a ekonom też może się obrazić i uciec, zostawiając nas na koszu. W obecnych warunkach rady już bez niego dać byśmy nie mogli. Sami się jednak pokłócili – ekonom z Novikasem i żoną tegoż. O co im poszło – dobrze nie wiem. Zdaje się, że się wszczęło o słoninę, którą ta kobieta chciała u Novikasa kupić. Novikas podobno łajał się od ostatnich słów rosyjskich i ekonom go wyrzucił. Przyszedł pod wieczór do nas, usposobiony trochę rzewnie, trochę prowokacyjnie zaczepnie. Skarżył się i wygadywał na Novikasa, dużo o nim, o jego nieżyczliwości do nas, o jego szkodnictwie dla dworu mówił, co jest prawdą, ale kilkakrotnie sam też napomykał o tym, że nie wie, czy zdoła tu dać radę i czy nie byłoby lepiej, gdyby się wycofał. Jestem zaniepokojony. A tymczasem zimno i deszcz leje.

8 maja, rok 1944, poniedziałek

Wciąż deszcze i chłód. Wiosna bardzo spóźniona. Ziemia tak mokra, że niepodobna ani orać, ani bronować, na razie nawet na wyżynach, na których w poprzednim tygodniu można już było robić. W niższych miejscach dotąd ani zacząć nie było można. Najwyżej czas byłoby już wyjść całą siłą na pola, a tymczasem trzeba się zabawiać różnymi drobnymi robotami, których zresztą jest dosyć. Siewy będą w tym roku spóźnione. Ludzie wróżą kiepskie lato. Jak będzie z naszym skołatanym gospodarstwem – sam nie wiem.

Ekonom po wczorajszej libacji w towarzystwie swojej damy, niby „kuzynki", miał rano katzenjammer, ale przez cały dzień wytrwał jednak na swoim obowiązku, zajęty częściowo naszymi, częściowo swoimi własnymi sprawami. Sprowadzenie tutaj przez niego tej damy nie było właściwe. Mam mu to za złe. Zdaje się, że jest to spekulantka, ale taka, która się nie krępuje uciechami męskimi. Ekonom wystarał się dla niej o dużą ilość słoniny; kupił bodaj 30 kilo słoniny, którą jutro wywiezie do Poniewieża i ma sprzedawać w Wilnie. Nam tej pani czy panny ekonom wcale nie pokazał, nie przyprowadził jej do nas. Wszyscy we dworze oglądali ją ciekawie, zachodzili do ekonoma, żeby ją widzieć, kobiety we dworze bardzo się nią gorszyły, mężczyźni się śmiali. Gdyby ekonom miał takt i traktował tę kobietę jako kuzynkę czy znajomą poważną, to byłby poprosił Jadzię, żeby ją przenocowała u nas na łóżku czy kanapie. Tymczasem zalokował w nocy u siebie w swoim łóżku, sam zaś posłał sobie pościel na podłodze w drugim pokoiku, ale wątpliwe, żeby na tej pościeli spał, bo pościel była jak dla dziecka. Jego przyjaciółka z oficyny się nie wychylała, dziś leżała w łóżku przez dzień w pokoju, do którego przychodzili do ekonoma ludzie, wczoraj zaś w jej towarzystwie ekonom pił z parobkami wśród śpiewu i kłótni. Widocznie ekonom,

choć zdaje się być gospodarny, jest bez charakteru. Ulega namiętnościom i ma żyłkę do spekulacji. Może gdy sprowadzi żonę z rodziną (synowie dorastający gimnaziści), to uporządkuje nieco swoje życie. Że nie zapomni o sobie i będzie spekulować – to zbyt straszne nie jest, byle nie naszym kosztem. Jeżeli będzie gospodarny i nasze gospodarstwo uporządkuje i podźwignie – to niech sobie i sam na spekulacji ubocznej się pożywi. W każdym razie, jest pomysłowy i sprężysty. Jutro wyjeżdża on do Poniewieża znowu, tym razem na rzecz sprowadzenia rodziny. Przyrzeka wrócić w tym tygodniu jeszcze, ale boję się, żeby się znowu nie zasiedział, tym bardziej że na sprowadzenie swoich mebli i rzeczy ma się w Poniewieżu starać o wagon. Powiada, że mu obiecywano, że wagon dostanie, ale kto wie, czy nie będzie w tym zwłoki, bo teraz o środki transportowe trudno. Pora zaś gospodarcza jest teraz taka, że mi trudniej, niż kiedykolwiek indziej, dać radę w gospodarstwie samemu.

9 maja, rok 1944, wtorek

Deszcz i zimno. Z powodu niepospolitej wilgoci nic w polu robić nie można. I znowu dzień, jak szereg innych, zmarnowany gospodarczo dla robót polowych, związanych z siewami wiosennymi. Tymczasem czas biegnie, zbliża się połowa maja. Jest to szczególnie niebezpieczne w warunkach naszych, kiedy siły roboczej jest mało. Toteż roboty szły ospałe. Novikas nawoził chrust z Gaju dla parobków. Izydor jeździł po okolicy za różnymi moimi interesami i po obiedzie wypalał węgiel do kuźni na remont bron i drapaka. Podolski, który się podjął za paszę dwóch owieczek wywieźć cały pozostały kontyngent (34 cetnary) mojej normy słomy na stację do Abel, wywiózł pierwsze trzy wozy słomy (12 cetnarów). Kupiłem u Mateusza Jodeli jeszcze 18 cetnarów kartofli po 26 RM. Ogółem dokupiłem tej wiosny 85 cetnarów kartofli na potrzeby dworu (dla świń, do stołu dla siebie i dla Moskali), nie tykając tych, które są odłożone na siew i dotąd z kopca nie wybrane. Rano ekonom Adamowicz wyjechał do Poniewieża sprowadzić rodzinę swoją. Daj Boże, żeby prędko wrócił.

Czuję, że popełniłem wielki błąd, zgadzając się na pozostanie Novikasa. Nie należało się zgodzić na jego propozycję pozostania. Parobka w swoim czasie byłbym na jego miejsce znalazł. Sam kilka okazji parobków zaniedbałem, licząc na Novikasa. Novikas – to wrzód we dworze. Demoralizuje on tylko innych, a jeżeli ich nie zdemoralizuje, to li tylko dlatego, że oni sami (Izydor, Pupieluk i uchodźcy) są jednak z gruntu uczciwi. Novikas chodzi nadęty, pracuje, jak chce i co chce, ledwie się rusza, wszystko krytykuje i wyśmiewa, obgaduje i robi na złość. Zachowuje się we dworze jak książę udzielny. Ekonom rady mu nie da. Nie poddaje się żadnej dyscyplinie i sam sobie wyznacza robotę. Ekonom próbował go pozyskać dobrocią i potakiwaniem, ale już się z nim pokłócił. Inni robotnicy lękają się go więcej, niż mnie i ekonoma. Nie lubią go, widzą wszystkie jego wady, gorszą się nim, ale lękają się. Mściwy jest, krnąbrny, nieużyty, zły. Siedzi jednak we dworze, bo czeka niecierpliwie Sowietów. Na razie się z tym nie zdradzał, ale teraz staje się to coraz widoczniejsze, a na pijano zdradził się już nieraz. Gdyby przyszli komuniści, Novikas stałby się hersztem lokalnym, oczywiście nie ideowym, lecz spekulującym dla własnego zysku jak pająk.

10 maja, rok 1944, środa

Nasza Żermena skończyła dziś dwa miesiące życia. Dobrze się rozwija, dobrze je i śpi, waga jej przybywa nieźle. Śmieje się już czasem, choć na ogół ma minę poważną i raczej skupioną, wyraz twarzy dosyć twardy z pewnym grymasem w ustach, który zresztą nie jest stały. Cicha jest, mało krzyczy. Lubi poleżeć swobodnie, nie spowita; porusza wtedy na wszystkie strony nóżkami i rączkami, podnosi brzuszek do góry. Oczki ma już żywe, wlepia wzrok w to, co ją zajmuje, zaczyna obserwować. Przez patrzenie i poruszanie się odbywa pierwsze swoje studia, uczy się. Jest to akademia dziecka, które w wieku niemowlęcym musi się niezmiernie dużo nauczyć; nauka to tym trudniejsza, że niemowlę uczy się bez nauczyciela, o własnych siłach, dochodząc do wszystkiego samodzielnie. Nocami teraz czuwa przy Żermenie Buba, której kłopotu ona nie sprawia, we dnie zaś dopilnowuje ją to Jadzia, to kucharka Onutė, której teraz ręka boli i która przeto nie może

pracować w kuchni, to poprzednio Genia Malcówna lub przez czas krótki kandydatka na nianię Aldutė Merkisówna, która już odeszła. Za dwa dni spodziewamy się już do dzieci bonę, po którą w piątek Jadzia ma jechać do Rakiszek. Trzeba już będzie pomyśleć o chrzcinach Żermeny. Na chrzestnych rodziców mamy upatrzonych Andrzeja Mieczkowskiego i siostrę Jadzi Stefcię Boreišisową. Wszystkim w rodzinie, kogośmy zawiadomili o urodzeniu Żermeny i o jej imieniu, imię to się podobało; jedna tylko Elizka Komorowska protestowała przeciwko nadaniu dziecku imienia tak egzotycznego u nas.

Rano było tak samo zimno i mokro, jak dni poprzednich. Po obiedzie jednak wiatr ustał i ociepláło nieco. Novikas dziś „zachorował" i nie poszedł do roboty. Izydor z dwiema Moskiewkami – Żenią i Gieńką – wybierał kartofle z kopca. Kartofle te są w dobrym stanie. Są to kartofle, które w jesieni wybraliśmy na siew. Po sprawdzeniu wagi okazało się w kopcu 71 cetnar kartofli. Będzie to już podwójna ilość w porównaniu do ilości (35 cetnarów), którą posadziliśmy w roku ubiegłym. Ale też było kartofli tak mało, że nie tylko nic nie wywieźliśmy do normy, lecz jeszcze musieliśmy dokupić 85 cetnarów, co kosztowało ± 1850 RM. W polu nic jeszcze dziś nie robiliśmy. Od jutra zaczniemy znowu orać i bronować. Jeździłem do Pokrewnia dowiedzieć się o możliwości pytlowania zboża. Po drodze kupiłem u Balčiunasa w Ażubelach 10 kilogramów nasion tymotejki po 10 RM i zapewniłem się u Janka Čepasa o udzieleniu mi na jutro jego konia jednego do pracy. U Augaitisa w Pokrewniu pytałem o nowiny z wojny i polityczne, ma on bowiem radio i spotyka się często z urzędnikami z Rakiszek. Ale inteligencja Augaitisa jest słaba i niewiele wie, a jeżeli coś wie, to nie bardzo umie kombinować. Jest on wciąż nastraszony, nie wie, co nas czeka i lęka się. Mówi, że formacja oddziałów wojskowych Plechowicza wciąż natrafia na duże trudności, Niemcy nie dają umundurowania i nawet należytego zaprowiantowania, organizacja tych oddziałów idzie przeto powoli, zapał, który na razie był wielki, stygnie, młodzież zaczyna się uchylać. Zresztą ci, co się zapisali, mają być niebawem powołani, ewentualnie ma być zarządzona nawet mobilizacja, ale ludzie iść nie chcą. Niemcy, jak zawsze, prowadzą grę podwójną. Opowiadał też Augaitis o wypadku, który miał miejsce na aerodromie pod Poniewieżem, dokąd było zwieziono dużo robotników z różnych stron Litwy. Bandyci (zapewne komuniści dywersanci) podpalili baraki, w których byli zalokowani robotnicy na aerodromie. Kilku ludzi się spaliło, inni uciekli. Słychać też o coraz większych zamachach na tor kolejowy i na pociągi.

11 maja, rok 1944, czwartek

Wreszcie powietrze się przesiliło. Barometr od paru dni bardzo powolutku zawracał na pogodę; prawie stał na miejscu, ale bądź co bądź przy poruszeniu drgał w kierunku pogody. Dziś rano było jeszcze dosyć chłodno, ale już sucho, a po obiedzie zrobiło się ciepło zupełnie, jak prawdziwa wiosna majowa. Zaraz natura cała odżyła. Znowu żywiej się odezwały skowronki, szpaki gwizdać i figlować weselej zaczęły po drzewach, odzywać się zaczęła po lasach kukułka, która przed pięciu dniami dała się po raz pierwszy słyszeć i ucichła w dniach chłodu i deszczu, po stawach odezwały się żaby i nawet bocian, gnieżdżący się samotnie bez pracy w gnieździe na dachu drwalni, zaczął gwałtowniej klekotać i bić skrzydłami. Pączki na krzewach pękają, na drzewach także pęcznieją. Od rana wyprawiłem w pole dwie pary koni. Jedną parą – Faraonem i klaczą Janka Čepasa – kończył orać górę w III polu pod owies Novikas, drugą parą – Gulbią i białą klaczą Čigonią – Piotr Pupielis kończył orać ogród i potem bronował ogrody warzywne i zaoraną ziemię w ogrodzie owocowym. Izydor zaś Czyżykiem przywiózł 19 cetnarów kartofli, które kupiłem od Mateusza Jodeli. Pod wieczór Jadzia jeszcze posadziła ogródek kartofli „kopczanki", to znaczy pośpiesznej na prędki użytek latem. Pod kartofle orał ziemię stary Czewerikas, który od dłuższego czasu nie pracował, bo był bardzo osłabł pod wiosnę, ale teraz trochę się odchwycił na mące owsianej.

Rozeszły się przesadne pogłoski o katastrofie pożaru baraków na aerodromie pod Poniewieżem, o której mi wczoraj Augaitis opowiadał. Mówiono już, że w barakach tych spłonęło 600 robotników, kiedy w istocie zginęło tylko bodaj czterech. Szczególnie przesadnie opowiadają o

tym ci, co po cichu sprzyjają komunistom. Choć pożar ten sprawili sami dywersanci komunistyczni, ale agenci komunistyczni używają teraz tego faktu do usposabiania ludności przeciwko Niemcom, którzy tak mało dbają o życie robotników, że ich nie zabezpieczają od takich wypadków i narażają przeto na straszne przygody na robotach.

12 maja, rok 1944, piątek

Śliczny wiosenny ciepły słoneczny dzień. Jadzia pojechała do Rakiszek po nianię czy jak tam nazwać – może bonę do dzieci i zwłaszcza do malutkiej Żermeny. Tą kandydatką jest niejaka panna Krystyna Bohdanowiczówna, którą wskazała nam Helcia Mieczkowska i do której, po dowiedzeniu się jej adresu od p. Niuty Koziełłówny w Rakiszkach, przed paru tygodniami napisałem i otrzymałem odpowiedź, że zgadza się objąć tę posadę i że 12 maja będzie w Rakiszkach i prosi o przysłanie po nią konia. Pod wieczór Jadzia tę dziewczynę z Rakiszek przywiozła. Jest to panienka dwudziestu paru lat, nieładna, robi wrażenie cichej i „*simple*", nie grzeszącej wielką i błyskotliwą inteligencją i wyszukaną subtelnością. Może to i lepiej. Rodzina jej jest, zdaje się, pochodzenia szlachecko-ziemiańskiego, ojciec dzierżawił jakiś majątek w powiecie dzisnieńskim gdzieś w okolicach Głębokiego i Parafianowa na Białej Rusi, która należała przed wojną roku 1939 do Polski. Jest krewną Kościałkowskich z Wysokiego Dworu pod Ponedelem i Stratowiczów tamże, a przez to spowinowacona z Koziełłami, dziećmi śp. Pawła, których jedna siostra, Koziełłówna, jest zamężna za młodym Stratowiczem (młodzi Stratowiczowie w roku 1941 zostali wywiezieni przez Sowiety na wschód). Jest więc i uważa się za Polkę, ale jest to Polka z Białej Rusi, po polsku mówi akcentem lokalnym, zresztą mieszkając od roku 1939 w Litwie etnograficznej u Stratowiczów i Kościałkowskich, nauczyła się już trochę po litewsku, tyle że rozumie i mówi nieco. Jeżeli będzie niezła, to dla Jadzi będzie to wielką ulgą. Mając kucharkę i niańkę – Jadzia będzie mogła objąć wszystko włącznie z gospodarstwem domowym, inwentarzowym i ogrodowym.

W polu dziś Novikas przez cały dzień bronował góry w III polu, gdzie jutro chcę siać groch. Więcej z końmi nic robić nie mogłem, bo na wieczór trzeba było silniejszą parę koni wysłać do Abel na stację po ekonoma Adamowicza, a Czyżyk szedł do Rakiszek. Po obiedzie trzeba było bronować już tylko inwalidami białymi. Niestety, Izydor, który pojechał wieczorem na stację po ekonoma, wrócił sam jeden. Ekonom nie przyjechał, mimo że wczoraj była od niego depesza tej treści: „Parsigabenu 12.5. Prašau atsiųsti padvodą". Co mu przeszkodziło – nie wiemy. Miał przywieźć żonę z synami i rzeczy, pod które starał się o wagon. Może wagon nie dano mu na dziś. Źle jest, że nie przyjechał, bo to najodpowiedzialniejszy czas spóźnionych siewów w gospodarstwie, a też i konie posyłać na stację na próżno szkoda, kiedy koni mamy za mało.

13 maja, rok 1944, sobota

W nocy mieliśmy widowisko bitwy powietrznej, która się toczyła gdzieś nad Dyneburgiem. Oczywiście mogliśmy obserwować te widowisko tylko z daleka, w oddaleniu ± 50 lub więcej kilometrów, ale w nocy bezksiężycowej w efektach świetlnych tej bitwy widowisko było jaskrawe. Było to gdzieś koło północy. Gdyśmy się z Jadzią zbudzili i usłyszeli szum lotu aeroplanów na horyzoncie wschodnim w kierunku na Aleksandrówkę-Dyneburg ujrzeliśmy na razie wielką kulę ognistą, którą można było przyjąć za wschodzący księżyc. Niebawem ta kula rozszczepiła się na ognistą linię o trzech zgięciach, podobną do trójnoga Neptuna, która zawisła w powietrzu, podczas gdy z dołu strzelały do góry błyski pocisków artylerii i wybuchy pękających szrapneli. Towarzyszył temu huk głuchy wystrzałów lub bomb, a stopniowo dokoła pierwszej kuli ognistej ukazał się szereg takichże lub podobnych kul i linii wężowych ognia, tak że cały duży odcinek horyzontu zapłonął ogniem i huk wybuchów zgęstniał, a co pewien czas falami zbliżały się ku nam eskadry samolotów, które gdzieś przelatywały i krążyły, niemieckie czy sowieckie – nie wiemy. Był to widocznie wielki nalot sowiecki na Dyneburg i zaczęta walka przeciwko nim ze strony niemieckiej. Parokrotnie słychać też było huk w kierunku bardziej na prawo, jak dziś mówiono czy domyślano

się – na Jeziorosy lub Ucianę. Ta bitwa powietrzna zrobiła ogólnie wielkie wrażenie. Komentowano ją dziś gorąco, ale szczegółów jeszcze nie wiemy. Posłyszymy za parę dni.

Druga nowina – bolesna. Syn Jana Putry z Knisy, tego samego, który w przeszłym roku pilnował u nas ogrodu owocowego, zginął wczoraj w walce z bandą leśną za Rakiszkami w kierunku granicy łotewskiej. Był on od roku 1941 ochotnikiem w batalionach litewskich, był z batalionem na Ukrainie i w Rosji, walczył tam z bandami leśnymi na tyłach frontu i może nawet czasem na samym froncie i ocalał. I oto dopiero teraz, gdy wrócił z oddziałem swoim do kraju i stał w Rakiszkach – zginął. Większy oddział żołnierzy litewskich i policji osaczył bandę silną w lasach u granicy łotewskiej i Putra, pełniąc straż, zginął nie z ręki bandyty, lecz od granatu ręcznego, który sam niezręcznie rzucił, chcąc ugodzić bandytę, którego ujrzał.

Dzień dziś taki sam ciepły i słoneczny, jak dwa poprzednie. Sam, nie doczekawszy się ekonoma, zarządziłem dziś roboty. W III polu Novikas posiał 4 cetnary grochu, które zadrapakował Piotr Pupielis. Nie jestem pewny, czy ten pierwszy siew będzie pomyślny. Ziemia bowiem na górach, gdzie posiany został groch, jest już sucha, drapak zaś nie sięgał głęboko, bo zęby ma dosyć miękkie, więc ziarno grochu jest słabo przykryte i jeżeli nie będzie deszczu, to lękam się, że może nie obejść. Po obiedzie Novikas siewnikiem ręcznym zasiał w życie 22 kilogramy czerwonej koniczyny z 5 kilogramami tymotejki – zapełniło to koło dwóch hektarów. Izydor przygotował ziemię za oficyną pod rozsady, potem zaorał ogrody parobczane, które podzieliłem i bronował górę za ogrodem owocowym w V polu. Ekonoma jeszcze się nie doczekaliśmy. Wypuszczono dziś po raz pierwszy krowy na paszę w X polu. Trawy jeszcze mało, ale krowy chętnie ją skubią. Nie jest to właściwe pastwisko tegoroczne, bo X pole będzie zorane pod mieszankę na poszor.

14 maja, rok 1944, niedziela

W nocy przyszedł ze stacji z Abel ekonom Adamowicz. Przyjechał już z całą rodziną (żoną i dwoma synami – starszy nazywa się Virgandas, młodszy Vytautas, obaj są gimnazistami w Poniewieżu) i wagonem rzeczy. Powiada, że nie przyjechał wczoraj (w piątek), jak depeszował, dlatego, że nie dano mu w piątek w Poniewieżu wagonu. Ponieważ nic nie wiedzieliśmy, że przyjeżdża w sobotę, więc koni nie posyłaliśmy. Żonę ze starszym synem zostawił na noc w wagonie z rzeczami, a sam z młodszym synem przyszedł z Abel pieszo i przyprowadził krowę. Dziś rano zebrał on całą tłokę na sprowadzenie rzeczy z Abel, bo wagon musi być ja najprędzej wyładowany. Ekonom ma szczególną umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi, toteż miał już poprzednio zapewnione furmanki do tłoki. Dla nas ta tłoka jest też wielką ulgą, bo inaczej musielibyśmy sami w ciągu kilku dni dawać konie na sprowadzenie tych rzeczy. Do tłoki poszły furmanki: nasze dwie, z których jedna parokonna i druga jednokonna, parokonna furmanka Mieczkowskich, jednokonne furmanki Janka Čepasa, Kazysa Malciusa, Bagdonasa z Knisy i Diržysa z Bohdaniszek, ogółem siedem furmanek i tyleż woźniców, dziewięć koni. Po obiedzie furmanki wróciły obładowane rzeczami. Rzeczy, mebli, sprzętów – dużo. Na tych, co wzięli udział w tłoce, obfitość rzeczy „ukvedisa” zrobiła dobre wrażenie. Mówili, że jest „pėkliškai bagotas”. W każdym razie zaprezentował się solidnie i zamożnie. Wypełni całą oficynę, ale też będzie miał wygodne i dobre mieszkanie. Wieczorem urządził on przyjęcie dla uczestników tłoki: dał im jajecznicę, słoninę, samogonu. W uczcie wzięli udział: Izydor, Kulys, Kazys Diržys, Kazys Malcius, Bagdonas, Piotr Stankiewicz i uchodźcy Fiodor i Mieczkowskich Iwan. Żona i synowie ekonoma, którzy nie piją, w uczcie udziału nie brali.

Odbył się bardzo uroczyście pogrzeb w Abelach młodego Putry, o którego śmierci wczoraj wspominałem. Piękny był podobno kondukt żałobny, który towarzyszył zwłokom, wiezionym z Knisy do Abel. Chowano go jak bohatera narodowego. Pogrzeb był manifestacją patriotyczną.

O wczorajszym nalocie nocnym Sowietów na Dyneburg dochodzą wieści, że nalot był bardzo silny, że zrzucono dużo bomb, że zginęło ponad 100 osób, że rozbity został dworzec kolejowy w Dyneburgu czy Griwie wraz z całą rodziną naczelnika stacji, uszkodzono kilka torów kolejowych...

Takie są pierwsze wieści, pochodzące pono od tych, co owej nocy jechali z Wilna i czekali na pociąg w Griwie.

Ma się w tych dniach odbywać jakiś pobór do wojska. Szereg ludzi młodych otrzymało wezwanie do stawienia się na pobór do Rakiszek (Władziuk Sadowski, Bronius Malcius, syn Piotra Zybolisa i inni).

Dużo zabierają i wywożą uchodźców Moskali. Podobno na roboty na aerodromie pod Poniewieżem; inni mówią, że na roboty do Niemiec. Boimy się, żeby naszych Moskali nie wzięto.

Co do owej wiadomości o spaleniu baraków na aerodromie pod Poniewieżem i rzekomo ogromnych stratach w ludziach, którzy tam mieli zginąć w ogniu, to ekonom Adamowicz, który przyjechał z Poniewieża, zaprzecza temu.

15 maja, rok 1944, poniedziałek

Podobno dziś w nocy znowu był nalot na Dyneburg, znowu widać było na horyzoncie wielkie ognie reflektorów czy rakiet i słychać było daleki huk dział czy wybuchów. Myśmy tego z Jadzią nie widzieli.

Ciekawa rzecz, co na terenie wojny przyniesie tegoroczna kampania letnia. W ofensywę niemiecką nikt jakoś nie wierzy i jej nie przewiduje. O ile wiosny ubiegłej dominowało przekonanie, że w ciągu lata Niemcy uderzą i posuną się znowu w głąb Sowietów na wschód, o tyle teraz *vox populi* tego nie zapowiada i w to nie wierzy. O czym u nas ludzie mówią i nad czym się zastanawiają – to tylko to, czy Niemcy zdołają powstrzymać Sowiety, czy też ofensywa sowiecka zbliży się jeszcze bardziej, a może i dotrze do nas. Są wprawdzie z rzadka i takie głosy, że choć Niemcy przegrają, to jednak przedtem obmyślą i zadadzą jeszcze jakiś straszny cios Sowietom, a może nawet złamią ich potęgę, ale takie głosy są bardzo słabe w porównaniu do przekonania dominującego. Lękają się zaś Sowietów prawie wszyscy. Są z pewnością i tacy, którzy ich czekają, ale ci się nie odzywają. Na ogół depresja jest wielka. Ludzie się lękają i zniszczenia ewentualnego, i głodu, i ewentualnego wywożenia lub ucieczki, i samych Sowietów oraz Żydów, którzy mogą przyjść jako mściciele. Ciekawa rzecz, jaką jednak siłę potężną zdołały skupić Sowiety, siłę, o którą się łamie potęga niemiecka i to po katastrofie, która na początku wojny sowiecko-niemieckiej pogrzebała całą niemal kadrową, a więc zasadniczą, armię sowiecką. Cały kwiat tej armii, cały jej zawiązek kadrowy, stanowiący jej jądro, zginął niemal doszczętnie w roku 1941, a to, z czego się ta armia odrodziła w samym ogniu wojny i odzyskała moc, która odparła Niemców od dolnej Wołgi i Kaukazu aż do Karpat i pod granice krajów bałtyckich i Polski – to były tylko rezerwy syberyjskie i materiał pochodzący z mobilizacji. Ta armia plemion mongolskich i syberyjskich bije się jak tygrysy i pełznie na zachód jak szarańcza. Niemcy dotąd zatrzymać jej nie zdołali. Czy to działa ogień rewolucji i propagandy, czy bierność posłuszna i straszna mas ludzkich Eurazji, pędzących siłą inercji i wolą swoich panów jak hordy Hunów Attyli albo mrowie stepowe Czyngischana?

16 maja, rok 1944, wtorek

Śliczna wiosna. Maj – w cieniu przeszło 20°. Najrozkoszniejszy czas w naturze. Samo wyliczanie suche tych cudów, które nas o tej porze otaczają, pieści ucho i dostarcza wyobrażeniu piękna rozkosznego: żaby, kukułka, słowik, szpaki, skowronki, bociany, pszczoły w klonach kwitnących, kaczeńce (purėnos) na łąkach i w rowach... Drzewa pokrywają się mgiełką zielonkawą pękających listków, która gęstnieje z dnia na dzień, ale jest jeszcze delikatna i przezroczysta jak marzenie. Zielenieje z lekka mój Gaj na tle ciemnych plam jodeł.

Orano nawóz na ogrodach warzywnych parobczanych za ptasznikiem, sadzono naszą kartoflę śpieszną „kopczankę” w ogrodzie nad sadzawką, siano mieszankę wyki z owsem na zielony karm w sadzie owocowym.

Żermena w wózku spędza dnie całe na dworze. Śpi wtedy doskonale, podczas gdy w pokoju nie śpi. Mnie ten wózek z dzieciątkiem przypomina Kotuńkę w roku 1939; jest pewna słodycz w tym niemowlęciu, śpiącym w wózku na dworze. Wózek ten piastuje już czwartą Römerównę:

Kotuńka, Iga, potem Maja, córka Redów, teraz znów nasza Żermena. P. Krystyna Bohdanawiczówna siedzi pilnie przy Żermenie i zajmuje się trochę Kotuńką i Igą, które całe dnie spędzają na dworze, bawiąc się na piasku na klombie albo za oficyną, pod gumnem lub też robiąc wycieczki do zaścianka do Buby albo jeżdżąc, gdy jest koń zaprzężony do jakiejkolwiek potrzeby gospodarskiej. Panna Krystyna pochodzi ze szlachty ziemiańskiej kresowej – aż z dalekiej Mohylowszczyzny, gdzie jej ojciec miał majątek rodowy w powiecie orszańskim, który stracił w rewolucji roku 1917-1918 jeszcze przed jej urodzeniem. Była to tam w Mohylowszczyźnie rodzina ziemiańska znana Dworzeckich-Bohdanowiczów. Znałem może jej ojca kiedyś w roku rewolucyjnym 1905, kiedym bawił w Mohylowszczyźnie w powiecie sieńskim u mego przyjaciela Konstantego Gordziałkowskiego i był z nim w Bielicy, pięknym majątku pp. Świeckich, gdzie we wspaniałym dekorum bogatego domu pańskiego odbywał się wielki zjazd ziemian z Mohylowszczyzny, wiecujący w atmosferze rewolucyjnej. Burza rozsypała to dalekie ziemiaństwo pańsko-polskie Białej Rusi Wschodniej i wygubiła je jako takie. Po 25 leciech młode latorośle tego ex-ziemiaństwa mają jeszcze tradycję swego pochodzenia, ale już nie ma tej rzeczywistości pięknych dworów i osiadłych na tamtych kresach rodów. Jest tylko pył rozsianych szczątków. Kto wie, czy nie takiż los czeka po tej wojnie całą resztę ziemiaństwa pańskiego i szlacheckiego Białej Rusi Zachodniej i Wileńszczyzny, gdzie pod egidą Polski kwitło ono jeszcze do roku 1939, oraz szczątki ziemiaństwa polskiego Litwy, które tu już było mocno draśnięte i przekształcało się na swoich resztkach dworów po reformie rolnej, przerabiane tak gospodarczo, jak społecznie i zalewane przez nową formację ziemian litewskich.

17 maja, rok 1944, środa

Pogoda jak dni poprzednich. Śliczna ciepła wiosna. Zieleń drzew z dnia na dzień gęstsza. Zakwitły w jagodniku trześnie. Kwitnie dziewięć drzewek. Rozkoszne powietrze.

W polu bronowano zaoraną górę w V polu za sadem owocowym. W sadzie kończono siać mieszankę na zieloną paszę dla bydła.

Wieczorem przyszła niepożądana nowina. Seniunas przyniósł rozkaz za podpisem viršaitisa, wyznaczający Fiodora do pracy na torfowisku „Sachara" pod Poniemuńkiem i nakazujący mu już jutro rano być w Abelach na stacji kolejowej, żeby się stamtąd udać pociągiem na miejsce pracy. Fiodor i jego rodzina są zaniepokojeni i naturalnie proszą, żebym go ratował od wyznaczenia do robót publicznych. Dla nas byłaby to też wielka strata, bo stracilibyśmy robotnika, mało zaś robotników mamy. Mam wrażenie, że sam Fiodor jest temu winien, bo niepotrzebnie starał się o kartki żywnościowe miejskie dla dwojga dzieci, co mogło czynić wrażenie, że nie jest całkowicie zainstalowany u mnie. Czyniąc zabiegi o te kartki – właściwie li tylko przez zbytnią chciwość – musiał się dla argumentu skarżyć, że mu nie wystarcza utrzymania u mnie. Uchodźcy, którzy pracują u Mieczkowskich – Iwan i Maksimow, którzy na razie też chcieli się starać o kartki dla dzieci swoich, zrozumieli, że to jest niebezpieczne i stawia ich w położenie rodzin bez pracy, będących na utrzymaniu publicznym, toteż zaniechali tego. Fiodor za namową swoich kobiet nie chciał słuchać perswazji. Kartki się wystarał, ale kto wie, czy to nie jest teraz skutek tych starań. Fiodora wskazał do robót na torfie Pezolin, starowier miejscowy, który jest mianowany przedstawicielem Rosjan do spraw uchodźców na powiat rakiski. Z naszej seniunii wyznaczony został tylko Fiodor, mimo że seniunas wskazuje inne kandydatki spośród uchodźców, które nie mają przydziału pracy i mogą być użyte do torfu. Jutro pojadę do Abel i poczynię starania u Pezolina i u viršaitisa.

18 maja, rok 1944, czwartek

Rano sprowadziliśmy doktorkę panią Wienażyńską. Sprowadzona była do Żermeny (ukazała się u niej jakaś wysypka na rączce i Jadzia obawiała się, czy to nie świerzb, ale p. Vienażyńska uspokoiła, że nie) i do żony ekonoma Adamowicza, która przeziębiła się w drodze z Poniewieża i gorączkuje. Przy tej okazji obejrzała ona i Fiodora, który ma wrzody na szyi i plecach i wydała mu

świadectwo lekarskie o tym, broniące go na razie przed wywiezieniem. Jednocześnie wszakże rozpocznę starania o zupełne zwolnienie od tych robót na torfowisku. Pojechałem w tym celu do Abel z Jadzią. Ale że to dziś jest święto, więc w Abelach ani viršaitisa, ani naczelnika do spraw uchodźców Pezolina nie zastałem. Wróciłem do domu formalnie z niczym, ale zaraz napisałem w domu list do viršaitisa, który mu jutro przez Janka Čepasa prześlę, sam bowiem jadę jutro do Rakiszek. W liście tym usprawiedliwiłem świadectwem lekarskim niestawienie się dziś Fiodora na rozkaz wyjazdu do torfowiska i skarżyłem się na wyznaczenie do tych robót właśnie jego, którego z rodziną utrzymywałem przez zimę i który mi teraz jest niezbędny jako robotnik w gospodarstwie, prosząc viršaitisa o pomoc w zwolnieniu jego.

19 maja, rok 1944, piątek

Od dwóch dni mamy pogodę przeplataną deszczem. Powietrze nieco ochłodło, ale na ogół jeszcze jest ciepło. Nie wiem, czy doczekamy się chłodów i nawet przymrozków rannych, które w naszym klimacie często bywają w końcu maja i pierwszej połowie czerwca.

Dziś u mnie siano owies z małą domieszką wyki w V polu za sadem owocowym. Rano kupiłem od Sadowskiego-Abdona z Montowszczyzny konia. Koń mały, nędzny, stary; szkapina małej wartości o słabych kojach[9], ale pracować potrafi, toteż nam się przyda. Kupiłem za drzewo w cenie 2000 RM.

Jeździłem z Jadzią do Rakiszek. Chodziło mi o zaprezentowanie Kreislandwirtschaftsführerowi Bettingerowi kwitów rekwizycyjnych na dostarczone do normy uzupełnienie zboża i słomy, które mu obiecałem dostarczyć do 20 maja. Bettingera wszakże nie zastałem. Rzecz wyjaśniłem jednemu z jego urzędników, który sobie wszystko zanotował i obiecał Bettingerowi zreferować. Zdaje się więc, że już wybrnąłem z moich kłopotów rekwizycyjnych ubiegłego roku, przynajmniej w stosunku do zboża, kartofli i poszoru.

20 maja, rok 1944, sobota

Dzień przeplatany deszczem. Pomimo to praca w polu szła mocnym tempem. Novikas kończył obsiewać górę w V polu owsem z domieszką wyki i siał mieszankę w III polu, w I polu drapakowano górę pod aleją brzozową i orano ziemię pod ogrodem lipowym pod siew jęczmienia. Odbyłem dużą przechadzkę z ekonomem po dalszych polach moich po młodziaku Gajowym.

21 maja, rok 1944, niedziela

Kotuńka w ostatnich czasach jakoś się bardzo zmieniła na awantaż. Wyładniała, opaliła się, nabrała przez to cery, jakby utyła trochę na twarzy, przestała patrzeć spode łba, poweselała. Kocham bardzo te moje dwie córeczki starsze – Kotuńkę i Igę. Sam nie wiem – którą więcej. Mają bardzo dużo charakteru i typu, każda w innym rodzaju. Iga – uparta trochę, często leniwa, małpująca Kotunię, śledząca jak policjant wszelkie wykroczenia Kotuni, zazdrosna, piękna, serdeczna, impulsywna; rozkoszna, gdy się bawi sama jedna – pełna wtedy pomysłów, niepraktyczna zgoła, wiecznie wszystko gubiąca. Kotuńka – bardziej refleksyjna, kapryśna czasem, gospodarna, lubiąca we wszystkim być pierwsza, lekka w ruchach, zakochana w Mamusi swojej. Małą Żermenę tymczasem mniej kocham, bo to jeszcze straszne maleństwo. Ale Jadzia przepada za nią. Żywe są i wesołe nasze córeczki kochane. O mojej pierwszej córce, Celinie, rodzącej się z Reginy i kończącej w tym roku 34 lata, od roku 1942 czy nawet 1941 nie mam żadnych wieści. Nie wiem, czy się z nią coś nie stało. Pisałem do niej w roku 1942 pod tym jej adresem w Warszawie, który ostatnio miałem, ale nie odpisała. Zdawałoby się, że powinna by była napisać do mnie, bo przecie mój adres w Bohdaniszkach czy w Wilnie jest stały, więc łatwiej jej mnie znaleźć, niż mnie ją znaleźć. Chyba nie ma jej w Warszawie. Inaczej bowiem nie umiem sobie wytłumaczyć jej zupełnego milczenia. Może się w coś zaangażowała i zginęła albo jest gdzieś bardzo daleko.

[9] Tu autor widocznie bezwiednie użył słowa litewskiego „kojach” zamiast „nogach”. Ciągłe używanie języka litewskiego daje o sobie znać.

Wszystko być może, bo z jej listów wyglądało, że jest skora do jakichś pomysłów i decyzji osobliwych.

22 maja, rok 1944, poniedziałek

Pierwsza wielka burza tej wiosny. Wybuchła koło podwieczorku i lunęła szalonym deszczem, spędzając naszych robotników z pola, którzy siali owies z grochem, drapakowali i bronowali całą siłą sześciu koni pod kierunkiem ekonoma w III polu. My byliśmy w domu, siedzieliśmy wszyscy w pokoju rogowym na dole, który jest teraz pokojem Żermeny. Kotunia z Igą boją się piorunów i słysząc, że podczas wielkiej burzy nie należy stać pod oknem ani pod drzwiami, ani pod piecem, bo to są miejsca, którędy piorun wpaść może, stały cierpliwie, drżące, w samym środku pokoju, śmieszne w swojej wierze naiwnej, że to ich od niebezpieczeństwa ratuje. Żegnały się też skwapliwie na każdą błyskawicę. Burza, która huczała z daleka grzmotem, szybko się zbliżyła i parę razy trzasnęła bliskim piorunem od strony południowej, po czym ucichła, ale się w długą ulewę przemieniła. Jak się dowiedzieliśmy potem, jeden z bliskich piorunów uderzył w stodołę Amerykanina Konstantego Kulysa, która się spaliła. Zbiegło się dużo ludzi i część belek płonącego budynku rozebrali i ocalili. Ulewa jak z cebra przeciągnęła się aż w noc. Wciąż są przeszkody w siewach. Nalało teraz tyle, że nie tylko dziś przerwało robotę, ale i jutro nic w polu robić nie będzie można.

23 maja, rok 1944, wtorek

Brzydki dzień. Bardzo dżdżysty i chłodny. Kilkakrotnie wypadł grad. W polu nic robić nie było można, mimo że roboty byłoby moc. Ale ziemia tak rozmokła, że ani orać, ani bronować, ani drapakować nie można. Izydor i Novikas pojechali do młynów, jeden do Pokrewnia, drugi – do Łajbgal.

W tych dniach skończyłem pisać moją pracę o państwie unitarnym i związkach państwowych (konfederacja, federacja, imperium). Jest to już trzecia większa praca książkowa, którą mam wykończoną w tych latach wojny. Pierwsza z nich, stanowiąca część II monografii (wykładów) o prawie konstytucyjnym Litwy niepodległej (część I, już ogłoszona w druku, obejmowała powstanie państwa litewskiego w latach 1917-1920 i wszystkie pierwsze akty konstytucyjne okresu przejściowego wraz z konstytucją roku 1922, część II obejmuje zamachy stanu lat 1926 i 1927 oraz analizę konstytucji roku 1928, część III, jeszcze nie napisana, obejmowałaby analizę konstytucji roku 1938 i upadek Rzeczypospolitej Litewskiej), została ukończona i w roku 1941 za czasów sowieckich w odpisie maszynowym złożona do działu rękopisów biblioteki uniwersyteckiej w Wilnie. Druga z tych prac wykończonych obejmuje wstęp o formach państwowych i reżimach konstytucyjnych z obszerniejszą analizą reżimu prezydenckiego amerykańskiego. Jest to tom I pracy o formach państwowych i ustrojach (reżimach) konstytucyjnych. Praca ta jest ukończona dosyć dawno, ale dopiero po trochę przepisuję w domu jej rękopis na maszynce. Trzecia praca – to ta, którą ukończyłem obecnie (o państwie unitarnym i związkach państwowych). Pracę tę przepisuję z rękopisu na maszynce dosyć forsownie i mam już większą jej część przepisaną, ale że kopiuję ją w dwóch egzemplarzach – każdy egzemplarz osobno, bo nie mam kalki, więc przepisywanie idzie powoli i dużo mi jeszcze czasu zajmie. Po przepisaniu chcę ją także złożyć na dwie ręce (do biblioteki uniwersyteckiej i do rąk ewentualnie mego ex-asystenta Piotra Armalisa). Prace te, wykończone, lecz nie wydane, będą czekały zaistnienia warunków do ich wydania, jeżeli warunki takie zaistnieją i jeżeli rękopisy, przepisane na maszynce i odpowiednio zdeponowane, uchowają się szczęśliwie.

24 maja, rok 1944, środa

Na ogół zimny dzień. Nad ranem był nawet leciutki przymrozek. Nie wiem, czy nie zaszkodził na trześnie, które przekwitają i u których na miejscu kwiatu tworzy się zawiązek owocu albo na wiśnie, które właśnie kwitnąć zaczynają. Jabłonie nie kwitną jeszcze. Dzień wszakże

przeszedł bez większego deszczu. Barometr szedł po trochę na pogodę, ale wieczorem zwrócił znowu na słotę. W polu rano zasiano 5 cetnarów owsa (w I polu) i drapakowano we cztery konie, Fiodor zaś woził nawóz na ogrody warzywne nasze.

25 maja, rok 1944, czwartek

Szpetny – zimny, wietrzny i dżdżysty dzień. Jeździłem do Abel w sprawie Fiodora, żeby się wystarać albo upewnić o zwolnieniu go od wyjazdu na roboty na torfie. Nie tylko zimno, ale i bardzo niewygodnie było jechać. Ponieważ bowiem Izydor musiał jechać do Pokrewnia do młyna po spytlowaną wczoraj naszą mąkę i krupy, więc dla zaoszczędzenia konia i człowieka wykorzystałem tę samą furmankę z Izydorem na pojechanie do Abel, skąd wracaliśmy na Pokrewnie na młyn. Był to prosty wóz jednokonny bez siedzenia. Jechałem na wpół leżąc na słomie. Niewygodnie było bardzo i bardzo zimno. W Abelach dowiedziałem się od viršaitisa, że na skutek mojego listu do niego, który on pokazał „naczelnikowi" spraw uchodźczych rosyjskich Pezolinowi, ten ostatni przyrzekł zwolnić Fiodora. Zależy to od Pezolina, bo władze gminne same nie wyznaczają uchodźców do robót, tylko komunikują Pezolinowi żądanie gremialne wyznaczenia pewnej ilości uchodźców na te lub inne roboty, Pezolin zaś ze swoimi agentami po gminach i seniunijach wyznacza indywidualnie uchodźców i spis wyznaczonych przedstawia urzędom gminnym. Nie viršaitis przeto, ale Pezolin ze swymi agentami może zwolnić Fiodora i wyznaczyć na jego miejsce innego. Pezolina w Abelach nie zastałem, ale spodziewam się, że już Fiodora zwolnił. Słyszałem już wczoraj, że Fiodor jest wykreślony z listy wyznaczonych.

26 maja, rok 1944, piątek

Rano był wielki przymrozek. Ile stopni – nie wiem, ale mówiono, że aż gruda była się utworzyła na zmarzłym błocie. Listki klonu i kasztanów powiędły. Dzień był na ogół pogodny i słońce dosyć grzało, ale bardzo ciepło nie było. Ekonom Adamowicz nakłonił mię wczoraj do pożyczenia od Augaitisa z Pokrewnia siewnika. Napisałem do Augaitisa list i dziś rano ekonom z moim listem pojechał. Augaitis siewnik pożyczył i ekonom go z triumfem przywiózł, potem całe pół dnia z Piotrem Pupielukiem go montował, smarował, studiował, gdy tymczasem parobcy całą siłą naszych i dwóch dopożyczonych koni orali, drapakowali i bronowali ziemię w polu I i w ogrodach warzywnych na siew. Po podwieczorku siewnik, zaprzężony w parę białych koni, był puszczony w ruch. Jest to ładny siewnik rzędowy, który wysiewa i przykrywa posiane ziarno. Siano owies na górze w I polu między aleją brzozową a Prudelisem, gdzie niegdyś, jak głosi podanie ustne, o którym wiem od mego Ojca i które zdaje się potwierdzać znaczna ilość prastarych dużych cegieł, wyorywanych na górze, stały pierwsze najstarsze zabudowania Bohdaniszek wysoko nad jeziorem, które się rozciągało w głębokiej dolinie Prudelisu u stóp góry. Siewnik funkcjonował dobrze, obsługiwany przez ekonoma, parobka Izydora i uchodźcę Fiodora.

Dziś przed obiadem byłem w Gaju z leśnikiem Sadowskim i Mateuszem Sadowskim-Abdonem z Montowszczyzny, któremu wyznaczałem jodły budulcowe. Winien mu byłem w jodłach sumę przeszło 3000 Reichsmarek za koniczynę, pszenicę letnią, wykę z owsem i konia. Jodły wybierał przeważnie od 25 do 35 centymetrów (10-14 cali) grubości w cenie od 100 do 250 marek sztuka. Wybieraliśmy je przy gościńcu karwieliskiem między gościńcem a łąką i ruczajkiem leśnym. Sam nie myślałem, że się tam tak dużo znajdzie jodeł budulcowych, bo las jest tam przeważnie młody. Ogółem nabraliśmy 26 jodeł i po obliczeniu okazało się, że już przekroczyliśmy należną cenę o całych 490 marek. Zaliczy się to na wieprza, którego mam od niego kupić po połowie z ekonomem w cenie po 12 marek za kilo żywej wagi.

27 maja, rok 1944, sobota

Pod wieczór zgłosił się do mnie młody Joachim Petrulis, syn mojego starego przyjaciela Józef Petrulisa. Podał mi krótki lakoniczny listek, skreślony ręką jego ojca i adresowany do mnie i Jadzi. Prosi nas udzielić przytułku („priglausti") jego synowi. Okazało się, ze Joachim Petralis był się

zaciągnął do oddziałów litewskich generała Plechowicza i był w formacji tych oddziałów, konsystującej w Rakiszkach. Katastrofa, która w tych tygodniach dotknęła te oddziały i o której ledwie coś niewyraźnego usłyszałem, rozbiła te oddziały. Ci, którzy w nich brali udział, o ile nie zostali przez Niemców pochwyceni, rozproszyli się. Uciekł i młody Petrulis. W przewidywaniu dalszych represji niemieckich i ewentualnego wyłapywania zbiegów starają się oni ukryć i przeczekać bezpieczniej przynajmniej okres przejściowy. Oczywiście przyjąłem Joachima Petrulisa, który może siedzieć u mnie ile zachce i dopóki nie zwróci na siebie uwagi i będzie się tu czuł bezpieczny. Opowiedział mi on szczegóły tego kryzysu. Niestety, oddziały te, które na razie były bardzo gorąco powitane przez opinię litewską i do których młodzież wpisywała się gremialnie, zwłaszcza oficerowie i młodzież studencka i gimnazjalna, upatrując w nich zawiązek armii narodowej, dziś są rozbite. Przyczynili się do tego Niemcy, którzy nie dotrzymali słowa. Oddziały te miały zapewnione przebywanie w kraju i walkę w pierwszym rzędzie z bandytami, ewentualnie udział w wojnie przeciwko Sowietom na wschodzie na odcinkach, najbliższych do terytorium Litwy, gdyby wojska sowieckie się zbliżały do granic litewskich. Wciąż słychać było, że Niemcy robią różne trudności rozwojowi tych oddziałów: nie dają dostatecznego umundurowania i uzbrojenia, nie dają lokalów, często nawet utrzymania dla żołnierzy, stawiają różne żądania... Pomimo to niektóre pierwsze formacje tych oddziałów już były posłane do Litwy Wchodniej i rozpoczęły tam akcję przeciwko różnym bandom dywersyjno-partyzanskim. Wszakże oto Niemcy zażądali nagle, żeby te oddziały były wcielone do formacji niemieckich tak zwanych SS i nakazali wysłanie ich do Niemiec czy nawet podobno do Francji. Plechowicz się temu oparł. Plechowicz i sztab oddziałów został aresztowany, Niemcy zaczęli napadać, rozbrajać i aresztować poszczególne cząstki tych oddziałów, konsystujące w różnych miejscowościach. Gdzieniegdzie doszło do przelewu krwi, do starć zbrojnych, inne formacje same się zaczęły rozpraszać. Oddziały poszły w rozsypkę. Losy Plechowicza są niewiadome. Wywiązał się ostry kryzys i stosunki litewsko-niemieckie weszły w stadium zupełnego rozprzężenia[10].

28 maja, rok 1944, niedziela

Zielone Świątki. Pojechaliśmy z Jadzią i córeczkami Kotunią i Igą do Krewien do kościoła, gdzie była wyznaczona Pierwsza Komunia dla dzieci. Chcieliśmy pokazać córeczkom tę uroczystość kościelną, w której miała wziąć udział ich siostrzyczka cioteczna Birutė, córka Janka Čepasa. Lubię kościół wiejski w Krewnach z zebranym ludem okolicznym na nabożeństwach świątecznych. Z naszej ławki za kratkami przy ołtarzu, niegdyś kolektorskiej, która i dotąd nam przez tradycję służy, gdy przyjeżdżamy, widzę lud zebrany i słyszę śpiewy kościelne ludu. Jest wielka ciągłość tradycji i kolorytu etnicznego w tych modłach i pieśniach, których formy się mało zmieniają. Toteż tu w kościele na nabożeństwie czuję tętno ludowe lepiej, niż w innych okolicznościach, w których różne konsekwencje modernizmu zmieniają charakter rozrywek ludowych, zachowania się, form towarzyskich itd. Tu w kościele są pieśni archaiczne i archaiczny styl ich wykonania, archaiczne niezmienne formy zachowania się, konserwatyzm ludzi starych, niewzruszone formy noszenia chorągwi, krzyża, latarenek itp., słowem – cały specyficzny folklor ludowo-kościelny, ten sam i taki sam, jak za czasów mojego dzieciństwa i zapewne dużo dawniej. W te formy wylał się cały charakter lokalny ludu i w nich stężał; nawet głosy chóru męskiego i żeńskiego w wykonaniu masowym pieśni mają te same charakterystyczne odcienie, które są zachowywane od wieków. Ładna też była uroczystość Pierwszej Komunii. Dziewczynki ubrane biało, chłopcy – przeważnie także biało. Dziewczynki miały włosy rozplecione, wianeczki ruty na

[10] Dość trudno uwierzyć, że do Bohdaniszek nie dotarły żadne wieści o starciach korpusu posiłkowego generała Plechavičiusa z oddziałami Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, zakończonych dlań niepomyślnie, co przede wszystkim stało się przyczyną rozwiązania korpusu. Autor nie użył też dotąd ani razu nazwy „Armia Krajowa", choć słyszeć o niej na pewno musiał. Treść dalszego ciągu zapisów wygląda raczej jako ucieczka w sprawy mniej ważne (śpiewy w kościele, święta, sezonowe roboty rolne), byle nie podejmować, jak w młodszym wieku, problemów zasadniczych,

główce. Ładne były, a wiele było twarzyczek pięknych tak dziewczynek, jak chłopców. Dzieci te ustawione były w poczwórny dwurząd, po dwa dwurzędy chłopców i po dwa dziewczynek, od ołtarza do kratek. Miały w ręku zapalone świece woskowe. Wystały tak całą sumę i przyjęły Komunię. Potem były suplikacje i kazania. Potem miało być jeszcze nabożeństwo majowe, ale myśmy już poszli na plebanię, bo trzy godziny spędzone w kościele zmęczyły nasze córeczki. Jeszcze ze dwie dobre godziny czekaliśmy w plebanii na proboszcza. Chcemy nasze córeczki Kotuńkę i Igę użyć do sypania kwiatów pod stopy księdza, niosącego Najświętszy Sakrament na procesji Bożego Ciała, do czego one same mają też wielką ochotę. W przyszłą niedzielę przyjadą one uczyć się tego sypania kwiatów. Jednocześnie w przyszłą niedzielę chcemy ochrzcić Żermenę w Krewnach. O tym wszystkim pomówiłem z księdzem proboszczem, który miał także ze swej strony interes do mnie. Kuria biskupia nakazała wszystkim proboszczom spisanie historii swojej parafii na podstawie dokumentów archiwum parafialnego. Ksiądz Raščius prosi więc mnie o podjęcie się tej pracy. W tym celu przywiezie mi i doręczy wszystkie dokumenty, które są w archiwum kościelnym w Krewnach. Chętnie mu obiecałem wykonać tę pracę.

29 maja, rok 1944, poniedziałek

Zielone Świątki upłynęły pod znakiem zabaw ludowych, urządzonych przez miejscową organizację straży ogniowej, której przewodzi Vytautas Diržys. Wczoraj odbyło się przedstawienie amatorskie, urządzone w stodole zaścianka starej Urszuli Čepasowej, po czym były na dziedzińcu tańce. Byliśmy z Jadzią na tym przedstawieniu. Wejście było płatne – po 5 marek bilet. Dla nas z Jadzią ustawiono dwa fotele przed pierwszym rzędem ław. Nie wiem, jak się nazywa sztuka, którą grano i kto jest jej autorem. Sztuka w pięciu krótkich aktach, bardzo dramatyczna. Grano, jak na amatorów, nie mających większej praktyki scenicznej, wcale dobrze. Publiczności było dużo – z całej rozległej okolicy. Świateł potem nie palono, ale w letnią noc księżycową było dosyć światło. Jak zawsze, niestety, pijanych było sporo, ale utrzymywano dyscyplinę. Gdy dwóch jakichś pastuchów wybiło szybę przez „psotę”, złapano ich na gorącym uczynku, zbito za karę i wyrzucono. Unikano ognia i krzyków nie tylko przez wzgląd na niebezpieczeństwo aeroplanów i na zakaz światła w nocy, ale też przez wzgląd na to, żeby nie ściągnąć czasem uwagi Niemców, bo w ostatnich czasach było kilka wypadków, że na wieczorek wiejski przyjechali nagle Niemcy, otoczyli miejsce zabawy i całą publiczność załadowali na autobusy i wywieźli. I w ogóle jest w tej chwili świadomość, że wszelkie układy z Niemcami pękły, stosunki się zepsuły i Niemcy są na Litwinów wściekli, toteż po rozbiciu oddziałów Plechowicza można się spodziewać wszelkich represji. Dziś pod wieczór zaimprowizowano zabawę u mnie we dworze za ptasznikiem pod jesionami. Zebrali się członkowie organizacji strażackiej, ustawiono stół, sprowadzono piwo, zaczęły się zbierać dziewczyny, potem ściągnęło trochę młodzieży męskiej okolicznej, byli muzykanci wczorajsi, bawiono się tańcami na dworze. Gdy wszakże potem znaleźli się pijani i rozpoczęła się sprzeczka, która groziła nawet bójką, starszyzna strażacka rozpędziła zebranie, które dokończył wieczór u Kulysa Konstantego.

30 maja, rok 1944, wtorek

Piękny dzień. Wiosna robi wielkie postępy i stopniowo wkracza w lato. Zakwitły jabłonie, ale niestety – mało jest kwitnących w moim sadzie, zwłaszcza w młodym. Ogółem kwitnie chyba nie dużo więcej, niż 20-30 drzew. Ogromna większość jabłoni zazieleniała bez kwiatów. Nie będziemy mieli tego wielkiego dochodu z owoców, na który liczyliśmy. Zresztą po wspaniałym na urodzaj owoców lecie ubiegłym to lato nie mogło już bardzo owocować. Posiano dziś u mnie siewnikiem w I polu 5 cetnarów jęczmienia. I pole jest już całe zasiane. Novikas drapakował pod siew ziemię w V polu, do którego się teraz zabierzemy.

Jak dochodzą wieści, w Wilnie trwoga coraz większa. Ludzie się boją nalotów z bombardowaniem i ewentualnie inwazji Sowietów. Niedawne bombardowanie Rzeżycy i Dyneburga w Łotwie podnieciło strach. Nie podziałało też uspakajająco rozbicie przez Niemców

oddziałów litewskich Plechowicza, co powiększa zamieszanie i podnieca strach. Koła polskie, zwłaszcza ziemiańskie, dosyć liczne w Wilnie, oglądają się za ucieczką. Pisała mi Elizka Komorowska z wielkim zgorszeniem, że Krystyna Redowa Römerowa „uparła się" i wbrew woli Reda zabiera dzieci i wyjeżdża ze swą matką do Bawarii. Red, zdaje się, pozostaje. Elizka gorszy się nie tym, że wyjeżdża na zachód, ale że wyjeżdża do Niemiec. Teraz pisze mi Hela Ochenkowska, że sama Elizka, a raczej całe gniazdo Komorowskich gremialnie (a więc Elizka, Zitka, Julkowie) wybierają się „na zachód" – zapewne do Polski, i że rodzina Leonów Römerów wyjeżdża do Niemiec (w jakim charakterze – nie wiem; nie rozumiem też, co oni zrobią z Leonem, który już ledwie żyje i którego chyba wieźć trudno, a przecie zostawić samego nie można). Sama Hela Ochenkowska też pragnęłaby zapewne umknąć; pisze, że ją ktoś zaprasza do Warszawy, ale ona nie ma sił do wyjazdu.

31 maja, rok 1944, środa

Żyliśmy dotąd w perspektywie pewnego jeżeli nie porozumienie, to bądź co bądź pewnego kontaktu z Niemcami. Okupanci odmawiają uporczywie uznania państwowości litewskiej i nie dają żadnych możliwości do odbudowy tej państwowości i o to rozbijały się dotąd wszelkie próby nawiązania porozumienia na rzecz jakiejś mobilizacji i tworzenia armii narodowej litewskiej. Ale w każdym razie Litwa, jak Łotwa, Estonia i nawet w mniejszym stopniu Białoruś, tworzące razem z Litwą tzw. Ostland, była i jest traktowana nieco inaczej, niż kraje podbite, jak Polska i ma pewien quasi-samorząd gminny i powiatowy, nawet z pewnym szczytem centralnym w postaci radców generalnych i różnych zarządów administracji. Ludność w różnych rekwizycjach, poborach do pracy itp. jest subordynowana nie bezpośrednio organom okupacyjnym, lecz przez pośredniczące krajowe organy samorządowe. Ma to swoje ujemne, ale także swoje dodatnie strony. Skądinąd jest policja litewska, są bataliony ochotnicze litewskie, działające na tyłach frontu jako oddziały pomocnicze. Wciąż też poruszana i debatowana z Niemcami jest kwestia tworzenia regularnej siły wojskowej litewskiej. Tylko że czynniki litewskie wiążą to z zapoczątkowaniem państwowości krajowej, podczas gdy Niemcy wiązania tego nie chcą i usiłują rzecz tę przeforsować na rzecz prostego wcielenia sił litewskich do formacji wojennej niemieckiej. Raz było już kategoryczne załamanie się na tym gruncie w marcu roku 1943, kiedy opór bierny Litwinów udaremnił niemiecką kombinację legionu litewskiego. Z kryzysu tamtego wybrnęło się poprzez długie rokowania, w których skutku zaistniały oddziały narodowe generała Plechowicza. Miały one być użyte li tylko w kraju. Aliści oto Niemcy zechcieli, wbrew układowi, wcielić te oddziały do ogólnej formacji niemieckiej i wywieźć z kraju, by je użyć po swojemu bez względu na pretensje Litwy. Litwini się oparli, nastąpiły aresztowania, rozbrojenie, oddziały Plechowicza są rozbite, on sam aresztowany, polała się krew. Nowe, jeszcze cięższe niż przed rokiem, załamanie. Wszędzie – po miastach, na wsi, wśród inteligencji, wśród młodzieży, wśród włościan – nastrój trwożny. Co to będzie? Jakie będą konsekwencje tego kryzysu, co dalej? Prawie cała młodzież litewska jest na stopie nielegalnej, wszędzie się ukrywają rozbitki oddziałów Plechowicza, nie licząc tych, którzy już poprzednio uchylili się od różnych poborów lub byli wzięci i zdezerterowali. Czy Niemcy będą się mścili na Litwinach, czy i jakich użyją represji, czy znowu się powtórzą syzyfowe próby nowych kombinacji i jakich? Podobno Łotysze i Estończycy są uleglejsi i z nimi Niemcy tych kłopotów, co z Litwinami, nie mają.

1 czerwca, rok 1944, czwartek

Chłodny dzień. Ale suchy. Ekonom siał siewnikiem pszenicę letnią w V polu. Do siewnika była użyta para koni, inne zaś konie drapakowały, orały i bronowały VI pole, na które jutro zacznie się wieźć nawóz pod buraki cukrowe i pastewne i pod kartofle. Koni do roboty mieliśmy dziś aż dziewięć! Mianowicie sześć naszych koni, jednego konia Janka Čepasa i parę koni Šeškusa do tłoki. Bardzo spóźnione są u nas siewy. Mamy jeszcze pszenicy, jęczmienia i owsa z wyką do posiania, także len, kartofle i buraki. Co się zasiało – to już dobrze kiełkuje.

Joachim Petrulis, któremu dałem przytułek, siedzi cichutko, jak mysz pod miotłą. Mało wychodzi z domu, siedzi przeważnie w swoim pokoju na górze, trochę się przechadza po polu i po Gaju. Dobry i cichy chłopiec. Delikatny. Dysputuje dużo z panną Krystyną, usiłuje ją ze stanowiska litewskiego przekonać o różnych winach Polaków, podczas gdy ona broni gorąco Polskę i Polaków i czyni zarzuty Litwinom. Oboje dysputują w dobrej zresztą komitywie i argumentują przeważnie bardzo naiwnie szablonowymi argumentami propagandy litewskiej i propagandy polskiej.

Wciąż słychać jakieś dalekie wystrzały z dział czy też wybuchy. Dużo też przelatuje aeroplanów. W ostatnich dniach nocami było słychać kilka większych wybuchów, zdaje się – na kolei żelaznej. Usposobienie jest na ogół niewyraźne, zaprawione uczuciem niepewności. Skądinąd, wnosząc z gazet, na froncie wschodnim, to znaczy niemiecko-sowieckim, panuje zacisze. Ożywił się natomiast groźnie dla Niemców front włoski.

2 czerwca, rok 1944, piątek

Dziś w nocy dwa wypadki w okolicy. Pierwszy: drezyną automatyczną służbową przyjechało z Wilna grono kolejarzy – pięć osób z szoferem – pospekulować na wsi, zaopatrzyć się w produkty. Byli oni w Rakiszkach i stamtąd odjechali do Abel. Z Rakiszek chciano wypuścić na tor do Abel pociąg wojskowy, ale spekulanci nastali na tym, żeby wpierw ich puszczano. Odjechali z Rakiszek w nocy. Nie dojeżdżając Abel o 3 kilometry przed stacją drezyna najechała na trzy miny, położone przez dywersantów sowieckich na torze. Było to koło północy. Dwie miny wybuchły pod drezyną. Szofer pozostał żywy i zdrowy, trzech kolejarzy rozerwanych na kawałki i zabitych na miejscu, dwóch ciężko rannych odwieziono do szpitala w Rakiszkach. Drugi wypadek. Jak co dzień rano, gospodarze śpieszyli z mlekiem do punktu mleczarskiego, który jest w Bohdaniszkach we dworze. Panienka obsługująca punkt bohdaniski, córka buchaltera Chochłowa z mleczarni w Łaszach, do której punkt bohdaniski należy, nie przyszła. Ludzie poszemrali i rozeszli się, zabierając swoje mleko. Aliści niebawem dowiedziano się, że w nocy dokonany został na mleczarnię w Łaszach napad bandycki. Bandyci zabrali całe masło, które było w mleczarni, wysadzili maszyny wyrabiające masło i zabrane masło wywieźli, oznajmiając, że konie i wóz będą zwrócone.

Takie są wypadki nocy dzisiejszej.

Dzień mieliśmy pogodny i słoneczny, ale dosyć chłodny. Dosiano pszenicę letnią i drapakowano trochę, dwie zaś pary koni woziły przez cały dzień nawóz na VI pole pod buraki i kartofle.

Przyjeżdżała p. Józefowa Petrulisowa z Audry odwiedzić syna Joachima i radzić się ze mną, co dalej robić. Przyjeżdżali też księża – proboszcz krewieński Raščius i wikary Vikutis, ten sam, co w dniu Wielkiejnocy na kazaniu moją osobę wysławiał. Przywieźli mi całe archiwum parafialne krewieńskie – dużą ilość ksiąg i foliałów starych od roku 1680 do czasów najnowszych. Trudna będzie z tym robota – samo odczytanie jest bardzo uciążliwe, zwłaszcza starych rękopisów, pisanych po łacinie drobniutkim mało czytelnym pismem ze skrótami w słowach. Spróbuję się jednak w tym materiale zorientować.

3 czerwca, rok 1944, sobota

Dzień przeważnie pochmurny, pod wieczór deszcz. Przez cały dzień wożono w trzy pary koni nawóz pod buraki i kartofle w polu VI.

Sprowadzaliśmy z Abel weterynarza do świń i koni naszych.

Prawie co dzień wykluwają się u nas pisklęta. Jadzia tej wiosny posadziła na jajach mnóstwo kur, indyczek i gęsi i będzie miała do 200 piskląt rozmaitego gatunku – kacząt, gąsiąt, indycząt, kurcząt i perliczek. Płodny to będzie u nas rok na ptactwo, ubogi na jabłka, a jaki będzie na urodzaj zboża – to się jeszcze pokaże; żyto jest nędzne, a jarzyny bardzo późno posiane i jeszcze siew nie skończony; za to ziemia jest przez ekonoma Adamowicza starannie uprawiana.

4 czerwca, rok 1944, niedziela

Odbyły się chrzciny naszej najmłodszej niespełna trzymiesięcznej córeczki Żermeny-Zofii-Urszuli. Chrzestnymi rodzicami byli Andrzej Mieczkowski i Stefcia Boreišisowa, którzy zawieźli Żermenę do Krewien do kościoła, gdzie ją ochrzcił proboszcz ksiądz Raščius. Żermena jest już chrześcijanką, katoliczką.

Z powodu chrzcin odbył się u nas obiad, w którym wzięli udział: oboje kumowie, my z Jadzią, Buba i stary Ignacy Čepas, Janek Čepas, Balys Boreišis, Joachim Petrulis, Krystyna Bohdanowiczówna, ekonom Adamowicz z żoną i synami Virgandasem i Vytautasem, a przy osobnym stoliku dzieci: nasze dwie starsze córeczki – Kotunia i Iga, Birutė Čepaitė i Stefka Boreišisowa. Na wstępie było trochę wódki dla mężczyzn, była ryba na zimno, bulion z knedlami, indyk pieczony z brusznicami, kompot ze śliwek renklod z przedwojennych zapasów spiżarni Jadzi, dwa torty, cukierki śmietankowe domowej roboty, dwie butelki dobrego wina zagranicznego z resztek moich zapasów piwnicy – butelka mocnej słodkiej malwazji włoskiej i butelka francuskiego Rosé d'Anjon.

Uroczystość udała się dobrze.

5 czerwca, rok 1944, poniedziałek

Od jakichś paru tygodni sytuacja na froncie pod pewnym względem odwróciła się. Poprzednio główna akcja była na froncie wschodnim, gdzie mniej więcej od lipca roku ubiegłego toczyła się nieprzerwana ofensywa sowiecka, podczas gdy na froncie włoskim był względny zastój, a w każdym razie wielkich zmian nie było i strony się mniej więcej równoważyły. Teraz radykalna zmiana pod tym względem. Front włoski stał się nagle dynamiczny, podczas gdy front wschodni zamarł. We Włoszech toczy się gwałtowna ofensywa angielsko-amerykańska, której Niemcy stawiają opór, ale bądź co bądź ciągle się po trochę cofają. Jak powiadają ci, co słuchają radia, we Włoszech Anglo-Amerykanie podchodzą już do Rzymu, od którego walki czołowe ofensywy są już pono tylko o 10 kilometrów! Natomiast front wschodni znieruchomiał. Sowiety nie tylko się dalej na żadnym odcinku nie posuwają naprzód, ale i walk większych nie ma. Komunikaty wojenne niemieckie podają już na pierwszym miejscu relacje o froncie włoskim, które dawniej były podawane na końcu, natomiast relacje z frontu sowieckiego, które zawsze zajmowały czoło komunikatów, zaszły na koniec i zresztą nic w nich nie ma istotnego – jakieś drobne potyczki lokalne lub zgoła żadnych zmian. Dziwne to jest, bo zdawałoby się, że uderzenia ze wschodu i z Włoch musiałyby być ściśle skoordynowane i ile możności jednocześnie; tak by się zdawało ze stanowiska przeciwników Niemiec. Dlaczego front wschodni staje się bierny akurat wtedy, kiedy front włoski staje się dynamiczny i *vice versa* – trudno zrozumieć, bo przecie na tych dwóch frontach przeciwnicy Niemców są różni, więc sił swoich nie przenoszą z jednego frontu na drugi. Ale dużo jest dla profanów rzeczy dziwnych na tej wojnie.

Słychać o nowym nasileniu akcji bandycko-dywersyjnej w naszych okolicach. Napaści rabunkowe na zaścianki stały się w ostatnich dniach częstsze, przynajmniej o takich epizodach więcej słychać. Co prawda, są to tylko drobne epizody – wycieczki pospolitych rabusiów. Skądinąd bardzo się uczęściły zamachy na kolej żelazną charakteru dywersyjnego. Napad na mleczarnię w Łaszach też jest charakterystyczny. Oczywiście, elementy bandyckie i dywersyjne podniosły głowy w związku z kryzysem armii Plechowicza i dezorientacją, którą te wypadki wywołały. Niemcy sami bardzo się przyczyniają do rozrostu akcji dywersyjnej i bandyckiej, rozbijając dla swoich względów politycznych formacje zdrowe, jak formacje litewskie Plechowicza i wpędzając Litwinów, którzy mogli rozwinąć dużą energię antybandycką i antydywersyjną, w bezwład, a nawet wtrącając młodzież litewską w stan nielegalny, z którego mogłyby się wyrodzić nowe bandy i partyzantki. Słychać, że do Rakiszek sprowadzone zostały przez Niemców jakieś nowe oddziały, złożone z elementów różnonarodowych, zbieranych z całej Europy, przeznaczono do łapania rozbitków z oddziałów Plechowicza. Oczywiście to samo, co jest w Rakiszkach, robi się i gdzie indziej. Na razie ogłoszono, że do 10 czerwca rozbitki oddziałów Plechowicza mogą dobrowolnie oddawać broń i umundurowanie bez obawy represji osobistej, ale nikt z nich się do tego nie kwapi, bo

obawiają się, że każdy, kto się zgłosi, zostanie pochwycony. Tymczasem, jak słychać, Niemcy za pośrednictwem sprowadzonych oddziałów łapią już tych rozbitków, nie czekając na upłynięcie terminu, który im wyznaczono dla dobrowolnego oddania broni i umundurowania, mającego ich zabezpieczyć od łapania i od wszelkich skutków ich ucieczki. Ogłoszono też zarządzenie rejestrowania się do akcji wojenno-pomocniczej wszystkich urodzonych w latach od roku 1915 aż do roku 1929, to znaczy do 15-letnich chłopców włącznie! Termin tego rejestrowania się, raczej zgłoszenia się do poboru – 8 czerwca. Zdaje się, że nikt zgoła się nie zgłosi do tej rejestracji, przynajmniej usposobienie jest kategorycznie przeciwne zgłaszaniu się. Znowu namnoży się niekwapnych i znowu mogą być łapanki i ukrywanie się.

6 czerwca, rok 1944, wtorek

Kwitną bzy. Drzewa w pełnym rozkwicie, tylko jesiony trochę pozostają w tyle. Wiosna tegoroczna jest wiosną chrabąszczów. Tysiące tych dużych owadów siedzi na liściach klonów, wieczorami zaś lata pomiędzy drzewami hucząc jak dalekie aeroplany.

7 czerwca, rok 1944, środa

Ekonom Adamowicz, który jeździł do Abel, przywiózł stamtąd wiadomość, że wojska anglo-amerykańskie już zajęły Rzym i że na wybrzeżach Francji wysadzony został desant, zapoczątkowujący tzw. inwazję na ląd europejski, o której perspektywach tak się dużo mówiło i pisało od dłuższego czasu. Co do powodzenia tego „desantu-inwazji” – to zaczekamy jeszcze na dokładniejsze wiadomości, ale zajęcie Rzymu jest chyba pewne, bo już niedużo brakowało do tego. Nie wiem, jaką wagę militarną ma zajęcie Rzymu, ale w każdym razie ma ono wagę polityczną bardzo wielką. Rzym – Wieczne Miasto, kolebka i metropolia naszej cywilizacji, siedziba Stolicy Apostolskiej – to atut ogromny, którego efekt musi być bardzo wielki.

Dzień był ładny i w gospodarstwie pracowity. Rozpoczęto u nas sadzenie buraków cukrowych na Monticulu pod Gajem. Parobek Izydor Kulis sadził swoje kartofle, Novikas drapakował, Fiodor orał pod sadzenie buraków, Józef Malcius kończył grodzić wygon dla bydła wzdłuż alei brzozowej za gumnem i dalej do wylotu na II pole. Posiana jarzyna wszędzie już kiełkuje, ale jeszcze zostaje do posiania nieco jęczmienia i pszenicy letniej, dużo mieszanki owsa z wyką i cały len oraz do zasadzenie całe kartofle dworskie i przeważna część buraków cukrowych. A tu już połowa czerwca na nosie – spóźnienie ogromne. Dobrze, że jest ekonom, bez niego byłbym zupełnie zginął z siewami. Nie dałbym rady, zwłaszcza z takim parobkiem jak Novikas. Jadzia ma duże straty w ptactwie i nierogaciźnie. Dobra połowa jaj, posadzonych pod gęsie i indyczki, zepsuła się, a także z piskląt, które się wykluły, sporo zdechło. Gąsiąt, których miało być kilkadziesiąt, prawie że nie ma; jest tylko jedno żywe gąsiątko i kilka jaj gęsich jest jeszcze pod kurami. Indycząt i kacząt wykluło się i żyje tylko połowa, kurcząt w ogóle mało posadzono, wysiadują się jeszcze jaja perliczek. Z kupionych poprzednio czterech prosiąt trzy zdechły, a z kupionych sześciu nowych prosiąt także zdechły dwa. Prosięta zaś były kupione drogo i jeszcze za nie nie zapłacono.

8 czerwca, rok 1944, czwartek

Święto Bożego Ciała. Córeczki nasze Kotuńka i Iga zachęciły się do brania udziału w sypaniu kwiatów pod nogi księdza z Najświętszym Sakramentem w procesji dokoła kościoła. W parafii naszej w Krewnach procesji uroczystej dziś nie ma, bo proboszcz wyjechał do Abel i tylko na nieszpory wróci. Procesja uroczysta w Krewnach odbędzie się tylko w niedzielę czy w przyszły czwartek. Ale na dziś nakazano dzieciom, chcącym brać udział w sypaniu kwiatów, stawić się w Krewnach w godzinach popołudniowych, gdzie będą ich uczyć sypania kwiatów. Jadzia więc po obiedzie powiozła Kotunię i Igę oraz Birutę Čepaitę do Krewien. Ubrane były w białe sukienki, włoski miały rozplecione, przewiązane wstążkami, na nóżkach skarpetki białe. To sypanie kwiatów – to dla nich zabawa i teatr. Biedaczki rosną w głuchej wsi, niech się pobawią trochę widowiskiem i własnym udziałem w tymże. Uczono je tam tej sztuki, a potem w kościele po nieszporach odbyły

repetycję z księdzem. Dobrze dały sobie radę, szczególnie Kotunia, a Iga niezmiernie zabawnie klękała i skupiając się w kłębuszek z namaszczeniem kładła garsteczkę kwiatów koniecznie na samą stopę księdza, po czym z wielkim wdziękiem składała rączki, podnosiła się i biegła na miejsce czołowe w dwurzędzie dziewczynek.

Odjechał dziś od nas Joachim Petrulis, który się u nas ukrywał od dni 10. Przyjechał po niego jego brat młodszy Tadeusz i zabrał go do Audry. Ma on się jakoś zalegalizować i postarać o posadkę dla zabezpieczenia się od łapania. Bardzo grzecznie spędził on ten czas u nas. Jest delikatny i grzeczny chłopiec, tylko do przesady przesiąknięty szablonami antypolskiego nastawienia litewskiego, wypielęgnowanego w młodzieży litewskiej z winy samych Polaków (sprawa wileńska). Jego dyskusje z panną Krystyną były klasycznym wzorem argumentowania z obu stron uprzedzeniami – u niego litewskimi, u niej polskimi, które oczywiście ani o krok nie posuwają kwestii do rozwiązania i wzajemnie siebie przekonać nie mogą, a są oderwane od rzeczywistości i nie z niej, jeno z uczuć podmiotowych wysnute.

Potwierdza się, że Rzym został przez Niemców oddany i że na wybrzeżach Francji u kanału La Manche wysadzany został duży desant angielski czy anglo-amerykano-francuski. Potwierdził to Tadeusz Petrulis z wieści przez radio. Podobno kanał u wybrzeży francuskich w miejscu desantu był tak gęsto pokryty statkami, że pokłady tychże tworzyły prawie jednolitą masę, awiacja zaś, która wspierała desant, wynosiła 11 000 samolotów (!). Podobno desant jest tak silny, że w dniu następnym siły, które wylądowały w desancie, posunęły się w głąb Francji o 100 kilometrów.

9 czerwca, rok 1944, piątek

W ostatnich czasach nie tylko się bardzo upowszechniły zamachy dywersantów na kolej żelazną (na tor i na pociągi) na naszej linii kolejowej (w szczególności kilka takich zamachów miało miejsce na torze między Abelami i Rakiszkami raz po raz), ale także częstsze się stały napady rabunkowe bandytów. Dotąd napady takie odbywały się tylko na zamożne zaścianki, a oto w tych dniach po raz pierwszy napadnięty został przez bandytów dwór (prywatny jednak, nie rządowy). Nowinka ta, jak w jesieni roku ubiegłego przy podpaleniu gumien ze zbożem niemłóconym, dotknęła i tym razem Rakiszeczki Apolinarostwa Wienażyńskich. Bandyci splądrowali w nocy dom mieszkalny Wienażyńskich i obrabowali ich. Zachodzili też kilkakrotnie nocami do różnych zaścianków w bliższej okolicy naszej. Powiadają, że ofiary napadów poznają w rabusiach ludzi miejscowych. Nie są to żadni „desanciarze” sowieccy, ale rabusie spośród ukrywających się elementów nielegalnych miejscowych, które bądź były zaangażowane w akcję komunistyczną za czasów sowieckich, bądź podszywają się pod komunizm i bolszewizm. W szczególności wymieniają zupełnie konkretnie następujących ludzi: Piet’ka Sinica, syn zastrzelonego przez partyzantów litewskich w roku 1941 mularza Markuchy Sinicy, który przez szereg lat murował u mnie, a potem za czasów sowieckich stał się zawziętym komunistą; Piet’ka komunistą właściwie nie był, nie bardzo się na tym znał i rozumiał, za czasów sowieckich służył w straży ogniowej w Rakiszkach, potem za Niemców po śmierci ojca objął jego gospodarstwo, ale na kogoś tam dał fałszywy donos Niemcom i został za to skazany na rok więzienia; z więzienia uciekł i tłucze się po okolicy, grasując jako bandyta i ukrywając się po lasach i po zaściankach starowierskich; drugim jest weterynarz Kulis, który niegdyś był w Abelach, a potem został stamtąd wbrew swojej woli i wbrew staraniom, w których mu sam pomagałem (było to jeszcze przed wojną obecną, za czasów Litwy niepodległej), przeniesiony z Abel do Ponedela czy Poniemuńka; za czasów sowieckich stał się gwałtownym komunistą, człowiek zresztą wcale nie ideowy i małej wartości moralnej; trzecim ma być młody Kownacki, brat Gieni Antoniowej Juszkiewiczowej, także komunistki zajadłej; Kownacki czy Kauniecki, którego rodzice tu w okolicy mieszkali (ojciec umarł, matka mieszka u córki Juszkiewiczowej), za czasów sowieckich był pod Kownem w majątku Yčasów (rodziny Marcina Yčasa), gdzie służyła jego ex-narzeczona Marytė Błażewiczówna, córka naszego kowala Franciszka Błażewicza z Bohdaniszek; tam młody Kownacki stał się za czasów sowieckich aktywnym komunistą, był bardzo okrutny dla rodziny Yčasów, potem dostał się do prezydentury i

był bliski Justyna Paleckiego jako jego „tiełochranitiel”, nawet z Paleckim uciekał przed inwazją niemiecką do Rosji, ale w zamieszaniu w Jeziorosach pozostał i odtąd się tłucze tu po okolicy i ukrywa.

10 czerwca, rok 1944, sobota

Deszcz i słota bez końca. Do obiadu u mnie wożono nawóz pod kartofle. Po obiedzie dokończono w III polu pod gościńcem uprawę gruntu pod siew dodatkowy jęczmienia i posiano tamże ręcznie. Jęczmień, usiany siewnikiem w I polu, ślicznie wschodzi.

Ciekawa rzecz, jak się rozwinie dalej inwazja anglo-amerykańska na zachodzie we Francji i czy nie będzie miała jakichś skutków tu na naszym froncie wschodnim od strony Sowietów. *Vox populi* zapowiada rychłe nastąpienie jakichś przesileń krytycznych. Żyjemy jak na polu podminowanym lub na wulkanie, a może tylko w ciszy przed burzą. Kto wie – może rychło stan dzisiejszy wyda się nam błogosławioną ciszą, do której tylko tęsknić będziemy, nie mając już jej.

11 czerwca, rok 1944, niedziela

Rozeszły się pogłoski o rzekomej śmierci (naturalnej czy gwałtownej) Stalina i rzekomo o „rewolucji” w Moskwie – raczej kontrrewolucji. Z tym łączą się pogłoski o rzekomym przejęciu aerodromów w Rosji przez Anglików i Amerykanów. Choć powiadają, że „nie ma dymu bez ognia”, to jednak nie wiadomo, czy jest i ile jest w tych pogłoskach prawdy. Gdyby się to sprawdziło – to byłyby to fakty doniosłe, które tak czy inaczej zaciążyłyby na wojnie i na jej konsekwencjach politycznych. Nikt się jednak nie powołuje ani na radio, ani na gazety, a przecie gdyby takie fakty miały miejsce, to prasa niemiecka trąbiłaby o tym. Zresztą my tu radia nie mamy, a gazety dochodzą do nas spóźnione i od paru dni ich nie mieliśmy. „Поживем – увидим”, jak mówią Rosjanie. Zanotuję wszakże, że już przed dwoma miesiącami zdarzyło mi się słyszeć o rzekomym sparaliżowaniu Stalina, a przed rokiem czy więcej dużo mówiono to o śmierci, to o obłąkaniu Hitlera. W masie falujących pogłosek dużo jest takich, które mają jakieś ziarenko prawdy, ale nie brak i takich, które są zgoła z palca wyssane, raczej wysnute z tego, co kto sobie gorąco życzy. Na ogół zwykle każdy wierzy w to, czego sam pragnie i odpowiednio ubiera i zaprawia pogłoski.

Na zebraniu naszej seniunii ogłoszono dziś drakońskie rozporządzenie o dostawie mięsa za niedostarczone całkowicie normy mięsa (wieprzowiny i wołowiny) i mleka w roku ubiegłym. Naliczono ogromne ilości tych braków, które kazano teraz dostarczyć terminowo do dnia pojutrzejszego, grożąc, że w przeciwnym razie wpadnie komisja niemiecka, która będzie dla uzupełnienie tych braków bydło konfiskować. Braki te naliczono w kilogramach żywej wagi bydła rogowatego. Odczytano całą litanię gospodarzy, obciążonych tymi uzupełnieniami. Są to ilości, przekraczające przeważnie ilość posiadanego przez odpowiednich gospodarzy bydła. My w roku ubiegłym dostarczyliśmy całą normę tłuszczów mlecznych z nadwyżką nawet, omal całą normę wołowiny, ale świniny zaledwie trzecią część normy. Teraz naliczono nam za to 998 kilo wołowiny żywej wagi za rok ubiegły, nie licząc tego, co wynosi norma tegoroczna. Co będzie – to będzie. Niech zjeżdża komisja. Będziemy wykonywali normę tegoroczną, którą w mleku i mięsie wołowym wykonamy, a w świninie wykonać nie będziemy mogli całkowicie i w tym roku, bo świń tyle nie mamy i nie jesteśmy w stanie dohodować. Zawzięli się Niemcy w tym roku. Musi być kuso im samym, toteż cisną coraz gwałtowniej, ale cisną też, zdaje się, te czynniki gminne, które stanowią chewrę, oddającą pozornie pełną normę, ale ukrywające istotny stan posiadanego bydła i ilości zasiewów. Korupcja bowiem jest wielka i po seniunijach i gminach panoszą się chewry, których członkowie są pomni zasady, że „ręka rękę myje”.

Odjechała dziś nasza bona do dzieci p. Krystyna Dworzecka-Bohdanowiczówna, która ma jechać do Wilna na operację w jamie ustnej, a na jej miejsce zastępczo przyjechała jej siostra Maria, która robi mniej miłe wrażenie, niż panna Krystyna.

12 czerwca, rok 1944, poniedziałek

Otrzymałem z poczty kilka numerów gazet. O rzekomych wypadkach w Rosji – rzekomej śmierci Stalina, rzekomej rewolucji czy przewrocie w Moskwie – nie ma ani słowa. Zapewne to są bajki, wydmuchane przez pogłoski. Natomiast Niemcy bardzo dużo piszą i komentują o „inwazji", rozpoczętej przez Anglików i Amerykanów na wybrzeżach Francji w okolicy Caen i Cherbourge, u ujścia Sekwany. Były to jednocześnie desanty z morza i desanty ze spadochronów. Walki obrony niemieckiej z siłami inwazji są w pełnym toku. Trudno z tych doniesień zorientować się, jak się tam sytuacja przedstawia. W każdym razie, siły anglo-amerykańskie usiłują rozszerzyć teren inwazji i utwierdzić się na wybrzeżu oraz posunąć w głąb, Niemcy zaś usiłują otoczyć i zlikwidować desant. Akcja jest z obydwóch stron zacięta.

Wieczorem gadano u nas, że w dniu dzisiejszym widziano kilku czy, jak twierdzą niektórzy, kilkunastu ludzi uzbrojonych, którzy rzekomo ukryli się w Gaju. Buba była wystraszona, że to oddział bandytów i że bandyci ci napadną w nocy na Čepasów w zaścianku Jadzi.

W ciągu dnia wypadł kilkakrotnie wielki deszcz. U mnie wożono trzema parami koni nawóz pod kartofle, które jutro wreszcie sadzić zaczniemy. Roboty rolne wiosenne bardzo spóźnione. Uratuje chyba późna jesień, bo inaczej może być źle z plonem, jeżeli jeszcze w ogóle z plonu w tym roku korzystać będziemy.

13 czerwca, rok 1944, wtorek

Dzień św. Antoniego, dawniej, za rządów Smetony w Litwie niepodległej – uroczysty dzień: dzień imienia prezydenta.

Baltrukėnas (zdaje się, że właśnie Antoni) z Janówki za mogiłkami bohdaniskimi, któremu w roku ubiegłym dałem z Gaju piękną jodłę 14-calową na postawienie krzyża w jego zaścianku, zaprosił mię do siebie na dziś na uroczystość poświęcenia krzyża. Wybierałem się do niego iść z dziećmi – Kotunią i Igą, gdy przysłał on po mnie konia. Pojechaliśmy więc z dziećmi. Zastałem już u niego księdza, proboszcza z Rogiel (Janówka bowiem należy do parafii rogielskiej) i duże zgromadzenie ludu, tak mężczyzn, jak kobiet i dzieci, przeważnie cała Janówka i dużo okolicznych, jak również krewni Baltrukėnasa spod Łukszt. Zaraz też odbyła się uroczystość poświęcenia krzyża, wystawionego na dziedzińcu zaścianka i pomalowanego na kolor wiśniowy – przemówienie księdza o znaczeniu krzyża jako niegdyś symbolu hańby i męki zastraszającej, który przez Chrystusa podniesiony został do godności narzędzia odkupienia ludzkości przez ofiarę pohańbienia i śmierć męczeńską doskonałego Boga, potem sam obrządek poświęcenia, następnie całowanie krzyża przez lud i śpiewy. Po uroczystości poświęcenia i poświęceniu jeszcze krzyża Sakowiczów na mogiłkach odbył się u Baltrukėnasa duży obiad na dwóch dużych stołach na ± 50 nakryć, jeżeli nie więcej. Były mięsiwa zimne – pieczyste z bekonu świeżego na zimno, szynka pieczona, salceson itd., sałata, winegret z fasoli, szczawik doskonały bielony z jajami, gęś pieczona, fałszywy zając z kartoflami, wafle, ciasto biszkoptowe, pianka kremowa, ciastka suche, piwo domowe. Wódki samogonu na przyjęciu – ze względu księdza – nie było, choć u Baltrukėnasów samogon płynie obficie. Po obiedzie wróciłem z dziećmi do domu. U Baltrukėnasów miały się jeszcze odbyć egzekwie za krewnych, a od godziny czwartej po południu wieczorek – oczywiście na modłę obecną, to znaczy z samogonem i tańcami.

Zaczęto u nas po obiedzie sadzić kartofle dworskie w VI polu między ogrodem, Gajem, Monticulem i sadzawką kąpielową.

Co do pogłosek o przyjęciu przez Amerykanów aerodromów sowieckich, to zdaje się potwierdzać, że bazy lotnicze na terytorium sowieckim Amerykanie istotnie mają. U nas ludzie się z tego cieszą i powiadają, że znaczenie „baz" obcych my wiemy najlepiej z doświadczenia lat 1939 i 1940: kto ma „bazy", ten trzyma w ręku tych, na których terytorium są one. Powiadają, powołując się na informacje radiowe, że Sowiety rozpoczęły ofensywę na Karelię przeciwko Finlandii.

14 czerwca, rok 1944, środa

Dzień pogodny. W VI polu sadzono przez cały dzień kartofle dworskie. Ogółem w ciągu dnia dzisiejszego posadzono 40 cetnarów kartofli, a z tym, co posadzono wczoraj wieczorem – 46 cetnarów. Chcieliśmy posadzić 80 cetnarów, ale zdaje się, że tyle już się kartofli nie znajdzie; dobrze, jeżeli się nabierze do sadzenia jeszcze 20 cetnarów. W roku ubiegłym posadziliśmy 35 cetnarów kartofli, toteż pod wiosnę musieliśmy dokupić 85 cetnarów i na rekwizycję nic nie daliśmy. Nowin szczególnych – żadnych. Jakiś huk daleki jakby wystrzałów działowych słychać prawie codziennie.

15 czerwca, rok 1944, czwartek

Przez cały dzień słota, jak w najgłębszej jesieni. Deszcz chluszcze potokami. Okropnie brzydki dzień, jakby wykreślony z liczby dni. Nic nie można było robić w polu – ani sadzić kartofle, ani przygotowywać ziemię pod len i mieszankę, które jeszcze zostają do siania.

Od trzech dni mularz Jukna z Kalniszek muruje piec chlebowy w kuchni naszej. Zburzył on piec kaflowy, który stał tam dotąd, i na jego miejsce – z tych samych kafli – stawia piec do chleba. Przestawienie pieca będzie kosztowało 400 RM.

Trochę się uciszyło z pogłoskami wojennymi. Nie wiem, jakie są dalsze losy desantu angielskiego na wybrzeżach Francji. Ci, co czekają bolszewików (należy do nich, zdaje się, nasz Novikas), skłonni są wierzyć, że Anglicy zajęli już Paryż. Z tych samych źródeł opowiadają, że Niemcy ewakuują już ludność cywilną zza Dyneburga. Ale pogłoski takie nie są jeszcze mocne.

W sprawie tych srogich zarządzeń o śpiesznym uzupełnieniu braków rekwizycji mięsnej zeszłorocznej, które ogłoszone były w niedzielę, jest pewne odprężenie. Niemcy, których przyjazd do gminy abelskiej na rzecz sprawdzenia inwentarza i wyciskania zaległości rekwizycyjnych zapowiadano, dotąd się w Abelach nie pokazali.

Odgłosy strzałów dalekich wciąż słychać.

16 czerwca, rok 1944, piątek

Dzień upłynął bez deszczu, choć pogoda niepewna. Po obiedzie sadzono kartofle, trochę dworskich, trochę ekonoma. Ogółem dotąd posadzono koło 56 cetnarów dworskich kartofli. Deszcze wciąż przeszkadzają dokończyć sadzenie kartofli, posiać len i zabrać się do siewu mieszanki na poszor. Co do kartofli, to nie wiem, czy nie zgnije duża część tychże. Są bowiem w tym polu VI duże kawałki gruntu wklęsłe, w których ciągle jest mokro, zwłaszcza teraz, kiedy wciąż są deszcze. Sadzi się tam kartofle do błota. A znów niektóre inne pagórki tamże są gliniaste, ciężkie, nieodpowiednie dla kartofli. Kawałki gruntu suche i lżejsze w tym polu zostały zagarnięte na kartofle dla parobków i dla ekonoma, dla dworskich zaś kartofli wypadły kawałki brakowne. Tak jest zawsze. Dwór przemóc parobków nie może. Kiedyś bywało inaczej, ale dawno minęły te czasy. Najwięcej się nawozi i najstaranniej uprawia ogrody i kartofle parobków i ekonoma, parobkom się uprawia i zasiewa najwcześniej, a dwór zawsze jest na szarym końcu. Dla swoich krów parobcy koszą i karmią trawą, dla dworskich zaś krów trawy się nie nakasza i nie podaje, choć dwór musi dać mleko do rekwizycji i dawać mleko Moskalom uchodźcom oraz wykarmić liczną czeladź. Co dworskie – to się liczy „skarbowe", jak gdyby to było bogactwo nieprzebrane, o które troszczyć się nie należy. Psychologia służby i robotników w stosunku do dworu jest takaż, jak szerokiego ogółu w stosunku do państwa. Nikt nie uważa, że to jest rzecz publiczna, na której opiera się dobrobyt wszystkich, natomiast dominuje poczucie, że to wolno krzywdzić, skubać i na ostatnim miejscu stawiać jako nieprzebrane i „niczyje" właściwie. Rząd sowiecki najkonsekwentniej z tym walczy, broniąc kategorycznie rzeczy publicznej i kultywując poszanowanie dla niej jako stojącej na pierwszym miejscu. Ale Sowiety konsekwentnie uczyniły z tej rzeczy publicznej rzecz istotnie publiczną, wyzwoliwszy ją od własności prywatnej. U nas własność prywatna, która opiera się na pracy najemnej, jest także wprzęgnięta w służbę publiczną i przez to uspołeczniona, ale formalnie nie zerwano z tytułem własności prywatnej i przez to przedsiębiorstwa gospodarcze większe są

wciąż w opinii tradycyjnej i zwłaszcza opinii pracowników tychże traktowane jako kategoria zysków pana.

17 czerwca, rok 1944, sobota

Całą noc padał deszcz. Płynęły z chmur potoki jak za czasów Noego. Oczywiście było tak mokro, że z rana nie było mowy o jakiejkolwiek robocie w polu. Jednak do obiadu trochę się wypogodziło i już po obiedzie można było orać we dwie pary koni w X polu za starym ogrodem, gdzie posiejemy len. Kończyć sadzić kartofli dziś nie można było.

Malarz Jukna z Kalniszek skończył dziś budowę pieca chlebowego, przerobionego ze zwykłego pieca. Piec pozostał biały kaflowy, dosyć niski. Będzie to duża wygoda.

Prawie bez ustanku słychać głuche dalekie strzały. Jedni niepokoją się lub cieszą, sądząc że to front się zbliżył pod Dyneburg, inni powiadają, że to są walki z bandytami w lasach albo z oddziałami Plechowicza, które, unikając rozbrojenia, ukryły się także w lasy. Co prawda, strzały słychać było także przed rokiem w czerwcu. Zresztą gdyby pod Witebskiem front był przez Sowiety przełamany i zbliżyłby się pod Połock, to może spod Połocka można by u nas słyszeć głuche echo wystrzałów działowych.

Z desantu anglo-amerykańskiego w Normandii na wybrzeżu francuskim żadnej wiadomości nie słyszałem.

18 czerwca, rok 1944, niedziela

Nic szczególnego ani nowego. Dzień pogodny. Niedziela. U Novikasa piją. Novikas obchodzi swoje imieniny (Antoniego), które przeniósł na niedzielę. Z wnętrza jego izby rozlegają się pijane śpiewy. U uchodźców Moskali mrowie gości. Uchodźcy odwiedzają się wzajemnie niedzielami. Zbierają się ich takie gromady, że ma się wrażenie, że tu jest Moskwa. Po trochę próbują śpiewać i oni, ale ich śpiewy są brzydkie, krzykliwe, prostackie; ani się umyły do śpiewów litewskich.

Od dłuższego czasu czuję się stale osłabiony. Męczy mię wszelkie chodzenie. Dawniej tego nie było, za wyjątkiem tego okresu w roku 1934, kiedym był ciężko chory na wodną puchlinę i kiedy jeszcze słabszy byłem. No, ale wtedy ważyłem 126 kilo, teraz zaś ważę siedemdziesiąt kilka. Jest to widocznie postęp starości.

19 czerwca, rok 1944, poniedziałek

Sprowadziliśmy dziś z Abel weterynarza, po którego jeździł ekonom. Szczepił świnie od czerwonki i oglądał konia Čeverikasa, któremu noga w kolanie wybrzękła. Dla mnie przyjezdni inteligenci z miasteczka są na pustkowiu bohdaniskim źródłem informacji, która nieco koryguje i orientuje informacje z pogłosek i z dziennika kowieńskiego (właściwie niemieckiego po litewsku) „Ateitis", przepojone fantazją albo tendencją. Zwłaszcza gdy taki gość z miasteczka słucha radia. Weterynarz zaś abelski ma radio i słucha. Otóż dowiedziałem się od niego ciekawej, a może i sensacyjnej nowiny, którą też wieczorem potwierdziła mi nauczycielka bohdaniska Elena Bagdonaitė, do której do Boniuszek z dziećmi jeździłem. Chodzi o to, że Niemcy puścili w ruch „nową broń". Sami Niemcy o tej nowej broni swego wynalazku piszą i głoszą, chwalą się nią, ale nie mówią, na czym ona polega. Natomiast mówią i nazywają ją Anglicy i cała prasa światowa jest pełna wzmianek o tej nowej broni niemieckiej. Anglicy powiadają, że tą nową bronią niemiecką są jakieś samoloty bez pilotów, które są kierowane przez fale radiowe i bombardują czy bodaj spadają z całym ładunkiem wybuchowym w miejscu, do którego są skierowane. Podobno w ten sposób bombardowana jest przez Niemców gwałtownie Południowa Anglia i Londyn, gdzie są poczynione wielkie szkody i gdzie ludność cała siedzi w schronach, a nawet zarządzona została ewakuacja ludności cywilnej z Londynu. Co to za rodzaj samolotów automatycznych i jak one są kierowane – dokładnie nie wiadomo. Nauczycielka Bagdonaitė powiada, że sądząc z tego, co o nich piszą i mówią, nie są to właściwie aeroplany, ale jakieś lecące i spadające ładunki materiałów wybuchowych, które są podwożone na samolotach, a potem wypuszczane i nakierowywane do tych

lub innych miejscowości, do których same już lecą i spadają. W każdym razie, może to być broń wielkiej wagi, siejąca wielkie zniszczenia masowe. Trudno dociec, czy to się nadaje także do bitwy, czy tylko do bombardowania pewnych punktów.

Co do desantu anglo-amerykańskiego we Francji Zachodniej, to walki się tam toczą gwałtowne w okolicy Caen i Cherbourge. We Włoszech na północ od Rzymu Niemcy się cofają. Zdaje się, że wycofują się oni tam w kierunku Lombardii, żeby nie zaskoczono ich na półwyspie desantem i nie odcięto. Na froncie wschodnim jest tylko wielka ofensywa Sowietów w Karelii, gdzie Sowiety zajęły Terijoki i Finowie cofnęli się pod Wyborg (Viipuri). Natomiast na całej długiej linii sowiecko-niemieckiej tego frontu od Narwy do Rumunii – jest względne zacisze. Domyślają się, że zacisze te jest spowodowane przez to, że Anglicy i Amerykanie, po rozpoczęciu własnej wielkiej ofensywy we Włoszech i we Francji, powstrzymali albo osłabili dowóz materiałów wojennych do Sowietów, Niemcy zaś, zajęci we Włoszech i we Francji, także nie mogą rzucić większych mas wojska na front sowiecki.

Przed wieczorem jeździłem z dziećmi do Boniuszek do nauczycielki Bagdonaitė po likiery i wódkę, którą przywiózł dla mnie z Kowna jej brat. Są to likiery i wódka skierowane mi na „reprezentację" z fabryki likierów „Stumbras" w Kownie.

20 czerwca, rok 1944, wtorek

O tej sensacyjnej „nowej broni" niemieckiej opowiada Andrzej Mieczkowski, który dziś przyjechał z Wilna, że są to prawdziwe samoloty, które automatycznie podnoszą się same wprost z aerodromów i lecą prosto i równiutko naprzód, aż na pewnym punkcie, gdy ich mechanizm zegarowy dojdzie pewnej mety, wypuszczają z siebie ładunek wybuchowy, po czym jeszcze krótką przestrzeń przebiegają i spadają same, zapalając się i paląc dokoła to, na co spadną. Oczywiście, sam Andrzej tego nie widział, ale tak twierdzą w Wilnie. Może tak jest istotnie. I też Andrzej powiada, że choć te automaty samolotowe, które bombardują i zapalają, istotnie wywołały w Londynie i innych miejscowościach Anglii, do których zostały skierowane, wielką sensację i panikę u ludności, to jednak wielkiej wartości bojowej ten wynalazek niemiecki mieć nie może, bo, po pierwsze, trudno zupełnie ściśle obliczyć z góry miejsce, w którym ich ładunek wybuchowy spadnie i w którym spadną one same (oblicza się to na odległość z uwzględnieniem ciśnienia atmosferycznego i wiatru, ale bądź co bądź z dokładnością tylko przybliżoną, wobec czego nie można ręczyć ani za uszkodzenie określonego budynku lub urządzenia, ani nawet za wybuch w określonym mieście, do którego taki samolot może nie dolecieć lub może przelecieć); po drugie zaś, jest to broń bardzo kosztowna, bo każdy wypuszczony automatyczny samolot ginie. Takie są wileńskie informacje Andrzeja o tej nowej broni niemieckiej.

Co do kolei żelaznej, to Andrzej powiada, że zamachy na tor kolejowy trochę się zmniejszyły. Wzdłuż całego toru kolejowego z Wilna do Dyneburgu są bardzo gęsto pobudowane „bunkry" (domki-strażnice), w których stale rezyduje straż zbrojna.

Nad Wilnem przed kilku dniami samolot sowiecki zrzucił kilka bomb, które spadły na przedmieściach – w okolicach Saskiej Kępy i Belmontu. Pod Oszmianą samoloty sowieckie podobno spuściły większy desant czerwonego wojska polskiego, które jest utworzone po stronie sowieckiej. Będzie więc nowa kategoria dywersyjnych band leśnych.

21 czerwca, rok 1944, środa

Tej daty kalendarzowej – 21 czerwca – nigdy nie zapominam. 21 czerwca i 21 grudnia – są to daty, które na mnie sprawiają duże wrażenie. Przesilenie letnie, od którego rozpoczyna się schyłek na rzecz śmierci i przesilenie zimowe, od którego rozpoczyna się kiełkowanie odradzającego się życia. 21 czerwca jesteśmy w pełnym rozwoju natury, w królestwie życia najpiękniejszego, ale przecież wiem, że ten dzień nas zawraca wstecz od życia ku śmierci i dlatego przez tę świadomość i wiedzę dzień ten jest dla mnie podmiotowo smutny – nie lubię go. Świadomość i wiedza zatruwa to, co bez tej świadomości jest piękne i byłoby radosne. Odwrotnie jest w grudniu.

A oto u nas nie są jeszcze skończone siewy „wiosenne”. Mamy jeszcze nie posiany len. Gwałtownie przygotowuje się u nas ziemia na ten siew lnu, który już będzie ostatni. Dziś się orze, jutro będzie się bronowało, a pojutrze siało. Trzy pary koni są w robocie. Potem siać jeszcze będziemy mieszankę wyki i owsa, ale już tylko na poszor. Powiadają przecie, że po 15 dniu czerwca siać już na ziarno nie można i że wtedy każdy następny dzień opóźnia plon zboża o tydzień.

Na dworze upał wielki i sucho, ale barometr nie tylko się trzyma na pogodzie zmiennej, lecz nawet zawraca po trochę na deszcz.

22 czerwca, rok 1944, czwartek

Trzy lata od wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. A od wybuchu w ogóle tej wojny, rozpoczętej 1 września 1939 między Niemcami a Polską, rychło upłynie lat pięć. Wojna ta jest więc dłuższa od poprzedniej pierwszej Wielkiej Wojny Światowej XX wieku. A kiedy się skończy! Z tej straszliwej męki mas ludzkich nie wytrysła dotąd żadna wielka idea nowa, żaden pierwiastek ideowy twórczy, który by z rozdarcia wojny skierował ludzi do bryły pokoju. Dziwi mię to. Ścierają się i walczą ideologie stare, które rozpętały wojnę i które ponoszą za nią odpowiedzialność – nacjonalsocjalizm z faszyzmem, komunizm sowiecki i demokracje liberalne. Każdy z tych bożków, przetopiony w pewien szablon ideologiczny, tak czy owak przyczynił się do tego kataklizmu i uzdrowić Europy i dać jej pokój nie zdoła. Toteż żaden z nich pacyfikacji sprowadzić nie zdoła. Nic nowego się dotąd w sferze idei, panującej nad wojną, się nie narodziło. Miesi się ciasto mąki europejskiej, ale fermentu twórczego dotąd w nim nie widać. Tak się przynajmniej zdaje. Nic jaśniejszego nie widać. Jest jakaś straszna niemoc umęczonej Europy.

Przyjeżdżał dziś Hektor Komorowski, napompowany sensacyjnymi „wiadomościami”. Między innymi powiada, że mobilizację Niemcy u nas przeprowadzą na pewno i że tym razem tak się do niej zabiorą, że się wykręcić nie da, jak dotąd. Twierdzi, że używają doraźnego terroru, będą rozstrzeliwać, będą palić zaścianki całymi wioskami i sforsują pobór. Wybiorą rzekomo całą zdatną do pracy i do broni ludność męską. Dotąd wszelkie pobory, werbunki, wezwanie – nie udawały się, przynajmniej u nas. Pewien rodzaj entuzjazmu, a przynajmniej ochoty, było wywołało tylko tworzenie oddziałów Plechowicza. Ale dziś, po rozbiciu przez Niemców tych oddziałów, opozycja przeciwko wszelkim próbom mobilizacyjnym i werbunkowym niemieckim jest powszechna i radykalna. Nie obudzi na pewno żadnej wiary wezwanie Kubiliunasa i najgorętsze słowa zachęty panów Birontasów, Novakasów i Elisonów, gdyby nawet je poparła Taryba Michała Biržiški, o której może coś wiedzą w gabinetach Kowna i Wilna, ale o której w kraju nic zgoła nie słychać.

23 czerwca, rok 1944, piątek

Obrzydliwy dzień. Deszcz pada, nic w polu robić nie można. Nudno i obskurnie. Zimno.

24 czerwca, rok 1944, sobota

Jeździłem dziś z ekonomem Adamowiczem do Abel za rozmaitymi interesami.

Słychać o rozmaitych nowych wyczynach bandytów w okolicy, coraz śmielszych. W lesie za Rakiszkami, w którym zimą dużo wyrąbano drzew na szpały do wywiezienia do Rakiszek na stację i z którego te belki wywozić muszą na stację gospodarze, dwóch gospodarzy z końmi i furmankami bandyci leśni dokądś uprowadzili. Takich wypadków może było więcej, ale wiem o tych dwóch, ponieważ ci uprowadzeni przez bandytów gospodarze są sąsiadami znajomymi Boreišisa ze Spieczun. Wyjechali po te belki i zginęli. Z tego lasu i nam było nakazano pewną ilość belek do Rakiszek wywieźć w maju czy czerwcu. Część wywieźliśmy, jeszcze jedną dużą belkę wywieźliśmy przed tygodniem, a dwie belki pozostały jeszcze. Niebezpiecznie będzie po nie posyłać. Drugi wypadek podobny miał miejsce gdzieś także za Rakiszkami: bandyci uprowadzili nocą z zaścianka gospodarza z końmi i wozem, a córkę, która stawiła opór, zastrzelili. Co robią z porwanymi, których zmuszają służyć sobie, czy ich odpuszczą – nie wiadomo. Dotąd były wypadki

napaści rabunkowych bandytów tylko na zaścianki, ale oto przed paru tygodniami miał miejsce pierwszy napad na dwór – na Rakiszeczki Wienażyńskich. Obrabowali Wienażyńskich porządnie. W ogóle Apolinary Wienażyński w Rakiszeczkach nie ma szczęścia do bandytów. W przeszłym roku w sierpniu, kiedy się zaczęły podpalania stodół ze zbożem niemłóconym, jego pierwszego spalili. Teraz jego napadli i obrabowali w nocy. Słychać i o szeregu innych rabunków po zaściankach, chociaż rabunki są bez przelewu krwi i pod tym względem nie jest u nas tak źle, jak na Białej Rusi i w Wileńszczyźnie. Podobno uprowadzili też dwóch mężczyzn spod samych Rakiszek.

Skądinąd i Niemcy zabierają się pono do radykalnego wyłapywania ludzi na roboty czy do usług wojskowych. Oto powiadają, że nocy dzisiejszej czy wczorajszej przyjechał cały oddział Niemców czy jakichś innych, będących w służbie niemieckiej, do Bredesów, dużej wsi pod Antuzowem przy gościńcu z Abel do Jezioros i po wszystkich zaściankach wsi zabrano i wywieziono młodych ludzi z tych roczników, które były wzywane do zarejestrowania się. Nikt się z nich nie rejestrował, ale teraz zabrano wszystkich. Słowem – jest coraz gorzej. Z jednej strony różni bandyci i dywersanci, z drugiej – Niemcy. Jeżeli tak będzie dalej, to po niejakim czasie może być i u nas to samo, co na Białej Rusi.

25 czerwca, rok 1944, niedziela

W nocy, gdzieś od godziny jedenastej do trzeciej, słychać było wielki, odległy wprawdzie, ale bardzo wyraźny i silny huk dział czy wybuchów bomb. Kierunek – północno-wschodni, może na Dyneburg, może nieco bardziej na północ. Jadzia pierwsza to usłyszała i obudziła mnie. Kilkakrotnie trzęsły się szyby w oknach. Jadzia bardzo się zaniepokoiła i źle spała. Huk ten, prawie ustawiczny, słyszeli wszyscy w okolicy, kto nie spał. Robiło to wielkie wrażenie, a we dnie huk ten powtarzał się wielokrotnie. Ludzie są w strachu, że front się zbliża. Posypały się rano komentarze i pogłoski. Twierdzono, że bolszewicy przełamali front niemiecki pod Witebskiem i zbliżają się pod Dyneburg. Inni domyślali się, że to był nalot sowiecki na Dyneburg, niektórzy pocieszali się, że może to są tylko obławy na bandytów i dywersantów po lasach. Po obiedzie byliśmy z Jadzią i z dziećmi w zaścianku Jadzi u Čepasów, gdzie Janek Čepas obchodził swoje imieniny i gdzie się zebrało wielu gości tak z gospodarzy okolicznych, jak z krewnych jego żony spod Poniemuńka i urzędników samorządu gminy abelskiej, z którymi Janek dobrze żyje (na ich czele był Dominowski). Dominowski udzielił wiadomości rzekomo „autentycznych" o tym huku dział i bomb – że to była obława leśna na bandy w Łotwie gdzieś za Dyneburgiem, a nad ranem wybuch trzech min na torze kolejowym o 6 kilometrów za Abelami w kierunku granicy łotewskiej; wybuch min był bardzo silny, kilka wagonów zrzuconych zostało z toru i nasypu, są ofiary w ludziach z obsługi pociągu, zabitych kilka koni, które wieziono pociągiem; pociąg, który najechał na miny, był pociągiem wojskowym, który szedł naładowany końmi i poszorem. Może są prawdziwe te informacje abelskie o obławach na bandy leśne, co byłoby mniej groźne, niż zbliżanie się frontu sowieckiego, ale w każdym razie zaniepokojenie ludności rośnie. Bandy leśne mnożą się i w naszych stronach, co prawda, nie w naszej najbliższej okolicy, w której nie ma wielkich lasów. Ale za Rakiszkami w kierunku tak południowym – za Świadościami w Puszczy Szymańskiej, jak w kierunku północnym – ku Łotwie w kierunku Łukszt – są duże bandy leśne i liczne coraz śmielsze napaści. Podobno do Rakiszek najechało dużo oddziałów niemieckich z batalionami służbowymi litewskimi i innymi dla tępienia band. Niedawno banda napadła na wielką eksploatację torfu pod Poniemuńkiem, tzw. Sacharę, akurat podczas zabawy, którą tam urządzano, i poniszczyła maszyny, odebrała broń od policji, wzięła udział w zabawie, ale krwi nie przelała.

Imieniny Janka Čepasa były obchodzone szablonowo: pito wódkę i piwo domowe, jedzono wędlinę, ser, bułkę, ciasta, masło, śpiewano. Ludzie są nastraszeni, lubią się zbierać i radzić, ale piją i jedzą z wielkim apetytem.

26 czerwca, rok 1944, poniedziałek

Dziś wieści napłynęły cięższe. Już od paru dni ktoś czasem wspominał, że ta strzelanina z dział czy wybuchy bomb, których głuchy huk u nas od kilku dni słychać niemal ustawicznie, tak we dnie, jak nocami, pochodzi z frontu sowieckiego, który rzekomo zbliżył się do Dyneburga od strony Witebska, bo podobno sami Niemcy podawali, że pod Witebskiem Sowiety front przełamali i posunęli się na przód o 10 kilometrów, a jak podają Anglicy – o 80 kilometrów. Co prawda, ja tego w niemieckich informacjach, które nadeszły do mnie w gazecie „Ateitis", nie wyczytałem, angielskich zaś informacji nie mam, ale ostatni numer gazety, który otrzymałem, był datowany z d. 21 czerwca, więc mogło być w gazetach późniejszych albo przez radio podane to, czego nie czytałem. Ale z kół samorządowych abelskich, jakem wczoraj wspominał, kładziono nacisk na inną wersję – że ten huk pochodzi od obławy na bandy leśne gdzieś na wschodzie Łotwy. Co prawda, koła samorządowe pod okupacją drżą bardziej od innych przed niebezpieczeństwem wkroczenia Sowietów, bo czynniki sowieckie byłyby dla nich szczególnie groźne. Toteż mają one skłonność do zatuszowania niebezpieczeństwa sowieckiego i do wmawiania, że siły niemieckie są jeszcze mocne i że nic szczególnie groźnego nie ma. Same drżą, ale usiłują robić dobrą minę i oddalać świadomość niebezpieczeństwa. Ale oto dziś przyszły wieści z Rakiszek. Przyszła z Rakiszek z urlopu niedzielnego „niania" Żermeny – p. Maria Bohdanowiczówna i zaczęła opowiadać straszne rzeczy, których się nasłuchała w Rakiszkach, zresztą z kół szczątkowych polsko-ziemiańskich, z którymi ma tam kontakt i do których sama należy. Jej informatorzy w Rakiszkach – to byli młody Henryk Lisiecki, Teseccy, p. Niuta Koziełłówna. Koła te, równie nienawidzące Niemców, jak bojące się panicznie Sowietów, chwytają na obie strony chciwie wszystko, co jest katastroficzne dla Niemców i co powiększa grozę Sowietów. Cieszy ich to, co szkodzi Niemcom i przeto każdą złośliwą ploteczkę antyniemiecką pochłaniają chciwie i wyolbrzymiają z rozkoszą defetystyczną, każda zaś ploteczka na rzecz Sowietów roznieca ich strach, który wyolbrzymia niebezpieczeństwo. To jest element, który przejaskrawia defetyzm niemiecki i groźbę sowiecką. Oni i, choć z innych motywów, komuniści – to są najgorliwsi siewcy paniki i defetyzmu. Otóż z tych źródeł z Rakiszek p. Maria Bohdanowiczówna zapewniała, że Sowiety są już omalże nie pod Dyneburgiem, że front niemiecki jest katastroficznie przełamany, że ziemianie polscy po dworach (raczej ich resztki szczątkowe) już czynią wszelkie przygotowania do ucieczki, że lada chwila może się i u nas wszystko wraz z Niemcami załamać itd., itd. Że jest w tym przesada – to jestem pewny, ale że coś groźnego już być może i że może się zbliżyć chwila krytyczna na naszym odcinku terytorialnym, tym się bądź co bądź przejąłem. Co nas może w takim razie czekać – sam nie wiem. Uciekać trudno i dokąd, a tu nas ze wszystkiego ogołocić mogą i wygnać, jeżeli nie coś gorszego jeszcze. Sam jestem już stary, rodzina, małe dzieci, w oczach Sowietów – „kapitalista" i pasożyt na dworze! Jadzia przeraziła się. Czułem się znerwowany i ostatecznie nie miałem czym uspokoić siebie i zwłaszcza Jadzi. Inną, mniej radykalną wersję o zbliżaniu się frontu podawali moi pszczelarze Vladas Kišienas i Musteikis, którzy dziś u mnie wydzielili rój pszczół. Powiadali oni, że słychać, iż wobec względnie niewielkich sił niemieckich na froncie wschodnim linia tego frontu nie jest dokładnie obsadzona – są w niej luki i przerwy (zdaje się, że tak jest istotnie) i że oto przez te luki motoryzowane oddziały tankowe sowieckie mogą się czasem przedzierać i wpadać głęboko na tyły niemieckie, skąd potem znów wracają do siebie po wyrządzeniu szkód, co zresztą nawzajem i Niemcom się czasem udaje; i że oto takie wycieczki tanków sowieckich rzekomo się odbyły pod Dyneburg. Być może, ale w każdym razie coś strasznego może się zbliża. Ze smutkiem patrzałem na moje kochane Bohdaniszki i z żalem myślałem o rodzinie mojej – co z nią będzie, co ją czeka?

27 czerwca, rok 1944, wtorek

Jeździłem dziś z moim chrzestnym synem Michasiem Boreišisem, który od kilku dni bawi u nas, do Rakiszeczek – po panią Wienażyńską, którą jako doktorkę chcieliśmy sprowadzić do Żermeny i do Buby (Żermena, której waga bardzo słabo przybywa, ma od dłuższego czasu na ciele jakąś wysypkę, z której porobiły się jej teraz na główce i w różnych częściach ciała strupy; co jest starej Bubie, matce Jadzi – nie wiadomo: od czasu, kiedy przed kilku tygodniami, idąc z zaścianka,

upadła, jest słaba i ma jakieś wielkie bóle w lewym boku, jakby w okolicy płuc; przychodziła jednak ciągle do nas nocować przy Żermenie, ale w tych dniach bardzo zesłabła, była kilka dni leżąca i teraz ledwie chodzi o kiju). Pani Wienażyńskiej nie zastaliśmy, odłożyliśmy jej sprowadzenie do jutra. Widziałem się w Rakiszeczkach z p. Apolinarym Wienażyńskim i ze starszą ich córką, młodą przystojną dziewczyną brunetką typu nieco żydowskiego po matce, obecnie nauczycielką gimnazjum w Kownie (w roku 1943 ukończyła Wydział Humanistyczny), która od trzech tygodni bawi na wakacjach u rodziców. Wienażyńscy słuchają radia, mają też częstszy kontakt z Rakiszkami, więc informacji politycznych i wojennych można u nich zasięgnąć więcej, niż z pogłosek i plotek oraz spóźnionych jednostronnych gazet u nas. Słyszałem więc u nich, że pod względem sytuacji wojennej na bliższym nam odcinku frontu wschodniego rzecz się ma tak: istotnie sami Niemcy przed kilku dniami stwierdzili, że pod Witebskiem bolszewicy sforsowali nieco linię frontu, Niemcy podają, że bolszewicy wdarli się o 10 kilometrów, Anglicy zaś czy Sowiety chwalą się, że się posunęli w głąb o 80 kilometrów; prawda jest zapewne pośrodku. Nie jest to jednak widocznie włamanie się tak wielkie, jak głoszą u nas pogłoski alarmujące, bo ostatnie informacje radiowe sowieckie donoszą tylko o zajęciu Orszy i o tym, że wojska sowieckie dotarły do przedmieść Witebska. Nie jest to więc jeszcze ani Dyneburg, ani nawet Połock, który byłby już niedaleko granic wschodnich Łotwy. To mię trochę uspokoiło. Alarmiści, zdaje się, mocno przesadzają. Ci, co u nas czekają Sowietów, gadali już o podejściu Sowietów pod sam Dyneburg. Bądź co bądź jednak, huk daleki strzałów słychać u nas ciągle, z bardzo małymi przerwami. Że działania wojenne nieco się zbliżyły i że wciąż raczej się zbliżają, niż oddalają – to prawda; nie jest wcale wykluczone niebezpieczeństwo, że możemy w pewnym czasie i my się znaleźć w sferze działań wojennych ze wschodu, ale tymczasem tak jeszcze nie jest. Podobno największa wściekłość sowiecka wyładowuje się w stosunku do Finlandii, gdzie Sowiety teraz wykonywują wielką ofensywę na Karelię – nad rzeką Świr i pod Wyborgiem. Finowie bronią się rozpaczliwie i dzielnie, a przy cofaniu się – niszczą wszystko. Radio sowieckie łaje Finów od ostatnich słów. Co do „nowej broni" niemieckiej – automatycznych pocisków latających – Niemcy wciąż się nią chwalą i zbierają skwapliwie wszystkie głosy prasy neutralnej o tych pociskach i o zniszczeniu, które one sprawiają w Anglii Południowej i w Londynie. Anglicy natomiast milczą o tym. Niemcy nie ustają w bombardowaniu tymi pociskami Anglii i Londynu. Na wschodzie wszakże jej nie używają. O spodziewanej mobilizacji u nas – dotąd nie słychać. Przed dwoma dniami upłynął termin, udzielony tzw. „plechowiczukom" (tak nazywają tych, co służyli w rozwiązanych oddziałach Plechowicza), którzy się rozbiegli i poukrywali przed ich rozbrojeniem i łapanką, do złożenia w komendanturach po powiatach broni i umundurowania. Nie złożył prawie nikt. Czy Niemcy będą i jak dalej będą reagowali na to – zobaczymy.

28 czerwca, rok 1944, środa

Przyszły gazety z dwóch dni – z d. 25 i d. 26 czerwca (niezwykle wczesne, w ogóle poczta, zwłaszcza z Kowna, przychodzi teraz bardzo prędko). Z informacji wojennych niemieckich potwierdza się jednak fakt wielkiej ofensywy sowieckiej, skierowanej w ostatnim tygodniu na odcinek środkowy, to znaczy białoruski, frontu – gdzieś od Prypeci na Orszę i pod Witebsk. Główne uderzenie jest właśnie pod Witebskiem, gdzie nastąpiło pewne przerwanie frontu. Jak głęboko się wdarły Sowiety pod Witebskiem – tego Niemcy dokładnie nie podają. W komunikatach wymienia się jeszcze Witebsk, ale wymienia się też i Połock („między Połockiem a Ostrowem"). Działa i wybuchy grzmią prawie nieustannie, ich głuchy huk słyszymy i we dnie, i w nocy. Teraz nie wątpię, że słyszymy huk bitwy z frontu, bardzo daleki jeszcze, ale już wyraźny. Zaniepokojenie jest u ludności wielkie. Przekonanie jest prawie powszechne, że doczekamy się frontu i u nas. Nerwy wszystkich są poruszone, usposobienie kiepskie. Jedni myślą o tym, że trzeba będzie uciekać, kombinują, jak i dokąd, inni lękają się wywiezienia przez Niemców, zwłaszcza wszystkich mężczyzn, boją się skądinąd samych działań wojennych, ognia, rabunku, głodu, zniszczenia, represji sowieckich w razie wkroczenia armii sowieckiej.

W gazecie jest długi komunikat Hintrego, naczelnika niemieckich oddziałów SS w Litwie, usprawiedliwiający likwidację litewskich formacji wojennych Plechowicza. Tym formacjom czynione są w komunikacie ciężkie zarzuty – że rabowały i znęcały się nad ludnością cywilną w Wileńszczyźnie, że swoim zachowaniem się prowokowały bandy leśne brać na siebie obronę ludności i przez to zdobywać popularność, że natomiast same wobec tych band, z którymi musiały walczyć, okazywały się tchórzliwe, dawały się rozbrajać i rozbierać, przez co oręż, amunicja i ubranie, które im Niemcy dawali, przechodziły w ręce band, że dla braku pomocy lekarskiej w formacjach litewskich szerzyły one świerzb itd. Zarzutami obarczony jest i sam Plechowicz ze sztabem swoim. Ogłoszenie tego komunikatu jest w dużym stopniu wodą na młyn zarzutów, czynionych przez elementy polskie w Wileńszczyźnie oddziałom litewskim Plechowicza. Ile w tym prawdy – nie wiem, ale że Niemcom to na rękę, żeby jątrzyć waśń polsko-litewską – to pewne. Litwini (opinia litewska) uważają to za szkalowanie, natomiast Polacy będą z tego brali argumenty dla poparcia własnych rezultatów. Niestety – wszyscy ze wszystkimi pokłóceni.

29 czerwca, rok 1944, czwartek

Dzień św. Piotra. Święto to jest obchodzone. Roboty są przerwane. Odgłosy strzałów nie ustają. Przez cały dzień na dalekim horyzoncie wschodnim dudni. Ale ze źródeł abelskich samorządowych wieści przychodzą uspakajające: Niemcy zatrzymali nawałę sowiecką od Witebska, odpędzili bolszewików od Połocka o 40 kilometrów nazad, odcięli, otoczyli i zniszczyli trzy dywizje sowieckie. Są wszakże w gazetach wieści, że w kierunku na Mińsk Sowiety poczyniły postępy, zwłaszcza pod Bobrujskiem.

Z pogłosek, które się szerzą w okolicy w związku z wielkim niepokojem i usposobieniem nerwowym ostatnich kilku dni, zanotuję to, że gadają, iż w razie zbliżenia się Sowietów ludność z naszych okolic Litwy Niemcy mają ewakuować do... Austrii. Skąd płyną takie informacje – nie wiem. Przed kilku miesiącami mówiono u nas, że nas będą w razie czego ewakuować do Danii, teraz powiadają: do Austrii. Sadzę, że już nie ewakuowaliby nigdzie, ale ludność męską postaraliby się całą zabrać przed ewentualnym oddaniem terytorium, przynajmniej męską zdolną do pracy. Żyjemy zresztą w sferze zagadek i wszelkich możliwych i niemożliwych prawdopodobieństw. Nic nie wiemy, co z nami i z krajem naszym będzie za miesiąc, za dwa, za trzy, w jesieni, zimą. Musimy jednak żyć tak, jak żeby wszystko miało wiecznie trwać tak, jak jest. Siejemy, orzemy, będziemy zbierali, robili zapasy jakby nigdy nic. Niepodobna przecie złożyć ręce i zatrzymać życie, czekając możliwej katastrofy, bo może ona nie przyjdzie albo przyjdzie dopiero kiedyś. Wszak i rok temu zapowiadano, że oto na jesień, na zimę, na wiosnę już się wszystko załamie. Któż by wtedy z tych, co sieją panikę, uwierzył, że oto za rok będziemy żyli tak samo, jak żyliśmy wtedy. A jednak przecie tymczasem żyjemy, choć się w ciągu tego roku bardzo dużo zmieniło w sytuacji wojennej. Zmieniło się na niekorzyść *status quo* niemieckiego.

W gospodarstwie moim w tych dniach skończono siew lnu. Teraz jeszcze siejemy mieszankę owsa z wyką, ale już tylko na poszor, bo na ziarno już jest za późno. W całej okolicy rozpoczął się sianokos i nawożenie ugorów pod oziminę. U mnie sianokos rozpocznie się tylko w przyszłym tygodniu. Wszystkie roboty są u mnie spóźnione, choć ekonom Adamowicz intensywnie gospodarzy. Dużo mu czasu zabiera uprawa mechaniczna pola, do której przywiązuje wielką wagę i wykonywa starannie. Na ogół jestem z niego zadowolony, chociaż nie zapomina on i o sobie. Dba naturalnie o swoje ogrody, trochę spekuluje, ma konszachty spekulacyjne z ludźmi okolicznymi, w ogóle umie się we wszystko wkręcać i wnęcać, ale jest sprężysty, staranny w organizacji robot, dbały o inwentarz. Jego synowie – gimnaziści Vigandas i Vytautas – są chłopcy dobrzy i robią wrażenie dodatnie. Ekonom, zwłaszcza taki sprężysty, jak Adamowicz, usuwa mię tym bardziej w cień. Co prawda, mam świadomość, że bez ekonoma, zwłaszcza z takim parobkiem, jak Novikas, absolutnie nie dałbym w tym roku rady. Ale bądź co bądź poczucie własnego niedołęstwa gospodarczego, że się jest w tym mechanizmie gospodarczym czymś niepotrzebnym i zbytecznym, jak piąte koło u wozu, jest przykre. Dawniej, gdy miałem swoją własną pracę żywą poza

Bohdaniszkami, a w Bohdaniszkach bywałem tylko dla rozrywki lub wypoczynku, tego uczucia przykrego nie doświadczałem. Nie żyłem też nigdy z Bohdaniszek, nie figurowały one w moich dochodach, całe moje życie i dochody opierałem li tylko na mojej pracy osobistej; do Bohdaniszek dokładałem jeszcze dużo z moich dochodów z pracy – na inwestycje, zwłaszcza na zabudowania i na sad owocowy. Nie byłem ani w stosunku do Bohdaniszek, ani w stosunku do Gaju rabusiem albo pasożytem. Teraz natomiast mam świadomość pasożytnictwa. To mi jest tutaj bardzo nieprzyjemne.

30 czerwca, rok 1944, piątek

Jeździliśmy dziś z Jadzią do Abel. Z nami jechała Kotuńka, którą zawieźliśmy do dentystki. Chodziło o wyrwanie jej zęba dolnego w środku na przedzie, który zaczął się ruszać. Kotuńka ma już 5 ½ lat i zaczyna zmieniać zęby. Chodziło też o plombowanie zębów bocznych. Kotuńka jest wielki tchórz i nerwowa bardzo. Gdy siadła do fotela operacyjnego u dentystki, to jeszcze opanowała się siłą woli i dała poruszyć narzędziem rozkiwany ząb przedni, ale gdy dentystka podsunęła aparat do czyszczenia zęba przed plombowaniem i chciała ostrze igły wprowadzić do ust Kotuńki i zacząć wiercić – to to już było ponad siły Kotuni. Nie dała się. Zamykała usta nerwowo, poruszała językiem, nie umiała się opanować ani dać wmówić, że tak trzeba, że to nie będzie bolało. Trzeba było plombowania zaniechać. Wszakże wyrwać ząb dała i to nie było bolesne, bo ząb był rozkiwany. Ileż potem w domu miała do opowiadania Idze o tym gabinecie dentystki! W Abelach potwierdzono nam te informacje o wypadkach wojennych, które słyszeliśmy już wczoraj: że Niemcy odpędzili Sowiety o 40 kilometrów za Połock, że wytępili trzy dywizje sowieckie, które się były przedarły na Połock i zostały okrążone. Istotnie dziś odgłosy dalekiego huku dział są słabsze, przynajmniej w kierunku na Dyneburg. Ale zupełnie nie ustały. Natomiast uwydatniło się drugie ognisko tego huku dział, silniejsze nieco, w kierunku bardziej południowym, jakby na Święciany. Są wersje, że tam w tym kierunku jakby w stronę Wilna też się były przerwały jakieś oddziały sowieckie, które połączyły się z bandami leśnymi na tyłach niemieckich i że teraz z nimi toczy się bitwa gdzieś za Święcianami.

Nasza biedaczka Żermena jakoś ciągle niedomaga. To źle je i waga jej nie przybywa, to nie śpi nocami, to ma wysypkę i pryszcze na ciele i główce, to kaszel i chrypkę. Sprowadzaliśmy w tych dniach do niej panią Wienażyńską. Co do wyrzutów na ciele i główce, te zalecenia p. Wienażyńskiej pomogły i wyrzuty schodzą. Ale oto teraz mała źle śpi, krzyczy, źle wygląda, kaszle, potnieje, ma chrypkę, raz mocno zwymiotowała. Nocami teraz śpi przy nas z Jadzią. Buba już na noc nie przychodzi, bo sama jest chora, niania – p. Maria Bohdanowiczówna – kategorycznie wymówiła sobie, że od godziny dziesiątej wieczorem do szóstej z rana ma czas wolny; wobec tego Jadzia się zamęcza nocami, nie dosypia, a że się bardzo o Żermenę niepokoi, więc ją to wszystko bardzo osłabia, bo skądinąd we dnie ma i ogrody, i kuchnię, i ptactwo na głowie, a snu Jadzia bardzo potrzebuje. Biedna Żermenka – wojenne dziecko – nie ma szczęścia do niań. Obecna, p. Maria Bohdanowiczówna, która zresztą już niedługo będzie, jest wychowana przez rodziców na panienkę, rozpieszczona, bojąca się wszelkiej pracy, nie lubiąca dzieci, sztywna przy dzieciach.

W Abelach dziś czytałem rozkaz mobilizacyjny, rozlepiony na słupach. Wezwani są 1. na razie tylko do rejestracji (bez powołania do służby czynnej tymczasem) wszyscy byli oficerowie i podoficerowie bez względu na wiek, i 2. powołani do stawienia się mężczyźni dziesięciu (zdaje się) roczników (jeżeli się nie mylę – roczników od r. 1915 do 1924, to znaczy urodzeni w tych latach). Stawiać się muszą gminami w komendanturze powiatowej (litewskiej). Dzień powołania dla gminy abelskiej – 17 lipca. Zapowiadano (*vox populi*), że się nie znajdą oficerowie dla objęcia stanowisk komendantów powiatowych. Tymczasem podpisany jest komendant powiatowy w Rakiszkach – oficer Kalnietis.

1 lipca, rok 1944, sobota

Daleki huk dział wciąż trwa. Z małymi przerwami słychać i we dnie, i w nocy. Przed paru dniami nieco się oddalił, teraz znowu jest głośniejszy. Jest nowa fala wieści alarmujących.

Mieczkowscy z informacji z Gaczan od Rosenów, do których Elwira z Helcią na imieniny starego Piotra Rosena jeździła, i dziś z Abel od Budkiewiczów, z którymi się tam Helcia widziała, powiadają, że przez Sowiety zajęta już została Dzisna, że tempo posuwania się Sowietów jest rzekomo takie, że możemy się ich spodziewać już w najbliższą środę lub nawet wtorek, to znaczy za 3-4 dni (*sic*!), że w Abelach w samorządzie jest już rzekomo panika, ze koło Norejek zostało podłożonych pod tor kolejowy pono 80 min (!) itd., itd. Zdaje się, że dużo jest w tym przesady w myśl tego, że „strach ma wielkie oczy". Może przy wielkim uderzeniu ofensywy sowieckiej na Witebsk oddziały sowieckie, które się przedarły, dobiegły nie tylko do Połocka, ale lasami z tej strony Dźwiny i do Dzisny, ale zdaje się, że to nie jest jeszcze formalne zajęcie Dzisny. Potworzyły się tylko na głębokich tyłach niemieckich szachownice i enklawy leśne oddziałów regularnych sowieckich z bandami dywersantów. Linia frontu jest bodajże nie ustalona dokładnie, szachownicowa, walki trwają na pozycjach czołowych i w głębi, linia zasadnicza jest gdzieś za Połockiem, ale ofensywa sowiecka jeszcze się nie wyczerpała i uderzenia jej są wciąż mocne, więc bądź co bądź sytuacja jest poważna i niebezpieczeństwo jest istotne. Nie lubię zresztą tych gawęd przesadnych i tego alarmizmu, który się zapala jak proch. Co ma być – to będzie. Tak przerażająco jeszcze na razie nie jest, ale spodziewać się można wszystkiego. Bądź co bądź, po każdym wielkim ataku sowieckim gdzieś coś się kurczy w okupacji niemieckiej i tak czy inaczej front nigdy się nie oddala, ale zawsze to tu, to tam mniej lub więcej zbliża, aż się zbliży zupełnie, o ile się nic radykalnie nie zmieni, a wtedy zbliży się i na koniec kiedykolwiek nas zaleje. Nie wiadomo tylko – kiedy. Usposobienie ludności jest coraz bardziej nerwowe. Zaczynają się też bać uchodźcy Moskale. Nie są i oni pewni losu swego i nie wiedzą, jak ich Sowiety ewentualnie potraktują, że się dali Niemcom wywieźć i nie uciekli do partyzantki do lasu. Wielu z nich chciałoby raczej w razie czego uchodzić z Niemcami. Elwira skłania się do tego, żeby w razie przyjścia bolszewików nie uciekać wcale. My także chyba nigdzie uciekać nie będziemy. Moim zdaniem, w takim wypadku należałoby tylko postarać się zalokować bezpieczniej dzieci – gdzieś w pobliżu, na przykład u Boreišisów w Spieczunach.

2 lipca, rok 1944, niedziela

Rano dziś albo wcale nie było huku dział, albo czasem dochodził bardzo daleki, ledwie dosłyszalny. Wszakże przed wieczorem huk był znowu wyraźniejszy i bliższy. Wersje wciąż krążą różne, dziś trochę mniej alarmujące.

Dzień był duszny, ciężki. Bardzo gorąco. Nogi mi brzękną na wieczór, co mi się często latem w upały zdarza. Komarów są chmury. Ziemia po długiej i bardzo mokrej wiośnie nadzwyczaj prędko wyschła na wierzchu na kamień. Jeszcze przed tygodniem byłem cały pokąsany przez komary – ręce na dłoniach z góry, na łokciach i w ogóle na całej długości – pokryte wyrzutami. Jest to moje cierpienie sezonowe, sprawiane corocznie przez komary, których ukąszenia mój organizm nie znosi. Teraz się to jakoś przesiliło i nowych wyrzutów i strupów nie mam. Nie jątrzą mi się też w tym roku stopy i kostki, jak innych lat w okresie komarów bywało.

Na wieczór zachorowała Iga. Ma gorączkę i ból gardła. Obawialiśmy się, żeby to nie był dyfteryt, ale charakterystycznych plam w gardle nie ma. Jadzia też od dwóch dni skarży się na ból w gardle.

Była dziś burza u nas. Nasza nieznośna kucharka Onutė Guterewiczówna, histerycznie nerwowa, która była od rana czegoś nadąsana, pokłóciła się z ekonomem Adamowiczem, do którego ma złość od dawna. Nazwała go „swołocz", ten rzucił się ją bić, ona uciekła. Potem przez cały dzień łaziła po wszystkich ordynariuszach i zaściankach, plotkowała, skarżyła, krzyczała i ma się wynosić jutro.

3 lipca, rok 1944, poniedziałek

Znowu seria nowych pogłosek. Ale źródło dwóch najbardziej sensacyjnych – bardzo niewyraźne i nie wątpię, że te dwie pogłoski nie są prawdziwe. Mianowicie – Wilno zajęte przez

Sowiety i – Niemcy wysadzili most na Dźwinie w Dyneburgu (Daugavpilsie). Pogłoski te przyniosła z Abel z kół uchodźców Moskali nasza Moskiewka Gieńka, która chodziła do Abel zamienić kartki żywnościowe, które stamtąd otrzymuje. Gdyby Wilno było przez Sowiety zajęte, to już byłoby o tym głośno w całej okolicy. Płynęłyby o tym szerokim łożyskiem wieści z Abel i z Rakiszek; odbiłoby się to wielkim echem i na samorządzie, i na poczcie, i na kolei żelaznej. Skądinąd nic nie wskazuje na możliwość takiego faktu jako już dokonanego. Z ostatnich informacji urzędowych – w ewentualnym kierunku na Wilno *via* Mińsk walki toczą się dopiero pod Bobrujskiem, Mohylowem. Mogłyby być zajęte Mohylów, Bobrujsk, Borysów, zajęta jest Orsza, ale jeszcze przecie linia walk nie dotarła do Mińska. W ostatecznym razie mógłby być znienacka zajęty Mińsk, ale chybaż nie Wilno. Gdyby coś miało się stać w Wilnie, to raczej mogłaby do Wilna lub jego przedmieść wpaść partyzantka polska albo bandy leśne sowieckie lub inne, gdyż ofensywa sowiecka na odcinku środkowym bardzo ożywiła akcję wszelkich band i partyzantek na tyłach niemieckich tego odcinka. Że Wilnu, jak i nam, może grozić wkroczenie Sowietów, to się zaprzeczyć nie da, ale nie może to jeszcze chyba być fakt dokonany na dziś. Co zaś do wysadzenia mostu w Dyneburgu, to nie mogliby go chyba przedwcześnie wysadzić Niemcy, utrudniając samym sobie komunikację, dopóki są za Dyneburgiem w kierunku Połocka i Pskowa. Gdyby ten most był wysadzony – to chyba przez bolszewików. Niemcy zniszczyliby go tylko w ostatniej chwili. Uchodźcy Moskale – to bałamutne źródło pogłosek. Oni sami są w wielkim strachu, bo się obawiają, że w razie przyjścia Sowietów mogą być, zwłaszcza mężczyźni, traktowani przez Sowiety jako zdrajcy i agenci niemieccy i ewentualnie mogą za to ucierpieć, mogą być gdzieś wywożeni (nie do siebie wszakże) albo nawet rozstrzelani, że dali się pokornie Niemcom wywieźć i nie uciekli u siebie z domu do lasów do partyzantki, żeby walczyć przeciwko Niemcom „do ostatniej kropli krwi". Strachy się im roją po głowach i lęgną się przeto wśród nich alarmujące pogłoski. Sądzę, że gdyby Sowiety konkretnie się już tu zbliżali, to wielu uchodźców Moskali albo rzuciłoby się do ucieczki z Niemcami, albo pośpieszyłoby czym prędzej do band leśnych.

Są też pogłoski i wieści, już nie ze źródeł uchodźców albo przynajmniej nie tylko z tych źródeł. Podobno ze względu na zbliżenie się frontu do Dyneburga i na naloty na Dyneburg (które mają miejsce albo są spodziewane) Niemcy pozwolili chcącym wyjechać z Dyneburga i pewna ilość takich uchodźców dobrowolnych z Dyneburga przyjechała do Rakiszek albo pojechała dalej. Skądinąd mówią, że ten huk dział czy bomb, który słyszymy, pochodzi z walk z bandami leśnymi gdzieś w okolicach Dukszt. Rano dziś huku dział albo nie było słychać wcale, albo był bardzo daleki, pod wieczór huk był silniejszy, ale tak jest już od kilku dni. Wieczorem przelatywały samoloty – podobno sowieckie, jak twierdzili ci, co umieją rozpoznawać gatunek samolotów z nazwani motorów. Dziś u nas rozpoczęto sianokos.

4 lipca, rok 1944, wtorek

Dzień upłynął spokojniej. Huk odległy dział czy wybuchów nie tylko się oddalił, ale właściwie ustał. Parę razy rozległ się bardzo daleki ledwie dosłyszalny huk i ustał. Za to pogłoski alarmujące nie ustały. Nacisk kładą one wciąż na Wilno. Coś jednak z Wilnem musi być i z pewnością niezupełnie z palca wyssane są te wieści o Wilnie, które słyszeliśmy wczoraj ze źródeł naszych uchodźców Moskali. Mówi się tylko nie o „zajęciu" Wilna przez Sowiety, ale o odcięciu go czy okrążeniu. Powiadają, że nawet przez radio było coś o tym ogłoszone. Jak jest w istocie – tego z opowiadań z ust do ust dobrze wymiarkować nie można. Wygląda tak, że jakieś oddziały otoczyły Wilno i przecięły arterie kolejowe, w szczególności badajże w Nowej Wilejce. Ludzie się domyślają, że to nie armia regularna sowiecka, ale bądź bandy leśne, może partyzantka sowiecka, zasilona przez jakieś oddziały regularne sowieckie, które się przedarły, bądź partyzantka polska. Przecie nie słychać było, żeby był zajęty Mińsk, więc jakże by mogło być zajęte Wilno. Natomiast tu na bliższym nam odcinku frontu na Dyneburg-Połock-Witebsk Sowiety zostały podobno daleko odparte. Słowem – jest coś niewyraźnego, ale z Wilnem coś jest. A może było jakieś uderzenie sowieckie z boku, nie frontowe od Orszy i Bobrujska na Mińsk, ale od Witebska-Połocka?

Najbliższe dni chyba coś wyjaśnią. W każdym razie, oddalenie frontu od Dyneburga i Połocka nie jest jeszcze uspakajające, bo widocznie zawierucha nastąpiła wielka i objęła rozległy teren. Zdaje się, że już trudno wątpić, iż Niemcy długo się u nas nie utrzymają.

Jadzia wciąż jest bardzo zaniepokojona wysypką na ciele naszej malutkiej Żermeny. Środki, zalecone przez dr Kozłowskiego w Abelach i przez p. Wienażyńską, mało skutkują. Zdecydowaliśmy więc zawieźć Żermenę do Abel do lekarza wojennego niemieckiego, który przyjmuje cywilnych chorych i udziela porad. Po obiedzie więc, w wielki upał i kurz, zawiozłem Jadzię z Żermeną linijką do Abel. Lekarz niemiecki obejrzał Żermenę, dał maści do smarowania ciała, raczej wcierania i jakichś pastylek do środka. Daliśmy mu za poradę dwa kilo słoniny, która obecnie coraz bardziej zastępuje pieniądze. Podróż Żermeny do Abel i z powrotem odbyła się szczęśliwie.

5 lipca, rok 1944, środa

Byłem z ekonomem Adamowiczem w Rakiszkach dla moich własnych i jego interesów. Przy tej okazji zasięgnąłem w Rakiszkach języka o ostatnich wypadkach. Jeszcze przed wyjazdem do Rakiszek słyszałem ze źródeł Mieczkowskich (Helcia była wczoraj w Rakiszkach i u Hektora Komorowskiego w Kowaliszkach), że na odcinku białoruskim Sowiety zajęły Starą Wilejkę i Mińsk i zagrażają Wilnu i że w Rakiszkach już jest panika i ludzie, a zwłaszcza urzędnicy, gotują się do ucieczki „do Kraju Kłajpedzkiego”... Że coś jest, że sytuacja na froncie wschodnim, odcinku białoruskim, jest kiepska, że Wilno jest zagrożone i my sami niepewni, to już czułem, ale informacjom Helci Mieczkowskiej, która jest zawołaną alarmistką, zawsze nie dowierzam.

W Rakiszkach udałem się do Kubiliusa: nie ma, wyjechał; na letnisku bawi też jego żona, stary Čepas w ogóle opuścił już Rakiszki. Poszedłem do sądu, do moich uczni sędziów – Ragelisa i Kozłowskiego. Na razie ich nie zastałem, ale zaraz spotkałem ich na ulicy i wróciłem z nimi do sądu na pogawędkę. Wraz nimi spotkałem na ulicy i Feliksa Mackusa, który świeżutko przyjechał, raczej uciekł z Wilna. Zaatakowałem Mackusa, aby mówił, co jest. Oto co opowiadał. W piątek, sobotę i niedzielę w Wilnie już było niespokojnie. Słychać było, że ofensywa sowiecka zalała wielką przestrzeń aż pod Starą Wilejkę, choć Mińsk jeszcze nie był wzięty. W Wilnie od godz. ósmej wieczór do piątej rana nie wolno było wychodzić na miasto. W niedzielę wieczorem Mackus się położył. Na wystrzały w mieście i na wielki ruch autobusów, dział i ciężarówek niemieckich nie zwracał uwagi, bo to było co noc. Obudził go jednak niezwykły ruch i gwar na ulicy o trzeciej rano. Choć to była jeszcze godzina zakazana, ale na ulicy pełno było ludzi i z okien wyglądały głowy kobiet ciekawych. Mackus ubrał się i wyszedł z domu. Była jakaś zawierucha, ale co takiego – nie wie. Słyszał, jak ludzie między sobą gadali i z pojedynczych słów i frazesów zrozumiał, że ktoś – Niemcy czy Litwini – uciekają. Przestraszył się, że może bolszewicy są już pod miastem lub w mieście. Z jakimś znajomym, którego spotkał, poszli na dworzec kolejowy, ale tam się dowiedzieli, że pociągów już nie ma. Pobiegli więc do siebie, ponapychali bielizny do walizek i wyszli pieszo za miasto na szosę do Jewje. Po drodze udało im się wsiąść do automobilu niemieckiego, którym część drogi przejechali. Dotarli tak do stacji Armale, gdzie doczekali się pociągu idącego z Wilna. W pociągu tym zastali tłum Litwinów uciekających z Wilna. Od tych zbiegów Mackus słyszał, że w poniedziałek rano Niemcy nakazali w Wilnie ewakuację wszystkich urzędów litewskiej administracji cywilnej, a bodajże i niemieckiej administracji cywilnej. Wilno zostało przejęte przez władzę li tylko wojskową. Mackus powiada, że z Wilna uciekli wszyscy Litwini – 100%, z wyjątkiem może nielicznych Litwinów miejscowych. Co zaszło w Wilnie konkretnego – Mackus dobrze nie wie, bo sam był w strachu o siebie, zajęty tylko myślą o ucieczce. Powiada, że mówiono, że Sowiety były podeszły aż do Smorgoń. W Rakiszkach ogólnie twierdzą, że w Wilnie było wybuchło gdzieś „powstanie” czy też napadła na Niemców partyzantka polska. Podobno Niemcy pochwycili dużo tych partyzantów czy powstańców. Na ogół w Rakiszkach w sferach urzędniczych jest wielkie zaniepokojenie, u wielu przygnębienie i strach. Wielu myśli o ucieczce w kierunku na zachód – do Szawel, na Żmudź. Niektórzy jednak są zupełnie spokojni i nie nerwują się. A

spotkałem jednego, wielkiego wroga Sowietów, starego geometrę Parekšlisa, który kpi sobie z Sowietów i z całą flegmą, jak że dwa razy dwa – to cztery, twierdzi, ze żadnego niebezpieczeństwa wkroczenia Sowietów nie ma, że wojsko sowieckie – to tylko dzieci i starcy, że jeżeli Sowiety teraz się posunęły naprzód, to tylko dlatego, że Niemców tam wcale prawie nie było, ale że dla Niemców Sowiety to *quantité négligeablé*, o której nawet mówić nie warto. Podobno Sowiety zajęli linię Mińsk-Baranowicze, ale Niemcy usiłują ich odbić. Co się teraz dzieje w Wilnie – nie wiadomo. Polacy zapewne triumfują, że wystarczyło jednego podmuchu, żeby z Wilna odpłynęli wszyscy Litwini. Rzeczywiście, okoliczności tej wojny tak się złożyły, że Litwini w Wilnie pozostali naleciałością i nie zdołali się ugruntować, a tymczasem stosunki litewsko-polskie w Wilnie bardzo się zaogniły i mocno nakipiała niechęć Wilnian do Litwinów, która już się przed tą wojną była ułagodziła.

6 lipca, rok 1944, czwartek

W gruncie rzeczy, sytuacja się nie zmieniła. Wprawdzie huk dział bardzo się oddalił i jest zaledwie dosłyszalny, a często go wcale nie słychać, to jednak dokoła panuje zaniepokojenie gorączkowe i ludzie, powołujący się na radio, twierdzą, że ofensywa sowiecka na terenach Białej Rusi Zachodniej wciąż czyni postępy. Pogłosek i alarmujących wieści jest tyle, że już niepodobna notować wszystkich. Wielu ludzi z Rakiszek, z Abel gotuje się już do formalnej ucieczki w kierunku zachodnim, niektórzy urzędnicy, księża pośpieszyli wyjechać w kierunku zachodnim „na urlop", żeby tymczasem w bezpieczniejszym miejscu przeczekać wypadki, które ewentualnie wiszą tu nad nami. Niektórzy ludzie i ze wsi gotują się już do wyjazdu. Zwłaszcza pod tym względem poruszeni są ci, co w roku 1941 byli partyzantami przeciwko Sowietom albo maczali ręce w gnębieniu komunistów i Żydów, zajmowali stanowiska w policji, w administracji politycznej itp. Przekonanie panuje już właściwie powszechne, że rychło wpadną tu Sowiety. Powiadają, co prawda, że Niemcy wiozą duże ilości młodego zdrowego żołnierza na zagrożony odcinek frontu wschodniego, ale nikt nie wierzy, żeby postęp Sowietów został wstrzymany. Przekonanie jest wręcz odwrotne do tego, jakie było w roku 1941.

Pod tym znakiem kończę ten zeszyt dziennika. Nic nie wiemy, co nas czeka w najbliższym czasie, może nawet w najbliższych dniach. Zdaje się, że zostaliśmy oderwani od wszystkiego, co było ziemskie i nasze tutaj i siedzimy jak ptaszki na gałęzi. Własność, rzeczy, pamiętniki, to, co się zbierało, z czym się żyło, co się miało porządkować i dysponować, stało się jakimś mirażem, który lada dzień odpadnie i zostaniemy sami bez jutra, bez balastu rzeczy, jak nas Bóg stworzył. Pozostanie tylko kwestia życia i trzymanie się kupy w rodzinie, o ile jeszcze jej nie rozproszą.

Mykolas Römeris
Michał Römer
1944.VII.6
Bagdoniškės
Bohdaniszki.